76
64

TADEUSZ MICIŃSKI

WITA

POWIEŚĆ

[illegible]

WARSZAWA 1930

SKŁAD GŁÓWNY: TOW. WYD. „RÓJ"

10099/I

CZCIONKAMI DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE

I

WIECZORNA OFIARA

W PUSTELNI

Na ukraińskim stepie wschodzi księżyc. Mistyczne rozety świateł wykrysztalił wśród lasu, który rozciąga się nad Dnieprem, zwan Hetmańskim. Tajemniczeją mroczne krużganki cieniów wzdłuż muru leśnego — nad łanem zroszonych, bujnych, wiosennych traw.

Wgórze ponad lasem i nad stepem wyżynna błękitna noc, kadzidłami upojna. Świątynia dziwnego obrzędu, w której ptak, człowiek, drzewo i nawet Bóg na krzyżu — roztapiają się w nokturn nieskończonej melancholji.

Nie jest tu step gładki, równy — przerzynają go zalesione, wodami poszumne, jary. Na potężnych wzgórzach dnieprowych stoją kurhany; trza wspinać się kwadrans i dłużej przez zagąszcza malin, berberysu, kaliny i tarnin — przechodząc uroczyska czarnoklonów i drzew, które utraciły swą indywidualność w oplocie dzikiego chmielu, pawiliki, bluszczów. Dęby kolosy, pamiętające watahy tatarskie Batyja, a może i rycerstwo Bolesława!

Dębów tych nie mogłoby objąć ośmiu ludzi. Wzniesieni jak króle. Gnieżdżą się na nich orły, zwane mogilnikami. Przedziwnie straszno wdzierać się w te żywe gęstwiny, gdzie każdy listek szepce, każda gałązka gra od wiatru, każdy olbrzym przemilcza obcym, a śpiewa swoim, wśród gromów, Bojanowe dumy.

Kurhany były nietylko mogiłą setek i tysięcy ległych na pobojowisku wojowników — ale całe plemię tworzyło tu swe horodyszcze i broniło się, ukrywając stada rżących niespokojnie nocami koni. Kto były te ludy?

Słowo jedyne, które historja wyda o nich — jest że: Przeminęły! — — — — —

Księżyc wschodził podobny tarczy wojownika, rozpalonej w ogniu kuźnicy — w krwawem jego rozjarzeniu kur-

hany wyglądają niesamowicie; nito usypiska czerwieniejące, których niezliczona ilość otacza krater olbrzymiej Etny — ni jakieś czaszki potworne, na których witeź próbował skoku. A czaszka mówi: na prawo pójdziesz — biedy nie ominąć, zwrócisz na lewo — tam twój zgon!

Wysoki ostrokół otacza klasztorek stepowy. Na dachu kościołka, pokrytym grubo omszałemi, rudo-zielonemi gontami — bocian ma gniazdo. Mała sygnaturka rozlega się na Ave Maria wśród stepu dźwiękiem przeczystym, nie mogąc wniknąć w głębokie jary, które tuż przerzynają las tajemniczemi żyłami. Niegdyś w piętnastym wieku była tu wioska mazurska, mieszkańcy rozpłynęli się w kozaczyźnie lub uwiedzeni w jasyr. Wieś zapalono. Jedyny tylko człowiek wrócił i ten zbudował kościół — pustelnię krzyża wśród nieprzebytej głuszy. Zbierało się tu w ciągu wieków nieraz po kilku samotników, najczęściej tylko jeden, czasem nikt.

Teraz któż mieszka tu?

Na jednym z dębów strażnica, aby można ostrzeliwać napastników, jeszcze zdala wyjeżdżających z lasu. Ale na strażnicy niema nikogo. Cicho na stepie, a tem zaciszniej wewnątrz.

Na podwórcu, wśród małych domeczków pustelnianych, wonieją białe drzewa jabłoni, grusz i czeremchy. Lipy jeszcze nie kwitną, pokryte liśćmi szmaragdowemi. W blasku ros świecą trawy, szczególniej srebrzyste, podobne do czaplich piór kowyle i amarantowe bodjaki, na których wicher jesienią wygrywać będzie najsmętniejsze upiorne dumki.

Wonią miłą zdradzają swą obecność pszczelne pasieki starego Szczerbiny, tworząc za dnia wesołe, ludne, najszczęśliwsze na świecie miasta i republiki.

Zachodzić muszą do tej pustelni aniołowie — tak przynajmniej wierzą, rzadko kiedy przejeżdżający tu, Czumacy.

Któż nie widział wysokiej Postaci z rozwianemi włosami? W ręce trybularz gorejących, jak węgle, gwiazd, w drugiej księga Głębin...

Najgorszy łotr, wyrzynający za hajdamaczyzny rodzinę

z małych dzieci złożoną — i ten kiedyś w starości ujrzy na stepie Anioła! Aniołowie bowiem lubią chodzić po stepach.

Nieprzebrane chóry rytmicznie wchodzą i schodzą po niewidzialnych stopniach powietrza — i czegoś czystszego niż eter, świętszego niż marzenie, hartowniejszego niż brylant...

Aniołowie, módlcie się nad tą pustelnią — bo jeśli stary pasiecznik widzi na stepie tylko pogrzeby upiorne, wiedźmy, bisów i wilkołaki — to jedno święte serce ufa tylko wam! nie dajcie wstąpić tu potwornym ludziom, w których wygasło sumienie! — —

Za klasztorkiem i za palisadą staw senny: niewielki, głęboki, obramiony drzewami. Przeglądają się w nim umarłe gwiazdy.

Zato gdy wejść na kurhan — Dniepr wije się kręto, spłaszczając jeden brzeg, a drugi, wysoki podmywając w dzikie urwiska.

Król wężów stepowych duszę prawdziwą pokazuje wśród burzy, gdy zdawa się piorunem pełznącym po ziemi, huczącym masą wezbranych wód!

Teraz cicho śni. Wygląda niby pióro uronione ze skrzydeł Archanioła. Tem piórem — Wielki Nieznany zapisuje kronikę stepu.

Musi być możny, aby dzierżyć pióro, zalewające tak często i tak straszliwie księgę ludów — krwią; musi być sprawiedliwy między waśniącymi się braćmi; musi być mądry, żeby nie zwątpił — widząc podłą zgniliznę państw XVIII wieku, widząc wielkie ołtarze, na których spala się na żużel szczęście a chmury wysokiej boleści wzbite aż po niebo... Huragany szaleją wciąż, wieści Hiobowe biją w każde drzwi!

Na kurhanie najbliższym posąg Matki Boskiej, w aureoli z płonących lamp — trzy niebieskie wgórze, czerwone z boku i zielonych rząd.

Barwy symbolizują trzech Magów, którzy niosą moc, natchnienie i miłość. Tętni szkarłat młodej krwi, migota modre niebo wgórze ostatecznych nadwypełnień — a w ra-

dości iskrzy zielone życie! Które nad wszelką mogiłą woła: żyjcie! nad wszelkim dworem wyrżniętym wznosi się płaszczem czartopołochu, bluszczu i kalin; klangorem żórawi, lecąc w wyżynach niedojrzanych, dźwięczy: weźcie skrzydła, weźcie skrzydła, weźcie skrzydła!

Posąg, wykuty grubo z kamienia, trzyma w lewej ręce hieroglif, zaś w prawej — słoneczne dziecię. Nocą lampki przebudzają w nim zagrobne życie.

Zabrzmiał śród milczenia śpiew: mocna jak śmierć, duszę rwąca pieśń o Kałynie — jak to Kałynę zamąż wydawali, jak ją łamali, targali, jak ją wreszcie w dole chowali...

Na lirze gra stary Denys Szczerbina. Niezwykła to postać Kozaka i patryjoty polskiego, a przytem samorodnego, umiejącego badać przyrodę i życie narodów — mędrca! Gdyby nie mrok, możnaby ujrzeć szramy, które staremu esaułowi idą przez twarz. Postać krępa, broda siwa, zaś w kontraście czupryna kruczych, wcale nie siwiejących włosów, nad czarnemi oczyma, wyloty kontusza kozackiego, rzucone z brawurą za plecy.

Niegdyś zaczął wędrować z tęsknoty i żalu — po pierwszym rozbiorze Polski. Zaszedł do Turcji, natrafił na prastare pieśni słowiańskie. Odnalazł majestatyczne życie dawnych królestw Serbji, Bułgarji, Czarnogóry pod popiołami i lawą niewoli.

Stał się guślarzem.

Z guślą wrócił na północ, szedł brzegami Dalmacji przez Chorwację do Pragi i szukał w Tatrach i na Podhalu źródeł dawnej Polski; na Litwie i Żmudzi zdumiało go święte prastare podłoże — wrócił do Warszawy, ale tu go wyśmiano.

Przez Inflanty zaszedł do Skitów religijnych pod Archangielsk, a potem na jezioro Onega... I tam między starowiercami znalazł również wspaniałe pieśniarstwo — wyrosłe bezwątpienia przed lat tysiącem na wzorach południowej Słowiańszczyzny. Najdawniejsze mityczne hymny o Żywiołach, które przechowały się w górach Macedonji — u sturczonych Pomaków — i tu nad Onegą — najwięcej zajmowały jego wyobraźnię: marzył, że one dadzą podstawę do nowej Słowian religji.

Tak wytworzył się i krystalizował w nim pogląd na braterstwo Słowian. Ale zarazem pewne wykształcenie historyczne, tudzież żywy instynkt życia i pęd ewolucyjny — dają mu przewidzieć, że przyszłe zbratanie powstać może nie na cofaniu się wstecz ku stanom niemowlęctwa i barbarji, ale na tle Humanizmu i Wiedzy.

Na lirze grając, obraca korbą; kółko trze się między strunami, palce prawej ręki biegną po strunach, targają, pieszczą, lub sieką, jak mieczem, wydobywając ostry rozjęk, wrzawę i bój...

Zakonnica to — ? owa to postać wysmukłej, złocistowłosej kobiety? ale czyż prawdziwa posłusznica będzie śpiewała Kałynę? a toż uciekłaby z klasztoru, nie znaleźliby jej, aż chyba utopioną w stawie wśród lasu!

W aureoli tęczowej rozeznać można postać wysoką o kibici giętkiej, z piersią podniesioną, dziewiczą a rozwiniętą.

Twarz jej da się porównać z obrazem Ostrobramskim, którego święta postać wzorowana była z pewnością na jakiejś kasztelance z XVI wieku, w której zakochał się malarz włoski. Wita miała powagę Barbary Radziwiłłówny — tego lotosu polskiej miłości, a upojenie radosne życiem i mądrość zwycięską młodości, jak Minerwa Botticcellego.

Taką piękność wytwarzała już tylko dawniej moc rodzajna ziemi, łącząc się z tęsknotą gwiezdnego kołowrotu sfer.

Pod wysokiem czołem jarzą głębie turmalinowe — niby jeziora Tatr, w których nurzają się wirchy nieugiętej woli. Usta wiśniowe — a z nich głos — niby wiola nastrojona przez muzyków Melozza da Forli.

Teraz, wzniesiony do niezwykłej potęgi tajonego cierpienia — głos biegł stepem — jak wyzew duszy zabłąkanej, chcącej tam w gwiazdach rozwierać wrota labiryntów!...

W odpowiedzi na pieśń dziewczyny zanucił słowik. Mistrzowskim, cudownie czystym tonem, zawładnął kopułą nieba. Inny mu odpowiedział z lasu: gorejące napomnienia, głębokie hejnały, rozwarcie strzeliste serc! Nie słychać już rechotu żab, nawet świerszcze zawstydzone umilkły.

Bezgraniczna skala duszy wibruje w tym trójśpiewie: słowików, dziewczęcia i lirnika starego.

W mgłach rosy krwawi księżyc. Wpływając wyżej w modrą kopułę nieba, staje się już tylko wielką złotą łzą.

— Naco wam serce targać, panienko! — ozwał się Szczerbina, składając wzruszone, dźwięczące, jak dom po świeżym pogrzebie, ulubione narzędzie w trawę opodal.

— Nie łudźcie się tonem zewnętrznej melancholji, mój Szczerbina! wezbrana jestem radością, jak ta Królowa Amazonek, której posąg został wśród stepu. Idąc z Azji — rządziły ludami scytyjskiemi, którzy byli pono *ginajkokratumenoj* — rządzeni przez niewiasty. Zapragnęły jednak one władzy olbrzymszej i wiedzy trwalszej — zeszły ku świątyniom Dodony i Eleuzis. Po krwawych bojach z Helleńskimi mężami, legły w kurhanach, które długą karawaną ciągną się od Małej Azji przez Grecję aż ku nam. Obcinały lewą pierś, aby im nie przeszkadzała w strzelaniu z łuku. Tak i ja pozbawiam się miłości, aby mi nie przeszkodziła w mym czynie —

Te siostry me walczyły, nie lękając się zgonu. Piękny Hellen toporem rozrąbywał czoła, pod któremi falowały myśli władcze, najdumniejsze, nad głębią ukrytej miłości!

Posąg — to dawna królowa ich — żyje zaklęta. Ma w ręce hieroglif swej władzy — klucz do wiedzy zaświatów.

Ktoś wykuł i włożył jej na rękę Dzieciątko Słońce — wezbrana radością, błogosławi teraz całej krainie.

— Zapaliłaś jej aureolę — posąg w ciągu dnia śpi, nocą żyje.

— Mam przeczucie, że ta królowa Amazonek jest moją patronką, nazywała się Witosława.

— A cóż uczyniła więcej, prócz obcięcia sobie i swym żołnierkom piersi lewych?

— Mężów greckich nauczyła czcić kobietę. Zmieniła centaurów rozhukanych w mądrych twórców życia, w wolnych półbogów. A potem żyła w Nazaret, przy wielkiej świątyni, gdzie zebrały się wszystkie misterja wschodu.

Zapatrzyła się raz w Cherubima sześcioskrzydłego, który jej przyniósł wieść, iż Bóg jest, iż Bóg jest w niej.

I poczęła z tej wiary w Ducha świętego.

— Wiesz — dodała głęboko wzruszona — wpatruję się często w Cherubima, który wisi nad ołtarzem.

I ja chcę mieć swe dziecko z myśli najgłębszej skrzydlatej poczęte.

Jeśli nie będę mogła mieć tak, nie będę miała nigdy! —

Zasępił się Szczerbina. Jak tu rzec młodej, nieświadomej dziewicy, iż nie powstaje ród ludzki z zapatrzenia się na obraz, choćby najbardziej magicznie malowanych cherubimów? jak objaśnić tej młodej wiośnie, pulsującej krwią w wysokiej, wzniesionej wgórę, jak ołtarzyk, piersi, że w naturze ludzkiego kochanka i w sobie samej spotka instynkt? A jeśli nie pójdzie w rytm z wielkim kołowrotem natury, znieprawi się w chorobliwych wymęczeniach klasztornych — albo przez cyniczne zwątpienie o wszelkiej głębinie życia realnego — stanie się kocicą buduarów króla Stanisława...

Rzekł więc powoli, krzesząc ognie na mały czubuk wiśniowy, z którego wnet pykać zaczął dym własnego, domowego tytuniu.

— I cóż wy, panienko, wiecie o życiu, mówiąc, że zmieniła Witosława centaurów w mądrych twórców życia?

Życie tworzy się miejscami głupie do obrzydliwości, miejscami święte, jak samo marzenie. Ale zawsze — według żelaznych praw.

Kto może tworzyć życie inne, niż ono być może tu na ziemi? jeśliby można wzrost swój powiększyć, nie można doprawić skrzydeł; jeśliby można mieć skrzydła, nie pokonamy czasu, który nas zabija. Trochę tych lat życia trzeba przeżyć, idąc w rytmie z naturą...

— Lecz głębiną natury jest niebo: nad chmurami lazur.

— Modre kwiaty rosną na kurhanach —

— Gdzie czają się sny morderców z obwisłemi wdół szponami. Nie słyszysz widm, które wyją nocą tu wśród

zawiei? Nie wpatruj się w lazury wymarzone, aby sądzić o ziemi. Ukraina winnaby cię nauczyć, że tylko przez walkę sił harmonijnych z dziką anarchją utrzymuje się życie.

— Mówicie mi nieraz o historji Ukrainy — radam słuchać zawsze!

Wiem, że kilka wieków, szlakiem między czterema rzekami, wdzierały się hordy tatarskie aż po Przemyśl, po Śląsk, po Moskwę... Step świadkiem był i jest scen tragicznych, wstrząsających.

— Ilu brańców krążyło tędy, płacząc!... — zaczął stary lirnik — za nimi hordy Tatarów, o których mawiał hetman Żółkiewski: Tatarzyna ścigając, jakby też kto motyla na powietrzu gonił... jakby wiatry siecią zagarniał...

Pretficz w wieku XVI zapuszczał się w odwet aż na Krym i odbijał jeńców.

Państwowość polska od Zygmunta I utrzymywała tu stale tysiąc do trzech tysięcy rycerstwa.

Wpoprzek Ukrainy zbudowano trzy linje zamków obronnych i mnóstwo forteczek — ze strzelnicami i ostrokołem.

Na czele wszystkiego stał hetman polny, a wyręczał go strażnik koronny.

Długo wystarczała dzielność tych Buczackich, Jazłowieckich, Potockich, Wiśniowieckich, Sanguszków i tych pomniejszych Aksaków, Turów, Czuryłłów, Łosiatyńskich...

Ostatnim z żyjących strażników — pan Mohort.

— Mój wielki, zacny mistrz — zawołała Wita.

— Ale dziś nie mamy już armji wielkiej, ani państwowości sprężystej!

Rozwój nasz wstrzymany został od r. 1698. Wtedy był zjazd Augusta II z Piotrem Wielkim. Kiedy ten reformuje Rosję w sposób genjalny i przemożny, nikczemny Sas w pałacu Otwockim pertraktuje o rozdział Polski, aby sobie wyrobić królestwo dziedziczne. Liczbę wojska polskiego ograniczono przez sejm ilością 18 tysięcy. Lecz i tego nigdy niema. Wewnątrz Rzeczypospolitej też nie jesteśmy u siebie! Rządzą nami od lat dziesiątków Repnin, Stakel-

berg i ambasador Prus. Duchowieństwo katolickie skurczone do bigotyzmu lub grzęźnie w materjaliźmie. Duchowieństwo prawosławne zaczyna się burzyć. Taki Melchizedek, taki Koniski, taki Aminadaw... Kiedy wybuchła Konfederacja Barska, znaleźli się łotrzy, podający projekt wyrznięcia wszystkiej szlachty i żydów. Hramoty, których pochodzenia nie ustalono, zjawiły się — nakazując szlachtę wykorzeniać.

Wybuchła burza Koliszczyzny.

— Podobno z uciemiężenia ludu? — zapytała Wita, gotowa zawsze bronić uciśnionych.

Czytam właśnie nową książkę księdza Skrzetuskiego z r. 1784: „Prawo polityczne narodu polskiego". Wykazuje, jak część narodu najliczniejsza, sprawując rolnictwo, mogłaby utworzyć również i wojsko, ręce do warsztatów i rzemiosł — ale nasi chłopi są w stanie mało różniącym się od niewoli. Życia i śmierci ich panami są dziedzice. Tak jest pono w Niemczech i w Rosji i we Francji.

Ale w Polsce, zagrożonej zewsząd, trzeba najwięcej obywateli dzielnych. A my uciskamy chłopa, nienawidząc też wiedzy —

— Nie przeczerniajmy swego narodu — odparł Szczerbina.

Kiedy po drugiej stronie Dniepru jest taka pustosz, że konfederat Chojecki, uciekając z niewoli wschodniej — szedł od Donu do Dniepru, nie spotkawszy siedzib ludzkich — po tej stronie znalazł kraj silnie zaludniony. Nie musi być na Ukrainie gospodarka polska zła, jeśli w mniejszem — bracławskiem województwie — jest półtora tysiąca wsi. Niema prześladowań religijnych, agitację o to poprowadził dopiero biskup mohylowski Koniski. Lud północny ucieka stamtąd do nas, nęcą go „słobody".

Tu ludowi jest dobrze, niema prawie obowiązków pańszczyźnianych. O cóż więc ma się burzyć? o kilka złotych czynszu? Włościanie posiadają dziesiątki wołów do orki — ziemi dużo. Wielkie lasy dębowe i lipowe ciągną się aż po Dzikie Pola nad porohy. Z lasami krzyżują się uprawne zapola i stepy. Na niwach dojrzewa kukurydza, pszenica

arnautka, tytuń. Na basztanach melony, na skałach Dniestrowych rośnie dziko winograd i brzoskwinie. Stosunki z panami naogół dobre — oczywiście wśród szlachty nie brak awanturników i nawet rabusiów!

Ale największy magnat ukraiński, pan Szczęsny Potocki, rządzi wzorowo i jest poprostu chłopomanem. Mimo to zdradzono go. Czemże to objaśnisz?

— Kiedy w Humaniu bandy łotrowskie wyrzynały ludność — zaczęła Wita, aby czemśkolwiek bronić ludu — włościanie z Ositnian wzięli dzieci Mładanowicza w opiekę, mimo, że Kozacy straszyli włościan obcinaniem rąk i nóg.

„Chcecie wychować sobie panów?" — pytał Gonta.

Odpowiedzieli mu, że komisarz Mładanowicz traktował ich jak ojciec, więc chcą dzieci jego wziąć za swoje. Nawet Gonta, którego zdrady niczem wytłumaczyć nie można, czuł się upokorzonym. Lud jest niewinny...

— Ja kocham swój lud — odparł Szczerbina — ale nie znoszę pobłażania.

Im bliżej kresów stepowych — tem mniej rządu — tem więcej swobody — i bezprawia.

Krew koczownicza burzy się! Namiętność walki podżega — rzucić się na sułtana, na Lachów czy na Rosję! Wrzenie ciągnie się od wieków,

Lud na Ukrainie bałamucony obcemi wpływami. Rokosze dawniej tłumili sami Rusini najżarliwsi, jak książę Bazyli Ostrogski, wojewoda kijowski, książę Różyński lub Kisiel, nie mówiąc o Wiśniowieckim Jaremie. W typie ukraińskim jest wiele Połowca, Tatara, Pieczynga i Kłobuka... Lud nasz chce być panem całej ziemi bez żadnej opłaty i podatków, nie uznaje władzy innej, niż gromada. Kiedy zawiązała się Konfederacja Barska, wystarczyło paru prowokatorów, którzy głosili, że Konfederacja zawiązana jest na to, aby lud rżnąć. Ohydnie złączono religję naszą z rzezią: na Sorok Muczenikow miano Polaków wytępić. Polacy, bojąc się rewolucji, nie wsparli dosyć Barszczan. Po rzezi humańskiej nastała trwoga, jak przed potopem: powozy, karety, bryczki wymijały się,

Żydzi gubili rzeczy. Wyjeżdżano do zamków, na Polesie, lub do Rosji. Hersztowie zbójów, jak Szwaczka i Bondareńko, płacili po rublu za zamordowanego, potem już tylko po szóstaku. W rzezi humańskiej męczenniczki wzruszają hartem wiary — gdy zdzierano im skórę od stóp do kolan, „ubierając w pończoszki lackie panny". Nie chciały zmienić wiary, za co im obiecywano życie. Jeden tylko kleryk Rylski ocalał przez swój głos wspaniały, którym zanucił: Preczystaja Diwo, Maty ruskoho kraju!...

Seredyneńko, łotr z miasteczka Wołodarki, pod trzema dębami w Czarnym Lesie zakopuje skarby. Chłopi hańbią sakramenta, niewiastom zeszywają piersi.

Ohydny pijak Bondareńko nucił pieśni podłe, od których nawet chłopi uciekają.

Dominikanie musieli tańczyć w huku prochowym wśród orgij.

Ukraina napełniła się grozą i legendami. Dzwony w Telepinie same dzwoniły przez dni kilka, głosząc, że szatan idzie... I szatan przyszedł w czerni hajdamackiej... Zburzył zamek kaniowski, zdobył Czerkasy, Smiłę — wymordowując 40 tysięcy polskiej ludności. Nie dziw, że broniono się, że polska wojskowość karała w odwecie. W Serbach dotąd stoi pal i szubienica.

Tedy Kozacy w Korninie pod dowództwem mojem chwycili Szwaczkę i Bondareńkę! Szelest — rotmistrz — też znosił hajdamaków. Lud sam dostawiał winnych. I cóż?... zbyt srogo? prócz niewielkiej kupy straconych, użyto reszty do robót publicznych!...

Między hajdamaków zamieszało się i paru szlachciców — jak Łeńkowski i Kopytkiewicz. Nie pierwszyzna to: Chmielnicki był też ambitnym polskim szlachetką!

Po rzezi tej okropnej pomór nastał — żniw nie zbierano — głód.

W swym poemacie pan Suchodolski mówi:

Wielu pragnących zdrowego ustronia
Morowa ściga i dusi pogonia.
Legli po grobach cmentarza w kostnicy...

Imperatorowa, lękając się, że takie pożary przedostaną się i do jej państwa, pomna świeżego buntu Pugaczewa i Steńki Razina, zniosła istnienie Zaporoża i Siczy, w której cerkiew wzbogaciła się niezmiernie, gdyż połowę łupów hajdamacy tam oddawali. Osiedlono w Siczy Żydów. Rozmiecione i rzucone z wiatrami gniazdo nasze...

Gorszy od dżumy i śmierci padł mrok moralny na lud nasz i na duchowieństwo. Ono musiało się oczyścić: w r. 1768, zaraz po rzezi, pojawił się manifest w Żytomierzu, podpisany blisko przez trzystu księży unitów — świadczący, że żaden ksiądz unita do rzezi nie należał. Siły moralnej swej dowiedli przez to, że zajęli się gorąco ludem — zaczęły się nietylko religijne misje, ale uczenie i oświata.

Szlachta znów napłynęła.

Gdyby kto w Polsce umiał zorganizować niezmierne siły kozaczyzny!... Ale stało się. Regularne armje Piotra W. i Katarzyny dały sobie łatwo radę z hajdamakami, Siczą, Krymem.

U nas lada chmurka zbiera się zawsze w burzę.

— Dlaczego?

— Bo nie umiemy tworzyć wedle praw rozumu, jak tego domaga się już umysłowość Europy!

— To nam nie pomoże, jeśli nie uzyskamy zrozumienia, dokąd prowadzą siły ziemi?

— Dokąd? tego nikt nie wie. Wystarczyć nam musi dla życia sprawiedliwa surowość.

— Brakiem miłosierdzia zażala się naród na wieki — odparła zamyślona Wita.

Oto naprzykład, pan Ksawery Branicki, pogromca konfederatów, zastawszy hajdamaków rozbrojonych przez wojska rosyjskie — wymierza odwet za męczenników w Humaniu, za łotrostwa lat kilkunastu takich Tesli, Dowhoszyjenki, Żeleźniaka, Gonty...

A należało właśnie pokazać wzór magnanimitatis... Śmiertelnym pocałunkiem gasnącej Rzplitej przywiązać do siebie wyobraźnię i serce ludu ukraińskiego...

Alboż daleko stąd był sad męczarni — raczej las cały, bór, puszcza męczeństwa?! I ono nic nie zbawiło, i nikogo nie rozświetliło!...

— Świataja Kodnia! przyprowadzały tam polskie komendy hajdamaków. Był sędzia Dubrawski — tak maleńki i chudy, że pas na nim utrzymać się nie mógł; opasywał się więc cienką taśmą, a że nie mógł udźwignąć szabli, nosił tylko u boku kindżalik. Miał on z rąk pana regimentarza Stempowskiego — jus gladii.

Ja na służbie polskiej zaprzysiężony, przywiozłem hersztów, Szwaczkę i Bondareńkę. Na ziemi siedziały i leżały wielkie tłumy kaleków. Kruki żarły ich jeszcze żyjących. Na gołych ogolonych łbach kozackich paliły się wiechcie słomy. Niektórym odjęto tylko prawą rękę i lewą nogę, zostawiając ich przy życiu na postrach. Chylicie się, córo hetmańska?

— Słucham.

— Nie mówię tego, aby was rozczulać niedolą kozaczą! nasi Kozacy wymordowali dziesięćkroć więcej i straszliwiej, nie oszczędzając nadto kobiet, ani dzieci. A z tłumami konfederatów wiecie wy, co czynił Dybicz?

— Nie mówcie! drogą wzajemnych okrucieństw nie rozwiąże się nic na świecie.

— Widziałem potem w lat wiele małego sędziego. Zastałem go jako pustelnika, siwego, modlącego się.

Biadał on, że poskromienie hajdamaków nie ustępowało czynnościom Kreczetnikowa i Dybicza względem konfederatów...

Pustelnik nie miał racji — ciągnął Szczerbina. — Któż potępia Rosję, że srogo stłumiła bunt Pugaczowski? to była jej konieczność państwowa, Kretecznikow zaś, Dybicz i Suworow — będąc sami obcy — karcili konfederatów, walczących z własnym królem, jak Fronda francuska przeciw Mazariniemu i królowej Annie. Ale cóż pomoże nam uznawać, że świat i historja powinny być inne? musimy z postępem dziejów organizować się albo też iść z wybuchającym wulkanem do dna!

Tak, mileńka Wito, świat nie jest ewangelicznie prosty: zatem musimy budować również na ujemnych złożonościach natury i człowieka.

Świat nie zawsze jest tem, czem mieć go żądamy. Nie mówi, jak glina do rzeźbiarza: lep mnie. Ten bierze i lepi — posąg Zbawiciela, albo tych boginek, któremi pan Szczęsny zdobi ogród swój w Zofjówce.

A ty nie wiesz, iż jesteś może przeznaczona, żeby armaty wrzynały się kołami ćwiekowanemi w twoje łono! więc nie dowierzaj myślom tęczowym, nie zapominaj że dzień i noc pająk łowi muchy w twej świętej celi!...

— Weszłam we wszystkie tajnie moje, — wezwałam wszystkie nieświadome i świadome moje potęgi, prowadziłam je przez cmentarze dziejów — i poznałam, że Bóg w niczem nie jest winny. Gdyby On był winien — czyż Chrystus mógłby do Niego się modlić?

— Takich argumentów można budować bez liku na dowód, że wilk jagnięcia zjeść nie powinien.

— Mamy wolność i zepsuliśmy ten świat. Bóg nie winien, że Polska do słupa hańby przybita. Dlatego wolno mi radować się aż do ekstazy, wolno mi być Deborą, która pójdzie z hufami przyszłego hetmana... O moje gwiazdy, wy moje usta, mówiące to, czego niemy duch mój nie wypowie! —

Zamilkł Szczerbina wobec tak ekstatycznej wiary. Pomyślał, że jest ona tem, czem zapach lilji — pięknem indywidualnego bytu, przyczyniającem się do złagodzenia męczarni wszechistnienia.

— Zapada wieczór — musimy jeszcze zajrzeć do dzieł Gdańszczanina Heweliusa. Przez teleskop wam pokażę piękną konjunkcję Wenery i Marsa. Pora na wieczerzę. Jest miód z pasieki, którego trochę dziś podebrałem.

— Miód majowy podbierać — grzech.

— Koniecznie uparło się mej doni tego przysmaku dla was. Mówi, że miód wiosenny czaruje. Niech więc was zaczaruje, abyście wy, panienko, z moją Kaliną żyły, jak te cudne drzewa na wiosnę — namiętne, a jednak z grze-

chu wyzwolone. Pewno Kalina uwarzyła już wieczerzę! Do tych świętych wonności kadzielnych stepu miesza się zapach od ognia: jest palianycia [1]) i pidwyszniki [2]).

— Wstyd, żeby mnie tak rozłakamiać! Właśnie na dowód mej wstrzemięźliwości, spożyję wieczerzę jeszcze prostszą, niż zwykle. Idźmy.

Rozchylił stary Denys dwa słupy, które obróciwszy się, dały wąskie, tajemne przejście. Wstąpili na podwórze.

Wita pobiegła do świątyńki ciemnej, uderzyła trzykroć w dzwon na Wieczorne Pacierze. Uklękła za filarem, zapadła w widzenia. Cherubim stoi tam, gdzie płonie lampka rubinowa. On ochrania ołtarz — w nim tajemna moc życia. Tyle stygmatów ma cherubim, ile mieczów w ojczyzny ciało wbił wróg.

Wita chce utrwalić w pamięci twarz cherubima, lecz skrzydła tęczowe ściemniły się w twór półzwierzęcy!... Uczuła wyraźnie silne zmysłowe usta!

Ach, to Kalina dotknęła ją ustami w mroku. — Drżąca chwyciła za ramię miłą przyjaciółkę i wybiegły razem z drewnianej świątyńki, która jest dziś groźna, jak nigdy. Przebiegły, milcząc, miękkie od rosy podwórze. W małym domku rozwarły drzwi, rozzłociło się wnętrze.

Izba niemal pusta, wielka — ubrana tylko zielonemi gałęźmi. Długi stół, nakryty ukraińskim obrusem z modrą mereżką, na stole świeca woskowa przy misie dymiącej potrawy z grzybów. Kalina stawia się dziś nie na żarty! Nietylko chleb jeszcze gorący ciemnieje na oddzielnym obrusie pod obrazami, a w szklanym dzbanku śnieży się mleko, ale jeszcze suszone owoce w pozłocistej misie! Zielenią się przezroczyste ocukrowane melony, krwistość żórawin i wiśni, tłumiona ciemnym bronzem jabłecznego blinu...

Wzrok Wity nie uśmiechnął się do tych darów bożka Zasoba. Wytężyła duszę w kierunku krzyża czarnego, pod którym płoną lampki modre. Wieńce nieśmiertelników,

---

[1]) Rodzaj chleba z makiem.
[2]) Grzyby rosnące pod wiśniami.

mnóstwo świętych obrazów i kilka ksiąg staroświeckich tworzą uchronę domowego genjusza.

Nie jest on tak srogi, jak wygląda zdaleka, mroczniejąc krzyżem! Obok lampek wiszą rzędy bursztynów. Z dziewiczej szyi zdjęte — tu zdają się nasiąkać ekstazą ciszy, aby wybuchnąć miłością, silniejszą niż najtęższe miody.

— — — — — — — — — — — —

Pora jednak uchylić rąbka tajemnicy nad tymi mieszkańcami pustelni, którzy teraz wieczerzają. Spokojną ich rozmowę głuszą świerszcze — z za starych modrzewiowych, rozgrzanych przez całodzienne słońce belek — sykają i świegolą, jak gromada pijanych duszków nocy majowej.

Jakim sposobem przybyła aż na to uroczysko — piękna hetmanówna?

W bliskości Siedlisk, majątku hetmana Seweryna Rzewuskiego, mieszkał Szczerbina. Słynął jako znachor, był jednak tylko myślącym i miłującym przyrodę osadnikiem. Religją jego był obrót ziemi dokoła słońca, przemiana ziemi wiosną i zimą, punkty równonocne i elipsy. Pozatem jednak mocą swej pieśni starał się wpłynąć na lud rusiński w kierunku braterstwa z Polakami. I trzeba przyznać, że nie będąc szlachcicem, miał wielkie poważanie u szlachty polskiej, która wkrótce w sejmie przeprowadzi sprawę jego uszlachcenia. Szczerbina nie dba o tak zwany „klejnot", ale chce pomóc ludowi swemu i wzbudzić poważną obronę przed takimi pieczeniarzami królewskimi, jak wojewoda Stempkowski, przed takiemi pijawkami, jak hetman Rzewuski. Ten ostatni, mając za sobą sądy, liczące się z hetmańską godnością, wykorzystał spór o granicę i tak zatruł egzystencję Szczerbinie, że postanowił on wysiedlić się z Podlasia, gdzie mieszkał ze swą żoną.

Wita zachodziła lasami tajemnie do chaty Szczerbinów. Owej nocy pamiętnej, gdy miano ją wydać za niemieckiego awanturnika, zapaliła w sobie ostateczny zamiar ze-

rwania z kłamstwem i uciskiem. Tęskno i trudno jej było rozstawać się z matką i rodzeństwem.

Ale kiedy umarła stara Szczerbinowa i lirnik z córką chciał ruszyć w świat, wybrała się Wita wraz z pielgrzymką ludu, księży i pań nabożnych do klasztoru w Berdyczowie. Z klasztoru wymknęła się, dościgła Szczerbinę, czekającego na nią w bliskości i powędrowali wszyscy troje nad Dniepr. Wynaleźli opuszczoną pustelnię, wyporządzili ją, wynieśli gruz, motykami skopali pole, zasadzili kukurydzę, melony, uszlachetnili gatunki zdziczałe owocowych drzew.

Kupił Denys narzędzia rolnicze w odległym o wiorst kilkadziesiąt Kaniowie i założyli pasiekę.

Żyli tak rok trzeci, nie widując prawie obcych twarzy.

Zabłąkany konny mołojec raz zoczył czarnobrewą Kalinę, niosącą dzban wody z ruczaju na głowie. Rażony pięknością, zaprzysiągł jej miłość. Kiedy stanęli przed ukrytą pustelnią — i on zbyt natarczywie prosił o gościnę, wyszedł Szczerbina. Trzeba wyznać, że nietyle arcydzieło kunsztu płatnerskiego — samopał starego Denysa o dwunastu lufach — zwany 12 Apostołów — wzbudził posłuszeństwo i smętne pożegnanie z uroczą pustelnią — ile cicha obietnica Kaliny.

Znanym jej z dzieciństwa Łew Kozak. W tajemnicy przed Szczerbiną skopał ogródek w lesie i zasiał kwiatami. Ale musiał odjechać na służbę u xięcia Józefa, który nudził się w Kaniowie.

Były to czasy, gdy król Stanisław August, korzystając z podróży imperatorowej Katarzyny do Krymu i do świeżo zagospodarowanej Noworosji przez Patiomkina — oczekiwał w Kaniowie na spotkanie.

Podjął tę podróż kosztowną wielce i ze względu na porę wczesnej wiosny — niemiłą, oczekując wielkich politycznych korzyści. Tymczasem jednak Katarzyna wolała w Kijowie bawić się i oczekiwać ciepła, niż jechać na widzenie z królem. Lekceważenie oczywiste — kazać królowi wyczekiwać 6 tygodni w małem miasteczku zaledwie

o mil kilkanaście od Kijowa! Król wyjechał z Warszawy 23 lutego, przybył do Kaniowa 24 marca, Katarzyna zaś raczyła nadjechać na swych galarach 6 maja.

Tymczasem Xiążę Józef wysłany został naprzeciw imperatorowej do Kijowa. Od sunącego powoli pojazdu króla, który wszędzie musiał znosić po drodze nudny ceremonjał przyjęć i mów powitalnych, miło było Xięciu odłączyć się i jechać na własną rękę.

Już był maj.

Wielu krewkich magnatów też nie mogło usiedzieć na miejscu w Kijowie czy Kaniowie. Bezdrożami jeździli, polując na gatunek sarn, zwanych sumaki, na wielkie ptaki biegnące po ziemi — dropie, a gdzie dużo wód — tam na łabędzie, gęsi dzikie i kaczki. W bliskości siół nieraz polowali i na hoże krasawice...

Więc jeśli kniaź Patiomkin wolał wygodnie otaczać się serajem, to inni woleli jeszcze być jako Nomades: awanturniczy JPan hetman Branicki, sławny z przygód i kłamstw Xiążę de Nassau, rozpustny Xiążę Ludwik Wirtemberski, zuchwały cynik i wolterjanin biskup Kossakowski, ambasadorzy i rosyjscy generałowie, magnaci: graf Bezborodko, kniaź Bariatyński... Z nimi czereda służby — „officyerowie, adjutanci, paziowie".

Dwaj samotni jeźdźcy, młody podpułkownik austrjacki Xiążę Józef i jego druh, X. de Ligne, melancholizują, wspominając swe platoniczne miłości w Wiedniu. Natrafili raz na duże towarzystwo myśliwych, goniących sumaki. Xiążę Józef, mający pasję do polowań konnych, przyłączył się natychmiast.

Lepszą jednak zwierzynę, bo jelenia ogromnego wypłoszono — Xiążę wraz z kilkoma myśliwymi puścił się w pogoń. Jeleń przez lasy i jary biegł... Myśliwi uparli się zgonić... Psów mieli za mało, aby osaczyć... Gonitwa trwa już dwa dni — znaleźli się wkońcu, zamiast przy zabitym jeleniu, w nieodgadnionych co do kierunku i przestrzeni lasach.

KAPŁAŃSTWO W NEMI

Wita, której nietyle księżycowy róg Amaltei, ile duch rozogniony nie daje zasnąć, wstąpiła w bór.

Idzie ścieżkami leśnemi, strasząc węże zbudzone, które suną zwinnie niby strumyczki srebrne między trawą.

Puszcza pełna tego czaru, który nastaje po zachodzie słońca: bek jeleni spragnionych wody rozlega się ostrem, donośnem szczekaniem — stada biegną ku leśnym ruczajom, lub ku odległemu zaledwie o wiorstę Dnieprowi.

Milknie wszystko — naraz w ciszy głębokiej, podmorskiej, ponurym djablim głosem rozlega się hukanie puszczyka.

Wśród gęstwiny drzew niesłyszalnym lotem krąży, ogromnemi ślepiącemi latarniami fosforycznych źrenic wyszukuje drzemiące już stwory. Dziób haczykowaty, jak nos wiedźmy, wrzyna się w ciało ptaka lub wiewiórki, szpony straszliwe rozdzierają na dwie krwawe drgające połowy...

Wita, w rozmodleniu idąc, nawołuje duchów. Ciche marzenia krążą koło niej, rozjaśniając, jaką drogą potężnej przemiany świat zdoła wyjść z zamętu srogiej mordowni.

Witę gonią świetliczki, wzbijając się wysoko; niby morskie latarnie rzucają wokrąg migoty, a niepokaźni bezświetlni samcy dążą ku nim, brnąc przez zawady, wdrapując się na wysokie maszty badylów i krzów, na stopy i suknię zamyślonej Wity, by dosięgnąć jej świecących włosów!

Szła niby ów posąg w aureoli świecących lamp, myślami budując wielki świat ideału, nakazując mu królewską magją ducha: Wypełnij się!

Miękkie, delikatne puchy rozkwitłych drzew latają w powietrzu. Muśnięcia pieszczą jej twarz. W mroku su-

premację olbrzymów próbują zwalczyć małe zioła i krzewy. Zapach konwalij miesza się z wonią fiołków — razem, niby głosy dziecinne, toną w potężnym chórze smolnego aromatu jodeł i sosen, w marzącem ukojeniu brzóz, w silnem rozmiłowaniu macierzanki, w orzeźwiającym ostrym eterze mrowisk, jak upojenie miłością wśród krytycznej myśli.

Wita — upojona i aż nieprzytomna od dróg mistycznych księżyca, od rozmodlenia się duszy wśród najwyższych pragnień i głębokiej ekstazy!

Nie męczy już jej wspomnienie domu rodzinnego, myśli tylko jak uciszyć okrutną poswarę i wraźdę słowiańskich ludów, które nie umieją żyć zgodnie!...

Mrok rozjaśnia się. Wysokie wydmy. Wstąpiła na Dnieprową górę.

Lasy ciemne, nieprzejrzane. Zasłona mroczna chmur — niby kurtyna, za którą kryje się dziejowa Apokalipsa.

Urwisty brzeg zakręca, tworzy tu lustro olbrzymie, pełne wirów, drgających złowieszczo. Księżyc rzuca blask miedziany na rzekę, jednocześnie chmura zanurza swój cień. Węże błyskawic — jakby straszliwa orkiestra do niemej bez słów tragedji.

Na kurhanie bieleje szkielet wyschły jakiegoś zwierzęcia — może tur lub wielbłąd, z czasów gdy jeszcze za Bolesława Chrobrego szli tędy kupcy arabscy do Winety?... Szkielet tak ogromny, choć wpółzasypany ziemią — iż wygląda na gniazdo upiorów.

Przez Witę mówią błyskawice — lasy — i tajne milczenia.

— Jesteś, o Nieodgadniony! tchnienie twórcze posyłasz w me serce, abym czyniła i wypełniła wolę Twą — jako Ducha starszego, niźli krótkie me dni na ziemi!

Widzę w pustyni księżycowych gór siedzącą postać!... Mędrzec, olbrzym skrzydlaty — na zegarze astralnym wymierza los Polski.

Przy nim Zawisza Czarny, Kopernik, Stefan Batory, Czarniecki. Pytają groźnego Mędrca o to, co będzie wśród tysięcy możliwości?

Mroczny cień skrzydła osunął się na tarczę zegaru — duchy podniosły w przerażeniu ręce. Oto słyszę głos w niebiosach: kto weźmie na siebie ofiarę zupełnego światła?

Wity duch, w straszliwem uniesieniu, rzucił się od ziemi wzwyż.

— Jestem — woła donośnie, aż echo odbija się o brzeg urwiska.

Jestem — wiedzę mi dajcie wypełnień, bo nie zabraknie mi męstwa, ani poświęcenia!

— W tobie jestem! — ozwało się tak blisko, jak nic na świecie, i wstrząsnęła się od nadmiaru mocy! Czując, że umrze ze szczęścia, klęka. Łączy Kosmos z ziemią, nie odróżniając siebie od lasów, mroku i Ducha.

Tak bierze Komunję — bez symbolów, ale w istotności życia.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Wraca lasami do pustelni; głęboki, triumfalny śpiew wyrywa się jej z piersi.

Kogo nie przekona — nie porwie? — a z najlepszymi idąc — czyż nie zwycięży?

Nad brzegiem leśnego jaru nieprzejrzany mrok — zna te niebezpieczne, spadziste czeluście.

Wtem księżyc błysnął. Zaparskały konie.

Jeźdźcy wspinają się na brzeg jaru. Zmierzają ku niej, wołają zdala.

Wspaniałe stroje. Mowa polska wzbudza zaufanie, a nawet chęć pomówienia z nieznajomymi.

Ogarnia ją poczucie misji tak silne i pewne, że gotowa podejść do nich i nawrócić ku wielkiej sprawie.

Uczyni tak łatwo — jednem wytężeniem uczucia, jednem spokojnem wypowiedzeniem:

— Już przyszedł czas żniwa. Żeńcy, pójdźcie do pracy w królestwie życia, którem rządzi Duch.

— Jaki duch? zapytają.

Dotknie ręką każdego z nich i wstrząsną się — jak od błyskawicy, która działa wszak i na niewidomych!

Twarze ich można już rozejrzeć. Wpatruje się — jeden — zda się — to Cherubim z kaplicy — w burce, jak skrzydła płynącej!

Lecz inni krzyczą wesoło, twarze ich wzbudzają grozę i wstręt.

Czemu tak brutalnie gwałcą świętość milczeń leśnych, nie słuchając boskich wtajemniczeń nocy?

Głos intuicyjny każe jej uchodzić.

Zeszła w gąszcz jaru — z którego wydobyli się jeźdźcy przed chwilą z najwyższym trudem.

Zwarte, nieprzechodzone nigdy zarośla leszczyny osypały ją słodkim, duszącym pyłem żółtej okiści kwiatów. Giętkie, oplątane powojami brzosty nie chcą jej wypuścić ze swych tysiącznych ramion. Ale Wita silna, zręczna, umie szybko sunąć przez zagąszcza, jak łań leśna.

Usłyszała krzyki błagalne i pieszczotliwe wezwania:

— Ej, mołodycio, czarodijko! — Morgano, wieszczko dzikich pszczół! Krasawycio, hołubko! Sumaczko, dropiuchno, Feo leśna, mon trésor — i wiele innych brzmień, dających do zrozumienia, że tu niema Tatarów, jeno wytworni hołdownicy Piękna!

Wita biegnie dnem wąwozu, w którym na szczęście nie huczą już wiosenne wody. Ktoś poszczuł psy — jednocześnie gwałtowna sprzeczka, potem nawoływanie i gwizdawki.

Zdyszana biegnie. Zaszeleściły gałęzie, z gwałtownem ujadaniem wypadły na nią monstra. Mrok. Jeden porwał kraj sukni i targa. Paszcza zwierza zionie tuż przy jej twarzy. Żuzlami goreją ślepia. Ujadaniem nawołuje drugi, że zdobycz wzięta.

Wita zawołała na nich, przywykłszy łagodnie traktować zwierzęta. Warczą groźnie. Chce pogładzić — zębami chwycił rękę, wściekłe kły wbił w jej ciało. Wita nie jest Buddą, który pozwolił się zjeść tygrysom. Rozumie konieczność walki i w jednem mgnieniu sztylet rozpruł zwierza. Drugi, uderzony tylcem rękojeści między ślepia — odskoczył o kilka kroków, biegnie wślad i gwałtownie ujada.

Kiedy zbliżył się za bardzo, wydobyła pistolety podwójne, cacka zda się — nie dłuższe od swej dłoni.

Wymierzyła między żarzące się punkty. Huk jeden i zupełna cisza.

Wąwozem wspięła się na górę leśną — wdali od miejsc, gdzie mistycznie rozmyślała tak niedawno. Nad potokiem znajduje tylko mieszkańcom pustelni wiadomą kładkę. Skraca drogę przez uroczysko dębów na kurhanie — wreszcie z bijącem szalenie sercem dopada pustelni.

Nie śpi jeszcze Denys, a nawet niespokojny o panienkę, wybiegł na spotkanie.

Czujne jego ucho usłyszało krzyki obce, potem ujadanie psów — i huk wystrzału, przytłumiony w głębokim jarze.

Daremnie usiłuje rozwikłać głuche milczenie. Pożałował, iż nie trzyma psa, któryby mógł w mrokach odnaleźć Witę! Lękał się bowiem, by szczekaniem tu nie zwabiał ludzi.

Wbiegł na kurhan pobliski. Burza nadciąga, pioruny rzezają niebo posępną kirylicą. Zoczył jeźdźców, zmierzających do pustelni.

Zbiegł z szybkością najwyższą, u rozwarcia palisady widzi spokojną już Witę.

— Wysłańcy hetmana — mruknął, ściągając z ramienia swych strasznych Apostołów.

— To cudzoziemcy — uciekają przed burzą. Wspaniała Apokalipsa dzieje się na niebie. Trzeba im dać uchronę.

— A, pędziwiatry! Zdeptali mi łan świeżo zasianej kukurudzy. Czy to nie zbójcy?

— Mądrość i rycerstwo świeci mu z oczu!

— Komu?

Nie było czasu na odpowiedź.

Szczerbina zamknął wejście w palisadzie za Witą, sam ukrył się wśród grupy czarnoklonów, chcąc zmiarkować, kto są przybysze?

Nie byli bandytami, to pewna. Zbyt śmiało wyjechali

na miejsce rozświetlone. W gwałtownym galopie koni doskonałych, po strojach, błyskających tu i ówdzie diamentem, widać — że wielcy panowie. Jest ich czterech.

Najwięcej zaciekawia Szczerbinę prałat ogromny, kościsty, w jedwabnej, czarnej, krótkiej sutannie; szpadę ma przy boku, order na piersi.

Pod trójrogim kapeluszem — twarz lamparcia, czoło wysokie i przeszywające spojrzenie.

Prałat zaczął ostro dobijać się do palisady i woła:

— Hej, Xiężyny, wyłazić mi tu!

— Nie widzisz, mości biskupie inflancki, że tu pustelnia? — ozwał się młodzian w mundurze austrjackim, z burką.

— To też postąpię tu według obyczajów świątyni w Nemi — odrzekł prałat, mający widać rozległą erudycję.

— Nemi? piękne jezioro pod Rzymem — cóż ma wspólnego? — zapytał X. Józef, gdyż on był tym młodym pułkownikiem obcego autoramentu.

— Jezioro w kraterze wulkanu nazywało się zwierciadłem Diany. Nad jeziorem na spadzistości gór szumiał gaj prastarych platanów.

Rosło tam drzewo święte, którego strzegł z mieczem kapłan. Dzień i noc musiał strażować.

Oglądał się w niepokoju, gdyż był sam zabójcą i czekał zabójcy, który zajmie jego miejsce.

Takie było prawo świątyni. Czuwał sam jeden, latem skwarnem, czy mroźną zimą...

Gdy niepokój lub starość go osłabiły — wyrok na nim spełniał nowy morderca, stający się wraz kapłanem!

Z drzew świętych nie wolno było urwać żadnej gałązki.

Raz tylko — Złotą Gałąź — zerwał Eneasz na rozkaz Sybilli, mając zejść do Inferna.

Żyły tam larwy, bóstwa, wieszczka Egerja, Manje i ukrywający się kochanek Diany...

Do świątyni przychodziły kobiety, pragnące mieć dziecko, albo łatwy połóg.

W uroczystości dorocznej, w najgorętszej nocy lata roziskrzał się las mnóstwem pochodni, których czerwone jarzenia odbijały wodne głębie jeziora.

Zachował się ten dziwny obrządek jeszcze w chrześcijańskiej epoce Antoninów...

— — — — — — — — — — — — — — — —

— Te lasy nieprzebrane, pieczary... gdzie może odbywają się szczególne wtajemniczenia?...

Ta pustelnia nad jeziorem... Las gęsty, olbrzymi, idący aż do Dniepru... Mrok — księżyc — i burza, która nas ściga... Dziewicze bóstwo, którego strzeże tu napewno ktoś, aż go zabije — następca.

Oto rytuał straszliwy — który musi tu się spełnić — mruknął złowieszczo prałat.

— Nigdy nie pozwolę — zawołał z trwogą mimowolną xiążę.

— A to czemuż pozwalasz, mości Xiążę — aby w Rzeczypospolitej odbywało się takie misterjum? — zapytał z szatańskim uśmiechem prałat.

Partaque per gladios regna nocente manu...

„Rozdzielone królowanie jest przez miecz ręką szkodzącą"...

— Dokończmy erudycji — zawołał wysoki, chudy blondyn, w mundurze rosyjskiego majora: — zakrzyknijmy jako ów sternik dawny, jadący raz nocą koło wysp Echinadów: Wielki Paan umarł!

— *Ho megas Paan tethneke!* Wielka Pani Polska umrze! — syknął prałat... — I słyszycie lamenty?

— To żaby, mości biskupie Kossakowski — ośmielone ciszą, nabrały ferworu — jak Polska, kiedy jej nie huczą pioruny naszych trzech tysięcy armat...

— Tak, Wielka Pani Rzeczpospolita umrze — powtórzył z pobłyskiem jakiejś warjackiej radości prałat.

Czyż nie umierali bogowie? na wyspie Krecie zwie-

działem grób Zeusa, na Cyprze stallę Afrodyty, w Egipcie mauzoleum Ozyrysa, Izydy, Tyfona...

Ciała bogów zabalsamowano, cień ich melancholijny rządził na gwiazdach lub w Erebie. Zatem piszmy książki — to będzie władztwo w królestwie cieniów. Ja bo już piszę — komedję!...

— A gdy rozsypią się nawet mumje? I gdy czytać nie będą nawet twych komedyj? — zapytał Ferzen.

— Prędzej z Polski śladu nie zostanie — niż zaginie sława moich komedyjek!

— Czart! — wykrzyknął nagle głos w ciemności.

— Ha — czy to nie ty, kapłanie Nemi? z mieczem, a raczej samopałem?... Strzeż się — partaque per gladios regna nocente manu!...

— Z piekła chybaś tu zesłany — zawołał Szczerbina, porażony złowróżbną opowieścią prałata.

— Odgadłeś istotę rzeczy, zabobonniku!... więc uznajesz mnie, Xięcia kościoła — za czarta?

Już mi raz mistyk Grabianka mówił, że nie wydaję się zwykłym śmiertelnym; otacza mnie mroczna aura, cienie wloką się za mną ze wszystkich stron, nawet gdy pada na mnie blask księżyca!... Fosforyzują ślepia me nawet w mroku, że można czytać przy tych latarniach — same te oczy pono są dokumentami wilkołactwa i morderstw, jakich świat nie zna!... Hej, gadaj?! albo do djabła z twym sądem... deszcz już kropi. —

Zwrócił się do przyjaciół i rzekł cicho:

— Póki ten staruch trwa, nie weźmiemy dropki.

Szczerbina musiał usłyszeć, bo nieznacznie kurki odwiódł.

— Wpuść nas tam, staruszku — próbował ująć go prałat...

Szczerbina, milcząc, ukazał ręką na las.

Było to wymowne.

Jegomość bogato ubrany z naszytym herbem lwa wirtemberskiego na piersi podskoczył do palisady i wołał, kalecząc język:

— Rothkoepfchen otwira! — tszerwana kapturka, który stszyl i kluje moje dwa dog!

— Milczeć, ja rozpocznę pertraktacje, a w razie odmowy atak!

— Spełniajmy dalej zajęcie królów i pasterzy — zawołał czystą już francuszczyzną Wirtemberczyk — uwodźmy poddanki i owieczki.

— Mości biskupie i panowie! — zawołał pułkownik — nie wierzycie, że to klasztor? tam krzyż na kościele, a tu Matka Boska na wzgórzu.

— Jak? co mi xiążę bajesz! Wenera to, presumuję. Nie widzisz, jak ręką zakrywa łono!

— Bezwątpienia, posąg antyczny — ale jakże święty! stał się Bogarodzicą, trzyma Dzieciątko na ręce... — odparł młodzian.

— Jeśli masz rację, ja pierwszy was młokosów nauczę przyzwoitego szacunku wobec mej Monarchini. —

Prałat podszedł i uchylił trójrogiego kapelusza.

— Ave Maria, gratias plena — Dominus tecum — zaczął mruczeć gęstym basem, jak wielki trzmiel, kiedy wdrąża się w kwiat i rozrywa go, aby wydobyć kroplę nektaru.

— Farmazony, nie odmawiajcie tu pacierza — zawołał nagle — bo to jest poprostu bogini Żywja! zamiast krzyża trzyma runiczny znak —

Zagrzmiał straszliwy łoskot.

— Pioruny rozdzierają niebo!... Konie trwożą się, zerwą wędzidła.

— Święta Marjo Egipcjanko, patronko tej epoki, boś swem ciałem zarabiała na przewóz, pomóż nam — ślubuję ci mszę z ostentacją!

— Ja będę szukał bramy i w imieniu panów zaręczę słowem — zawołał xiążę Józef.

— Salwuj nas, bo to nie żarty moknąć — zawołał prałat i ukrył się wraz z innymi w cieniu lip, pod okapem kapliczki.

— Zanim z mniszkami zażyjem fortuny, na tej be-

czułce zagram w krwawe struny! — żartował, wydobywając pękatej manierki, przytroczonej u siodła.

Nalewał burgunda ciemnego, niby zgęstniała krew.

Szczerbina już chciał zaprosić do wnętrza pustelni, bo wytworny układ młodego pułkownika i zimne opanowanie Rosjanina dawały mu sprzymierzeńców do poskromienia w razie potrzeby tamtych dwóch awanturników.

Ale gdy zbliżył się niezauważony w gąszczu drzew — znów usłyszał coś, co go przejęło wstrętem do przyjęcia takich gości.

Aby się nie nudzić, prałat z xięciem Ludwikiem czytali. Lampki różnobarwne oświetliły tęczami niesłychanej sprośności drzeworyty.

— Ten zielony amsterdamski tomik zawiera środki rozbudzające lepiej, niż psalmy Dawida — mówił Wirtemberczyk biegłą francuszczyzną. Przygody cnotliwej Justysi... oto Liber Sapientiae, z której my, Salomoni tego wieku, zaczerpmy!...

Ze słodyczą i łzami kładzie się Justysia na rozerżniętem ciele swej matki, a pięciu bandytów... —

Tymczasem xiążę Józef coraz silniej uderzał rękojeścią szabli w palisadę.

Nikt nie odpowiada. Obchodził dokoła. Może intuicją wiedziony czuł spojrzenie dwojga gwiazd, które z za szpar wśród mroku podwórza patrzyły?

— Przednie — wołał biskup. — Oto skarb naszych bibljotek. Widziałem malowidła buduarów francuskich, rosyjskich i naszych.. Ale tu jeszcze silniejsze konkokcje!

Ten delikatek Pepi kołace, jak palcem w tabakierkę szklaną. Kłonicę mi dać, do stu piorunów! Gdzie nasze Kozaki — zarazbym kazał podsmalić!

Klasztor? — to mnie muszą przyjąć z otwartemi ramiony. — Jezu, co za pioruny... Zdobądźmy szturmem, nastaw mi pleców! —

Prałat, rozgrzany winem i lekturą, z rozmachem rzucił się ku palisadzie — gdy nagle, ściągnięty na ziemię — runął.

— Ba, a ty jak śmiesz? — zawołał na Denysa, który

celował z samopału. — Opuść tego spluwacza. Cały rząd tyłów piekielnych wygląda z tych rur.

Takiem nadzieniem chcesz napełnić biskupa — czyś mente captus? I co ty masz przeciw nam, farmazonie! Nie czcisz we mnie majestatu biskupa?

— Kiedyś tak zapanbrat z misterjami i umiesz kumkać wróżby, jak żaba, kiedy wypuszcza ze siebie ślizgi skrzek — to nie lękaj się, wielebny biskupie, ciemności ani wody — odrzekł tamten, wstrząśnięty bezwstydem xiędza.

— Chybaj precz, bo, jakem Kossakowski, zajadę tu z regimentem generała rosyjskiego — mego brata, i spalę was, jak susły w stodole.

— Akurat jesteś na celu mych Apostołów!

— Musisz być z nacji ludojadów, kiedy samopałem witasz infułę.

— Ukląkł pod kolan tu u mego Wirtemberga lew! — krzyknął Xiążę Ludwik, starając się być majestatycznym.

— Więc tu zbóje mieszkają? No, no, a wyglądałeś mi na szlachcica.

— Szlachcicem mi, kto szlachetny, a gardzę oszustwem pozorów!

— A, witam filozofa u dzikich.

— Dosyć tego. Ukażę wam pieczarę. Zrobię tam ogień. Proszę za mną. —

Szczerbina poszedł przodem, deszcz bębnił po drzewach — jeszcze nie przerwała ulewa ich gęstej zasłony.

— Ty, stary lisie — burknął prałat — ukrywasz pewno coś przedniego tam za palisadą, kiedy tak w pole wyprowadzasz... Non me inducas in tentationem... Gdzież pieczara? —

Uwagę Denysa zajęło co innego: ujrzał woddali, że rozchyliły się nieco belki przejściowe — w sam raz tyle, aby piękny pułkownik podskoczył tam i zaczął przemawiać do kogoś niewidzialnego.

W tej chwili uczuł wielki ból w piersi i pod łopatką. Poderwano mu nogi, zwalił się. Łapy żelazne wyrwały mu samopał, silne uderzenie w głowę ogłuszyło.

— Broń się, panienko! — zdążył krzyknąć, nim omdlał pod drugiem uderzeniem.

— Uspokój się, staruchu. Pax tibi, starcze! Myślałeś, że pieczary są dla biskupów? To nie czasy Nerona! —

Nadbiegł Xiążę Józef z wesołą wieścią.

— Gotowi nas mieszkańcy przyjąć, o ile stary Denys pozwoli. Honorem zaręczyłem, że nie użyjemy żadnych gwałtów.

— Hm, kiedy tak honorowo, to jeszcze może nakłonię starego, aby nie poszedł do Lali. Ukłucie szpadą nawylot, ale niema wewnętrznego ulania krwi.

Jestem medyk lepszy, niż konsekrator, za to ręczę. Weźcie go, chłopcy. Złożym go do tej pieczary, którą nam zalecał. —

Xiążę Józef przysiągł sobie z takimi kompanami już nie znać się od jutra.

Ponieśli rannego.

Prałat z własnej batystowej koszuli zrobił bandaż i owiązał ranę, przyłożywszy na nią balsam słynny z klasztoru Panien Sakramentek w Warszawie na Nowem Mieście, co nie obyło się bez monstrualnie nieprzyzwoitych aluzyj.

Xiążę zapowiedział, że wobec wypadku ze Szczerbiną niema mowy o wkroczeniu do klasztoru.

Rozdrażniony jego ton nie dopuszczał dyskusji.

W milczeniu już rozdmuchiwali ognisko.

Burza zawyła, szalejąc.

Potopy wód runęły.

MNISZKA I XIĄŻĘ

Wita, po odejściu xięcia, pewna, że Szczerbina nie odmówi gościny, poszła do wielkiej izby, rozesłała siano i makaty na podłodze. Nie chce budzić Kaliny.

Sama nakrywa obrusem stół, zastawia mleko, owoce smażone w miodzie i chleb...

Kandelabr ze świecami woskowemi domowej roboty rozświeca dość jasno.

Nasłuchuje — nikt nie nadchodzi. Wreszcie zlękła się już o Szczerbinę.

Wprawdzie wiedząc, że xiążę Poniatowski jest wraz z tamtymi, była logicznie upewniona, że nic złego stać się nie powinno.

A jednak wie, że coś złego już się stało!

Wita wyszła, okryta płaszczem. Ujrzała potłuczone lampki przy Matce Boskiej.

Błyskawica oświetliła jej plamę krwi!... Mrok... w dali ujrzała światełko w pieczarze. Niepokój jej przemienił się w grozę: który z nich zginął? Biegnie w mrok...

Nieszczęsny xiążę leży na burce i wzdycha, patrząc w ciemność, rozświetlaną ogniami elektryczności.

Kapitan Ferzen zasnął już mocnym, żołnierskim snem.

Pozostali dwaj sypią koncepty wyrafinowane.

Myśl xięcia biegnie ku Wicie, którą otoczył w wyobraźni swej polami kwitnących lilij.

Jest istotą, o której istnieniu dotąd marzył...

Porównywa się do wędrowca, który nocą, zabłąkany w zimowej zawierusze, słyszy głos najmilszy — i zapewnienie, że dom blisko.

A naraz — zawyje burza jeszcze straszliwsza — i nie sły-

chać już nikogo — i niewiadomo, czy wszystko nie stracone!...

Wita idzie. Pochylona ku ziemi, rączką zasłania światełko lampki jedynej, która w kaplicy od burzy nie zgasła. Rączka zda się różowym alabastrem urny świecącej w komnacie Izoldy.

— Jeśli umarł xiążę — myślała Wita — jakie anioły ukoją ten płacz, który mną wstrząśnie, ten wielki krzyk, który będzie zagłuszał pioruny, jeśli zechce wyrwać się z mej piersi. Kilka słów przemówiliśmy — błagał mię o modlitwę za konających, jeśli jestem naprawdę zakonnicą — lub o miłość bez dna i bez granic gwiezdnych — jeśli jestem wolną kobietą.

I rzekłam mu, że nie jestem zakonnicą.

...A teraz szukam na ziemi plam krwawych — utraconego na zawsze kochanka!... Kto wyrzekł to słowo? serce me zmartwiało, jakby trumna uderzyła w drzwi i huknął olbrzymi dzwon! —

Rozświetliła twarz, podniósłszy lampkę do góry.

Stał przed nią ten sam, tylko bledszy.

Widzi ją — ale podejść nie odważa się. Cóż jej rzecze?

— Małom nie umarła z trwogi. Ranionyś, xiążę?

Szukam waćpana i czekamy...

Był jak drzewo rażone piorunem szczęścia.

— Żyję, ale w obłędzie marzeń.

— Deszcz leje — spieszmy do refektarza. Ale skąd krew?

— Tu był stary człowiek.

— Boże mój, zabity?

— Raniony. Uspokój się, pani — odejdź stąd.

Ma dobrą opiekę. Zaręczam, za dni parę będzie chodził.

— Gdzie leży?

— W pieczarze.

— Idźmy. Trzeba go przenieść.

— Rannego niemożebne.

— A możebne było psami szczuć i tu napadać? —

Wita, jakby pożałowawszy słów szorstkich, dodała:

— To mój opiekun.

— Więc nie ojciec?

— Ojca nie znam. —

Szli w mroku, lampka zgasła.

Gdy Wita z xięciem wstąpiła do pieczary, prałat z xięciem Ludwikiem cięli w karty — faraonka.

Starzec leżał w kącie trupio-blady, zasłonięty od wiatru derą końską. Wita, nie mówiąc ani słowa, nachyla się nad nim. Przyłożyła delikatnie głowę do serca.

Nie może rozpoznać, czy bije.

Zwróciła się do xięcia Józefa:

— Ręczysz mi waćpan za jego życie?

— Nie jestem medyk — spytajmy imci biskupa, który jest świadomy ran. —

Wita spojrzała teraz dopiero na tamtych. Kossakowski wyprostowany z wzrokiem, jakim zdumiona pantera wpatruje się w wędrowca, który w nocy z pochodnią rozchyla jej komyszę... Wirtemberczyk, uznając, że nie wypada mu zmieniać pozycji dla kobiety niesalonowej lub może nie chcąc okazywać swej niekształtnej figury, leżał.

Kossakowski trącił go nogą.

— Wstań-że!

— Ta Justysia dla mnie! J'en raffole, ustąp ją! pięćdziesiąt nieoberżniętych dukatów! —

Kossakowski zrobił się straszny — twarz fioletowa bardziej, niż jego fiolety kościelne.

— Myślisz, że mnie każdym razem kupisz? Kanaljo!... — syknął.

Xiążę nie rozumiał, co zachodzi. Wirtemberczyk porwał się z ziemi.

— Odwołać — lub się bić!

— Bić się! — odrzekł z flegmą biskup.

— Ach wy, Polaken — Alleluja, noch a mal!...

Łysnęły szpady.

— Waćpanowie oszaleli? — cicho, prawie szeptem, rzekł xiążę — ale z taką grozą i oburzeniem, że tamci ostrza spuścili wdół.

— Pytam w imieniu tej damy, czy można rannego przenieść pod dach?

— Krew nagle rozerwie osłabione tkanki i umrze w mgnieniu. Pewne to, jak Amen. To przecież nie jest waćpani ojciec, abym musiał prosić wybaczenia? Zapewne sługa lub opiekun chwilowy — a i tak mi jest bardzo przykro. Wolałbym — wolałbym tej rany sam doznać — i takiego współczucia!...

Wita uklękła przy omdlałym. Ten jakby uczuł, że jest przed kim się użalić, zajęknął. Zwilżyła wodą z kruża chusteczkę swą, złożyła mu na rozbitem czole.

Jęczał chwilę i wzdychał niespokojnie, lecz ręce Wity, nieświadomie dla niej samej, udzielały prądu magnetycznego, uspokajały i niosły pomoc w regeneracji. Zasnął silnym kamiennym snem.

Tymczasem był ktoś, co szalał.

Nie xiążę, który wchłania ciche, głębokie szczęście rozpoczynającej się, a odwzajemnianej miłości.

Ale biskup. Ten człowiek, o naturze gwałtownej, ambitny, niepospolicie zdolny, bez odrobiny wiary, z wypalonem, jak stary piec, sumieniem — pożądał w głębi swego jestestwa miłości potężnej, któraby mogła zeń uczynić jeszcze świętego Augustyna!...

I teraz gotów jest naprawdę umrzeć, jeśliby Wita skinęła. Lecz wobec jej zimnej pogardy siadł z boku przy ogniu. Wtem xiążę Ludwik wspomniał, że ma gitarę przy swem siodle, bo chwilami na niej, według określenia biskupa: miauczał.

Biskup nie dopuścił go do tych marcowych przejawów. Wydarł mu z rąk elegancki, o długiej szyi śpiewny instrument, spoczywający zwykle w aksamitem wyłożonem pudle.

Miał sam talent muzyczny, grał pięknie na klawikordzie i na organach.

— Kiedy byłem jeszcze tylko Józefem Kossakowskim — zaczął — alumnem skromnym w Wilnie — nauczył mię stary Hiszpan abbé, nasz profesor, melodyj tamtejszych —

i wygrywałem nieraz pod oknami pięknych Wilnianek różne coplas del amor. — Niech waćpani nie lęka się, nie zaszkodzi to rannemu. —

Rzeczywiście grał cichutko, jak należało przy chorym, hamował wrzące uczucia w tonach ledwo dosłyszalnych.

Widząc, że nikt muzyce jego nie oponuje — zaśpiewał do wtóru mocniej — czystem brzmieniem:

— Goreję, płacząc bezustanku,
płacząc i gorejąc tak,
że nigdy słońce nie wschodzi w moim zamku,
w mroku nie zaśpiewa ptak!...

Wita zbyt wrażliwa, aby nie miała poświęcić nieco uwagi lawowym akordom!

— Mam uczynić obraz twej piękności,
z tysiącem wdzięków, z tysiącem łask?
powiem, co w mojem sercu gości
na widok twój: to brzask!

Twoje czoło, jak śnieżne gór wyżyny,
jak kararyjski marmur w arcydziele —
a moje serce pełne ciemnej winy —
jak podeptany grób w strasznym kościele!

Kto uczynił broń swą z twoich czarnych brwi —
tak przedziwnych — dla swego kołczanu?
bóg miłości — jedyny, którego ten czci —
co bez Biblji umiera, bez Koranu!

Jesteś panią wielmożną, samowładną
i w podziemiach srogich więzisz duchy —
tyś magnesem, co mój okręt wiedzie na dno —
tyś wieżycą, z której dla mnie — gra dzwon głuchy.

Chciałbym w jednem twórczem snowidzeniu
zawrzeć krasę beznadziejnych zórz!
lecz w Dantejskim palę się płomieniu —
przyjdź mię zbawić — lub me serce zburz! —

Wita pochyliła twarz swą tak nisko, że mogło się zdawać, iż — śni...

Nieświadoma podstępów piekła, bo znała tylko jego męczarnie — wstała nagle, podeszła do ponurego muzyka — i kładąc mu rękę na ramieniu, rzekła:

— Mości biskupie, widzę, że jest w waszej piersi dusza smętna i groźna w swym tragizmie — beznadziejnych zórz. Tę krzywdę, coście uczynili, tu wchodząc, tę krew przelaną niewinnie — ja wam przebaczam! —

Schylił głowę w niemej podzięce: naprawdę gotów był teraz we włosienicy u czyichś nóg — płakać.

Wita zaczęła rozmawiać z xięciem.

I wtedy — jedno wejrzenie prałata, rzucone na tych dwoje, wystarczyło, by zrozumiał, że on jest już numerem w loterji tej wylosowanym. Wściekłość go ogarnęła tak nagle, jak przedtem liryka i miłość.

Nie, on nie jest hołdownikiem beznadziejnych zórz!...

Zwrócił się z pogardliwym uśmiechem do łypiącego oczyma z senności towarzysza.

— Mości Ludwiku, chcesz leżeć dziś na materacu?

— Ba!

— W schludnem miejscu — obok ściany, gdzie śpią piękne mniszki? —

— Ale ba, ba! quelle tricherie!

— Trzeba, żebyś syczał i tarł kolano, ramiona — udawaj napad reumatyzmu.

— Ja wolę zapłacić...

— Możesz dostać tu zapłatę, ale w to miejsce, które jest przeznaczone specjalnie dla waszego wirtemberskiego tronu.

— Mów, gdzie ten materac, bo śpię.

— Więc bądź reumatykiem na małe pięć minut.

Xiążę Ludwik tak nagle wierzgnął nogami i tak czochrał ramiona o ścianę, że Wita i xiążę obejrzeli się zdziwieni.

— Tu ktoś kona — zawołała.

— Tu ktoś bzika dostał — rzekł flegmatycznie xiążę.

— Co ci to, mości xiążę wirtemberski? — zawołał głośno biskup.

— Zazdraszczam tego star klop — on penć minut klap, a ja cala noc klap —

— Mów po francusku, bo ze słów polskich robisz nam enemę; tu jest dama — nie jakaś ciemna mniszka.

— Eh bien — zazdroszczę temu staremu: jeśli umrze to w godzinę. Ja umierać będę przez noc całą na tej wilgoci — mam haniebny artretyzm. —

Wita zwróciła się do pułkownika.

— Niech wasza xiążęca mość zaprowadzi towarzyszów do pustelni. Tam wszystko przygotowane w refektarzu. Tylko proszę nie omylić się — zawołała nagle, jakby w złem przeczuciu. Refektarz poznać można po wejściu z gankiem.

— A jeśliby zmylić?— zapytał biskup tonem niewinnego turysty w małem miasteczku.

Wita zmarszczyła brwi.

— To może zmartwychwstać Szczerbina, albo który z jego 12 Apostołów!

— O niech śpią biedactwa, niech śpią niebożęta... Przyjmuję skwapliwie propozycję waszmościanki. Deux pauvres malades se mettent aux pieds de votre Beauté glaciale avec la plus sensible reconnaissance! — zakończył dworsko biskup, zmierzając za obu xiążętami do wyjścia.

— Ale może do zobaczenia? — zagadnął jeszcze. — Waćpani zdaje się lubisz muzykę — moglibyśmy razem iść na chór — i zagrałbym —

Nagle poczuł, że go ktoś bierze pod rękę i ściska jak żelazo w śrubsztaku.

— Mój biskupie, czas mój jest drogi — rzekł ostro xiążę Józef — zanim biskup zagrasz co chóralnego, moje pistolety są do jego usług.

— Tiens! jak ta młodzież dzisiejsza niecierpliwa — wrazby się brała do cudzych łbów, zanim do własnych nalała choćby politury! A więc do niezobaczenia, piękna wieszczko, skoro domniemany następca tronu w Łazienkach tego zabrania! —

Xiążę Ludwik mało rozumiał z tej konwersacji, ale wyczuł z tonu biskupa, że jest pobity. Tem śmielej zapragnął

spróbować sam szczęścia — i zrobiwszy minę żałobną — usta wygiąwszy nadół — niby kochanek, którego miłość mdli — ujął inkrustowaną koralami poufnicę tęsknot i —

I Wita mimowoli chwyciła się za okolice węzłów sympatycznych, wybuchłaby śmiechem, gdyby nie powaga sytuacji...

Xiążę Ludwik wziął to za doskonałą monetę.

Kiedym uczniem był w Getyndze,
paliłem fajkę, leżąc nawznak —
czy sam? czy sam? nie powiem wam nijak.

Ale maturę dostałem — zgadnijcie gdzie? w Tubindze —
tam z Elzą poznałem wszystkie Concjunctivy —
Infinitiv cum Accusativ... i byłem szczęśliwy!...

— Pani, — rzekł z najpiękniejszym uśmiechem — nie dziw się, że cię te wiersze przejmują. Ja jestem ich ojcem, a genjalny król Fryderyk ich ojcem chrzestnym — bo je poprawiał! —

Otulając się szczelnie burkami, wyszli.

Wita została sama.

Zaczęła szukać paliwa — zapas, tu zebrany zdawna, jest na wyczerpaniu.

Dorzucała więc tylko po gałązce — aby jeno ogień tlał.

Ziębła. Był to raczej mróz moralny, niż ciała... Tak jej tęskno...

Wszedł xiążę. Zrzucił płaszcz i otulił Witę.

— Mój złoty aniele — nie mogę mówić o niczem — tylko o tem, że umieram od twego pocisku i zmartwychwstaję taki, jakim nie byłem nigdy. Zda mi się, że ty jesteś wieszczka Morgana, a ja błędny rycerz, zabłąkany krzyżowiec...

— Idź waćpan — jestem sama, mego honoru niema kto bronić.

— Twego honoru, królewno? Honoru twego, mój księżycowy śnie? Kraina cała mej duszy legła u twych stóp — a ty się lękasz? —

Wita zachmurzyła się. Wszystko to, czy nie za wielkie — za nagłe — i aż za straszne w swem wniebowzięciu — w locie nad ziemią? — Tak się lata tylko we śnie — rzekła — a zbudzenie? Świat jest przewrotny, lękam się, żebyś xiążę nie był takim.

— Lękam się wobec tego i ja spojrzeć w swą duszę. Jestem bezwątpienia zbłąkany w mroku. Ale ty bądź moją pochodnią. Jakie masz imię, wieszczko?

— Witosława.

— Nie chcę mówić do ciebie — jak wszyscy. Nie chcę sławy. Chcę — Życia! Wita... Vita Nuova mej duszy... Serce me zmienia się w drogocenną czarę ze szmaragdu, na której ty wyryłaś swe imię pochodnią Persefony. Lecz to nie są mity! Jesteś rzeczywistą. Jesteś? Powiedz mi to, bo inaczej umrę.

— Nie bij tak silnie słowami w me serce, bo nie wiedziałam, iż jest ono pod cienką zmarzniętą skorupą.

— A pod nią — wulkany?

— To niełądnie wymuszać cudzą tajemnicę. —

Xiążę stał, jak przed ostatnim ciosem.

— Wierzysz mi?

— Całą duszą.

— Kocham, a ty?

— Nie mogę!... Oddałam się Bogu. —

Lodowaty mrok objął go śmiertelną obręczą.

Przeczuwając, że miłość zabijać może, uczuła się nagle ogromnie winną — i rękę jego przycisnęła do swej piersi.

Czuł bijące serce — misterjum olbrzymie, jak chóry aniołów.

— Może ty jesteś świętą? Może jak Lydwina wzięłaś na siebie wszystkie męczarnie świata, który jest niewart poświęceń? — Twych rąk nie śmiem dotykać, bo mi się zdaje, że one były na krzyżu!

— Nie mów bluźnierczo. Wszak słyszysz, czem bije me serce? —

Włosy Wity, twarz jej nachylała się ku niemu, jak blady księżyc, zachodzący w górach — tylko chwilę dzieli jeszcze

drobna przestrzeń błękitu — aż oto są już jednem: góry — księżyc — miłość — życie — usta — i sen. Zniknęła materjalność, całowały się już ich dusze.

Xiążę dotknął posągowej ręki, z której wszystka krew odpłynęła.

— Jestem posłusznicą, choć nie złożyłam ślubów — i nigdy nie złożę.

— Wito, Bóg nie jest w męce wyrzeczeń. Minął sens klasztorów niepowrotnie.

Zato jeśli chcesz — ukażę ci nową formę zakonu i twórczej religji. —

Xiążę podszedł do konia, który drzemał, zwiesiwszy głowę. Wyjął z torby podróżnej przy olstrach książeczkę oprawną w skórę.

Wydane to w Jeruzalem trzynaście lat temu — MDCCLXXIV.

„Prawdziwy Różo-Krzyż".

Tłumaczone z angielskiego na język francuski.

Zaczął czytać.

— Zamordowany jest Wielki Człowiek. Był to nasz towarzysz i nasz druh.

Połączmy wysiłki, aby odkryć mordercę. Niech doświadczy, na co zasłużył.

Wszyscy bracia biorą szpady do rąk i mówią N. N. M. — co oznacza zemstę.

Brat starszy rozbraja posłusznego.

Brat wtajemniczony prowadzi go aż do tronu.

Wszyscy odbudowują świątynię na ziemi, podobnie jak niegdyś Cyrus pozwolił odbudować żydom ich ojczyznę i świątynię. Budowali z mieczem w jednej ręce, a z kielnią w drugiej.

Na kopule świątyni Chwała Wielkiego Budownika w postaci obłoku. Z tego zaś wyleci Orzeł — który zawoła całemu światu: wróć jeńcom wolność...

Wita wyciągnęła rękę po książeczkę, a wzrok jej z zachwytem śledził przepowiednię...

— Więc to już jest na świecie, o czem ja tu marzyłam?

Różo-Krzyż... jak to upaja... Brat mocny... Brat wtajemniczony...

A my jesteśmy?

— Wybieraj.

— Tyś brat Mocny.

— A tyś Wtajemniczony!...

— Mówmy o naszem bezgranicznem szczęściu. Miłujemy się, prawda?

— Moje serce bije tak gwałtownie, że mi wstyd, iż po nocy ktoś we mnie tak się dobija.

— Serce me wybiega na spotkanie Oceanu.

I ja dotąd — nie znałem miłości... —

Xiążę był, jak w magnetycznym śnie.

— Most iskier przebiega nasze nieświadome jestestwa, a ty tęczowemi kwiatami zasiewasz moje czarne otchłanie! Nie odchodź, Wito. Jeśli masz rany, one staną się teraz różami. Stoję wśród ogrodu różanego twych ran. Mam łez pełno...

W otchłani napełnionej mrokiem przyszłości wiodą schody wzwyż. Wiesz dokąd?

— Na Golgotę.

— Serce me! nie znasz Danta? wiodą do Złotego Przybytku, gdzie ty jesteś — Domina Aurea!

Stali tak zdala od siebie. W ciemnościach pełga zarzewie ognia.

Wyciągają ręce ku sobie, jakby ich oddzielała istotnie otchłań.

Wita krzyknęła — zda się jej, że blada twarz z mroku wygląda — hetmana Rzewuskiego.

Gwałtownie objęła kochanka, usta zimne zapadły na jego usta — niby ptak Feniks na gniazdo z rozżarzonych gorejących rubinów.

Misterjum pierwszego pocałunku. Mrok wypowiedział im naraz: Przeznaczeni! Zaczęli wpatrywać się, uśmiechać się i milczeć tajemniczo — trzymali swe ręce.

Wobec burzy wyjącej — i wobec tych śpiących zdrożonych zwierząt — wobec ognia i wobec walczącego ze śmiercią nieprzytomnego starca, wobec triumfu życiowego

xięcia — i wobec poniewierki Wygnanki, ubogiej, jak żebraczy Kopciuszek, ściganej — jak zbrodniarka — Życie jawi się jako misterjum — zejście w labirynt Minotaura — przez Miłość — ku Zwycięstwu!...

Xiążę nagle osunął się.

— Nie mogę udźwignąć nadmiaru lazurowej otchłani... Tak raz na morzu omal nie utonąłem z zachwytu, gdym płynął w lazurowych roztopach... Wszakże to już jest wy pełnienie z Danta!

— Więc muszą być i bramy Inferna!

— Widziałem cię niegdyś w widzeniu wewnętrznem. Właśnie ukończyłem Hamleta, a mój przyjaciel de Ligne grał mi symfonję. Wypadła mi książka z ręki.

Ujrzałem kurhany — mrok straszliwy — zwolna wschodzi księżyc. — Mrok zmieniał się w filary świątyń, a księżyc w kryształ czyjegoś serca. Nagle ujrzałem wyraźnie ciebie. I dlatego mówię, jakbym cię znał wiecznie już.

— Otwórz mi swe serce, a będzie to mój raj. Więcej kochają cię kwiaty czy kurhany? Jutrzenka czy upiory podksiężycowe? Mówiły mi o tobie strumienie wiosenne, dzwoniąc jeszcze głucho pod śniegami! —

Wita zwierza mu teraz już nie serce swe, o którem cóż miała rzec więcej? ale bieg swego życia.

— Prawdę ducha mego odgadłeś. Ale niema w Polsce nikogo tak biednego, jak ja — i nikogo może tak bezgranicznie szczęśliwego!

Dzieciństwo me w zamku ogromnym. Pomnę jak przez sen góry, Dunajec, zamek Czorsztyn... Ale o tem zabronił Hetman mówić... Więc nie wiem nic. Domyślam się tylko, że mieszkał tam mój ojciec — współdziałając z konfederatami, wyjechał na Spiż. Tam schował mię maleńką przed wojskami Rosji i Branickiego. Ale krótko zbierałam kwiaty — pewnej nocy ostrzeżono nas. Na koniu w zawiei zimowej wiózł mię górami i dolinami Tatr. Uciekaliśmy przed żołnierzami Austrji. I nie wiem dlaczego — nigdy do mnie słowa nie wymówił... Miał tylko jedną rękę — mimo to był piękny — młody — wspaniały.

Jechałam z matką w karecie przez Czechy — w Prusach pochwycono nas. Uwięziono. I wreszcie oddano hetmanowi Rzewuskiemu. Ten w swych dobrach uwięził mnie. Własne dzieci również. Mieszkaniem naszem była komnata zakratowana bez wyjścia. — Trzymał nas tak miesiącami całemi w zaduchu okropnym, nie pozwalając okien otwierać... Dawał nam wolność, choć otaczał szpiegami, tylko wtedy, gdy ulegaliśmy jego warjacji, pedanterji i łamaniu dusz...

Inkwizytor ten łączy w sobie megalomanję, przebiegłość i szeroką, choć bezładną wiedzę. Obok matematyki — kabalistyka, nauki polityczne, encyklopedja, kantyczki, traktaty teologiczne, słowem — obok kruchty — Wolter...

Przyjaźni się z wyrafinowanym oszustem, hrabią de Fenix, mówiąc poprostu — ze stręczycielem i magikiem, eskamotującym dukaty — Józefem Balsamo. Intryguje przeciw Polsce. Jest za liberum veto i uważa się za obrońcę jedynego niepodległego ducha — a jeździ po obcych dworach. Ojczym — bo nigdy go inaczej nie nazwę — chciał wydać mię zamąż... Znalazłam wolność w rodzinie kozaczej. Denys, to mędrzec, kapłan przyrody... On mi odkrył wielkie cuda ekliptyki ziemnej, on mię nauczył widzieć święte przemiany roku.

Teraz mam przed sobą dwa cele: wyzwolić przybraną matkę i rodzeństwo. A drugi — stokroć potężniejszy — to znaleźć wodza, który stanie, jak Samson, pod walącem się sklepieniem Polski.

Żyję w olbrzymim krzyku mego serca, które słyszy, iż nowe żałobne dzwony rozkołysują się nad krajem — nowe rozbiory, straszne Consummatum. Jesteśmy poświęceni na Ofiarę Wieczorną — dziejom świata. —

— Zbyt melancholijnie spoglądasz: naród dużemi krokami idzie ku oświacie. Szkoły pijarskie, szkoły podchorążych, działalność generała Komarzewskiego — tak znakomitego instruktora! Tysiące doskonałych urzędników, którzy poprawiają administrację. Wprawdzie dwory obce

oplątują nas — wichrzą i wpływają na głupich albo przewrotnych magnatów!...

Życie u nas trudne, ale przecie można znaleźć szczęście. I co więcej, myślę, że mamy obowiązek być szczęśliwymi. Wtedy tylko jest moc i harmonja, wtedy możemy promieniować rzeczywistemi potęgami słońca — nie w wyrzeczeniu, lecz w Ofierze Wieczornej naszych miłujących serc. — Tyś moja! —

Xiążę, jak wicher, objął ją. Teraz dopiero pojmował, jak szalenie jej upragnął.

— Bracie Mocny — zostaw mnie czystą dla wtajemniczeń. Musi być wszakże ktoś w Polsce, kto słucha wyraźnie głosów Ducha w Kosmosie.

— Ale dlaczego właśnie ty?

— Czy istotnie wolałbyś, żebym nie ja? —

Zamilknął. Świętość jej onieśmielała go. Żeby ją przekonać, musiałby rzec jedno: Boga niema. A tego nie odważał się — i zresztą sam zachował jakąś ciemną wiarę wśród Wieku Oświecenia.

Wita powiodła go przed jaskinię. Było przedziwnie. Stali, jak w zaczarowaniu. Burza ustała. Wśród przelatujących Lewjatanów — chmur błysnął cichy wróż nocy.

— Księżyc przez drzewa świeci, jak w grobowcu lampa — rzekła w zamyśleniu. — Niepokalany i straszny, jak hostja. Posuwa się cicho — Mag Biały nad wielką lazurową otchłanią — bez dna — tęsknoty.

— Więc i ty tęsknisz?

— Idź już!...

— Zostanę. Trzeba mężczyzny, aby przenieść Denysa na łoże wygodniejsze, gdy zbudzi się. Ty idź do swej komnaty, Wito. Masz pistolety? Rano się zobaczymy. Ale zaiste odejdź — bo wnet może będę żałował, iż uległem twoim ślubom — twej mistyce!...

— Pocałuj mnie. Jeszcze jestem twoją Witą. Jutro nie będzie mnie już: rozpłynę się w Najgłębszym. W modlitwie spędzę noc, mogąc już ofiarować Bogu rzecz tak olbrzymią — to moje obecne szczęście! —

Wita zniknęła wśród drzew.

Chciał zaprzeczyć, było mu boleśnie zgodzić się z nią — wszakże idzie o tragedję jego całego życia!

Ale wyczuwał w jej błędzie jakiś akord spiżowy, którego tak Polsce brak!...

Xiążę poprawił wezgłowie rannemu.

Czas mu zbyt drogocenny, aby mógł zużyć na coś innego, niż myślenie o szczęściu.

Zapada w głębszą wciąż zadumę; leżąc na burce rozesłanej — ma chwilę dziwnego przejaśnienia: ujrzał naraz cud życia wewnętrznego; wiara w życie wyższe przebija go, jak miecz. Leży — niby Epaminondas z tym wielkim mieczem wiary w piersiach; wie, że jeśli miecz wyjmie, szybko zaleje krew jego wnętrza i zejdzie w mrok straszny Niewiadomego. Uczuł dokonywanie zjaw duchowych — każde uczucie, każda myśl naradza się w genjalnej postaci. Stał się uczestnikiem kolosalnego misterjum: wnętrza dziejów.

I tu wykwitł wspaniały lotus, któremu imię Wita.

Tęskni za nią, szepce do niewidzialnej, a urzeczywistnionej — tysiące słów pieszczotliwych, o które nigdy nie mógł się podejrzewać. Uważał się bowiem za nieczułego.

Niestety! człowiek nie jest księżycem — Białym Magiem nad otchłaniami!

Jakkolwiek czyste i święte Magnificat śpiewa jego serce, płynąc w lazurowem morzu miłości, wiary i nadziei, zmysłowy jego człowiek pędzi na kataraktach purpurowych krwi!

Dopóki Wita była przy nim — żądze zdały się nie istnieć, były tylko głębiny i klucze głębin. Czemu jej nie ubłagał, żeby zasnęła z nim w jednej komnacie, aby mógł całować jej włosy i ręce — bez których żyć nie potrafi? Miecz mógłby ich rozdzielać, dopókiby chciała.

Zerwał się i nasłuchiwał.

— Jestem szalony czy głupi, dając tym bezecnym niweczyć aurę pustelni! teraz każda chwila zda mi się

kąsaniem przez węże, zda się utrapieniem plagi egipskiej!...

Z burzy, która minęła, cała elektryczność weszła w me ciało. Palę się żywcem, goreję, jakbym wypił trucizny papieskiej.

Cisza? czemu nie wystrzeliła na alarm? czyżby ją zakneblowali? —

Zegarek mały, kulisty, który nosił przy bransoletce złotej na ręce, zamiast na piersi, jak owoczesne pektoraliki — wykazał równo północ.

— Gdybym miał z kim zostawić chorego! Ale pragnie co chwila pić... Wita pośród tych łotrów!... Jeżdżą po kraju — obcy mu zupełnie. Cóż oni wiedzą — cóż oni czują? zimne gady. Król proteguje, kazał mi przyjaźnić się — ale są granice posłuszeństwa nawet względem króla! —

UPIORY NOCNE

W zagąszczu leśnym przemyka ostrożnie ktoś: Kozak przyboczny xięcia Józefa.

Za plecami janczarka i puzdro, gdzie xiążę chował przybory do pisania. Kręci się już oddawna koło palisady, chcąc koniecznie dojść do ukochanej Kałyny. Widząc konie przytroczone u drzew i samotnego xięcia, zaklął z niezadowoleniem.

— A, odnaleźli — takie syny! traścia ich mamu. Najgorszy prałat. Ba, nocują w klasztorze!! Denys ranny... nie ma kto bronić.

Mój xiążę w księżyc patrzy. Ja był dotąd taki sam. Nadaremno wzdycham już do Miesiąca — od miesiąca.

Kluczyłem tu dnie i noce, uzyskując od Kałyny przyrzeczenie — że gdy wrócę w maju... Akurat jest maj. Ale mi jej nie weźmie nikt! —

I znowu pił — aż manierka pusta. Z mroków błysnęły żółte wilcze ślepia. — Masz kancelarję polową xięcia? Podrób list, że król wzywa.

— Ty kto? — krzyknął przerażony Kozak.

— Mowczi. Wspomianuj baćka Chmiela! Terpy Kozacze, atamanom budziesz. — Kozak szedł, zataczając się — a ktoś tajemniczy za nim. Błyskawica mignęła. Kozak się cofnął — tamten wyrwał mu szkatułę, pisał i pieczętował. Mara to — człowiek — czy pijacze rozdwojenie własnej osobowości?

Łew, otrzymawszy list, nie obejrzał się już na obcego, który śmiał się cicho i ostro.

Kozak na konia wskoczył, dał mu bizunem, że ten przez krzaki szył, jak wściekły. Na rozhukanym, galopującym koniu przy jaskini zeskoczył i biegł do xięcia.

Ujrzawszy go, naraz wytrzeźwiał. Strach go obleciał, jak nigdy w życiu. Gdyby miał xiążę głowę mu ściąć, nie byłoby tak straszno — jak spełnić rzecz mierzłą.

Ale już cofać się nie było możliwem.

— Łew! niebo mi cię zsyła. Zostań tu przy rannym. Muszę na chwilę wejść tam do klasztoru.

— Jasny panie, tam śmierć: zaklęte miejsce! Jawi się panna urodziwa — upyr! Kto się tam dostanie — tego zadusi.

— Bogdajby tak się stało z prałatem i Niemcem!...

— Miłościwy panie, ja odgadnę mym ciemnym umysłem: chcesz frantów przepędzić? jam gotów — ty nie narażaj się!...

— Zostań tu, aż nie wrócę. —

Łew schylił się nisko, pewno aby ukryć wściekłość, która go zalewała.

— Miłościwy król rozkazał szukać was, mówiąc, że Ojczyzna w niebezpieczeństwie.

— Bredzisz, wszak to zjazd przyjazny!

— Magnaci polscy biją się z rosyjskimi generałami. Imperatorowa obrażona — tak gadają, ja nie wiem.

— Królby napisał, nie zdając tobie na ustne mielenie.

— List!

— Czemu nie natychmiast?

— Uląkłem się, że xiążę pan idzie w zaczarowane miejsce. —

Xiążę rzucił okiem na pieczęć i, ujrzawszy, że jest herb Ciołek, szybko zaczął list przeglądać.

— Patria in detrimentu. Rozkazuję spieszyć co koń wyskoczy — dobro naszej Ojczyzny w twym ręku!...

— Słuchaj — kto to pisał?

— Nieznany mi pan. Król ledwo skoczył do karety, kancelarja się rozbiegła, bębny bębnią, armaty walą. Król nawet ranny. — Pisz, taki synu, prawi. Więc pisał. Potem Najjaśniejszy pieczęć przyłożył.

Xiążę czyta dalej:

— „Na masońskiem zebraniu Imperatorowa — król to mówi, stryj błaga, a mistrz Różanego Krzyża nakazuje". — Tak, to styl króla, zawsze patetyczny. Ale tam niema słowa o walce między magnatami i generałami?

— Jasny xiążę, spiesz — lub ja szyją przypłacę. Tak rzekłem do króla: Jasny nasz bohater obroni kraj zaraz, albo ja przyjdę złożyć głowę pod magdeburski miecz.

— Okiełzaj mi konia.

— A jeśli te franty napadną piękną panią, co tam mieszka?

— Milcz! —

Xiążę uczuł, że go ogarnia szaleństwo.

— Tam, za palisadą na podwórzu zaczaj się. Gdybyś usłyszał krzyk — biegnij na ratunek i wyzwij w mem imieniu na plac boju prałata i tamtego Niemca. Niech mi się stawią natychmiast w Kaniowie na pistolety lub na armaty!

— Aby tylko na śmierć! — rozumiem. Ale czy powierzą — bo i jasny pan wątpił?

— Masz pióro, inkaust, papier?

— Nie, miłościwy xiążę — zostawiłem przy karecie. Ośmielam się poradzić: racz mi udzielić munduru — ja pójdę — i wypłazuję im plecy niby waszą ręką.

A mam niezgorszą — podkowy rwę na dwoje.

Po nocy któż rozpozna? Tu mi wiadomy każdy zakątek. Szczerbina chce mnie za swego zięcia. Ma chatę stąd o werstwę... o tam, za jarem. Kocham Kałynę — tak nazywa się, czarnocha, brwi ma krucze. —

— Więc niech ci zakwitną Kaliny szczęścia, jak mnie smutek i zgryzota. Zawierzam ci mój los, Kozacze. Nie splam lichym postępkiem. Weź ten mundur i czako. Mam w trokach inny strój na zmianę. Gdy coś podejrzanego usłyszysz, jako mój sobowtór ich wypłazuj. Krzyknij na zakończenie: w Kaniowie pojedynek!

Uciekną narazie, ale tam mi się stawią. Chorego Denysa nie opuść — opiekuj się.

— Jak rodzonym ojcem! —

Xiążę otulił się burką, zimny wiatr stepowy przewiał jego jedwabną koszulę i letni mundur. Wskoczył na konia — ostrogami spiął tak, że nawykłe do łagodności zwierzę śmignęło szczupakiem w gęstwiny i wysoką po pierś trawę.

Łew schmurniał. Wąs cienki pokręca, łzy mu cieką. Zaplątał go bez wyjścia ten mroczny djabeł... Teraz jeno uciec na Czarnomorze. Do Siczy nie wezmą z kochanycią!

Zostać tu — xiążę wróci i w łeb strzeli! — Kozak rozmyśla, wreszcie zdecydował.

— Niema tu zatrzymania. Teraz lub nigdy owładnę córą srogiego Szczerbiny.

Na! pij, Batku. Ani mrugnie... Umarł. —

Ława obleciał strach.

— Batko moj... taj znał ja go z lat dawnych, jeszcze w Stawiszczach rwaliśmy z Kałyną podrostkami groch zielony z pańskiego ogrodu. Śpij, batku, a ty mnie, czorcie — wiedź! —

Łew podszedł do konia, wyjął z tulei długą pikę. Wdział mundur, nacisnął czako. Wyższy o głowę od xięcia, teraz stał się doń podobny.

Ku palisadzie rozpędził się i, podbiegając, susa olbrzymiego dał wgórę. Nie udało się prałatowi, nie zrobił i Łew. Palisada ma trzy sążnie. Pomogła mu jednakże spisa i koń. Stanął na siodle. Spisę wparł w tuleję. Postawił prostopadle przy palisadzie, wciągnął się na nią, jeszcze łokieć bierwion — zaczepił końcem ręki. W moment już na szczycie. Konia odpędził lancą. Księżyc — kościół — domki. Ba — idzie tam Wirtemberczyk. Nie widzi...

Skoczył głucho na miękką, wiosenną ziemię.

— — — — — — — — — — — —

Zostawmy go własnej przedsiębiorczości, która niezawsze idzie w zgodzie z Volumina legum.

Tymczasem xiążę pędzi wśród huraganu rozpoczynającej się teraz naprawdę — burzy. Wicher kruszy wierz-

chołki dębów, liśćmi trzęsie, jak zbitą kurniawą nieprzeliczonych potępieńców.

Natura miewa czasem pendzel Goyi i wyobraźnię chińskiego djabła: w kolosalnym, czarnym kraterze chmur utworzył się wgórze modry lej, przez który miga księżyc.

Mroczny wulkan — wdole kłębi lawa błyskawic. Tak mroczny i gigantyczny ten Wezuwjusz, że xięcia obleciał raz pierwszy w życiu — strach.

Jakiż ratunek przed piorunów nawałą w kotle wiedźm? Z kurhanów zlatują kłęby rozmiotanych liści — wirują — pędzą tabuny wilkołaków. Na grzbiet im wskakują białe opary — wiedźmeczki o małpich ruchach, z twarzami anhelic.

Koń dyszy ciężko.

Zarżał raz i drugi przeciągle, boleśnie.

Uczuł śmierć, która wyziera z modrego krateru, gdzie już księżyc zniknął. Głuchy zawarczał grzmot, jakby olbrzymiej bitwy, toczącej się dokoła.

Huk — piorun o kilka sążni wrył się fontanną ognia — w drzewo. Koń runął.

Ze zręcznością niesłychaną zeskoczył xiążę wprzód, nim koń dotknął ziemi.

Zeskakując, uronił list króla. Podnosząc go z ziemi, spojrzał. Mignęła błyskawica — i nagle na herbie zamiast cyfry sakramentalnej S. A. R. Stanislaus Augustus Rex — ujrzał tylko skromne X. J. P. swego nazwiska.

Zawrzał. W czyim ręku frygą? juści, że Kozak był narzędziem.

Przyszedł mu na myśl prałat. Ale znał jego pismo. Może Ferzen?

Xiążę skoczył na konia i gnał zpowrotem.

Widowisko burzy staje się infernalnie piękne: wśród zwału mroków jedna pieczara ciągłego ognia! tam afrykańskie tańce błyskawic — tam dzikie sabaty wiedźm, hurys i bajader.

Już jest zpowrotem.

Wstrzymał konia i wszedł do schroniska.

Ogień przygasa. Kozaka niema.

Żagiew rozdmuchał — Denys majaczy nieprzytomny.

Nikogo przy nim. I Ferzen wyszedł. Rozgląda xiążę. Brak sitka na pszczoły i zasłony, którą miał Denys od wiatru. Zostawił mu xiążę własną burkę.

Intuicja szepce mu, że teraz musi być gotów nie do przygód donżuańskich, ale stać się obrońcą. Dwa pale ruchome w palisadzie zna tylko on sam. Wszedł na podwórze pustelni.

Tak rozpoczął się szereg nieprawdopodobnie romantycznych, iście hiszpańskich, przygód xięcia. Nie zdumiewajmy się, oceniając chłodnym umysłem: tam gdzie przelatuje ukraińska nocna burza, gdzie żyją tradycje upiorów, szał zmysłów i nawyk — pójść aż do końca za swą wolą czy kaprysem, tam musi zakotłować wśród temperamentów, przywidzeń i — omyłek miłości.

Xiążę nasłuchuje — w kościele stąpania i hałas.

Łew przedstawił mu klasztor, jako miejsce zaklęte.

Ale właśnie tego teraz pragnie! Wszedł do wnętrza.

Wyraźnie przy gromnicach upiory: olbrzym z lancą — inny pełznie nisko...

Olbrzym lancą dźga — błysnął mundur... ha ha — to Łew! Dzielnie się sprawia... Wita jest pod dobrą ochroną...

Wtem wchodzi nowa postać, dalipan, — upiór Szczerbiny! — jarzy jedynem ślepiem w mroku! z brodą ogromną siwą...

W jednej chwili z dzikim wrzaskiem pogromca i ofiara zaczęli cwałować po kościele, Łew na chór, tamten w podziemia. Za nimi w tropy straszny Denys, machający gałęzią szumną.

Brzęk rozbijanych szyb w oknach...

Xiążę patrzy na te awantury z niesmakiem i uznał, że musi bronić tylko Wity — jak dobry wódz, który wie, że nigdy wszystkich pozycyj obronić, ani wszystkich potyczek wygrać niepodobna.

Zaczął błądzić w ciemnościach. Dojrzał nakoniec przez gęstą zasłonę tajemnicze mżenie — niby piekielny witraż. To nie może być cela Wity!

Usłyszał tak dziwne jęki, zaklinania, iż serce mu zabiło — postanowił tam się dostać.

Drzwi zaryglowane.

Nie chce mocno stukać, aby nie spłoszyć. Więc szuka omackiem innego wejścia — jakiś kurytarz, wstąpił na schody — znowu posłyszał głuche pomruki i targania.

Macał — pod ręką okienko, otworzył — —

Włosy najeżyły się mu na głowie!

Wszystkie fantazje, które czytał kiedykolwiek, słabemi mu się zdały. W wielkiej izbie płonie ogień. Z tyglów dziwacznych alchemicznych dobywały się gęste opary, duszące, zielonawo-bure. Na stole długim globus nieba, na ścianie mapy. Ale Kossakowski nie był zajęty badaniem naukowem.

Związana kobieta, przedziwnie piękna, z rozpuszczonemi włosami — naga.

Oczy rozwarte. Musi być w jakiemś odurzeniu, majaczy o smokach, wężu gotowanym w lubczykach, królewicza przyzywa... Włosy jej jak morze Czarne, oczy w ciemnościach zielone jak u wilczycy.

Wszedł upiór Denysa.

Zrobiło się nagle ciemno, ogień przygasł. Książę słyszy tylko szept Kossakowskiego.

— Co robiłeś tak długo? aha... nikt nie przeszkodzi... oddać ją wzamian, mów, bo gróźb nie lękam się! —

Tamten szepce coś jeszcze ciszej. Niema chwili czasu do stracenia.

Xiążę, ze zręcznością gimnastyka, wysunął się przez okienko, niesłyszalnie na podłogę.

Z ognia zdjął jeden z tygli, gdzie wre kipiątek. Niewidziany — prysnął całą zawartość w stronę dwóch napastników.

Krzyk straszny — wśród kłębów dymu słychać pełzanie

ciał, drzwi nagle rozwarte, tupot biegnących — ucicha wszystko.

Xiążę rozciął więzy. Kobieta wspaniała wzrokiem nieprzytomnym patrzy weń. Mówi zaklęcia miłosne: smoki, kupidony czarne, Wij, Asztarot...

Książę zrozumiał, że biedna czarodziejka padła ofiarą — podczas uprawiania swych tajemnych guseł... Wtedy zapewne weszli prałat i ów przebrany za upiora, a potem upiór odszedł na chwilę, by nie dopuścić tu innych.

Ona tuli się z zachwytem, wołając, że już djabli odeszli, że teraz może z królewiczem lecieć na kraj świata...

Mówi nieprzytomnie, ale i xiążę w odurzającej woni ziół traci już władanie nad sobą.

Odsuwa głowę przepysznej Medei, która goni wzrok jego i poddaje mu ust.

Wreszcie wyrwał się jej i odchodzi. Z nieludzkim śmiechem opętana krzyknęła, że już nie powinien bronić się, bo miała go i będzie jego na wieki! Tylko jego jedynie!...

W ekstatycznem uniesieniu mówi przez nią miłość prawdziwa, szalona, namiętna.

Xiążę, gdy znalazł się na dworze, był zlany potem; zdało się mu, że przez jakieś piekielne porohy przepłynął.

Niedość, że Wity nie znalazł, ale ta zwarjowana dziewczyna uznaje go za swego kochanka!... Dokonali dwaj magnaci faktu podłego — jak ukryć go przed Denysem, przed Witą, a przedewszystkiem przed samą ofiarą?

Szukał Wity, w celi okno otwarte, jej niema. Świeży ślad na mokrej trawie wiódł za palisadę.

Burza przeleciała ostatecznie, na wypogodzonem niebie blady mdlejący księżyc; jutrzenka złotopalca zakrywa mu oczy do snu. Przyroda dyszy jak Sulamita upojona szczęściem.

Ozon napełnia przestworza powietrzne — w magnetycznie bujny rozkwit strzelistych kwiatów.

Nieraz wychodziła Wita w step o świcie.

I teraz idzie. Ale czarna suknia posłusznicy wyraża

zaledwie w części niemy jej tragizm. Na kurhanie stanęła. Słońca przedświtnego czeka — łzy wielkiemi perłami zakryły jej oczy — nie widzi nic.

Wie już teraz, że nie udźwignie strasznego na świecie zła!...

Jak bestjalskie opowiadał jej wyznania szeptem gorejącym djablim!...

A przecież, gdy błysnął jego mundur za oknem, chciała mu ufnie rozewrzeć drzwi. I gdyby jedno słowo przemówił do niej — ze serca — kto wie — możeby musiała potem długo prosić Ducha o przebaczenie, że wybrała miłość.

— Wito! — zawołał xiążę.

Odwróciła się.

— Z nami wszystko skończone, — rzekła głosem jak stal. — Lecz muszę objawić sprawę ważną dla twej duszy, smętny rycerzu!...

— Wprawdzie zmyliłem drogę, szukając ciebie —

— Waćpan zmylił drogę zasadniczo.

— Wierzaj mi, z tobą wybieram jedyną drogę życia. Szczęście nasze będzie tak zupełne! ale tylko takie warto zdobywać: przeogromna otchłań, której aniołowie nie wypełnią światłem, ani wszystkie demony — namiętnością. Posiądę twe serce — gorejące jak brylant w ogniu. Daj rękę, konie gotowe — mknijmy, bo tu jest okropny splot intryg.

— Waćpan stój zdaleka, boś mnie wstrętem napoił na długo, może na zawsze... Żeby też zabawiać się w ohydnego Mefista i nędzne wyznania mówić przed celą!...

— Jeśli słyszałaś — odparł dotknięty xiążę — osądzi Bóg, iż były jak źródło czyste. Może nie Bóg bigotów, ale Bóg Promethidionów. Tylko — nie rozumiem! wszak ciebie już nie było w celi — więc jakżeś słyszała! —

Ale Wita nie odpowiada na te zarzuty.

— Stroiłam cię w tęczę, ale kto mi prawił wyznania lubieżne? kto wydarł okno, nie mogąc wytargnąć drzwi — aż musiałam — o Boże — bronić się sztyletem!...

— Nie jestem ranny —

— Więc gdzieś ty był przed godziną?...

— Niepodobna mi wysłowić.., stało się źle, poprostu nie wiem jak wyznać... Ale ostatecznie nie chodzi już tylko o twą przyjaciółkę. Ratuj mnie przed moim własnym ogniem! jestem człowiekiem, uwielbiam cię — tyś mój ogród różany, a ja — umieram przy jego bramie. Żono moja uwielbiona, w tym łuku olbrzymim od zmysłowości aż do gwiazd! Spieszmy, ślub nasz dziś jeszcze w Kaniowie...

O, spieszmy — inaczej nikt nie uwierzy. A w razie, jeśli będą pytać, musisz zaświadczyć, że byłem całą tę noc z tobą!

— Milcz, obłąkany!... ja nic nie rozumiem!

— Zrozumiej, tu chodzi o czyjś honor — może o czyjeś życie — o tamtą kobietę młodą, która zajmuje się czarami!...

Pod Witą zadygotała ziemia. Zdawało się jej, że zrozumiała wszystko.

Gwałtowny szloch o mało nie wydarł jej się z piersi. Milczy, zakrywszy twarz.

Xiążę, spodziewający się więcej uczucia i zaufania, patrzy w nią chmurny — pyta w myślach — czy on, który zachował się przez życie dla tej jedynej miłości — będzie odrzuconym przez fanatyzm i histerję?

— — — — — — — — — — — — — — — —

W pieczarze omdlały Szczerbina przyszedł nakoniec do zmysłów. Organizm niezużyty szybko opanował ranę; poczucie obowiązku opieki względem Wity i Kaliny — dało mu siłę niespodziewaną.

Kalina w pomrokach pieczary, biegnie do ojca z wyznaniem.

Uczuciowa, namiętna, demoniczna jej natura pożąda zawsze czegoś niebywale dziwnego. Doprowadzała ojca już oddawna do rozpaczy. Nazywał chaotycznością myślenia co było nadmiarem temperamentu i fantazji. Kiedy on uczył ją patrzeć na przyrodę, każąc posiłkować się najlepszemi

ówczesnemi dziełami — Kalina uznawała tylko wiedzę magiczną, lub przynajmniej jej aparat: nazwy demonów, astrologiczne konjunkcje, filtry — miłosne i t. p. W Berdyczowie, zaszedłszy do żyda bukinisty, kupiła Clavicula Magna Salomonis, Alberta Wielkiego, Paracelsa itp. mieszaniny genjalnych snów i mizernej rzeczywistości. Wita była kapłanką ducha promiennego, a nawet wieszczką przyrody — nieraz chodziła w lasy z gałęzią, aby opylić krzew leszczyny samotnej. Kalina zaś — to furia addormentata! uznaje tylko dzikie zjawiska w przyrodzie — naprz. bekowiska jeleni w lesie, gdzie mimo niebezpieczeństwa zakłucia rogami — podkradała się, z drzewa patrząc na straszliwy bój samców.

Z tem wszystkiem ma serce zdolne do miłości, tak zwane złote serce — oddałaby grosz ostatni dla cierpiących i nieszczęśliwych. Ale z fanatyzmem urzeczonej idealizowałaby Gilles de Raitza, który mordował dzieci w czarnej mszy! Słowem — była to „czarownica prawa". Spaloną by ją parę wieków temu na stosie.

Szczerbina, słuchając namiętnej opowieści córy, zrozumiał tylko to, że nieszczęście stało się; według opowieści Kaliny, djabli męczyli ją, potem przyszedł królewicz i djabłów pozabijał, a ją miłuje. Nie wiedziała jak po śnie nic ze szczegółów!...

Szczerbina mógłby to uznać za dziką halucynację, gdyby nie wprost fizyczna zmiana w jej oczach i zachowaniu. Więc mimo, że hamował się rozwagą i tą słodyczą, jaką mają zwykle starzy przyrodnicy — przecież wre w nim ukryty straszny zaporożec.

Wspierając się na samopale, jak na kosturze, idzie zwolna, spokojny zewnętrznie; lecz od miny, podłożonej pod lekko falującą powierzchnię morza — mógł nastąpić wybuch potworny.

Wtem hałas — wlecze za epolety Wirtemberczyka Łew. Oskarża o zbrodnie, z których najważniejszą, że zakradł się do celi Kałyny i tam za firanką znaleziony. Poczciwy

Łew nie skombinował, że Kalina w celi swej wcale nie była!...

Błotem okryty Kronprinz, żółty ze strachu, wyglądał nędznie.

W dali xiążę Poniatowski idzie z Witą, oboje milczący. Z za drzew wysterka pod swym trójrogim kapeluszem prałat — i on oraz obcy oficer spiesznie siodłają konie.

Łew kończył oskarżenie, Szczerbina wybuchnął.

— Wy rozbójniki... śmierć tobie! — i wymierzył w Wirtemberczyka.

Nie wątpi Szczerbina, że to jest jeden z owych djabłów.

— Ojcze — zawołała Kalina, rzucając się przed samopał. — Dość już mego błędu, mnie wiń za to, żem zaufała i mogła miłować — ot, gorzej niż wicher kręcący się — bo witernika.

Łew gotuje krucicę. Nie wyjdzie ten żyw.

— Więc tobie stała się krzywda?

— Niestety, nie krzywda — zawołało biedne dziewczę.

— To już on zginie. Przygotuj się na śmierć! — ryknął Łew zatrwożonemu delikwentowi, który daremno znakami wzywa prałata, aby go wybawił, jako dragoman w tym dzikim kraju.

Tymczasem Łew dolewa oliwy do ognia.

— Batko, zważ — było tu ich czterech. Jeden spał, więc pewno niewinny. O moim xięciu — to i mowy niema. Takiego pana po klasztorach szukać z latarniami. Klecha przewrotny odstraszy, jak koczkodan, każdą kobietę nawet pociemku z taką fizjonomją, którą spłodził djabeł na kurku kościelnym. Zostaje gładysz, tłusta lala, wasserzupa niemiecka. Przeżegnaj się Niemcze, jeśli potrafisz. Strzelam, będę liczył do trzech. Raz — dwa —

Niewiele już brakowało, aby gęsty nabój loftek napełnił ołowiem upudrowaną głowę, pod którą łypały przerażone mątwie oczy.

— Ani mi się waż, — nadbiegając, rzekła rozkazująco Wita. — W czemże winien?

— Uwiódł! Okłamał! Wziął siłą.

— Ojcze — ozwała się błagalnie Kalina, dorodna zawsze, a teraz z rozpuszczonym snopem czarnych włosów istna Walkirja! — mówiłam ci, że mój ukochany nie uwiódł mnie, jeno ja go wyzwałam mocą czarów: czy jest potęga zdolna sprzeciwić się ekstraktowi z węża, z ruty, dzięgla i werbeny? szczególniej, gdy zbierany przy nowiu księżyca?

Wyzwałam go z dalekich krain — królewicz przyszedł — piękny jak Parys, o którym tłumaczyłeś nam grecką pieśń.

— Śliczna Fräulein mówi prawdę — wykrzyknął po francusku Wirtemberczyk, rad, że ktoś uznaje go za Parysa i przez próżność kłamiąc zbrodnię, której nie spełnił. — Żem wziął siłą, nie wypieram się. Żeś tego chciała, tem lepiej dla twego gustu! żem królewicz, to znać i po herbie i po złotych obcasach mych pantofli! —

— Więc jeśliś królewicz tylko z ubrania, to w kąpieli nikt cię nie odróżni od pastucha!

Wybuchła niewstrzymanym śmiechem — nie wiedziała naprawdę, jak wygląda za dnia jej królewicz, ale była pewną, że nie ten porcelanowy fircyk rozwarł w jej duszy poemat ekstatycznej miłości...

Śmieje się i nie patrzy w xięcia Józefa, czując, że to jest jej królewicz!

W rozbrzasku rannym na tle amarantowych smug zbliża się xiążę: zwolna, uroczyście, jakby coś ważył głęboko.

Czarnobrewa zaś, nie pomnąc na względy ostrożności, rzuciła się do ojca i szepce w radosnem wyznaniu.

Zmierzył Szczerbina zadumanego xięcia, ujrzał łzy, które iskrzą w oczach przyćmionych rzęsami — i serce zacnego esauła zrozumiało, że tu nie czas na formy przyjęte, że tu goreje wulkan...

— Więc nie tamten intruz?...

— Czyś ty ze świty xięcia pana?...

Uśmiech melancholji okrył twarz xięcia.

Na ogród kwietny majowy powiał mróz — wicher po-

larny. Tętent na koniu olbrzymim śmierci, która zabija szczęście, bicie dzwonów na wieczną wojnę uczuć — zgłuszyły naraz wszystkie słowiki i mowę rozkochaną. Świat okazał się zimny, srogi. Musiał za łotrostwo tamtych zapłacić niewolą...

Nie mogło stać się wiadomem, iż jego towarzysze spełnili zbrodnię gwałtu — na przyjaciółce Wity.

Ma litość nad zacnym Szczerbiną, a więcej jeszcze — nad tem dziewczęciem, które rozpoczęło życie kobiety w strasznem pohańbieniu!...

Zresztą wzgarda, jakiej doznał od Wity, sytuacja Kaliny, nie dopuszczająca tłumaczenia — chyba w zmiażdżeniu innych — ból ten potęgował się aż do samotortury.

— Ostatni raz pytam cię, Wito, czy bez względu na to, co się stało — żoną moją będziesz?

— Bez względu na to, czyś spełnił winę, czyś tylko zmylił drogę, jak mówisz — żoną twą nie będę!

Xiążę ścisnął zęby w kurczu rozdrażnienia. Podszedł szybko do tamtych, co już wsiadali na konie — i rzekł:

— Stać. Ani kroku dalej. Jesteście zbrodniarze. Mogę was oddać pod miecz katowski —

— Ha ha, — zaśmiał się prałat — zobaczymy! tego w Polsce nie bywało od Stefana Batorego.

— Tu zjazd królów — więc prawo wojenne, i mocą wyroku odręcznego króla — może nastąpić, co rzekłem! —

Wzrok nienawistny obu winowajców nabrał lęku. Ale prałat natychmiast opamiętał się.

— Mości xiążę — zawołał — na nas wylałeś żar, który uczynił nam rany aż do kości — a sam zostałeś bohaterem słodkich tête-à-tête... I teraz jeszcze mścisz się? i teraz na nas dwóch zwalić chcesz winę nas trojga? a, to nieszlachetne! Niech i tak będzie! możemy zapłacić za twoje obrachunki. Ja, Kossakowski, dość jestem mężny — aby wyznać, żem deflorował dziewkę nieszlachecką. Ale tego mojego gościa — potrafię salwować własną osobą! —

Wspiął ostrogami konia, aby podjechać do Szczerbiny. Xiążę chwycił uzdę i osadził konia.

— Proszę tu czekać na miejscu. Ja będę płacił rachunki tej nocy.

— Jeśli złotem, to wszyscy porówno.

— Milcz waszmość, abym cię nie trzasnął w twarz!

Xiążę był tak straszny, że prałat osłupiał.

— Tant des querelles pour une bagatelle! doprawdy nie pojmuję.

— Czekajcie tu, aż wam znak podam, że macie się zbliżyć lub odjeżdżać. I nigdy ani słowa do Szczerbiny, ni do jego córy. Nigdy!

— Z przyjemnością obiecujemy! — odparł prałat.

Xiążę oddalił się.

Tamci, nie zsiadając z koni, czekali. Chwila milczenia, prałat wnet wybuchnął konceptami i śmiechem.

Xiążę powziął decyzję.

Decyzję boleśniejszą niż rana śmiertelna.

Bo nie to, że był xięciem i prawie następcą króla! nie to, że ta Kozaczka nie była nawet szlachcianką, cóż dopiero jemu równą...

Najstraszliwsze, iż tak bez pamięci miłuje Witę! Na moście — nad przepaścią, wiedziony na stracenie, widzi — stoi umiłowana. Nie mówi do niej, stara się ukryć ból wewnętrzny milczeniem.

— Umieram gwiazdo ma. Nie waż się płakać, żałować, ani złorzeczyć. Prawdziwa to Ofiara Wieczorna — demony na stepie rzuciły swój obłędny czar!... Trzeba umierać.

Tak rozpacza w milczeniu.

Korzystając, że xiążę Józef jeszcze milczy, wysunął się z francuską oracją xiążę Ludwik, który już wiedział, że wykpi się sianem.

— Ja tu rozetnę węzełek, niegodny zwać się Gordiasowym. Masz tu panna mój trzos i nawet jeden z mych pierścieni. — Prawdziwy topaz. Nie cofam się przed twem oskarżeniem! Jak tam było, tak i było. Gdybym chciał wyliczyć połowę swych tytułów — biedny starcze — ukląkłbyś ze czcią, zamiast mi się dąsać. Jeśli — dodał filuternie

— i ty xiążę byłeś przy mej uczcie — ja płacę wszystkie rachunki bez przeglądania.

— Czy to za połamane świece w kościele? — spytała chytrze, okiem pomrugując, Kalina, rozbawiona i szczęśliwa, kręcąc jakby procą — gruby trzos.

— Żem cię posiadł, deflorował — no, jak mam wyraźniej mówić w waszym ubogim języku.

— Mnie, ty szczypawko! mnie? ty niezdarny pająku!...

Trzos śmignął w powietrzu, odbił się o kapelusz Wirtemberczyka, sypiąc — miedziakami, których ten używał do podręcznych wydatków.

Zwróciła się do xięcia Józefa:

— Już dość tych żartów — mój tatko cierpi bardzo. Wypowiedz, czemuś tak mroczny, królewiczu?

Xiążę Józef nie odrzekł nic na oświadczyny Kozaczki, chyląc się przed Witą.

— Żegnaj mi, pani. Dzieli nas Inferno. Zażądam od króla, aby mnie wysłał na stracone czaty. I na Boga! nie żal mi niczego. Nie będę z tych co żałują czegokolwiek, jeśli zechcą świadomie zawinić. Teraz pokutuję za nadmiar szczęścia...

Gwałtowna scena nie dała mu przemówić do Szczerbiny.

Kozak Łew, chwytając xięcia wirtemberskiego za epolety, huknął:

— Miłościwi państwo — i ty najdroższa Kałyno — tego wbijemy na pal. Winien Wirtymbyrtyn, on tu zaczarował — i plugawi jeszcze nas handlem — —

— Cóż ten obcy panicz winien — zawołała żałośnie Kalina — ten, kto na mnie teraz oczu nie wznosi, był tym — co mnie ubóstwił tej nocy...

— Jezu mój — to już za wiele na mnie — wyszeptała nieszczęsna Wita.

— Xiążę Josyp? czy mię zamroczyło? oj, batku Josypie, batku!

Z wami bić się nie będę. Nie żeście jasny pan, ale rycerz jasny... Już niema zemsty dla mojej krzywdy. Za-

brał mi ptak wielki narzeczoną, wielkie słońce rzuciło mrok na moje serce!...

— Ty jeszcze się tu mieszasz?! — krzyknęła, twarz ocierając, Kalina. — Precz, bo mi ręce cierpną. Patrzcie go, narzeczona!... Raczył dochować mi wiary!... skopał ogródek w lesie — tyci, że kura nie miałaby w czem dwiema łapami ugrzebać... Teraz już mój opiekun... Hajda, Kozacze! chybaj mi precz, watażko!

— Ja tylko pytam was — rzekł ponuro Denys — w imię Boga żyjącego na ziemi i w niebie — komu mam w łeb strzelić?

— Mówić pragnę — zawołał donośnie xiążę.

Milczenie, jak makiem posiał.

Łew — cofnął się, widząc, że wszedł między ostrza zbyt potężnych zapaśników.

— Panie Szczerbina, pozwól mi spełnić obowiązek przedstawienia się: xiążę Poniatowski, podpułkownik wojsk Austrji. Nastąpił fakt nocy tej, o którym rozwodzić się nie mogę — bo mi wstyd. A za kogo, mówić nie będę.

Mogę udzielić satysfakcji z bronią w ręku — chociażby carskiemu Łwu — —

Odparł chmurnie Szczerbina.

— Jest czterysta tysięcy szlachciców, którzy gotowi lać krew za fanaberję i dla opinji. Niema was czterdziestu, którzy gotowi szlachetnie żyć — jak tego żąda naprawdę Ojczyzna. —

Xiążę spurpurowiał.

— Proszę cię, panie Szczerbina, o rękę twej córy. Nobilitację otrzymasz natychmiast z kancelarji królewskiej.

Tylko warunek, że po ślubie ja i córa twa rozjedziemy się — i nigdy pod żadnym pozorem ona nie przyjdzie tam, gdzie ja będę mieszkał. Otrzyma wielkie dobra na własność bez prawa używania mej xiążęcej mitry. —

Szczerbina zmierzył go dumnym wzrokiem.

— Nobilitacja przyjdzie od sejmu, jeśli ten uzna, żem

szlachetnie krajowi służył. A córa moja jest wolną; ponieważ uznajecie się winnym — do niej należy dać ostatnie słowo wyjaśnienia. —

Xiążę teraz dopiero rzucił wzrokiem na tę, której fantazja gubiła go. W brzasku purpurowym istna Astarte fenicka! Rozrosła, wspaniała, wysoka, o szerokich ramionach. Włosy czarną puszczą wichrzyły się, twarz śniada, oczy natchnione, dzikie, pełne śmiertelnej tęsknoty — fosforyzują, jak morze nocą.

Wzięła xięcia za rękę, odwiodła go w stronę. Patrzy mu w oczy prosto z porywającą prostotą.

— Tyś posiadał mnie? wyznaj prawdę, jak przed mogiłą.

— Nie, twój umysł zmroczyły zioła. Mówić więcej nie chcę. —

Zatrzęsła się jak osika.

— Więc to był inny — któryś z tych szatanów?! A czemu ty, xiążę, mnie zaślubić chciał? z litości? toś chyba od Wity nauczył się... Widziałam twoje wejrzenie... miłujesz ją? ona — moja siostra, stokroć wyżej... wśród gwiazd... Ale nie trzeba mi waszej litości. Wolna tobie droga, szeroki step! Wszystko snem okrutnym, wiedźmowym?! Nie mów memu ojcu prawdy... Niech myśli, że mię posiadł rycerz... Muszę i ja tobie, xiążę, czemś odpłacić... chcesz, abym kogo zabiła? słyszałam o xiążętach włoskich i królowej Bonie... Mogę ci być pomocna... i chętnie zginę... Nie?! więc ci tak powiem: jeśli do trzech dni przeżyję, znak, że się spotkamy na wielkim dworze.

Zobaczymy wtedy, czy orlica stepowa umie latać wysoko! Odeszła. Na głazie obok esauła siadając, ukryła twarz. Tymczasem Wita, rozwarłszy bramę w palisadzie, wyprowadziła swego rumaka. Przytroczony mantelzak za siodłem. Nachyla się do ramion starego Szczerbiny, uścisnęła Kalinę — i nim ktoś mógł zrozumieć, co się dzieje — zniknęła, pędząc na koniu wśród drzew.

Z drugiej strony lasu rozległy się trąbki myśliwskie.

Wypadły czarne, podpalane żółto ogary. Poznały xięcia, zaczęły skomleć i rzucać się — patrząc wiernemi, szalejącemi z uciechy, agatowemi oczami; z pyska wyzierają im krwawe ochłapy języków, dyszą gwałtownie rozdęte płuca.

Xiążę, wsiadłszy na konia, skłonił się z głęboką czcią Szczerbinie i jego córce.

Zagrały trąbki, zanuciły głośno pieśń staropolską myśliwską. Kawalkada iskrzy w rubinowych roztopach wschodzącego za lasem słońca.

Łew, patrząc ponuro w Kalinę, nie mogąc wyżebrać spojrzenia, trzasnął szablą o kamień — rozprysnął w tumanie iskier. Pognał na swym stepowym za xięciem.

Ocknęła się Kalina.

— Chodźmy, tatku! zagraj mi jeszcze raz na swej lirze o tej drodze samotnej, co wije się przez lasy, pola i góry... Nawet morze jej nie zatrzyma! jasną pianą leci za okrętem. Moja dola nieskończona — kruk mię nie odstraszy! Taj co się stało, nie odstanie, choćbym odgryzła ręce z żałości. —

Z wysokiego kurhanu jęła dźwięczeć pieśń, smutkiem swym zaciemniając słońce. Mroczny, mimo złotych piór na niebie — las hetmański — wsłuchiwał się, milcząc!...

KAPŁANKA WĘŻÓW

Trzeci już dzień jedzie amazonka, trzecią już noc prześpi na kurhanach.

Znowu mil siedem upędziwszy, z konia zsiada.

W melancholji wieczornej rozpękają rany jej serca. Rękami chwyta się tarnin, aby stłumić palącą tęsknotę.

Na wzgórzu krzyż, do krzyża zmierza.

Noc już zapadła. Wśród ciemnych nocy kieruje się gwiazdami w stronę Kaniowa. Wśród głuchej boleści kieruje się w stronę krzyża, mając nadzieję, że będzie jej słońcem. Ale krzyż ciemny.

Noc zapada wciąż głębsza.

Zajęczał śpiew... Sunie jakby kondukt żałobny.

Wąż olbrzymi — długi jak kopja, gruby jak ręka — wyprężył się przed jej koniem i sycząc pełznie.

Wysuwa się wóz, ciągniony parą wołów. Idzie przy nim kobieta niska z żagwią.

Wóz zatrzymał się.

Kobieta z czułością zwraca się do kogoś leżącego pod szatrą cygańskiego wozu.

— Nie umieraj, Hamilkarze... Ty mój jedyny — któryś został po wielkiem szczęściu rodziny pełnej jak róża stulistna... Nie zratował Bóg... Niechaj zratuje nas Wielki Czarny... O, ty umierasz... usta twoje sine... Nie pomogły me zioła... O, ty umierasz — na wieki... i tylko w piekle spotkamy się!...

Wita nie zważa, iż ma do czynienia z obłąkaną czy wyznawczynią Djabła. Widzi boleść matki, której syn kona.

Zbliża się do wozu. Żagiew oświeca.

Tam leży młody trefniś — szata arlekina, berło ze skórką jeża i z dzwonkami — twarz umierającego blada z fioletowemi usty i oczami, które zaszły bielmem.

Wita wsłuchuje się w serce, bierze za rękę, by zbadać puls.

Głowa gorąca — żar bucha zdaleka. Namacała wezbrany wrzód na czaszce.

— Upadł syn wasz z wysokości?

— Tańczył na linie z wężami — uderzył go z tłumu ktoś głazem — upadł biedny Dudko... My chłopi, idziem po jarmarkach, jasna panienko!... Zaklinania robiłam na dziewięciu węgielkach i zbierałam wodę z potoka górnego, właśnie gdy księżyc zabłysnął... Ale nie chciał mi pomóc dobry Pan...

Patrzy nieufnie na Witę.

— Tu sprawa trudna. Odłam kości gnije — trzeba wyjąć. Zgnilizna jeśli przejdzie za korę mózgową — syn wasz umrze.

— Ratuj go, ktokolwiek jesteś — jeśli nawet jesteś aniołem!

— Niestety, nawet nie jestem lekarką. Będę starała się uczynić, co potrafię, ale nie miejcie żalu do mnie, jeśli operacja się nie uda.

Stara kobieta zgodziła się. Wita, którą Szczerbina uczył robienia niektórych operacyj i leczenia, wyjęła z mantelzaka swe zioła i lekartwa. Miała i nóż składany. Nagrzała nad ogniem, oczyściwszy w odrobinie spirytusu. Zapaliła kilka żagwi.

Ręce choremu związała, a głowę jego kazała matce przytrzymać. Zrobiła cięcie głębokie — wśród masy ohydnej ropy odpływającej ujrzała sterczący odłam kości potylicznej. Wyjęła. Ranę obmyła wodą przegotowaną. Położyła na to bandaż nasycony odpowiednim medykamentem.

Przez cały czas chory jęczał, nieprzytomnie bredząc. Po skończonej operacji oczy rozwarł, westchnął głęboko i zawołał:

— Mamo, już mi dobrze. Jest mi strasznie dobrze. —

Wiedźma rozpłakała się — twarz jej surowa, pomarszczona, dzika, była pełna łez.

Wita ostudzone lekarstwo z ziół nalewa choremu do ust.

Zaśmiał się, i poznając matkę — tkliwie wpatruje się w nią, jak i w tę obcą ratującą go panią.

Wydała się mu gwiezdnym genjuszem.

Wita chce odejść już.

Wiedźma chwyta ją za rękę, prowadzi do ognia, rozkłada karty — jakieś smoki i figury bogów.

— Nie wierzę — rzekła Wita — aby wywróżyć można to, co moja wola nieprzewidzianie dla mnie samej kiedyś postanowi! —

Mruczy stara w litewskim języku, wreszcie spojrzała przenikliwie na Witę.

— Wróżby kłamią, jeśli nie usłyszeć głosu nad przepaścią. Ale teraz słyszę — słyszę czerwonowłosego Perkuna. Z wielkiegoś ty gniazda — ale przekleństwo narodu zacięży nad nim... Hetman — twój wróg, jeśli ty go nie zabijesz, on ciebie wyssie, jak mózg ptaka — wąż.

Znam go wszak — on z religji naszej — z religji króla wężów...

Dziwisz się, że mówię pojęciami obcemi twojej religji?... Byłam ja kiedyś Litwinką... żona marszałka szlachty... Zginął...

Trzej synowie wywiezieni daleko śród lody Azji. Pojechałam ich gonić — z maleńkim wtedy Hamilkarem.

Ujrzałam setki w łańcuchach... jak to się zwały te czasy? Konfederacja Barska?...

Moi trzej synowie wykuwają ze skał złoto... I powiedział mi najstarszy słowo jedyne: zemsta! i powiedział mi wtóry słowo jedyne: djabeł! i powiedział trzeci słowo jedyne: przeżyj nas! I wszyscy trzej umarli.

W tajgach i w stepach, do jurt szamanów, do klasztorów lamajskich zawiódł mię los. I poznałam wtedy prawo Reinkarnacji. I będę umiała wcielić siebie i syna swego w Harpje nad nikczemną Europą! Odkąd wróciłam, wiernie Czarnemu Bogu już służę.

A imię jego jest Szatan. Jeżdżę tu do wszystkich wier-

nych wyznawców jego. O jak wielkie są jego przybytki i jego chwała! Zakon większy niż masonerja łączy wszystkich i tych co rządzą w Sans Souci i tego co śmieje się ze swego grobu w Ferney do Semiramidy! —

Z królem waszym znajduję ciche porozumienie i w Werkach z biskupem Massalskim i na Inflantach z biskupem Kossakowskim — — a w Malatyczach, gdzie na wzór bazyliki Piotra, zbudował biskup Siestrzeńcewicz wspaniałą świątynię — ja mam głos najważniejszy... Znam Zachara Grigorjewicza Czernyszewa, gubernatora Białorusi, — który był rywalem nieszczęsnym niegdyś w Petersburgu waszego Stanisława... i odtąd nienawidzi, śmiertelnie nienawidzi Polskę.

Znam Rzewuskiego Seweryna, hipokrytę... czemu drgnęłaś? z jezuitami w Połocku przebyłam długie konferencje...

Jadę, jak i ty, na zjazd monarchów — — ale gdzie ty ujrzysz dyplomację, ja usłyszę hymny i celebrację Króla Wężów.

Im gorzej, tem wspanialej dla królestwa śmierci.

A oto serce matki nie wytrzymało, gdy Hamilkar umierał. — —

A oto serce matki wdzięczne tobie, zamiast ściągnąć ci szyję powrozem i zdusić, —

Bom ja kapłanka Sziwy, który tu w Polsce ma sektę Czarnych Drabów... Czy słyszałaś o tym zakonie, który ma wspólny rząd? my leczymy niektóre choroby: ukąszenia od wężów lub psa wściekłego i krwotoki.

W nocy idą moi współwyznawcy na szczudłach, płachtą okryci, latarnia świeci wgórze — mając trupie czaszki z czterech stron. Wydają głos puszczyka — — cała wieś budzi się...

Oddajemy cześć Czarnemu, zbieramy od wdzięcznych dary,.

Witę wstrząsnął dreszcz. Nocą raz we wsi spotkała takiego „draba". Lud miał go za widmo. Piszczałką wyprowadził myszy, uleczywszy wprzód jednego ciężko chorego.

Nigdy dwa razy do roku nie zjawiali się w tej samej miejscowości. Mieli określone drogi i jakiś tajemniczy rząd... Nigdy nie kradną... Są dobroczynni, a straszni...

— Z gór wielkich przyszłaś — na swe nieszczęście w niziny polskie. Weź teraz jeszcze moc swą — i pij u źródła

Poddaj serce władzy Czarnego Węża — patrz — tu napisane w symbolach, a pewne jak ta noc — że naród twój runie w mogiłę. Nie uratujesz! Na wozie Rozkoszy wśród tych bądź, którzy wolą deptać, niż być rozgnieceni —

— Nigdy! — szepnęła Wita urzeczona grozą, dziwactwem, a zarazem głębią tych słów.

— Wdzięczność mam — matka mówi do lekarki jej syna.

Pokochałaś — tu widzę — możnego pana — słabego wolą... On ciebie zdradzi wnet i nie udźwignie zamiarów twoich. — — Będzie okryty hańbą — — aż do czasu — — gdy krasa z ciebie odleci, i nie będzie już tęsknił do twych ramion... W niedoli stanie się bohaterem — nadaremno!

Więc znajdź mocniejszą kolumnę — jest młody car Aleksander. Przeznaczona miłość do Polki — zamiast kurtyzany znajdzie w tobie potężną władczynię — —

Ty jesteś z gatunku tych, co Katarzyna — niechaj nie łudzi cię białość twych intencyj...

— Nigdy! — odparła Wita, wyrywając się z rąk wiedźmy.

— Więc znajdź w Polsce człowieka — najgorszego i najmędrszego — — niech zyska zaufanie Węża Czarnego — niech zagarnie władzę królewską. Tyran ten musi naród uczynić wilczym — postawić dwieście tysięcy wojska — — i pod opieką wszechmożnej Rosji odeprze pruskiego Fryderyka Wilhelma... Wybierz najgorszego i najśmielszego — Kossakowskiego Szymona. Hetman litewski wkrótce będzie już generałem rosyjskim, a mógłby stać się przy tobie — królem na tronie Jagiellonów...

— Łotrzy nie zbawią nas...

— Wspomnij — — ciągnęła głosem obłąkanie maje-

statycznym — jak palono ręce braciom twym w ogniu siarki i smoły. Kneblem rozsadzano im kości... cztery konie szarpały każdego długi czas, zanim noga lub ręka dały się wydrzeć ze stawów. —

— Jakich braci?

— Tych co jak ty wierzyli w Boga, idąc na wielki bezosobisty czyn: Ravaillac, wierząc gorąco w katolicyzm, zabił Henryka IV; Nalewajko wierzył w Ukrainę; Damien uczynił zamach na rozpustnego Ludwika XV; kołowanym stronnik Karola XII; Joanna d'Arc na stosie; Jan Hus... Konfederaci Barscy...

Świat nie jest dobry... Świat może jeno stać się rozumny. Pan Wolter z grobu swego rządzi tłumami. Na tronach rządzą potężni... Weź ten tomik czytaj wielkiego Florentyjczyka...

Sziwa w Azji wielki przeciwnik Agniego. Rozum w Europie — przeciwnik Baranka! pójdź z nami! marszałkowa Kowieńska zmieniona w Szamankę ukaże ci drogę władzy...

Inaczej — o, Ifigenjo — rozszarpią cię furje za winę twego niedokonanego Cudu!...

Głowa wiedźmy opadła na piersi, zasnęła głęboko.

Wita odbiegła. Zdala pod lipami pachnącemi stanęła, ręce wyciąga modlitewnie, aby na nią spłynęła hostja ciszy.

Wita dobyła książki modlitewnej i na ostatnich jej stronicach białych, ze złotemi brzegami, pisze wyznanie.

Zorzami majowemi wypełnia się niebo; błyskawicami łez wypełnia się otchłań serca. Testament pisze swego wyrzeczenia się — zbroicę wkłada wiary.

Dyktuje jej nie myśl rozważna, nie cicha tęsknota — ale nieznany jej dotąd — Dajmon miłości.

DO XIĘCIA

Przebacz, że nie pożegnałam się, — ale nie mogę, przebóg, nie mogłam mówić już tego, o czem się mówi z ustami na ustach. Teraz mam wyznać, że obłąkana snuję się po pustych polach, a wieczorem gnana szaloną tęsknotą biegnę w ciemne zagąszcza lasu w nadziei, że tam gdzieś w ciemnościach otchłannych spotkam Ciebie lub upiora twego — i wampirem w serce się wgryzę!...

Kto mi odebrać mógł ciche senne tęsknoty, a wzamian dał jakieś straszne poczucie siły druzgocącej wszystko wokół — nawet mnie samą, gdybym jej tylko oprzeć się chciała?

Niegdyś na ruiny chodziłam starego klasztoru pogadać z sędziwemi lipami, dumałam na samotnych mogiłach cmentarzyska. Mgły rozwiewały się na stepach, nici babiego lata na krzaku tarniny, a moje łzy wsiąkły w ukochane, choć nieznajome mogiły.

Pragnęłam stać się duchem dobroczynnym tej ziemi.

A teraz, z sercem bijącem, obłąkana nieznanem uczuciem piszę te słowa wśród trzeciej już bezsennej nocy przy migotliwem świetle błyskawic.

Widzę surową twarz Chrystusa i smutne fosforyczne oczy wiedźmy, która wróży mi rzeczy bardzo złe...

Boję się, boję okrutnie, bo piszę co nie powinnam, piszę bezładnie, nie widząc wyjścia w ciemnościach, które mnie oplątują. Nie, chyba lepsze były chwile, kiedy cieniem przypadałam do nieznanego, stałam przy tobie rozmarzona i słuchałam, czy to wielkie serce choć raz nie uderzy dla mnie?

W ekstazie i uwielbieniu, siadałam u Twych stóp, Cherubimie — słyszałam najcichsze drgnienie Twej myśli. Wróć mi te chwile!...

Jeżeli z szyderstwem zemniesz tę kartkę, to chyba łzy i krew z niej popłyną... —

W dopisku skreśliła słowa drżące:

— Przeczytaj i zapomnij o tem, nie chcę już więcej Cię widzieć, choćbym skonać miała w tęsknocie.

Wschodzi księżyc.

Na ziemi wloką się gromady chrząszczów... Dziwny szelest... jakby zbrój i pancerzów słyszanych z odległej chmury...

Było ich tysiące, całe pobojowisko. Większość żyła, choć pod pokrywą pancerzów pusto, wnętrza wyjedzone. Ogromne czarne oczy iskrzą męką, wąsiki poruszają się, błagając pomocy.

Kto mógł to uczynić?

Wita pojęła: radosne jaskółki wypiły wnętrza tych chrabąszczów, nie chcąc połykać twardych skorup. „Świat jest rozumny!" wspomniała słowa wiedźmy. Pan Wolter rządzi światem. Divin Voltaire, ora pro nobis — pisał po jego śmierci Fryderyk.

Zmrużyła oczy, uczuła w sobie tak straszną rozpacz, że przez chwilę chce podpalić wóz wraz ze śpiącą wiedźmą i jej synem, wracającym do zdrowia — a samej rzucić się w ten ogień...

Byłby to ofiarny stos ostatnich w Polsce czarodziejów...

Ale jeśli tego nawet ów Czarny Bóg nie usłyszy? jeśli dokładna pustynia jest wszędzie ponad zwierzęcą wegetacją na ziemi? Mieliby rację filozofowie, lubieżnicy starzy, korespondujący z Apollinem — Fryderykiem i „lepszą niż Częstochowska — Katarzyną"!...

Noc świeża, ciepła, noc pełna aromatów, dusza znękana, zmarznięta, dusza pełna łez.

Wita podeszła na wzgórze, gdzie krzyż. Modli się i rozmyśla.

Wspomina naukę Szczerbiny, że przecięcie elipsy tworzy krzyż kosmiczny. Wiedza rozcięta przez natchnienie... Pije wiedzę świata, jak spragnione usta piją dojrzały granat.

Kapłanką chce być własnej religji. Niezależnie od

wszystkich dogmatyków buduje własną świątynię z kolumn wyniosłych, jak palmy.

Odgaduje intuicyjnie, że światem rządzi Wielki Rytm liczby i mocy. Ten Rytm opanować i władać nim musi Miłująca Dusza.

Legła na wzgórzu z siodłem pod głową, konia spętawszy, aby się pasł. Woddali niknie żagiew wiedźmy, syna uzdrowionego prowadzi.

Sen wreszcie zmógł Witę — czy też raczej stan półsnu-półjasnowidzenia...

Jak sensitiva w transie ujrzy ducha — jednego z tych, których Rzymianie nazywali genius loci.

Twór eteryczny cichy zbiera krew, płynącą z rany Zbawiciela na krzyżu.

Potężnemi reflektorami oczu przebił zwartą ciemność — rzucił promienie daleko — hen, aż ku duszy męczącego się do szaleństwa xięcia.

II

W ZACNYM DWORZE

PAN MARCIN SŁUSZNIC DE STARAŁOZA

Nie zbudziły jej gwiazdy, cicho krążące, jakby dworzanie na palcach dokoła królewny śpiącej.

Nie zbudziły jej smugi fioletowego rydwanu, na którym pędzi jutrznia.

Budzi ją dopiero słońce.

Wzniósłszy się, niby wojownik z tarczą na mur śpiącego miasta — zajrzy jej w twarz.

Wita zbudziła się, rozwarła tylko rzęsy, aby nie ulec oślepieniu — i szepnęła: — Ja wierzę — nie życiu! i nie tobie — słońce!... ja wierzę, iż od mej woli zależy zbudowanie na nowo świata! Od mej woli na ziemi i w niebiosach. Bo jestem zarówno tworem, jak i twórcą nieskończoności! —

Zerwała się — i pierwszą jej myślą było wykąpać się, aby ciało i duszę wyzwolić z szatańskich przeżyć nocnych.

Dniepr o kroków pięćset — z góry łąka aż do rzeki.

Obejrzała się, czy ludzi niema? Trakt wprawdzie niedaleko. Ale jeszcze wcześnie... Rozebrała się. Naga... ukryła suknie w krzakach. Wskoczy na konia oklep. Gna do Dniepru. Rozprysły fale pod kopytami. Płynie obok swego konia, aż na wysepkę piaszczystą.

Koń otrząsnął się i zanim zanurzył łeb w gęstej, wonnej od macierzanek trawie, patrzy zdziwiony na Witę, która tańczy.

Tak na wazach etruskich i greckich Dionisowe korowody stają się obłokiem, falą morską, ogniem, iskrą Prometeusza.

Powtarzając nieświadomie Fidjasza agony z olimpijskich igrzysk, podnosi kamienie, rytmicznie zataczając niemi kręgi.

Odmierzy przestrzeń ośmiu kroków, skacze z kamieniami w ręku.

Lekka, nogi ma stalowe jak łania, serce mocne, płuca niby żagle. W pustelni codzień szermowała na szable. Uczył ją pan Mohort, do którego strażnicy nieraz zajeżdżały dwie walecznice.

Kałyna jest istną siłaczką, ale ona prędzej wdrapie się na najwyższą topolę i prędzej przepłynie Dniepr.

Wita zapaliła się niegdyś do bohaterek Ariosta. Gdyby nawet nie czytała różnych książek, odczułaby intuicyjnie prawo ewolucji — rozwinięcia wszystkich mocy aż do pełni.

Tyranja ojca zaostrzyła w niej hart i odporność.

Wychowuje się sama. Na szczęście nie było wtedy w Polsce pewnego gatunku krytyków: zaraz taki pan, nie wychodzący z kawiarni, zarzuciłby — że Wita zbyt wiele myśli i czuje i zbyt ćwiczy swe mięśnie. Vogue la galère! takich nie sieją, ani orzą!...

Nie wstydzi się słońca. Nie wstydzi się rumaka. Nie wstydzi się i krytyków — pewnych, jak nie wstydziły się markizy francuskie lokajów, których nie uważały za mężczyzn — i wobec nich brały kąpiel.

Znowu do wody — koń płynie, ona z nim się ściga.

Razem płynęli — Wita nie chce już konno jechać, więc murawą biegnie na wzgórze.

Po słonecznej i wietrznej kąpieli uczuła się bajecznie wypoczęta. Radość życia i tężyzna wypełniły ją. Jak indyjski jog rozmyśla o wspaniałości świata.

Ociąga się do ostatniego momentu z ubieraniem. Na zegarku siódma — trza spieszyć do czynu.

A ten na czas obecny: poznać i zebrać najtęższych ludzi w Polsce. Rozwikłać wraz z nimi te sieci pajęcze, które namotali dyplomaci. I spełnić główne prawo na ziemi: tworom żywym dopomagać w pracy i wolności.

Wita ubrała się. Koniowi nałożyła siodło...

Nie było nic do jedzenia prócz zeszłorocznych tarnin. Zjadła garść tych jagód, niby leśny ptak.

Wtem rżenie.

Koń zastrzygł uszami, ale był nauczony nie odpowiadać.

Wbiegła na wzgórze pod krzyż. Miękka ziemia po deszczu i trawa przytłumiły turkot pojazdu. Zaprzęgnięty w pięć wspaniałych karych biegunów, które mają ogony malowane czerwono i takież grzywy.

Nie rozumie się Wita na luksach, nie umiałaby rzec, jest li to kolebka, basztarda czy też wersalski pot de chamre? Na czarnem lakierowanem tle — malowidło chińskie; rzeźby na szczycie, z bronzowanemi w ogniu listwami.

Okna zwierciadlane, jedno wdół opuszczone. Frendzle koloru brzoskwiniowego i takież wewnątrz obicie.

Pudło wysokie, że można było w niem stanąć. Pośrodku stolik do kart, toaleta z lustrem i baterja butelek. Resory, wchodzące dopiero w użycie, łączyły się z grubemi rzemiennemi pasami.

Wygląda kolebka jakby królowie lub szulerzy nią jeździli, co bywa czasem jednem i tem samem.

Murzynek w czerwonym fezie trzyma się pleców stangreta, który ma strój wielkoruski, brodę olbrzymią i siedzi na koźle wysokim, oddzielnie na pasach wiszącym; jeśliby stangret spadł, obu z murzynkiem czekałaby śmierć pod kołami.

W karecie majestatyczny pan czyta książkę.

Nagle wzniósł wzrok, bo upadł mu na białe kartki cień. Pod lipą widzi krzyż — i zjawisko.

Tak przynajmniej określił tę kobietę — z blond włosami, bujnemi jak promienie wschodzącego słońca, w czarnym habicie posłusznicy.

Ujrzawszy badający wzrok, Wita odwróciła się. Zeszła do wierzchowca.

Turkot ucichł, widocznie pojazd zatrzymano.

Szybko ściągnęła popręgi.

Wtem pozdrowienie.

Olbrzymiej budowy pan stał przed nią z kapeluszem w ręce.

— Madonno — rzekł głębokim melodyjnym basem, — czy nie jesteś zabłąkana?

— Nie, panie. Ale też nie jestem Madonną! Jestem kapłanką wężów — zaśmiała się z przybraną powagą, dlatego racz odejść — bo cię rozszarpią, jak Laokoona.

— Czy nie poznajesz mię, o mistyczne zjawisko?

Wita przyglądała się uważnie nieznajomemu panu, któremu włosy napudrowane spadały na ramiona, broda przycięta ze szwedzka, twarz okrągła i rumiana, oczy jak niebo lipcowe — mądre — nieco zamglone — fauniczne.

Miał fioletowy frak haftowany bogato, lecz poplamiony haniebnie. Szpada u boku, której pochwa stalowa, rękojeść złota, a klinga zapewne tylko nominalna — jak w zwykłem małżeństwie, gdzie obie strony znajdują się przypadkowo obok siebie, a sprawa istotna — t. j.: miłość istnieje implicite — bo jej sprawdzić na oko niepodobna.

Trzymał maleńki w haftowanej paciorkami oprawie elzewir.

Czar uśmiechu rozjaśnił twarz pana, który wzniósł książczynkę dwoma palcami do góry, niby opłatek.

— Wita?!

— Pan mię zna? — zawołała z przerażeniem.

— Czytam właśnie tego idjotę Woltera, który zaprzecza istnienia cudów. Ma rację, naturalnie, jak zawsze — ale co za ohyda nie uczynić wyjątków! Pani jesteś jednym cudem! jeśli pani kontemplacji nie zakłóca moja pozioma obecność, pozwól sobie przypomnieć się — jestem Marcin Słusznic de Staraloza.

— Nigdy waćpana nie znałam.

— Mamże odziać się w matołkowskie imię ojca Hilarego z Monasterzysk i opata z Berdyczowa.

— Ojciec Hilary! —

Twarz Wity zaśmiała się radością serdeczną.

— Jakże mam powitać? ułatw mi wielebny — t. j. waćpan ucieczkę z domu. Na spowiedzi takeś mię na duchu umocnił...

— Penitentka, miły Zeusie! anioł bezgrzeszny, a spowiadał się przed takim jak ja friponem! —

Witę odepchnął cynicznie wesoły ton. Zwróciła się do konia i pochwyciła cugle pod średni palec.

— Chcesz mię pani zabić smutkiem odjazdu, jak uskrzydliłaś mię swem pojawieniem?

— Odjeżdżam, rzecz prosta.

— Nigdy i przenigdy! Najpierw należy się opatowi jakieś parę słów przyjaznych.

— Opata ku memu smutkowi nie widzę.

— Bo jest ktoś lepszy, zaręczam. Wtóre, koń pani ma zakrwawioną nogę.

— To prawda... pijawka przyczepiła się do żyły.

— Hej, Trofim, — zawołał Słusznic na stangreta. — Podwiąż nogę koniowi i zabalsamuj. Murzynie, daj tu rozkładany fotel i klęknij u nóg jasnemu bóstwu, jak mops. —

Wita zatrzymała te owacje gestem.

— Dlaczego waćpan ma zaprząg rosyjski i naco ten stół do kart?

— Stoliczek zielony — une petite succursale — do wywoływania duchów poprostu! A że mój powóz w stylu Newskim? to nie dowodzi, że trzymam w intencjach mych z Petersburgiem, ale poprostu wolą Jej Świątobliwej Mości Przypadku, jak mawiał Fryderyk — wygrałem tej nocy od xięcia Patiomkina. Przegram następnej nocy jakiemuś Lubomirskiemu, xięciu de Nassau lub innemu imbécile. —

Wita nachmurzyła się już na serjo.

Wejrzał z serdecznem współczuciem.

— Pani dotąd jesteś moralistką?

— W dzisiejszych groźnych dla Polski czasach byłabym Kromwelem i zażądałabym purytanów...

— Doskonałość moralna, która jest przywilejem pustyni! Życie ma do moralności wstręt. Zważ pani, że opierasz się na przesądach! Z czego powstały wielkie fortuny, jeśli nie z grabieży, lub z łask podejrzanych króla? I czem się utrzymują, jeśli nie brudnem sknerstwem? Niedawno miałem dwa klucze, to jest czterdzieści sześć wsi. I zamek po rodzonym stryju...

— I zamek? — szepnęła Wita, której w oczach przemknęły mury, bastjony, żołnierze, armaty celnie strzelające, obrona kraju...

— Starczyło to na rok pogodnego życia, ale zato zgłębiłem dwór wersalski. Otaczał mię chór przyjaciół najszczerszych. Nie dziw przeto, że fortuna zniknęła jak obłok, jak Majja...

Pomnę tylko, że czasem pytał mię jakiś plenipotent: czy można wyciąć włókę lasu?

— Wytnij dziesięć, tylko mi daj wchłaniać spokojnie Saint Simona! — I wchłaniałem!...

Wchodzili przyjaciele z rewersami! Ja czytałem o wiecznej substancji Spinozy i monadach Leibnitza — cóż mię obchodziły rewersy — dotyczące substancji zmiennej? Podpisywałem naturalnie wszystko, czego żądali. —

Wita usiadła na drodze, ręce splotła na kolanach — odchodziła ją wola poznawania ludzi w Polsce. Jeśli zacni, jak Słusznic, tak rozumują — jakże reformować kraj?

Słusznic zauważył z niepokojem, iż Wita ogląda się na swego konia.

— Nie zrobisz chyba waćpani nieuleczalnej krzywdy swym ideałom, które miałem zaszczyt poznać w spowiedzi i rozmowach.

— ?!

— Dzisiaj sposobność jedyna być na zebraniu w zacnym domu Janostwa Czarnoziemskich. Należą oni do niewielu, którzy w Polsce naprawdę ojczyznę kochają.

— Więc i pan jesteś patrjotą?

— Nad wszelką wątpliwość. Ot naprzykład nie przyjąłem urzędu brygadjera, choć mi to proponował Kachowskij, ani teki oratora na sejmikach litewskich, jak chciał Morkow, ani biskupa samozwańczego vulgo prezydenta departamentu katolickiego Justic-kollegium z pensją czterdziestu tysięcy rubli, jakim stał się Siestrzeńcewicz. Ani też naczelnika wszystkich bażanciarni księcia Patiomkina — pani się śmiejesz?

— Czy Polacy mają dziś tak szeroki wybór dla karjery?

— O tak — mogą wybierać to wszystko u trzech mocarstw ościennych — u każdego oddzielnie, albo u wszystkich naraz. Tak czyni xiążę Sułkowski, Poniński i wielu innych.

Raczy pani ze mną?... nie pożałuje pani. Małżeństwo niby Filemon i Baucis, gospodarka wzorowa...

— A waćpan mentorem, ja Telemakiem?...

— Pan Jan, to jeden z gwoździ naszej budowli Rzplitej. Nie są oni z tych świeżo wzbogaconych, którzy dbają jeno o własne oszczędności w biurku, ani też z tych magnatów, którzy, aby utrzymać swe dobra na Białorusi, plackiem leżą przed każdym Befehlem w Galicji czy w Warmji!...

Wita nie chciała powierzać konia swego w obce ręce. Kroczył za nimi, nawet z wolno puszczoną uzdeczką.

Słusznic mówił, a Wita starała się odgadnąć, kim jest obecnie Słusznic? jasna postać opata utkwiła jej w pamięci — tak melodyjnie i uroczyście intonował Tandem ergo Sacramentum, tak głęboko rozprawiał o naturze Boskiej, że porównywano go to ze św. Augustynem, to z Janem Złotoustym; skupiony po kazaniu szedł pod baldachimem cum Vene crabili — — a lud wielotysięczny, wpatrzony w swego ojca duchowego, śpiewał hymn, zdający się rozsadzać powały kościelne.

Teraz, jestże on chociażby filozofem, walczącym o prawa ludzkości? czy tylko smakoszem, zrywającym owoce zatrute pseudocywilizacji? jestże wogóle jeszcze tym „Słusznicem" czy tylko starą pozą tęczującą w masce kunsztownych aforyzmów ad usum — bożka Komusa?

— Panie — rzekła cicho w skupieniu; — pomnę cię w pięknej renesansowej kaplicy — tony przyciemnione z czarnych marmurów, obrazy świętych w modrem niebie — a ty w amarantowym ornacie odprawiasz mszę — — I zdaje mi się oto, że opada ornat — ukazuje się jak na obrazach Rubensa Sylen rogaty, pijany, otyły, nagi, nieprzytomny... pomnę jeszcze, gdy weszłam do bibljoteki, gdzie zachwycałeś się świeżo otrzymanem dziełem małego badacza Zend Awesty i księgą indyjskich praw — nie pomnę —

— Anquetil Duperon...

— Tak... wprowadziłeś mnie w ogromne podziemia myśli filozoficznej, wiążąc jakby drugi Pascal — wiedzę przyrodniczą, astronomiczną, ewangelję i filozofję — w śmiałe ostrołuki i metafizyki.

Jest li to możliwe, aby kapłan, którego rekolekcje wprowadziły mię w stan zachwycenia, i dzięki jemu włożyłam habit posłusznicy — ustąpił zupełnie miejsca świeckiemu uczonemu i aby świecki uczony, pełen myśli humanitarnych i dobroczynnych, — przegrywał swą mądrość w bezmyślności faraona i baka? —

Nie omieszkał dać odpowiedzi, jakby tylko czekał na to zapytanie.

— Wyobraź sobie pani, że jest źródło lecznicze — i kaplica nad niem.

I przychodzi kapłan-lekarz, naczerpie do wiadra wody świętej, wody życia — i umoczywszy hyzop, gałązką tą zrasza tłumy schorzałe, tęskniące.

Taką była wiara dawniej. Takim kapłanem mieniłem się być.

Ale źródło wyschło, napłynęły męty, zamiast uzdrawiać — mogłem tylko zabrudzać tych, co szli po czystość, zarażać ciemnotą tych, co szli po uzdrowienie.

Mą prawością — z kruchty tej wyjść i pozostawić ją biegowi wypadków, które uczynią z minionego chramu — niezbyt szanowną ruinę.

Męczyłem się długo w potwornie obłąkanych labiryntach scholastyki.

Życia pół straciłem w bibljotece, która we wszystkich klasztorach jest katakumbą wszelkiej myśli i ducha... Alboż ty, lotny mistyczny ptaku, choć w przybliżeniu wiesz, jaka śmiertelna nuda i wstręt wieją z przepysznych w biały pergamin oprawnych foljałów — tych dzieł Theologia mos ralis Anakleta Reiffenstuela, tego Currus Israel et Aurigaeju Ginthera, tego de Beza Commentarii ad Evangelias! tego dzieła o Psalmie L Miserere mei Deus przez Fredericusa Fornero, tych Conciones Bellarmini, tej Martyrologji Baro-

niusza — tych Proverbia Salazara... Daremnie próbowałem przejąć się poezją Mundus Simbolicus przez Picinelli'ego, lub zapaść w odmęty inkwizycyjne Marcina Delio, który spalił i storturował setki tysięcy ofiar, zanim napisał pikantną jedną książkę: Disquisitionum magicarum libri sex.

Od kazań Bourdaloue jeden krok do olbrzymich foljałów bredni księdza Węgrzynowicza: „To jest siedem trąb Objawień Jana św. przeciwko siedmiom głównym grzechom". Rozprawy Pascala tylko mostek przedziela od księdza Drykowskiego „Apostulstwa" wydanego w Kaliszu: „Ach, nas po tysiąckroć nieszczęśliwych" — woła poczciwiec. „Jakże tedy? to się przyłączymy do nieprzeliczonych przeciw Bogu buntowników? Nieskończenie dobry Bóg — — zawsze mniej kara człowieka, niżeli zasłużył."

Ja, czytając to, przyszedłem do wniosku, że miłosierny Premeteusz mniej ukarał Zeusa, niż ten zasłużył — na zapomnienie absolutne, do kroćset siarczystych!...

Zerwałem habit, w kąt rzuciłem tę mniszą kutę, tę synekurę, to malentendu z własnym duchem!

A jeśli kiedy cnota była nagrodzona, to właśnie wtedy: wezwano mnie do umierającej ciotki, nie zdążyłem jej wypowiedzieć, że nie jestem już opatem — gdy zapisała mi ostatniem drgnieniem ręki całe swe dobra. Zacna matrona spodziewała się, że użyję na gromnice i kadzidła. Nie zawiodłem, parole d'honneur — w Paryżu grałem tylko przy gromnicach, kadzidła spalałem w buduarach najpiękniejszych śpiewaczek.

Zostałbym może na stałe spowiednikiem panny Guimard, metresy księcia de Soubise — —

— Waćpan mi wybaczy, zwracam do Kaniowa.

— Jeślim panią uraził — je reprends mes voeux! mon âme est aux pieds de votre Majesté Mystique.

Lecz śmiem panią błagać — tylko już parę kilometrów, według nowego pomiaru ziemi, żeby nie używać rodzimie podłego liczenia na staje i pręty.

— Dobrze, ale już nie mówmy.

— Muszę obronić w oczach pani pannę Guimard,

słynną z lekkości tańca i obyczajów. Zgrabnem pas baletowem wchodziła do suteryn biedaków, niosąc wiktuały i jałmużnę.

Teraz milczeć będę — i choćbyś pani tonęła — usiądę na brzegu i będę murem lub świętym z obrazu.

Wsiadł do powozu i zapraszał na migi Witę, ale gdy ta nie przyjęła, narzucił się na tomik, który wyzierał z jej mantelzaku przy siodle. Był to „Xiążę“ i „Dyskurs nad Tytusem Liwjuszem“ przez Niccolo da Macchiavelli, do którego zajrzeć jeszcze nie miała czasu.

DOMINJUM JWANHORA

Jadąc konno, oddała się samotnym myślom o niepewności prawd na świecie. Wszakże jedno jest pewne, iż życie płynie. Bo oto stopniowo stało się z nią to, co z nurkiem w głębinach morza. Tam na powierzchni żył uczuciami — im dalej w głąb, tem mniej zostaje w nim ludzkiego, tem bardziej upodabnia się algom, sargassom, rekinom.

Ze wzgórz Wita ogląda obszar pysznych lasów dębowych i jary o stromych nagłych spadkach po paręset stóp.

Burza musiała tu uczynić wielkie spustoszenia, leżały powalone drzewa, potoki rozlały się w rzeki, a rzeczki w jeziora. Czarnoziem śliski.

Trzeba brnąć z koniem przez szumiące wody, a kareta nieraz płynęła jak arka.

Coś odwiecznie wspaniałego w tej przyrodzie wiosennej.— Wita daje się opanować jej czarodziejstwu, ale dziwi ją niezwykła długość owych kilometrów.

Nakoniec ujrzała słup z napisem: Dominjum Jwanhora.

Lasy dębowe miały tu już pewne poręby, które wyglądały jak wirydarze błękitno-modre. Mgły niby muślinowa bielizna nimf unosiły się na leśnych jeziorkach. Po lewadach złociste jaskry, wzdłuż drogi dziewanny, olbrzymie osty, podobne aloesom — sturamienne ich kandelabry, wielkie jak jeździec na koniu — jarzą amarantowem kwieciem.

Dęby zmuszone do walki między sobą o światło, rosły wzwyż gonnie, nie łącząc się, nie plącząc listowia. Owite dzikim chmielem pnie siwe od mchów, wieczna zieleń pasożytnych jemioł i jaskrawe hubki.

Zda się, że nie będzie końca puszczy.

Sosna gdzie niegdzie — czerwieni się śpiżowością ko-

lumny. Zieleń jej głębsza i uroczystsza, wzrost wyższy, niż dębów; smętkiem kapłańskim przenosi myśl na północ ku Arkonie, nad wściekłe nurty Bałtyku.

Nasi podróżni spotkali wreszcie pierwszych zwiastunów cywilizacji: krowy rosłe, pędzone przez pastuszków i dziewczyny.

Od nich dowiedziała się Wita, że dwór „nie duże daleko"! że trzeba przejść spalony las, który włościanie podpalili Janowi Czarnoziemskiemu za to, że nie pozwalał tam wyrąbywać dowolnie drzew.

Istotnie, w powietrzu czuć już spaleniznę.

Sosny czarne, jak żałobne kandelabry przy pogrzebie, morą kopcia okryte; osmalone gałęzie bez igieł.

Wyjechawszy z tego Inferna, ujrzeli łan pszenicy — na mile całe wszerz i wzdłuż — bez końca na horyzoncie. Wyglądał jak morze rozfalowane. Wzgórza zniżały się w rozpadlinę jaru, pełnego kwitnących białych czeremch, niby piany w wirze morskim. Zboże kwitnęło, nad łanem unosi się mgła pylnej zarodzi.

Ten rok zapowiadał się niebywale pod względem urodzaju.

Kłusem tęgim jadąc, minęli nakoniec łan pszenicy; zaczęły się fioletowe koniczyny, wyki i grochy, błękitny len, konopie modre i żółte, wysokie kukurydze, koński ząb. Za tem morzem roślinności mrocznieje goły czarnoziem. Kilkanaście pługów, każdy ciągniony przez szóstki wołów lub pięć koni.

Droga wznosi się — na płaskowzgórzu wiatrak — stamtąd olśniewający widok na rzekę Roś z jej łąkami — na górę wysoką, gdzie kurhan i cmentarz — to Iwanhora. We wsi tegoż nazwania kilkaset chat szarych, jak namioty biblijne ze skór, po wzgórzach i jarach, niby rozsiane grzyby.

Chaty oblepione gliną, z prześlicznemi strzechami, gęsty kożuch bronzowej słomy z zielono-szmaragdową emalją mchu, z kępami kwitnących roślin przy bocianiem gnieź-

dzie. Żerdzie, ukośnie złączone, oplatały strzechę, daszek nad kominem, żeby nie rozlatały się iskry.

Chaty stoją wśród sadów pod wiśniami i jabłońmi, sypiącemi okrwawiony śnieg swego kwiecia, albo pod morwą olbrzymią o żółtych kwiatach. Z za płotów sterczą głowy jałówek.

Dzieciaki bawią się przy kałużach, mając nogi tak oblepione błotem, że zdają się w butach. Pląsają swobodnie, nie oglądając się na ogół ludzki, niby posążki na fontannach w Holandji. I daremnie żachną się angielskie turystki...

Na środku drogi pływają gęsi. Świnie rude, z czarnemi łatami lub całkiem ciemne.

Psy żółte, podobne do wilków, leżą cicho na przyzbach lub siedzą na drodze milczące i wychudłe. Zdumiewającej lojalności — nie żarły kur ani kacząt, które uwijały się przed ich głodnem spojrzeniem.

Dokoła chat sady pełne maków tęczowych. Słoneczniki, jeszcze zielone, całe pola ich zasiane przy chatach.

Co to będzie za kładyniec latem z tych sojaśników, jak zwą je po rusku! Pod ścianami białej chaty krzyczą ogniem świetnym nasturcje, niby skarb dukatów w noc św. Jana.

Wita jedzie, witając włościan przez „sława Bohu". Rzadko który jednak odpowie: na wiki wików sława — woląc czapkować rozpartemu w karecie Słusznicowi, który nie obdarzał ich ani mgnieniem uwagi; zaczytany, prawdopodobnie nawet nie wie, że mija wieś.

Małe dziewczyny, gdy podeszła do nich Wita, ruchem zawstydzonym podjęły suknie do ust, pokazując więcej, niż do połowy, swe figurki nagie.

Słusznic nagle wzniósł oczy od książki i zauważył odniechcenia, że na Ukrainie wcale niema dziewcząt, chyba do lat dziesięciu.

— Temperament szalony! — huknął i nagle, wspomniawszy ślub milczenia, opuścił znów oczy na książkę. Zresztą kwestja i tak upadła wobec przebiegających włochatych świń, które obryzgały naszych wędrowców błotem.

W ogródkach błyskają lilje czerwone, ofiarowując swe kielichy namiętnego szczęścia.

Akacje w złotem kwieciu.

W chatach rzeźbione drzwi i okna. Na sklepieniu z gliny różne ornamenty z kawałków kamieni i cegły, niby z paciorków czerwonych. To wygląda bardzo ładnie.

Wita z ciekawością pustelniczki wgląda w każdy szczegół zbiorowego życia.

We wsi odbywa się dziś jarmark, sporo ludu, którego żaden rząd nie wychowuje, tylko obywatel i córka jego niosą książki do chat.

Obcych włościan łatwo odróżnić nietylko po strojach, ale i po twarzach dzikich, o nieufnych, złych oczach. Tutejsi mieli już pewną kulturę w powadze obejścia i życzliwości powitania z obcymi.

Na rynku wiejskim gwar ogromny — mnóstwo barwnych kobiet, kozactwa i Czumaków, bo to prawo swobodnego handlowania. Więc z nad Czarnego morza na wozach sól, owoce, suszone ryby morskie i towary angielskie w kramach — przeważnie szklane i żelazne. Czabany czyli pasterze, rybacy i włóczędzy ze wszystkich krańców Rzplitej.

Widać też i Kozaków Siczowych — zręczni i dziarscy. Niedarmo mówi przysłowie: kudy kiń — to Kozak! — do wszystkiego... Grali na teorbanach, objeżdżali konie, handlowali zbożem, pili wódkę, śpiewali pieśni. Kontusze ich różnej barwy sukna — krótkie z wylotami, żupaniki z ładunkami po obu stronach piersi, szarawary buchaste, pasy skórzane z szabaturkami na tytuń, lulka, róg barani z prochem; nadto nóż mosiężny na łańcuszku, ratyszcze na wyłoku, pistolet za pasem, flinta i czapa — zwana jołom — czarny baran z ponsem, burka czarna...

Niektórzy mieli na arkan złowione ptaszęta i sprzedawali.

Strojno, huczno szli ulicą wsi...

Kupcy żydzi nie drożą się wcale o towar — szczególniej z druhem poplecznym, za którym stoi wielu wąsatych mołojców.

Trudno zresztą wiele wnioskować, jadąc spiesznie i wymijając kałuże.

Na górze wysokiej, jakby dla szczególnego kontrastu, piaskowej — widnieje cmentarz. — Tuż cerkiew unicka o zielonych kopułach. Rzeka rozlewa się w jezioro.

Długi most na palach.

Szuwary, trzciny z czarnemi kitkami, tataraki, białe grążele.

Ostry, donośny brzęk świerszczów, brzęczenie komarów, krzyki łysków i kaczek dzikich, chcących zagłuszyć klekoczący młyn.

Rzeka pieni się na skałach — zwiastując dalekie porohy.

Na majdanie setki biało-czerwonych krów i tysiące czarnych owiec. Krowy zamyślone stoją w wodzie, jak fakiry w Gangesie, machają odniechcenia ogonami — czego nie porówna już Wita do pawiego wachlarza maharadży. Strażują ich konni pasterze, czabani.

Oczami chłonąc piękną wieś, obejrzała się jeszcze, gdy już chaty przeminęły. Na płocie dziewuszka, może siedmioletnia, z kwiatem wielkiej, ponsowej malwy, uśmiecha się.

Nie było już czasu na rozmowę.

Brama wjazdowa z podwójnych belek modrzewiowych, z łukiem wygiętym na bokach.

Zaczynał się park.

Jesiony ogromne, z pierzastemi liśćmi, przypomniały Wicie, że był bóg słowiański, Jasień: drzewa te zwą się po tutejszemu jasienie.

— Nareszcie! ładną jest pańska słowność — parę kilometrów — przez dwie godziny jechane konno wyciągniętym kłusem!...

— Czyż winien jestem, że szlachta nasza tak objada się ziemią, jak chiński smok księżycem!

— W parku poczekam, aby zapoznać się z panią domu.

— Tak nie jest przyjęte w Luwrze, ale pani jest pra-

wodawczynią, a ja — jej niewolnikiem. — Pójdę już piechotą. Szalenie lubię ruchu dużo — i o ile można — par force. Więc na minutę zostawiam panią z tym Florentyjczykiem. Dalipan, powinno się dzieci polskie na nim wychowywać, a nie na Drużbackiej piłach w rodzaju: — Historja chrześcijańska księżny Elefantyny lub Anieli Oziembłowskiej Cnota ufności w Bogu, jemu najmilsza!...

Tu jest wcale ładnie, przypomina mi — beaux jardins de Villars, — ombrages toujours frais!... A więc, na minutę — nie dłużej! —

Odszedł ogromny, jak posąg Trajana, zadowolony z siebie, jak mors — królujący na bezludnej skale wśród pingwinów.

Wita zagłębia się w chłodną ciemność pod lipami, których pnie czarne, olbrzymie, niby żubry z Białowieży.

W parku powietrze wonne, usypiające od brzęku pszczół i sykania świerszczów.

Czuje się zmęczoną. Aby nie zasnąć, rzuciła okiem na tomik — oprawny w czarną skórę, niepokaźny.

I w okamgnieniu odeszła ją wszelka chęć do słodkiego farniente.

Zaczęła czytać; wydało się jej, że to żmija błyszczy i wykręca się — tyle argumentów, replik, tryplik i kwadruplik... Niedarmo pewien kardynał orzekł, iż „Xiążę" pisany jest palcami szatana.

Uczył Makjawel Xięcia, jak ma uderzać, nie grożąc, i wyganiać, nie czyniąc prześladowań.

Ciągła i głęboka skrytość, maksyma iść do swych celów drogami, które zdają się jak najbardziej od nich oddalone.

Uczył — jak Tarkwinjusz winien nakładać więzy, a Brutus jak może je złamać. Genjalny ateusz używał spraw najświętszych jako instrumentu. Uznaje tylko fakty. Zło i dobro, cnota i występek zmieniają swe walory względnie do okoliczności — i woli mocniejszego. Uczył ludzkość, jak trzeba osiągać swój cel.

Przenikliwy i samotny każe człowiekowi tworzyć swe przeznaczenie. Ukazuje otchłań przewrotności ludzkiej.

Pod zimną obojętnością kryła się jednak boleść głęboka Italczyka.

Coedimur et totidem plagis consumimus hostem...

Wita wciągnęła piersiami całemi, jak pantera, woń odurzającą tej książki.

— Oto czego potrzeba naturze polskiej dla zrozumienia rzeczywistości — szeptał w niej jakiś nowy, obcy głos.

Ale książka ta służy dotąd tylko możnym gnębicielom — odparło jej sumienie. Była wszakże dziełem przewodniem Katarzyny Mediczi, gdy tępiła Hugonotów, a teraz Fryderyka Wielkiego, który zachwycająco umiał przeprowadzić pierwszy podział Polski.

Nie jest to broń ludów, ale — tyranów lub spiskowych.

Sztylet zatruty uchwycony został przez wrogów, nim ktoś w Polsce nań zwrócił uwagę. Makjawelizmem przepojony jest ustrój potężnych państw w. XVIII.

Tam rządzi mądrość wężowa; tam dławi muskulatura armji; tam organizacja społeczna daje pieniądz, ludzi, karność i wykonywanie wszelkiego rozkazu! Potęga zbiorowa musi zwyciężyć anarchizm polski!

Czytała dalej:

„Ci, którzy umieli najzręczniej kroczyć lisiemi drogami — najwięcej dosięgali. Trzeba zręcznie przybrać naturę lisa, posiąść sztukę udawania i maskowania. Ludzie tak są ślepi, tak pociągani koniecznością momentu, że hipokryta zawsze znajdzie kogoś, kto pozwoli się oszukać.

Papież Aleksander VI miał zawsze środki i okazje, aby zwodzić. Nie było człowieka, któryby twierdził coś z większą pewnością, opierał swe słowa na tkliwszych przysięgach — dotrzymywał z mniejszym skrupułem...

Dobrze jest dla księcia wydawać się dobrym, wiernym, humanitarnym, religijnym, szczerym! — Niech on takim będzie istotnie, ale niech jednocześnie panuje nad sobą, aby mógł i umiał w potrzebie pokazać właściwości przeciwne.

Każde jego słowo winno oddychać pięciu zaletami, które wyliczyłem, aby słysząc go, miało się wrażenie słodyczy, szczerości, honoru, a głównie religji — gdyż jej trzeba zawsze bardzo wiele na pokaz...

Niech Xiążę myśli jedynie o zachowaniu swego życia i swego państwa. Jeśli tego dosięgnie, wszystkie środki, których użył, będą wielbione przez wszystkich. Bo w czynach ludzi, a głównie Xiążąt, którzy nie mogą być badani przed trybunałem, szanuje się zawsze tylko rezultat".

Wita zamyśliła się głęboko.

Xiążę Józef nazwał ją swem sumieniem — żali ona nakazałaby mu stać się władcą makjawelowskim?

Jeszcze dni kilka temu odrzekłaby: przenigdy! Teraz — po strasznej scenie z prałatem w pustelni, po widoku chrabąszczów z wyjedzonemi trzewiami, po spotkaniu z wiedźmą, wyznawczynią djabła — waha się — gdyż samemi dobremi siłami nikt w życiu nie zwycięży!...

PANI KATARZYNA

Walei ukazała się postać idącej kobiety — niewysoka, silnie zbudowana, brunetka, z twarzą klasyczną, o przenikliwych, ciemnych oczach.

Ze zdumieniem wejrzała na Witę czytającą, zaczerwienioną i w płomieniach.

Ta nagle oczy podniosła i wstała.

— Jestem Czarnoziemska. Pan Słusznic opowiadał o pani nadzwyczajności. Jeśli nawet trzy czwarte odrazu odciągnąć na jego styl wieżycowy, dowodzący, że pani jest w jednej osobie świętą Klarą, Hypatją, Pentezileą i Makjawelem, to, ponieważ on nigdy nie kłamie co do faktów — jest pani dobrą, mądrą, jeździ konno i myśli o dźwignięciu ojczyzny — czy odgadłam?

Cóż pani czyta tak niezwykłego? — zagadnęła, widząc, że Wita nie może przemówić nawet banalnych słów powitania.

Wita uśmiechnęła się, aby ukryć chmurę na sercu jej ciążącą. To była pierwsza zdobyta na Makjawelu lekcja: włożyła maskę ciszy, choć wre od burz.

— Maleńki dyskurs nad Tytusem Liwjuszem. Jak u państwa jest pięknie i kojąco! taki złoty brzęk rojących się pszczół —

— Zaroi się wkrótce od gości — u nas dziś też maleńki zjazd... — uśmiechnęła się, zgadując, że Wita ukrywa swe myśli. — Proszę zagościć w naszym domu.

— Nie jestem przygotowaną, aby wystąpić na takim zjeździe, gdzie będą wielcy działacze narodowi —

Pani rzuciła okiem na jej kostjum.

— Znajdziemy w domu. Nigdy amazonki Tassa ani święte Skargi nie woziły ze sobą kufrów.

— A, nie o tem myślałam — odparła żywo Wita. — Mam zresztą niezłą suknię w mantelzaku. —

Uśmiechnęła się znowu pani na tę niedbałość tak pięknej osoby. Wiodła ją przez głębokie zacisze prastarej alei.

Wita rozgląda się z ciekawością. Dawno nie była już wśród kulturalnego życia — wszystko ją zajmuje, poniekąd bawi dziecinnie.

Na wielkim trawniku lśnią kule zwierciadlane różnej barwy — szafirowe, zielone, srebrne.

Odbija się w tych wydętych ze szkła zabawkach park i bezbrzeżne niebo.

— To ludzka dusza — szepnęła.

Ale twarz Wity staje się karykaturą, gdy chciała w takiej kuli się przejrzeć.

— To filozofja materjalizmu! — zauważyła pani.

W oddali widać rozbawiony rój dzieci przeróżnego wieku, rzucały serso, puszczały wolanta, używały huśtawek i gimnastyki.

— Te dzieci przyjechały do państwa?

— Bocian je przywiózł — odparła, śmiejąc się, pani.

— Ja wiem, że nie bocian — odparła, czerwieniąc się, lektorka Makjawela — ale tak dużo ich — a pani —. Tu spojrzała na piękną, jak Wenus, kobietę.

— Nie wyglądam na zwolenniczkę św. Katarzyny? przez patrjotyzm, proszę mi wierzyć — niestety — pięć córek i tylko czterech chłopców. Na te ciężkie czasy Rzplita potrzebuje mężczyzn! Z kobiet zaś w Polsce tylko zamęt i buduarowe intrygi. Przepraszam, że tak mówię po staroświecku.

— Tak, to nawet nieco zacofane, zważywszy, że mieliśmy królowę Jadwigę, założycielkę akademji; Zofję Chrzanowską; Marję Leszczyńską, a teraz wojewodzinę Jabłonowską, księżnę Izabellę z Flemingów — i —

— I?

— I nas dwie. —

Uścisnęła Witę, śmiejąc się serdecznie.

Odrazu stały się przyjaciółkami. Gospodyni domu prosi, aby mówiły po imieniu.

— Katarzyną mnie nazywaj, choć nie chcę podlegać tym samym patronom, co nasza dostojna sąsiadka. Ona jest pod świętym z Ferney, ja pod świętą ze Sieny. A ty?

— Mnie proszę zwać Witą.

— Takiej świętej jeszcze nie było. Czy chcesz zapoczątkować?

Co prawda, niebiosa dla współczesnych są czarną nicością — więc święci musieliby też wyglądać jak kominiarze!... I, doprawdy, jeśli spojrzeć na tych dostojników — na których spoczywają specjalne błogosławieństwa i najwyższe ordery św. Ducha i Złotego Runa!... —

Pani Katarzyna zatrzymała się i, jakby żałując, że wdała się w krytykę czasów — rzekła:

— Nasze niebo twórzmy, jak chciał tego Chrystus: w zupełnem odrodzeniu — w doskonałości, jak jest nasz Ojciec — tam — —

Przechodziły właśnie w pobliżu kościoła w parku, okolonego rodzinnym cmentarzem.

Kościół niewielki, o szlachetnych linjach, jakie ma sopra Minerwa w Rzymie.

Zamknięty teraz — więc obejrzały tylko grobowce. — Wśród rozmaitych marszałków, oboźnych i starostów, wyróżniał się krzyż z granitu na granitowym bloku i napis: „Przez patrjotyzm kochając lud, wzajem od niego był kochany".

Na ogromnym, bronzowym sarkofagu hełm i miecz. Po bokach cztery pochodnie, gotowe zapłonąć. Głosił napis: Przyszłym rycerzom. Anno D. 1693. Rotmistrz z pod Wiednia. —

Wita pochyliła głowę w zadumie.

Kto będzie godnym lec w takim grobowcu —?

Wtem od gromady dzieci oddzieliło się chłopię i przybiegło do matki. Takiej krasy nie widziała jeszcze nigdy Wita, takiego uśmiechu czarującego, takich oczu marzących.

— To syn twój, Kasiu?

— Tak, nosiłam go pod mem sercem — i noszę!...

Niewysłowioną dumą macierzyńską zabrzmiały te słowa.

Wita przywitała się z chłopczykiem. — Nie może zginąć Polska, jeśli ma takie anielskie młode pokolenie, — pomyślała.

— Jak masz na imię?

— Władzio.

— A czem chcesz być?

— Botanikiem.

Wita oczekiwała, że odpowie pacholę: królem, wojewodą, rolnikiem — ale zbieraczem i znawcą ziół?

— Mam zacnego nauczyciela, który Władzia uczy — razem czytają Bernardin de St. Pierre'a — wędrówki po krajach tropikalnych i poznanie naszej flory w codziennych wycieczkach — tak zapaliły Władzia. —

Z mimowolną zazdrością, a przynajmniej z żalem pomyślała Wita o swojem dzieciństwie, pełnem hamletowych dramatów, poniewierki, tułactwa, braku opieki i pomocy w kształceniu. Tu napełnia się młodość ambrozją, gdzie indziej błotem i trucizną. Jakiej niesłychanej łasce duchów zawdzięcza Wita, że nie stała się kurtyzaną lub zwykłą niewolnicą szlacheckiego opoja?

— Pokaż mi, Kasiu, inne swe dzieci. Znam zbyt mało dworów i życia rodzinnego w Polsce.

— Ale to może odbierze ochotę wytrwać w pustelni?

— Nie, spojrzę tylko jakby w słoneczny krajobraz — zanim mię otuli słota i mgły —

— Zali nie masz i ty słońca?

— Ja? cóż innego czynię? lecę w słońce! —

Te dwie dusze pojęły się już ostatecznie.

Milczenie — jak po uroczystem w kościele nabożeństwie, gdy znajomi nie mówią ze sobą — choć tyle mieliby w domu rzec — i o rzepaku zgniłym i o koniu, ochwaconym przez szelmę Maćka.

— U was, jak u pana Podstolego!...

— Ale co znowu — wcale nie tak uroczyście, jak

w ideale biskupa Krasickiego... Taki ot sobie — jeden z tysięcy dworów polskich.

Teraz skorzystam, że nikogo niema, bo panowie poszli do gospodarki i pokażę ci wszystkie celki naszego ula.

Dom ten, z czterema wysokiemi filarami od frontu i piętrem, wybudował pradziad męża, ranny przy wyprawie wiedeńskiej. Modrzewiowe lasy zachowały się u nas — więc dom z modrzewia. — Oblegani tu za Koliszczyzny; byłam wtedy młodziutką wychowanicą rodziców mego męża — gdyż moi rodzice już wtedy umarli.

A obronili chłopi nas, gotowych stoczyć bój i raczej dom wysadzić w powietrze, niż poddać się pijanym, zdziczałym hordom: lach, żyd, sobaka — to wira odnaka.

Lud nasz jest dobry; z nastaniem czynszów, zamiast pańszczyzny — nigdzie mu lepiej nie będzie, niż w Polsce. Religji tu nie prześladują, wszyscy budujemy cerkwie unickie, zamiast kościołów, obdarowujemy klasztory Bazyljanów i szkoły ruskie. Bo Ruś i Litwa to nasze siostry. —

Na ganek wstąpiły wzdłuż domu idący, opleciony tradycyjnem winem.

— Tu nasz wieczernik letni, spożywamy kolację, patrząc w zachód słońca, które złoci. Na tym usypanym, obronnym wale — zgadnij, co teraz jest? winnica. Od strony południa dojrzewają tu znakomicie winogrona. Wał ten ciągnie się kroków dwieście, niegdyś służył istotnie do obrony. Widać stąd błyszczące stawy. Hodowla ryb tymczasem niebardzo się opłaca: Kijów daleko — zresztą to mieścina licha, ma zaledwo pięć domów murowanych. Cóż mówić o Kaniowie! Dlatego nasi włościanie używają dla siebie rybołówstwa, ja tylko potrosze próbuję ryby wędzić i wysyłam do Berdyczowa i Warszawy. —

Widząc, że Witę wszystko zajmuje, pani Katarzyna oprowadza ją po całym domu.

Weszły do komnaty dziewczynek. Łóżeczka, umywalnie, podłoga ze zwykłych desek heblowanych, ale biała, jak szatkownica. Prócz córek pani Katarzyny były tu dziewczęta ze wsi. Na czarnej tablicy zadanie rachunkowe

rozwiązuje nauczycielka — o twarzy łagodnej, lecz stanowczej. Atlas francuski roślin i zwierząt, kilkanaście podręczników, wydanych przez xs. Konarskiego. Na ścianach sztychy pejzażów, robionych przez znakomitego Chodowieckiego, wnętrza zajazdów, typy chłopskie, zamki i dwory.

Zapach miły szedł z ogrodu i od sianożęci. Słońce zalewa część komnaty, tu zaś, gdzie odbywa się lekcja — zielone żaluzje przepuszczają powietrze, miarkując blask. W innych komnatach większy zbytek — pawimenty czyli podłogi woskowane świecą, jak lód; mozajki w deseń geometrycznych promieni, z ciemnego dębu i jasnego jaworu lub czerwonawego cisu.

Pani Katarzyna mówiła w napomknieniach o przemyśle krajowym.

— Piece kaflowe z błękitnemi rysunkami — to wcale nie Holandja: pan Tyzenhaus, podskarbi litewski, wyrabiał i do nas Prypecią, a potem Dnieprem dosyłał. Wiesz, zapewne, gdzie miał swe fabryki?

— Nie — odrzekła zawstydzona Wita.

— Pod Grodnem, w Horodnicy i Łososnej były gmachy ogromne — mnóstwo cudzoziemców, setki młodzieży w nauce. Młyny, warsztaty tkackie, suknowalnie, huty żelazne, wyrób jedwabi, pasów, powozów, szkła. Prócz tego założył szkołę lekarską, położniczą, weterynaryjną, ogród botaniczny.

— Jak muszą go uwielbiać w kraju!

— Hm, niebardzo... znasz pewno tę sprawę rozgłośną — Stackelberg, Rzewuski grand maître, ba — nawet Józef i Stanisław Poniatowscy należeli do spisku pani Krakowskiej, siostry króla: uchwalono skorzystać z chwilowych trudności majątkowych Tyzenhauza, który naraził sobie wielu tem, że despotycznie rządził w trybunale na Litwie. Postawiono mu wartę, odjęto papiery, zajęto fabryki, zasekwestrowano dobra.

Kilka tysięcy robotników zostało bez chleba.

Tyzenhaus z kijem i torbą w ręku schronił się do Grodna. Rzucili się z zajadłością na pobitego — szczegól-

niej Rzewuski i biskup inflancki Kossakowski. Najobelżywsze mowy, najdziksze oskarżenia! że podskarbi pieniądze, mające być użyte na złączenie Piny z Muchawcem użył na cel inny.

Król, aby siebie obronić, zdradził przyjaciela; zniweczono olbrzymi wysiłek pracy tego nadzwyczajnego człowieka...

I kiedy, wracając z sejmu, przejeżdżał przez dwór matki mej — młodzież — patrzyliśmy z trwogą na tę twarz zbolałą... Cały wieczór stał przy piecu, jak oniemiały — ze spuszczoną głową i słowa od niego dopytać się nie było podobna. Wróćmy jednak do tych pieców. Daliśmy nowe, bo dawne były z cegły tynkowane, z malowidłami niezgrabnemi. Kopciły i walały ubranie. Cóż ci jest, Wito?

— Nic! Xiążę Józef należał do sprawy przeciw podskarbiemu?

— At, młokos — nie miał wtedy i lat dwudziestu — wśród wiru intryg dworskich nawet mędrszy nie ostoi się! Ale nie mówmy o smutkach!

W oknach niektórych zachowały się jeszcze kraty żelazne, któremi niegdyś dom cały był obwarowany — tam szyby są w oprawie ołowianej, z grubego zielonego szkła.

Kominki rozjaśniają nam smętek zimowych burz. Zegar gdański, z tarczą malowaną, wydzwoni niejedną północ, gdy starsze panie sąsiadki albo kobiety wiejskie nastraszą nas duchami w lochach i ukazywaniem się nieboszczyków jęczących. —

Wita zaczęła podziwiać kobierce na ścianach tureckie.

— Anatolskie — poprawiła ją pani Katarzyna — bo Turcy są próżniakami; te zaś kilimy i gunie dziane w Słucku mają wzory polskie, nasze, według malarzy warszawskich, Bacciarellego i jego uczniów.

W salonie Wita ogląda z podziwem aksamity genewskie, grubo wybijane, złotogłowy, gobeliny ze scenami biblijnemi.

Meble kryte adamaszkiem zielonym, taburety przed klawikordem maurytańskie — wykładane masą perłową. Lu-

stra w ramach złotych w stylu jeszcze Ludwika XIV, trumoar przed kominkiem z witrażu szklanego. Na stoliku małym szachy przedstawiają wojsko tureckie i polskie. Na drugim stoliku roboty włóczkowe, jedwabne, paciorki, srebrne i złote hafty.

Nad salonem mała galerja dla kapeli, gdzie żydzi lub cyganie zastępowani już są przez włościan muzykalnych.

W innych pokojach ten sam wdzięk, porządek i pewna surowość.

W jadalni krzesła wykładane pozłacaną skórą, co potrafią czynić w Wilnie, nietylko w Kordobie! wysokie, w stylu gotyckim, dobrze harmonizowały z portretami rycerzy i dam z rodziny, tudzież różnych znakomitych postaci w kraju, jak Kopernik, Czarniecki, Batory, Skarga, Jan III, a z nowszych, gwoli majestatu — król Jegomość, pan Tyzenhaus, astronom Hewelius, x. Konarski, Andrzej Zamojski, Ignacy Potocki i inni.

Dominował obraz olbrzymi — dobra kopja z fresku z Wieczerzy Lionarda da Vinci, roboty polskiej malarki.

Witę napełniło uczucie dumy, że przecież Polska nie jest żebrakiem narodów.

— Możemy zwiedzić gabinet męża i bibljotekę, skoro panowie nie wrócili jeszcze od gospodarstwa. Biurko roboty kolbuszowskiej, również i wszystkie meble w tym pokoju. Mogą rywalizować z gdańskiemi.

— Jaki miły ton tego drzewa!

— Politurowany cis. Kolbuszów leży na Podhalu. Sprowadzenie tych mebli zajęło dwa miesiące czasu — posłaliśmy sześć par wołów.

Bibljotekę mamy dość zasobną, prócz bibljoteki domowej — kilka biblij starych Leopolity, Wujka, Brzeskiej. statutów Łaskiego, Herburta, Konarskiego, dzieła Długosza, Bielskiego, Kromera, Piaseckiego, Kopernika, Syrentusza, Skargi, Piotra Kochanowskiego, Trembeckiego, Krasickiego i Naruszewicza. Udało się nam zakupić we Francji i morzem do Rygi, stamtąd Dźwiną, Prypecią i Dnieprem dostawić kilkanaście pak. Są to zbiory pewnego historyka

francuskiego, który zajmował się też ruchem socjalnym w Europie — stąd mamy Russa, Diderot'a, Condorcet'a, tu Mably odpowiada na zapytanie Wielhorskiego, jak reformować Polskę? niewiele z tego mądrości dla nas. Ważniejszemi są dzieła historyczne, dotyczące Francji, Anglji, Niemiec, a nadewszystko Rosji. Zbieramy wszystko, co dotyczy Piotra Wielkiego, rozwoju cywilizacji tego państwa — szczególniej niniejszego czasu za Katarzyny II. Porównywamy z mężem ducha łacińskiego naszych dziejów z niemiecko-bizantyjskim tamtych. Niema lepszych praw, niż nasze Volumina legum, odnowione przez kodeks Andrzeja Zamojskiego; niema większej tolerancji religijnej, ale brak nam obowiązku; brak — pracy; brak — wojsk; brak nadewszystko króla groźnego, któryby szkutę zestarzałą polską przerobił na dzielny, wojenny okręt. Będą nas szkalować, jeśli zwyciężą; dla zwyciężonych my byliśmy zawsze zbyt łagodni. Weź choćby sam lud — cóż łatwiejszego było, jak uczynić go katolickim! Zresztą widziałaś typy? to niemal czyste Mazury. Śniadych brunetów spotkasz dopiero pod Pełtawą albo w Bessarabji. Machina państwowa daje swobodę jak największą szlachcie — ale też dużą ludowi. Teraz nazywają chrześcijaństwo głupstwem. Każą zakuć do broni setki tysięcy żołnierza, każą nie wierzyć w Ducha i Braterstwo ludów. Sit iis triumphus. Jeszcze może jaki Dżyngis-han nastąpi na gardło Europie — i zatęskni ona do wielkich misterjów Braterstwa. —

Wprowadziła Witę do ostatniego pokoju z widokiem na las i zboża.

Przeżegnała się, umoczywszy palec w cynowej miseczce z wodą święconą.

— Moja to sypialnia, gdy byłam jeszcze panną, wychowanką rodziców Jana.

Teraz jest tu moja pracownia. Tobie ją oddaję, Wito. —

Jasno tu i zacisznie. Obraz Matki Boskiej Poczajowskiej, na ryngrafie malowany, dokoła wieńce nieśmiertelników.

Rubinowa jarzy lampka.

Różaniec z owoców eukaliptusu — pamiątka pielgrzymki do Jeruzalem; wisi gromnica.

— Moja matka umierała z nią. —

Szafa z drucianą kratą i szybami, pełna strojów.

— Nie zmienia się tak bardzo moda u nas, na kresach; znajdziesz, Wito, kilka pięknych szat. Nie będę cię zachęcała, bądź spokojna, do salop z kapturkami i palatynek, do żużmantów, kabatów i ażusty. Wybierz sama jaki kontusik z altembasu. —

Wita z ciekawością, zamiast szaty, jęła oglądać karty do wróżb, leżące w pudełku z paciorków szklanych, przekładanych lusterkami.

— Wierzysz we wróżby?

— Wierzę — odparła ze szczerością Wita — ale nie we wszystko. Dusza jednak zna przyszłość.

— To musisz mię nauczyć i przekonać. Wprawdzie jest u nas tradycyjna księga, babka moja z niej wróżyła: zawieszało się ją na kluczu z grobowca i trzeba było pytać: czy ten X. ukradł konia? Księga milczy. Czy ten Y. ukradł konia? Klucz nagle wykręcał się z palca, księga pada — i złodziej odkryty!

Ja tego nie czynię, ale w to wierzę. Choć nie wiem, jaki ma związek złodziej i klucz z grobu?

— Podobnie przy pomocy różdżki znajduje się źródła podziemne albo przy pomocy pęku kluczów. Lecz i ja tego nie sprawdziłam. Może to są nieudolne symbole dla duszy, która wie wszystko?

— Co mówisz, Wito? umysł nasz tak jest ograniczony! Kiedyś wieczorem pomówimy — teraz kanarek ten w klatce za oknem zbyt wesoło ćwierka, słońce zbyt zalewa pokój swym rozumowym blaskiem.

— Jakże miłe tu kwiaty świeżo zerwane!

— Na stoliku toaletowym masz lustro, różne mydła, olejki, perfumy, eliksir do ust, pomada do włosów — wszystko domowego wyrobu.

— Bardzo chętnie skorzystam z ułatwień higjeny i kalurgji — zachwycam się tem biureczkiem zakrywanem!

tu można myśleć i pisać... Widzę różne zapisane seksterna i akty, książka otwarta — historja Niemiec Pfeffela. I na to wszystko masz czas, Kasiu! tragedją kraju, że na tysiące ciemnych próżniaczek kobiet jedna musi tak pracować!...

— Bardzo mało mogę, wierzaj mi. Ale dostałam dość staranne wychowanie razem z chłopcami starszymi, a potem z Janem uczyłam się dwa lata — on w Sorbonie, ja — w bibljotekach paryskich... Teraz pójdziemy oglądać apteczkę domową, jeśli interesujesz się medycyną — a wogóle jeśli jeszcze oddychasz i żyjesz od tego oprowadzania cię po wszystkich larach i penatach domowych!

Tedy poszły oglądać aptekę, gdyż Wita interesowała się medycyną. Ujrzała tu parę ksiąg medycznych i znane sobie wskazówki do opatrywania ran; bałamutne „Dorady płci obojga" Radomontana; nadto książki botaniczne Kluka, Marcina z Urzędowa, Syrenjusza. Na tematy lekarskie z panią Katarzyną poszły o lepsze, bo Szczerbina wiele jej udzielił sekretów.

Oglądając różne dekokty i lekarstwa, spierały się o wartość leczniczą borsuczego sadła i benzoaru sprowadzonego aż z Wenecji.

Kiedy pani Katarzyna wyśmiewała dawne przesądy babek, że woda deszczowa zebrana w czasie grzmotów chroni płeć od piegów, Wita rzekła:

— Nie wiem, czy od piegów chroni. Ale Sędziwój mówi, że potężne siły kryją się w ziemi, w rosie i w błyskawicach. On swój kamień filozoficzny — chalyles — wytwarzał z rosy i gliny... Czy niema zatem jakiejś tajemniczej siły wszędzie rozlanej? Pan Franklin wszakże ściąga błyskawice z nieba po drucie i czyni piorun nieszkodliwym.

Co mówisz? że też mię to nie doszło! a ja zawsze tylko używam loretańskiego dzwonka!

— Wiara chroni naszą duszę, jak piorunochron stodołę — zaśmiała się tamta.

Zapach miły spirytusów nalanych na róży, bławatkach, dzięglu, berberysie i konwaljach. Cały dom zresztą woniał

żywicą modrzewiowych belek i zapachem otaczającego ogrodu.

Aliści rozległ się na podwórcu dźwięk niezwykły — hajduk stojący na olbrzymiej topoli, gdzie była platforma — zagrał na długiej trąbie i uderzył w miedzianą płytę. Te alarmujące dźwięki znaczyły, że jadą goście i są na milę od domu.

ZJAZD UKRAIŃSKI

Wita szła do przeznaczonego dla niej pokoju. Umyła się, rozczesała włosy; od służącej żąda żelazka do prasowania sukni, którą wydobyła z mantelzaka. Wtem wpadła do pokoju pani Katarzyna.

— Już zdradzasz naszą przyjaźń? to mnie uważasz za obcą? w zgniecionej sukni podróżnej chcesz ukazać się najświetniejszym umysłom polskim? zawstydź się czerstwości swego serca, Wito, a zapłoń od niepoczciwości swych wnętrz.

Tak żartując, strofowała biedną.

Rozchyliła szafę, wybiera piękne suknie, bogate i precyzyjne.

Wita uparła się, że przy swym stroju zostanie — i bez wprawy, ale z wrodzoną zręcznością do wszelkich robót, odświeża szatkę swą.

Gdy włożyła na siebie, pani Katarzyna krzyknęła z podziwu.

— Wyglądasz jak bogini. To jest poprostu, jak mówiono dawniej — szumne, ale właśnie, że cisza świątyni leśnej jest w niej. Kto ci ją szył? co to za materja? trochę dziwna, ale gdybyś była królową, a choćby metresą króla, stworzyłabyś modę. Gdzie masz takich krawców, bo nawet w Berdyczowie takiej nie uszyją...

— Widziałam Atenki na wazach greckich i etruskie tanecznice; chińskie malowidła na porcelanie dodały mi fantazji. Nie składam stylów ale zapragnęłam mieć coś dla mego usposobienia; materję dał mi Szczerbina, pomogła mi haftować (bo już na to nie mam cierpliwości), moja siostra przybrana, Kozaczka Kałyna — i ot straszyć będę ludzi.

Rodzaj tuniki swobodnie opada fałdami, ściągnięty pasem szerokim.

Z jedwabiu czarno-zielonawego, lionskiego, mieni się jak głębina leśna z haftem paproci jedwabnych, lekko znaczonych. Modry niby rzeka leśna pas przecina ją i spływa kaskadami moręgowatych fal. A od piersi prawej leci ptak szkarłatny zmierzając ku słońcu ze złota na piersi lewej.

Nowość dla pani Katarzyny — trafia do jej śmiałego sądu i smaku.

Zgarnęła wspaniałe włosy Wity w promienną aureolę, umocniła fryzurę szpilkami z szyldkretu i bursztynu.

Wita, ujrzawszy się w lustrze, aż przeraziła się — istotnie, zda się jakąś boginią.

Chciała uprościć zaczes włosów — ale pani Katarzyna zaprotestowała, że nie mają już czasu.

Kilka kwiatów zielono-złocistej frezji, rzuconej we włosy, dopełniło stroju.

— Jesteś w całem słowa znaczeniu kobietą piękną, mogłabyś podbić każdego xięcia! — zawyrokowała pani Katarzyna, spiesząc do swej gotowalni.

Słowa te, rzucone bez złej intencji, wstrząsnęły Witą. Zapłonęła jak róża szkarłatna od wewnętrznej walki. Alboż jest z tych kobiet, które za wszelką cenę usiłują zdobyć xiążęcy tytuł — choćby pod nim krył się idjota lub szubrawiec?

Ma wybrać estetyzm, czy ducha zapalać w jego milczeniach groźnych, wybłyskujących piorunem?

— Boże, nie daj mi iść przez świat ułatwieniem piękności, podbiciem oczu, zaczarowaniem zmysłów — modli się Wita.

Zrzuciła szatę wspaniałą, wyjęła szpilki bursztynowe i szyldkrety, wdziała szybko czarny strój posłusznicy, otrzepany z kurzu. Włosy związała koło szyi, opuszczając je dalej swobodne. Zleciały jak złota kometa wdół mroku, który zakrywał linje ciała.

Teraz Wita skupia się w sobie i zbiera moc.

Zapada w ciszę rozmowy ze swym Panem. I wybiera

wśród wielu mieczów — miecz niewidzialnie przeszywający. A wśród wielu dróg — schody ku Świątyni.

Rozległy się wystrzały z moździerzów, klaskanie biczów, pęd szalony rumaków, ohamowanych nagle, jakby wyrastał przed niemi mur.

Wita nie wygląda przez okno, modli się wciąż. W tężyźnie spędzonych tu godzin zapomniała o xięciu Józefie; teraz mając go ujrzeć — poczuła, że nogi pod nią drżą.

Modli się krótko, gorąco. Uczuła spokój.

Zapukano do drzwi.

Weszła pani Katarzyna z mężem.

Ujrzawszy Witę ciemną, jakby zgaszoną, chciała gniewać się, ale anielski uśmiech, słodki jak ekstaza, rozświetlał Witę i czynił ją niedostępną wszelkim sporom.

Przeżegnała ją cicho pani Katarzyna, ta zaś schyliła się do ręki jej i ucałowała.

— Nie mam innej nad ciebie, moja Wito!

Z nadmiaru czułości wyprowadziła je mitologja.

— Wyglądasz na to, czem jesteś w istocie — Demetrą! zawołała Wita.

Miała tamta we włosach diademik wykutych ze złota kłosów. Szata biała, haftowana w modre habry. Na tem narzucony żupanik, też jedwabny, z jasno-zielonej materji w złote kwiaty.

— Teraz poznaj mego tyrana!

Tyran w kontuszu białym, w żupanie modrym z gwiazdą Orła Białego na czerwonej wstążce. — Pod krzyżem wielki krąg brylantowy, na modrej emalji cyfra królewska S. A. R.

Widać znany był już z zasług, mimo że nie szukał rozgłosu.

Czarna, długa broda — wysoki wzrost. Czynił wrażenie iście senatorskie — nietyle przez zewnętrzne szczęśliwe warunki, ile przez wewnętrzny spokój i rozum. I na bezludnej wyspie pozostałby — szlachcicem.

Na twarzy zastanawia wielkie skupienie i słodycz. Pod szerokiemi arkadami brwi oczy rozmarzone jak u fran-

ciszkanów Dżiotta, ale pełne zarazem rozumu. — Wąs bardzo cienki, jakby młodzieńczy, mimo że imci pan Jan miał już około czterdziestki, w ustach uśmiechnionych, wąskich była wielka stanowczość.

Pas rzemienny, przekładany srebrnemi skówkami, unosił szablę. W ręce lewej trzyma rękawiczkę, gdyż dla powitania miał prawą obnażoną.

Przemówił parę słów do Wity, prosząc, aby dom ich uważała za rodzinny sobie.

Wyszli zaczem do gości.

Na podwórzec zajeżdżały powozy, konni panowie, Kozacy i dworscy ułani.

Oczekiwano osób czterdziestu, zjechało ponad dziewięćdziesiąt. Nie zrobiło to żadnego nieładu, wszyscy goście zaproszeni mieli możność wprowadzenia swoich przyjaciół.

W salonie zapoznawano się. W wielkiej, rycerskiej komnacie filary oddzielały podwyższenie, okna szerokie, weneckie, na ścianach portrety znakomitych Polaków, niezwykłego życia dodaje roślinność. W mosiężnem naczyniu, długiem na szerokość komnaty przez cztery okna, stało kilkadziesiąt wazonów; liście bananów rozpierały się aż do sufitu, pomarańcze i malogranaty kwitnęły swemi przecudnemi objawieniami woni i wdzięku, wspaniałe, fioletowo krwiste liście begonij, jak łachmany z płaszcza królowej Bony, i tyle innych roślin, niby witraż naturalny, przepuszczają przez okna światło stonowane.

Wchodzą dostojnicy i damy, których nazwiska są dla Wity przeglądem dziejów Polski, szczególniej Ukrainy.

Nie chce być przedstawioną jako Rzewuska, lękając się, że trafi na kogoś ze swych krewnych. I rzeczywiście, był jej wuj rodzony, który jednak nie poznał jej — Adam Rzewuski, niedawno świetny poseł do Danji, zacny bardzo człowiek.

Wita prosi panią Katarzynę, aby przedstawiła ją jako sierotę z Podhala Tatrzańskiego. Zamek Krzyżtopory snuł jej się w pamięci, gdy była jeszcze dzieweczką. Nazwała się więc Witą Krzyżtoporską, dając sobie, jak wiele zresztą

rodzin — herb „własny". Na szczęście swe, nie zoczyła tu xiążąt Czartoryskich, jedynych z magnaterji, których osobiście zna. Ale też ci nie mogli być, znajdując się w zasadniczej opozycji do króla. Natomiast był marszałek Ignacy Potocki, zasłużony w Komisji Edukacyjnej. Młodzi państwo hrabiowie Tarnowscy — on z twarzą mężną, śniadą, o krótkim, energicznym nosie, ona pełna wytwornej piękności, jak biały irys.

Zacny xiądz Bazyljanin Trocki, który znał całą Ukrainę, zajął się z polecenia pani Czarnoziemskiej mentorowaniem Wicie. Krótkiemi, dosadnemi rysami charakteryzował:

— Oto Karol Tyszkiewicz, piszący dzieła filozoficzne w tendencji katolickiej. Brat jego, Henryk, ten piękny i rycerski.

Bierzyńska Józefa, ta urodziwa. Brat jej, ożeniony z Dołgorukówną, stał się Rosjaninem. Tam Hołowińscy z nad Rosi; mają trzy córki — jednej wywróżono, że się powiesi, drugiej, że młodo umrze, trzeciej, że wstąpi do klasztoru.

Kajetan Proskura, kocha się platonicznie w naszej zacnej matronie, Katarzynie z Chojeckich Czarnoziemskiej. Jest on dawnym druhem Szczerbiny z Kornina, wyrabia mu nobilitację przed sejmem — zresztą bez woli tego dzielnego Kozaka.

Waćpani zna Szczerbinę? takichby więcej!

Tu zacny magnat Jliński. Ci dwaj awanturniczo wyglądający — to Kalinowski i Krzyżanowski.

Tu wojski Głębocki, co strzelił do syna, gdy wszedł w obcym mundurze. Ten Modest Stecki, to buljon poczciwości — a jednak dał zalotnicy, w której się kochał, w twarz. Tem ją zdobył — i oduczył mizdrzenia się, kokieterji i manji zostania xiężną... Owdzie siedzi bardzo niesympatyczny skąpiec, zwany Kindziuszkiem — nie wiem, dlaczego tu się dostał. Gdy gość przyjedzie — woła: zarżnij — harbuza!

Tam Lubomirska xiężna, poczciwa siostra tego niegodziwca, co pułk rosyjski, będąc jego naczelnikiem — ograbiał. Dla umorzenia sprawy — dobra swe, Śmiłę, oddać musiał Patiomkinowi.

Tam znany z wolterjanizmu — Niemirycz. Przyjaciela jego, Franciszka Hańskiego, gdy umarł, wniesiono do kościoła. Xiądz tak zaczął egzekwje:

— Witam cię po raz pierwszy w kościele!...

Tam pani Hańska ze Skorupków — dzielnie rządzi, nabyła Wierzchownię, Hornostajpol z olbrzymiemi lasami...

Dwie panny Trypolskie, gnębione przez matkę, uciekły z domu pieszo. Znalazły jednak zacnych narzeczonych.

Tu krewny pani Katarzyny — Michałowski — wielki miłośnik ludu.

Karol Zaleski, poeta — pisze hymny, żona jego, coprawda — woli prozaika. W pasji kiedyś biednemu poecie dała nogą w twarz, kiedy bazgrał wiersze, miast iść do żniwa. Ale jej tu niema.

Teraz spójrz, waćpanna, na tę matronę, która ma robę z aksamitu czarnego, na głowie duchenka z czarnej tafty, z fioletową podszewką — to wojewodzina Jabłonowska z Lachnowicz! panna Jabłonowska, oboźnianka koronna. xiężna rozwiedziona Sanguszkowa rozmawia zalotnie z panem Słusznicem de Staraloza. Mielnicki, szef pułku, generał Konarzewski, zasłużony instruktor wojsk, uwielbiany biskup z Łucka — Cieciszowski; Tyszkiewicz, referendarz litewski, xiądz Staszic, nauczyciel młodych Zamojskich, panowie Bydłowscy, pan Moszyński, Dzieduszycki pisarz wielki litewski, Kublicki kapitan i architekt J. K. Mości.

Wojewodzic Działyński, przyjaciel Kościuszki kasztelan Bracławski-Grocholski; słynny konfederat barski, starzec już — Makowiecki. Podczaszy krzemieniecki Podhorski, Trzeciak, kasztelan Owrucki.

Ze średniej szlachty i niezbyt utytułowani, lecz najlepsi patrjoci: Sarjusze Zalescy, pełni skupionego poświęcenia; Świejkowscy, o wysokiej kulturze; Przecławscy, jako dęby napełnione miodem dobroci i męstwa; Zaleski Prawdzic, marszałek Piatyhorski; kulawy sędzia Hilary Chojecki, któremu nakazywał ojciec: chody krywo, sudy prosto!

Szanowni lekarze: Horoch i Postempski, uczony Janowski, miłośnik Ukraińszczyzny — spierający się o to, że Ruś

tworzy integralną część duchową i państwową Polski — z panem Dołęgą Zaleskim, zaciętym Białorusinem i katolikiem, nie uznającym Polaków na Litwie i Rusi. Był Ormianin o ponurej twarzy, wielki znawca sztuki europejskiej i chcący zaszczepić polską — pan Jasion-Amianowicz...

Słyną z gospodarności a mężów niedołężnych panie: Grabianczyna, Hańska, Borejkowa, Chodkiewiczowa i Pruszyńska. Starościanka Polanowska, uwielbiana za miłosierdzie. Tadeusz Czacki, młodzian bardzo uczony i niezwykle roztargniony. Pan Prot Potocki z żoną, założyciel fabryk wielu w Machnówce. I Abramowicz, siłacz, zakochany w żonie brzydala ułomnego, Gabrjela Tyszkiewicza, znakomity zresztą obywatel. I świetna, bogata Iwanowska, poszukująca koniecznie xięcia, i pani podkomorzyna Ewelina Buńczuczna Golejewska, zaiste buńczuczna, jeżdżąca sama czwórką dzikich koni... I Berezowska, kochająca szalenie męża bez wzajemności — a który uznaje tylko myślistwo. Ta rozrosła, przepiękna, jak Diana — to Sokołowska; tamta dzielna, gospodarząca sama, zamiast chorego ojca — Marysia Chamcówna, —

Xiądz, rozpowiadający Wicie nazwiska i dzieje domów, był zmuszony odejść. Gospodarz w mowie ceremonjalnie witał wszystkich. Wita rozmawia już z Ignacym Potockim. Wysoki i urodziwy. Twarz wesoła, pogodna, o myślącem, szerokiem czole, oczy wspaniałe, modre, zdające się ciemnemi. Usta dość wydatne, zmysłowe.

Rozmowa zaczęła toczyć się dokoła przemiany charakteru narodowego. I pan Ignacy uważał, że zabija nas prywata i próżność. Wyśmiewa mnogość pałaców, po drodze widzianych, a brak porządnego przemysłu i gospodarstwa... Jeden przez drugiego sadzi się, każdy chce dorównać magnatom.

Gospodyni zaprosiła panny, aby raczyły ubierać kwiatami stół.

Zlękła się Wita, że i ją zaliczą do „panien", że ominie ją rozmowa z ludźmi poważnymi; ale to był tylko

manewr gospodyni, aby młodsze pokolenie usunąć od słu chania rozmów zbyt poważnych lub drastycznych. O to ostatnie obawy narazie nie było, dopóki Słusznic nie za bierał głosu przy toastach. Rozmowa toczy się dokoła spraw krajowych.

Ponieważ xiądz Staszic wrócił świeżo z zagranicy z młodymi wychowankami, zaczął opowiadać, wspierany przez Ignacego Potockiego, który też przebył czas dłuższy w Londynie i Paryżu, a wracał przez Galicję zabraną do Austrji.

W Austrji niemieckiej stan włościan lepszy, niż w Pol sce, niema też żydów ani pijaństwa. Miasta ludne, rze mieślnikami wypełnione, bo sprawiedliwość i obronę prę dzej znajdują, a żydzi im nie przeszkadzają w handlu.

Ale są tam i fortece więzienne, jak Szpilberg — pię razy murem i wałami otoczony, gdzie jęczą ofiary despo tyzmu.

Kraków podupada. Wawel zmieniony w oborę dla by dła i chlewy. Ogród, gdzie były drzewa sadzone ręką pol skich monarchów — wycięto. Na tem miejscu sadzą kar tofle. Wszechnica terenem kłótni reakcyjnej ze stronni kami Śniadeckiego.

Krakowianie, owładnięci szałem bezpolskości, zaczęli burzyć mury, bramy i wały tradycyjne.

Miała się właśnie rozwinąć rozmowa o tem, jak uchro nić w Polsce wolność, a wzmóc się wobec ościennego mi litaryzmu.

Wtem dwaj hajducy otworzyli szeroko drzwi: wszedł xiążę Józef, z nim xiążę de Ligne i znany z ewangelicz nego życia Rosjanin, hrabia Kambiłow.

Xiążę Józef był w mundurze modrym, o kroju tużur kowym. Wyłogi jasno-błękitne, guzy duże, złote, na tem blaku szabli litera C — był to inicjał xięcia Charles de Ligne.

Łączyła ich taka przyjaźń, że tamten — ubrany analo gicznie do xięcia Józefa — miał na swym temblaku li terę J.

Wszyscy zainteresowali się naturalnie domniemanym przyszłym królem polskim i jego druhem, synem słynnego z dowcipu feldmarszałka austrjackiego.

Xiążę Józef, witając się z Witą, szepnął:

— Tęsknota moja odnazła cię! —

Musiała stać się bladą, bo xiążę dodał:

— Liljo mego serca, już nie gniewaj się! —

Rozmawiać było niepodobna — drzwi szeroko otwarte do sali jadalnej — na teorbanach ukryci Kozacy zagrali skoczne melodje.

W pierwszej parze wojewodzina Jabłonowska z biskupem Cieciszewskim, w drugiej z gospodynią domu generał Komarzewski, pan Ignacy Potocki, pod pozorem rozmowy z Austrjaczką, podał ramię Wicie. Tuż znalazł się Słusznic z xiężną.

Głębiny uczuć xięcia Józefa ukryły się w milczeniu pod arkadami wymowy przepięknej pani Tarnowskiej.

Iście polonezowy orszak wkraczał do sali jadalnej barwnie, radośnie i swojsko.

Słusznic, w usposobieniu skrzącem, głośno wyraża zachwyty nad wdziękiem i bogactwem zastawy.

Zaczęto gonić wzrokiem po kryształach i kruszcach, po wazonach pysznych, krajowych z Nieborowa i Baranowicz. Stały w nich drzewka kwitnących wiśni i jabłonek.

Pani Katarzyna mogła wysadzić choćby aleje pomarańczami z własnego trejbhauzu, ale woli mieć wszystko swojskie.

Wznosi się kurhan z ruty i macierzanek, na szczycie, w urnie scytyjskiej, o pysznych, owalnych kształtach błękitnieje płomień — kadzidlany dym rozchodzi się wysoko ku sufitom.

W kurhanie, tęczując, prześwieca łzawnica. Uczyniła to gospodyni na Memento mori? czy aby podkreślić kontrast życia?

— Jesteśmy w gaju oblubieńców — rzekła pani Tarnowska, szczęśliwa młoda matka, oglądając się na swego męża.

— Przed ogniem, który topi wzajemne niechęci — odparł xiążę, spozierając na Witę.

Zapatrzyła się w ogień, przypomniawszy, co mówił prałat — o strasznym kapłanie w Nemi, który był mordercą i musiał też zginąć. Ale Polska nie zabijała nikogo — czy to ją zbawi?

Wojskowi oglądali olbrzymie łby żubrów, łosi, danieli — straszące rogami wśród portretów.

Potocki zachwycał się serwisem z porcelany koreckiej, xiążę zaś patrzy z rozczuleniem na szklanki stare jagiellońskie w pokrowcach, wyklejanych piórkami krasek.

Stół nakryty kobiercem wschodnim, zapewne kaszmirskim, bo spód jego grubo dziergany. Na nim obrus, haftowany mereżką, t. j. pustym, przeświecającym szlakiem. Ciągnął się wzdłuż stołu, nie zakrywając jego brzegów.

Sztućce miały rękojeści z jelenich rogów. Łyżki stare, srebrne — na nich zaś różne sentencje.

Przeczytał pan Słusznic na swojej:

„Nie przebierać, ji coć dadzą,
Kiedy za stół cię posadzą".

— Trąci niewolnictwem rzymskich klijentów — będziemy przebierać i to srogo.

Potocki przeczytał na swojej:

„Pamiętaj człowiecze,
że cię niedługo na świecie!"

— Doskonałe ostrzeżenie, wie los, żem lekkoduch. A waćpanna — tu zaciął się, bo nie wiedział jak Witę nazwać.

— Krzyżtoporska, mości marszałku — zdajesz się niezbyt utrudzać swą pamięć.

— Bo mi się snują tylko mitologiczne nazwy dla pani jak Semele w obłoku piorunowym...

— Ej, ostrożnie, na mej łyżce wypisano:

„Kto mnie skryje,
Bardzo mój pan bije!"

— To bez sensu, — rzekła złośliwie xiężna Sanguszkowa — któżby panią, choć ze stron tak cygańskich pochodzącą, podejrzewał, że ukryjesz łyżkę?

Xiężna, cała w gipiurach i lionskich jedwabiach, czuła się urażona surowym strojem Wity.

— Hieroglificzny sens ukrywa się przed Demosem w mitrach! — zahuczał pan Słusznic, — kto skryje pannę Witę, tego będzie bił pan przyrody, bo stanie się krzywda gwiazdom, gdy jedna z ich sióstr ubędzie.

— Może nawet przybędzie, upadając — docięła znów xiężna. — Mówi się o gwiazdach, że upadną.

— A o goździach, że się spłaszczą! —

Xiężna była z domu Gozdzkich i wachlarzem uderzyła zdradzieckiego kawalera.

— Zresztą xiężna ma na łyżce wypisane:

„Kto komu jamę kopie,
sam w nią wpada!“

Gwar przytłumił ich docinki.

W kontuszach granatowych z amarantowemi pasami służący obnosili chołodziec z młodej boćwiny, śmietaną zaprawny, z szyjkami raków, z ogórkami młodemi i drobno pokrajanym indykiem.

Ze względu na upał potrawa ta smakowała wyśmienicie. Cóż dopiero, kiedy kto, jak Wita, był całą dobę bez jedzenia, a trzy dni bez obiadu! Ale Wita nie jadła. Nalewa szklankę limonjady i zagryza chlebem. Przyzwyczajona do pożywienia wyłącznie jarskiego i to z pewnem wyłączeniem roślin bulwiastych, korzennych i t. p. — była w kłopocie wielkim. Już i tak strój czarny posłusznicy zwraca na nią uwagę. Nie znosi pozy świętej. Musi udawać, że spożywa wszystko jak inni, przynajmniej pozwala sobie nakładać na talerze, ale je tylko jarzyny, chleb i pije limonjadę. Ostra, przeczulona jej duchowość nie pozwala na jadło wytworne, rozkładające energję apostolskiego poświęcenia.

Xiążę narazie nie zauważył tego fortelu, jadł z apety-

tem i niewybrednością wojaka. Co prawda, wszyscy po stepowej przejażdżce jedli za dwóch i nawet za wielu.

Nalewano wina do kieliszków ze szkła weneckiego.

— Istne anemony lub asfodele z Hadesu, ale ja mam intencję do życia! — zawołał pan Słusznic. Kazał podać wina reńskiego zamiast w zielonawym szklanym kieliszku, — roztruhanik, pomniejszy wprawdzie, ale mieszczący dwie szklanki.

Wesołość stała się powszechną.

Nawet xiążę Józef pozbawił się melancholji zakochanego, gdy jest przedzielony od swego raju.

Zaczęła xiężna Sanguszkowa przekomarzanie ze Słusznicem, iż głodne zostawi sąsiadki, sam zbytnio smakując w szparagach i łosinie.

— Kochałem się raz w pani Łosinie, więc na jej cześć — rozpocznę znów jeść!

— A na cześć moją? — zawołała xiężna, delikatnie wysączając szparag.

— Zjem pieczoną małpę, jeśli mi xiężna pani pozwoli upolować w swym zwierzyńcu, nie jeżdżąc jak de Nassau do Afryki. —

Uwaga słuchaczów zaostrzyła się. Powszechnie było wiadomo, że rozwiodła się z x. Sanguszką, aby wyjść za awanturnika, mającego huczne tytuły na lichem Xiąstewku. Ale Niemiec badał przezornie stan majątkowy exwojewodzianki, córy przekupnego ojca i ex-xiężnej. Co nie było rzeczą łatwą, bo jeśli de Nassau imponował blagą, pani Katarzyna Gozdzka —

Ale nie obmawiajmy dam, siedzących przy stole. Jeśli kiedyś zawiodą się na sobie i swych skarbach — admirał hiszpańsko-rosyjski i miljonowa xiężna — nic na tem ludzkość nie straci!

— Wytłumacz pan ten koncept — wycedziła xiężna, przymrużając swe kocie zielone oczy — co było dowodem, że wpada w pasję.

— Widzę, że xiężna przy swej erudycji nie studjowałaś Indów! Małpy są genjuszami świątyń tamtejszych,

a że jestem wyznawcą kultu xiężnej i za nią chodzę wślad —

— Niebezpieczne, bo za mną chodzą psy!

— O, filozofowie zawsze mają dwie lub trzy dziury pod ziemią przed psami, które za nimi biegają — czy imię ich Szczekalski, czy też Krzykała Filutkiewicz!... W podróżach naszych, xiężno, nie kazałaś mi tak obszernie wykładać ci kwestyj religijnych?

— Wolałeś zawracać mi głowę teorjami dzikiemi w guście Woltera, że ryby kopalne w Alpach są szczątkami śniadań podróżnych, a kopalne muszle upadły z kapeluszów pielgrzymów, którzy wracali tamtędy z Rzymu lub Palestyny. Cóż, panie nieuku, powtórz te hipotezy wobec xiędza Staszica! —

Xiądz rozmawiał o sprawach krajowych, więc odwrócił się i odrzekł, słysząc, że mowa o Wolterze:

— Jako nietęgi w filozofji, oddany naukom geodezyjnym — do nich tylko mogę rodaków naprowadzać, ukazując środki, jak na pozostałej jeszcze nam ziemi należy szukać potrzeb koniecznych do życia.

— Wspaniale powiedziane. Wszyscy musimy jakoś żyć— i to jest prawo największe — zawołał Słusznic. — Bóg tedy jest życiem, a widzimy go we mszy z łososia i bażantów, w antyfonie z bekasów i kwiczołów, w ewangelji stepu — który jest jednym kościołem — produkującym cuda gastronomji.

Ludzie są piękni o ile jedzą dużo i dobrze. A ty, panno Wito, jesz tylko szparagi, chleb czarny i pijesz limonjadę! Czy to zgadza się z duchem wiedzy i postępu? obserwuj zresztą nasz lud, który jest piękny na Wołyniu, na Podolu, na Ukrainie, w Lubelskiem i pod Krakowem — słowem, gdzie chleba wbród. — Tam dziewoje są rosłe, hoże i umieją kochać.

— To też panna Krzyżtoporska, jedząc chleb — jest rosłą i hożą, a pije wodę, by zapomnieć kochania — rzekł xiążę.

— I ty, mości xiąże, bronisz askezy? Kiedy najjaśniej-

szemu panu przedstawiono stuletniego starca, król nasz zapytał:

— Ile kobiet kochałeś w życiu?

— Nigdy ani jednej.

— Toś kiep! — odparł krótko król i odwrócił się od poczciwego staruszka.

— Materjalisto potworny tego wieku! — wykrzyknęła xiężna, wstrząsając kasztanowe kudełki, kaskadami wiszące z boku głowy. — Możeś pan w korespondencji z Diderot'em?

— Mam ten zaszczyt.

— I negujesz istnienie Boga?

— Zapytajmy xiędza Staszica, on silniejszy ode mnie w sprawach przedpotopowych.

— Wielbię rozum, ale przecież uznaję cześć prostą i pokorną świętości — ozwał się xiądz. — Abscondisti a sapientibus et revelasti parvulis! —

Staszic mówił tak poważnie, że wesoło dysputować z nim było niepodobna. Na wysokiem jego, występującem jak strzecha — czole, osiadło stałe zamyślenie, obojętne obyczajowi migotliwej rozmowy towarzyskiej. — To też xiężna szepnęła do Słusznica:

— Nie rusz tego mantyki, wolę już twoje głupstwa. —

Podano pasztety zapiekane, tak zwane Olla putrida, których tajemne wnętrza, nożem objawione — jął tłumaczyć, raczej opiewać pan Słusznic. Wchodzi oto do każdego z nich: dziki kaczor tłusty, jarząbków dwa albo bażanty, baranek młody lub koźlę, gołębie, kwiczoły, mlecz cielęcy, gęsie wątróbki, szpik wołowy, nerki wieprzowe, pinole i kapary. A wszystko pokryte plasterkami rzepy niemieckiej. Kto chce, może dodać octu.

— Już i tak ci burczy, Marcinku — dodaj oliwy, to cię uspokoi — palnęła wesoła wdowa.

— Masz halucynacje słuchowe, o xiężno. Filozof istotny nie zależy ani od jadła i wina, ani od żadnej kobiety. Porównywa nas Laotse do jeziora wśród gór niedostępnych. Minerwa myśli naszej wyskakuje zawsze z gałązką oliwną uspokojenia.

— Nazywasz mię Minerwą chyba nie przez pochlebstwo?

— Xiężna z mądrego wyboru swych przyjaciół jest Minerwą, ale temperament xiężny jest zawsze wyżej topienia się metalów. Dam zacnemu towarzystwu próbkę: raz xiężna wypłynęła z panem de Laclos na jezioro Lago Madżiore. —

— Z książką Laclosa, nie z panem Laclos.

— Rozumie się, — autor jest skończony idjota, bo ożenił się, nie doczekawszy się pani zachwytów. I co się dzieje? Huragan zaryczał, wszystkie młyny w okolicy zawierciły się jak w obłędzie — to westchnęła xiężna. Woda zaczęła pluskać aż do obłoków. —

— Bo westchnąłeś ty, Marcinku, do mnie, ale bezskutecznie.

Kłam zresztą dalej, ale co nieprzyzwoite, tłumacz na francuski.

— Bardzo słusznie, ma belle princesse! więc trzeba było co koń wyskoczy jechać do portu i tam stawić à vous pijawki, raczej węże. Ou donc? — tego już nie wysłowię nawet po francusku.

W braku zaś balwierza czyniłem to własnoręcznie, bo tylko był stróż — pardon — un strusse w domu.

— Co za bezwstyd, milcz już... Alboż kiedy nie miewam lokajów?

— W oczach xiężny to jest nikt, skoro wobec nich można brać kąpiel w wannie!

— Wybacz, mój Martin! mnie chcesz zawstydzić, lepszym, niż ty, też się nie udało. Jesteś już w tym stanie, co filozof Wolter, gdy pisał do Fryderyka: j'ai besoin de fourrure en été et non de fille. Il me faut un bon lit, mais pour moi seul, une seringue et le roi de Prusse.

— Czegokolwiek było potrzeba Wolterowi do myślenia — to obojętne, ze względu na rezultaty nieśmiertelne. Jeśli jednak masz tak dobrą pamięć, xiężno, musiałaś zapamiętać — ty, która też popełniasz rymy:

„Vous avez repandu tant de bien sur ma vie —
Achevez ma felicité
Et de grâce, un peu de génie —
Mais les dieux donnent tout, hors leur divinité".

— Widzisz, więc boskości swej nie mogę ci udzielić!
— Kwituję, za cenę reszty.

Wniesiono karpiołososie faszerowane, kunsztyk kuchenny, bo wyglądały jak niedotknione nożem z całą skórą i głową.

Gospodyni przepraszała za skromny obiad.

Mąż jej zrobił votum, żeby na biesiady nie wydawać więcej nad $^1/_{10}$ tego, co daje się jednocześnie na cel publiczny.

Tu na ręce gen. Komarzewskiego złożył pan Jan tysiąc czerwieńców w dzierganym trzosie. Zagrzmiały brawa, a co lepsza, tak uzupełniali zawartość, że długi wór przezroczysty wyglądał jak złocista tykwa.

— Łaskawi państwo Polacy — rzekł wstając hrabia Kambiłow. — Pozwólcie, bym przed wniesieniem toastu przedstawił się wam.

— Rozpocząłem od karjery dyplomatycznej, lecz rychło oceniłem straszną ślizgość i pustkę tego życia. Będąc posiadaczem ziemi pod Połtawą, założyłem tam Bractwo Pracy. Jest nas kilkuset, pracujemy w roli i wznosimy świątynię Chrystusa w sercach swych.

Tak bowiem wszyscy ludzie pojedyńczy lub też narody mamy drogę jedyną:

Pracy złączonej z sumieniem. Rośnięcie wzwyż jako drzewa w Sadzie Królestwa Bożego. Sumienie każe nam tworzyć słowiańską jedność.

Na frontonie tego domu jest Matka Boska, a wypisane: Bóg i nasze prawo.

Otóż tym kielichem, nie pijąc wina, wodą źródlaną wypijam za wasze prawo wśród słowiańskich rodów pod przewodem zwierzchniczym Boga.

Za zgodę słowiańską!

To chytrość — pereat! — rozległ się jak stal, nienawiścią nabrzmiały głos pana Ignacego Potockiego. — Mości pano

wie,—ciągnął, — Rosja tyle jest warta, ile z niej zrobił Piotr Wielki przez Niemców i Holendrów. Miejmy swego Piotra Wielkiego, uczmy się ścinać łby niesforności, utwórzmy armję przy pomocy samego djabła!

A przedewszystkiem precz z iluzjami.

Deus non existit — oto pierwszy aksjomat nowoczesnego Polaka. Polak nie chce być Słowianinem — oto aksjomat wtóry.

Wnoszę zdrowie najgęstszem winem za pełnię grzesznego życia w silnem nowoczesnem państwie pod najbardziej tyrańskim rozumem.

I zapytuję jeszcze pana Kambiłowa, czy jako patrjota rosyjski cofnąłby dzieło Piotra Wielkiego?

— Nie.

— A jako chrześcijanin?

Kambiłow zaczął się wahać.

— Zatem nie cofajmy się i my.

Niech żyje Polska europejska!

— Wiwat! pereat! wiwat!... — rozlegało się naprzemiany i nagle sala biesiadna nabrała charakteru posiedzenia spiskowego.

Gospodyni pragnęła ten nastrój grożący walką zdań odłożyć aż na posiedzenie późniejsze pod wieczór.

Więc na prośbę jej wstał pan hrabia Tarnowski i z temperamentem zaśpiewał:

„Każ przynieść wina mój Grzegorzu miły!
Bodaj się troski nam nigdy nie śniły...
I ty, Kasieńko, połowico Grzela,
Bądź uczestniczką naszego wesela.
Nie folguj sobie i zasiądź tu z nami —
Kurdesz! kurdesz — nad kurdeszami!“

Goście umitygowani zaczęli pić zdrowie gospodarzy, nawet Kambiłowa, jako szczerego i zacnego człowieka, ale podkreślając jego ideologję niepraktyczną. Tedy on zabrał głos i rzekł:

— Nie tu miejsce i pora do wielkich problematów ducha i narodów. Jeśli sądzicie, że potępiam wielkie światło

życia doczesnego t. j. Rozum, to oto piję raz wtóry za jego wielki blask. Ale pan Wolter rozumu nie wyczerpał.

Niechaj nie zamąci prawdy w waszym narodzie żadna przemoc ani własne zaciemnianie. Veni Creator!

I znów pił wodę źródlaną.

Zaintonował pan Słusznic tonem podziwu.

— Wypił! wypił! nic nie zostawił!

Bodaj go, bodaj go Bóg błogosławił! —

Wesołość wybuchła jak rzeka, wodospadem lecąca z gór.

Obiad się kończy.

Xiążę zauważył, że Wita chciała zabrać głos po mowie Kambiłowa, ale się wstrzymała.

Wniesiono masę cukrową przedstawiającą Dniepr z lodów ananasowych wśród lasu konfitur. Zręczne figurynki wiedźm, satyrów i faunów.

Na tacy szklanej podano jednocześnie filiżanki chińskie do kawy czarnej i kieliszki szklane weneckie do likierów.

Wita, która piła limonjadę i skończyła już jeść chleb, oraz Xiążę, który pił już tylko Witę oczami, a spożywał teraz mniej niż należało — uradowali się z przenosin ogólnych pod jodły do ogrodu.

Idą.

Tu gospodarz oznajmił dalszy ład dzienny: jest godzina trzecia. Wszyscy mają swobodę do piątej. Mogą, którzy są zdrożeni, położyć się.

Dla pań komnaty, dla panów na sianie nakrytem kobiercami w stodole chłód, cisza i brak much.

Mający ze sobą do pomówienia niechaj chodzą po cienistym parku; niech idą między zboża aleją topolową, wiodącą do folwarku; nad rzeką Irpeniem użyć można łąk, wodnej kąpieli i słonecznych blasków. Dla rozrywek są szachy, piłka, wolant i wędki. Tak czy inaczej nudząc się i zabawiając — muszą wszyscy zebrać się w parku tu z powrotem. Nadjadą jeszcze niektórzy znakomici goście!

Trąbita oznajmi, że nadszedł czas obrad. Tematem ich będzie stosunek Polski do ościennych mocarstw.

Zaczęli się rozchodzić każdy według upodobania, Wita i xiążę, nagrodzeni nakoniec wolnością osobistą, szli w radości. Gęsta zieleń alei grabowej wiodła ich aż do kamiennej groty. Tam usiedli, Xiążę ogarnął Witę ramieniem, ona nie broni się.

Rozmarzona polskością, kurdeszem śpiewanym i całym serdecznie rodzinnym nastrojem zebrania, przytuliła się do xięcia, szepcąc:

— Mój, kochany mój — przecież kochać najmilszego brata nie zabroni mi Ojczyzna? — —

— — — Z pocałunku bez dna jak niebo wieczności zbudził ich głos xiężnej Sanguszkowej i Słusznica, którzy idąc deklamowali.

„Nie jestem urodzony aby celebrować święte —
Mój głos tak słaby, do tego głos profana"...

Huczał Słusznic —

„Trzeba jednak zaśpiewać — Joanny cuda niepojęte".

Xiążę chciał wyjść, ale wyjść znaczyło ukazać Witę tu obecną i banalnościami niweczyć aureolę świetlaną miłości.

— O paziu szczęsny — szczęśliwszy stokroć razy — szeptał głos xiężny Sanguszkowej — niż najpotężniejszy król...

Il te fallut rhabiller promptement.

Tu rajustas ta trousse diaprée; Agnès t'aidait d'une main timorée. Qui s'egarait et se trompait souvent...

— Co za głupoty — zawołał zarumieniony xiążę. Ale Wita była obojętną na to, jak na szmer owadów i głowę oparła na jego ramieniu...

Słusznic huczał dalej niby trąba Sądu Ostatecznego o tym ośle, który prosto ze stajni przybiegł do Joanny i niby wąż uwodziciel czynił jej kompliment, że niszczy bohaterów. Drwiny z Dziewicy Orleańskiej sprośne i zjadliwe.

„Kraj, w którym niegdyś żyłem, zwał się Chanaanem —
Mój pan Balaam był — wyznajmy to — kapłanem,
ja żydem zaś...

— Nie, nie — tyś jest zdrajca! — krzyknęła. Rozległy się głośne pocałunki, a potem tęgi policzek.

— Xiężno pani! wzywam cię jako władca potężny — wejdź ze mną w groty — gdzie trąbą mego zachwytu przeniknę Tartar twego serca! Twej cnocie, bądź pewna, nie uczynię żadnej krzywdy.

— O mój wasze — odparł już zupełnie spokojny głos rozwódki — nie znasz widzę ani w ząb Owidjusza:

— „Pocałunki kto kradnie, a nie kradnie reszty i to, co mu jest dano — godny jest utracić".

— Więc jeśli logika dla xiężny nie jest pustym dźwiękiem — wejdźmy tam do kawerny!... pragnę cię na parę chwil...

— Mnie starczy i na całą noc.

Xiążę nie wiedział jak wyjść z sytuacji, tak karykaturującej jego uczucia!

Wtem nagle rozlał się złotą strugą śpiew, przedziwna pastourelle:

Jeunes fillettes
Profitez du temps,
La violette
Se cueille au printemps...

Cette fleurette
Passe en peu de temps...
Toute amourette
Passe également!

Dans le bel âge
Prenez un ami —
S'il est volage,
Rendez le lui.

Rozległy się okrzyki: bis!

Zaśpiewała tedy pani Tarnowska po polsku:

Młode dzieweczki,
drogi wiosny czas —
idźcie fiołeczki
zbierać w ciemny las!

Kwiaty przedziwne
mijają wśród kras —
na góry oliwne
wiedzie pasterz was...

W rozkwicie wiosny
znajdźcie miłośnika —
promień radosny,
jak motylek znika!...

Oklaski sypały się od zebranego towarzystwa. Słusznic zawołał:

— Idziemy za wami, szczęśliwi kochankowie! Trzymaj tego słowika, pasterzu, w objęciach, aby nie wykradł ci go żaden xiążę — bo na Hermesa, nigdy w Paryżu nie śpiewała tak żadna primadonna...

„Jeunes fillettes profitez du temps la violette se cueille au printemps!" — zabasił na całe gardło, a xiężna Sanguszkowa złączyła swój miły głosik.

Rozbawieni, jak dzieci, zniknęli w dali ogrodu, zachowując dyskrecję wobec jaskini.

Xiążę niehamowaną siłą rzucony, objął Witę i uniósłszy ją w powietrze, palił pocałunkami.

— Zakonnico moja cudna!...

Wyrwała się nakoniec, śmiejąca się, a zawstydzona do łez — jak też bo jednym uściskiem można ogarnąć wszystkie kształty!

Nie pomogły zaklęcia xięcia, aby została chwilę dłużej, że już będą mówili poważnie.

— Ja nie przed tobą uciekam, przed sobą samą. Że ciebie kocham, to chyba już cały świat wie. Ale ja muszę to uczucie zwalczyć —

Tu mam swą tajemnicę do ciebie pisaną. —

Wydarł xiążę jej list — rzucił oczyma — i padł jej do nóg. I oszalały całował jej nożyny utoczone.

— Jeśli ty nie będziesz mnie bronił przede mną, to —

Wita odbiegła.

W komnatce swej opuściła żaluzje. Wśród wyrzutów sumienia, a zarazem z nieświadomem uczuciem szczęścia,

że kocha Boga i człowieka i tak jest od obu kochaną, zasnęła.

Na dywaniku obok łóżka klęcząc!

Zdrożona wszak była trzema dniami podróży konnej.

Taką znalazła ją pani Tarnowska, która ujrzawszy posłusznicę chodzącą po ogrodzie z xięciem Józefem, pragnęła zbliżyć się z nią i zaprzyjaźnić.

Podniósłszy z podłogi z pomocą pani Katarzyny, rozebrała i ułożyła wygodnie.

Ale co to? posłusznica o gardziołku słowiczem przez sen płacze? nazwisko Hetmana wymówiła... i wzywa, aby się tu nie zbliżał...

Pani Tarnowska miała serce czułe — zaś pani Katarzyna słucha z mimowolnym lękiem — tak zmieniła się nagle twarz śpiącej.

Przeżegnała Witę. Obie wyszły cichutko, aby nie wdzierać się w cudze tajemnicze rany, które wyleczyć może tylko Bóg.

Witę ogarnęły wizje dziwne, groźne snowidzenia. Przeżywa we śnie swe dzieciństwo w Tatrach, potem tortury w domu Hetmana, przybranego ojca... Widzi postacie ucztujące... słyszy rozmowy i staje się przenikliwie jasnowidzącą w tym apokaliptycznym zgiełku świata, który zaczyna się walić. Nie będziemy śledzić tych arabesków prawdy i przywidzenia. Korzystając z chwili, gdy cisza poobiednia i duch Wity błąka się po Tatrach, opowiedzmy rzeczywistą historję pewnego zamku, z którym los jej ściśle jest związany.

ZAMEK NAD PRZEPAŚCIĄ

U podnóża Tatr w leśnej okolicy piętrzy się mur zamku Krzyżtoporskiego, siedziby niegdyś rycerza Czarnego Zawiszy.

Wieżyca surowa, kamienna prowadzi wysoko wzrok w lazury.

Wokół lasy nieprzystępne i knieje, tu i ówdzie rozerwane wstęgą złotych niw, lub jeziorem wśród szmaragdowych łąk.

Na południe, niby miasto demonów, widnieją majestatyczne, śniegiem mimo ledwo kończącego się lata okryte Tatry! wystyrnione w swej cyklopejskiej architekturze nad indyjskiemi makatami jesiennych lasów.

Niedarmo zwą się tamte doliny Jaworowemi Sadami, a te wioski Jargowo i Zar.

Miasto demonów o zmierzchu, straszliwa Apokalipsa w burzy, mit o słonecznym Królu Wężów za południa — góry te stają się o wschodzie słońca istnym Rajem z ametystowemi wieżycami nad modrą genezyjską głębią mgieł.

Teraz, jesienią, Tatry zdają się jednym wielkim namiotem bajecznego króla, obwieszonym kaszmirami: modre jodły, ciemnozielone kosówki, rubinowe jawory, złotodukatowe cisy, delikatne jak złota akacja modrzewie, zwarjowane dionizyjskie jarzębiny.

Wśród tych drogocenności tonem zasadniczym wiecznej ziemistej boleści rozprzestrzeniły się smreki — synowie Osmętnicy — panujący bezmiarem swej liczby nad Tatrami.

W puszczy tak zwanego „bożego posiewu“ wre jednak straszliwa walka o byt i zmaganie się drzew z wrogością Zimy. Marzyciel widzi bogunki tęczowopióre w jeziorach... Jasnowidzący mędrzec usłyszy z podziemi Zygmunt-Miasta dzwony

wiecznej Polski. Gdy milkną te objawienia — tem upiorniej występuje bezmiar i groźna cisza. Nieraz wędrowiec w górach dozna halucynacji słuchowej od tego ciągłego milczenia: aż powietrze napełni się dźwiękami — aż zahuczy generałbas olbrzymich śpiżowych Zygmuntów — złociste litaury napowietrznych wojsk — a tu najbliżej na pajęczynach zawieszone, przez Krasnoludków poruszane miłosne kwiaty szklane... Powstaje ta złuda nietylko od krwi tętniącej w mózgu, lecz rzeczywiście grają pod głazami i śniegiem na górach ukryte potoki — niby harfy. Ocean skalny przebywszy, zapadają w gęstwiny wężarnych kosówek. Tam warczą kołowrotkami, wsączają się srebrnemi aorty w tęczowo-pawie stawy tatrzańskie, podobne klejnotom królewien strzeżonych przez Siarkany. Niewysłowienie czystą krysztalnie zimną miłością upojone, zachłysną się od wniebowzięcia różanych jutrzni i ametystowych wieczornych zórz — wybiegną bezprzytomne samobójczo-ekstatycznym pędem... W obłok siklawy nad potworną przepaścią rozbite — zaigrają w tęczach, poczną zwodzić — mamić wędrowca: lecąc ku śmierci, tworzą życie — gwałtownie odważne, im bardziej miażdżone — tem więcej nieśmiertelne! Lecą przezroczyste, szmaragdami i szafirem mieniące się rzeczki, karmią łan bujnych traw, krasnych leluj, cudnych — jak modry hełm Minerwy — gencjan. Między zamkami Czorsztynem a Niedzicą złączony jest Dunajec — z nim jednocześnie wije się szlak „Grecką drogą“ lub „Drogą popod Zamki“ na Śpiż.

W cieśninie górskiej Pienin — w naszych Thermopylach — wije się chyży, potężny szafirowy wąż — tysiącznem śpiewa echem — nabiera widm z Czerwonego Klasztoru lub z zameczku św. Kingi... podróżni na łodziach płyną, a duchy nad nimi się cisną — pod przewodem banity króla Bolesława Śmiałego karnawał leci popod skały o zawrotnej stromości, między paprocie i olbrzymy jodlane. Wolność tu — powietrze impregnowane mitem — kolebka polskich Walgieryj, skrzydlatego Perłowicza i zbójników.

Płyną bracia Dunajce, wrą i kipią: Wag, Poprad i Orawa... a z dalekich bratnich gór Śląska — wypływa Wisła siostrzyca... upojona czarnosinemi jagodami, wilczem zielem i wonnością malin. Wypływają witezie i bogunki wodne het z za siedmiu gór, z za dziewięciu drzemiących borów, przez trzynaście przepastnych dolin aż na równie ku Lachom... Tu w wielkiem przymierzu i zbrataniu odmieniają tryb życia bogunkowy niefrasobliwy na rządne istnienie wielkiej rzeki robotnej! Musi Wisła dźwigać — Walgierja górska, poświęcająca się dla całej tej krainy — dźwiga ogromne tratwy, galary pszenicą ładowne i jabłkami — lub naodwrót — holenderskich towarów pełne czarne szkuty. Pracuje tytanka u stóp miast królewskich: Krakowa, Sandomierza, Kazimierza, Warszawy, Torunia i Gdańska.

Kresem tego istnienia nie jest Morze Bursztynowe, celem nie jest handel w Gdańsku — bo spełniwszy spokojnym odruchem te zadania — toczą się wody tatrzańskie do Atlantyku. Tam nieśmiertelnie wolne wszystko już mogą i na wszystko się ważą! czy wtargnąć do podmorskiego wulkanu — i rozsadzić jakiś kontynent w Infernie wybuchu — czy w koralowych gajach podmorskiego Golfsztremu płynąć i śnić, czy zamarzać na lodowcu w baśniowośnieżne, modro tęczujące ajsbergi — lubo też w obłokach pod tchnieniem gorącego mussonu wzbić się aż do gwiazd— w lazurowe pałace boga Indry! — A stamtąd runąć zatopem piorunów, lasem gorejącym błyskawic — i znowu w obłokach lecieć nad Polską! Tedy i my wracajmy do zamku! — Zaorane na oziminę pola; w pasiece kilkaset potężnych pni-ulów; na wzgórzach Dunajcowych wiejskie chaty.

Między kopicami zżętych zbóż wznoszą się tu i ówdzie runione przez dawne lodowce — skały, podobne kościołom mrocznych zamierzchłych Bożyszcz. Wyglądają wśród żywych zbóż te złomy — niby Druidy śpiące, niby sarkofagi wodzów, niby pogańskie gontyny boga Zasoba. Wartki, głęboki, niebezpieczny prąd zasila dwa stawy i zapada w lasy, w knieje skalne i leśne. Tam ciągną się też pie-

czary, o których wieczorem przy kołowrotku snuje się tyle legend... Nieprzebrane skarby złota lśnią w jednym z lochów podziemnych. Bazyliszek ich strzeże. Należy aby śmiałek wyrzekł się wszystkiego, co ukochał — wykuwając jednocześnie z tego złota piekielnego pierścień z zaklęciami runów. Jeśli ma okrutne serce, zmyślność djabła i dość potężne ramię — stanie się wszechmożnym na ziemi, jako czarnoksiężnik!

W lochach i grotach kryli się nieraz królowie, magnaci polscy i lud, uciekając w nieszczęściu przed najściem Tatarów i Szwedów. Wielki zamek Krzyżtopory ma na różnej wysokości gór swe podwórka i baszty.

Niższy podwórzec jest obszarem największy, otoczony renesansowym gmachem — ongi przeznaczony dla konnych turniejów i rycerskich harców. Dumne piękne damy w lodżiach włoskich, wsparte o marmurowe kolumny, patrzyły wdół ku walczącym rycerzom... Umierający lub zwyciężeni zwracali się już nie ku zmiennym bogdankom — lecz w dal za mury obronne, gdzie majestatycznie, jak Boży Tron, błękitnieją Tatry.

Nisza bramna wiedzie na drugi podwórzec obok posągu Madonny — tu zawsze jarzą się ciche lampki. Mniejszy, gotycki należy widać do najstarszej części zamku! Krużganki z ostrołukami, dźwierza wąskie, okienka, jak szpary w przyłbicy baszt...

W głębi podwórca okapem nakryta studnia.

Kołowrót jej okręcony w łańcuch niezwykłej długości. Mówią, że ukryli się tu niedawno konfederaci przed jegrami Dybicza. Zdrajca wydał ich, łańcuch odcięto — runęły potworne żelaziwa wśród straszliwszego niż piekło okrzyku — żagwie rzucone oświetliły cembrowinę głęboką przewiercającą górę zamkową w głąb aż do rzeki... Rozmiażdżeni łańcuchem — jęk potworny i wieczne milczenie... Tylko łzy kapią z łańcucha, niby krew.

W bramie, gdzie świetli Madonna, ktoś ostrożnie, cicho stąpa. Wędrowiec wygląda na pana z dalekich stron. Płaszcz — almawiwa, kapelusz z brylantem i strusiem

piórem na sposób lordów angielskich. U pasa rapir wojskowy oraz luneta. Kamasze w sztylpach do konnej jazdy. Aksamitny czarny kostjum z bordo wyciskami. Wchodząc tu, brwi zmarszczył: — Na twarzy wyryta niezmierzona zaciętość; jedno oko nieruchome, szklane; drugie skośnem wejrzeniem ogarnęło puginał pod ręką. Nabrzmiewają żyły na czole.

W zadumie głębokiej waży, jakby od wyrzucenia tego pocisku myśli mogła zależeć przyszłość świata!

Wędrowiec wszedł na podwórze, zarośnięte trawą, choć wyłożone flizami. Ku studni zmierza, nie śmiał tam wejrzeć. Nagle, siłą dumy czy zbrodni porwany, pochylił się i wglądając w okropny grób — syknął:

— Poznajecie mnie? jam jest!...

Głos ten, niby żmija między głazami, zapadł w cembrowinę. W odpowiedzi ozwał się głuchy aż od dna plusk spadającej kropli z łańcucha. Milczenie... i nic... żadnego ducha dla męczącego się sumienia. Wędrowiec szybko zmierzył ku drzwiom okutym. Portal rzeźbiony, krzyż z boku, wyschła kropielnica — świadczą, że tu wejście do zamkowej kaplicy! Mrok wionął przez uchylone drzwi i ten specjalnie kościelny zapach — kadzideł, gromnic i olejnych lamp.

Drzwi uchylone zwabiły już przedtem innych gości — oto świerkają koniki polne między ławkami i grobowcami! Kilka sarkofagów piętrzy się w wiekowem memento...

Ściany zapełnione marmurowemi nagrobkami, barelјefami... Nazwiska wygasłe Tarłów, Odrowążów, Duninów, Zawiszów, Włastów... Nazwiska hetmańskie Koniecpolskich, Lanckorońskich, Tarnowskich i Szafrańców... Nazwiska niepokojące, jak Michaelus Lendivogius Magus lub ataman Wychowski... Nazwiska gwiezdniące w nauce, jak optyk Ciołek lub Wojciech Brudzewski, wielu biskupów — niejeden prymas... Tablice mówiły o rozgałęzieniu świetnem rodu, który przez dziesiątki wieków utrzymał republikańską monarchję!

Kilka grobowców z marmuru czarnego nakrytych bal-

dachimami krwistego porfiru: to w prostej linji władcy zamku — Własłowicze. Musi być znakomitym ów ród, jeśli najstarszy grobowiec ma formę rzymskiej stalli i runiczny znak skandynawskiej zadrugi...

Wędrowiec nie odsłonił twarzy, na którą padł cień szerokiego kapelusza.

Nie zagląda do napisów, lecz w zamyśleniu czasem uderzy ręką o hełm wiecznie śpiącego.

— Tajemnica otacza nasz ród — z tajemnicą wyrasta serce moje. My Własłowicze kryliśmy się przez ciąg dziejów, — spełniając wciąż czyn ofiarnego zaparcia się i obywatelstwa, godnego rzymskich senatorów... Jaka zbrodnia czy jaki pokorny nakaz kazał nam być Anonimusami przez ciąg tylu dziesięcin wiekowych?!

Zawsze pod cudzem nazwiskiem dokonywający bohaterstw — inni odbierali za nas nagrody. Ukryci w tych górach, dokąd przejścia utrudnione są przez czyhających zbójników i legendarne smoki — zdołaliśmy przechować tradycję władców i wzmóc a nie zatracić swych zdolności!

Kronikarz naszego rodu mówi, że tworzyliśmy zakon Braci Słonecznych! Kult oddawany Słońcu i Gwiazdom, deprawujący się, jak u templarjuszów francuskich, w cześć dla Bafometa, djabła o wspaniałej twarzy brodatego mężczyzny na czterech łapach. „Deprawacja“ to pojęcie w cudzysłowie! dla mnie deprawacją najwyższą jest wiara w Dobro, rządzące Światem...

— Ty, Cedro Własłowiczu, w puszczach latem chodziłeś nago, jak adamita!

A ty, Mrokoto, wierzyłeś wraz z manichejczykami i bogomiłami w Ahrymana, w Czarnoboga.

Sędziwoju — czy nie naśladowałeś Gilles de Raiz'a i nie zbierałeś krwi pacholąt w naczynia kościelne dla Czarnej Mszy?

Nie?... byliście tylko cnotliwymi braćmi Słońca... więc ja, wasz potomek, dowiodę — że wasz jasny bóg — to Mit! stanę przed wyszlifowanem w granitach lustrem Rzeczywistości, które się wspiera zawsze na Zbrodni... Jehowa

czyż nie zabił Apollina?... Bogów czyż nie zabije Myśl? Jestem myślicielem i synem Życia... potomkiem Króla Wężów... Zresztą, poco mówić w symbolach i alegorjach? Matka moja, tatarska xiężniczka — doiła mleko klaczy i sprzęgała klacze z ogierami... Ojciec — błędny rycerz, Don Kichot konfederacki... Wracając z Krymu, gdzie jeździł szukać pomocy dla Polski, spotkał u źródła w Bachczysaraju prześliczną mądrą kniaziównę Edił-hané — samo życie wężowe mocarne! w tragicznej walce pojęć i ras — a może nawet w odwiecznym boju Materji i Ducha — porzuciła go dla rosyjskiego bojara. Mnie oddano na opiekę służby — — potem — przy wyjeździe — zapomniano — — i w petersburskich norach znalazł się mały bękart sam...

Wieczorem zamarzającego już przygarnął mię jakiś dobroczynny człowiek. Okazało się — kat z zawodu — zaplicznyj mastier! Wziął mię za pomocnika... W czasie buntu Pugaczowa i Steńki Razina, wymknąłem się na swobodne czerwone życie... Szukał mię lat wiele mój ojciec — poznał przy jakiejś publicznej robocie — pod szubienicą... Zawrzało i we mnie serce — — ułatwiłem wzamian ucieczkę z ostroga kilku konfederatom — — Gnamy z polskimi rycerzami przez całą Rosję wszerz — — aż tu w Tatry...

Minęły chwile niedowierzania — jestem w zamku Biblijnym Synem odnalezionym — — ubrano mię za xięcia, uznano — za ukochane dziecię... I byłoby może działo się jak w bajce, którą nad rzeką piorące kobiety opowiadają — gdyby — ha ha ha... oni to nazwali tatarską krwią! polskie barany!... gdyby nie mądrość mego życia, gwałtowna chuć mego instynktu — do czarta zresztą z określeniami, które zawsze jakby coś usprawiedliwiają. Ja chcę pozostać Nieprawym! Bogini Zywja mnie kocha — jak zwykle kobiety kochają zbrodniarzy... Mam umysł Cezarego Bordżii, wolę mahometańskiego imama, który idzie z wojną na giaurów — lubowanie się w ogromnej spelunce życia — jak Katylina...

Jeśli mi stary przebaczy — jeżeli zwróci mi xiążęcy

tytuł i prawo używania jawnie nazwiska, ja uczynię mój ród brylantem oszlifowanym z tej bryły szarego twardniaka. Jeśli zaś nie — to ja mu dowiodę, że monstra Androników i Cymisebesów znajdą się nietylko w bizantyjskiej historji! że nietylko w Anglji straszą Ryszardowie! —

Wędrowiec zaklął szkaradnie i za ołtarzem rozchylił ukryte drzwi. Wyszedł na podwórzec trzeci. Tam w zagąszczu ziół leczniczych i cedrów stoi grobowiec Kamilli. Widać, że jednak zadrżało w wędrowcu coś jakby serce... Przypadł do głazu, który nie zdążył jeszcze obrosnąć mchem. Ustami szuka w nim życia... jęk straszny wydarł się — łzy zaczęły płynąć potokiem. Prędko zamarzły i usta wykrzywiły się w ohydnym śmiechu.

Łysnęły mu żółtym topazem oczy od zachodzącego słońca. Zdał się upiorem...

— Zaîre, vous pleurez!... — zaśmiał się — lub jak mówi wyrafinowana markiza de Merteuil: Mon ami, quand on vert aruiver — des chevaux de poste et la grande route! — Nie ulegajmy sentymentom! Bardzo milutko rozrósł się ten ogródeczek Kamilli, który ja nazywałem żartobliwie jej horticultura animae — same zioła lecznicze i świątobliwe. Niewiele zmienił się ten cedr z Libanu, przywieziony za wojen krzyżowych. Przez Holandję sprowadzano rośliny z krajów tropikalnych. Wystawione tu na żar południa, osłonięte murami od wichrów — pysznie przyjęły się brazylijskie paprocie, których kłącza potworne pamiętają z pewnością biblijne pierwsze dni świata... Smocze drzewo kanarji — oplecione kwiatami pysznej, amarantowej bugenwilji... Orchideje, podobne do trupich czaszek, nakrapiane krwią, skrzydlate, rosnące pasorzytniczo... Haszyszowe konopie i cejlońskie maki... Krzewy ananasów, osypane kolczastym, cudnym, złotym owocem... Łuską gadu okryte araukarje... Pyszne tulipanowce, smętne cyprysy, karminową barwą mienią się waldiwje z nad jeziora Eri... I ja też pracowałem tu, chcąc stworzyć jej symboliczny Raj. Ale gdzie Raj — tam musi być — i wąż Szatan. —

Wędrowiec przedarł się przez zagąszcze — w odurzającej woni rozkwitła wspomnieniem jego miłość!

Mogiła Kamilli dotyka muru ogrodowego — dalej już przepaść. Wspiął się wędrowiec na skalną ubocz.

Zamek, niby sakla czerkieska, wisi wysoko nad doliną, gdzie już rozesłały się mgły wieczorne. Puszcza lasów ciemniejących — w głębi niemal atramentowo czarnych. Wszystko o zmierzchu staje się niematerjalne — i ta przędza złotej drogi słońca w powietrzu — i ta przepaść — jakby ciemność biblijnego chaosu...

Wędrowiec spoziera w dal, ku Tatrom.

— Fortece nieprzystępne — mruknął — godne Czarnogórza, jeno niema tu umiejącego walczyć ludu... Podbijałem z wojskiem Patiomkina Kaukaz — — przychodzi kolej na lubą ojczyznę — —

Nie dokończył myśli.

Zorza wieczorna rozpala do czerwoności wirchy Koperszadów, Lodowego i Łomnicy...

— Tam spędziłem niejedną wspaniałą chwilę, szukając legendarnej nietoty — zaczarowanego ziela, na którem łamie się każda stal...

Nie znalazłem, nietoty, znalazłem Króla Wężów — jego konterfekt pozostał w mem nieprzystępnem sercu, żywiącem bezlitosną wrogość dla wszystkiego, co słabe — i wierzące.

Młody kniaź, mówiący z ruska, silny, dziki, jak sam djabeł — nieraz przewodziłem zbójnikom, chcącym napaść na węgierski kościół lub odbić więźnia w Orawskim zamku...

Wracam teraz do mej sadyby mimo zakazu!... Mam ulec zdziecinniałej woli starca? Tatry witają mnie — niby harem, obwieszony drogocennemi makatami w pałacu Maharadżów. Jesień przeobraziła lasy w jeden niebosiężny wybuch Apassionaty, którą wygrywa ślepnący Szatan... Mogiła Kamilli zda się sercem Tatr...

Moja ty — ale nie, nie moja — tyś mię przeklęła!... szukałem zapomnienia, walczyłem w Ameryce przeciw

zbuntowanym marzycielom, Waszyngtonowi i Kościuszce; wyjechałem na Wschód, jako przedstawiciel Kompanji Indyjskiej, i gnębiłem tamtejszą ludność. Wydarłem Oraminom na torturach wiedzę o Czarnym Bogu Sziwie — — W lożach masońskich Szkocji zdobyłem naczelne miejsce. Na karnawale weneckim zapoznałem się ze słynnym Casanovą — szalałem w buduarach margrabin, w klasztorach i w spelunkach portowych Genui, Aleksandrji, Kadyksu i Plymouthu. Z powodu okropnego wyuzdania i choroby, groził mi obłęd... Doradzono mi klimat północny... Uspokoiłem się w Archangielsku, a rozwinąłem swą karjerę w Moskwie.

Ten grobowiec świadczy, że przedsięwziąłem Demoniczną walkę, która zakończy się dopiero na Ostatecznym Sądzie świata...

Quomodo cecidisti a coelo, Lucifer?! — wyszeptał za Hiobem.

Mimo dumnych słów, rozdziera mu wnętrze infernalna boleść... może chętnie w orłowym hufcu Przecława Lanckorońskiego leciałby na pohańców — lub zginął wraz z Żółkiewskim pod Cecorą...

Ale mu dano inny los: wyniszczyć aż do ostatniego znaku w ziemi i na niebie to — co jest polską wiarą!...

Muzyka gdzieś z wyżyn tu dochodzi — zna tę melodję, łkającą ogniem rozpaczy: Palestrina opłakuje swą umarłą narzeczoną! podróżny skamieniał — oblicze jego zwrócone ku niebu — rozwarły się sklepienia, z nich spojrzał Bóg!

W melodji z balkonu płyną zagrobowe rozpacze, myśli djabła — jego błyskawicowe łzy!...

— Anioł mój łka —
Anioł mój łamie ręce —
Anioł mój targa
swe czarne, krucze włosy!

Upada z niebem,
które się rozdarło — —
upada w czeluść,
która się zamknęła!

Na ostrych głazach
krwawię swe gwiezdne czoło —
diadem z rubinów
spływa po mej twarzy!

I w okamgnieniu
przebywam mękę krzyża —
a piekło drżące
płacze błyskawic łzami!

Ach, Wieczna Tajemnica,
której ja jestem synem —
mnie błogosławi
ognistym sztandarem Inferna!

Wiem — niema męki
straszliwszej nad tę żądzę —
która każe zniweczyć
raj swego Ducha — Ojczyznę! —

Melodja powtarza się z uporczywą gwałtownością — zaczyna ekstazą, kończy drewnianym, tępym rzegotem: tak może grać tylko ktoś obłąkany!

Melodja ucicha. Z górnego tarasu rozwarły się drzwi. Ubrana żałobnie starsza dama wiedzie pod rękę niewysłowienie piękną dziewczynę. Wsparła ją o kolumienkę, niby Julję Szekspirowską.

Wędrowiec klęknął — myśląc, że to wizja:

— Możesz to być?! Kamillo — niezmieniona mimo śmierci?... Kosmiczny Boże — uwierzę w Twe niebo, jeśli mi dasz cud — ją żyjącą!... Matka ją otula pledem od wieczornego chłodu — więc żyje! ale ona tak nieruchomo patrzy w wieczorne słońce?! Matka odchodzi, by jej grać...

Została sama... Kamillo, słyszysz mię? nie wiem, jakim cudem zmartwychwstałaś — ale cię widzę tak pewnie, jak te drzewa i zamek! Kamillo — każ zaprzestać twej matce ranić mię melodją beznadziejną — czemuż nie gra Magnificat lub Veni Creator?!

Ciebie ja widzę?! posłuchaj — zostaw taras otwarty — przyjdę wnet, jak zwykle, wieczorem — — lub raczej — nie chcę, jak dawny uwodziciel — ty przyjdź do kościoła

za ołtarz... Przyjdź z trucizną lub rozgrzeszeniem. Wysłuchasz mej spowiedzi — a wszystko pojąwszy, dasz mi śmiertelny wiatyk przebaczenia!... Kamillo... dzieciątko me najśliczniejsze... nie chcesz mię znać? —

Ledwo skończył ten jęk miłującego czy modlitwę grzesznika, matka wbiegła, by córkę zwrócić w stronę, gdzie księżyca srebrny glob unosił się w seledynowych głębinach...

Wzięła córę pod rękę, ta sunie, jak manekin. Matka jej wzrok prowadzi w kierunku księżyca, rękę jej kładnie na serce... Wyraża tem Kamilli ekstazę. Matrona nuci arję z Mozarta: Flet zaczarowany; znów odchodzi, aby zagrać cudne lamentacje i improperje Palestriny.

Wędrowiec zakrył oczy, mniemając, ze rozpacz go piorunem przygwoździ do grobowca!

Ha... tout passe, tout casse et tout lasse... wszystko tak proste... choć morał nieco za bolesny!

Mówili zagranicą krewni Własłowicza, że księżna nie chciała rozstawać się z ciałem samobójczyni. Uczyniono mumję — kunsztyk pewnego Włocha, zamieszkałego w Krakowie... Ten nabalsamował trupa i napuścił elastyczną cieczą... Nieszczęsna matka nie rozstaje się ze swą przepiękną córką już nigdy. Ubiera widmo — sadza zimą przy kominku, w dzień słoneczny suwa po ogrodzie na kółeczkach.

Czytuje jej nagłos dzieła ulubione — więc Kronikę Ealla i Długosza, dramaty Szekspira, Crébillona, Kornela i Lope de Wegi, więc poematy Miltona i Jacopone da Todi. —

Na fisharmonium gra melodje, które lubi umarła: mistrza włoskiego Learlattiego, symfonje Händla, oratorja Haydna, nadewszystko śpiewa jej Mszę papieża Marcellego. Rozprawia z córką nieskończenie o wędrówkach duszy i świecie zagrobowym — przytacza wszystko, co może znaleść u Orygenesa, u Platona, u Tomasza z Akwinu lub poprostu w Naśladowaniu. Każe jej podziwiać zjawisko na niebie, każdy rozkwitły kwiat, śpiew przelatującego ptaka...

Niegdyś piękna choć uboga szlachcianka, wykształcona pod kierunkiem męża w Paryżu i we własnej książnicy — miała dwie córki: jedną jej porwali cyganie czy pandury węgierscy, druga w tak strasznem pohańbieniu umarła... Syn, który narodził się zaraz po wykradzeniu maleńkiej Wity — może z powodu wstrząśnienia moralnego matki — nie ma zupełnie woli, choć ma przebłyski genjuszu...

Tak więc została sama z kaleką mężem. Obłęd ją przeniknął aż do ostatnich fibrów istnienia. Spokojną zda się, słodką — zawsze uśmiechniętą — z wyjątkiem, gdy zapomni, gdzie zostawiła Kamillę! Wtedy wydaje straszny, rozdzierający jęk. —

Wędrowiec patrzył w przepiękną, z bronzowemi, rozpuszczonemi włosami, ukochaną.

Z nią chodził po górach. Miał lat ośmnaście — oboje tak niezwykli, on z demoniczną głową i postawą gladjatora. Tylko z ukośnych oczu i zbyt wysokiej czaszki wyglądał Tatar — zwano go witeziem lub harnasiem, co było właściwsze. Odbywał już wyprawy ze Steńką Razinem nad Wołgą — a tu potajemnie łączył się ze zbójnikami...

Xiążę raduje się synem, który tak jest rycerski, tak szalenie pojętny! Achmet, przemianowany na Bolesława, był młodzianem niesłychanej siły i zręczności.

Niczem mu wskakiwać na rumaka w biegu, z wysokiej skały paść w nurt pieniącego Dunajca lub Wagu, z szablą w ręku wytrzymać napad kilku szermierzów i wszystkim szable wyłamać z rąk...

Zdał się łączyć mężne zalety Wschodu i Polski.

Wymowny, jak poeta arabski — śpiewał z Moallakat cudne gazelle. Mahometanizm suffich łączył subtelnie z mistyką różokrzyżowców — zajmował swój umysł genjalny matematyką i filozofją. Znał życie realne, ale też czytać w myślach cudzych — nie było mu trudne. Miewał wprost jasnowidzenia. To mu dało władzę nad ludźmi.

Nie dziw, że Kamilla zaczarowana — pokochała go.

Bolesław przestrzegał surowo obyczajów. Nigdy nie wyruszą razem w góry bez wiernego, starego sługi...

W zamku toczą się tajne narady konfederatów... Daremnie śledzi Repnin i ściga Dybicz, daremnie austrjaccy dragoni przetrząsali dworki i zakuwali niewinnych do kazamatów Szpilbergu...

Wiedział o wszystkiem Bolesław. Nie dba jednak o politykę, zajęty miłością i studjami. Kiedy jednak raz na wycieczce zbójnicy zbyt radośnie powitali harnasia — stary sługa zdumiał się — a kula panicza przeszyła mu skroń.

Kamilla, nie domyślając się niczego — stawiąc miłość nad wszystkie kodeksy świata — przychodziła na schadzki nad jeziorami. Nim przeminął rok, karmiła już maleńkie.

Nie odmieniła serca swego nawet gdy Bolesław wyznał jej dzikie swe nawyczki harnasia: miała nadzieję przerobić go na istotnego witezia. Ale gdy znalazła raz jego pamiętnik o sprawkach w Moskwie z Wańką Kainem, gdy nadto widzi jakieś cyfrowane listy z obozu Dybicza — osądziła z tak potworną nienawiścią swego kochanka jak przedtem go wznosiła na wyżyny bohaterstwa. Niby Eumenida wróciła do zamku, wyjawiając rodzicom wszystko. W oczach ojca przyjęła truciznę i nie dała się ratować.

W trumnie leży gromnicami otoczona — kwiatami.

Wsunął się nocą do kościoła blady jak upiór Bolesław...

Xiążę drgnął tylko, lecz nie powstał z klęcznika.

Wkrótce wszczął się zgiełk w zamku: wpadli gonieni przez Dońców konfederaci.

Kazał im xiążę ukryć się w studni. Zmuszony mieć pomoc przy obracaniu kołowrota, zawezwał Bolesława.

Młodzian wrócił do trumny, która go przykuwa magnetyzmem winy i wspomnień.

Zda się mu, że na wirchu góry — po jednej stronie widzi bezmiar światła, po drugiej bezmiar mroku. Tak jeden i ten sam lodowiec może dać źródlisko rzece, która rzuci się na południe jako Rodan, lub na północ — jako Ren. I jego duszę napełni albo światłość bez sklepień, lub mrok bez dna... Wszak musiała zostawić jakiś list?... Da-

remno szuka w medaljonie... Nie rozmawiała z nim przed śmiercią. Gdzie ukryła dziecię?

Ciężkie stąpania rozległy się przed portalem kościoła.

Spojrzał raz jeszcze w oczy szkliste o bezmiernej grozie i tragizmie.

Wyszedł z żagwią, lękając się mroku.

Na podwórcu już zastał bataljony — żołnierze z blachami miedzianemi na czerwonych hełmach. Zbierają się do powrotu po daremnem przeszukaniu zamku od strychu do podziemi... Niech idą... niech zwycięża jasność!...

Wtem matka Kamilli, idąc po schodach — jęła przeklinać: na każdym stopniu wyrzuca mu zbrodnię! Wypowiada nakoniec, że jest płatnym zbirem — że nie jest synem Własta, ale samozwańcem... że każe go oćwiczyć ruskim wojskom...

To wszystko drobiazg, zasłużona kara, trzeba przecierpieć...

Dlaczego wypominają mu tatarskość? żali tam niema szlachetnych i w każdym razie mocniejszych natur, niż polskie bedłki?...

Cóż winien, że ojciec nie wydarł matce dziecka, aż matka rzuciła dziecię między szumowiny i dostało się do kata „zapliecznowo mastiera“ przy Moskworieckich wrotach...

Chciał być witeziem. Biada temu, kto rozdziera jego sen złoty o wielkiem rozpłomienieniu z Tatr na całą ludzkość... Na policzek krwawy odpowie chluśnięciem piekielnych wód Kocytu, gdzie jęczą zdrajcy.

Ale nie — nie — o Chryste — raz pierwszy wzywany — ty nie oddasz jasnej ostatnim już tylko promieniem duszy. Nagle — słów jej zabrakło — rzuca mu ciężki lakiem zamknięty list — od Kamilli.

Ha!... sit tibi triumphus... o ty święta!

Czyta: Kamilla wstydziła się mieć to jego dziecię — i rzuciła — w głąb studni...

Tam? o przepastny straszliwy czynie! furjo — wężami z tobą się rozprawię! —

— Stojący z żagwią młodzian przykuł wzrok nieprzyjaciół. Czego szuka tam w studni? kogo wzywa? czemu łka?

Pochodnia rzucona leci — rozżarza się — jegry do strzegli — spasibo dobryj panie!

Rozświecił żar jaskrawy wielkie sczepienie u łańcucha rąk i głów...

Topory uderzyły w łańcuch — Bolesław — czy był w obłędzie? jak mógł — zapomnieć?...

Ojciec stanął w oknie zamku — blady śmiertelnie z zakrwawionemi wargami...

— Achmecie?!

Młodzian z okropnym uśmiechem wysłuchuje jęku potwornego, który echem odbija się o cembrowinę — choć tylko krzyknięto tam raz...

Balsamem na własny ból — jest widok innych w Infernie. Stało się — nikt nie odrobi złego czynu, choćby odgryzł ręce w żalu. Tak w Koranie było mu sądzone...

Kiedy mu ktoś rzucił kiesę złota, wrzucił złoto do studni. Serce mu skoczyło do gardła — oczy wychodzą z orbity. Kogóż tam widzi na dnie? lico boskie z cierniami — — Trzasnął szablą, i wesoły w furji szatańskiej dosiadł swego bachmata tureckiego. W cieniach nocy zanurzył się — w eterach swego odnalezionego nakoniec Inferna!... Kierunek odnaleziony też — — w głębiny Tartaru!

— — — — — — — — — — — — — — —

Zostawmy teraz wędrowca przy grobie Kamilli. Może nastąpi jeszcze przeobrażenie, jak zdjęcie łusek z oczu „wierzgającego“ Szawła!?...

W bibljotece pracuje stary xiążę Włastowicz. Pochylony nad książkami — przegląda statut Łaski.

Bluszcze na oknach gotyckich zielonym półmrokiem zasnuły komnatę wysoką, zapełnioną szafami, księgami i globusem... Muzyka dobiega aż tu. Xiążę myśl stara się utrzymać w prawnych labiryntach. Niczem już innem nie może służyć Ojczyźnie. Porąbany jak pień wierzby na wiosnę, z uciętą ręką prawą i wydartym językiem — musi

żyć w milczeniu wiekuistem groźny niegdyś orzeł Tatr!... Ale rośnie i zakwita kwieciem jego gigantyczne przedsięwzięcie — nowa Konstytucja! Przetworzy zmurszałe prawodawstwo polskie w żywotną księgę życia! z wierzeń i mądrości narodu utworzy nowy Dekalog — nową księgę Exodus...

Xsiążę z najlepszemi w ojczyźnie umysłami pozostaje w korespondencji — z starym xięciem Czartoryskim, ze Staszicem, z Kołłątajem, z x. Jezierskim... z x. Konarskim... Polska musi przybrać wraz z nowemi idejami nową wolę życia, nową wiarę w głębszą, niż przesądy i mity — ideję Swobody!

Na jeziorze zmroczniałem usypiają już czaple i dzikie gęsi — wtem zerwały się stadem hałaśliwem, wyleciały z klangorem w łunę zenitów!

Kto je mógł spłoszyć? chichot puszczyka, przeciągły pisk pustułek — może wilki zaczynają już przebiegać Podhale?...

Wtem wołanie donośne...

Xiążę zna ten rozjęk potępieńczy — tak wzywa obłąkana matka swej Kamilli. Xiążę wyszedł na korytarz. Niby jodła wysoki starzec! Rozwarł drzwi od komnaty Benona — na stole księgi i krucyfiks. Nad łożem biczownica. W kącie klęcznik — tu przy lampce zapalonej krwawej modli się młodzian w habicie... Z bolesną trwogą wejrzał nań xiążę, zamykając cicho drzwi: czy i ten nie zakończy jak matka? Trzeba iść do chorej, uspokoić ją — rozstrzygając kwestję, czy Kamilli do ślubnego stroju dać mirty czy też róże?

Trzeba tam iść, choć z duszą słabszą niż zazwyczaj. Już od paru godzin nęka go złe przeczucie — trzeba zapomnieć na zawsze! W głowie roi się mu od myśli twórczych. Słysząc już wspaniały Sejm, który Polskę odrodzi — idzie xiążę korytarzami ciemnemi.

Błysnęła łuna przez okienko nad szeroką klatką schodów! Zatrzymał się mimowoli — skrzyp rozwieranych żelaznych drzwi od cmentarza Kamilli, na którym nikt nie ważył się bywać nigdy!

W klatce schodowej ktoś idzie krokiem mocnym, brzmiącym jak krok męża pancernego.

Xiążę wydał głuchy bełkot, zapomniawszy, że pytać nie może.

Milczenie — kroki wciąż wyżej: krzesiwem jął siać iskry wdół. Jedyną ręką, która mu pozostała — zakrył oczy przed blaskiem z górnego okna, który pada od chmury amarantowo-rubinowej po zgasłem już słońcu. Purpurowy most światła... Zato w mroku zawarte całe zejście wdół. Xiążę nie krzesze już iskier. — Nie pyta! Zamyślił się, wparł jasne, do akwamarynów podobne oczy w ciemność. Tam on — zaczajony w mrokach!...

— Nie poznajesz mię — jam jest widmo, które odemknęło bramę twej boleści, ale zato sobie rozwarłem bramę chwały.

Każdy dla siebie niech staje się bogiem. W tem groźnem laboratorjum życia — jestem świadomym alchemikiem. Do tygla wiedzy i potęgi ostatecznej musiałem rzucić perły święte — nadto i rubin ukochania! — Widzisz gwiazdę na mej piersi? jestem najwyższym Mistrzem skonfederowanych lóż — —

Niosę ci ułaskawienie, mój ojcze, podpisane przez mego przyjaciela — zacnego Józefa II — — oddane ci będą majętności pod rządem — —

Xiążę Własłowicz rozwarł drzwi od najbliższej sali — szukał czegoś na ścianie. Wyszedł i wpatruje się w ciemność schodów, które mu symbolizują — jak w antycznej tragedji — zejście wdół do Tartaru. Widzi mroczny cień tam przy bareljefie dwóch braci, którzy leżą obok siebie jak runęli w uścisku umierając na polu bitwy —

Takich świetnych synów Bożych na ziemi minęło setki i tysiące i krocie tysięcy... a ten syn nikczemny, którego już raz przyjął rozwarciem ramion, krzykiem wyzwolonego z ciemności serca — wbrew Pismu świętemu — jest tylko żmiją!...

Xiążę ma nie serce już — ale zamarzły wulkan! więc

napróżno widmo samobójczyni — cudny ptak o twarzy ziemistej — błaga — aby raz jeszcze temu przebaczył...

Milczą obaj.

Taką ciężarną była cisza — przed narodzinami światów.

Doleciał głuchy szmer. Niemy xiążę miał słuch wyczulony: zna ten szmer kropli padających z łańcucha w głąb studni, jak potworne, miarowe, nieubłagane, nieukojone łzy... hańby!!

Mojżeszowy gniew targnął nim. Pobłażać innym — ale nie potomkowi tych, co wisieli na haku w Stambule przez kilka dni, zawieszeni za żebro — nie przyjmujący warunków miłosierdzia od wroga!...

Niema cofnięcia na drodze światła dla synów Bożych — braci Słonecznych — jak jest tylko nicość dla synów Mroku!

Kurek z krzesiwem padł na stalową odskocznię. Snop iskier — huk!

Wędrowiec idzie zwolna jak na swą koronację — wzwyż — wychylił twarz w napowietrznej purpurowej rzece: niby ścięta głowa Jana Chrzciciela z wyrazem potępienia!

— Celuj, xiążę — raz drugi — w lufie masz teraz śmierć mą pewną.

Zabij, wasza miłość — bo nam dwóm na świecie żyć nie wypadnie!...

Xiążę Włastowicz zakrył twarz — brak mu wiary Abrahama, który do końca trzymał nad swą ofiarą nóż!...

Może usłyszał muzykę Palestriny — i ta poniosła jego duszę w sferę, gdzie niema już logiki prawa, tylko rozpacz bez dna — i miłość bez granic?

Xiążę szedł zpowrotem do swej sali.

Wędrowiec ujrzał się sam.

Kula na bareljefie śpiących rycerzy rozbiła tarczę herbową...

Wędrowiec zaśmiał się — ten cichy bezdźwięczny śmiech groźniej brzmi niż jęki, wołania śmiertelne i rozkazy groźne tatarskiego hana do szturmu świątyni, gdzie schronił się lud...

Schodzi po schodach, nie jak winowajca, lecz triumfator!

Znalazł się znowu w ogrodzie przed grobowcem. Mrok już na Tatrach. Dąć począł halny wiatr. Miedziany upiorny księżyc rzuca fioletowy cień. W ciemnych obłokach jarzą bezgłośne łyskawice. Mężczyzna, mroczniejszy od samego mroku, stoi przy sarkofagu. Żegna się z czemś więcej niż z umarłą — pogrzebał własną duszę!

Z wysokiej wieżycy dolata muzyka na cichy sen Kamilli. Wyrósł w nim do wyżyn dantejskich: groźny buntowniczy duch Otchłani, ten, którego imię jest Niedokonany, Kusiciel — a niegdyś: Lucifer! Jednocześnie smutek ogarnia go, jak fala Oceanu.

— W sercu, gdzie łka
błyskawicowy wąż —
radość ma
zgaszona jest!
I tak wciąż
zapadam w otchłań ciemną —
postać Twa
żyje na wieki ze mną!

*

Królestwo zórz —
katedry skał —
błękitnych mórz
ciche przelśnienia — —
ale już
milknie szał —
w ziemi śnią
zwiędłe wspomnienia...

*

Ukląkłbym
u Twoich stóp!
odjąłbym
kamień z grobowca —
zimny trup
całowałbym — —
Idę w dal
dusz ludzkich łowca! —

* *
*

Zawył piorunami nieboskłon — znika mroczny cień.

Coś ostatecznie i na zawsze za nim się zamknęło! coś niesłychanie wspaniałego i kuszącego przed nim się rozwarło!

Nie mógł jeszcze temu nadać imienia, ale już wie, że świat ma pod stopami. Wyszedł z ostatnich zakrętów labiryntu sumienia — jest „xięciem tego świata“!

CYNCYNNAT

Nad czarną huszczą lasów podolskich wystrzela dach pałacu: tam zamieszkuje ex-hetman Rzewuski. Niegdyś dach był złocony; złoto fabrykowane w domowej farbiarni — zmieniło się w prędkim czasie w odraźliwie burą patynę. Tedy spreparował hetman jeszcze kilka barw, pokrywając niemi dach i szukając trwałej. W rezultacie dach mienił się zależnie od deszczów, słońca i śniegu, jak źle farbowane włosy starego kokieta. Odpowiadało to herbowi hetmana: Kameleon, więc uznał, jak Jehowa, swój pałac za dobry. Mnóstwo balkonów, zakamar, ekierów, przybudówek, łamanych daszków, kominów i wieżyc — hetman chciał mieć pałac monumentalnym. Uważał się za pierwszego znawcę i mędrca, sam dawał plany. Co prawda, tak dzieje się niemal w całej Polsce, że wedle swego widzimisię budują kościoły, dwory i pałace ludzie, nie mający o stylu wyobrażenia. Hetman, chcąc wrażenie kameleonowości swego pałacu osłabić, kazał pociągnąć go od dołu aż do dachów dziegciową miksturą; uzyskując niezwykle efektowny wiewiórkowo-czarny ton.

Sąsiedzi nazywali za oczyma to dzieło mogiłą, inni zakalcem. Wreszcie w ustępstwie jedni drugim jęli nazywać mogilcem. Lecz i mogilec miał swe kaprysy: miejscami odpadał, pokazując mury czerwone. Wtedy mówiono: mogilec się rumieni.

Hetman, jako mąż ufający w przeznaczenie, mawiał na to: hetman proponit, a dziegieć disponit. Niektórzy widzieli w tem odezwaniu jakoweś głębie.

I mieszkał rad z siebie w pałacu ufortyfikowanym zamczyście przez bramy potężne, wały i fosę... Zdało się,

iż ludożerca z bajeczek dla dzieci, olbrzym Croque-mort, Sinobrody — założył tu swą sadybę! Myliłyby się może dzieci, nie zajrzawszy do gospodarstwa: tu jednak miałyby rację. Wszędzie coś szczególnego i strasznego: śpichlerze okrągłe w formie kazamatu, w ziemi wyryte, z lochami i przekopami; w stajniach i oborach brzęczą srogie łańcuchy dla koni, krów, nierogacizny i nawet owiec.

Ogromna gorzelnia — oko i dusza hetmańska, gdzie w braku jeszcze wynalazku pary kilkuset ludzi haruje dzień i noc.

Wszędzie wojskowy rygor, budki z szyldwachami; straże wypuszczają ze swego dystryktu tylko za okazaniem pozwolenia. Dokoła dominjum wielkie łany, wyciągnięte według zodjakalnych i kalendarzowych numeracyj: pole łubinu pod Isacharem kościstym nie mogło być w konjunkcji z wyką pod znakiem Bliźniąt.

Hetman, jak Jozue i Xerxes — rozkazywał i słońcu i wodom.

Więc na wszystko naznaczał terminy — i obojętne mu — czy w dzień siejby walił ulewny deszcz — czy żniwa nastają, gdy zboże jeszcze w kwitnieniu. Jedna litera z prawa astralnego uroniona być nie może.

Wielki przykład rygoru w tem absolutum dominium hetmana rozchodził się na okolicę, ba, i na Ukrainę. To też jeden z obywateli wybudował sobie za stodołą okręt; na tym statku sam, jako kapitan, żona i dzieci, łaskawi lub zobowiązani sąsiedzi, jako pasażerowie. Płyną — a przez dni te nikomu do morza zstępować nie wolno. Burza — szczęśliwie przebyta... lądowanie — w Dreźnie, potem Konstantynopolu i w Jerozolimie.

Inny wybudował olbrzymią wieżycę, z której mógł, pijąc wino — oglądać całą swą gospodarkę.

Każdy na swej zagrodzie — równy wojewodzie. A hetman? o ileż wyższy od lichego stolnika na tronie!

„Wielki ród w wielkiej ojczyźnie“ było to jego hasło, zobaczmy, jak pojmowane. Hetman, obrażony na Rzpltę, że w uchwale reform wojskowych odjęto mu władzę na-

czelną nad wojskami, zostawiając jeno tytuł — zamiast poddać się temu, gdyż o wojskowości, jak poszeptywano, nie miał wyobrażenia — zaczął knuć szerokie intrygi. Zajeżdżał do Wiednia, Berlina, Petersburga. Wszędzie byli radzi widzieć malkontenta, który wzywa pomocy w imieniu zardzewiałych urządzeń staroszlachetczyzny. Mir miał ogromny w narodzie, bo wszakże ojcem jego był zacny hetman, a sam — czyż nie jest męczennikiem? Pięć lat wysiedział w Kałudze na wygnaniu!... Wdzięczny naród ofiarował mu po powrocie — hetmaństwo! Uczyniłby to sam Repnin, gdyby mógł zrazu ocenić, z jakiego to rodzaju patrjotą miał do czynienia. Od wielkich spraw nad dobrem ojczyzny i rodu — wracał niby Cyncynnat, w pielesze gospodarcze. Tu, jak wszędzie, mąż wielki wnosi swą magnanimitatem. Inaczej musi rządzić hetman, in futuro król, inaczej zwykły hreczka! Oficerów zamienia w oficjalistów: rotmistrze kawalerji dozorują rybnego gospodarstwa, brygadjerzy młynkują pszenicę, chorążowie mierzą spirytus, trębacze wydają brahę wołom, namiestnicy w komportowych jamach stawią ule z gipsu — wynalazek genjalnego hetmana!

Ten bowiem kipi i wre od myśli krnąbrnych, niczem nieuleczalnych — jeśli myślami nazwać można na tle megalomanji różne szusy „gdzie Rzym, gdzie Krym, gdzie Babińskie karczmy". W głowie przeciętnego szlachcica z w. XVIII chaos był na porządku dziennym.

Hetman jest tylko wyższą deductio ad absurdum — tego światopoglądu, wyhodowanego przez jezuityzm, pańszczyznę, libacje winem i wielkie brzęczenie à conto ojczyzny, gdzie frazes ma absolutną supremację nad treścią.

Hetman przedewszystkiem, nie uznając Kopernika teorji — dowodzi, iż ziemia jest nieruchoma, bo ani on nigdy nie miewa zawrotu głowy, ani wszak obłoki tak lekkie utrzymaćby się nie mogły. Sprzeciwia się temu również Mendel i Kabała — gdyż Jehowa, jak wiadomo, wspiera nogi na ziemi — no, a jeśli się ziemia kręci? nie do przyjęcia!

Hetman uważał się za uniwersalnego genjusza: zbiera wodę z atmosfery, zamiast z rynien i ze studzien, wyrabia olej z siarki, uprawia alchemję i magnetyzm. Sam abstynent niepijący, nakazuje chłopom pod srogiemi karami zakupywać u żydów arendarzy wymierzoną ilość gorzałki i piwa z browaru. Podniósł znakomicie dochody — i zaimponował okolicznej braci. Miał totumfackiego Mendla Łuckiego — ten mroczny cień — jak nieraz w dworach szlacheckich — doreszty niweczył możność porozumienia między szlachcicem a chłopem. Mendel Łucki pomaga hetmanowi w obliczeniach kabalistycznych, uczy go hebrajszczyzny.

Jednocześnie w licznych wsiach i miasteczkach hetmańskich deprawuje lud i narzuca ceny na zboże, krowy, konie. Nikt nie sprzedał i nie kupił bez okupienia się Mendlowi i jego szajce. Synowie starsi rządzili lasami hetmana. Najmłodszy Dawid jest w kancelarji pańskiej — za zdolności zwan Złote Pióro. Słuszniej jednak winienby się tak zwać za duszę natchnioną. Obok umysłu przenikliwego i wybitnych zdolności swej rasy, miał serce głębokie, jak nurt Dniestru w tych jarach. Może z pastuszkami pasając konie, uległ czarom włóczącej się Płanetnicy? może w kościele, gdzie zakradał się z tęsknotą i zazdrością, usłyszał naukę Mistrza Galilejczyka i jego wspaniałe błyskawice przeszyły mu duszę? Może poprostu zapatrzył się na niedolę chłopską i poruszyło się w nim serce, nie skarykaturowane przez cheder? Tak czy inaczej, rozumiał już wiele z tragedji dwóch narodów.

Kiedy hetman przechadzał się po gospodarstwie ze swą twarzą zimną, z oczyma karalucha, a za nim faktor Mendel, strach mistyczny padał na wszystkich. Wiedziano, że hetman własną żonę i małe dzieci póty zamykał w jednej okratowanej, dusznej izbie, nie dając im pod żadnym pozorem wyjścia — aż biedna hetmanowa stała się narzędziem powolnem despotji męża i jego „jenjuszu". Rozjeżdżała z nim po stolicach, majestatem swej postaci wzbudzając zaufanie do intryg hetmańskich.

Córki i syna chowano według wymagań pedagogji magnackiej, otaczając metrami, Anglikami i czeredą kamerdynerów. Bez praw natomiast wychowuje się Wita. Hetman uznał ją za swoją tylko wobec ludzi. Żonie jednak dowodził, iż ze zbójnikami na Śpiszu pokumała się, jadąc w czasach konfederackich na leczenie do niemieckich badów. Daremno hetmanowa przysięga, iż pandurzy węgierscy w gospodzie, której nazwy nie pomni, odstąpili jej maleństwo. Mówiło tylko: mamusia — Bozia — Wita... Dziecię niezwykłej urody, z resztkami szat bogatych.

Hetmanowa, przebywszy lat trzy zagranicą, wróciła do kraju podbitego — wtedy Wita wzbudziła powszechny zachwyt. Ale hetman, wejrzawszy w oczy pełne szczęścia i mistycznej mądrości, zawołał z nienawiścią:

— Kukułcze to jajo!...

Na ten wyrok nie było już rady.

Utwierdził się w swem mniemaniu, gdy mimo ogłoszeń w pismach zagranicznych o znalezionem dziecku i napisaniu do władz galicyjskich rodzice nie zgłosili się.

Ulegając woli hetmana, musiała żona jego Witę chować oddzielnie od hetmańskich dzieci.

Wita chowa się, jak dzika jabłoń w lesie. Ma swą komnatkę na strychu pałacowym. Żywi się dowolnie.

Hetman uważa ją za jadowitą liszkę, skrytą i hardą. Razi go swym niezależnym charakterem i jakąś głębią prawdy, wobec której hetman, pedantycznie moralizujący, wygląda nieco po faryzejsku.

Nie mógł znieść tych modrych oczu, pełnych niewysłowionej męczarni, szczęście już dawno zniknęło z twarzy alabastrowej, która nie nabiera nigdy rumieńca.

Witę odsunięto od zabaw z hetmaniętami. Uznano za niebezpieczną: Mendel mówił, że takie znalezione dzieci bywają wilkołakami.

Próbował hetman na niej magnetyzmu, ale i to mu się nie udaje. Słowem, Wita jest jedynie tolerowaną, co wychodzi jej o tyle na dobre, że — z wyjątkiem lekcyj języków i muzyki — ma czas wolny. Ponieważ już dorasta,

postanawia hetman wydać ją za jakiegoś możnego klienta domu, który przyjmie jako najwyższe szczęście parantelę z hetmanem.

Wita korzysta ze swej złej opinji. Nocami błądzi po lasach i polach. Dniem w chwilach wolnych kryje się z księgą w najgłębszej części ogrodu. Czytać hetman pozwala tylko Bossuet'a Historję świata, Fenelona Nabożne medytacje i xiędza Chmielowskiego Polskie Ateny.

Ale Wita inne księgi z bibljoteki zamkowej ma dostarczane przez Dawida.

W małej jaskińce nad Dniestrem sylabizuje przy kaganku Newtona, Kopernika i Galileusza łacińskie traktaty, tudzież francuskie pana Laplace'a o powstaniu światów; Tucydydesa i Homera po grecku, zapala się do Tassa po francusku i bohaterskich czynów Joanny d'Arc... Szczęśliwym trafem odnalazła druki polskie, a wśród nich Żółkiewskiego hetmana wyprawę na Moskwę, Modrzewskiego o poprawie Rzpltej.

Nie była Wita obcą temu, co działo się na świecie, ani temu, co w kraju.

W domu hetmana widziała wiele, słyszała jeszcze więcej, w bibljotece czyta i przemyśla wszystko. Dochodziły ją listy xiężniczki Marji Czartoryskiej, z którą zaprzyjaźniła się serdecznie — wie zatem, co w najoświeceńszym domu Polski myślą i o czem debatują. Listy i przesyłki, wysyłane drogą prywatną, odbierał Szczerbina — zaufany Ukrainiec. Więc między innemi miesięcznik Świtkowskiego, redagowany w duchu rozumu i prawej wolnomyślności. „Zaraza wielorakich urojeń gnieździ się wśród nas; instynkt czułości, dzięki któremu nie mają nasi prawodawcy odwagi karać zbrodniarza". Zdolny wszystkowiedz ubolewał przeciw niweczeniu religji w narodzie, z drugiej strony wnosił szerokie żniwo z Diderot'a, Montesquieu'go i Leibnitza, z Konarskiego, Kluka i Skrzetuskiego. Nawołując obywateli do obserwowania zjawisk w przyrodzie, wykładał o piorunach i konduktorach, o zorzy północnej i gwiazdach spadających. Ostrzegał przed urojeniami Swedenborga i Kaliostra,

zaliczając jednak do urojeń i rzeczywiste odkrycia Mesmera...

Prócz tego pisma odbierała Wita jeszcze gazety zagraniczne, w domu xiążąt już przeczytane. Xiężniczka nadto w listach donosi wszystko, co słyszała w domu. Wprawdzie Witę nie bawiły plotki o tem, jak miewa się król Stanisław i jego Lully; ani że w Petersburgu zmienił Orłowa piękny Zubow, który żeni się z panią Protową Potocką, która porzuca męża. Ale zato wstrząsa ją wieść — wobec ubóstwa i potrzeb w kraju — że Stempkowski na przybycie króla sprowadza do Łabunia adamaszków na pokrycie ścian za miljon złotych, 65 tuzinów porcelany stołowej, win kosztownych kilkanaście tysięcy butelek, nie licząc gorszego...

W pismach zagranicznych wiły się krwawe wężyki, których nie umiał banalny czytelnik spostrzec — niezadowolenie ludu, rosnące we Francji, szalony cynizm sfer wyższych inteligencji, wzorującej się na tajemnicach parku Jeleniego.

Wita miała sposobność przeczytać niejedno dzieło reformatorów społecznych, jak Woltera, d'Alembert'a, Roussa, a z naszych Kołłątaja i Staszica.

Zwędrowawszy w czasie pielgrzymek nabożnych kawał kraju, poznała ciemnotę ludu, szlachty i duchowieństwa. Widzi nieraz palone na stosie zwierzęta „urzeczone", zaś czarownice i czarowników ćwiczonych pod pręgierzem. Nasłuchała się panegiryków, które pisali xięża na cześć magnatów; kazano jej wierzyć we włosy odrastające na figurze Pana Jezusa w Bracławiu, który nadto tem osobliwy, że płacze!...

Na koniu ognistym jawili się zmarli dziedzice i każą klasztorowi zapisać fundusze — tak głoszono z ambon. Widzi na procesjach epileptyków, z których wypędzano djabła, oraz kapników, w worach na głowie, z otworem na obnażonych plecach, którzy idąc z czarnemi krzyżami, biczowali się dyscypliną — aż krew pluska na obecnych.

Dźwiga jeden z nich ciężki krzyż, drugi łańcuchem bije go, wołając:

— Postępuj, Jezu! —

W szkołach, przeważnie klasztornych, młodzież uczyła się na filozofji Scotta i Arystotelesa, uczniowie zjadliwe wiodą dysputy, przerywane dźwiękiem trąb.

Gościem ojca jej bywa pan Wolski, słynny pielgrzym, w kontuszu aksamitnym, czarnym, podszytym lamą srebrną, krzyż czerwony na stronie serca; na srebrnym łańcuszku koncha morska. Wrócił z pielgrzymki wielokrotnie odbywanej do świętego Jakóba z Kompostelli, do klasztorów pod Libanem. Uroił, że musi walczyć z poganami. Sprzedał swe wsie, zbudował fregatę i nająwszy kapitana, zaatakował Maurów. Omal wojny nie wywołał między Hiszpanją i Algierem. Podobnie Radziwiłł, lękając się, że morze wzbierze, kazał na suchych piaskach sztyftować flotę...

Inni budowali nadzwyczajne pałace, gdy kraj grzęźnie w złych drogach, a robactwo żre lud w kurnych chałupach.

Ojciec jej, hetman, szuka kamienia filozoficznego, intryguje przeciw ojczyźnie i rozpaja chłopów, aby mieć dochody. Jednocześnie gra rolę nieprzełomnego Katona.

Kraj, nie mając rzetelnej pracy i rzetelnej wiedzy, stał się wielkim Ciemnogrodem. W sferach oświeconych — wszystko zależy od kaprysu — masonerja igra formami, filozofja burzy przesądy na to, aby rozuzdać erotyzm i podziwiać kuglarzy, jak Kaliostro...

Na Wołyniu, Podolu i Ukrainie ziemię oddają arendarzom lub rządzą przez komisarzów. Kilku właścicieli posiada dobra większe od xięstw, xięstwa dochodniejsze od dochodów własnego króla. Wojsko śmiesznie nieliczne — kilkanaście tysięcy pod fikcyjnymi hetmanami, jak Rzewuski, pod flecistą wytwornym, jak Ogiński, pod szaławiłą, jak Branicki, pod groszorobem i karjerowiczem, jak Stempkowski.

Handel mizerny w ręku żydów.

Poczty niema.

Nad ludem polskim ekonomowie, ciwuny i namiestnicy — z batogiem.

Wprawdzie w Niemczech jeszcze pod tym względem okrutniej — chłopów tam sprzedają do obcych armij. U nas — głupiej, bo pozwala się rekrutować dla armji niemieckiej i rosyjskiej nasz własny lud!

Co do Kozaczyzny, czego nie umieliśmy dokonać, zrobili inni.

Rosja utworzyła namiestnictwo Jekaterynosławskie; a z Kozaków uformowała regularne wojsko...

Umysł dziewczęcia gubi się w morzu tych kwestyj. Ale czuje w sobie głos prawdy intuicyjnej, tak żywo przepływającej jestestwo jej — jak Dniestr wśród lasów bezbrzeżnych.

Z prostotą Joanny d'Arc marzy podejść do króla i stać się jego sumieniem.

Jeśli ten niepowołany do odrodzenia narodu — pójdzie do innych, aż znajdzie, jak Debora, wodza, który jej wizję wykona!...

Życie jej wewnętrzne, niby krzew gorejący na górze ogromnej — w tym krzewie mówi do niej — kto? nie określając tego, wie — że to wzniosły Duch krainy. Polska jest dla niej ołtarzem, gdzie odbywa się msza ludów — Litwy, Korony i Rusi.

W rzeczywistości dotykalnej są kłótnie i swary. Ale tłumaczy sobie: i Chrystus — Duch świata — na ziemi był tylko biednym Jezusem! Nad ziemią jest sfera duchowa. Ziarno gorczyczne maleńkie — tam wyrasta w drzewo olbrzymiej świątyni. — Wita rozwija się sposobem dawnej Sybilli — przeżywając świat życiowem doświadczeniem, myślą i natchnioną intuicją.

Może będzie też w jaskini kiedyś pisała księgę świata?

Nieraz, porzuciwszy książkę, płynie łodzią wśród puszcz na wartkim prądzie, lądując przed chatą Szczerbiny, Kozaka, z którego córką, Kaliną, zawarły przyjaźń... Hetmanowicz Wacław dostarcza im koni — i we troje szaleją na szmaragdowych łąkach. Hetmanowicz, pacholę z ognistą

wyobraźnią, zapełnioną baśniami arabskiemi, poetyczny, nie silnej woli, tuli się pod skrzydła Wity; dzięki wyobraźni, zachował młodość i ogień swej duszy, bo może nie zniósłby tortur rzeczywistości. Wita ma siłę serca, która każe jej od świata ulubionego Centaurów, Amazonek i Lucifera — zwracać się ku rzeczywistej ojczyźnie, jakkolwiek ta jest biedną i uwstecznioną.

— — — — — — — — — — — —

Do zamku raz przybyli cudzoziemcy. Wśród nich wyróżniają się: pan de Nassau, niesłychany blagier, podróżnik, łowca bogatej żony w Polsce i admirał króla hiszpańskiego, zasiadły w Petersburgu, zawsze mile widziany w gronie dam warszawskich; nadto pan d'Arżanow, zaufany imperatorowej, pułkownik i zarazem wielki dostojnik w lożach masońskich; markiz de Mirabeau, Francuz, poseł króla Prus.

Pozatem różne figury z dworów zagranicznych, wiele swojskiej magnaterji i szlachty.

Rozpoczęły się tajemne narady, konferencje i objazdy wśród ziemian.

Jednego razu hetman nakazał żonie i dzieciom uczestniczyć w wieczornej uczcie.

Markiz Mirabeau, olbrzym o twarzy zeszpeconej ospą, ma porywający sposób mówienia. Głos jego zmienia się z miękkiej gamy kuszącego minstrela w głuchy poryk lwa. Za każdym razem, gdy odezwał się Nassau, połykał go dowcipem Mirabeau, jak krewetkę.

Przysłuchuje się Wita naprzód niechętnie, potem zaciekawiona.

Opowiada Mirabeau o rodzie swym: handlowali w Marsylji purpurą i koralami. Dziad jego słynny z ostrego języka i dzielności wojskowej. „Odtąd będę cię przedstawiał wrogowi, lecz nigdy królowi" — rzekł jego przyjaciel w Wersalu.

— Burzliwą jest nasza rasa. Pochodzimy pono od Sybilli z Fos. To też babka moja dała w papę kobiecie, która

przed nią chciała nabrać wody z kropielnicy w kościele. Urodziłem się z dwoma zębami i z głową, która wnet stała się młynem idej. J'avais àquinàl ans déjà diablement couru!...

— Mój przyjacielu — rzekł pan d'Arżanow — mówią o tobie, że jesteś żonaty, żółciowy, bardziej ruchliwy, bardziej dumny, bardziej nierówny, niż morze, nadto ogromnie chciwy wiedzy, rozkoszy i honorów...

— Nie zapieram się tego i dlatego źle mi było w naszym pałacu, który stał się trupem domu, odkąd matka zaczęła żyć na własną rękę, ojciec na własną, a każde z dzieci — jeszcze na swoją. Porywał mnie zawsze demon rzeczy niemożliwych. Chciałem reformować świat, bo widziałem niesprawiedliwości społeczne. Już nawet ojciec mój mawiał, że wielkie fortuny są jako szczupaki w sadzawce. Ojciec nie chciał mi przebaczyć moich kolosalnych długów i zbytniego szczęścia w miłości. Co do pierwszych, zaiste, trudno płacić, gdy szkatuła moja nosiła pas czystości. Mimo to żyłem rozwiąźle. Wpakował mię do więzienia, odebrał prawa cywilne. Nie narzekam teraz: miałem czas przemyśleć należycie wszystko — i widzę, jak prorok, że zbliża się rewolucja! Daremnie jednak wołam do dworu francuskiego: Nie zasypiajcie, bo zbudzenie będzie szybkie i straszne! — Nikt mnie we Francji nie słucha. Myślałem, że usłyszą mnie w Berlinie. Byłem już tam za Fryderyka, zwanego Wielkim. Teraz, gdy umarł, nikt tego skąpca i tyrana nie żałuje. Nawet Berlińczycy zmęczeni nim aż do nienawiści. Zastąpił go król bez charakteru, a tem niebezpieczniejszy dla sąsiadów, że chce przewyższyć sławą swego ojca — będąc tylko chciwą nicością, jak pęcherz z lwią paszczęką.

— Więc gdybyś pan był francuskim ministrem? — zapytał Arżanow.

— Przyspieszyłbym rewolucję świadomą i definitywną, żądającą miary, gradacji i hierarchji... Inaczej po władaniu kanalji arystokratycznej nastąpi panowanie kanalji sankjulotów... Tedy napadnie nas wróg... A my dla oca-

lenia będziemy szukali dyktatora — i ten znów zniweczy reformy, które są dla wielkości życia mego narodu konieczne! —

Grzmiał tak wśród sali ogromnej, przeciętej łukami i kolumnami, pełnej luster i kandelabrów.

Wita wstrząśniona! Jej instynkt życia podszeptuje, że Mirabeau głosi genjalne prawdy. Chce go wypytać, czego trzeba dla Polski. Ale dziwnie ją onieśmiela towarzysz Francuza — Rosjanin o twarzy szczególnej: mieszanina oczu tatarskich, wysokiego czoła i pięknych ust rasowego Polaka. Podaje się za Rosjanina, choć mówi doskonale każdym językiem. Imponuje nawet przy Mirabeau swą postacią wysmukłą o szerokich barach, swemi odezwaniami ironicznemi, znamionującemi głęboką myśl. Rzuca skośne błyski oczu na Witę, pomijając wytworne wojewodzianki i kasztelanowe.

Hetman rozwiódł się szeroko nad teorją rewolucji według Arystotelesa. Zakonkludował, że Polska nie potrzebuje rewolucji, bo jest zbudowana na wzorach rzymskich, że stoi cnotą obywateli, ale istotnie względem tyrana króla każdy dom szlachecki stać się powinien domem owego Lewity, któremu Gabaonitowie sprostnie a okrutnie zabili żonę.

— Pozwól, że przypomnę, panie hetmanie, abyśmy wiedzieli, czem jest dom szlachcica polskiego — rzekł pan Arżanow, rozwierając Biblję, w kącie leżącą. — „Jechał Lewita do Jebuz, które inszem imieniem zową Jeruzalem, wiodąc ze sobą dwa osły z brzemiony i nałożnicę. Starzec w mieście Gabaa dał mu gościnę... Mężowie miasta tego nocą zaczęli kołatać... I wyszedł do nich starzec i rzekł: Przestańcie od tego szaleństwa... Mam córkę dziewicę, a ten człowiek nałożnicę, wywiodę je do was, że je poniżycie — a waszą psotę wypełnicie — tylko proszę tej niecnoty przeciw przyrodzeniu nie“...

Pani kasztelanowa zatyka od zawstydzenia uszki? więc pominę drastyczne szczegóły. Dość, że rano nałożnica leżała na progu martwa. Tedy Lewita porwał miecz „a ciało

żony i z kościami jej na dwanaście sztuk zrąbawszy, rozesłał po wszystkich granicach Izraela".

— I dokończ, panie Arżanow, — zawołał hetman: — „zgromadzili się wszyscy węgłowie ludu i czterysta tysięcy pieszych waleczników. I porazili mieszkańców Gabaa paszczęką miecza... A tak wszystkie ich miasta i wsi żarzący płomień pożarł... We dni one nie było króla w Izraelu, ale każdy co mu się zdało dobrego, to czynił".

— Cóż to ma do Polski? — zapytał ziewając Mirabeau.

— Ona wszak stoi na Biblji i na Senece, — zawołał hetman.

— Ha ha... pora, aby wymieść już z Europy żydowskie brednie przyjęte zbyt naiwnie przez naszych praojców! We Francji czynią to dzieło Herkulesowe Wolter i Fontenelle, Diderot i d'Alembert; w Anglji Hobbes, Collins; w Niemczech Leibnitz, Kant i inni filozofowie. Oświetlają drogę prawdziwą ludzkości — zali to u was jeszcze jest nowością? —

Skrzywił się hetman.

— Europie będziemy za przykład, jak pielęgnuje się Vineam Domini Sabaoth. Chłop, pochodzący od Chama, musi korzyć się szlachcicowi, bo ten jest z Jafeta. Wszędzie ta harmonja Opatrzności, która chce — aby muchami karmił się pajączek, a nic się nie stanie w świecie, czegoby w Apokalipsie już nie było. System mój gospodarczy zaczerpnąłem z księgi Zohar, a pozwalam zbierać kłosy nędzarzom, jak Nabath. —

Pan Mirabeau nachylił się do sąsiada i szepnął tak, że Wita usłyszała:

— Une manière de pécore lourde et ennuyeuse...

I to jest hetman polski? w najgorszych rękach, niezdolny z nich wyjść ani też zauważyć, wchłonięty w swe iluzje i w swe ciemności, nie mający może woli złoczyńcy, ale najwstrętniej tępą i despotyczną samowolę — — byłby królem zgubnym! —

A głośno rzekł:

— Jeśli wolno budować państwa entre la poire et le

fromage, wyznam — że nie tuszę, aby lepiej działo się w Polsce niż we Francji.

— Bezwątpienia, — zawołał uprzejmie hetman, — Francja jest mimo wszystko krajem pełnym światła.

— Właśnie — ale gdzie światłość, tam bywa i cień! w więzieniu miałem sposobność zapoznania się z procedurą policji dla galerników... Wśród uwięzionych wielkie mnóstwo chłopów, którzy sprzeciwiali się lub niechętnie przewozili wojska w czasie żniw; zmuszano ich oddawać woły, konie i zrywać ich siły... Musieli zwozić darmo budulec okrętowy do portów... Na bezdrożach konie padają, objuczone olbrzymiemi tramami. Muszą chłopi pracować darmo — z racji pańszczyzny. —

Hetman bąknął o duchu łagodnym nacji polskiej, gdzie mimo wad sądownictwa osiąga się słuszną sprawiedliwość. Tu chłop może procesować się z xięciem i wygrać. —

Szmer zdumienia rozległ się w sali.

Na tak wierutne kłamstwo zaczerwieniła się Wita, drwiąco uśmiechnął się Arżanow.

— Niestety — rzekł Mirabeau — nasze francuskie gminy wiejskie pod tym względem ustępują wam: lud nasz jest biedny, ciemny i brutalny, niezdolny do samorządu. Ale zato w Paryżu duch ludzki już zwycięża. Tam organizują się komuny z mieszczan i robotników... Te idą przeciw przywilejom, naciskają króla, a jeśli owładną parlamentem —

— Wtedy runie Francja! — zawołał Hetman — jak już zachwiała się Polska wraz z odmianą starych tradycyj!

— Nie, wtedy otworzy się wielka droga przyszłości! — zahuczał Mirabeau — dla was i dla nas... Bo mów — j. w. hetmanie, co chcesz — upewniał mnie sam wasz oświecony i dobrej woli król, że Polska ma potworne i liczne prerogatywy szlachty... Naprzykład wieczna pańszczyzna z ziemi, której chłop sprzedać ani opuścić nie może... Trwają i u was obyczaje niewolnicze, że wolno jest ścigać poddanego chłopa, nawet w mieście pod okiem króla, nawet w wojsku pod okiem dowódcy — i zabronić mu żenić się, z kim on

chce! U nas monopole szlacheckie na przemysł, wy przemysłem gardzicie; ale kto stawia rogatki na drogach, oddawane w arendę żydom i przynoszące jednak setki tysięcy złotych...? A zastawy na mostach, rzekach i waszych „polskich" tj. fatalnych drogach...? Polowania należą wyłącznie do panów; w tej zwierzynie zbyt często jest zamieszana i ruda zwierzyna — łania dwunożna...

My już przynajmniej armję mamy otwartą dla chłopów, jak Rosja i Niemcy i Austrja — —

Mamy swą siłę.

Mniej lękamy się wroga, a więcej zwyrodnienia wewnętrznego... Nasz włościanin, który wraz z ziarnem rzuca swe serce do ziemi — musi przestać być niewolnikiem. Dlaczego religja go nie broni przed szlachcicem? Dlaczego wy nadto oddaliście go na pastwę żydom? Kto pojmie, jaki bezmiar nienawiści i zazdrości zbiera się w podziemiach duszy narodowej?! jakie tam goreją wulkany gniewu!

Biada tym, którzy znajdą się na drodze lawy buchającej z krateru!

Myśliciele najlepsi u nas idą wraz ze sprawą ludu... Nie zatrzymamy się, aż będziemy tak odcięci od zgniłej przeszłości, jak okręt od trupa gnijącego wieloryba... Płyńmy wszyscy po morzach równości, braterstwa i swobody — aż do gór tych, gdzie mieszka Wielki Budowniczy Świata.—

Hetman zerwał się zzieleniały.

— Markizie, — zawołał — mam zaszczyt gościć u siebie posła dworu berlińskiego — czy też jednego z tych, na których we Francji jest Bastylja, a w Polsce — miecz kata i magdeburskie prawo palenia — farmazonów! —

Potężny śmiech był mu odpowiedzią.

Markiz rozparł się jak lew.

— Jesteście tacy sami w Polsce jak nasi magnaci. Vous perdez toute la tramontane — gdy mówi się o sprawie ludu! Widzę, mój hetmanie, że niema w tobie pierwszego warunku człowieczeństwa — nie znasz samego siebie! —

Nigdy na podobne zuchwalstwo wobec hetmana nie

pozwolił sobie nikt. Teraz jednak musiał przebaczyć i udać, że uważa tę rozmowę za kaprys biesiady.

— Mówmy zatem anegdoty o królu naszym Ludwiku, który rządzi ze swych pięciu poduszek! poczciwy bonhomme — zabija dziesięć tysięcy zwierząt rocznie na polowaniu!

Łyknął potężnie siódmy już kielich — twarz jego stała się purpurową.

— Albo zejdźmy na tematy miłosne — zanurzmy myśl swą w Erosie, jak Dubois wziął z reguł niewieścich kolor do purpury kardynalskiej!

To nagłe przejście Markiza od tonu Jeremjasza i genjalnego myśliciela do cynizmu viveur'a — d'un vieux roué — oszołomiło towarzystwo polskie, a xięciu de Nassau dało pożądaną możność wypłynięcia.

— Brawo, na to hasło czekałem! Więc już nie wyda się dziwnem, że i ja sięgnę do pięknych wspomnień! Kiedym był u sułtana, pokazywał mi salę, gdzie są obrazy Boucher — malowana piękna Helena wśród odalisek — jakby tu powiedzieć — na wyspie Lesbos... Miał też salę drugą wypełnioną samemi ukrzyżowaniami... Sułtan, widząc napisy, był pewny, że wszystkie te obrazy malował malarz I N R I. Sułtan ma wiele uczuć najlepszego chrześcijanina — serce bowiem ludzkie wszędzie jednakie — —

— Moralizujesz i świnisz! — huknął Mirabeau — wybierz, mój Nassau, to ostatnie! będziesz przynajmniej szczery! A propos zaś I N R I czytałem to u Saint Simona...

— Może być — zawołał niezmieszany kłamca — w historji świata zdarzają się analogje. Ot naprzykład opowiadasz, markizie, w jednej ze swych najbardziej niemoralnych książek. —

— Popełniłem w młodości to głupstwo — wycofałem i spaliłem.

— Ja jednak mam taki unikat... Więc twierdzisz tam, panie markizie, że w Loango król zasiada na tronie wśród karłów ohydnych i białych negrzyc. Muszę zrobić poprawkę — gdyż widziałem naocznie. Są to Anelytroidy, kobiety bez —

Zadzwonił w kielich rozgłośnie hetman Seweryn — wstał i, obrzuciwszy piorunującem spojrzeniem wesołych wszeteczników, zawołał:

— Mości panowie! nazywają nasz kraj zacofanym! nie dbam ja o ten domniemany postęp ludzi bezbożnych i nie uznających ani wstydu niewieściego, ani przyzwoitości hetmańskiego zamku... Jako należący do stowarzyszenia Cnoty — głoszę popiętną abstynencję: od pijaństwa, od zażywania tabaki, od niewiast zepsutych, od książek liberalnych i od rozmów rozwiązłych. Wzywam tedy obecnych, aby odmówili razem litanję do świętego Alojzego Gonzagi, patrona młodzianów niewinnych...

— Meskolancja hipokryzji i próżności, — szepnął Mirabeau. Ale bawiąc się widokiem wszystkich, którzy powstawszy — zaczęli odmawiać litanję, sam podnosił głos, wołając: — Przyczyń się za nimi.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Nazajutrz daremnie szukano Wity. Zniknęła, nie zabierając ze sobą nic, nie wtajemniczając nikogo.

Obława leśników przetrząsa puszcze, a rybołówcy zapuszczają sieci.

De Nassau rozpacza krzykliwie, przebąkując o stratach i pokazując piśmienne zobowiązanie hetmana. Wziął się ktoś do pośredniczenia — i de Nassau ustąpił dokument za kolję brylantową, przygotowaną na ślub Wity.

Hetman, mając w ręce kompromitujący dowód, zrobił nowy układ z de Nassau — i ten rad wyjechał.

Markiz Mirabeau czekał z wyjazdem na Rosjanina — ale ten znikał wciąż w puszczy. Może zdziwiłby się sam hetman, widząc go tropiącego ślady przy pomocy swego nieodstępnego psa — który był skrzyżowaniem wilka z hiszpańskim dogiem.

Doszedł Arżanow aż o mil kilka nad Bug do chaty pustej. Dowiedział się, że mieszkał tu niejaki Szczerbina, że wyjechał z córką. Kiedy i dokąd? nie można było sprawdzić, bo stary pasiecznik żył samotnie i nieraz od-

dalał się na długo. Ze śladu kół Arżanow zbadał kierunek — do Warszawy! Ale Arżanow niedowierzał: konno popędził za tym śladem — i przekonał się — że wóz zakręcił na wschodni trakt. Liczne koleiny — rozpoznać już niepodobna. Dokąd mógł wyjechać stary Kozak? Zaporoże rozbite, Warszawa zbyt gwarna, Kraków zgnębiony... Dumał Arżanow i utrwalił się w mniemaniu, że uciekający wybiorą Paryż. Tam wszakże jeszcze najłatwiej mogli się chronić marzyciele — w rodzaju Babeufa i Fourier'a! Był już spokojny: tam owoc ten dojrzeje, a znaleźć nie sztuka!

Uprzejmie pożegnał hetmana i namówił, aby wyrzekł się córki krnąbrnej.

Powóz Rosjanina potoczył się. Razem z markizem paląc cygara, mówią na temat filozofji Herdena.

Hetman ponury, zamknięty w myślach czynił po nocy kabalistyczne wyliczenia nad nieodzownym upadkiem Polski. Naturalnie, jeśli jej nie wybawi nowy, przez wolność złotą szlachty uznany król!

O Wicie prędkoby zapomniał — ale wierny Mendel doniósł, że zniknęły ważne dokumenty dotyczące układów z dworem berlińskim.

Nieochybnie Wita!... porwała tajemnice polityczne... trzeba ją za wszelką cenę złowić...

Wyprawieni gońcy przebrani za kupców, dziadów żebrzących — węszą po kraju — zajeżdżając nawet do północnej stolicy, która wszystkich ciągnie.

Nadaremnie!

NAD SPRAWAMI OJCZYZNY

Siedmiokrotnie zabrzmiała trombita z wyżyn topoli. Zeszli się pod rozłożystemi jodłami i świerkami, których gałęzie leżą na ziemi, jak szerokie skrzydła. Kamienny stół z jednolitej płyty szyfrowej, głazy ustawione dokoła z granitu, którego tak wiele nad Rosią i Irpeniem. Ale że nie starczyłoby miejsc na tylu gości, wniesiono krzesła i fotele. Przewija się rzeka, tworząc wysepki, do których rzucono mosty. Tu i ówdzie spada kaskadami i szumi, jak bolące serce: tęskni rzeka za słońcem, które ją wypija, jak tęskni nieraz dziewczę za miłością, która je wybledza, wyniszcza i do grobu pochowa. Rzeka okrąża wielki kurhan, na którym postawiono kamienny krzyż. We wnętrzu kryją się masy popiołu i komnata grobowa: król jakiś tu legł pośród wojowników.

Zacisznie — brzęczą pracowite pszczoły, niebo turkusowe, jak wschodnia pieśń Firduziego.

— Gdybyś moją była, dziewczyno! — myśli xiążę, przeczytawszy list Wity ze stepu i wpatrując się w głębinę śpiżowo ciemną, tęczującą oparem rozbitego pyłu... — Gdybyś moją była, oprawiłbym cię jako rubin bezcenny w sygnet mojego życia. Gdybym z tobą mógł iść do Hadesu, zwalczyłbym wszystkie potwory! — Wśród migotliwych chwil szczęścia czuję, że utracę cię, że odejdziesz mię — i że nigdy, nigdy nie obejmę nieba twojej duszy, jak egipska bogini Nuth obejmuje firmament! Jesteś jeszcze blisko mnie, mógłbym za chwilę zobaczyć twe oczy — ale dusza twa chce iść drogą inną, niż wolno śmiertelnym. Biada tobie i mnie! żądamy niemożliwego! — —

Zebranie rozpoczęło się. Kilka osób nowoprzybyłych. Więc Tadeusz Kirkor, rotmistrz województwa mścisław-

skiego, były konfederat; Michał Hołyński, również z konfederacji i trzeci, którego nazwisko obiegało tylko szeptem.

Nie dosłyszała Wita — siwy, wyniosły, ubrany po polsku, z jakąś uroczystą żałobą. Czarny kontusz, szabla w czarnym jaszczurze. Buty czarne i tylko złoty słucki pas. Był tak wysoki, że mimo ramion szerokich wydawał się szczupłym. Czoło wypukłe jak u marzyciela, wyniosłe jak u mędrca, zbróżdżone pracą jak u alchemika lub Fausta. Spojrzenie modro-zielonawych oczu luciferycznie przenikliwe i jasnowidzące.

Przypominał Wicie — lecz określić nie mogła — i męczyło ją to, jak wspomnienie wspaniałego snu, który miał prorocze znaczenie.

Nie patrzy ten żałobny pan na nikogo, ale wszyscy wyczuwają przenikliwą głębinę wzroku, który omijał drogę zwykłych fizycznych odbić promienia — zapadając na dno duszy tak pewnie, jak orzeł nadchmurny na powierzchnię jeziora przepastnie utajonego wśród gór.

Z tą postacią rycerską, jakby Zawiszy Czarnego, kontrastem szczególnym był człowiek w masce, bronzowym płaszczu, w kapeluszu z szerokiemi skrzydłami.

Z pod płaszcza widać na fraku czarnym — masoński order: na zielonej emalji złotą świątynię Salomona. Kapelusz czarny — haft z astrologicznych figur. Złowrogi tygrysi ton stroju w zestawieniu z tajemniczą maską zastanawiał wszystkich, Witę przeraża. Ukryła się za drzewo, aby nie być widzianą.

Zabrał głos pan Ignacy Potocki, jako marszałek — i tu wybrany na przewodniczącego.

— Bracia i przezacne panie! witam imieniem waszem długoletniego obrońcę praw Rzplitej, xięcia Włastowicza z Tatr! — (Tu skłonił głowę przed żałobnym mężem).

— Witam też waszmość pana w masce, znak nieomylny wykazuje mi, że jesteś Wielkim Koftą masonerji, zatem władcą duchowym każdego kraju, w którym się znajdujesz! —

Człowiek w masce wysunął nogę, jakby król czekający

hołdu od podbitego miasta. Lecz zawrzały niechętne głosy i pytania — dlaczego twarz maskuje?

Marszałek zwrócił się znowu do xięcia Własłowicza.

— Zapraszamy cię, dostojny panie, abyś zagaił zebranie — żeglarze skołatanej nawy zbieramy się na pokładzie, radząc — jak płynąć dalej — bo nie mamy komandora okrętu, ani nawet sternika... Przemów!

Trwało milczenie oczekujące.

Wreszcie rzekł Tadeusz Kirkor:

— Xiążę Własłowicz mówić nie będzie mógł. Przebywał długo w Spielbergu i zresztą ma — obcięty język w czasie walki z Drewiczem. —

Milczenie nastało grobowe.

— Może więc, dostojny panie, napiszesz nam kilka słów ważkich, przepełnionych mądrością, którąby na te czasy mogła nas prowadzić? —

Tedy Własłowicz podjął rękę i zobaczyli wszyscy, że wisi pusty rękaw.

Wita drgnęła — oczy szeroko rozwarte wpatrują się w nieznajomego.

— Wobec niemożności porozumienia — racz ukazać — kto może przemówić w imieniu twem?

Wstał xiążę Własłowicz, obiegł wzrokiem wszystkich, zatrzymał się na swych towarzyszach konfederackich — ale ci wypraszają się wzrokiem i szeptem, że nie są mówcami, nie są statystami. Ogląda się wokół — wzrok jego spotkał się z oczyma Wity, łuna zalała jej twarz — on zaś pochylił głowę. Wnet jednak owładnął sobą — wzniósł wzrok już spokojny, jak zimowe niebo wieczorne. Dostrzegł Kambiłowa, który z wyrazem głębokiego współczucia i miłości skłonił się mu zdala. Wstał i podbiegającemu rękę lewą oparł na ramieniu, uśmiechając się, jak do kogoś zdawna i serdecznie znanego. Teraz okazało się, choć Kambiłow był olbrzym wyższy o głowę od Słusznica — Własłowicz był mu wzrostem równy. Obaj mieli twarze władcze, tylko że jeden wyglądał na orła, drugi na świętego.

Zdumieli się wszyscy, iż niesprzymierzony zacięty kon-

federat rękę swą, jakby błogosławieństwo — kładzie na ramieniu Rosjaninowi.

Pan marszałek, przykro urażony, chcąc ostrzec Własowicza, rzecze:

— Widocznie pan Kambiłow, Rosyjczyk, ustępujący ambasador w Paryżu — był pomocny wam w czasie niedoli — my pytamy jednakże, kto mówić ma teraz w imieniu waszem o sprawach Polski? —

Rumieniec wzruszenia czy gniewu przeleciał twarz Własowicza. Wejrzał surowo na pana Potockiego i wyciągnął rękę w stronę Kambiłowa. Teraz już wątpić nie było można.

— Hrabia Mikołaj Kambiłow przemawia — zawołał sucho marszałek.

Wystąpił parę kroków Kambiłow i cichym, ale bezwzględnie opanowanym głosem jął mówić:

— Znany mi jest xiążę Własowicz ze swych czynów, jak ja jemu ze swych myśli. Kocham ideję bytu polskiego, lecz mówić chcę — nie jak uczuciowy przyjaciel kraju waszego, ale znający arkana i tajnie europejskiej polityki. Tam zapanowała ideja niezrozumiała dla umysłów religijnych. Wczujcie się w mózg pająka — a zrozumiecie dyplomatę. Cofać się przed słabszym, mozolnie nawiązywać sieci, czyhać na sposobność, przygotować jad potężny. muskulaturę szponów i szczęk, rzucić się znienacka — oplątawszy obietnicami — i rabusiowsko wyrwać serce — oto kwintesencja tej mądrości. Odebrałem w domu wychowanie religijne. Dlatego też to, wobec czego stanąłem, napełniło mię grozą. W Europie przygotowuje się wielki przewrót — mający na celu wznieść na wyżyny ideję braterstwa narodów i ostateczne dać zwycięstwo Wolności. W tej kolosalnej burzy — poprzedzanej złowieszczą mętną ciszą rozpustującego egoizmu klas wyższych — zmiecionem będzie każde państwo, które nie ma potężnych łap.

Bo nie łudźmy się, że zapanuje teraz braterstwo, gdy zewsząd walczą o prawo do wyzysku i egoizmu.

Narody zaczynają być niczem — państwa wszystkiem.

Jak raki morskie, olbrzymie obchodzą się wzajem zpodełba patrząc — i nagle zmiażdżą kręgi poczciwemu polskiemu karpiowi —

— Upraszam mówcę nie zapuszczać się w wykład historji naturalnej —

— Polska też należy do historji naturalnej — ozwał się x. Staszic.

— W stawie europejskim żerować zaczynają wielkie szczupaki. Wybaczyć mi proszę te porównania przykre dla naszej ludzkiej godności. Lecz cóż ludzkiego w znaczeniu wyższem — zachowują mentorujące Europie dzisiejszej — Prusy?

W wojnie siedmioletniej — ciągnął — Prusy, zdawało się, że ulegną zmiażdżeniu. Rosja, Anglja, Francja wystąpiły przeciw nim. Fryderyk przy pomocy doskonałej armji bronił się zawzięcie, ale w kraju był już zupełny brak ludzi, koni, pieniędzy i żywności.

Wtem umiera caryca Elżbieta. Piotr III, wielbiciel Prusaków i sam pochodzenia niemieckiego, odwołuje wojska. Zawarto przymierze między Prusami a Rosją, wierną mu zostaje imperatorowa Katarzyna.

Polsce dano króla niezdolnego do panowania. Nie będę przytaczał dziejów Konfederacji Barskiej — dość, że gdy ukrywali się na Śpiszu, sam król żądał od Austrji, aby Śpisz wojskami zajęła.

Dysydenci stali się pretekstem, aby państwa obce do was się wtrącały. Unja jest dowodem polskiej tolerancji. W Poczajowskim klasztorze wychowuje się młodzież polska, zbudowany klasztor przez Mikołaja Potockiego. — Podobnie i Bracki Monastyr w Kijowie przez Halszkę Hulewiczównę. Nie budując kościołów katolickich na Rusi, chodzicie do cerkwi wspólnych. Nie było u was rzezi hugonotów, ani tępienia sekt.

Niestety i ta zaleta zwróciła się przeciwko wam, bo został się element żydowski niespolszczony!

Państwom ościennym zależy też na utrzymaniu anarchji, t. j. liberum veto. Kiedy sejm r. 1768 temu się

sprzeciwił, kniaź Repnin porywa krnąbrnych posłów i biskupa, aż sejm żądania jego przyjął i Polska przysięgła żyć w anarchji.

Państwa ościenne udają przed wami przyjaźń.

. . . . . .

A Polska? Nie bronię wad narodowych — próżności, odsuwania się od ludu, braku silnej woli w budowaniu swego życia, a przedewszystkiem — zrozumienia, iż życie jest oparte na tragicznych konfliktach. Ugrzęźliście w błahym łatwym optymizmie. Masy wierzą w Opatrzność według dawnych kantyczek i kruchty, wykształceni nie wierzą w nic — ale niemniej żyją zaufani w dzień jutrzejszy, aby nie psuć sobie wesołej biesiady.

Wybaczcie, że krytykuję wasz naród. Lecz nie jestem obcym — jestem Słowianinem i daję wiarę słowom Chrystusa: Prawda wyzwoli nas wszystkich!

Nieszczęściem narodu jest lichy król. Stanisław August, wykształcony i miły człowiek, mecenas sztuk pięknych, a raczej sztuk przyjemnych — bo na Piękno trzeba Potęgi — nie jest ani wodzem, ani wychowawcą narodu.

Rozrzutny i miękkiego serca, daje faworytom swym takie dobra, które zapewniłyby wojsko dla kraju, szkoły dla całego pokolenia.

Brak pieniędzy czyni go zdanym na łaskę Rosji. Zgodził się na podział kraju, gdy dostał pensję — siedm miljonów złotych. On jeden z waszych zrobił dobry interes na pierwszym podziale. — Nie ruszył palcem do jego zażegnania. Wysłał do Francji o pomoc naskutek namowy Stackelberga i Panina, którzy nie chcieli dzielić się Polską z sąsiadami.

Oto naga prawda obecnych dziejów.

A przyszłość? czy Austrja, wysuwając się na dolny Dunaj ku Serbji i Bułgarji, Prusy zaś ku Wiśle i Niemnowi — przeważą się w kierunku Słowian? — Niemcy rozpłyną się między Dubrownikiem i prerjami Amuru? czy odwrotnie, my staniemy się Chinami, podbitemi przez

mniej licznych niemieckich Mandżurów — niepodobna osądzić.

Jednak tylko z najwyższym wysiłkiem, jak zabłąkani w zawiei, możemy wyjść na drogę: oprzyjmy się na rozumie, na miłości bratniej, na rzetelnem poświęceniu wszystkiego dla przyszłości.

Skończył Kambiłow. Jego wysoka postać w biało-seledynowym rosyjskim bojarskim żupanie z rubinowym krzyżem na łańcuchu złotym czyni wrażenie proroka.

Przyszedł za wcześnie — w czasach egoizmu i rozpusty, gdy wszystkie narody były źle wychowanemi niedorostkami!...

Słysząc to straszne zobrazowanie położenia Europy, wielu ma łzy w oczach — a xiążę Józef, którego palił wstyd za stryja, był śmiertelnie blady.

Wtem ozwał się xiądz Staszic:

— Na takich wyżynach kończą się spory narodowe.—

Własłowicz wydobył z zanadrza pergamin i podał. Kambiłow zaczął odczytywać:

— Traktat wiecznej przyjaźni i gwarancji zawartej między Katarzyną II a Stanisławem Augustem w Warszawie 24 lutego roku 1768. Podpisany przez prymasa i siedmdziesięciu posłów tudzież xięcia Repnina.

„Obie świetne strony gwarantują jedna drugiej całość, utrzymanie ziem, posesji, prowincji i granic w Europie — sposobem najświętszym i najuroczystszym".

Niestety, rzekł Kambiłow — według dalszego artykułu Polska nie może zmieniać swych praw zasadniczych. To musi być odmienione mocą nowego traktatu. Musimy dążyć, aby narody nasze podały sobie ręce tak, jak my. —

Pokiwał głową Potocki.

— Po doświadczeniach Kijowskich mniemam, że z tego nic nie będzie — nie chcę jednak ludziom płynącym z najwyższem wysileniem rzec, iż portu nigdzie niema. Tedy bowiem siły utracą wraz z nadzieją — i utoną przed nie czasem.

Tedy — sperabimus!...

— Zebranie polityczne rozwiązuję — natomiast odkrywam swobodną rozmowę o masonerji. Zaznaczyć muszę, że reprezentujemy w kraju postęp. Dzięki masonerji wprowadzono szczepienie ospy. Zbudowaliśmy fabrykę krajową dla ubogich i wynaleźliśmy zupę rumfordzką z kości dla nędzarzów.

Towarzystwo sióstr zebrało dwa tysiące złotych dla dotkniętych wylewem Wisły. Opiekujemy się choremi końmi i psami.

Ktoś zaśmiał się z tak niedostatecznego miłosierdzia.

W objaśnieniu powstał Nieznajomy mąż w masce i zaczął mówić:

— Musimy znosić nacisk fanatyzmu i łamać ciężkie przeszkody, by zbudować kościół Salomona, t. j. Świątynię Rozumu. —

Zapytała surowa wojewodzina Jabłonowska:

— Dlaczego kryjecie się przed kościołem? Zbrodnia się kryje, cnota nigdy.

— Kryjemy swe tajemnice, jak kryją swe sekrety politycy lub lekarze.

I chrześcijaństwo kryło się. Miłość prawdziwa pokryta jest nieprzenikłą zasłoną.

— Jest-li coś wyższego nad Zbawiciela naszego, Jezusa Chrystusa? — ozwała się cicho Wita.

— Zgoda, ale czyż niema i przeto zakonów, które mają swój obyczaj specjalny i kierunki oddzielne?

Wszakże i narody mają prawa, zawarte nietylko w biblji.

Wyzbądźmy się ślepoty fanatyzmu — targa się on w swojej wściekłości i wzbudza nienawiść, upadla umysł, wysusza czułość, obraża święte prawa panującej władzy, uciemięża cnotę i jęczeć przymusza ludzkość.

Prowadźmy ludzi do ducha pokoju i braterstwa.

Wita przeszłaby na stronę masonerji, gdyby nie mówca w masce, który ją przeraża. Wojewodzina Jabłonowska ozwała się jeszcze:

— Lecz jesteście wyklęci przez kościół!

— Uczyniono to pod kondycją: „jeżeli zasłona tajemnicza kryje pod sobą co zdrożnego przeciw religji lub przeciw dobru krajowemu — wyklinamy ją".

Tedy św. Stolica nie wyklina masonerji, nie wiedząc, jaki ma koniec godziwy. Papież obecny zniósł klątwę, przeświadczony, że w tak wielkiej liczbie komedjantów, jaka jest w Europie — musi się znajdować wielu ludzi rozumnych i cnotliwych.

Tak, bracia! począwszy od Egipcjan i Persów, a kończąc na Bakonie i Kartezjuszu — ciągnie się tajna, długa wieków nauka... Klucz mądrości ukryty jest w obrzędach masońskich.

Kościół nasz mistyczny z imieniem najszanowniejszego z królów — odkrywa się przed wami. Mnie mówić więcej nie wolno.

Należę do tych, co tworzą sztukę królewską i wszystkim radzę przystąpić do jej wielkości.

Poznanie natury jest celem wolnomularstwa. Cnota jest przewódczynią naszych kroków.

Pod Twoją, Przedwieczny Niebios Budowniku, opieką — kochajmy wolność i żyjmy w wolności.

Niech w lożach naszych spełni się to, co zamierzają w swych tytułach:

„Swiątynia Izydy, Milczenie Doskonałe, Gorliwy Litwin, Kościół Mądrości, Doskonała Tajemnica, Szkoła Mądrości, Stałość Uwieńczona" i wiele innych — aż do „Szczęśliwego Oswobodzenia!"...

Czy wszyscy zgadzamy się należeć do masonerji?

Milczenie wasze przyjmuję za zgodę.

— Ja nie będę należał — ozwał się hrabia Kambiłow — i, jak to wiem napewno, ani xiążę Wlastowicz.

— Czy możesz, hrabio, nam to wytłumaczyć?

— Owszem.

Ale Nieznajomy nachylił się do pana marszałka i coś mu szepnął.

Ten po chwili wzdragania się rzekł:

— Nieznajomy ten mąż rządzi Zamkiem Dawida. Ulegam jego woli. Rozkazuje. Przewodzi. I ukazuje. W imieniu jego muszę prosić hrabiego Kambiłowa, aby raczył nas opuścić. Musimy odrzucać wszelkie rady i ostrzeżenia, pochodzące z obozu wrogiego. Pan Kambiłow nie czci postępu.

Hrabia Kambiłow uśmiechnął się pogodnie i, zwracając się do xięcia Własłowicza, rzekł:

— Za wiele tu już pada słów i rad będę oddać się milczeniu.

Tak czy inaczej, nie wątpię, że wielu z nas gotowych jest umrzeć dla sprawy najwyższej swego serca.

Jestem Rosjaninem bez maski. Dlatego mi nie ufacie. Wierzycie tylko tym, którzy noszą maski.

I nagle, zwracając się do Nieznajomego, rzekł nadspodziewanie surowym, metalicznym, jak dzwon potępienia, głosem:

— Chevalier d'Arżanow, kolego Kaliostra czyli Józefa Balsamo — kto cię tu przysyła, wiem. Ale jak tego mistrza zdemaskował pan Moszyński lat kilka temu w Warszawie, tak możesz i ty narazić się na wielki wstyd.

Wędruj do Egiptu, skąd jakoby przywozisz swe sztuki. Zawieź też hetmanowi polnemu moje pozdrowienie!

Jak wąż jadowity, ujrzawszy nad sobą cień skrzydeł marabuta, zwija się i syczy, tak zasyczał Nieznajomy. Wściekłym ruchem ukazał order Wielkiego Kofty.

Pan marszałek skłonił się i rzekł wyniośle do hrabiego Kambiłowa:

— Wielki Kofta opuszcza nasze zebranie, gardząc inwektywami. Odsłonić kim jest — zabraniają mu śluby — i to miłosierdzie, które mu nakazuje swe zabijające oczy odwrócić od niegodnych!

Iskra przebiegła Witę, na twarzach wyraziło się niezdecydowanie. Xiążę Józef uczuł głęboką chęć podejść do Nieznajomego i zedrzeć mu z twarzy maskę.

Pohamował się, czując, że tem obrazi zacnego Potockiego.

Tymczasem xiążę Własłowicz jął pisać na ziemi ostrzem szabli przy pomocy ręki lewej:

— W imię jasności duchowej zaprzestać szarlatańskich formuł!

Kimkolwiek jest ów pan — zdajemy to na jego osobistą odpowiedzialność. My wszyscy czujemy się godni życia i pójdziemy po jego triumf. Ale jeśli nie zwyciężymy w tem pokoleniu, jeśli zstąpimy w głąb ciemną — do Hadesu, niby w Katodos dawnego misterjum — to biada nam: bo dopiero aż w siódmem znajdziemy moc do rozwarcia Wrót. I duchy nasze będą musiały przeorać cały glob ziemny, idąc w straszliwie mozolnem Anodos wzwyż!... —

Mistyczne, niespodziane napomnienie xięcia Własłowicza wniosło ożywczy balsam — jak po burzy idąca woń górskich jodeł.

— Zebranie rozwiązuję ostatecznie — ozwał się pan Ignacy.

Za trzy dni, wieczorem, w Kaniowie zebranie masońskie. Czyja łaska, światło a miłość dla człowieczeństwa — zapraszam — nie gwałcąc nikogo. In rosa, in cruce — in ea, in eis — gemmati resurgamus! — zakończył.

Nie wszyscy rozumieli.

— Jako znak — zawołał xiążę Józef — że związani jesteśmy miłością ojczyzny, weźmy się za ręce.

Podał rękę wojewodzinie Jabłonowskiej i Wicie, ona xiążęciu z Tatr, ten Kambiłowowi, tamten Wielhorskiemu — i tak wszyscy uczynili krąg.

Wielki Kofta prześlizgiwał się zdala wśród drzew, aż zniknął.

Zamknąwszy oczy, wszyscy uczuli, jak przebiega przez nich jeden potężny, magnetyczny wiew.

— — — — — — — — — — — —

Gdyby nie Wita, Kambiłow i Własłowicz, zapewne skończyłoby się na ceremonjalno-politycznej rozmowie. Ich obecność nadaje podświadomym siłom zupełnie nowy pęd.

Wolterjanie i pozytywiści, ciaśni katolicy i formaliści stają się naraz uczestnikami misterjum. Masonerja wielka w swej myśli zasadniczej poniża się brakiem rzetelnej mistyki, t. j. przepojenia życia przez głęboką duchowość.

Mimo jednak że wpada w ręce szarlatanów, umie ludzi łączyć wiarą w coś wyższego, niż prosta oczywistość.

Czyniła to zresztą głębiej dawna religja. Lecz cóż, gdy jej nie stało, gdy nie zdążyła iść za myślą i nad bezdnią zwątpienia zbudować nową świątynię.

Dlatego widzimy tutaj ludzi zacnych na pośredniej drodze, między religją tradycyjną a nowym szlakiem misterjów. Dlatego Ignacy Potocki mógł stać obok xiędza bazyljanina Trockiego, a Słusznic obok Wity.

Spotęgowało się w tem mgnieniu życie jednostki do rzeczywistej potęgi. Gdyby tak zespalały się towarzystwa i rodziny, naród byłby jednym kolosalnym magnesem. Uczuli się wszyscy przyjaciółmi. Przeżyli razem wyżynę zbratania.

KRÓLESTWO BACHUSA I WOLNEJ IDEI

Tymczasem część towarzystwa, która nie była zaproszona do obrad politycznych, pod przewodem pana Słusznica utworzyła w ogrodzie stół biesiadny — i mając carte blanche od gospodyni — pan Słusznic przed podaniem potraw oprowadzał gości po śpiżarni i piwnicach, wziąwszy do pomocy kucharza i ochmistrzynię.

Pochwaliła się pani Katarzyna śpiżarnią, która była wysoka z piętrem — trzeba ją obchodzić po schodach krętych.

Beczki z różnemi kaszami, mąkami, kukurydzą. Setki słojów z marynatami z grzybów, z konfiturą wszelaką, zaczynając od agrestu, dereniów, jeżyny, kończąc na brzoskwiniach, jabłuszkach rajskich, pomarańczach i ananasach. Na półkach zaś ułożone w trocinach lub wiszące na ogonkach, żeby się nie psuły — grusze zwane urjantówki, (Orient) i bery; jabłka kalwile, renetki i nory. Barwnością zdumiewały śliwki ogromne kardynałki, winogrona i limonie.

Słusznic zapalał się i mówił jak o swej własności. — — Mamy oranżerję własną i inspekta — ale będę wolał mówić o tem, pokazując krużganki kryte owocem, kwaterki pełne ziół wonnych.

Niedarmo uczyła się pani Katarzyna u ogrodników, zwiedzając nad Narwią słynny ogród Szepietowskich; w Ujazdowie i Łazienkach, oba królewskie; w Białowieży i Białymstoku — ten ostatni zwany Podlaskim Wersalem. Zresztą Fraskati, Powązki i przy Uniwersytecie; z dalszych od Warszawy — Arkadja, Antonówka i Łańcut.

Ogród owocowy słynie tu w okolicy, co zresztą nie jest zasługą, gdyż ziemia ta ze wszystkich gatunków czarnoziemiu jest najprzedniejsza. —

Goście rozglądają się z formalnem uwielbieniem po śpiżarni. Wszelkie przekąski wisiały w pozach mniej lub więcej nieromantycznych: dzik wędzony, szynki ogromne, łapy niedźwiedzie, pulardy i cietrzewie wędzone, półgęski, pasztety, różne sery i gomółki. Ryby suszone i wędzone, kopcone. Chleby wonne, podpłomyki, ciasta makaronowe. Jarzyny suche i świeże — więc kapusty włoskie, szparagi, karczochy, bulwy czyli afrykański maniok, ziemniaki, podawane zazwyczaj jako legumina z cukrem. Korzenie różne i ziela, jak majeranek, anyż, kmin, gałka muszkatołowa, kapary, szafran, angielskie ziele, kubeba i kardamony.

— Główna ozdoba naszej śpiżarni — łoś, bestia magna, jak zwie kucharz. Brat jego już obracał się na rożnie i widzieliśmy go na stole, a teraz żyje i prosperuje on u nas.

Dwa tygodnie musi kruszeć, dlatego bezpiecznie mogli sprowadzać z Czarnobylskich lasów — wiesz, nad Dnieprem na północy! Nie warto oglądać tego drobiazgu: — cietrzewie, zające, słomki, chróściele.

Mimo pory wiosennej i zakazu polowań przez dobrego myśliwego, jakim jest przyjaciel Jan — zrobili leśnicy obławę z okazji przyjazdu króla.

Gości bywa tu zwykle sporo, bo wieś leży na szlaku od Lwowa do Kijowa — ale teraz chcielibyśmy przyjąć choćby pół Polski.

Niestety, zjazd w Kaniowie, zdaje się, jest pozbawiony zupełnie sensu. Lepszych obywateli zjechało niewielu. Choć ten z głupstwa należy osiągnąć pożytek, aby się wzajem poznać i wspólnie sejmikowo przemyśleć i doradzić.

Wielu kręci się awanturników, przed którymi bramy nasze słyną z niegościnności.

Rzućcie okiem na te ryby pływające w ogromnych stągwiach i baljach — to jesiotr, wizina, pstrągi i karpiołososie z Dniepru. Tam węgorze. A tu już przyrządzone wątróbki z miętusów. Tam jelce, jaszcze i szczupaki. Ruszają się raki w koszu z pokrzywami.

Ryby morskie z Gdańska, te puszki — to homary w marynacie.

Jeśliś waćpani nie łakoma, to nie zajmą cię te szuflady — są tu bakalje, cykaty, figi, orzechy, malaga, siemionka ze słoneczników i cedrowe orzeszki; cukier z trzciny zwany, jak wiesz, kanar — sprowadzany z za morza, choć nie jest lepszy do kawy, niż miód.

Zejdźmy jeszcze do piwnicy — pokażę wam wina. — Nakrzesał iskier do lontu, zapalił stoczek.

— I czyż można być Polakiem, nie idąc ścieżynami ojców?

Maślacz w trzech barwach: zielonej, złotawej i brzoskwiniowej, chowany dla kroniki Stryjkowskiego, Gwagnina, dzieł Wassenberga. Poczciwy Pasek, facecje sprośne staropolskie hetmana Wacława Rzewuskiego i poety Jana z Czarnolasu — nie są zrozumiałe bez miodu kowieńskiego, ukraińskiego dereniaku, tomaszowskiego wiśniaku i białego lipca z lubelskich lip...

Jak wspaniałe odkrywają się horyzonty przy Bordo i komedjach Tirso de Moliny, Moliera i Beaumarchais? jakie złote prerje w baśniach Tysiąca i jednej nocy, w Ogrodzie róż, w pieśniach Hafiza i winie perskiem z Szyrazu —

Jakie wtajemniczenia w Żywotach świętych przez Rollandystów, kiedy w strojach powiewnych z najcieńszego muślinu, w kwaterach ogrodowych, gdzie pełno ziół wonnych a sala z kratą owitą zagranicznemi roślinami daje widok wspaniały — un belvedère — — nad okolicą żyzną...

Wiatrak, wnosząc wodę na górę, tryska fontannami — a my w figarni wśród sykomor, grusz i jabłoni śpiewajmy, wtulając w siebie entre deux mets, alikant cierpki, ozoję, pinioły i rywuły... albo przedziwny witpacher... albo mentha pulegium wonne...

Wtem nadeszły nowe postacie: kilka osób, korzystając z przerwy wiecu, zapragnęło wciągnąć do obrad i weselszą część towarzystwa.

Wita była wśród nich i właśnie zjawili się w chwili, gdy Słusznic, jak prorok u źródeł życia stojący — nauczał barwną i rozbawioną rzeszę.

— Niby drugi Tezeusz przeszedłem wzdłuż i wszerz, a szczególniej wgłąb wielkie naturalne labirynty życia...

Dobrane grono dam i mężczyzn pod moim przewodem wtajemniczało się w refektarzu w sens Horacjuszowego Carpe diem — chwytaj dzień! zaś obok nas w kościele śpiewano wyrzeczenie się każdej odrobiny szczęścia!...

I było nam dobrze w bractwie Akataraktów, t. j. niemających katarakty na oczach.

Całkowaliśmy wiedzę przez słoneczność, a w czemże największe esencje światła, jak nie w winie? dodam — i w dobrej strawie.

Więc wyborny słownik filozoficzny Woltera przy szampanie Oeil de perdrix 15 złotych butelka; Montaigne przy Goldwasser z Gdańska, Bayle przy śliwowicy, Romanse francuskie przy liquers des isles oraz du parfait amour. Pamiętniki Saint Simona, kardynałów Retza, Richelieu'go i Chimenez'a — przy doskonałym burgundzie Chambertin, Romanee, Chaby i Haut Sauternes...

Don Kichot, Rabelais i Simplicissimus żądają swych burgundów à la Rose, la Fite i des Bons moutons...

Wstępowaliśmy do piekieł Dantejskich przy Lacrima Christi butelka po złp. 14, w czyśćcu rozmyślenia przy piołunkowym winie Pedro Chimenez po 26, a wejście do Raju czciliśmy przez stare kreteńskie i cypryjskie po 60 złp. Zwracam uwagę, że na tych wyspach narodził się Zeus, Wenera i Minotaur.

Literaturę starożytną, jak hymny Orfickie, poznaliśmy zasadniczo przy soku z wysp Kanaryjskich, albowiem czerwoną ziemię tych wysp (pierwszy człowiek Adam znaczył czerwony — misterjum Atlantydy w Platońskim Tymeuszu ledwo napomknione!) — myśmy odgadli intuicyjnie, leżąc pod stołami... i widząc alfę i omegę wszelkiej Genezy!...

A sądzisz, o łaskawa Moralności, że nie znał życia Ateneusz w swej historji heter, albo Petronjusz w zuchwale cynicznym Satyrykonie, albo Lucjan w swym Oszukującym Proroku? odbudowaliśmy sens tych emanacyj krwi i mózgu przy iskrzącym hipokrasie, mieszaninie wina z miodem, nalanej na granaty, na róże lub na piniole...

— Już dosyć, do serca mi nie przypadają te koncepty — — ozwała się jakaś dama.

— Któż ma tak wielkie serce, jak pijący? Mówi psalm Dawidowy: że vinum latilicat cor — że wino rozwesela serce...

Tak, Cnoto — zawołał w istnem natchnieniu — odrzuć fałszywy wstyd i wyznaj, że się na tem nic nie rozumiesz!... Dlatego nie zdołam objaśnić, czem jest Nirwana owego indologa Anqetila! Nirwana, kraj Wiecznej Jutrzenki, młodości absolutnej, boskości niedbałej o nic, co nazywa się dziesięciorgiem przykazań i obłudą! Jest się ponad wszystkiem. Śmierć nie istnieje. Tragedja życia stawa się polotnym szumem skrzydeł tęczowo-błękitnego zimorodka nad wodami, które kryją wszystkie możliwości: tu płacz na Golgocie i przy grobie Attisa lub Alego, tam wrzask muezzinów, tam barkarola wenecka, rżenie centaurów — — piekielny taniec widm — znasz to, panno Wito? a nie znając, nie możesz sądzić, potępiać i wywyższać się ze swemi moralnostkami ad usum grzecznych panien.

Zresztą — mam wyznać do końca? zostałbym nadal obłudnym ojcem Hilarym, trwałbym w roli kaznodziei Sylena, gdyby nie ty! nie twa spowiedź! nie twój pocałunek mej ręki, która przez noc błądziła po — słowem błądziła, wybijając heksametry na żywych marmurach, rano zaś wznosiła kielich ofiarny. Gdym rzekł ci w konfesjonale: nie grzesz więcej! ty przylgnęłaś do ręki mej wargami pokory: tedy uczułem się praśnięty w pysk — — —

Wita zapłoniona tem niespodzianem wyznaniem chce wybiec, ale tłum zasłonił wyjście, zapalono pochodnie i z wesołym gwarem rozwierano drzwi dalsze w podziemiach.

— Piwnica dostała się nam po dziadach i pradziadach. Oto co trzyma Polskę! — wołał Słusznic. Loch, zbudowany masywnie z grubej cegły.

Nad beczkami i baterjami omszonych flasz malowidło Bachusa jadącego na ośle i gotycki napis:

„Człowiecze, chces polesycz (poleczycz) duszy swej —

Nie mów, czansto, miodu nalej, bocz miód jest to dziwny olej".

Wita czuła się jak w katakumbach poważną i posępną. Stanęły jej w myśli sromotne czasy Augustów. Za bydlęciem królem zbydlęciała szlachta — opisują to pamiętniki Kitowicza.

Przeszli po schodach do drugiej piwnicy, oświetlonej oknami — tu stały tłocznie, donice i muśliny do nakrycia fermentujących soków.

Teraz wydało się, że piwnica nie kryła zbyt groźnych upojeń... Prócz kilkunastu butelek miodu dla starej szlachty — i trochę wina dla amatorów.

— Tu wyrabiam wina polskie — rzecze z uśmiechem gospodyni — stoją z kilku lat jabłeczniki na sposób bretońskiego cidre. Tu wino z borówek, porzeczniak, maliniak i różne kwasy — więc ten rodzenkowy, tamten żórawinowy, chlebowy... Teraz przeprowadzę państwo do oddziału mleczarskiego — słyszycie jak wyrabiają masło?

Słusznic był rozczarowany i wściekły. Powiedział, że Polska stacza się ku przepaści przez takie abstynencje — ale przecie są prawdziwi Polacy, jak xiążę Karol Radziwiłł, pan Ksawery Pationdlin — ci Polskę wskrzeszą. — Pospieszył do uczty w ogrodzie, a Wita spostrzegłszy, że wiecownicy oglądają gospodarstwo, przyłączyła się do grona, które szło z panią Katarzyną.

Zaszły do niedalekiego budynku, gdzie mieści się izba czeladnia — ogromna, z czterema oknami po każdej z dwóch stron. W kącie wśród zieleni i świętych obrazów płonie lampka.

Na półkach misy gliniane, łyżki cynowe w rzeźbionych deskach z ornamentami słońca i kwiatów.

Nawet sozrąb czyli belka poprzeczna w izbie tej był rzeźbiony.

— Widziałam na Żmudzi i w górach za Krakowem podobne rzeźby jak u naszego ludu. Daję swobodę ich wyobraźni — i patrz, jak piękne są te smocze głowy, albo ten Ilja na wozie tu, gaszący pioruny! —

Właśnie zaczęli na wieczerzę schodzić się parobcy i kobiety, silne, rozrosłe postacie, ogorzałe twarze, wesołe mimo żmudnej pracy. Włosy mieli wszyscy jeszcze mokre.

— To nie od potu bynajmniej—rzekła pani — ale mają zwyczaj w dzień gorący kąpać się w południe i wieczorem. Przepływa tu Irpeń, widziałaś, jakie tworzy ogromne stawy.

Zanim rozpoczęto jedzenie, jeden z nich przeczytał po rusku rozdział z ewangelji i wszyscy stojąc przeżegnali się. W misach podano żur, płaty chleba czarnego; z wielkich dzbanów cynowych nalewano do drewnianych krużów czarno-bronzowego płynu, czyli kwasu chlebowego; jasnoróżowy był z rodzynków, czerwony z żórawin.

Rozmawia pani Katarzyna, zasiadłszy na ławie.

Ze zrozumiałym apetytem, ale bez łapczywości, jedzono kluski gryczaniki z mąki tatarczanej, osypane serem. Zapach knyszy rozchodził się — czyli pierogów ruskich okrągłych, we środku wklęsłych, wyłożonych cebulą smażoną i oblanych masłem. Mamałyga czyli kasza kukurydzana z świeżemi grzybami, jak holubki i maśluki — wreszcie boczek wieprzowy przypiekany z kapustą, garść owoców suszonych dla każdego.

Wita, której nadzwyczaj spodobali się ci ludzie prości i serdeczni, miała ochotę z nimi spożywać.

I rzekła to pani Katarzynie, tłumacząc, że nigdy niebywa tak sutą jej wieczerza.

— Mnie tem nie obrazisz, ale jak to będzie wyglądało, gdy przy stole nie weźmiesz nic do ust? nie, Wito miła, już innym razem będziesz mogła tu zachodzić — i ewangelizować się. Trzeba iść.

Wita żegna uśmiechem serdecznym wszystkich tych, którzy tworzą fundamenty państwa.

Szczególniej spodobali jej się starzy włościanie.

— Jakie twarze uczciwe!

Zaśmiała się pani Katarzyna.

— To są dawni rezunie...

Na podwórcu, gdzie skrzypiał żóraw od studni i pojono krowy i jałowiznę, szły panie.

Przy kuchni rozwartej szeroko ujrzały Słusznica wykładającego kucharzom i hrabiom, jak należy czcić boga Komusa.

W przestronnej izbie kuchennej przy rzęsistym ogniu kręcił się kuchmistrz, dwóch kuchcików i dwie robotnice, wszyscy biali jak do ślubu — miga czerwoną miedzią wszelka rondlowość, białą cyną tarcz łyskają patelnie; kurzą się wonne pieczenie, obracane rożny udekorowane przeżyciami niedawnych fruwaków, Bestia Magna smakowitą woń wydziela, nadziany masłem, truflami, pieczarkami i posypany majerankiem. Pienią się kremy, w cebrach mrożą lody, tłumnie zebrane jarzyny pysznią się barwami swych aksamitów zielonych i krasnych gros de Tours'ów... A kiedy jednem spojrzeniem Wita objęła tę fabrykę, a raczej tę świątynię Asmodeusza żołądkowego, kiedy spojrzawszy na potężny ogień, okalający kunsztownie kilka rusztów, rożnów, kilkanaście fajerek, brytwann, uniosła się myślą do tożsamości tego ognia z ogniem rzymskiej Hestji, indyjskiego Agni, krzaku gorejącego Mojżesza — i gdy zabrakło jej tchu i odwagi wstępować dalej w to królestwo Gei Astronomji t. j. astronomji Gei, bogini ziemnej.

Podszedł do niej Słusznic i rzekł:

— Takiem jest życie, takiem, a nie innem. Na gorących nawozach rosną srebrne pieczarki. I racz, pani Wito, nie gorszyć się, a rozumieć. Przy stole biesiadnym zdołasz jedynie przejąć, ożywić, wzruszyć i do genjuszu swego przywieść Polaka! —

Aby Słusznicowi kłam zadać, Wita podeszła do stołu biesiadnego, gdzie przy chińskich lampjonach zasiadło towarzystwo do stołów.

Brak tu było gospodarza, Własłowicza, Kambiłowa i kilku innych — ci wyjechali w pola na modlitwę czy milczącą rozmowę dusz. Ale zato był xiążę Józef i młodzież, a wszyscy w świetnych humorach.

Jeden tylko Wielki Kofta nie zdejmował maski i choć siedział przy stole, nie jadł nic.

Kiedy wonny zapach combrów i udźców sarnich zmie-

szał się z zapachem kwiecia ogrodowego, pan Słusznic, który tu niepodzielnie tronował, ozwał się:

— Niech będzie nasz kraj ostoją przeciwko zbytniej, odśrodkowej sile cywilizacji! Na Wschodzie skostnienie bizantynizmu lub nihilizm... We Francji tajemnice Jeleniego parku i takie morderstwa, jak bankiera Dubarry albo Bressaca, który matkę oddał dogom... Oto co nam grozi na Zachodzie — ze zbytnich szczytów ośliznąć się w ten parterre de la nature! Dlatego przenieśmy myśl swą w kraje dziewicze, gdzie, według Russa, panuje wiek złoty... Opowiedz coś z Polinezji lub z Peru — wszakże, Wielki Kofto, jesteś grandem Hiszpanji — i byłeś zapewne w ojczyźnie Indjanina, Tupae Amaru... Ten dzielny człowiek zrzuca jarzmo Hiszpanów. Cóż hiszpański król na to?

— Że mamy absolutne prawo względem brudnych Indjan — jak ma wszystko wyższe wobec uwstecznionych! Kiedy mię Indjanin w Peru błagał, abym mu zabrał skarby, a zostawił żonę, dałem mu policzek i cięgi. Miałem tam przy swym oddziale tragarzy, niosących nam broń i amunicję, łóżka i toalety. Szli za darmo, oddawali nam swe konie, które, o ile nie padły w górach, sprzedaliśmy po pięć franków sztukę. Moi towarzysze wyrzucili Indjan z ich plantacyj i odebrali im młyny. Sąd, oprócz wyroku uniewinniającego, dał nam jeszcze żołnierzy. Tedy, obiwszy kolonistów opornych, wyrzuciliśmy ich z posiadłości.

Gwałt narodu silnego nad słabszym zawsze jest chwalebny. Marzyciel jakiś, xiądz Las Casas, ujmował się za Indjanami. Mówił, że zginęło ich za Pizarra 12 miljonów... Cesarz Karol V chciał wzbronić niewolnictwa Indjan. Ale jego wicekról Nuncz został zwyciężony przez zuchwałą szlachtę hiszpańską... Filip II utrwalił niewolę i trwa ona dotąd. Dobrze, iż trwa — jest to jakby walka byków...

Bykowi w miejsce bardzo wrażliwe sypie się pieprz kajeński. Zwierzę rozwścieczone do szaleństwa. Rynek

zmieniony w cyrk. Ulice zamknięte. Cała świetna młodzież miasta walczy i drażni byka. Damy przepiękne patrzą i tracą dech ze wzruszenia, gdy byk tęgiem uderzeniem wywróci konia z jeźdźcem.

W takim wypadku raz wyskoczyłem ze szpadą.

Błyskawica, z góry padając, przebija byka nawskroś. Runął. Kwiaty! Okrzyki! Noszą mnie na rękach.

Wtem czuję — byk drugi uderzył mego konia. Rozpaproszył. Jelita wloką się, jak wielki, siny dzban. Wołam swych murzynów — obcięli nożycami wnętrzności. Tedy wyrwawszy halabardnikowi koniec jego broni, toporem odrąbuję łeb. I cóż państwo wyobrażacie? Liuzna, stolica Peru, chciała mię wziąć za króla. Kobiety zasypały mię listami, tak że kazałem zrobić olbrzymią skrzynię, gdziem wrzucał listy nieczytane! Dano mi nazwę El tigreno, bo ludzkość lubi widowiska srogie, te podniecają do miłości. Mógłbym państwu opowiadać dzień i noc o potwornościach życia, a nie byłoby z tego piekła więcej, niż z Gwadalkwiwiru, gdy zeń zaczerpnąć filiżankę wody. Mam łańcuch Złotego Runa i jestem Szambelanem Ojca Świętego za jeden z czynów — tu pozwolę sobie przerwać, wznosząc ten kielich za zdrowie mego najczcigodniejszego przyjaciela — Hetmana polnego, dzięki woli Boskiej i dzielności naszych ramion — przyszłego króla naszej Rzpltej! —

Powstał wśród szlachty rumor i wiwaty.

Wniesiono garncowe kielichy.

Wita wymknęła się, widząc pana Słusznica fioletowego od nadmiaru trunków, a xięcia prawiącego komplimenty damom.

W odległym końcu ogrodu stanęła na wzgórzu.

Noc iskrzy się mirjadem gwiazd.

Porównywa Słusznica z panem de Mirabeau i widzi wielkie podobieństwo zdolności, ale zasadniczą różnicę woli bojowej.

Czemu w Polsce niema takich synów magnackich, zbuntowanych przeciw obłudzie i tyranji — takich wykształconych i wymownych przyjaciół człowieczeństwa?

Wolność Stanów Zjednoczonych, które świeżo wybiły się z pod jarzma — kiedyż rozpłomieni inne narody — —?

— Republika nasza jest najidealniejszą, choć najmniej praktyczną formą rządów... — ozwał się za nią głos.

Wita gwałtownie drgnęła. Kto mógł odpowiedzieć na jej myśli?

W ciemnościach Wielki Kofta.

— Hrabianka marzy?

Nie wiedziała co odrzec.

— Domyśliłem się po oczach waćpani, że zapadł ci w serce ów dzielny Tupae Amaru... Nie warto, doprawdy, łaskawo hrabianko! ludzie, póki cierpią, wydają się ludźmi. Lecz czy jest coś ohydniejszego niż rozbawiony motłoch? I dlatego zapewne Bóg wybrał krzyż. Jest to forma, w której człowiek nabiera pewnej godności —

— A inaczej?

— To menażerja!

Waćpani cierpiałaś, gdym bronił więzienia i inkwizycji...

Zapłoniła się, chce odejść.

— Hrabianko, mówmy otwarcie. Masz we mnie sojusznika. Wiem, że opuściłaś dom rodzicielski, dom tyranji i zacofania. Widziałem twą minjaturę już dawniej...

— Jakże to?

— Matka waćpani posłała do Warszawy — — w najlepszej intencji. Chcą znaleźć ci starającego się. Miał zjechać do was Kalikst Poniński, znany karciarz i sprzedajny infamis — — ale wykupiłem odeń tę minjaturę. Mam nawet obiecaną twą rękę... Za to obiecałem przy dworze berlińskim psuć sprawę króla Stanisława.

— To zbrodnia.

— Niewątpliwie. Zdołałem pozyskać nieco zaufania u waćpani opiekuna. Nie jest to rzecz przyjemna zgadzać się z despotą i półgłówkiem. A — pardon... mimowoli... Jadąc z Warszawy do Siedlisk w karecie hetmana uzyskałem nań pewien wpływ. Skłoniło mię do tego, przyznaję, jedno spojrzenie na minjaturę. Postanowiłem jej bronić.

Śmiejesz się waćpani, że są tacy błędni rycerze?

Milczysz?

Więc powiem: ślub nasz będzie jedynie maską. Chcę swobodnie obcować z twym umysłem. Nie potrzebuję twego ciała. Oto nawet nie błagam o twe spojrzenie, tak, patrz w mrok. Jeno na chwilę spójrz na ten dokument — i na mnie.

Zrzucił maskę.

Przypomina sobie — widziała już kiedyś tę twarz demoniczną. A — pamięta! Mimowoli wzrok opuściła i ujrzała na dokumencie pieczęć hetmańską — swe nazwisko obok nazwy Wielkiego Kofty — i zadrżała. Oczy jej, aby ukryć błyskawice gniewu, zakryły się powiekami. Z tej chmury zaczęły lecieć łzy gradem.

— Traktujesz mię waćpan jak Indjankę — — ale tu jeszcze jest Polska, mój panie!

— Dlaczego mię pani uważasz za wroga?

— Bo nie mogę uwierzyć w pańską przyjaźń. Wszakże i waćpan bronisz teorji, że wszystko w życiu jest walką interesów!...

— I namiętnością! a właśnie — przypominasz mi jedyną mą tragiczną miłość!

Mówił głosem wzruszonym.

— Jestem człowiek silny, nie uciekam się do kłamstwa bez potrzeby — nie przegrywam mej sprawy z polskim chłopem! —

[Aluzja zapewne do teoryj demokratycznych!]

— Mam w swem życiu niejedną otchłań. Przedsięwziąłem drogę olbrzymią — śmielszą niż przez Kordyljery i Himalaje: wyrobić waćpani o tem idei nie mógłbym w tych paru mgnieniach.

Nie oświadczam się z miłością.

Jestem lodowcem wystygłym.

Żyję Magją i myślą twórczą.

Czy mogłabyś mi jeno dać swą przyjaźń?

...Jestem zły i mroczny, ale twardy i rzetelny. Jeśli ze mną zawrzesz sojusz — mury piekielne nie zwyciężą nas.

Należę do tych nielicznych ludzi, którzy już miłość odrzucili ze swego życia, mając jedynie wolę osiągnięcia potęgi. Będziesz mą przyjaciółką, mem natchnieniem, mym księżycem, który czasem zaświeci w mych kraterach okropnych potępieńca... Rozewrę ci też furtę wiedzy tajemnej... i kilka bram xiążęcych domów — nawet Tuilleries i Schönbrunn...

— Chcę tylko światła dla Polski.

— Mam je... a ty mieć będziesz potęgę królowej. Polska runie — jeśli potężni genjusze nie zbudują narodowych filarów i nowych sklepień... Poprawcie omyłkę pierwszego rozbioru: — wraz z xięciem Patiomkinem działając — Polskę złączymy z Rosją w jeden kolosalny organizm ku szczęściu zobopólnemu! Słyszałaś, co mówił Mirabeau — człowiek mądry i rzetelny: Europa jest w przededniu strasznych wstrząśnień! —

Milczy ogłuszona.

— Hrabianko, wyjdźmy tam gdzie iskrzą się złote sterty pszenicy — noc niezgłębiona — jak serce mej dawnej Kamilli... Ale duch twój jest jeszcze wspanialszym — choć oczy te same — —

Masz lico młodego Dionizosa, zamkniętego w podziemiach Hadesu. Któż cię wyprowadzi? ile lat będziesz się tułać! — nim zdobędziesz pełnię swej duszy — beze mnie!

Mówić — o mów!

— Ponieważ jesteś waćpan przyjacielem markiza — wyznam otwarcie: waszej rewolucji materjalistycznej musi być przeciwstawiona rewolucja duchowa — przemienienie serc na górze Tabor. Nieczuję w słowach pańskich nic Bożego, nic Chrystusowego. I jest mi dlatego z wami — straszno i obco.

— Halucynacje średniowiecza — marzenia gnostyków azjatyckich! nieprzytomni fakirzy to samo głoszą o Krisznie... Wszystkie religje cechuje ten sam błąd: uwielbienia dla racjonalizmu — natura ludzka ucieka przed śmiercią w marzenie o nieśmiertelnem — —

— Jakto, więc Chrystus, wedle waćpana? —

Gdyby nie mrok, sama twarz Arżanowa zmroziłaby te słowa, było w niej tak groźne szyderstwo!

Wtem rozległ się głos, wzywający Witę.

Zniknęła w zaroślach.

Nie znając parku, nie mógł jej zgonić Arżanow.

— Za dużom rzekł naraz, — szepnął.

Niewątpliwie, jest to istota, której mi potrzeba. Jeśli hrabia de Fenix, prosty oszust, mógł tak wznieść się przy pomocy pięknego medjum swej żony, jeśli Dymitr miał impuls i pomoc w swej Mniszchównie — czemże stanę się ja — mając wiedzę — wolę gigantyczną — — a nadto jej oczy tak cudne — i jej duszę, jak harfa... Dziś jest synogarlicą, jutro się stanie Meduzą!...

Któżby pomyślał, że właściwie nie spełniam nic innego — jeno na Pustyni świata — kuszę Boga... A tedy imię moje jest — —

Jękliwe zawodzenia puszczyka przerwały mu wątek myśli. Zamiast wrócić do szlacheckiego dworu, wyszedł w step pełen księżyca.

PAN MOHORT I STADNINA

Nazajutrz pani Katarzyna postanowiła ująć krzepką władzę nad towarzystwem. Niepodobna, aby Słusznic rozpuszczał wszystkie tabuny, szczególniej w młodem i niezupełnie odpornem towarzystwie. Toć gdy jedni uczto-wali w ogrodzie, inni poszli do ruin zamczyska, gdzie spędzili noc, na sianie śpiąc. Trzeba wszystkim postawić wizję rycerską przed oczyma! wyjazd w step naprzeciw pana Mohorta.

Wysłane sianem kary powiozły świetne towarzystwo, w którem kontusze mieszają się z wersalskim frakiem i strój à la Marie Antoinette ze staroświeckim robronem i duchną. Za ciemnym lasem jak błyskawica rozlał się potężny obszar stepu.

Radość ogarnia płuca i duszę. Ostry zapach macierzanki, słodycz tulipanów grają w niezrównanem powietrzu ste-powem.

W dali pasą się tabuny, strzeżone przez konnych pasterzy.

Podjeżdżają stepem, niekoszonym i niezaorywanym ni-gdy, nie od stworzenia świata, jak chciał x. Trocki — tj. od lat sześciu tysięcy. — Od cofnięcia się tu morza! — wykładał x. Staszic — to jest przynajmniej dwieście tysięcy lat.

Obejrzeli stado matek i młodzieży. Łaskawe zwierzęta kładły głowę na ramionach.

Xiążę Józef, wielki amator koni i sam kawalerzysta, zapragnął zdania generała Komarzewskiego.

Więc zbliżono się do tabunu wierzchowców i ogierów, rozbierając cechy doskonałego konia.

— Miejsca nad nerką winny być silne i wypełnione — ozwał się xiążę, — noga od kolan do pęciny krótka, aby mogła być mocną — to rzeczy znane. Ale czy wojskowo

przyznać wyższość temu lotnemu skarogniademu anglo-arabowi, czy też tym tarantowatym dzikim stepowcom polskiej rasy, zrodzonym niegdyś z koni krymskich rosłych, nadzwyczaj wytrzymałych — a uszlachetnionych przez rasę Nedżedu?... —

Analizowano każdy szczegół koński, jak harmonję rzeźb Praksytelesa. Z teorji aby przejść do czynu — postanowiono wypróbować ich bieg.

Olbrzymiego wzrostu hajducy jęli harcować na rosłych drygantach, kozacy na śmigłych stepowcach. Generał Komarzewski i xiążę Józef porównywali wojskową sprawność tych ras końskich, podnosząc szwedzkich hestrów, na których pędzili Wielhorski i Kublicki.

— Wojskowość nasza znajdzie ogromną ilość koni w Rzplitej, niepotrzebnie wywożonych na jarmarki do Lipska. Jak wszystko jednak w tym wieku, upada i znajomość hodowli koni, a nawet ich liczba. Już za Jagiellonów Miciński Adam, koniuszy dworny Zygmunta Augusta w swem dziele o świerzopach (t. j. klaczach) i ograch — wykazuje rzeczywiste znawstwo w prowadzeniu stadnin i tabunów. Na sejmy dawne zjeżdżała szlachta konno, bywało w Warszawie nieraz dziesięć tysięcy wierzchowców i więcej. —

Cieszono się końmi i niewysłowionym wdziękiem ich pędu wśród poszumnych traw na tle zachodzącego słońca. Ozwał się pan Jan:

— Teraz czuję, że podobno nam wszystkim potrzeba — nauki żywej.

Oto przy ujściu Rosi na stepie o kilka mil stąd jest strażnica Mohorta. Służył pod pięciu królami naszymi — najstarszy to oficer w całem wojsku polskiem.

Za szwedzkiej wojny r. 1709 był już namiestnikiem.

— Ale tem samem, Janie, wypraszasz gości naszych — bo z pod Korsunia niełatwo tu wrócić, szczególniej jeśli jutro wieczorem zebranie w Kaniowie.

Śmiem podać wniosek — aby łaskawi goście raczyli jeszcze wynudzić się u nas ten wieczór.

Pojedziemy Irpeniem w lasy na łodziach przy księżycu.

A po zjeździe Kaniowskim — mam nadzieję, że będziemy musieli użyć wszyscy kąpieli moralnej — złożymy wtedy wizytę najczystszemu rycerzowi tych czasów.

Rozsądnej tej rady pani Katarzyny należało posłuchać

Zamierzano już zwrócić do domu, gdy na horyzoncie pojawił się mały obłoczek, szybko tocząc się po ziemi.

Uśmiechnął się radośnie Jan Chojecki, który potajemnie dał znać Mohortowi i uprosił to spotkanie na stepie.

Z obłoczka pyłu wysunął się mały poczet rycerzy.

Był to istotnie porucznik kresowy pan Mohort i Piotr Kalniszewski, ostatni ataman Zaporoża. Za nimi polscy i kozaccy wojownicy. Wodze ich — starcy, urodzeni jeszcze w poprzedniem stuleciu — pan Mohort pono o rok młodszy. Zdawali się nie mieć wieku — gdyby nie rzecz dziwna, że obaj uczestniczyli w bitwie pod Połtawą jeden za Karolem XII trzymając, drugi za Piotrem... Ataman miał obecnie lat dziewięćdziesiąt sześć..

Jechali przedstawić się królowi w Kaniowie radośni i pogodni, nie spodziewając się — że jeden umrze w bitwie pod walącym się gmachem Rzplitej a drugi będzie wygnan na wyspy Białego Morza...

Bajecznie rycerski był ten hufiec — nie stosujący się do taktyki i uzbrojeń nowoczesnych, jakby wyszły z jakiejś groty w Ornaku...

Mohort miał pancerz stalowy szmelcowany, nabijany złotem. Burka krymska włochata, czarna, podbita purpurowym muzułbasem; kord potężny, hełm z piórami i kitą. Rękawice łosiowe z karwaszami stalowemi. Ostrogi długie. A za plecami wysoko wznosiły się husarskie skrzydła. Podobnie ubrani byli jego towarzysze — w pasach bawolich i łosiowych spodniach — tylko zamiast pancerza koszulki druciane. Wszyscy mieli ogromne jesionowe kopje w tulejach, strzelby w czechłach, a ponadto kindżały o rękojeściach stalowych.

Stary ataman nie nosił skrzydeł — ale bogactwem i fantastycznością szat on i jego Kozacy jeszcze przewyższali naszych gości.

Rozległ się krzyk uniesienia.

Pan Mohort bystrem spojrzeniem obrzucił wszystkich i salutował. Przed xięciem Własowiczem chciał zejść z konia, ale ten go uścisnął od serca — byli pono towarzyszami w wielu bojach!

Nie mówili ze sobą nic — jeno spojrzenia ich spotkały się ze sobą — i płonęły jak ognie nocą na stepie.

Z Witą Mohort przywitał się jak z córką, strofując żartobliwie, że bez pozwolenia odjechała swą chorągiew. Nazywał ją swą „walecznicą" — odtąd wszyscy na Witę patrzyli z szacunkiem.

Xiążę Józef podał mu serdecznie dłoń — nie pozwalając na wojskowe pełne czci zachowanie.

— Porucznik na kresach więcej znaczy niż podpułkownik w cudzoziemskim autoramencie, — rzekł xiążę. — Jesteś tu waćpan zresztą jednym z nielicznych, którzy zostali przy ołtarzu pięknej przeszłości.

— Ja Boga chwalę, kiedy szablę noszę — odparł starzec.

Konie rycerzów zwróciły na siebie uwagę — były z rasy polskiej o nogach żelaznych, z piersią jak bramy zamkowe — fantazji szczególnej.

Mohort zapalił się, gdy o koniach zaczęli gawędzić — znał się na koniach, jak arabski szejk.

Wziął słowo od wielu z towarzystwa, że go odwiedzą w jednej z jego strażnic. Bo miał ich kilka na ogromnej przestrzeni... Teraz postanowił z rycerstwem na stepie wypocząć nieco — i nocą — aby uniknąć gorąca — jechać w blasku księżyca. Rozbili namioty, złożono w nich zbroje; rycerze w kaftanach bawolich oddali się rozmowom — przy śniadaniu, które jak z pod ziemi umiała na dwieście osób podać pani Katarzyna.

Odgrzano przy ogniskach posilne bigosy i dziczyznę dla przyjezdnych.

Wita była pod wrażeniem legendy wieków; oglądali kopje, karwasze, zdumiewali się siłą i zręcznością w robieniu kopją i kordem tych sędziwych rycerzy.

Nowy nadchodził gość... ślepy lirnik... Wiedzie go chłop-

czyk za rękę. Starzec usiadł w zadumie, nie odkrywając twarzy z pod ciemnego kapelusza i nawisłej bujnej siwej czupryny.

Brzęka strunami liry, ale mówić odmawia.

Rozsiedli się na kurhanie — zaczęto mówić o dawnych bojach z kozaczyzną — o dawnym mirze Lachów i Kozaków — wreszcie o idei zbratania słowiańskiego.

— Nie nowy to wynalazek, — rzekł pan Mohort. — Polacy dawni do tego wzdychali, ale nie umieliśmy, nie będą umieli tem bardziej po nas dokonać wielkiego dzieła...

Jużci nie mongolskiego zniwelowania wszystkich, ale swobodnego i bratniego rozrostu wszystkich... Jak tęsknił do tego Samuel ze Skrzypnej Twardowski, piewca „Wojny domowej" z w. XVII!...

Pozwól mi, panie Horoszcza, leży tam w namiocie księga stara.

Gdy przyniesiono foljał, rzecze:

— Godny to poemat, pełen dzielnych opisów i uczuć majestatycznych. Raczycie posłuchać i jeśli tobie, druhu Kalniszewski, nie będzie markotno przypomnieć o naszych przewinach — —

— Ale ba, — zawołał sędziwy ataman — oddaliście nam z nasypką — — a teraz jak dwa sokoły, które się podziobały — leżymy we krwi na ziemi — na zmiłowaniu Bożem!

Pan Mohort stał na kurhanie. Jak dzwon silnym głosem jął czytać staroświeckie pienia w urywkach:

„Wszakże ci z nich daleko byli swowolnieyszy,
Którzy Morzu i pladze [1] tamtey przylegleyszy,
Ustawicznym rozboiem w polach sie bawili.
Lubo to Wirozuby [2] po Dnieprze łowili,
Lubo lądem lisice strzelali i kozy
(Zkąd zowią się Kozaki). To w taiemne łozy
Y trawy przypadaiąc, kogo gdzie napadli
Turki li, Tatary li, koczuiące kradli.

---

[1] Brzeg morski — plaża, plaja
[2] Jesiotry? łososie?

Żyli jednak bez rządu i żadnej zwierzchności,
Prócz gdy zima wstawała, schodzili na Włości.
Na Wiosnę zaś i nowe rozpary słoneczne,
Jako muchy ożyli... Maiąc zaś tamteczne
I lasy i sposobność wszytką do Żeglugi
Wodą się opuszczali w ostrowy i ługi,
(Których tam iest nie mało) — przez Dnieprowe progi".

— — — — Teraz mówi Poeta o zgodzie Słowian...

„Zkąd wam ta złość, o Chłopi? i rankor zażarty
Ku swym Panom? nie był że inszy świat otwarty
I morze pozwolone? gdziebyście te byli
Tak cieszko zamierzone razy wytoczyli!
Nie podobniey [1] na Turki i brzytkie pohańce
Wywrzeć było tych iadów? nie — nizernie w szańce
W turmach przepadaiące i cieszkich robotach
Po Rodysach i morskich różno Galeotach
Bracią swoie wyzwolić, albo iedney wiary
Z tobą społ i Narodu — Serby i Bułgary?
— — — — — — — — — — — — — — — — —
O iakoby tylą krwie i drogich popiołów
Mogło sie okolicznych znieść Nieprzyiaciołów!..."

— — — — Teraz mówi Poeta o kozaczej swawoli i rzeziach:

.....„wszytka opłynie
Krwią Arka....
Dziateczki przed oczema Matek rożdzierali
I wbiiali na Krzyże: panienkom wprzód kwiaty
Splugawiwszy różane, (o nad wszystkie Katy!)
Toż ich wpuł rozcinali. Z skór wyzuwszy Xiężą
Zabiiali dopiero..."

Działo się to w Mesterwarze w warowni nad Dniestrem.

Grozy pełen opis bitwy Pilawieckiej.

Ale opuszczam, aby smutku nie dodawać.

„Wieczór o Nieszczęśliwy! godzien umaczania
Pióra w Stygu i wąglem czarnym napisania
W piecu Mongibelowym!
— — — — — — — — — — — — — — —

[1] nie lepiej.

Nieraz mi to na pamięć z Brutem przychodziło
Ieśli że Bóg na niebie? ludzie źli w swoiey kwitną złości
A dobrzy przepadaią przy sprawiedliwości.
....Kiedy tym niesporo
Przez agresty i głogi — owym zaś tak skoro
Wybić w góre pozwala, że z marnego szuie
Wdzieć — a oto Panom własnym rozkazuie
Stawszy sie im Tyranem.

...Boga ofiary
Przenayświetsze, straśliwe Sakramenta w błoto
I kielichy miotane i zda się nie dbać o to,
Piorunami nie biiąc...

Wybił mi to z głowy
Chmielnicki dziś dopiero w krótkiej barzo dobie
Scześcia swego odmiany doznawszy na sobie.
Ani ja już fantazyj iakich o tym marzę,
Zawsze Sprawiedliwego! który złych im wyżey
Wzniesie w gore — tym na doł zturbnie ich niżey
I kształtem roztrąconey na wiele sztuk skały
Stłucze cieszko".

— Oby tak! niech giną nikczemni! — zawołały potężnie wszystkie głosy.

— Jeno że nam pono nie wyratować się już — ozwał się smutno ataman.

— Wstyd nadzieję tracić — zawołał Mohort. — Oto jeszcze niech mówi poeta.

....„Gdy w rozgniewaniu Oceańskim pływa
Morski Okręt — a iuż nań mokra sie dobywa
Śmierć samopas: Maszt upadł — i iuż bez nadzieie
I tam i sam miotany, bokami sie chwieie:
Jednoż mu sie o Rafe, abo gdzie krzemienny
Rozbić Szkopuł...!!...

Tymczasem na niebie zbawienny
Pollux wznidzie, aż zaraz burze te ukróci
I iuż zdesperowane życie wszytkim wróci".....

Trwa przez chwilę milczenie.

Zaczął mówić drżącym ze wzruszenia głosem lirnik.

— Mogła być zgoda, a jest wrażda okrutna.

Nadaremno były dni Humańskiej Apokalipsy — którą głosiły samodzwoniące przez kilka dni dzwony w Telepinie...

Straszna iluminacja zapalona — ręką wroga, mówicie? a ja mówię — ręką też Waszą. Bo to nie dość, panowie szlachta, rządzić nami huczno a dworno. — — Ilu takich Janów Czarnoziemskich, którzy o lud naprawdę dbają?...

Ten dzień będzie wielkim dla Polski, kiedy rzekną: niema stanów. A uczciwym człowiekiem jest tylko ten, kto na swój byt zapracuje. I nie krzywdzi brata...

Lecz wszystko już za późno... Polska się wali.

Nawet to, co było dobre, będzie zmienione na zło.

Małe czynsze, swobodne wędrówki handlowe — zastąpi przykucie włościanina. Będzie się sprzedawać ludzi — „dusze“ — rzecz dotąd niesłychana!

Dziewczęta nasze teraz zaczną jęczeć pod krzyżami, wracając z pańszczyzny.

W mogiłach Perepiata i Perepiatychy zakopaną jest Ruska Prawda w głębi pustej studni. Gdy Wielki Człowiek odkryje studnię — dobędzie prawo — wymuruje Cerkiew Oczyszczenia — lud stanie się wolny!...

Umilkł Starzec — i jakby go porwała moc jakaś, zaczął iść — i daleko — za lasem zniknął.

Zdumieni, strwożeni słuchacze.

Żałuje pan Mohort, iż nie zatrzymał wróżbity. Lecz tylu chodzi lirników i bajarzy...

Nastrój smutku zaczął ciążyć. Towarzystwo się ruszyło. Zresztą słońce już nisko: należy zostawić rycerzy na wypoczynek, gdy mają jechać dalej o północy. Surowi, niezmordowani — gotowi zawsze wstać nocą, bacznie śledzący granic...

Towarzystwu odchodzącemu zagrali rycerze na pożegnanie.

Mocna — niemal tragiczna, a jednak krzepiąca duszę pieśń płynie stepem. Najtęższym sercom — wyciska łzy.

Kary i wierzchowce podprowadzono, z ogromną tęsknotą rozjechali się.

Wrota lazurowe przeszłości zwierały się zwolna i na zawsze.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Blisko już widniały zabudowania dworu i wieś.

Zeszli z koni, z pojazdów i bryk — piechotą szli gromadnem towarzystwem, przechodząc od nastrojów wirchowych do poziomego życia z tą prostotą, jaką daje tylko szczera religijność, obejmująca całe życie jednym kręgiem natchnienia.

Oglądali śpichrze ogromne, podmurowane; domy dla robotników stawiane tak, że każda rodzina miała swój oddzielny ganek, ogródek, dwa pokoje i kuchnię.

Nie traktował widać Jan Chojecki kmieciów jako bydło robocze, nie był plantatorem wyzyskującym tylko ziemię urodzajną i stanowisko klasowe!

Młyn wodny ukazał się nad ogromnym stawem, przez który przepływa Irpeń.

Udoskonalony na wzór holenderskich i amerykańskich tak, że mąka z Iwanhory szła aż do Warszawy i Kijowa.

Szum potężny wody, huk trących się kół kamiennych, trzęsienie jedwabnych sit... i delikatny słodki zapach mielonej gorącej mąki.

Łowią kmiecie ryby w stawie, kilku rybaków brnie w koszulach, nastawiając sieci.

W kamieniołomie wysadzano głazy prochem. Z głazów tych wybudowano młyn, śpichrze, a nawet pomniki i ławki w ogrodzie.

Wstępowali, idąc przez wieś, do chat, ogół robotników był w polu — sędziwi chłopi tylko witali gości i z dostojną powagą mówili o swych wyczekiwaniach, że sejm zmieni ich niewolę na czynsze, jak to uczynili już Czarnoziemscy.

Wieczór zapadał. Ze wzgórz wiejskich widok na morze zielonych zbóż. Falujące wzgórza stają się podobnemi do morza — w głębiach fioletowego zmierzchu. Wracali wraz z pługami, wołami i owcami przez bramę, mającą łuk kamienny kunsztownie wiszący między dwiema kapliczkami.

Wita szła z xięciem Własłowiczem. Opowiada mu swe życie, jakoby spowiedź. Nie mówiła przed nikim tak szczerze. Zbliżali się do domu — Własłowicz włożył na rękę jej pierścień czarny żelazny oksydowany ze złotym wkutym napisem: *W Słońce.*

Skręcił nieco gospodarz — i ujrzeli na wzgórzu kurhanowym pomnik kamienny. Kilka głazów tworzy podstawę, na niej obelisk, na obelisku kula i krzyż. Kula ogromna z dawnych dział oblężniczych.

Znak wyryty na obelisku (jak w katakumbach): PAX.

Modlili się wszyscy, klęcząc, o Pokój Ducha na ziemi.

Gospodarz prosił wszystkich, aby sobie róże zerwali — złotą chińską podał Własłowicz Wicie.

Pięknie przedstawia się o zmierzchu dom wielki z gankiem wyniosłym na czterech kolumnach, z szeroką facjatą i balkonem, gdzie pokoje gościnne, z bocznemi arkadami wiodącemi w aleje ogrodu.

Wytworność kultury dworu, a zarazem prosty rozwój z chaty wiejskiej — nie z onej pychy pałaców, które taką przepaścią oddzielają się od życia wsi!

Klomb olbrzymi zajęty przez roślinę dziwną, tworzącą z jednego krzewu całe gaje. Zwie się Sabina. Róże sztamowe wokół posadzone krwawią się, bielą i złocą.

Za domem tłum dzieci igra — wiejskie wraz z dziećmi dworu. Uczestniczy w grach nauczyciel młody, który skończywszy szkoły pijarskie zamierzał jechać do Anglji kształcić się na inżyniera, Niemka blondyna z Bawarji, miła i wykształcona; wreszcie nauczycielka Polka, o twarzy pełnej szczęścia i zadumy.

Wezwał dzwonek na kolację.

Zasiedli na werandzie ogrodowej, patrząc na wały wo-

jenne dawne zarosłe winogradem, na przepych purpury i fioletów na chmurach.

Kolacja w przeciwieństwie do obiadu była jarska i względnie skromna.

Ozwał się dzwon na modlitwę.

Wszyscy ruszyli do kościoła, który był w parku. Piękna renesansowa budowla oświecona kagańcami. We wnętrzu szlachetna harmonja, witraże — cudnie ustrojony ołtarz olbrzymiemi cyprysami, pomarańczami i mirtem.

Dwanaście lamp płonie — wysoko wznosi się w formie lotosu modra Lux Aeterna. Konfesjonał z boku, klęczników kilka, ławki, lud zgromadzony licznie — bo unici uczęszczają do kościoła katolickiego, jak i odwrotnie.

Pani Katarzyna zaintonowała pieśń — a kiedy klękła ciężko, zauważy Wita, że była brzemienną! Niosąc dziecię w łonie, modli się, jak oblubienica Światła.

Oficjaliści i wieśniacy, Niemka i pan Kambiłow, komandorowie maltańscy i xiążęta porwali chórem pieśń wieczornej modlitwy.

Chrystus — a raczej niewysłowiona Jasność Wewnętrzna — promieni i potęguje serca wszystkich.

Zapadł w głęboką zadumę xiążę Józef, zdało się mu, że bierze ślub z Witą — już nie na szczęście osobiste, lecz na misję wielką do spełnienia.

Po modlitwie skończonej wyszli w mrok ogrodu: niebo seledynowe. W mroku krzyczą pustułki ostrym wrzaskliwym rozjękiem. ale wnet słowiki potężnemi kaskadami ze złota i brylantów zmusiły je milczeć.

Jarzą błyskawice ogniem gwałtownym, jak tęsknota za Absolutem. — W mrokach werandy siedzą wszyscy, słuchając muzyki de Ligne'a, który gra na organach w kościele oratorjum Bacha.

Nieznane potężne tony, kolosalne uroczyste przeżycia, tytaniczne przepastne tragedje — — i nagle ciche światełko: cud!... — Trzyma się za ręce z xięciem Józefem Wita, w milczeniu przeżywają wtajemniczenia genjuszu.

Wreszcie przyszli hajducy z latarniami, aby przepro-

wadzać do pokojów i do stodół na spanie, gdyż znużeni goście nie chcieli już jechać łodziami przez las.

Wita, znalazłszy się u siebie w pokoju, uczuła jasność błogosławioną. Nie zapala świecy, rozebrała się i legła. Najszczęśliwszy dzień jej życia...

Sny miała przecudne, wiodły ją skrzydła po lazurowych krainach.

WIELKI KOFTA

Xiążę miał na nocleg przeznaczony świronek, który stał o kilkadziesiąt kroków od dworu. W świronku tym na dole przechowywano kaszę i groch, na górze zaś suszone zioła i jarzyny. Latem na galerji, otaczającej wokrąg komnatę górną, schną kminy, anyże, bakłażany, ogórki, melony, dynie, nasienie kalafiorowe, turecki pieprz, lecznicze zioła.

W komnacie z szerokiemi oknami pani Katarzyna miała swe laboratorjum botaniczne, tu kleiła zielnik, czyniła doświadczenia z pomocą powiększających szkieł, sprowadzonych z Amsterdamu, destylowała też perfumy i przyrządzała leki.

Teraz galerje były puste, w komnacie przygotowano dla gościa łoże, miły zapach gerantium...

Miesięczny blask świeci — xiążę zapomniał opuścić żaluzje. — Zbudził się raptem. Ogarnęła go niewysłowiona tęsknota za Witą. Wpółsenny zaczął snuć różne marzenia; wyjeżdżają do Wenecji, są na Sycylji w lasach pomarańczowych, upojeni muzyką i szczęściem. Wtem znowu ostry niepokój o nią.

Nie mogąc spać i męcząc się coraz bardziej, wyskoczył, zaczął się szybko ubierać, z powodu rosy srebrzystej na trawie wdział botforty.

Wyszedł na galerję i myślał, jak przejść w mroku aleje parkowe — pod okno Wity.

Ogarnął go wstyd! narażać na kompromitację ukochaną i czczoną istotę!...

Wyszedł za ogród, chodził między stawami, słuchał muzyki żab. Księżyc czaruje — wszystko było niesamowite. Zmysłowość i nostalgja lały się wiadrami z powietrza srebrnego, z modrych mroków nieba.

Wartownicy zdala nawoływali się rzegotkami, psy jak zwykle tu i ówdzie szczekają, nie mącąc ciszy.

Xiążę patrzy na Irpeń, wijący się między wzgórzami a wpadający w mrok lasu.

Cudownie... Zasłony mgieł snują się, nadając zupełnie nowy krajobraz okolicy: fjordy, zatoki, morza wśród gór i lasów — zaczarowane wyspy, wabiące niesłychaną tęsknotą.

Wita nie weźmie za złe, jeśli zapuka do okna i razem wyjadą w tę noc, szalejącą od słowików!...

Zdeterminowany uczuł radość — i szedł wśród wysokich ziół, przeciskając się między krzewami — aż nad Irpeń, w lesie płynący nie szerzej jak kilka sążni. Usłyszał szmer wiosła.

Wpatrzył się — nadjeżdża łódź... Wypłynęła... dwie osoby. I, co było dlań zupełnym absurdem: ujrzał Witę jadącą z Wielkim Koftą.

Milczeli. Wita wsparła głowę na ręce w zadumie. Towarzysz jej odrzucił płaszcz i kapelusz, uznając, iż tu nikt go nie widzi — ale księżyc błysnął i oświecił twarz jego.

Nigdy xiążę nie widział podobnie demonicznego wyrazu. Wysokie, tatarskie czoło, płomieniące oczy — niewielka czarna rozdwojona broda — bladuość twarzy zimnej jak u Cezarego Bordżia, mądrej — jak u szatana — temat zajmujący dla psychologa, wobec młodości Wielkiego Kofty.

Ale xiążę był kochankiem — jak ryś raniony rzucił się ku brzegom — wołając ochryple:

— Piękny wieczór? ale tu wody głębokie — ostrożnie!...

Wita odwróciła się, patrzy w xięcia takim wzrokiem nieświadomości, że ten cofnął się w przerażeniu.

Szalonym pędem łódź przemknąwszy, znikła w zagąszczu leśnym.

Biec za nią — niepodobna! szuwary i bagna... łódź inną spotka dopiero przy dworze.

Leci tam — węże zazdrości kąsają mu serce — gdyby zobaczył Witę w trumnie, nie czułby takiego żalu...

Dwór — — okno komnaty gdzie spała Wita. rozchylone...

Trzeba je przymknąć!... o niedobra! — o zła! — najdroższa, czemu tak przebijasz oddane ci serce?

Xiążę wszedł na podmurowanie, by uchwycić ramy wysokiego okna — mimowoli zajrzał do komnaty — pali się lampka czerwona — na łożu ktoś — — Wita?! złote jej włosy rozsypały się aż na podłogę — — twarz tak blisko, że xiążę może widzieć jej rysy!

Jak to być może? ale już nie badał!

Uszczęśliwiony do łez, porwał snop włosów tych, wtulił sobie w usta, aby nie zaśmiać się głośno, triumfalnie...

— Witeńko moja, lazurze mój — — twoja dusza czyż byłaby zdolną zdradzić? Nachylił się do jej ust przybladłych dziwnie — na ołtarzu tego ogromnego szczęścia złoży swe pragnienie — nie! śnij, Witeńko, śnij skarbie mej duszy, dla ciebie wszystkie zwyciężę mury i z uśmiechem zniosę katusze, jak męczony Irokez... — Cudnie obnażoną jest twa pierś — pełne, dojrzałe krągłe owoidy — podobne wielkim białym pagodom — — śnij, Wito najczystsza, najcudniejsza, niewysłowionych pełna tajemnic — — śnij, krzewie róży chińskiej z ogrodów bogdychana, śnij — Trzymajcie mię, aniołowie — — bo widząc jej stopę obnażoną, gotówem zwarjować!...

Mówi półgłosem — nie zbudziła się.

Xiążę ześlizgnął się z muru i okno przywarł.

Już mu obojętne, z jaką damą płynął Wielki Kofta. Księżyc musiał zmienić ich twarze, temu dając luciferyczną upiorność, tej zaś — kłamiący wygląd Wity. Ale jak bezczelnym Arżanow — nocą wykrada z dworu kochankę swą — — jutro odpowie przed tą szpadą!...

Xiążę obchodzi dwór dokoła i, aby nie być widzianym, zmierza przez ogród owocowy, gdzie panuje uroczy półmrok pod kiściami kwiatów. Czemu tu jej niema?

Idąc przez kręte drogi w nieznanem sobie miejscu, zabłądził.

Wtem domek i światełko w oknie, wychodzącem na

wysokie słoneczniki — — westchnienia... Westchnienia podobne szumom wiatraka! Tak wzdychać może tylko Słusznic! istotnie, ujrzał kolosalną postać ex-opata.

Wziął go za ramię.

— Xiążę?! cudownie! jestem w psiem położeniu... spójrz!...

Xiążę zwrócił się do okna. — Widok niebanalny przykuł go do miejsca.

W jedwabistej tęczowej koszuli, wstrząsając loki przyprawne, kobieta oświeca stoczkiem swe obfite ciało, pokryte czerwonemi punkcikami, jak ospą — i płacze. Tak płaczą rozkapryszone, zbudzone nocą dzieci. Co jej dokucza — xiążę domyślił się. Zapewne w przydrożnym zajeździe obskoczyły panią N. czarne żyjątka — a nie była tyle roztropną, by szaty swe wywiesić na dworze!

W tęczowej koszuli, oświetlona stoczkiem na podłodze stojącym, wygląda jak wschodnia hurysa w tańcu, lub jak Wenus Kallipygos, oglądająca swe boskie kształty. Z jedwabnych osłonek uczynił się szeroki walec, który obraca dokoła, a w pośrodku ze śladami sznurówek, zlekka zakrywany przez mgłę tęczową, posąg. Nogę jedną podniosła do góry, tors wygiął się wstecz — —

Zważywszy na maj, na stan xięcia, żądającego nadaremno miłości, zgodzimy się, że pokusa mogła być silna!...

Zwrócił się do Słusznica.

— Kto jest ta pani, nie wiem, w każdym razie zachowam zupełną dyskrecję. Nie będę zabierał drogich momentów... żegnaj, satyrze! nimfa czeka — —

— Ależ zrozumiej, xiążę, mój tragizm... ja lubię rozmawiać z kobietami, ale nie mącę już jezior metafizycznych niewłaściwemi w mym wieku burzami zmysłowości!

— Taki olbrzym?

— Ha, ha — — znasz piosneczkę:

Un elephant — ça trompe!
un elephant — ça trompe
beaucoup!..

— Poprostu chciałbym tylko przez ludzki humanizm pomóc pani N. do zwalczenia tych krwiożerczych bestyj — ale gdy z nią znajdę się sam na sam, rozumiesz, xiążę — mogą wyjść kolizje. — Chodźmy więc razem — albo najlepiej — oddaję Dejanirę wraz z jej palącą koszulą i wszystkiem, co w niej znajdziesz...

Ja zaś idę spać! Woltera Pucelle zamąciła nieco me zmysły, ale filozof musi mieć umysł trzeźwy, aby nie dał się z metafizyki wywieść na bezdroża realizmu! xiążę — o dyskrecji mej nie wątp! —

Słusznic uciekł tak prędko, że nikt by się nie mógł spodziać — jak tego, że nosorożec umie dopędzić galopującego araba.

Xiążę —

Ale tu ważniejsze sprawy nas odciągają.

Dość, że xiążę i tym razem okazał się Józefem biblijnym — oddał damie świronek, a sam nocował w ogrodzie na ławce.

Wprawdzie, na drugi dzień krążyły rozmowy powtarzane przez Słusznica i xiężnę Sanguszkową:

— Kto tam?

— Przychodzę na ratunek — —

— Proszę nie robić burd po nocy — ja śpię!...

— Błagam o rączkę, abym mógł podziękować za najpiękniejsze widowisko w świecie!...

— Cyniczny młodzieńcze, zawołaj mi waćpan pokojowej, a rękę dam przy świadkach na dobranoc! —

Ale ramy okna pono rozchyliły się, księżyc na drogi niesiony ciężar rzucił fantastyczne arabeski. Tych przygód wschodnich opisywać pisarzom zimnej części świata nie przystoi.

Bo zresztą ich nie było! — wyobraźnio kłamliwa — uwierz twierdzeniom naszym, że Józef nie tylko się zjawił w biblji! Tymczasem Słusznic, chcąc aforyzm znowu powiedzieć przez okno — ujrzał komnatę pustą. — Doszedł do wniosku, że pani N., skłonna do melancholji, utopiła się w stawie — — z miłości dla niego.

Biegł więc — a że był ślepy, wziął na pomoc trzy panie, które miały nieostrożność słuchania słowików... Przetrząsnęli okolice, szeptem nawołując to p. N., to xięcia — wreszcie zbudzony Wielhorski przypomniał sobie o świronku — wdrapał się tam. —

Nadeszli inni bezsennicy.

Xiążę de Ligne i piękny Brutus zauważyli, że panie Ewelina i Hanna podobne są jeziorom, gdzie utonąć łatwo...

Lecz co było dalej nie wiemy nic i wiedzieć nie żądamy.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Łódź pod ręką d'Arżanowa leci jak łosoś w nurcie wodospadów.

Musi być olbrzymiej siły młody o tatarskiej twarzy demon, bo wkrótce otaczały ich już tylko lasy odwieczne, wyspy skaliste, mgły nierozświetlne, głębie milczące.

Wysiedli na skałę, podał rękę widmu czy rzeczywistości?

Stała nieruchoma, spogląda na wyspę zwaną Czortow Ostrow...

Arżanow drży.

Owładnął jednak wzruszeniem i cicho jął mówić:

— Tak, ja chcę być czartem, jedyny z ludzi — mam na to prawo — mam w tych otchłaniach wiedzę. Słuchaj mnie — ty, jaźni kobiety śpiącej tam!...

Jestem dziedzicem korony króla Stanisława i tej, którą wkrótce zobaczysz.

Tatarskie mam rysy — krew Tamerlana zdobywcy — — to lepiej niż ów idealny wasz bohater — xiążę Własłowicz z Tatr... A matka moja — przed którą się korzą filozoficzne narody... Wyrzucono bękarta w suteryny — między lokajów — do łaźni ormiańskiej...

Nędza, kułaki, hańba, rozpusta bezgraniczna, wschodnia —

Dostałem się na służbę do xiążąt z kulturą zachodnią.

Wychowano mnie tam jak syna. Odkryto mi pochodzenie moje. Mogłem był korzystać z łask — miałem przepych, ciszę wiedzy, nauczycieli wykwintnych. Wyjechałem w podróż.

Poznałem Kaliostra. Wydobyłem od niego i Saint Germain'a wszystkie tajnie, ale sam posiadam więcej potęgi od tamtego oszusta lub tego marzyciela!

Zjawiska duchowe, wykraczające poza sferę świadomości ludzkiej, zjawiały się tak dawno, jak człowiek.

Fizyczna i psychiczna działalność ludzi nie ogranicza się peryferą ich ciał — ale dziś w wieku XVIII na fakty medjumiczne zwracają mało uwagi. Tak w buduarze strojącej się kokoty widzą świece i brylanty, elegancję entourage'u i strojnisię — nie postrzegając za oknem obrotu księżyców Saturna.

Aby widzieć — trzeba przygotować się do widzenia.

Pojęcie jaźni uzyska kiedyś rozwój nadspodziewanie szeroki.

Osobowość uznać należy za rezultat organizmu, ten zaś tworzy się na skutek transcedentalnej zasady, wytwarzanej przez naszą jaźń. Gdy osobowość jest uśpiona, pojawia się mniej lub więcej wyraźnie coś innego — co myśli, żąda — w wyjątkowych razach oddziela się jako sobowtór.

Tak rozdzieliłem ciebie na dwie istoty.

Mam drogę mroku wytkniętą jak tunel w górach. Tą pójdę — a ty ze mną.

Nie jesteś mi potrzebna jako miłośnica. Nigdy nie zechcę posiadać kobiety. Jak Lionardo da Vinci oddam się bezwzględnie tylko potędze samotnej.

Ale będziesz mą Selene, jak miał Szymon Mag. Widzę twą duszę: pragnęłaś kogoś, co byłby tak potężny jak Piotr Wielki? jam jest.

Pragnęłaś iść w dziedziny niemożliwego i straszliwie cudnego, żądałaś Lucifera, co by cię wiódł? jam jest.

Hetman przysiągł cię oddać. Szukam cię oddawna — wiedząc z jednego wejrzenia, że jesteś tą, której mi trzeba...

Powiedz, albo raczej daj mi znak milczący, że moją jesteś — moją.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Wita stoi na brzegu skalistym, zawieszona nad mroczną głębiną, skrzyżowała ręce na piersi i dumnym, archanielskim wzrokiem mierzy demonicznego miłośnika.

— Zdejmuję maskę przed tobą, wiem, że niewysłowiona potęga skłoni cię iść za mną. We mnie wcielił się demon... Gdym miał lat siedemnaście, stanąłem raz na wieży Jana Groźnego w Moskwie — zamieć zimowa — noc nieprzejrzana — Moskwa w dole śpiąca... jam wzywał demona i na ofiarę mu — zarżnąłem piękną, tyleż lat mającą co ja — kochającą mnie — bojarównę — Irinkę...

A krew jej w przezroczystej fioli — zamarzała — aż zamroziła serce me.

Kiedym uderzył fiolą o dzwon olbrzymi w kołokolni — kiedym krzyknął trzykroć: Antychryst! Antrychryst! — — ozwał się głos z najwyższej głębi mroków:

— Jam w tobie! — —

Zaryczało coś we mnie, jak zwierz, wypuszczony na wolność. Mogłem stać się Dymitrem Samozwańczym — wziąć dwa trony — bo w ręce mej prawej mam polskość Władysławów — a w ręce lewej — mam rosyjskość wnuki Piotra Wielkiego. Zresztą, poczciwcy nie rządzą światem. Ja ci ukażę właściwe sprężyny — postawię cię u kolosalnej dźwigni, gdzie każde słowo twe, każdy gest — wywrą wpływ na dzieje. I pokłonisz się „Wielkiemu Ołtarzowi", w którego cieniu ja stoję — i pociągam sznureczki.

Jedyny — mam odwagę być Szatanem — i żądać jawnie wszystkiego w imię własne. Miłujesz mnie? — a, ty chcesz słów pieszczących — mogę ci je dać, jak poeta trubadur — mogę ci szeptać — barkarole — ale ci powiem inaczej — ścierwa ty! miłujesz mię? — miłować mię musisz!... Zaczarowane słowa będę mówił myśli twej — w stanie przebudzenia — ale tu zobacz lawę mego Wezuwjusza — tygroty — zmierz mą żądzę! Wywiodę na gleczery — na lodowce

niebosiężne — w ofiarę temu najwyższemu, który mi odda swą nieśmiertelną moc — za ciebie — —

Tygro ty, złowroga gołębico — szafirami twych oczu zmiażdżyłabyś lwa — ale nie bazyliszka!

Wracaj! Znam już drogę do twego łona. Gdy zechcę — wejdę do twej duszy, jak Carewicz do komnaty swej oblubienicy. Miłujesz mię? jeszcze nie? — — won!

— — — — — — — — — — — — — — — —

Łódź zachybotała gwałtownie na falach, widmo Wity znikło.

Wielki Kofta przemknął na drugą stronę rzeki, łódź odepchnął.

Szedł czas jakiś drogą — zaświstał w dwa palce po rozbójniczemu — wnet zadudniły kopyta — nadlatuje powóz. Trójka dzikich, szalejących karych ogierów z grzywami do kopyt.

Woźnica wielkorus z brodą lnianą, w sarafanie czarnym.

Latarnie dwie płoną, bo droga w lesie mroczna.

— Prowaliwaj! — syknął d'Arżanow.

Konie, jakby zwaliły się z gór — znikło wszystko.

PORANEK I ZAWIKŁANIA

Rankiem zbudziła Witę dłoń pani N. Zarzuciła jej różowy burnus i obie wybiegły do rzeki: święta i jawnogrzesznica. Ta ostatnia wygląda nieźle w zielonym peniuarze z jedwabnej tafty. Wkrótce nadeszły inne panie i kąpały się w rzecze wśród drzew przy łące pełnej kwiecia. Promienieje ranne słońce.

Wita ociężała i milcząca. Płynie wznak, dając się ponosić prądowi — chciałaby liljami wodnemi oplątać się i zostać w głębinie na wieki.

Zmory senne zatruły jej serce. Widzi się na kołokolni w Moskwie, szatan z twarzą Wielkiego Kofty — zamordowana bojarynka — stado kruków, sępów i orłów ścierwiątników leci ku Polsce.

Walczy z pożerającym ją smutkiem — a ten jak chmura gradowa wznosi się wciąż wyżej nad horyzontem z niedostrzegalnego obłoczka w ponurą, mroczną, nieprzejrzaną noc...

Zdala za parkanem i wzgórzem zalesionem szczęk szabel, tętent koni — nawoływanie harcowników. Dwadzieścia par mężczyzn nagich bije się na szable. Migocą jak błyskawice w cieniu. Nie wszystkie ciała równej piękności, ale odznacza się większość bronzem opalonych wygimnastykowanych ciał — o udach jelenich, diafragmie ściągniętej i wymodelowanej jak u Anaksiomenesa, o piersi szerokiej i ramionach rozwalonych, niby ogromne maczugi. Nie wolno zadawać cięć w nagie ciało, ale każdy ocenia, w czem chybił i kiedy źle się zasłonił.

Nago na koniach bez siodeł harcowali jeźdzcy. W pędzie przeskakują kopice siana, płoty, uczą konie zarywać dęba, żeby w ostatecznym wypadku zasłonić się ciałem

konia od kuli. W pędzie chwytają się w pół i nagle ohamowane konie, gniotące się torsy mężczyzn — zdają się przypominać igry centaurów na fryzach. Inni walczą na ziemi. —

Niektórzy czynią gimnastykę spokojną i rytmiczną. Na komendę gwizdawkową xięcia zaprzestali naraz ćwiczeń — i, odpocząwszy chwilę, wskoczyli do rzeki. Rozgłośny śmiech reagujących nerwowo na wodę bardzo chłodną, pluskanie.

Nieznacznie trzech pływaków zmówiło się między sobą i, nurkując lub płynąc między trzcinami, wypłynęli na drugą stronę zagrody, gdzie kąpały się panie.

Te długo nie zauważyły sześciu rozognionych spojrzeń, aż jedna z nich, ujrzawszy z za krzaka wodnego trzy czerwone ze zmęczenia fizjonomje — narobiła krzyku. Nurkowie skryli się natychmiast — woda była równa i niezbróżdżona jak przedtem, nikt nie wie, czy pięknej Tarnowskiej przywidziało się, czy istotnie ktoś figla spłatał damom. Na wszelki wypadek narobiły głośnego harmideru, jak — excusez la comparaison — gęsi białe nad rzeką, gdy je nastraszy znienacka dziecko z wiklinką.

Zuchwalcy zyskali jednak conajmniej tyle, jak w podróży do Italji na oglądaniu muzeum kapitolijskiego: zbiór wspaniałych bogiń i nimf. Kobiety nasze w dworach szczególniej ukraińskich, miały wiele tężyzny — jeżdżąc konno z chartami, przepływając rzeki i stawiszcza wpław, pracując ręcznie w ogrodach. — Jeśli brały do salonu sznurówki, to jednak silne zdrowie nadawało ich piersiom gronność winogradu, ramionom siłę lian, biodra rozrosłe jak wodne nimfeje — żeby nie porównać zbyt zuchwale do cebrów, jakie się się stawia przy krynicach.

Xiążę Józef (wyznajmy to!) był jednym z trzech niedyskretnych. Namiętna chęć ujrzenia Wity nagą, powiodła go aż do niebezpiecznego nurkowania pod parkanem i płynięcia pod wodą ze trzydzieści sążni. Tylko on, młody ukrainiec Meleniewski wysoki jak jodła, i atletyczny Abramowicz mogli tego dokonać. — Xiążę, ujrzawszy płynącą

nawznak Witę, z przerażeniem zauważył lunatyczną bladość jej twarzy — ale też z zachwytem ocenił ze śpiżu wykute jej ramiona i tors. Meleniewski widział tańczących na murawie pań stopy i nóżki do kolan — gdyż wierzby nadwodne zwieszały się nisko. I miał wrażenie żywej świątyni o mnóstwie cudnych kolumn z kości słoniowej. Co wyniósł w oczach swych Abramowicz, kronika Ukrainy nie opowiada. Gdyby jednak był badaczem obyczajów, zrozumiałby, jak idjotycznie wstrętnem jest niweczenie piękna i zdrowia cielesnego przez szczelne zapakowywanie go od stóp do podbródka w sukno i skóry. Polska musi przejść reformę: od wiosny do późnej jesieni szaty przewiewne, nogi gołe do kolan, sandały. Zimą podobnież — tylko przy wychodzeniu na mróz wkładanie futer i ciepłych butów. Trzeba ze słońcem żyć — powietrzu dać się przenikać. Dość tych kruchcianych pojęć o nieprzyzwoitości ciał — zostawmy to staruszkom, którzy miewają złe spojrzenie, zazdrosne, nieżyczliwe na młodość i życie. Kto zaś ma ciało nieforemne, będzie zmuszony przez gimnastykę i odpowiedni ruch — do wyzbycia się otyłości i nabrania muskułów. Ale wara różnym garbom i przerostom do narzucania nam swych wstydów — jako powszechnej moralności! — —

Miano wyjechać zaraz po śniadaniu, to też zeszli się do stołów na werandę wszyscy gotowi ruszać w podróż.

Wita chciała pomówić przed wyjazdem z panią Katarzyną, która miała oczy czerwone jakby od płaczu.

Ta odrzekła chłodno, a nawet nieżyczliwie:

— Mówić nie mamy o czem, ale po śniadaniu ja coś powiem.

Wita spojrzy ze zdumieniem, które nie było bez odcienia dumy. Jednakże w poczuciu niewinności, rozmawia z panią Tarnowską, dopytując o dwór i króla.

Wspaniale wygląda sto osób w mundurach i kontuszach, w szalach tureckich i sukniach wersalskich tu przy stołach w ogrodzie.

Wesołość, wzbudzona przecudną pogodą, tężyzną majo-

wego poranku, kąpielą, przygodami nocy — i świetną zastawą!...

Podano szynkę gorącą, gotowaną w kruchem cieście i polewkę znakomitą z wina, miodu, jaj, szafranu i cynamonu.

Była już podówczas znana i herbata, którą pijali mocną, w formie lekarstwa, albo leciutką zieloną z łyżeczką śmietanki lub winem czerwonem. Pani Katarzyna podała też herbatę z bratków, melissy, kwiatu lipowego, zaś najlepszą — z poziomek i listków róży.

Wykwintni smakosze pili czekoladę meksykańską z Kadyksu oraz kawę.

Kawa równie jak herbata wprowadzone były do Francji w połowie w. XVII.

Rozprawiano o tych napojach. Jako wiedeńczyk mógł xiążę Józef podać ciekawe szczegóły. W Wiedniu najpierwszą kawiarnię założył wojak Kulczycki, który na turkach w r. 1698 zdobył wielką ilość kawy. Nawet grano tam sztukę p. t. „Pierwsza kawa", gdzie Kulczycki występował w rynsztunku polskim.

— W Warszawie są też kawiarnie — ozwał się generał Komarzewski — pijamy ją za Żelazną Bramą lub na Krzywem Kole naprzeciw studni... Najsławniejsza jest Okuniowej naprzeciw Świętego Krzyża. Lecz to są nędzne zlewki w porównaniu z tym ambrozyjskim nektarem, jakim cna gospodyni nas raczy: tęga mocna kawa z migdałowem mlekiem.

— Wybacz generale, jest to zwykła śmietanka, tylko zaprawna żółtkiem.

— A na wierzchu opłatek, żeby kożuch był okazalszy?

— Co znowu! czyż nie stać nasze krowy na mleko, wyrównujące szwajcarskiemu?

— Zapewne turczynek mały gotuje te specjały pod okiem jakiej rezydentki?

— I tym razem, generale, armaty twych komplimentów zbytnio górują: córka ma najstarsza, Krzysia, dozoruje

zawsze rannego śniadania i to wszystko, co tu jest na stole, zależy od jej inicjatywy.

— Jeśli wolno pannę Krzysię pochwalić, to osobliwie za te bułeczki z makiem na maśle robione...

— Herbatniki z konfiturami wewnątrz, lepsze od wiedeńskich — ozwała się wojewodzina.

— Niesłychane! — zahuczał Słusznic — rozpływają się w ustach, zjadłem ich tuzin.

— Tuzin mendli, chciałeś rzec, Marcinku!

— Raczysz, xiężno, sprawdzać, co jem, jakbym był twoim gościem.

— Właśnie, że wtedy zmuszoną byłabym udać, że nie widzę. — Bierzmy się do piernika toruńskiego, bo pan Słusznic zechce zwiedzić i tę dzielnicę Polski.

— Tymczasem jestem w makownikach ruskich, lecz kiedy nawrócę jeszcze od tych ciepłych blinków ze śmietaną, kawiorem i masłem — to nie ręczę, czy nie dogonię xiężny z tym rogalem wykładanym, zdaje się — czosnkiem. A to jest tylko dla specjalnych amatorów ukraińska potrawa, nie radzę jej próbować zakochanym, którzy chcą zbliska do siebie szeptać!

— Chyba, że tyle wypiją wody, co nasi nurkowie — podglądacze pereł i konch.

— W takiej konsze jak pani — xiężno, perła jest zbyt bronioną przez murzyński pułk x. de Nassau.

— Tem większa twa odwaga, podpułkowniku — i, zahartowawszy się na czarnej kawalerji, — dasz radę i niemieckim gwardzistom! —

Wybuchł śmiech; zręczne riposty xiężnej, która miała powody trzymać swój floret w pogotowiu, a władała nim niezgorzej — o ile Słusznic nie wytrącał jej swem powiedzeniem maczugowem. Ale teraz zajęty był różą, którą mu dała w upominku młodsza Berezowska, kończąca dopiero klasztor.

Zwróciła się pani Katarzyna do Wity.

— Może wyjdziemy na chwilę?

Wita powstała.

— Właściwie nie mam prawa mówić, jako gospodyni — zaczęła sucho pani Katarzyna.

— Tak, a jednakże?

— Chciałam prosić, żebyśmy zapomniały o tej zbyt bliskiej formie we wczorajszych rozmowach. Trzeba tak wiele, żeby się wzajem poznać!... Ci, którzy znają hetmana Rzewuskiego, upewnili, iż pani do tej wielkiej i rozgłośnej rodziny nie należy...

Poza tem okna u nas nie są przeznaczone do wychodzenia... Ani łodzie do późnych sam na sam... Ani wypada leżeć obojętnie na wodzie, gdy o trzy kroki nurkowie wypłynęli — —

— To wszystko już, pani?

— Tego dosyć.

— To bardzo mało, przynajmniej dla mego zrozumienia. Ale wyznam, że nigdy nie cofnę się, kiedy mnie ktoś chce opuścić — łódź mego serca będzie mogła płynąć nieobarczona do spraw najwyższych. Niesprawiedliwość wyrzutów da pani poznać czas. Dziękuję za krótkie i tak dobre chwile. —

Wita, skinąwszy głową, oddaliła się, nie wracając już do towarzystwa, poszła w stronę dziedzińca.

Zaraz za drzewami, które ją zasłoniły, poczuła, że kręgi czarne latają jej przed oczyma, nogi się chwieją — i z najwyższym wysiłkiem weszła na kurhanik, aby widzieć odjeżdżających, a nie być wśród drzew widzianą. Było jej nadzwyczaj boleśnie tracić przyjaciółkę — za co, nie rozumiała zupełnie!...

Trzasnęły bicze, zatętniły kopyta.

Umysł Wity, znużony natężeniem, serce zbyt wezbrane tragizmem — nie mogą się rozjaśnić w pięknem widowisku. Zajeżdżają powozy, faetony, linijki, karykle wysokie z człapakami nieprześcigłemi. Ogony ich farbowane zwykle w purpurę, jeśli były konie te kare lub białe.

Wierzchowce arabskie, kochejlany i inne, wyprowadzane od pięciu klaczy Mahometa lub od stad Salomona z rodowodem nie mniej niż dwa tysiące lat; polskie rumaki,

pochodzące od skrzyżowania arabów z dużemi tatarskiemi końmi — miały ogień w nozdrzach, nogi stalowe, piersi szerokie — istne tarany do rozbijania wrażych zastępów.

Wszyscy rozradowali się, patrząc na malownicze widowisko; dokoła wielkiego trawnika — wśród ogromnego kręgu białodrzewów topól — przejeżdżały zaprzęgi strojne i rumaki. Na nich siodła nowoczesne lub wygodne kulbaki do dalekich podróży; rzędy stare, zdobyczne jeszcze we wschodnich bojach macedońskich słowian lub spahów... Strzemiona ze stali kutej, rzeźbione i pozłacane, a szerokie tak, jak stopień u powozu; trzęzle dziergane ze sznurków z nanizanemi paciorkami, lub rzemienne okute guzami srebrnemi. Popręgi tak piękne, że niejedna panna chętnie wzięłaby sobie jako pas... Pukle złote na piersiach koni i na czołach, dywdyki szkarłatne, burze lamparcie i czapraki — to aksamitne genueńskie, to adziamskie czyli perskie, to husarskie z naszytemi orłami srebrnemi w zielonym obwodzie.

Wita z poza drzew widzi, jak xiążę Włastowicz rozglądał się długo — za kimś — wreszcie wziął ze sobą do powozu xięcia Józefa i konfederatów.

Wojewodzina Jabłonowska i państwo Tarnowscy razem odjechali we wspaniałej landarze, zaprzężonej w sześć jabłkowitych złotych rumaków — wyprzedzani przez Kozaka, otoczeni zwałem dworzan.

Marszałek Ignacy Potocki odjechał z xiędzem Staszicem. Biskup Cieciszowski z bazyljaninem Trockim. Jednocześnie, jak hartownicy, zaczęli wylatać jeźdźcy, zataczając korwety, szusy i lansady, czyli pląsania.

Wreszcie wyjeżdżały już ostatnie karety — gdy zdyszany Słusznic stanął przed Witą.

— Pani tu? Xiążę Pepi zrozpaczony, że z panią nie mógł się pożegnać, polecił mi panią zaopiekować się — zostawił basztardę — ten wysoki rydwan i cztery dzikie konie, zakupione w Połtawszczyźnie. Jedziemy? Konia pani kazałem przywiązać za powozem.

— Konia mego niech pan mi każe tu podprowadzić. Spotkamy się w Kaniowie. Dziękuję za dobroć.

— Jakto, więc nie? wygląda pani blado.

— Stanowczo nie. —

Oddalił się Słusznic, mający nadzwyczajną delikatność wobec natur wyższych — i prawdziwe uczucie dla Wity.

Wicie podprowadzono konia.

Zacny pan Jan przybiegł pożegnać się, zmieszany tem niespodziewanem zerwaniem stosunków między dwiema kobietami. — Oznajmił pan Kambiłow, iż chce coś ważnego Wicie oznajmić — człowiek, do którego Wita miała tyle sympatji, ale którego teraz, jak nikogo — znieść nie mogła.

— Chciałem panią bardzo prosić, abyś po zjeździe w Kaniowie raczyła odwiedzić me zakłady wychowawcze — moje Bractwo Pracy. Końmi rozstajnemi dostaniemy się w jedną dobę do mnie.

— To coś bardzo świętego, a ja chcę tylko mocy bezwzględnie zwycięskiej i prawdy.

— Pani mi nie odmówi — ja panią błagam w imieniu Chrystusowem. —

Olbrzymi wspaniały apostoł schylił się i ukląkł.

Wita nie namyślając się — porwana tym gestem czci dla ducha — uklękła też — podając dłoń Kambiłowowi.

— Prawda nas rozświeci i umocni — rzekł z głęboką wiarą.

— Pojadę kiedyś do was — ale wprzódy w kraju swym będę szukała mej prawdy.

— Bóg ci zapłać — siostro!

— I tobie, mój najmężniejszy z rycerzy Chrystusowej Świątyni.

Wstał, podobny do Parsifala, i odszedł.

Powozy i jeźdzcy, korzystając, że pyłu niema, trzymali się blisko. Jechali najpierw stępią, potem rysią, klu-

sem, wreszcie w skoku wielkim lecieli i w obłoku mgły pozłocistej zniknęli, jak sen.

Wita nie chce jechać w tej masie, aby nie rozpraszać myśli, które stają się coraz tragiczniejsze.

Wspaniałym, groźnym, coraz wspanialszym i groźniejszym stawał się jej Bóg!...

MUZYKA DZWONÓW

Wity koń był inochodem czyli człapakiem. Płynie gładko jak łódź, przechylając się to na jedną, to na drugą stronę — a pęd jego kłusa równy galopowi. — Nie dziw, że w pół godziny ominęła już wszystkich. Dzielny jej Witryhon, (bo tak zwał się), ogromny kasztanowaty z długą grzywą i nieprzycinanym ogonem, jak wicher mknąc, zwracał podziw mimo, że konie były, jak wiemy, w tej kawalkadzie świetne.

Miała znów step szczery. Jak okiem sięgnąć wspaniałe trawy: srebrny kowyl, podobny do niesłychanie delikatnego rajskiego pióra, unoszący się z wiatrem w formie strzałki nasiennej z długim latawcem; tulipany krasne i orchideje, ostre mięty i macierzanki napełniały wonią przedziwną bezbrzeża stepu.

Po każdej półtorej mili dawała koniowi wytchnąć, wbrew zwyczajowi bardzo nagannemu ukraińskiej szlachty — zapędzać konie po kilka mil bez odpoczynku. Dostają rozedmy płuc i zrywają serce.

Wicher stepowy, pyszne swobodne Hulajpole wywiało jej sentymentalizm dziewiczy, wracając siłę rozumowania. Była ze siebie nierada.

Wprawdzie poznała nadzwyczaj zacnych ludzi — niezwykle piękne duchowo typy. Ale cóż sama zrobiła? — literalnie nic. Mimo piękna tych dusz — czuje też ich słabość. Wiedzy mają dość, chęci dobrych ogrom — a jednak — czegoś im brak dla potęgi zbiorowej. Istny król Własłowicz, istny obywatel Jan Chojecki, istny minister pan Ignacy, istni rycerze Mohort, Przecławski, xiążę Józef, Meleniewski. Istni myśliciele — Staszic — ale z tych ludzi nie powstaje żadna organizacja... Dopóki są razem jeszcze wiąże ich wspaniała kultura myśli i serca... Gotowi na zbiorowy

czyn poświęcenia: mają jakby wspólną majętność i zbiorowe życie. Ale oto rozjechali się: pan Mohort ze swymi walecznikami, xiążę Własłowicz, Mojżesz bez ludu, mający pustyniom nadać tablice nowych przykazań; setki doskonałych pojedynczo ludzi, patrjotów — którzy jak te strzałki kowylu lecą każdy w swą stronę — i już ani wiadomo, jak ich zebrać, jak do nich trafić... Dlaczego nie powstała żadna decyzja czynu — na przykład reorganizacja rządu króla Stanisława... Dlaczego nie jadą razem do Kaniowa, aby w spokojnej rewolucji owładnąć sterem państwa i z błyskawiczną szybkością odrodzić zanikłą muskulaturę narodu?...

Wita nie czuje się dość mocna do tak potężnej działalności. Jej niegodna słabość płci niewieściej, uczuciowy ton, którym ją obdarzają wszyscy, niby migdałowem mlekiem...

O, teraz Piotrem Wielkim być!...

Urąga uczuciom — i badając swą duszę, dostrzega w kosmicznej mgławicy intruza — wpływ Wielkiego Kofty!... Należy to obce ciało wydobyć ze swej duszy — — jak krzemień z rany.

Ale jednocześnie wie, że tylko taki człowiek, jak Arżanow mógłby dokonać wielkiego historycznego dzieła.

On chce ją wprząc do swej roboty... wie to instynktem, bo nie zostało w niej wspomnień świadomych nocy przebytej na rzece.

Arżanow chce ją zdobyć jak swego lennika. Ale odwrotnie musi stać się: on będzie jej narzędziem. Bo jego celem — pycha. Jej cel — to miłość utajonego w dziejach sensu Polski. Musi nastąpić walka szermierzy. Czy jest dość silną? z pewnością nie. Wobec xięcia Józefa jak z bronzu. Wobec Arżanowa — jest roztopionym woskiem.

Gdyby świat był pod rządami opatrznościowemi — Wita miałaby nad sobą huf archaniołów — a moc piekielna nie zwyciężyłaby jej. W walce jednak na ziemi — gdzie ścierają się tylko siły — cóż za porównanie mocy tej rośliny, która korzonkami rozpiera skałę — a tęgiej miny prochowej!... Roślinka uskutecznia swą pracę sposobami świętemi; mina — sposobem szatańskim. Pierwszą — za jej dobroć —

zje krową. Wtóra — każe drżeć przed sobą każdemu mocarzowi. Świętość jest bezmiernie użyteczną dla ostatecznych najwyższych celów życia — to jest harmonji i błogosławieństwa, dla szczęścia subtelnego jak niebo Fra Andżelika...

Jest to kryształ rosnący w grocie góry, ale cała góra nie jest kryształem — wręcz przeciwnie, jest nieprzenikliwą dla promieni. —

Wita wjeżdża w las. Otoczył ją szum uroczysty wiekowej puszczy. Droga zwęża się, zarosła nawpół trawą...

Usłyszała za sobą tętent. Odwraca się — to gna młody jeździec, którego nazwiska nie pamięta, wie tylko, że ma imię Brutus. Podobny do czikosa węgierskiego, śniady, o czarnych, małych, bystrych oczach, pod gęstemi brwiami i wysokiem czołem.

Skłonił się Wicie.

— Waćpani raczy mi darować ten obces — ale pani Ewelina, podkomorzyna bracławska, koniecznie kazała mi prosić panią o chwilę rozmowy. —

Wita chciała odrzec, że nie ma teraz możności, tak były jej obojętne wszystkie podkomorzyny. Ale ma okrucieństwo dla siebie samej. Im coś jej cięższe, tem bezwzględniej spełnia w chwilach, gdy dusza jej cierpi.

Milcząc skinęła głową i rzekła krótko:

— Rzeknij jej waćpan, niech mnie dopędza —

I ruszyła tym samym rytmicznym, szalonym pędem łodzi, ciągnionej przez wir nad Niagarą.

Młodzian zwrócił konia wstecz — ale już ukazał się obłoczek pyłu, zbliża się dość szybko i widać wskok pędzącą amazonkę. W szarawarach szerokich ciemno zielonych i takimże kubraku — z rogatywką z orlem piórem na włosach żółto-płowych, jak snop arnautki pszenicy. Nadzwyczaj piękna i silnie zbudowana. Miała na plecach rusznicę, za pasem złotem nabijane pistolety, w ręce zaś długi z białego rzemienia bizun. Siwe charty biegły obok karego rosłego angloaraba.

— Odsuń się waćpan, mości Brutusie — chcę mówić z tą panienką sama. —

A kiedy Brutus został o kroków kilkadziesiąt wstecz, ozwała się:

— Wśród tłumu gości nie zauważyłaś mnie waćpanna?

— I owszem.

— Nie chciałam się zbliżać, bo raz pierwszy w życiu uczułam tajemniczy lęk przed dziwną mocą w waćpani —

Wita milczy.

— I bardzo mi się spodoba! Ma śliczne posągowe kształty, jest jak muzyka, nie wiem co dałabym, żebyśmy zawarły przyjaźń. Vous ne comprenez pas, petite inconue? —

Milczenie.

— Stanowczo, dzisiaj nie powinnam wypowiadać swych uczuć, bo jestem bardzo zdenerwowaną — tak mi się wszystko nie udaje. Myślę, że i śmierć, zwykle taka prawdziwa, też mi się nie uda. Cóż robić, jestem człowiek z pechem. Czy aby człowiek? jak waćpani myśli, bo mój pan podkomorzy utrzymuje, że jestem tylko samiczką rodzaju ludzkiego w podlejszym gatunku, jak mówią nasze panie.

Wyrwałam się bez mojego skrzydełka, które siedzi rozparte w powozie i drzemie, pijąc te wina, które mu sąsiedzi włożyli do powozu.

Przemierzły skąpiec. Waćpani wie, że nie należy on do żadnej parafji? Ponieważ majątki nasze są rozrzucone — każdemu proboszczowi odpowiada, że jego parafja jest gdzieindziej. I tak unika opłat kościołowi. Co nie przeszkadza, że jest bigotem. Każe mi śpiewać co niedziela przy sumie, trzy razy w tygodniu na nieszpory i do tego codzień godzinki i mszę.

Niech waćpani jeszcze spojrzy raz na mnie. Djable i przepiękne oczy! Boże mój, dlaczego to jedni mają dar zjednywania ludzi — a ot takim jak ja bydlątkom —

To zdanie pana podkomorzego, niech waćpani nie śmie myśleć, że to moje zdanie, gdyż bić będę! —

Ściągnęła konia, że ten zatańczył lansadę i westchąwszy, mówiła:

— Tysiące uczuć roi się po głowie, moc tęsknot roz-

piera mi piersi, dusza chciałaby wypowiedzieć barwami wszystko, co się marzy — a tu jechać do Italji nie puszczają.

Tyle nieraz czuję, a milczeć trzeba, bo to nie garnuszki, pieluszki, ściereczki, z sąsiadkami ploteczki, jak przystoi białogłowie...

Gdy mnie zażera już rozpacz — wskakuję na konia i w pole. O, jam wtedy moja własna — śmiać się wolno i krzyczeć z uciechy — i wtedy wszystko moje, cały świat mój!...

Niech waćpani spojrzy, jak szalenie barwne są te obłoki — w naturze niema barwy białej, zawsze są iradjacje. Obłoki to moje rumaki! Posyłam je nad Ocean i dalej — w krainy Korteza i Pizarra. Nienawidzę mojego mężulka, choć to jest doskonały samiec. Jedyna doskonałość jego.

Waćpani się niecierpliwi? — nudzę — za wiele nieprzystojnych myśli wypowiadam, jak na żonę czcigodnego obywatela.

Chciałabym coś wiedzieć o waćpani, czy też posiadasz na własność samczyka? i czy będziesz moją przyjaciółką? —

Objęła ją za szyję namiętnie, po męsku. Wita uchyliła głowy.

— Nie kryj się przedemną! Ja wiem, że nie będziesz moją kochanką — mając dwóch tak wspaniałych mężczyzn — ale nigdy mężczyźni nie wyczerpią dna tkliwości — i fantazji wyjątkowej kobiety.

— Waćpani mylisz się — nie mam dwóch — ani nawet jednego.

— Nie dowierzasz mi — xiążę Józef to rycerz w pełnem słowa znaczeniu, ale tamten demon, o ileż więcej wart! powiem ci, że byłam tej nocy szalenie o ciebie zazdrosna — — czarowałam powietrze życzeniami, aby cię zabił — i mnie pokochał. A nie zarzekam się, czy go nie odbiję — jeśli Brutus nie będzie mi starczył za świat.

— Kogo? — spytała Wita, nagle trwogą przejęta aż po ostatnią komorę swego serca.

— Wielkiego Koftę! bajecznie szatańska głowa — to

chyba syn Tamerlana! Znam go — był parę razy u nas w Kijowie, gdzie mamy pałacyk.

Mój mąż gra na dwa fronty — udaje szlachcica nieznoszącego urzędów, a dobija się o urząd kamerhera...

Poznałam d'Arżanowa przed kilku laty na rewji — młody kapitan gwardyjski. Kochał się w żonie swego pułkownika. Kiedyś na bankiecie pijani towarzysze zaczęli z niego kpić. Wyzwał na pojedynek ich wszystkich. I ten szalony szermierz — wyśmienity strzelec, a ponadto bokser — wszystkich zwyciężył! dziewiętnastu.

Zrobiło mu to rozgłos w Rosji — dostał rangę pułkownika.

Ale rzucił służbę wojskową i wyjechał zagranicę do Szkocji. Wrócił Wielkim Koftą. Taki cię pokochał — to coś warte!

Nie lękaj się — nikt was nie widział — wprawdzie otwierała Czarnoziemska okno właśnie wtedy, gdy już wracaliście — — ale niepodobna, żeby w ciemności zdala mogła cię poznać — — zresztą, ona tego nie rozumie.

Więc ja tylko wiem. Jesteś dla mnie szczytem heroiny, tak młoda, tak świętą maską czarująca — masz w sobie Messalinę, umiejąc łączyć bieguny...

— Nie kocham Kofty, nieprawda! i żądam, abyś waćpani przestała o mnie tak myśleć. Bo jeśli jeździsz uzbrojona, to ja mogę też wydobyć pistolety. Gardzę Messalinami.

Lituję się nad takiemi kobietami — jestem wolna — i — milczeć o mych uczuciach! —

Wita zacięła się — oczy jej pałają jak węgle.

— No, no — przepraszam z głębi serca — ale szkoda czasu na próżne etykiety. Czy nie? ja sama zbyt długo ukrywałam...

Jestem szalenie nieszczęśliwa, a nikt tego dotąd nie podejrzewa. Nawet ten Brutus, który jęczy do mnie, jak puhacz do słońca...

Wita opanowała już własne cierpienie, a przynajmniej zataiła je głęboko.

— Powiedz mi to jedno waćpanno Wito, co zrobiłabyś na mojem miejscu? Mam już lat dwadzieścia siedem i mam troje dzieci — on jest znacznie młodszy — o dwa lata. —

— Kto, podkomorzy? —

Śmignęła bizunem w powietrzu.

— Mówię o Brutusie! tamten może być moim dziadkiem! Kupił mnie, gdym miała lat szesnaście. Akurat — jedenaście lat jak jestem w tym lupanarze, który się nazywa ogniskiem domowem.

Nie mogę malować, co jest moją najwyższą tęsknotą. Nie biorę też kochanka przez wzgląd na dzieci obecne — i żeby nie mieć więcej tych ozdób...

Wolno mi tylko oddawać się deprawacji z pięknemi kobietami — lub swym dziadem. Tego wykreśliłam już z rachuby oddawna. Ale mnie strzeże jak Argus. I teraz z pewnością naśle mi dworzan. Więc mów szybko, co ja mam czynić?

Brutus jest człowiekiem niezwyczajnym — myśliciel, odkrywca... Znam go od lat kilku — ale dotąd zostawałam „uczciwą żoną".

Zresztą, gotowa jestem nawet wyzbyć się swego szczęścia zmysłowego, ale moje malarstwo! Czy rozumiesz, co znaczy być opętaną wizjami nagich kobiet nad brzegiem morza pod czarnemi piniami? Morze olbrzymim bezmiarem szafiru, modrości i ametystów wiedzie duszę jak okręt w krainy nieodkryte...

Lub Ukrainę malować: Dniepr królewski z jego górami — z tym Monastyrkiem i wsią rozrzuconą w jarze, pełnym baszt naturalnych i przepaści! — — Czy widziałaś — kiedy układają sterty ogromne niby piramidy Egiptu — nocą przy kagańcach — mrok prześwietlonej złotej bryły — niebo modre tajemnicze... Maluję samouctwem, trochę liznąwszy Bacciarellego.

Ale to nie mój mistrz — z jego miękkiemi zdeprawowanemi ciałami i buduarem, jako stałą dekoracją...

Widziałam po zamkach naszych obrazy Tycjana, Rembrandta, Fra Andżelika, Masaczia, Ghirlandaja, Poussena,

Holbeina... Umieram z tęsknoty za wielką sztuką. Muszę być w Rzymie, który znam tylko z cudnych drzeworytów Piranesi'ego — muszę widzieć rzeźby bogów i wazy etruskie. Muszę przejść akademję surowej nauki. Ognie tęczowe, które noszę w sobie — wcielić w drzewa, skały, obłoki, ciała — abym umarła spokojnie. Mam świat wizyj. Powiedz mi, zawyrokuj. Czuję, że tego będę się już trzymała. Więc jak? —

Wita zakryła oczy i wstrzymała konia. Patrzy w ciemną głąb swej duszy, jak słynna wróżka tych czasów pani Lenormand w karty nekromantyczne.

— Ja powiem — nie od siebie — moja droga inna, moje pojęcia inne. Ale ty, dziś jeszcze — natychmiast — wyznaj Brutusowi, że kochasz — jedźcie do Wenecji, tam płyń w gondoli nocą, patrząc w pałace przecudowne — na balkonie w noc miesięczną, gdy pachną róże — słuchaj pieśni —

— Brutus gra pięknie i śpiewa.

— Potem do Florencji — tam gdzie żył Fra Andżeliko w klasztorze. Namaluj też obraz dawnej świątyni w Nemi — Przeżyj między piniami czarnemi wszystkie mity pogańskie i wszystkie legendy o świętych — —

Podkomorzyna zsunęła się z konia i rzuciwszy lejce, sama uklękła na ziemi i zaczęła szlochać.

— Nie mogę — nie mogę! jakże zostawię jedno tylko podrosłe, dwoje małych — wywieźć ich — nie mogę za środki męża, bo mnie te pieniądze palą! Kupił mnie ubogą — —

A Brutus ma ojca cymbała, despotę, który majątek mu da dopiero po śmierci. Myślałam już o tem przez tysiąc nocy, jak uciec — jak żyć... i tylko śmierć rozwiąże!...

Wita zamyśliła się.

— Zamorduję chyba męża której nocy! I zerwę łańcuchy, zerwę — a tu rzucam symbol mej niewoli! —

Ściągnęła pierścionki z palców i rzuciła w kałużę. Bizunem siekła bodjaki i ziemię.

Podobna greckiej furji z twarzy ściągłej i ametystowych

oczu, rzucających błyskawice! Usta zmysłowe bachantki rozchyliły ostry blask zębów.

— Brutusie, — zawołała — podjedź, zapewnij głośno, czy weźmiesz mię, gdy ręce swe umaczam w krwi?

Młody szlachcic zbliżał się jak posąg melancholji — z swą posępną szlachetną twarzą.

— Milczysz? więc cię odrzucam precz —

— Mam sposób wyjścia dla was — zawołała Wita — niech Brutus zacznie pracować i zarabiać, niech zostanie lekarzem, kupcem czy wojskowym — a ty rozejrzyj się, komu dzieci powierzysz na wychowanie — lub je zabierz ze sobą, jeśli ojciec ich nie kocha. Bo trzeba wypełnić obowiązki raz zaciągnięte — największy obowiązek względem duszy swej, potem względem ojczyzny i dzieci — a potem, choć mniejszy — też wielki — wobec ciała i życia. Więc musicie budować na wartościach rzeczywistych: dzieci twe — wasza miłość — i twoja wola artyzmu. Jeszcze wytrwaj rok — a choćby do jesieni — waćpan niech stanie się człowiekiem bez przesądów kastowych — dalej do pracy!

— Brutusie — zawołała podkomorzyna — powiedz głośno, czy ty mię kochasz? w imię naszej miłości możesz odmienić życie wesołe na wsi na trud miasta?

— Już tyle razy mówiłem waćpani podkomorzynie, że przygatawiam się na inżyniera. Potrzebuję tylko rok jeszcze nauki w Paryżu u pana Lalanda! A czy ja kocham? Pocóż wciąż jataganem bić w me serce — ono nie jest z żelaza, choć takiem się zdaje!

— Mój żelazny rycerzu o djamentowem sercu!... Kochasz mię? i opuścisz mię samą na rok cały?... i wytrwasz? Pokaż swe źrenice: Czytaj w nich, Wito! — spojrzyj tam, jak Kassandra...

Młodzian ten, choćby najlepszym był, zali może kochać ogromnie i trwale mnie, com już przeszła Stygs nieszczęścia i Tartar grzechu, mnie — co zechcę oddać mu nawet nie duszę całą — ale tylko jej radość, bo sama pójdę zawrotnem szaleństwem twórczej myśli! — A jeśli mię

opuści — ach, może nie wytrwam bez miłości — na samą tę myśl — że zostanę sama — ponosi mię demon rozpaczy, jak wicher niesie te zbite nasiona perekotypoły ku morzu Czarnemu! On mię kocha — ale czy będzie kochał — choćby lat siedem — lat trzy — rok tylko? —

Brutus załamał ręce i patrzył z boleścią w ukochaną swą.

— Wciąż wątpisz?

— Ja odpowiem za niego. Nie tylko starczy cię, pani Ewelino, na lat siedem, ale i na siedemnaście. Niech pan Brutus jedzie sam do Paryża i wyrobi się na tęgiego człowieka. Środki wam znajdę. A potem razem w daleki świat — pod niebo Danta i Alfierego. Ale dla pracy głównie, nie tylko dla szczęścia.

Wracajcie potem do kraju.

— Związ waćpani ślubem! — rzekł cicho, jak w kościele przy nabożeństwie, Brutus.

— Nie mam prawa tego uczynić. Ale niech w was się zbudzi Twórca i udzieli swych promieni na drogę nową.

— W Kaniowie się ujrzymy?

— Żegnajcie mi! Już idźcie! Muszę być sama!

Witryhon, idący dotąd stępa, ruszył jak pocisk, wyrzucony z katapulty.

Nie ogląda się Wita, ale czuje, że usta, które szukały się lata całe — dusze, które rozpaczały wieczność — idą po modrej ścieżynie.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Niedługo pędzi Wita samotnie. — Nagnał ją od południa powóz, w którym jedzie xiążę Józef i bazyljanin Trocki.

Zaprosili Witę do powozu, trudno było się wymówić. Zdziwiona, że nie widzi xięcia Własowicza. Lecz ten przesiadł do innego powozu, gdzie miał wysuwany stolik i mógł czytać.

Powóz, jak po aksamicie, ciągniony czwórką przepysznych karogniadych biegunów. Cisza, nie słychać turkotu, rozmowa toczy się żywa, raczej xiążę słucha, mówi głównie

uczony bazyljanin xiądz Trocki. Zna doskonale Ukrainę, sięga równie łatwo do kroniki życia publicznego, jak do archiwów kościelnych i tajemnic domowych.

Wita słucha z zajęciem. Głód obiadowy przyjemnie stłumić paru kawałkami sarniej pieczeni, trochą wina i owocami.

— Przepaść, która zarysowała się między szlachtą polską a ludem ukraińskim, zaczęła tu w Kaniowie przewijać się mostami pokoju, serdeczności i wzajemnej wiary w lepszą przyszłość — ciągnął x. Trocki.

Niedawna rzeź humańska odsłoniła, jak łatwym jest lud ukraiński do buntu, jak jednak zarazem nie ma istotnych do tego powodów. Prawda, wśród szlachty niejeden dziki, ciemny, bizunem władający, wśród magnatów dużo takich, którzy nic nie wiedzą, co się dzieje za obrębem ich parku i pałacu. To są pasożyci tej ziemi. Ale w takich pasożytów, niestety, obfituje każde społeczeństwo naszego wieku.

Rząd polski daje narodowości rusińskiej prawa szerokie: zabezpieczone są język i wyznanie; swoboda handlu. Najwyższa magnaterja sadza xiędza ruskiego na honorowem miejscu.

Zwycięża kultura polska, siłą naturalną, nie przymusem. Języka polskiego używają w cerkwiach, na kazaniu i w domu. —

Teraz w Kaniowie lud przyjmuje króla z zapałem. Na domiar wiosna cudna zda się sprowadzi urodzaje, jakich oddawna tu pragniemy. Król polski zaczyna się wznosić do wyżyn władcy dobroczynnego w wyobraźni ludu.

Uczestniczy stale w nabożeństwach cerkiewnych, gdzie z dobranych głosów chór śpiewa pieśni w języku słowiańskim. Wielkanoc tu obchodziliśmy z wielką serdecznością — oba bratnie obrządki. A lud wszędzie roznosi teraz, że nas wszystkich łączy jedna religja, zaś odmiany kultu nie są żadną przeszkodą do zbratania.

Tak spełni się może przepowiednia Wernyhory, iż znajdziem w mogiłach Perepiata i Perepiatychy zakopaną

w głębi pustej studni Słowiańską Prawdę. Władca odkryje źródło mocy dobroczynnej, wymuruje świątynię i lud uwolni. Bo mimo tego, że pańszczyzna w Polsce jest lekka, ale lud nie ma drogi dla swego prawidłowego rozwoju. Ferment życia musi obręcz rozsadzić. —

Zamilkł bazyljanin i długo jechali w milczeniu, patrząc na cudny krajobraz.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Rozbrzmiewają dzwony po dalekich cerkwiach, ukrytych pustelniach i w miejskim kościele bazyljanów kaniowskich — nawołują jakby na wielkie święto ludzkości.

Ze wsi i z miast, gdzie parobcy silnemi ramionami nadają rozpęd dzwonom, nad zbierające się dokoła wież i sygnaturek gromady chłopów i mieszczan — wybiegają wieści...

Jak ptaki o polotnych skrzydłach lecą w ocean powietrzny, głosząc: wolność!

Dźwięki w szklanem przestworzu spotykają się, bratają i tworzą chóry.

Wiosenne słońce chyli się wcześnie ku zachodowi, złocąc wszystko i nieśmiertelniąc — jakby nie Wolter, Fryderyk i Katarzyna II panowali nad światem, ale blask Złotej Patery przemieniał ziemię w ciało i krew Bóstwa.

Modlą się dzwony nad lasem, nad niwami i stepem.

Falują w rytm topole ogromne, trawy poszumne, zboża ozime, ktore już wyrosły wysoko.

Zatrzymują się oracze, patrząc w niebo — czy nie będzie znaku? niedawna Koliszczyzna, rzezie i szubienice upiorami jeszcze tłuką się po wyobraźni; niepewność losu, kto przyjdzie rządzić tym krajem — Turek, Kozak, Rosjanin, Polak czy daleki Niemiec — i jakie będą te rządy? w rezultacie zostaje tylko przeżegnać się krzyżem szeroko i dalej iść za pługiem.

Trzeźwego światopoglądu uczą wrony, drepcące za pługami, — czarne bractwo kuśtykających filozofów — znagła łykają białe gąsienice podjadków, wyorywanych potężnem żelazem.

Pługi głęboko rwą czarnoziem fioletowy, niby dziób okrętu, ciągnionego zamiast żagli sześciorgiem wołów.

Nad ziemią żelaznej barwy podlatują wrony chytre, przezorne, a tak żarłoczne, jakby w każdej siedział głodny demon.

Wita rozmawia cicho z xięciem, korzystając, że xiądz się modli. Na łan mroczno-fioletowy melancholji padają ziarna mistycznej wiary, niby złoty deszcz Danae.

Mimo kanalji rządzącej i rządzonej na mocy wulgarnych instynktów — widzi tych, którzy biegną „w cierpliwości do boju — mając tak wielki nad sobą obłok świadków“ — jak mówi święty Paweł.

Kobiety w koszulach z haftem krasnym, śpiewając idą i sieją — niby białe kapłanki.

Skowronki wysoko, dzwony jeszcze wyżej w oceanie nieba podchmurnym, a pieśni ludzkie lecą aż w boskość życia!

Zasłuchani parobcy, nie zważają na kłęby pyłu, które wydobywają się z pod bron, szczepionych jak tratwy.

— Nastanie noc księżycowa, obłędnie cudna — szepce xiążę — nikt nie będzie spał. Wszędzie szepty i rozgwary. Starzy na przyźbach gawędzą o konfederatach i gotującej się wojnie z Turkami. W sadach tajemniczych przytulą się do siebie Iwaś i Ołena, Roman i Hala, Bohdanko i Jeryna... szczęśliwi królewicze z bajki. A my?

Wokół nas roślinność bujna, w oczach rośnie, wśród runi zielonej już zaczynają czerwienić maki szkarłatne. Te nigdy nie wiedzą o sobie, na co je Pan Bóg stworzył! Zbyt wiotkie, a zbyt gwałtownie wyzywające, ledwo wiatr dmuchnie, już opadają pyszne, jedwabne rubiny: nagi, czarny, bezwstydny sarkofag namiętności, niby msza czarna, zwabia na słońcu owady. My palimy się, bez celu, nie gasząc swojego żaru.

Dlaczego każesz mi iść samotnie?

Życie zawiera w sobie siły potwornie dzikie. Nie chcę siły rozrodczej zużywać na igraszki, lecz ją mam. — Życia nowego pragniesz? jedźmy jak Pułaski Kazimierz i Kościuszko do Ameryki — weźmy tam swą miłość szczęśliwą

w lasach gdzieś nad rzeką Orinoko czy Missuri, wrócimy do kraju dopiero, jeśli wybuchnie powszechna walka!...

Odpowiedziała Wita:

— Z praw potwornych życia możemy wyzwolić się tylko przez moc nadzmysłową. Ta wiedzie nas do wzniesienia wszystkiego na górę Tabor. Polska zawiniła przed Bogiem życia, który jest rozumem tu, a intuicją tam! W drzemce gnuśnej zapomnieliśmy, iż życie ludzkie jest wysiłkiem, a zwierzęce — walką! Wierzę w duchy, ale nie wierzę, iż świat jest ekonomją pod okiem dobrotliwego pana. Ogłupiła nas religja, miast odkryć w nas elektryczność potęg duchowych. Opatrzność wzięliśmy za poduszkę dla głowy pijackiej. Ogrom pracy czeka Polaków tu w Polsce, a nie nad Missuri!

Ręce xięcia poszukały rąk Wity i nie rozstawały się już.

— — — — — — — — — — — —

W blasku zachodu ukazał się z wysokiego płaskowzgórza Dniepr.

— Już dawno wyczuwałem go — zawołał xiążę — w szerokim oddechu zimniejszego powietrza! Zabłysnął, jak prawda, którą w nadmiernej tęsknocie gotowiśmy uznać już za mit: między wzgórzami i lasami niknący wąż modry, bezmiernie cichy, jakby uśpiony. Nie ocenisz zdala jego ogromu: wydaje się rzeczułką, płynącą przez modre stawy. Zawodzi narazie wrażenie! Ale potężne tchnienie powietrza, wolniejszego jeszcze niż na stepie, każe domyślać się, że tu leży potęga ukryta! Ze wzgórz tych nie widać Kaniowa, tylko zieleni piękny kościół Bazyljanów i jaśnieje wielki gmach szkoły, zbudowanej przez brata mego Stanisława. Właścicielem jest tego miasteczka z ogromnemi starostwami aż za Korsuń nad Rosią.

Konie zatrzymano. Wszyscy, stojąc w powozie, rozglądają się dokoła.

— Ziemia tu szczególna — ciągnął xiążę, znający już okolicę — poszarpana w tak potężne jary, w tak nagle zawrotne szczeliny, że zda się — musiały tu być trzęsienia ziemi, kataklizmy ukrytego wulkanu! Ale pochodzi

to wszystko, że glina i czarnoziem leżą na warstwach piasku. Następuje osuwanie się, skurcze różnych gatunkowo pokładów. Nie jest-li to niby rewolucja dolnych ludowych warstw? Potoki wiosenne huczą w jarach! Las potężny, odwieczny, ciągnie się wzdłuż Dniepru od Kaniowa na południe. Również tam na wzgórzach ku północy — aż do Rzyszczewa widać ciemniejący las. Natomiast brzeg drugi Dniepru — Połtawski — okryty łąkami zalewnemi, drzewami rzadkiemi, kępami piachu. Nie widać tam nic — prócz stepowego horyzontu. Ale tam ukryty Kaniów — nie darmo zwą go małym Kijowem. Wśród jarów wysokich, malowniczych kilkadziesiąt chat rozrzuconych po wzgórzach i nad potokiem, zwanym Warszawka, kilka dworków — a tam dwa wielkie imponujące gmachy — to szkoła i kościół Bazyljański.

Biskup Naruszewicz, towarzysząc nieodstępnie memu stryjowi — spisuje nudny djarjusz: wylicza tytuły osób, które miały zaszczyt przedstawić się Najjaśniejszemu Panu, ale pomija jedną bagatelę, to jest życie.

— Pan Mikołaj Potocki nałożył na całej okolicy tu swe piętno, ba, na całej Ukrainie! Toć dla uczczenia jakiejś dziewki Paraski czyli Pryści nazwał szereg wsi mianem: Mikołajki, Potok, Pije „Pryścia", Piwce — a jednocześnie dla uczczenia Matki Boskiej założył Poczajów.

Obdarzył klasztor olbrzymiemi fundacjami, tam pokutował — nie przewidując, że klasztor stanie się fortecą przeciw katolicyzmowi!...

Zapatrzyli się w czerwone płomienie na olbrzymich zielonych kopach kasztanów, sadzonych jeszcze przez starostę kaniowskiego.

Kwitną czerwone kasztany, nie troszcząc się o dalszy swój los.

Wiosną dyszy Dniepr, niedawno wyzbyty z lodów. Wiosną dyszą czarne ugory, świeżo zasiane.

Bociany krążą, ukazując białe dno swych skrzydeł — nauczyła je mądra natura, białością skrzydeł znikać z oczu ludziom, a czarnym grzbietem zlewać się z ziemią i zni-

kać jastrzębiowi. Majestatycznie krążą nad krainą, powołaną do szczęścia, a tak często schodzącą ku Infernu!

Dokoła miasteczka ułożyły się w szałasach z krzewin tłumy liczne chłopów i kupców wędrownych.

— Zapalają już ognie. Jest tego tłumu kilka tysięcy, co nie wyda się dziwne, zważywszy, że na spotkanie króla po wsiach wychodziło nieraz po 3.000 chłopów ze swymi prezbiterami. Magnaci przyprowadzali swe konwoje, — zwykle sute; naprzykład xiążę podskarbi litewski, Stanisław Poniatowski, wysłał królowi dla konwoju „sto koni Kozaków pod swoimi rotmistrzami Axentym i Żukiem, pięknie ubranych i na dobrych koniach, a przyłączył się do nich z kilku ludźmi swymi Szelest, rotmistrz Bogusławski.

Król zaś ma własne eskorty ułanów królewskich, które miejsce kawalerji narodowej zastąpiły".

Stały wojska polskie obozem w namiotach na górze przy samym Dnieprze.

Wicie zaczęło gwałtownie bić serce. Tak dawno nie widziała wojska polskiego! Polska nie ma już szacunku w świecie, ale jeśli takich obozów uczynić ze sto w kraju — nie sięgnie po nas ręką nikt! Dlaczego król nie zachowuje godności — i czeka od sześciu tygodni w mieścinie wśród niewygód w małym domku — aż raczy przybyć Imperatorowa, bawiąca o dwa dni drogi konnej stąd w Kijowie z magnatami rosyjskimi i polskimi?

Ta rzeczywistość moralnej nędzy przeszyła ją, jak tępy sztylet.

U rogatki żołnierze przepuścili powóz z najwyższemi honorami.

W miasteczku snują się tłumy — zapalono latarnie różnobarwne i chińskie lampjony, wyglądało to na karnawał.

Powóz zatrzymał się, Wita chce wsiąść na swego wierzchowca.

— Niepodobna, aby waćpani została tu sama wśród natłoku awanturników! — rzekł bazyljanin.

— Muszę spróbować drogi, którą zwykle ludzie omijają. —

— A tą jest?

— Intuicja i samotność. —

Xiążę Józef, udając, że poprawia strzemię Wicie, rzekł do niej zcicha:

— Pieniądze ci potrzebne, a my omówiliśmy wszystkie gwiazdy — z wyjątkiem tego zakątka, gdzie masz spać tej nocy. Znajdę ci kwaterę u kasztelanowej Maciejowskiej — albo uszczęśliwiłabyś mnie niebem i ziemią, gdybyś przyjęła mój pokój, a ja pomieszczę się z de Ligne'm. — Zajmujemy we dwóch domek oddzielny.

— Pieniądze mam. Gdybym chciała kupić wieś — zastawiłabym ten z szafirem dużym sygnet — spuścizna po mej prababce. Ale mi przyjemnie wchodzić tak do miasta: Pan Jezus do Jerozolimy idąc, nie wiedział, gdzie głowę złoży. —

Xiądz Trocki podszedł, aby się pożegnać, bo klasztor jego był o kilka kroków.

Zostali sami.

— Wito, czyż nie mogę ci niczego ułatwić?

— Owszem, wyrób mi posłuchanie u swego stryja.

— Jutro naturalnie?

— Jak najprędzej.

Xiążę oddalił się w radosnem posłuszeństwie człowieka bez miary zakochanego. Zniknął w pobliskim białym domu, gdzie rzęsisto płonęły światła. Wystawiony dom przez kapitana Kublickiego umyślnie dla króla. Inne dworki naprawione i ozdobione, ile być mogło najlepiej — mimo to zdumiewał fakt, że tu mieści się król ogromnego państwa i magnaci najwięksi w Europie!

Minęło z pół godziny. Noc już. Rozwarły się drzwi z oświetlonej sieni.

Xiążę wyszedł, salutowany przez szyldwachów.

— To niemożliwe! Król zamknął się i konferuje z jakimś djabłem, Littlepage'm. Zresztą ujrzysz go za dwie godziny na zebraniu masońskiem. Król zajęty jest ubiera-

niem się do wieczerzy. Teraz kamerdyner Hoffman zaczyna zapinanie guzików, drugi fagas czeka na przypięcie żabota, trzeci na podanie tabakierki i brylantów! — pozatem są jakieś lafiryndy i rajfurki, jacyś awanturnicy i szpiegujący dyplomaci...

Mówił tonem rozdrażnionym i widać, jak bolało go, że nie mógł Wicie dogodzić.

Pożegnała xięcia milcząc, serdecznym uściskiem ręki i wskoczyła na konia.

Xiążę kazał stangretowi jechać tak, aby na wszelki wypadek biec Wicie z pomocą.

Ciemności wieczorne, gwar tłoczącej się ciżby, ciasne zaułki, a nadewszystko jary przepastne i brak należytego oświetlenia — zakryły Witę wnet. Niepodobna już było zapuszczać się w te mroki.

DIVUS WOLTER!

Xiążę, wracając do swej kwatery, zastał już oczekującego nań u drzwi Patroklesa. — Chmurny rzekł do xięcia Karola, przed którym nie miał żadnych tajemnic:

— Objaśnij mi, Karolu, kim jest ów Littlepage, amerykańczyk, którego tam spotkałem, z którym król teraz i wogóle tak chętnie przebywa?

— Mam ci rzec prawdę?

— Zupełną.

— To szpieg Igelsztroema, — wiem od mego ojca, który, jak wiesz, przyjaźni się i z najlepszą dobrą wiarą adoruje Cesarzową. Z tajemnicy tej jednak nie wolno ci robić żadnego użytku!

— A kim jest Ryx, kamerdyner, bez którego niepodobna uzyskać posłuchania?

— O, to figura jeszcze ważniejsza — do tajnych misyj z damami. Ale o tem wiedzą wszyscy w Warszawie, prócz ciebie.

— A ten jakiś Francuz Reverdil, bibljotekarz króla — to człowiek, któremu król bardzo ufa!...

— Ma zasługi, ale ty, widzę, Józefie, zbyt mało dotąd interesowałeś się zasadniczemi interesami państwa...

Reverdil pojął za żonę tak zwaną La petite... to jest kochankę podrzędną króla i usynowił jej dziecko — za cenę zdwojonej pensji. Ten synek opuszczony, bez opieki — umarł. Wkrótce też król zaproponował Reverdilowi drugie małżeństwo z pułkownikową Dahlke. Teraz biedny Reverdil ma dwie żony, troje dzieci — z tych jedno własne — na osłodę otrzymuje sześć koni i trzy powozy.

— Drwisz, Karolu! Król ma dzieci?

— Ha ha, któż ich nie ma — prócz nas dwóch plato-

ników... Liczmy: z Grabowską troje, to jest kobieta, jak ją znasz, zacna — i zresztą żona morganatyczna; od Cichockiej dwoje, a od innych — nie zliczyć. Wśród wojewodzin, xiężen, hrabin, szlachcianek, aktorek, błyszczą dwie żydówki i jedna młynarka.

Dzieje się tak w każdej monarchji — u nas — za Ludwika XV, w Hiszpanji — do dziś. A w Petersburgu...

— Mówmy o czem innem. Król zajęty rachubami. Wylicza, ile ma pożyczyć od Imperatorowej.

— Naturalnie — odparł, śmiejąc się, Francuz — pożycza Potemkin, Orłow, Zubow, czemużby nie miał pożyczyć i król? A nadto życie w Warszawie staje się drogie, taka baletnica Buonaffini od króla za dwie noce wzięła trzy tysiące dukatów!... Zresztą, małe zastrzeżenie: król, podstarzały, chce obecnie wziąć już wyłącznie na sztyftowanie polskiej armji, aby zagrozić — Turkom! —

Mrok zakrywał twarz xięcia, Francuz przeraziłby się efektem swych słów.

Xiążę, tłumacząc się zmęczeniem, wszedł do swej komnaty.

Legł na łóżku i wpatrywał się w mrok. Nagle, nieświadomie niemal, sięgnął po szablę, wyrwał z pochwy — miał myśl — zabić Littlepage'a, Reverdila, króla samego — ogłosić się wodzem — królem — powołać naród. — Ale pohamował się wnet: niedarmo miał w sobie pół krwi niemieckiej po matce z hrabiów Kińskich, niedarmo służył w armji austrjackiej, gdzie biurokratyzm najbardziej był rozwinięty w Europie — aż sam zdziwił się, że mógł tak bez szacunku pomyśleć o królu! Usterki życia osobistego czyż niweczą majestat tronu? a rewolucję czy mógłby robić xiążę — i Polak? musimy być wierni idei monarchicznej, jacykolwiek są królowie — tak, jak wierni jesteśmy kościołowi, jacykolwiek są xięża i papieże!

Ten bieg myśli wydał mu się właściwy. Zanadto przez ostatni tydzień wiódł życie awanturnicze. Wita jest troszkę — za czerwona — za radykalna! Jeśli zostanie xiężną — musi nieco zmienić swe poglądy apostolskie. — Ale ba, jak to

uczynić? Wspomniała, że jest córką nieprawą — byłoby życie niemożliwe w Wiedniu i bardzo trudne w Warszawie! Małżeństwo wogóle — nie jest to rzecz nęcąca!... Namawiał Witę, nawet głęboko tego pragnął, tam na stepie — ale już tu w Kaniowie musi liczyć się ze względami... Trzeba umysł wprowadzić w właściwy żurnal europejski! — Zapalił tedy świece w kandelabrze i, wołając dyżurnego oficera, kazał się oznajmić Najjaśniejszemu Panu na kolację. — Że jednak było dość czasu, zasiadł do czytania. Nie było pod ręką innych książek prócz Laclos — Les liaisons dangereuses i Woltera kilka tomów. Bez dzieł tego ostatniego żaden szanujący się esprit nie wyruszał w drogę.

Xiążę, znajdujący teraz pewne upodobanie w bezdogmatowości, czytał o Przeznaczeniu:

„Zeus, ważąc losy Achillesa i Hektora, znalazł, że Hektor musi być zabity. Genjusz opiekuńczy Hektora, Apollo, opuścił go...

Świat istnieje albo przez własną naturę i prawa fizyczne, lub też Istota Najwyższa utworzyła go według praw najwyższych. W jednym i drugim wypadku wszystko jest konieczne... — Chiron wychowuje Achillesa, karmi go szpikiem lwa: w przyszłości Achilles będzie wlókł ciało Hektora dokoła murów Troi i zabije dwunastu niewinnych jeńców dla zemsty“...

Xiąże odłożył tomik i zamyślił się.

— Kto jest Hektorem? Polska?... więc się spełni, co spełnić się musi.

Wszedł oficer ordynansowy i oznajmił, że Najjaśniejszy Pan z wielkiem ukontentowaniem dowiedział się o powrocie Jaśnie Oświeconego Xięcia i że za chwilę dadzą już na stół złote bażanty. Ale całe towarzystwo: to jest trzej xiążęta, król i liczne damy czekać będą na Xięcia Pana!

W kilka minut był już w kąpieli i wytarłszy się wodą kolońską, w świeżej batystowej koszuli, w pysznym białym mundurze ze złotemi szamerowaniami — w humorze, jaki dają tylko step, polowanie, nadzieja miłości — i dobrej kolacji, spieszył xiążę do eleganckiego dworku króla jegomości.

III

DWÓR KATARZYNY WIELKIEJ

SATANISTA

Wita w ciemnościach miasteczka jechała, oddawszy się na instynkt konia. Oświecały czasem drogę latarnie przechodniów; w malowniczym chaosie mroku i błyskających światełek można było runąć w jar, lub wjechać na dach domu.

Karety z Iwanhory widocznie dopiero nadjeżdżają — bo oto słychać tętent zdyszanych koni. Łuna kagańców! — Osunęła się Wita w bok przed pędzącymi Kozakami. Kareta zatrzymała się, blask czerwony rozświecił miejsce szeroko przed szkołą bazyljanów. Z karety wyszedł hrabia Kambiłow.

Chciała powitać się, lecz przeżycie dzisiejszego poranku zmroziło jej wiarę w ludzkie przyjaźnie.

Kambiłow był krótkowidzem i nie poznając Wity, naradzał się z dworzaninem, jak wjechać do jaru, który miał sześć pięter — a tam właśnie w dole nad Dnieprem zamieszkali jego krewni — Lanckorońscy.

Wita zmierzyła znowu w ciemności — wtem blask z za niej oświetlił idącego naprzeciw człowieka w płaszczu hiszpańskim i wysokim kapeluszu. Nim zdążyła się cofnąć, d'Arżanow był przy niej.

— Waćpani mnie szuka, choć tego nie uświadamiasz! — ozwał się. —

Gdyby nieboszczyk wstał z grobu, nie tak by przeraził dziewczę, ile ten zimny stalowy głos Wielkiego Kofty.

Skręciła konia pędem w stronę Kambiłowa.

— Nie zamierzam gonić! nie trudź końskich płuc. Wszystko musi dorosnąć do swego przeznaczenia! —

Wita wpadła na oświetlony plac.

Zobaczywszy Witę bladą i drżącą, Kambiłow z serdecznem współczuciem namawiał, aby zamieszkała u pani Lanckorońskiej.

D'Arżanow wyszedł z mroku i uchylił wytwornie kapelusza — twarz o wyniosłem czole i niesłychanie błyszczących, tatarskich skośnych oczach. Rude włosy aż na ramiona spadając, w ogniu kagańców migocą roztopioną lawą. — Tyle godności i dumy, że Witę ogarnął wstyd za ucieczkę.

— Teraz, panie hrabio, musi rozstrzygnąć się zasadniczo, w czyjej sferze wpływu hrabianka ma zostać!? Każ dworzanom swym odsunąć się. Mogliby zaszkodzić sobie, stojąc zbyt blisko mej magnetycznej burzy. —

Na skinienie Kambiłowa dworzanie i Kozacy uczynili krąg światła zdala od karety.

— Hrabio Kambiłow, obydwa jesteśmy „Synami Wdowy", a rozpocząłeś ze mną walkę.

— Jestem Różokrzyżowiec.

— Jam z Kosmicznej Aurory.

— Swedenborg, w którego loży pracujesz panie d'Arżanow — nie miał nic wspólnego ani z Cagliostrem, ani z rozbójnikami hiszpańskimi — Gardunas, którzy pomagają inkwizycji, porywają kobiety i fałszują dokumenty!

— To są oszczerstwa, jeśli wymierzone ku mnie!

— Dlatego właśnie nie dosięgają ani połowy rzeczywistości.

— Być może, lecz połowa prawdy jest zawsze kłamstwem. — Niech waćpani sama rozstrzyga, cóż może jej udzielić mój szanowny przeciwnik?

— Wiedzy Chrystusowej! — odrzekła.

Zmarszczył brwi d'Arżanow.

— Tak, ja nie kwapię się do niewiniątek w Betleem. Lecz oto za chwilę ruszam do Kijowa. Tej nocy przebiegnę stodwadzieścia wiorst, jutro w Ławrze ukażę dwór Monarchini, od której zależy „To be, or not to be" narodu polskiego.

— Naród polski, jak i żaden naród nie może być zniweczony przez niełaskę xiężniczki Cerbskiej — ozwała się Wita.

— Tej niema już od zamachu Orłowa na Piotra III! Jest Katarzyna II i potęga Rosji, kierowana przez jedną

wolę. Chrystusowe tchnienia tu nic nie pomogą. Kto chce marzeń w gnuśnym wypoczynku albo męczeńskich stygmatów — niech idzie się modlić. Kto chce walczyć o prawa swego narodu, ja mu pokażę świat w jego realności! — Wpływy me przy dworze Imperatorowej oddam na twe usługi. — Pojazd mój nadjeżdża, wybieraj waćpani!

— Rano i ja wyruszę do Kijowa! — zawołał Kambiłow.

— Nie narażaj się pani na zbyt jawne niebezpieczeństwo! —

Wymówił to z szczególnym dźwiękiem proroczym. Lecz d'Arżanow przyjął uśmiechem wyższości.

— Niebezpieczeństwo? Tak, zaiste, odwieczne i wspaniałe, rzucone na wyzew wielkim buntownikom! Eritis sicut dei!...

Trudny wybór! Serce Wity szło za Kambiłowem; wszystko nieświadome w niej, cały okultyczny podkład jej duszy grawituje w stronę d'Arżanowa!...

— Do jutra wstrzymaj się, panno Wito, wypocznij, zdążymy zrobić więcej przy siłach Bożych, niż przy gwałtownem szturmowaniu mocą pychy. Zresztą pan d'Arżanow wzywał tu na zebrania masońskie, a sam wyjeżdża! Czy to nie jest też dziwne? I podejrzane?

— Tej nocy udadzą się twe zamiary lub nigdy — zawołał d'Arżanow, nie odpowiadając hrabiemu. — Hrabia Kambiłow, nie zajmując się astrologją, nie przypuszcza, iż są momenty niepowrotne, jedynie uzdalniające do zwycięstw. Tej nocy poznasz arkana Wiedzy Radosnej, jutro ujrzysz Rosję od wyżyn tronu do postaci nizinnych, jak Wańka Kain, lub xiążę Dołgorukij. — Zajeżdżać! —

Błysnęło nowe światło, tak potężne, że kagańce Kambiłowa zdały się tylko wydawać ze siebie dym. Trójka czarnych rumaków z grzywami do kolan. Latarnia, umieszczona przy dyszlu — rzucała feeryczne modre światło. Wehikuł z kształtu podobny do karawana czy wschodniej pagody. Okna kryształowe i zasunięte żaluzje. Jakby z pieca alchemicznego wydzierał się czerwony blask — iskry lecą przez komin i dym.

Nie było konnych drabantów, tylko stangret i uzbrojony hajduk.

Wita powzięła decyzję, miała wszakże lat dziewiętnaście i głowę pełną poezji!...

Uścisnęła rękę Kambiłowa.

— W Kijowie czekam cię, zacny panie — razem zwiedzimy pieczary świętych Antoniego i Teodozja, razem zapalimy ognie na górach, gdzie był świt chrześcijańskiej słowiańszczyzny. Ale teraz czuję, że mi spieszno stanąć w Kijowie, gdyż tam jest węzeł gordyjski naszych spraw. Za wszystko tak nadzwyczajnie dobre, dzięki ci, hrabio. Będę szukała cię i wkrótce znajdę. —

Kambiłow milczał już i milcząc krzyż uczynił błogosławiący nad Witą. Wargi jego szeptały modlitwę.

Wita zauważyła ruch ust modlących się za nią i była wzruszona do łez. Nieznacznie wsunął jej w rękę małą flaszeczkę.

— Gdyby zmuszono cię wypić jaki eliksir, zamień na tę flaszeczkę... ona ci da siłę przeciwsenną. —

Stało się to niezauważenie przed d'Arżanowem, właśnie gdy Wita podeszła do masztalerza, prosząc, aby zajął się jej koniem. Uwiązano go luzem, lecz przy olbrzymich szrajrach wyglądał jak źrebak.

Kambiłow rzekł na odchodnem do d'Arżanowa:

— Parol daj kawalera, że nie uczynisz jej krzywdy!

— Rozchodzą się nasze pojęcia o krzywdzie i o dobrem — odparł tamten zimno. — Krzywdą dla życia jest według mnie istnienie takich jak pan — niepotrzebnych świętych. Jestem z rodu lwów, smoków, czarodziejów, a czynię zło — bo tak chcę!

— Powinienbym jak Mojżesz — prosić Boga, aby pod tobą rozstąpiła się ziemia! —

Ostry, wyzywający śmiech był mu odpowiedzią. Gwałtownie ruszył pojazd, jakby ziemia nagle zaczęła obrywać się z pod kół.

Witę wstrząsnęło triumfujące, dumne zachowanie d'Arżanowa. Było w nim tyle luciferycznej pychy i tyle urągowiska dla wiary Kambiłowa, że teraz dopiero oceniła, w czyim ręku znajduje się! Należy jak szatana strzec

się d'Arżanowa! Gdyby nie miłość do xięcia — musiałaby uznać, że d'Arżanow jest jedynym człowiekiem, który na nią czyni wrażenie.

Rozglądała się. Pojazd miał trzy przegrody: maleńki westibul, gdzie składano walizy podróżne i stała umywalnia — dalej komnatka, wyłożona dywanem i makatami. Nakryty futrem niedźwiedziem hamak służy za posłanie, miękkie tureckie poduszki dają możność układać się na podłodze w pozie najwygodniejszej.

Fosforyzująca kryształowa kula rozświeca modrym blaskiem. Nie odczuwa się tu trzęsień, rytmiczne kołysanie, jakby łodzi pędzącej po morzu, daje znać, iż pojazd jest w natężonym biegu.

Chcąc roztworzyć żaluzję, Wita pociągnęła sznur i ujrzała rozwierający się dach skórzany, a nad nim ugwieżdżone niebo.

Tak podróżując, można było bez przykrości spalać ogromne przestrzenie.

Gdzie d'Arżanow? Podeszła do drzwi, lecz były hermetycznie zamknięte.

Stanęła w hamaku, górując nad dachem karety. W przedziale d'Arżanowa było też górne okno rozwarte. Nachyliła się i przy pomocy lusterka ujrzała, jak zamyślony kreślił jakieś rachunki, patrząc na zegar i sprawdzając z mapą nieba.

Więc niema tu narzędzi tortur? Poprostu gabinet uczonego okultysty!

Ułożyła się w hamaku, zakryła tkaniną kulę fosforyzującą i w ciemnościach, patrząc w niebo, leżała — wypoczywając tak wygodnie, jakby nie w podróżnej trzęsącej się karecie, ale nad brzegiem morza była w zacisznej willi. Mignęły światła, głos oberżysty, ale nie zmieniano zaprzęgu. Znowu pędzili wśród nocy, rozświetlanej modrem jarzeniem latarni.

Wita już zupełnie zapomniała, że jest ktoś jeszcze obok, gdy ozwał się szept d'Arżanowa i dziwne, złowieszcze syczenie. Wspięła się — i korzystając, że d'Arżanow zanie-

dbał opuścić zasłonę dachu, ujrzała zjawisko nadzwyczajne. Stał przed ołtarzykiem, z którego była odchylona zakrywająca go żelazna blacha.

Malowidło bogini indyjskiej — twarz lazurowa z pręgami żółtemi. Jej wzrok dziki, rozpuszczone włosy szczeciniaste — pawi ogon, przepleciony wężami. Usta purpurowe, zalane krwią i kły. Dziesięć rąk. w nich oręż lub zdarte z kadłuba głowy. Dokoła symboliczne postacie huraganu i dżumy.

D'Arżanow w burnusie wschodnim stoi w pozie modlącego się. Dwie żmije karmi z miseczki. — Żmije wsunęły się nazad do szuflady pod ołtarzykiem na jego cichy świst.

Zrzucił z siebie burnus, ukazał bronzowe silne kształty. Ramiona szerokie i trójkątna pierś zdradzały niebywałą siłę.

Zakręcił śrubę — z niszy nad ołtarzem zaczął wylatywać huragan drobnych iskier. D'Arżanow zakręcał czasem, to znów nastawiał szklane rękojeści. Wchłaniał namagnetyzowane ogniem powietrze i choć był młody, piękny — teraz zdał się mieć lazurowiejące ciało boga o miedzianych włosach i szczególnem tatuowaniu na czole; półksiężycowy znak, dwie linje prostopadłe i punkt pośrodku.

Wszystko było tak dziwne, że Wita nie zauważa już ani nagości, ani niebezpieczeństwa.

Wtem nagle zrobił głową ruch witający.

Przebóg, zauważył jej odbicie w lustrze!

Łuna wstydu, a i strach przebiegł Witę, cofnęła się natychmiast, legła w hamaku i zakryła żaluzję nad sobą.

Milczenie długie, cisza.

Drzwi rozchyliły się. Wszedł d'Arżanow znowu w białym burnusie:

— Nie spodziewałem się takiej zręczności i odwagi, szczerze gratuluję! —

Wita milczała, dając znak, że pragnęłaby zasnąć.

D'Arżanow rozłożył poduszki, siadł na nich i zaczął palić kaljan opjumiczny z kryształowej butli, zakrytej maurytańskim złotym oplotem.

— Wypoczynek zupełny obiecuję pani, lecz wprzódy posłuchaj uważnie tego, co może ci się przydać. Widziałaś boginię Kali. Według legendy wyszła ona ze źrenic Sziwy, tego, który w Indjach odpowiada naszemu szatanowi. Rządzi huraganem, zniszczeniem i morem. Ma swą świątynię i wiernych, którzy nazywają się thugowie. Ci karmią boginię morderstwami. Jeden starzec thug zabił 999 ludzi, nie chciał doprowadzać do banalnie okrągłej cyfry i zatrzymał się na tej liczbie. Indje wrą, jak tego dowiódł walczący Ram Sing. Abdul Wagab, obecnie umierający — założył sektę, zawojował nią Mekkę i całą Arabję — wagabici doszli aż do Indyj. Grożą wypędzeniem Anglików. Pora sposobna, aby się pojawił genjusz wszechświatowy — ktoś większy niż Cezar, ktoś mężniejszy niż Aleksander — i podał rękę wyzwalającej się najwyższej kulturze. Nie ukrywam przed tobą — wiedząc, iż będziesz adeptem mojej religji! Jestem godny zająć to najwyższe stanowisko świata: Rex sacrificulus, król ofiarnik. Bóstwem mem nie jest tępy fetysz Jehowa — ani jego syn. Muszę oczyścić miejsce dla mego bóstwa. Czynię to w imieniu bogini Kali. Mam na swe rozporządzenie tysiące rąk — tysiące ludzi, którzy z niesłychaną odwagą i zręcznością idą, gotowi na wszystko...

Znak maharadży na mem czole — występuje przy natarciu sokiem rośliny soma.

Teraz będę ci mówił najwyższemi walorami, racz nie być przez ten czas ani dziewicą Polką, ani cnotliwą marzycielką à la pucelle! — Jedynie mądrą, wizyjną, szaloną — aż do ekstazy!

Tajemnica nocy okrywa zapłodnienie, gdy powstaje nowy byt. Tajemnica okrywa tysiące stowarzyszeń, które wulkanizują w łonie starej ludzkości, chcąc uczynić ją młodą, świetną, wolną, luciferyczną... Nie wszystkie stowarzyszenia mają zasady wyższe. Są bandy szczurów ludzkich, podlejszych niż sama podłość. Wszystko jednak razem tworzy giganta, cyklopa rewolucji, która wybuchnie lada chwila — choć teraz niewinnie jeszcze wojuje z królem w Paryżu o prawa dla mieszczan.

Jestem poczęści, a chcę być w zupełności królem tych płomieni. Ignis ubique latet, naturam aplecitur omnem. Cuncta parit, renovat, dividit, urit, alit; to znaczy: ogień wypełnia naturę, skrywając się sam, wszystko zdobi, odnawia, rozłącza, spala i karmi.

Tworzy się w ten sposób historja i misterjum. What is hits — is history, and what is mist — is mystery... co jest na zewnątrz — jest historją, co ukrywa się — stanowi misterjum.

Zarzucał mi Kambiłow, że w związku jestem z Cagliostrem. — Muszę mieć za parawan błaznów, aby nie zauważyli groźnych oczu mojego Sziwy. Drwię z tych starych sposobów, któremi Cagliostro wyłudzał poczciwe żółte krążki z kieszeni łatwowiernych. — Prima materia, tudzież kamień filozoficzny, który daje młodość i nieśmiertelność, są symbolami mojego luciferyzmu. Zato wszelkie cnoty zostawiam w tych regjonach, gdzie rządzi św. Piotr kluczykami niebieskiemi. A trójkąt, który przywraca niewinność pierwotną — jest mi o tyle nieobojętny, że lubię na jego tle wieczystą rzekę Grzechu.

Obiecywał Cagliostro, że po dniach czterdziestu rozmowy z siedmiu aniołami pacjenci jego dostaną ów trójkąt i odrodzą się na 5557 lat, potem do nieba wzlecą!

Biedny Cagliostro, siedzi teraz w straszliwych lochach zamku św. Anioła w Rzymie — i czeka aż będę miał czas wypuścić go, jak właściciel Sanczeza Pansy i Sganarella w jednej osobie!... — Wypuściłbym go, gdyby zgodził się być mi sprytnym i wiernym sługą. Ale zbyt zakosztował rozkoszy władzy. Zresztą, odkąd zdradziła go piękna Lorenza — nikt nie zechce wpaść w sidła tego brzydala, grubasa i prostaka.

— Na co ja mogę być waćpanu użyteczną? — spytała Wita, chcąc przyspieszyć moment starcia krzemienia ze stalą, który rzuca iskrę ostatecznych wyjaśnień.

— Nurek w skafandrze zapadający w głąb morza po najcudniejszą perłę — musi mieć kogoś bezwzględnie pewnego, kto w danym momencie wyciągnie go na powierzchnię. Jeśli ten go zdradzi, okropną śmiercią nurek zginie,

mając podeszwy z ołowiu — i będąc sam wśród rekinów! — Zanurzam się w głębiny życia, szukając mocy najwyższej. Grozi mi obłęd, szalona nostalgja i wstręt do życia... Nie mając przy sobie tej, która będzie mą Izydą, Dżiokondą i Heleną — nie będę mógł stać się Ozirisem, Lionardem da Vinci, Faustem. Jeśli nie znajdę miłości najwyższej — zostanę jakimś starcem gór w Europie współczesnej, niby wódz Assassinów, który rzucał postrach na krzyżowców... Wola luciferyczna znajduje siebie w Pustyni Swiata, ale wyrazić się może tylko przez Biegun i Antytezę w Miłości Najwyższej.

Nie odpowiadaj nic, w niczem nie zaprzeczaj. Mówiąc szczerze, jestem dumny z dotychczasowych zdobyczy w sercu twem. Słuchaj!

Część serca mego jest wulkaniczna, jak płynący potok lawy — lecz druga jest górą śnieżną na biegunie ziemnym. Przez tę krainę mroczną, zimną, pustynną — gdzie tylko demony czasem w huraganie burzy przelatują — pędzi potok z rubinów roztopionych — — z groźnych ogni tworzących serce ziemi...

Nazewnątrz mam oponę ze stali i ciebie za ten mur chcę przeprowadzić.

Należę również do stowarzyszenia Serca Jezusowego.

Zadrżałaś? Tak, przebyłem wtajemniczenia Czarnej Komnaty jezuitów!...

W półmroku czerepy i kości, tam każą modlić się. Nagle dwa archanioły dały mi krzyż, odzież mą rzuciły w ogień, okrywając mię czerwonem suknem.

Bracia jezuici stali nade mną, skrzyżowawszy kindżały. Na dywanie leżąc, wysłuchiwałem ich długich modlitw. Ogień wybuchał z czeluści piekielnych, nade mną muzyka rajska na organach, wdali długi pochód szkieletów i aniołów. Obiecali mi swą wiedzę, swe wpływy i swą pomoc.

Tedy złożyłem klątwę, że im oddam wielką usługę — i że jezuici prześladowani w świecie, w Rosji się ostoją. Wziąłem sztylet, na wypadek gdybym musiał nim działać lub przeciw sobie zwrócić. Sztylet ten znalazłem w pudełku,

zaś na wierzchu był emaljowany Baranek. Okropiono mię wodą święconą. A gdym dokonał wielkiej sztuki, iż w Połocku stanęła ich Akademja — Czarny Internacjonał wspomaga mię i wspomagać musi. —

Zerwała się Wita z rozszerzonemi źrenicami.

— Dlaczego mię skazujesz na śmierć?

— Niespodziany wniosek!

— Tylko skazańcom mówi się tak głębokie i straszne tajemnice...

Tych, którzy wykopują skarby — zabija się, aby nie zdradzili.

— Nie zdradzisz mię — będziemy się miłować od bieguna w piekle do bieguna w niebiosach... Wykażesz mi moc, którą poznałem na wyspie Taiti wśród Aveoitów, gdyśmy czcili siły słońca. W Ameryce przyjmowałem święcenia Chuzeanawer w Wirginji; u Indjan dzikich O-ki-pa w Chacie Wyleczenia i próbę tortur. Mam odtąd braci mych i tam... I w Heteviach greckich i u Karbonarów italskich... W Irlandji, gdzie pała najsroższa nienawiść katolików i protestantów, należę zarówno do Stalowych Serc (Hearts of Steel) jak i do Młotników-treszerów.

Kiedy wraz z Break of day boys tworzyłem o świcie różne awantury katolikom, wchodziłem między Chłopców świętego Patryka, którzy na nich się mścili.

Teraz żądam od ciebie jedynie głębszego milczenia, wsłuchania się i posłuszeństwa. Przebierz się za mężczyznę. Najpierw, to ci da możność łatwiejszego ukrycia. Wtóre, zwrócisz na siebie uwagę Semiramidy. Trzeba jej ciało wyrwać ze szponów rozpusty, zwrócić ku magnetyzmom duchowym. Jestem jeszcze zbyt zmysłowy, abym mógł tego się podjąć. Więc musisz udać greckiego markiza Kornaro i być wraz Don Żuanem i Magiem, i na progu dwóch płci — Androgynem! Wejdź teraz za te drzwi. Wybrany dla ciebie strój w szafie. Włosy długie przytnij lub zwiąż w siatkę. Ale musisz zmienić też i swą polaryzację niewieścią. Wypij ten eliksir we flakoniku. Poznali uczeni nie-

dawno pewną siłę w chmurach, od niej zginął przyjaciel Łomonosowa — profesor Riman...

Głębszych przejawów elektryczności żywej nauczył mię Mesmer, a nadewszystko — fakir, który przez Tybet zawędrował do Moskwy. On, mając ręce wciąż wzniesione do góry, wrócił pieszo w ten sam sposób zpowrotem. —

Wita odłożyła flakonik na stronę. Zmarszczył się.

— Truć nie potrzebuję, bo walka między nami zawsze będzie zbyt nierówna. Znam sysknoj prikaz przy cerkwi Wasilja Błażennawo w Moskwie — — — gdyby tak zaczęli badać markiza — —

— Chcesz waćpan straszyć mię? — to napróżno — jedynie utracisz ten podziw, jaki dla twej genjalności mieć mogłam. —

D'Arżanow wziąwszy ręce jej, przycisnął do ust.

— Wyznałbym wtedy uroczyście: musisz zginąć.

— Czy stać waćpana na dumę szczerości?

— Teraz — chętnie.

— Czemu rozdzieliłeś mą istotę i wiozłeś mego sobowtóra nocy obłędnej tam nad Czortow Ostrow? —

Wzrok Arżanowa stał się przeszywający — płonął, jak ognisko kowalskie rozdymane miechami.

— Nakazuję ci o tem zapomnieć! —

Wita milcząc, przeszła do sąsiedniej komnatki. Zasunęła drzwi.

Znalazła wszystko potrzebne — zapalone świece, lustro, ubranie.

Zmieniła nawet bieliznę, gdyż kobieca byłaby już niewygodna. Buty do kolan z czarnego marokinu, jedwabny czarny kostjum z szerokim haftowanym Welaskezowskim kołnierzem. Włosy swe bujne przycięła do ramion i przyfryzowała pukle. Szpada czarna z rękojeścią wysadzaną rubinami na czarnym pendencie. Maltański purpurowy krzyż, wyszyty na piersi i beret aksamitny, z takiemże strusiem piórem. — Dokumenty, potwierdzające osobę markiza Gwidona Kornaro, potomka królowej Katarzyny Cypryjskiej.

— Włosy ci łatwo odrosną, gdy przyjdzie ci znowu być Wenus Anadiomeną — ozwał się d'Arżanow, widzący ją przez zamknięte drzwi. —

— O tak.

— Teraz wyglądasz, jak na obrazach Bronzina, przykuwający uwagę Un giovane ignoto...

Wita uczuła iskry elektryczne, choć włosów jej dotykał słowami wszak tylko — — prawie zaczęła mdleć od rozkosznego bezwładu. Głos d'Arżanowa spokojny, głęboko przyjazny, ale rozkazujący, ocucił ją.

— Wypij eliksir! —

Drzwi rozchyliły się — stał przed nią — może chciał sprawdzić? Wyciągnęła rękę po zielony płyn.

— Na mym honorze polegaj, jak na Rycerzu Zawiszy.

Fałsz tego porównania ostrzegł ją, jak ostrzega grzechotnik szelestem ogona.

— Ogarnie cię narazie majowy sen — kropla ognista posączy się po twem wnętrzu, serce twe, bijąc silnie, uczuje radość niezmierzoną...

Wita wzięła nieznacznie flaszeczkę Kambiłowa do ust i wypiła zawartość krysztalika, tamten chowając do rękawa.

— Kawalerze maltański, pochodzisz z Cypru, twój ród królewski zapomniany Kornarów. Przychodzisz do Rosji upominać się o uciśnioną Helladę. Mówisz jedynie po włosku i francusku. (To wielkie szczęście, że u xiążąt Lubomirskich — w rodzie twej matki — miałaś sposobność nauczyć się włoskiego.) Markizie Gwidonie Kornaro, obcym jesteś w tych krajach i nie wiesz nic o Polsce! Mów dużo o Temistoklesie, o trzystu Spartanach, o przemianie Zeusa w obłok złotego dżdżu lub w łabędzia... Nawołuj do walki z Turcją, używaj świętego fanatyzmu!...

— Będzie to kłamstwem z mej strony... Czy nie wystarczy, gdy będę milczeć i przyglądać się?

— Kłamstwem jest życie, iluzją bezmierną, Mają! To stanowi podstawę Wiedzy Radosnej, bo oszukiwani — możemy też oszukiwać, łudzeni — możemy łudzić!

Zresztą, sama twórz, improwizuj na kanwie, którą ja poddam...

Wypal w sobie kratery mistyczne, poznając — iż tylko ty ze mną, a ja w tobie utworzymy Most Boskości.

— Nigdy! — chciało się wydrzeć z piersi Wity zaprzeczenie, ale ostrożność nakazała jej skryć uczucia.

D'Arżanow wyciągnął nad nią rękę władczym gestem. Uczuła nagłe tak silne wiry i kręgi przed oczyma, że gdyby nie dłoń d'Arżanowa, upadłaby na ziemię.

Otulił ją w cienką wielbłądzią tkaninę, zaniósł do hamaku i złożywszy tam, patrzył.

Oczy jego rozwarły się szeroko, jak u tygrysa tropiącego zdobycz, twarz nabrała okrutnego upojenia.

— Moja na wieki! Winienbym spełnić już teraz obrządek jagmi, jaki czynią thugowie po zabójstwie. Moja — na wieki! Słyszycie wy, potęgi, chroniące ją dotąd?! Znalazłem Semelę godną mojego pioruna — uczynię z niej Messalinę okultyzmu. A ciebie ukrzyżuję na nowej Golgocie — i osiągnę zwycięstwo nad Tobą — — Synu Cieśli! —

Trwało długie milczenie — magnetyzował ją wzrokiem, rękę jedną przyłożył do czoła, drugą złożył na splot słoneczny.

Wita głęboko westchnęła.

— Zapamiętaj co mówię, markizie Kornaro.

NOWE KOMBINACJE

Xiążę na kolacji u króla bawił się tak i siak, za powrotem jednak do swej izby uczuł źrącą tęsknotę.

Damy owoczesne chętnie brały maskę i nawet naturę swawolnej Lesbji, pani Dubarry, utrzymanki Ludwika XV lub andaluzyjskich cyganek.

Uczta ze starym rozpustnikiem przekonała go, iż może liczyć jeszcze na swą godność i wewnętrzny ogień ideału. Mimo bowiem pięknych obnażonych ramion — nie szeptał pasterkom salonowym o miłości, mimo zachęty króla — nie wybierał sobie z xiężen i wojewodzin na jedną noc hurysy. Wrócił samotny i pełen woli, aby Witę jutro odszukać i z nią iść przez życie, śpiewając najgłębszej radości istnienia — hymn!

Wstał wcześnie i wysłał sześciu Kozaków, aby przepytali w oberżach i domach prywatnych, czy nie zajechała pani samotna na kasztanowatym wierzchowcu?

Kozacy wrócili po godzinie z wieścią, iż takiej nikt nie widział nigdzie — jeno przy wjeździe wczorajszej nocy na rogatce.

Markotny obchodzi miasteczko.

Wstąpił do kościoła, w którym pomimo rannej godziny było wiele osób, zamyślił się skruszony i pełen łez.

Modlić się nie umiał i nie pragnął, ale uczuł mrok wewnętrzny, a w tym mroku obecność ducha. Był-że to Bóg, zaprzeczany przez Woltera i rozum? Czy emanacja własnej osobowości wyższej i potężniejszej niż to, co przechodzi z niej do naszej wiedzy? Poznał jakby przy błyskawicy, iż z poza tej powierzchni wrażeń wyjrzała nań jakaś Twarz...

Przed ołtarzem klęczy Brutus, ubrany do drogi. W bocznej ławce siedzi podkomorzy. Przy filarze, wpatrzona z wyrazem niewysłowionej boleści, podkomorzyna.

Xiądz bazyljanin Trocki odprawiał mszę, gdyż podówczas kościół i cerkiew unicka tworzyły jedno.

Widać spieszno podkomorzemu, a może niewyspany po uczcie króla, bo dał znak do wyjścia żonie. Wychodzi jak posąg smutku. Nieświadomym tknięty przeczuciem wzniósł xiąże oczy — wzrok ich się spotkał. O podkomorzynie wiele słyszał i radby ją poznał. Msza przejęła go mocą i determinacją poddać osobiste uczucia najpotężniejszej sprawie ojczyzny. Na dworze podszedł doń nieznany mu brunet przy szabli i w węgierce, która uwydatniała jego atletyczną budowę.

Przejęty modlitwą, czy może kogoś najmilszego żegnał — dość, że słowa mu więzły w gardle, a wzrok rozpalony i czarna otoka przy oczach świadczyły o pożerającej go męce.

— Mimo że nieznany — czem jednak są względy —? Fatum rządzi — niech xiążę raczy spełnić puhar swej goryczy — to jest poprostu kręci mi się w mózgu!....

— Waćpan zapewne w jakiej ważnej sprawie — z kimże mam honor?

— Nazwiska mówić nie chcę — zwą mnie zaledwo Brutus — lecz oto sprawa: zachorował jeden Rosjanin, wyczułem w nim wielkie wrażliwe serce — ależ oni już odjeżdżają — żegnam! —

To rzekłszy, podbiegł w stronę kolasy, w której umieścił się podkomorzy, a żona, postawiwszy nogę na stopniu, poprawiała trzewik, zbyt może zwlekając —

Krótkich parę słów z podkomorzyną — ta ofuknąwszy Brutusa, podchodzi prosto do xięcia.

— Wybacz, mości xiążę, brak etykiety. Hrabia Kambiłow jechać miał do Kijowa, gdy dostał ataku sercowego. Musi leżeć w spokojności. Otóż wezwał lekarza Francuza, który zarazem jest fryzjerem. Dość, że mi ten M-r Perroquet przyniósł wieść, że nocą Wielki Kofta wywiózł do Kijowa samotną pannę.

— Wita?!

— Lękam się, że ona!...

— Natychmiast sprawdzę u Kambiłowa!...

— Potrzebuje absolutnej ciszy. Mogę xięcia upewnić, że to jest Wita, bo poznałem ją z opisu, niestety!...

— Fatalność — — kareta zepsuta — mogę wziąć od króla, lecz koni nie mam rozstawionych — dojadę jutro na noc najwcześniej!

— Panie podkomorzy, xiążę pan cię wzywa!

— Ależ pani podkomorzyno — jakżebym śmiał — ja podejdę do powozu — tak poważny obywatel...

Podkomorzy, wysoki jegomość z bakenbardami i twarzą najsuchszego biurokraty, szedł już drepcąc, a raczej lecąc, dreptał.

— Mam nieskończony zaszczyt, przypomnieć się xięciu panu z wczorajszego u Najjaśniejszego Pana bankietu!

— Xiążę zaszczyca nas przyjęciem miejsca w powozie!

— Nieskończenie — tout à fait infiniment — jestem rad. Prócz kolasy mam faeton — mogę oddać do rozporządzenia z końmi, szorami i stangretem!

— Lecz xiążę nie jest sam —

— Owszem — zaczął xiążę — nie mogący się połapać w tej grze.

— W nadzwyczaj ważnej misji pragnie wysłać, jako swego adjutanta pana Brutusa za Kijów — zatem ty mężu dobrodzieju siadaj z nauczycielem i panem Brutusem do faetonu, a my z xięciem w kolasie. Będziemy się zmieniali w drodze. Ordynans xięcia na koźle.

— Nieskończenie szczęśliwy z tej konjunkcji wydarzeń — optimae atque jucundae fortunae — wystawiam w mem sercu statuę, zatem, tuszę, razem będziemy na balu u xięcia Potemkina? Na każdej stacji zawczasu postawiłem już trzy dni temu po dwadzieścia koni, ale to koń w konia! — U mnie wszystko acuratissime — mająteczek mam przedni pod Korsuniem — bardzo niczego pod Kijowem — a pono najlepszy na Podolu przy Bracławiu. Ot — mała fortunka szlachecka. Jednak po żonie schedy nie wziąłem, czem się szczycę: omnia mea a me... Mimo, że w dzisiejszych materjalistycznych fluktuacjach —

— Xiążę musi wziąć broń i swą walizę! Hajducy Petro i Stepan za jasnym kniaziem — ty, mój małżonku — jeszcze masz pożegnać się z xiędzem Trockim! —

Energiczna podkomorzyna nadała kierunek tak szybki sprawom, ze w kilka minut xiążę, zabrawszy broń, pieniądze i kazawszy ordynansowi zapakować do kufra balowy i etykietalny strój, oraz mundur paradny — siedział już przy podkomorzynie.

Miała przedtem krótką sam na sam rozmowę z Brutusem, po której młodzian jechał iście jak statua optimae atque jucundae fortunae szczęśliwy i uśmiechnięty z równie, a przynajmniej na swój, sposób z zaszczytu cieszącym się podkomorzym. Tylko nauczyciel, młody o surowej twarzy jakobin, wejrzał na xięcia bardzo złowieszczo.

Xiążę był rad, że nie jedzie z figurantem w orderach, ani z dzikim demokratą, którego przedstawiła podkomorzyna jako przyszłego polskiego Sawonarolę.

W podkomorzynie wyczuwał dramat utajony, a jej energja, bystrość i bezwzględność wprost mu imponowały.

Do króla nie zdążył napisać, zostawił jeno kartkę do Karola, który był jeszcze w wiszących nad ziemią ogrodach Morfeusza.

LEGENDA PÓŁNOCY

Osiemnastego januara tegoż 1787 wyjechał z Petersburga świetny kondukt.

Imperatorowa chciała obejrzeć gubernje zabrane Polsce i prowincje rządzone przez Potemkina, zarazem uwierzyć we własną potęgę, przygotować się do nowej wojny z Turcją o zabrany Krym.

Czternaście karet, a raczej pałaców na płozach, sto sześćdziesiąt cztery sań odkrytych. Na każdej stacji czeka pięćset sześćdziesiąt koni.

Mróz 17 stopni nie dał się odczuwać, bo ubrania futrzane, a na tem niedźwiedzie szuby i sobole czapki.

Co siedemdziesiąt dwie wiorsty, domy urządzone dla noclegu. Jechaliśmy przez lasy szronem okryte, wśród wiekowych jodeł. Dniem tęczują brylantowe szrężogi, po naszemu — inieje; nocami jechaliśmy wśród zapalonych stosów modrzewiowych i beczek smoły.

Wszędzie bogactwa kraju — na Wołdze tyle ryby, że za trzydzieści pięć kopiejek najada się sto dwadzieścia osób samemi sterletami. Mimo tej taniości przepych taki, że zbudowanie dwóch stacyj w Liwonji kosztowało czterdzieści pięć tysięcy rubli.

Przyłączają się dygnitarze i wojska, nim dojedziemy do Krymu będzie w tym triumfalnym pochodzie Imperatorowej — kilkadziesiąt tysięcy świty.

Kto widział kiedy przepych podobny, potęgę równą? Ani czasy Semiramidy i Augusta rzymskiego, ani monarchja Karola Wielkiego i Elżbiety angielskiej nie miały nic równego.

Wiedzie nas rozum wyzwolony i najostrzejszy postęp. Wolter, Diderot, d'Alembert ukorzyli się przed bystrością Katarzyny.

Energja rozkiełzana, trzymana na żelaznym łańcuchu.

Wielki demokratyzm rosyjski rwie się przeciw szlachcie waszej — — zbudzony do życia przez kilku rosyjskich arystokratów, rozumiejących ducha epoki.

Jest w naszej Rosji to, co było w Polakach niegdyś w wieku XVI — impet olbrzymi życia. Niegdyś przelatywaliście na Morze Białe, aż po Astrachań — w kilka tysięcy towarzyszów. Dziś — wy poślednie umysły, pasterze w buduarach, despoci przy ekonomie, naiwni władcy przy faktorujących żydkach... Gdzie macie takich wodzów, jak Suworow? Administratorów tak nagle budujących miasta i porty — jak Potemkin? Takich polityków jak Panin, Bezborodko? Admirałów jak Orłow, Cziczagow? — Mówią wprawdzie, że to szyldy, za nimi są Greigh i Elfiston!... Ale sztuką wodzów jest znaleźć pomocników: nasza wola i nasz rozum dają im pole do czynu. Mieliśmy kowala Demidowa, który na Uralu osiągnął miljonowe dochody z kopalń złota i platyny, a syn jego wozi już okrętami zabytki sztuki z Włoch do Petersburga. Roi się Moskwa od świetnych bogaczy, którzy mają najrzadsze kolekcje i oddają skarby swe na uniwersytet i domy wychowawcze. My płyniemy wodospadem olbrzymim, wy — zostajecie gnijącą sadzawką, nad którą pan podstoli wybudował swe przyjemne Łazienki i Królikarnię... My jesteśmy morzem — z drogi nam, lub z nami, bo nasz przypływ zmusi was iść wstecz! Nędzny król jedzie tu pożyczać dwieście tysięcy dukatów — na sprzączkę do przytrzymania korony, która mu ledwo się trzyma i którą zdobył — ani z soli, ani z roli. — Wkrótce przed Monarchinią staniesz, o której wyuzdaniu krąży tysiące anegdot.

Ta kobieta jest odważna — żyje tak, jak chciałyby wszystkie, lecz nie śmią.

Umie być sprawiedliwa. Broni Suworowa przed wszechwładnym Potemkinem. Każdemu daje swobodę — nawet w jego pasjach.

Mężczyźni ją kochają — bo pozwala im na wszystko, a żąda tylko — służenia Państwu.

Ma tysiące filarów, jak meczet w Kordobie.

Od woli jej zależy los twej ojczyzny — tak pomiatanej, że generałowie nasi obrażają się, gdy ich wysyłać na wojnę przeciw Polakom. Kiedy Sztakelberg, jeden z naszych tysięcy urzędników — jest w sali waszego Zamku, do niego podchodzą posłowie — nie do króla. Kiedy Repnin spóźnił się raz do teatru i było już po pierwszym akcie, rozgniewany, że król na niego nie czekał — rozkazał opuścić kurtynę i rozpocząć grę na nowo.

Polska twoja ma śmiesznych żołnierzy, bufonowatych magnatów i ciemnych obywateli, wierzących w Częstochowską.

Lalka, mizdrząca się na tronie, winnaby z Bacciarellim założyć dom schadzek, z Naruszewiczem lamus archeologicznych gratów, ze swą Lully — dom tańców, jak mu to zresztą radził już Repnin!

Polska twa u stóp Rosji.

Więc — u stóp moich — rozumiesz? —

Wita męczyła się niewysłowienie.

Każdy wyraz d'Arżanowa uderzał, jak knut w ręce kata: z nadzwyczajnym rozmachem i wyszukując miejsc, niezdolnych do odparowania bólu.

Nastała niema, głęboka dwojga jestestw walka — jakby morski tryton walczył pod wodą z porwaną nimfą.

Arżanow sądził, że najzupełniej owładnął jej astralną istotą. I niewątpliwie uległaby mu, jak wtedy na Czortowym Ostrowie. Lecz potężny regeneracyjny napój Kambiłowa, który znał się na chemji roślinnej — dał jej moc niespodzianą.

Zaczęła uzyskiwać przewagę nad swym magnetyzerem.

Role się zmieniły.

Po chwili Arżanow sennie zasiadł na poduszkach w kącie i nie władnąc sobą, zaciągnął się głęboko haszyszowym kaljanem.

Wita nieznacznie wylała zawartość zielonego kryształika na tytoń kaljanu. Zaciągnął kilkakrotnie.

Trwało czas dłuższy milczenie.

Wstrząsnął się, opętany wizjami — źrenice jego rozszerzyły się — wyglądał jak szaleniec w ekstazie.

Rozciągnął ręce.

— Latam. I ty leć ze mną. Jeśli poznasz me władztwo — nie rozumiem, abyś nie uwielbiła mnie.

— Wtajemnicz mnie. Jestem zasłuchana. Odkryj mi swą duszę — jak natura rozwiera się przed filozofem.

— Latam! Jestem już w mrocznych regjonach. Tam wznosi się mój zamek — nasz zamek — o siotro moja. Kamillo — chodzę z tobą po tych puszczach — straszliwy smutek mej rozbitej wiary w istnienie Ducha. — — Kamillo — z tobą w nocy tropimy rysia — i patrzymy jak ten król mroków sunie po gałęziach — łamiąc tylko najcieńsze gałązki — a straszne jego fosforyczne ślepia w mroku atramentowym goreją...

I rzuca się on na stado łani śpiących — i wżera się zębami w kręgosłup.

Łania obłąkana z bólu gna przez gąszcza.

My biegniemy — i spełnia się przed nami potworny rytuał przyrody.

Kamillo — wziąłem cię wtedy w objęcia i w sadystycznem upojeniu rzucałem bluźnierstwa straszliwe — —

Kamillo — nocami chodzimy po puszczy. Oczy nasze przywykły odróżniać w ciemności. Widzimy dzikie walki cietrzewi o samiczki — spoglądamy na ruję niedźwiedzi.

Kamillo — — pomnisz jak stoczyłem walkę z wilkami zimą — uciekając na saniach — ty trzymałaś lejce rozszalałego konia — jam strzelał do wilków. I wdarliśmy się na skałę — a konia przed oczyma naszemi wilki rozszarpały. I wtedy, Kamillo — utworzyłem swą metafizykę walki.

Świat jest stworzony przez nudzącego się djabła. Do nielicznych rozkoszy należy bój. Każdy może czynić wszystko — pod warunkiem, że jest przebiegły, mądry, umie oszukać i gwałtownie zwyciężyć. Kamillo —

Kiedy kazałem ci zniweczyć owoc naszego kochania — nie zgodziłaś się — — urodziłaś w chacie opuszczonej w lesie dzieciątko. Zabrałem je — — i nie ujrzałaś odtąd nigdy.

Kamillo — czemu byłaś tylko kobietą? Czemu w rozpaczy szalałaś? Mogliśmy jeszcze wiele rozkoszy wziąć od życia.

Ale stało się. Została mi Wita. Lecz jej nie chcę osłabiać zmysłowością. Wita — moje prawe skrzydło do władzy nad światem, bo mam własne lewe.

Na skrzydłach tych popłynę —

W Petersburgu zimy tej nieraz chodziłem nocami — strach opętywał mnie przed własną potęgą.

Z kilku wtajemniczonymi „Loży Czerwonej" szliśmy. Na trotuarach ślisko. Mróz wiał od lodowatych domów. Ujrzałem olbrzyma — na zakręcie ulicy — wsparty na wysokim toporze, jakiego używają cieśle okrętowi. Płaszcz holenderskiego szypra z kapturem. W zębach fajeczka jarząca.

Kiedym przechodził — uczułem tak silny powiew mrozu, że wszyscy zawinęliśmy się w futra. Na dworze 25^0 poniżej zera — oranżeryjne gorąco wobec tego zimna, które wiało od nieznajomego.

Staraliśmy się prędko ominąć, ale gigant szedł obok.

— Skręć! — zawołałem ostro — tu za mało miejsca dla nas dwóch — —

— Tylko dla nas dwóch miejsca w Rosji dosyć — mój następco! — odparł głuchym głosem nieznajomy.

Taka groza w tej postaci, że bracia loży zbili się w gromadkę i szli opodal.

Wzrok ogromnych oczu jarzył, jak kiedy wśród zupełnej ciemności w hucie szklanej otworzą gorejący piec.

Nie był wizją: ani mróz, który od niego wiał, ani krok ciężki i stukanie toporem nie działy się tylko w mej czaszce. On mówił do mnie i znam już swą drogę.

Znienawidzony przez opiekuna mego — który strzelał do mnie w Krzyżtoporach, gdym chciał pojednania — —

Ha — — jestem sam, jak Bóg.

Nienawidzę Polski — której symbolem ta cukrowana kreatura na tronie. Polacy to ludzie niezdolni do syntezy, do władczego światopoglądu. Wasi generałowie — to słodki Kościuszko, romansujący Pepi, niezdarny pijak Komarzewski... Głupota, mgła na mózgu... system jezuicki wyjałowił... ot,

łoszęta na rzeź rysiom... ot, największy przedmiot do upolowania dla wielkich myśliwych — —

Muszę ostrożnie działać.

Mirowicza wysłałem do Szlisselburga, aby uwolnił Johanna —

Pugaczow przeze mnie dostał z zagranicy medale — —

Chcę, aby Rosja zapragnęła władzy nad światem. Przygotowuję oka sieci mej — tajemne, choć przez władze popierane związki masońskie. Genjusz nie może rozwinąć swej mocy w pustce jaką jest na przykład Polska — jak pochodnia nie może palić się w wypompowanem powietrzu.

Gigant wiódł mię ku Newie.

— Za mną, a tam — wpieriod! —

Minęliśmy pałac faworytów na Milionnej, gdzie tej nocy wyjątkowo nie było szeregu sań i karet, bo Mamonow był w Oranienbaumie, a Patiomkin w Chadżibei — przemianowanej na Odessę.

U bram Zimowego Pałacu stali karaulni grenadjerzy. Nagle rozwarła się brama — w głębokim mroku podwórza kołysały się na sznurach latarnie, jak głowy.

Szliśmy przez bramę — którą niewiadomo kto rozwarł.

W sali tronowej zebrani dygnitarze, generałowie radzą dokoła Imperatorowej, co uczynić z Polską.

Światła nagle od wichru pogasły.

W mroku rozległ się głos:

— Iwan Groźny fundamenty równał — ja Piotr — na tym moczarze miasto zbudowałem.

Trzeci on utworzy Monarchję z siedmiu stolicami od Bosforu do Kamczatki i od Warszawy do Madrasu. —

Panin pierwszy zakrzyknął: — Chylcie się w pas — to Car Piotr, on nas pozabija! —

Ale głos widma w mroku mówił jak grom potężny:

— Konstantynopol wziąć, Polski nie krajać z Niemcami. Złączyć, nie członkować. Z tego będą bunty i wstrząśnienia. Ty, której ojciec jest generałem pruskim — nie lękaj się Fryderyka! — — Jeśli z Niemcami pójdziesz — —

Tu rzucił toporem tak strasznie o wielki malachitowy

filar, że błysnął płomień — a filar zwalił się — — Widmo zniknęło. Jednocześnie w fortecy Petropawłowskiej huknięto z dział, dzwony we wszystkich cerkwiach zagrały Boże Narodzenie!

Imperatorowa leżała zemdlona.

Kiedy wniesiono światła — i gdy otworzyła oczy — wzrok jej padł na mnie.

Latam, jak orzeł nad chmurami.

Na skale, gdzie stoi posąg Falkoneta — jest mój genjusz opiekuńczy.

ZERWANE ZASŁONY

Wita odetchnęła szczęściem triumfu. Niby rozsypany skarb Golkondy lśniły przed nią tajemne myśli i głębokie znawstwo Arżanowa.

Widząc, że napróżno robi ruch ręką, aby podjąć gumową rurkę od kaljanu, zwróciła nań silne jak błyskawica, głębokie jak niebo wieczorne spojrzenie.

— Kawalerze d'Arżanow, czy możesz mi jeszcze dopowiedzieć?

Próbował opierać się.

— Musisz, bo tego żądam! —

Zaczęła tak wpatrywać się w d'Arżanowa, jak on przedtem w nią — uczyniła takież pociągnięcia nad nim w powietrzu. Miała bezwzględną przewagę: jeśli ustępowała d'Arżanowowi w wiedzy okultystycznej, miała równą mu siłę woli; ją wzmagał napój Kambiłowa, jego usypiał własny, odbierający indywidualność, eliksir.

— Cóż wiesz o mojem pochodzeniu?

— Jesteś mą siostrą przyrodnią, a rodzoną Kamilli. Córą xięcia Włastowicza, z matki Lubomirskiej.

— O, jakiż bezmiar szczęścia — więc nie hetmana! — — Dlaczegóż on rozciąga nademną władzę?

— Xiążę Włastowicz, brany do więzienia — mając żonę obłąkaną po śmierci Kamilli — przekazał cię twojej ciotce — — Adoptował Hetman — uznał za swoją córę — aby ocalić wielkie dobra Włastowicza na Podolu, zapisane przez matkę tobie — — Te dobra — —

— Nie pytam o to. Już mi dość. Więc jesteś moim bratem przyrodnim? Wszakże musisz mieć dla mnie trochę bratniego uczucia!... Dlaczego nie chcesz stać się dobrym genjuszem dla Polski i Rosji? Ludzkie życie nie może roz-

wijać się pod władzą kanibalów i kacyków — zdobnych w cywilizowane maniery... Wcielajmy naukę Mistrza z góry Tabor — —

— Milcz! — krzyknął Arżanow tak, że zdało się, że sen już rozerwał. — Nie rozumiesz jak straszną mam nienawiść do losu! Jestem okrutny i sataniczny — pieczęć mego satanizmu jest w głębiach swych — przerażającą metafizyczną męką wszechludzkości. Chcę mścić się za te oszustwa natury nad nami, za tę podłą śmierć, za to skrępowane życie — —

Ja dowiodę, że Opatrzność nie wpływa na dzieje — — uczony dzisiejszy Dupuis dowiódł, że cała religja to mity księżyca i słońca —

Chrytus — to Baranek w Zodjaku — mit o konstelacji...

Wita przelękła się — jak od huraganu rwie się w niej cała tkanka religji! Nie umie odeprzeć gwałtownego szturmu argumentów.

— Polskę zabiła wiara i znieprawiła waszą umysłowość, Polska runie bez winy — wobec złowrogiej dla was konjunkcji sił — — gdybyście przetrwać mogli jeszcze lat kilka — Aleksander już by nie zdobywał was — i tam w Europie jawi się tytan — Wielki wychowawca narodu waszego, jak u nas był Piotr Wielki — —

Wita była blada i drżała. Więc istotnie niebezpieczeństwo nad Polską jest tak ogromne? A xiążę — czy zdoła je odwrócić?

Arżanow odparł i na tę jej myśl.

— Nieprzebrane mnóstwo kobiet — nie ma on wiary w genjalną twórczość woli — dużo honoru, dużo lekkomyślności — okryty hańbą!... Przeklinany wraz ze stryjem... Stanie się Wodzem — — przez naród ukochanym — ale zapóźne zbudzenie, zapóźna dojrzałość!... Umrze, zwyciężony!...

Płacz wyrwał się z piersi Wity.

Nie pytała już o nic.

Arżanow zapadł w kamienny bezwład.

Wstała cichutko.

Wyjrzała przez okno, aby pomodlić się wraz z duchami jasnemi kosmosu. Ale jak wtedy na stepie pod krzyżem, gdy ujrzała gromadę żuków pożeraną przez jaskółki — tak i teraz niebo wydało jej się pustynią, gdzie serce świeci jak gwiazda, walcząc z mrokiem — aż zlodowacieje.

Czyżby Arżanow miał rację, stając się mścicielem bolesnej, w przepaściach konającej, wiary?

Patrzy na śpiącego — pyszne władcze czoło i znak Thuga.

Czyż ma być Judytą wobec Holofernesa?

Niepodobna — — tu waży się głęboki metafizyczny bój, którego nie rozetnie sztylet.

Pojazd sunął wśród stepu, widniał las mroczny.

Nad górą zalesioną wschodzi księżyc, — podobny do olbrzymiej rozpalonej bomby, wyrzuconej z nieskończonych oddali. Prawo równowagi odchyla tę bombę rozżarzoną od ziemi — lecz jedno wahnienie, a księżyc runie na ziemię i tu rozpadnie się w Chaos i Niebyt! — — —

Wita legła w hamaku. Zasłuchana w szumy traw stepowych, w słowiczy śpiew zbliżającego się lasu — wzywa pomocy duchów.

Wkrótce jednak zasnęła.

— — — — — — — — — — — — — — —

Wleciał przez okno świt. Błysnęły złote cerkwie na dalekich górach kijowskich.. Wionęły zimne podmuchy Dniepru. Słowik dodzwaniał rozkochaną arję. Rozwarła oczy, rzeźka i radosna.

— Kawalerze d'Arżanow, zbudź się — niech ci się zda, że ty masz nade mną władzę. —

Śpiący westchnął przeciągle, zerwał się na równe nogi. Ledwo zdążyła zamknąć oczy.

— Fatalne zmory udręczały mnie! — mruknął Arżanow — ale to były brednie — ona jeszcze śpi: eliksir działa na wszystkich jednako potężnie!

Markizie Gwidonie Kornaro, zapomnij, że istniała Wita — jesteś mężczyzną zalotnym, opanuj tych, kogo ja zażądam!

— O ile mię zmusisz...

— Zmuszam. Wstań teraz. —

Rzekłszy to, dmuchnął na jej twarz. Wita zanotowała ten ruch dla swej nowej umiejętności.

— Wstań, markizie Kornaro. Nie powiesz chyba, że konie moje biegną wolniej niż Afrodyta na swych jeleniach?...

— O, znacznie prędzej, bo Anadiomene nas nie dogoni...

— Będzie i na nią czas! Konie w piekle prędzej nie lecą! A zaś ty, męski mój Afrodis — bierz lejce bóstwa w swe cudne, jak z kości słoniowej wykute — nie, zapomniałem się — w muskularne twe ręce rycerza. Włosy masz jak wodospad złoty — — jak hełm...

— Mówiąc o wodospadzie, dajesz mi, Wielki Kofto, do zrozumienia, że trzeba się umyć. Słyszę w lesie szemrzący strumień. —

Zatrzymał się pojazd.

Wita wybiegła szczęśliwa, wesoła, jaką jest młodość.

Spojrzała na rumaki i zdumiała się, i klasnęła w dłonie z zachwytu.

— Niezłe są te szkockie szrajry, wychowane na stepach? — zapytał Arżanow, zmieniający nagle powagę maga na swobodę pułkownika kawaleryjskiego.

— W łonie rubinowego wszechożywiającego Heliosa te rumaki niosą myśl istotnie na Olimpy. Szkoda, że niema tu owej pięknej złotowłosej...

Ale Wita nie słucha, patrząc na tytaniczne bestje, które przebiegłszy przeszło sto wiorst — wydychały kłęby pary. Nigdy nie widziała tak bajecznych — kolosalne z łapami kosmatemi — istne mityczne konie Oceanu, zdały się wykute z bronzu i marmuru białego.

Wargi wierzchnie długie zaostrzały się jakby w dziób orli. Grzywy — jak u Walkiryj.

Wspinały się dęba — bynajmniej nie zmęczone.

Na takich rumakach jeździć mógł bóg Thor, młotem piorunowym rozdwajający skały.

Bardowie, jak Ossjan, opiewali takie rumaki w swych obłocznych wizjach!

Foryś siedzący wierzchem i stangret hajduk rozpalili ognisko. Markiz pobiegł do strumienia umyć się, a tymczasem na barwnym obrusie rozłożono astrachański kawior, bułki, ryby wędzone, owoce w konfiturze. Wnet była gotowa herbata i buljon.

D'Arżanow kazał przynieść sobie lustro i przebrał się. Miedziane jego włosy, mężna postać w wytwornym czarnym francuskim stroju z wstęgą Mistrza Masonerji.

Wyraz melancholji ustąpił — i z tem nadzwyczajnem czołem myśliciela był zaiste piękny.

Wziął trąbkę i zagrał akord hymnowy, jakim pasterze włoscy witają słońce.

Wita wróciła z pękiem różowych anemonów.

Jakby uśmiech rozjaśnił znów twarz jego, gdy mówił do pięknego markiza.

— Uprzedźmy wizyty ministrów, bo Imperatorowa rano o szóstej wstaje, udając się do Ławry.

Markizie, synu Cyprydy boskiej — twórz zaklęcia i uroki, podobne do tych, które rzucała Cyrcea lub Korybanci podczas Djonizyjskich misterjów: przebudzaj w ludziach demoniczny żywioł. Hye! Kye!

— — — — — — — — — — — — — — — —

Pojazd ruszył — ziemia zatętniła pod kopytami olbrzymów, jakby zerwało się stado rozjuszonych słoni.

— Kijów, miasto jaskiń przedhistorycznych, zamieszkałych jeszcze przez troglodytów, którzy walczyli z mamutem — ozwał się po chwili Arżanow do Wity, zapatrzonej na cudne wzgórza Kijowskie. — Potem handel z Grekami, Waregowie, Świętosław napadający na Carogród.

W X wieku rządzili tu Chazary, jak tego dowodzi list hana pisany do kalifa Korduby. Nestor prawi o przybyciu świętego Andrzeja. W r. 1018 uderza o Złotą Bramę mieczem swym wasz Bolesław Chrobry. W XIII wieku zburzone miasto przez Mongołów. Od połowy XIV przechodzi pod panowanie xiążąt litewskich, — z powodu wielkiego handlu była tu komora celna. Na skutek Unji Kijów zostaje wcielony do Małopolski; odbywają się tu doroczne sejmiki; karawany z towarami szły do Turcji, Moskwy i Hordy. „Jedwabie częstsze niż len w Wilnie, a pieprz, niżeli sól w Polsce" — mówiono. Nad Padołem wznosił się otoczony ostrokołami Zamek. Broniło za czasów polskich zamku wież piętnaście i dwie bramy: Wojewódzka oraz Drabancka.

Kiedy Bohdan Chmielnicki poddał się Rosji, Kijów mocą traktatu andruszowskiego w r. 1686 przechodzi pod panowanie rosyjskie, mając jednak własne magdeburskie prawo. Mazepa odbudował klasztor Bracki i szkoły, otoczył Padół wałami. Piotr Wielki założył fortecę na Peczersku. W czasie Elżbiety włoski architekt Rastrelli zbudował przepiękny barokowy chram św. Andrzeja — dodając do bardzo wielu już istniejących cerkwi, z których najsłynniejsza — Sofijska — zbudowana przez x. Jarosława w XI wieku wśród pola, na którem odniósł zwycięstwo nad Pieczyńgami. Ten Monastyr, jarzący kopułami to — Ławra.

W XV wieku zburzona przez Tatarów, odnowił ją hetman Konstanty Ostrogski.

Dla zjeżdżającej się na kontrakty szlachty zbudowano olbrzymie zajazdy na kilkanaście tysięcy gości. Zaś rok cały roi się dziedziniec Ławry od pątników. —

Zabłysnął modry, wspaniały szlak Dnieprowy.

— Kroniki bizantyjskie twierdzą, że była przystań na rzece Poczajna.

Na wyspie Turchana istniało jezioro i rzeczułka Zołotcza, na której brzegu naradzali się xiążęta ruscy pod wodzą Włodzimierza Monomacha.

Dla skrócenia drogi w XVIII w. przekopano kanał — prąd jednak niespodzianie skierował się ku miastu i oto zmienia się zupełnie fizjografja Dniepru: podpływa on aż pod góry, pochłonąwszy w sobie Poczajnę i Czartorję — jak my was —

— Jak was — Mongołowie i Niemcy!

ŁAWRA PECZERSKA

Pojazd sunął aleją wiodącą do Ławry. Mimo wczesnej godziny (była siódma) jechało już wiele karet, krakowskich zaprzęgów, tarantasów, dorożek i całe tłumy pieszych.

Rozstawieni rosyjscy gwardziści w trójkątnych kapeluszach szamerowanych i z harbajtlem, w podwiniętym mundurze zielonym, w butach wysokich za kolana — chłopy ogromne, trzymając muszkiet w wyciągniętej ręce, wsparty o ziemię — wygląd mieli bardzo pokaźny.

Mimo, że znała nieco rosyjski, a dobrze język rusiński — Wita uczuła się obca, jak w nieznanym ciemnym lesie. Dopiero słysząc tu i owdzie mowę polską — nabrała odwagi.

Zajechali przed wrota Ławry. Ogromne mury klasztorne, kolosalna wieża na trzysta dwadzieścia stóp, z kolumnami w stylu korynckim i jońskim.

— Z wieży tej — rzekł d'Arżanow — widać lasy trzech gubernij: kijowskiej, czernihowskiej i połtawskiej. —

Wchodzić tam naturalnie nie było czasu. Tyle, że okiem rzuciła na mieszkania mnichów, refektarze, drukarnię, zajazdy — wielkie dziedzińce, zapadające w dół brukowane ulice, pełne dziadów i natrętnej hałastry. Cerkwi kilka, kopuły złote, kapliczki.

Przed największą cerkwią wspaniały rząd kawaler-gardów, oddzielający od chodnika tłum.

Modre aksamitne mundury, okryte pancerzem z kutego srebra, takież ciężkie szyszaki z bogatą armaturą, na nich panasze ze strusich piór.

Kawalergardów jest przy dworze wszystkiego sześćdziesięciu. Ale też każdy z nich liczy się za porucznika w armji, rotmistrzem zaś ich jest sama Imperatorowa.

Tworzyli aleję we dwa rzędy od wrót wjazdowych do głównej cerkwi.

Dokoła urzędnicy, generałowie i cywilni. Ci ostatni mieli mundury gubernjalne lub „kaftany" francuskie, pantofle, krótkie spodnie, perukę, pukle, puder.

Za dokładnością stroju śledzą oberhofmarszałek i jego podwładni z laskami. Kręcą się kamerpazie, kamerhery, kamerjunkry...

Arżanow, nie mający odznak rosyjskich ani polskich, ale z orderami: duńskiem słońcem, szwedzkim Serafinem, angielskim podwiązki, z pruskim Czerwonym Orłem — był salutowany na prawach dostojnego cudzoziemca.

— Jak się masz, panie Mateuszu Kasztaliński! — rzekł uprzejmie po polsku do gnącego się oberceremonijmajstra. — Czy zawsze jeszcze u was w Smoleńsku tak nienawidzą ruskich, że tylko żenicie się z Polkami?

— Był była, da trawą zarosła. Żenimy się, gdzie komu dochodniej — ot co! — rzekł pan Mateusz, starający się być istinno ruskim.

— My sami, — ozwał się kuzyn xięcia Patiomkina, ogromny porucznik Engelhardt — majątki dostaliśmy od króla Zygmunta po wzięciu Smoleńska „za krwawe zasługi", ale teraz niema wierniejszych u tronu. —

Karjerowicz niskiego pochodzenia, Morkow, ozwał się:

— Upokarzamy, jak tylko można tych polskich panów dobrodziejów, którzy tu obgryzają kości. Niestety, to nie czasy Anny Joanówny, która tak nienawidziła Polaków, że u kogo znaleźli polską książkę, to był wysyłany na Sybir.

— Jabym założył polską republikę tam! — zawołał jakiś wylizany pan.

Rumieniec gniewu uderzył na twarz Wity.

— Za co nas nienawidzą, kiedy w Polsce imię Katarzyny rozlega się wśród hejnałów, a na Rosjan patrzą jako na pobratymców? —

Zauważył to poruszenie na twarzy Engelhardt, bo zapytał cicho Arżanowa:

— Kto ten panicz?

— Królewskiego rodu Greczyn.

— Szkoda, gdyby nie to, że już był Jermołow niewieściego wyglądu, choć koźlej struktury — możnaby zaprotegować. Wybiorę wam miejsce bliżej drzwi. —

Szedł, rozpychając ogromną postawą. Tłum był malowniczy: wypudrowani dworacy i bojarowie w strojach paryskich; zbronzowiali na niedawnej wojnie z Turkami generałowie w różnych mundurach. Opodal kupcy w długich kaftanach z ogromnemi brodami, dońscy Kozacy, tatarscy begowie, gruzińscy xiążęta w kostjumach kaukaskich. Dalej chłopi, przywiezieni na paradę przez pomieszczyków, wymyci i ochędożeni z wieńcami zielonemi. Na uboczu polska magnaterja wyróżnia się kontuszami — karabele, pasy lite, czaple pióra — na piersiach roztyłych ordery.

Arżanow wskazał Wicie Branickiego o dzielnym zamaszystym wyglądzie, roztargnionego i nudzącego się Szczęsnego Potockiego, Mniszka, xięcia Kazimierza Sapiehę, xiężnę Lubomirską. — Wtem, jakby mierząc, czy Wita dość już zapomniała kim jest — rzekł: — Tam ex-hetman polny!

Pod Witą zadrżały nogi, twarz jednak zachowała marmurowo obojętną.

W gładkiej peruce podwiniętej nad uszami, w trójrogim kapeluszu, w mundurze modrym ze szlifami generał-lejtenanta wojsk polskich, z wstęgą błękitną i Białym Orłem, przy szpadzie — Seweryn Rzewuski wyglądał zimno, nieprzystępnie.

Pod krzaczastemi łukami brwi, bronzowe złe oczy, jak u puhacza, którego świt zastał w polu i do lasu trafić nie może; ptaki go nie cierpią, on ich w dwójnasób!

Nie jest z tych łatwych, miłych łyżwiarzy politycznych, jak Sapieha, ani z kamratów na śmierć i życie z każdym szują, jak Ksawery Branicki. Nieprzejednany upór, zaciętość, pasja niewystygła przeciw Rosjanom, którzy więzili go pięć lat na wygnaniu w Kałudze, ale ideje republikańskie, zagrożone jak mu się zdawało, przez Stanisława Augusta, każą

mu szukać oparcia w Wiedniu i Petersburgu. Miał się za Temistoklesa na dworze Persów, za Mojżesza w Egipcie, za Odysseusza, płynącego wśród burz ku wymarzonej Itace. W rzeczywistości jednak podniecała go jedynie reorganizacja, dokonana przez Komarzewskiego w Komisji Wojskowej — dzięki czemu utracił buławę hetmana polnego, gdyż urząd ten zniesiono.

Duchowo tępy, choć z rozległą inteligencją, Rzewuski uważał się za ostateczną miarę rzeczy, za węzłową stację świata, z której i do której wszystko powinno zmierzać. Deklamował i cedził, jeśli nie milczał wzgardliwie.

Teraz milczy, zgóry spoglądając na służbistów, on — syn wolnej, choć ciężko przez plebejskiego króla zdeptanej Rzeczpospolitej!

Jako Cyncynnat, przyjmujący na swej roli posłów — gotowy poufale i dokładnie mówić z Imperatorową, Józefem II — ba, z samą Trójcą Świętą! Bo on jeden jedyny jest mędrcem politycznym, jedyny ma dar uginania pod swą buławą tłumów! A nadto jest wynalazcą ulów gipsowych i uczonym kabalistą! Z rodu, jak mniema, niebywale dostojnego. Wódz narodu!... Tu mu nawet lichą buławę zabrała jakaś komisja!! Udał się o pomoc do Austrji i do Rosji — jako i Paweł Święty zwrócił się do pogan, gdy Żydzi go nie rozumieli! Kolumb zamiast z Genui, wziął z Hiszpanji okręty na odkrycie Ameryki. Gardził ziomkami Rzewuski, ale dla ich własnego uszczęśliwienia chce siebie postawić na czele narodu. Pomocnikami swymi mniema mieć Bezborodkę w Petersburgu, Kaunitza i samego Józefa II w Wiedniu, a tu w Polsce za podrzędnych komparsów Branickiego, Szczęsnego, Złotnickiego i innych.

Odkłonił się ministrowi Paninowi z powściągłą grzecznością, generałowi Suworowowi z pogardliwym dystansem, Wielkiemu Kofcie przesyła znak masoński. Na maltańskiego rycerza wejrzał z niezmąconą obojętnością.

Wpomniawszy, że ma do Wielkiego Kofty interes, zbliżył się, lecz jako najwyższy dyplomata rozpoczął tem, że

kapituła masońska — les Chapitres — nie powinna się zbierać według szwedzkiego obrzędu, lecz według obrzędu, który wskaże hetman.

Kaunitz, mason, pisał do xięcia Kurakina o tem, lecz on — hetman — rozmawiał i przekonał xięcia Gagarina, że masonami właściwymi byli pierwsi xiążęta na Ołyce i Kowlu, jego przodkowie! —

Tak puszył się, zimny, niedostępny, jak paw na słupku.

— Pozwól hetmanie, że naprzód przedstawię ci — ecce — mio amico, gentiluomo Ciprioto, marchese Guido di Kornaro della famiglia regia — Enchanté! — odparł Rzewuski — i rozszerzył się o tem, jak wielu znał w Wiedniu komandorów maltańskich, a jeden z jego królewskich przodków Rewun II zdobywał Akrę, Jerozolimę, Konstantynopol, Malty zasię brać nie chciał mówiąc: Małe to! I stąd nazwano ów nędzny wysep! —

Zajęty pozornie swem tokowaniem, zapuścił mimo to podejrzliwe oko w zbyt bujną czuprynę markiza, mierzył i tropił usta wiśniowe — — sytuacja Wity stawała się niewyraźna. Nie mógł jej poznać: dwa lata życia na stepach, ogorzałość, rozrosła postawa, a nadewszystko zupełnie opanowana twarz przez wolę tragicznie napiętą do rzeczy nadludzkich!

Wybawił ją wreszcie chrzęst broni chwytanej na paradę.

— Imperatorowa?

Trzymając kapelusz pod pachą, jak wymagała wersalska obyczajność — markiz posunął się ku rzędom kawalergardów. Wlecieli laufrzy, tłum wstrzymał dech.

Z karety zaprzężonej w osiem białych rumaków, wysiadła kobieta niska i otyła.

Miała nadzwyczaj szeroką krynolinę, zajmującą tyle miejsca, co stół na dwanaście osób.

Szamerowany brandenburgami złotemi mundur barwy zielonej, trzy gwiazdy brylantowe. Twarz dystyngowana z siwiejącemi, czy też upudrowanemi lokami pod sobolową czapką z chwastem złotym. Żabot koronkowy, w ręce la-

ska, sadzona klejnotami. Uśmiechem odpowiada na entuzjastyczne powitania. Szarobłękitne oczy świecą rozumem.

Wita zmienia się w natężony wzrok...

Jeśli od tej kobiety zależy przyszłość Polski, to zda się — można być spokojnym! wygląda na przełożoną instytutu dla dobrze urodzonych panien — —

Stary xiążę de Ligne mawiał, że czoło Katarzyny II jest księgą, wyrażającą: genjusz, sprawiedliwość, odwagę, głębię, równowagę, słodycz i moc. Dziesięć lat temu była jeszcze piękna, — ale się bardzo tyje w Rosji. Miły xiążę nie wiedział, że się tam czasem bardzo chudnie.

Zauważyła jednak Wita w niższej części twarzy Katarzyny coś kanciastego, w wąskich ustach okrucieństwo, w jasno szarych niemieckich oczach, starających się być najszczerzej rosyjskiemi — obłudę. Zmarszczka nosa nadałaby jej wyraz ponury, gdyby nie ten świetlany, jak lśniąca oliwa, uśmiech. Głębsze strony jestestwa tego ukryte, jak puginał w elegancko bratkami i niezapominajkami emaljowanej pochwie.

Kawalergardy oddzielili Imperatorową od publiczności, ona skinęła berłem ku polskim gościom, zapraszając ich bliżej.

Łuna szczęścia wybiła się na twarze magnatów, zaproszonych przed generałami i xiążętami kaukaskimi.

Lecz moskiewscy kupcy wyrywali się też naprzód, dotykali jej szat i bili czołem.

— Nie daj w obidu, matuszka! — jęczeli.

Chłopi z wieńcami zaczęli sunąć, jakby z ich ust niemych miał paść wyraz tajonej od wieków boleści. Wstrzymali ich kamerpazie.

Imperatorowa mija markiza Kornaro tak blisko, że dotknęła się go ręką.

Nagle Wita uczuła tok elektryczny — masa sił życiowych utajonych w Imperatorowej — wybuchła jakby od iskry elektrycznej.

Tak poznają się przyjaciele na wieczność, lub na wieczność wrodzy.

Imperatorowa wejrzała na pięknego markiza, który o głowę przewyższał ją wzrostem, z piersią wypukłą, o szerokich ramionach, z twarzą Endymiona!

Pochwycili wzrok ten usłużni dworacy i frejliny.

— Los Mamonowa zdecydowany! — szepnęła dziewica Pierekusichina do najstarszej frejliny, która zajmowała miejsce Kizlar agi.

— Mamonow przesypia — odparła ta z silnym niemieckim akcentem — a wszakże die Morgenstunde hat Gold im Munde! —

Wstąpili do ciemnego wnętrza Ławry. Jarzenie wielu set lamp, nalanych olejem, nieprzebrane masy złota, kryjącego twarze ikon, srebrny aż wzwyż pod strop ikonostas — ledwo zdołają rozjaśnić ten mrok posępny, bizantyjski, wśród nawisłych sklepień i licznych arkad.

Metropolita kijowski Samuel był chory, wystąpił więc z mową powitalną Mohilowski archijerej Siestrzeńcewicz, który świeżo przyjęty z błędu unickiego do wiary prawosławnej gorliwie nawraca.

Tłum liczny pozwolił Wicie słyszeć zaledwo oddzielne zdania.

— Niech się kłócą astronomowie — słońce li dokoła nas chodzi, ziemia li dokoła słońca? Ty, Najjaśniejsza Monarchini, schodzisz tu do nas — w padół życia powszedniego — będąc najwyższem słońcem!

Dzięki tobie lud siedzi pod winogradem i pod figą swą, jak Izrael za Salomona...

...Podążaj, słońce, krokami olbrzymiemi w dobrych zamiarach, tylko nie idź na zachód życia swego, bo wtedy zawołamy: stój, słońce! Póki nie pokonasz triumfalnie wrogów, czyniących przekór twym bogozgodnym zamiarom!... — —

Zawile, ornamentacyjnie — jak barok jezuickich kościołów — mówił Siestrzeńcewicz. Postawa jego chuda, twarz ostra, rysy z nadętą pychą... Biorąc rekord najwyższem pochlebstwem obliczonem na efekt — podobał się Imperatorowej.

Wyrzekła miłościwe życzenie wysłuchania mszy w katakumbach.

Wszyscy wzięli świeczki do rąk.

Wita przechodząc, stara się wszystko zauważyć — oto cudotwórczy obraz Wniebowzięcia Matki Boskiej... Bogactwo brylantowych wieńców, ametysty grube, jak gęsie jaja, topazowe gwiazdy — dokoła obrazka mającego dziewięć cali wysokości...

Ikona mozajkowana Chrystusa, dar hrabiny Orłowej Czesmeńskiej. Ikona Chrystusa Błogosławiącego, który darowała Imperatorowa Patiomkinowi, gdy szedł na wojnę z Turcją — podjętą w imię obrony chrześcijaństwa przez przyjaciółkę pana Woltera! Mnóstwo nieskończone innych. Imperatorowa skręciła ku grobowcom.

Wspaniały pomnik wojewody Trockiego, x. Konstantego Ostrogskiego, przypomniał jej grobowce na Wawelu, które znała ze sztychów. Minister Panin wywróżył, że Wawel połączy się wkrótce z Kijowem.

Grób żony Janusza Radziwiłła, Andrzeja Sanguszki, xiążęta Gorscy, pan Ewstafij Daszkiewicz...

— Więc Rzplita w XVI w. zajęła nam już całą Ławrę? — spytała monarchini, przechodząc.

— Tak, ale za to ich martwe dusze — mamy teraz my — na wiecznem przechowaniu! — odparł dworsko arcybiskup.

— To wszystko prawosławni?

— Zabłąkani, marnotrawni synowie — opłakują w czyśćcu katolicki błąd...

Uśmiechnęła się wolterjanka Imperatorowa, pospieszył uśmiechnąć się i wolterjański neofita.

Przechodzili obok skarbca. Olbrzymi złoty kielich ważący jeden pud i osiem funtów, noszony przez dwóch djakonów — dar xiążąt litewskich Giedyminowiczów. Kilka bezcennych pereł, wniesionych Ławrze przez świętą xiężniczkę Barbarę. Tureckie tarcze, sadzone turkusami, zdobyte przez Kozaków, polskie karabele Batorych, złociste kapy wyszywane jedwabiem przez xiężne Sapierzynę, Wiśniowiecką i inne. Monstrancje wyrabiane w Krakowie i całe

stosy dukatów zygmuntowskich... Tak mieszały się w zbożnym hołdzie Chrystusowi Polska, Litwa, Ruś, Wielkorosja...

Imperatorowa, patrząc na ogromną złotą zbroję z czasów Bolesława Śmiałego, słucha uczonych rozpraw arcybiskupa o Słowianach — Roxolanach i Sarmatach. Z rodu dawnych Słowian, xiążąt Cerbskich czyli Serbskich Łużyczan — poczuła może coś nakształt skrzydeł łopocących za głową — lecz stłumiła to wrażenie nagle, gdy spotkała egoistyczny zimny wzrok Rzewuskiego Seweryna, baranią ufność Szczęsnego, wesołe biboszostwo w oczach Branickiego, wersalską lalkowatość Sapiehy...

Wtem w odbiciu pateny świętej ujrzała czyjeś płomienne oczy. Biskup ukazuje nad kielichem krzak Mojżeszowy, ale w krzaku tym odbił się blask szafirów gorejących Archanioła. Dumne, nieprześcignione w locie ku wyżynom, groźne w oglądaniu ludzkiego fałszu i bezwstydu!... To Rycerz Maltański.

Jakby strach przeleciał po twarzy Imperatorowej! Szybko o ile pozwala ogromna tusza, monarchini wkroczyła w podziemia za Siestrzeńcewiczem, niosącym kandelabr z siedmiu świecami, symbolizującemi cnoty ewangeliczne. Za Imperatorową biskup Kossakowski, Szczęsny i rosyjscy ministrowie.

Loch kurytarzowy ciągnie się daleko. W niszach czerwone płótna okrywają mumje, płoną lampki przed ikonami.

Zapowiedział mnich u wejścia, aby broń Boże nie dotykać relikwij, leżących pod płótnami. Wita, w której dusza rozogniona na ton wiary współzawodniczy wizjami z Dżiottem, idzie wzruszona myślą, iż tysiące, tysiące żyło tu świętych... Widzi już górę nieba — wśród sadów cudnych schodzą wdół ku ziemi wybrańcy — a między nimi Kambiłow. — —

Zamknęła oczy przed wizją — wtem trąciła o ścianę i ręką dotknęła grobu, ku przerażeniu uczuła słomę i drewno! Igrają więc ludzie najgłębszemi uczuciami? Strach ścisnął

jej serce, oczy napełniły się łzami. Zniknęła wizja raju. Kroczy w mrok zatęchły — i zda się, że dusza wiedziona jest ku jakimś wiekom mrocznym wstecz!...

W celach głębiej wykutych zakratowanych mieszkają zatwornicy. W jednej kazał się zamknąć metropolita dla modłów powielkanocnych. W białej riasie i błękitnym podriasniku metropolita Samuel modli się na klęczkach w celi obstawionej lampkami i obrazami. W karafince kryształowej stoją lilje. Upodabniać zaczął Katarzynę Chrystusowi, który się zjawił uczniom po Zmartwychwstaniu. — Imperatorowa objawiła tu dobry sens, bo skracając mowę, radziła metropolicie wyjść na świeże powietrze i nie pić wody z karafki po liljach, jeno herbatę... Istotnie, lekki zapach tej wody zdradzał jej zbożowe pochodzenie.

Szli dalej, wszędzie bełkot zatworników, którzy po kilka i kilkanaście lat przebywali w tych mrokach za kratami. Jeden z nich — Abel — zaczął wieścić, że panowanie Pawła zupełnie odmieni rządy matki. Zrobił się popłoch. Imperatorowa szepnęła słów parę do idącego tuż za nią policmajstra kijowskiego — i z niewzruszoną twarzą szła dalej, wyraziwszy pragnienie wysłuchania mszy w celi świętego Antonijusza.

Właśnie przeciskał się djakon ze świętemi darami, a za nim z krzyżem brylantowym wyszytym na kłobuku — mnich.

Mijając markiza, wziął go nieznacznie pod ramię i przez chwilę idąc razem, szepnął:

— Jestem kniaź Aleksy Wasiljewicz Dołgorukij — postaraj się ze mną mówić — szlachetny cudzoziemcze! ale bądź ostrożny! —

Przyjrzała się mu na skręcie: czarny brodaty mnich z płomiennemi i jak na ikonach bizantyjsko-ogromnemi oczyma. Twarz niezwykłej piękności, postawa wyniosła.

— W mej celi dziś wieczorem o zmierzchu. —

Wsunął kartkę z numerem celi do ręki.

Wita daremnie łamie sobie głowę, czego chce kniaź nieznany w mniszym stroju od markiza?

Idąca za nią frejlina Perekusichina musiała coś usłyszeć, bo mnichowi pogroziła palcem i rzekła;

— Winograd nie dojrzał dla was!... ej wy ozornik!... mało wam swoich rozzmysławiać? —

Mnich wzniósł oczy do sufitu tak bardzo niskiego i okopconego, że zda się zmiótł kopeć wiekowy swemi aksamitnemi rzęsami.

W ścisku i ciasnocie frejlina zbyt swobodnie zaczęła zapoznawać się z jej budową, tak że markiz Kornaro zakrył się szpadą i rękoma.

— Pan cudzoziemiec bardzo młody — śmiechem furknęła frejlina, zbożnie kłaniając się obrazowi świętego Anesifora. —

Pochód zdawał się nie mieć końca. Wreszcie stanęli przed celą, gdzie zaczął odprawiać mszę kniaź mnich w czarnej riasie i kłobuku. Tak ciasno, że tylko dwie osoby mogły tu stać — Imperatorowa i mnich. Wszyscy wyciągnęli się rzędem długim w galerji. Światła iskrzą na brylantach i złotych galonach. Milczenie zakłócane szeptami nudzących się i mdlejących ze znużenia i duszności. Usłyszała zaklęcia mniej wytrzymałych Polaków...

Torturą stać w tych dusznych podziemiach, gdzie dawna bolesna męczeńska askeza świętych tak jest profanowana.

Wita ocknęła się nagle: mnich miał głos tak przepiękny, że zdało się, iż anioł w srebrnej kaskadzie łka i modli się.

Głos wzruszony — z najtęskniejszych głębin... Z za kielicha wzniesionego spojrzał ku markizowi bezdennie tragicznemi, jak niebo wieczorne w górach — oczyma.

Na twarzy Imperatorowej znać znużenie i drgawki powstrzymywanego ziewania.

Archimandryta kilkakrotnie zamachał, aby mnich kończył — ale ten mówił wolnym prześpiewem słowiczo-archanielskim.

Archimandryta w pasji syknął:

— Amin głagoliu i szabasz! —

Imperatorowa wzniosła oczy do nieba, a raczej do brud-

nego okopconego sufitu o dwie stopy nad jej niewysoką urodą i szepnęła:

— Niech się spełni do ostatniej litery, jak nakazuje liturgja! —

Znać, że chciała dopić już czarę niezmiernego znudzenia.

Jeszcze głębszym, jeszcze bardziej cherubinowym głosem zawołał mnich trzykrotne Amin i dziewięćkrotne Alliłuja, czyniąc tak nadzwyczajny efekt swym głosem, że podziemia zmieniły się w jakieś wirydarze pełne róż, gdzie kroczą — po szklanych sferach z gwiazdami w ręce Archaniołowie i Anielice.

Załamał się okrzyk duszy jakby na progu niebios! Wita była porwana! Za tę chwilę wzruszenia musi spełnić żądanie kniazia-mnicha. Cóż jej grozi? Będąc kobietą, nie poszłaby tam zapewne, ale wszak jest w stroju markiza, każdy ją bierze za mężczyznę?

— — Wyjście nagłe do ogrodu orzeźwiło wszystkich. Zebrała się świta i dobrane towarzystwo na urwisku Dnieprowem — w promieniach słońca — z widokiem na modry baśniowy szlak, szmaragdowe stepy i bezbrzeż liljoworóżanej mgły. Na modrej wodzie płyną łabędzie — lody zabłąkane. Z trudem zmuszała się Wita uważać na ludzkie arcymałe sprawy dworu wielkiej monarchini.

Mijają ogrody owocowe i winogradne. Czeka tu na Imperatorową zbór monastyrski, kilkuset mnichów ze swym archimandrytą.

Twarze ich bez uduchowienia, postawy opasłe. Archimandryta, o twarzy i ruchach prostego chłopa wielkoruskiego, zanosi korną prośbę, aby chłopi mogli pielgrzymować na święta do Ławry. Pomieszczeniki więżą chłopów! Ławra nie ma dochodu i z każdym rokiem upada!! Inaczej — widzianoby tu miljony ludu, kąpiącego się w Betsaidzie pobożności...

Monarchini, nie dając odpowiedzi, zwróciła się do cudzoziemców.

Dokoła Imperatorowej wytworni ambasadorowie: hrabia

de Ségur, Austrjak Cobenzel, Anglik Fitz Herbert; sama ona rozmawia z miłym uśmiechem — wolno i zbyt metodycznie. Gdy zwraca się do generałów w języku rosyjskim popełnia widoczne błędy.

Oznajmia, że lada dzień ruszy z flotyllą do Kaniowa.

Przyjęto wieść z nadzwyczajną radością, wszyscy bowiem znudzili się już w Kijowie.

Imperatorowa rozmawia z wojewodą Potockim i żoną jego, piękną, cukrową, choć wyuzdanej konduity, Greczynką, namawia, aby zimę spędzili w Petersburgu, a teraz jechali z nią do Krymu. Szczęsny wymawia się potrzebą reform gospodarczych, zresztą hydra liberalnych pojęć wciska się do Rzplitej, trzeba stać na straży!...

Uśmiecha się liberalna monarchini, korespondująca z encyklopedystami, ale to jej prywatne dominium: jako monarchini musi wydać wojnę krzyżową Turcji i ochraniać najtępszy konserwatyzm w Polsce. Więc i Szczęsnego uczucia staroświeckie pochwala...

W humorze doskonałym czaruje wszystkich. Wyrzuca Arżanowowi, że nie przyniósł jej dotąd pozdrowień z loży Edymburskiej. Zaprasza go na obiad w gronie ośmiu osób do siebie, a na wieczór do pałacu xięcia Tauryckiego — wraz z jego towarzyszem!

Wicie zdało się, że przenikliwy wzrok Imperatorowej odgadnie, że jest kobietą, że chce być polską Joanną d'Arc... Imperatorowa podała markizowi dłoń do ucałowania, którą etykieta nakazywała brać na zgięty łokieć i przyklęknąwszy, zbliżyć do ust.

Wita złożyła tylko głęboki ukłon.

Tem podniosła się w oczach dworu — tak postępować mógł tylko prawdziwy królewicz!

Imperatorowa rozpytuje o Grecję i walecznych kleftów. Obiecuje wieczorem bliżej rozpytać o losy nieszczęsnego, uciśnionego narodu. — Rosja wyzwoli — rzekła — krainę Scypiona i pięknej Heleny, jak Minotaur, zdobywający złote runo. —

Mitologja była trochę dziwna, ale czyż nie dowiódł

Orłow, że można być admirałem nie widząc nigdy morza? —

Imperatorowa olśniewa erudycją tylko wtedy, gdy wie wprzód na jaki temat będzie mogła mówić — bowiem sekretarz jej, Chrapowickij — wybierał z bibljoteki tomik o astronomji lub teologji, krytykę pana Boileau, czy o rządzeniu Monteskiusza.

Imperatorowa patrzy już kilkakrotnie na zegarek, ale nie wstaje z ławki.

IGNIS ARDENS

Szeptać zaczęli dworacy, że oczekuje słynnego ze świętości mnicha Ignatija. Błogosławieństwo jego ma ogromne znaczenie w oczach tłumu, który zebrał się w dole nad Dnieprem. Klęczą gromady, mając chleby i jadło, które on codzień poświęca, czekają świętego, który tędy ma przejść do ogrodu, tam w kaplicy odprawia mszę... Arystokracja liczy się z Ignatjim, jako z xiążęcego rodu ostatnim Ostrogskim. Dotąd unikał spotkania z Imperatorową.

Postanowiła mu wejść w drogę — oślepić przepychem świty — widokiem ludu, który klęknie przed nią, zarówno jak przed nim.

Nie mogąc wytrwać już, gdyż była bardzo żywego usposobienia, wstaje i zaczyna iść ścieżyną, którędy miał przejść Starzec.

Rozchyliła się furtka w murze, poprzedzany przez dwóch chłopczyków niosących łopaty i nóż ogrodniczy, w białej szacie ze złotym krzyżem szedł mnich starzec.

Milczenie. Możnaby było słyszeć świst jaskółczych skrzydeł! Zamyślony idzie nie widząc.

Nagle ujrzał świetny orszak.

Nie zatrzymując się, podniósłszy rękę do czoła, by lepiej widzieć naprzeciw ostrych blasków słońca, odbijających się na złotych orłach kawalergardów, na białych plumażach generałów — jął uciekać.

— Nie czyń Babilonu w Krainie naszego Boskiego Twórcy! —

Imperatorowa, jak spiorunowana, pochyliła głowę — wyraz niemieckiej sentymentalnej bezradności rozlał się na jej obliczu.

Ignatij zaś począł błogosławić tłum w dole i głośno zawołał:

— Pomódlmy się Panu za nawrócenie jawnogrzesznicy!

Taka potęga była w jego nakazie, że wszyscy, nawet wolterjanie, rozpustnicy i duszokrzywcy, uklękli. Lud wzniósł kosze z chlebami do góry, matki zaś niemowlęta — On błogosławił, modląc się donośnie i zapominając, że ma u stóp swych najwyższą władzę.

— Ojcze Nasz! Jak zboże rozsiane na polach, zebrane, stało się znów jednym chlebem, tak niechaj zbierze się kościół Twój w Bractwo Chrystusowe na ziemi i w Królestwo Twe na niebie. Niechaj połączą się umysły nasze w poznaniu jedynej prawdy Twej, a serca nasze w jedną natchnioną radość wiary i miłości dla Ciebie i wiernych dzieci Twych. Oświeć i wzmocnij, Panie, Rosję, Polskę i Ukrainę błogosławieństwem Twem.

Daj nam wszystkim być, jako jeden umysł i jedno serce.

Nasycając głód ciała naszego, pozwól, abyśmy przebywali pragnący i łaknący Prawdy Twej i Królestwa Twego — póki — jak synowie marnotrawni nie wrócimy do Twego Zamczyska Gwiezdnego. Tam nasycą się dusze nasze łaską komunikowania w miłości, mądrości, natchnieniu, mocą i chwałą Twą — Amen. —

Jakby namioty rozwarły się na górach wysokich zmęczonym pielgrzymom, chodzącym wciąż po błotsku egoizmu wśród jęku pożerania się wzajemnego...

Starzec odszedł. Zerwała się z klęczek Imperatorowa wzburzona, bliska apopleksji.

Arcybiskup Siestrzeńcewicz z twarzą chytrego kazuisty, a zarazem z brawurą kapitana dragonów — zwrócił się do cudzoziemców:

— Panowie nie rozumiecie naszego języka — Święty Starzec tchnął ducha swego Eljaszowego w monarchinię — sam poszedł spisać proroctwa, dotyczące długiego jej panowania...

Połknęli bez drgnięcia powiek to śmiałe kłamstwo, tembardziej, gdy mnisi wkrąg stojący, zawołali: Wo istinu, wo istinu!

— — — — — — — — — — — — — — — —

W małej kaplicy wysoko na górze tłum ludzi — starzec Ignatij odprawia mszę.

Chóry śpiewają wokół.

Markiz przecisnął się — i, widząc, że Ignatij zasiada w konfesjonale, podszedł do niego, prosząc po francusku o spowiedź, wyznając, że jest Polką — —

Mnich również po francusku szepnął, aby markiz nie zbliżał się teraz, bo są wokół oczy podglądające.

— Niech przyjdzie do kaplicy górnej w Ławrze — — a teraz nie miej obawy — —

I zerwawszy się, krzyknął, stukając krywułą:

— Odejdź, trędowaty!

Wita zrozumiała, że mnich chce ją oszczędzić przed Niełaską Najwyższą. Ścigana złowrogim pomrukiem tłumu, odeszła. Szczęście jej nie miało granic. Szczęściem najwyższem jest żywa komunja z sercami wzniosłemi.

— — — — — — — — — — — — — — — —

W refektarzu zadzwoniono na obiad. Zebrało się z tysiąc ludzi wszelkiego stanu. Nikt nie pytał, mnisi wszystkim nakrywali. Mnich stary czyta rozdział ewangelji.

Tłum, przeważnie chłopów, żołnierzy, kupców i rodzin ich — jął spożywać z miseczek drewnianych rosół rybny. Potem wniesiono bakłażany, ryby pieczone, chleb czarny i kwas.

W prostocie i szczęściu ewangelicznem siedzieli prostacy. Było tu wiele służby panów, którzy zajęci balami i ucztami nie dbali, czem wyżywią się liczni hajducy i dworzanie. Koło Wity siedzi pielgrzym wielkoruski, brodacz z rudą głową i dobremi bystremi oczyma. Karmi troje dzieci, które spotkawszy na drodze głodne i porzucone, tu przyprowadził.

Wita pomyślała, że Dom Życia mógłby stać się Chrystusowym, gdyby nie włodarze źli, głupi i marni.

W czasie modlitwy poobiedniej zjawił się d'Arżanow. Zimny, ostry, jak pogromca wobec krnąbrnego węża.

— Proszę, markizie, nie pospolitować się z tłumami. Obiad czeka u ambasadora Cobenzla. Tam ja przyjadę po powrocie od dworu. Wszystko, co może być potrzebne ze stroju, jest w kufrach, pod okiem kamerdynera twego i lokajów! —

Wita skombinowała, że jeśli będzie nocować w pałacu, nie zobaczy się już ze starcem Ignatjim.

— Będę na balu, ale nocuję tu w Ławrze.

— Doprawdy? Może to „ignis ardens" tego brutala Ignatija? Więc muszę ostrzec. Spowiadanie się u niego było szczytem nieostrożności. Chytry warjat zwymyślał cię dla pozoru. — Nie radzę szukać go więcej. Ten ogień gorejący może zamrozić na lat kilka gdzieś pod Berezowem czy Tobolskiem!

— Waćpan zaczyna być dobrym!

— Wątpię. Ale chyba nie oddajesz, markizie, swego rozumu pod wyłączną własność tych natchnień, które świętego zatwornika Abla wiodą już pod dobrą eskortą do fortecy?

— A co z Ignatijem?

— Z tym samodurem, ex-xięciem Ostrogskim? Ujdzie mu na sucho, niestety, inaczej nastałby nowy bunt, jak za Pugaczowa.

Proszę się ubrać à quatre epingles, rzeczy zaniosą lokaje do celi, jeśli koniecznie żądasz! Potem do ambasadora na czarną kawę.

— Będę próbował tam się zabawić — zostawiwszy duszę za drzwiami.

— Pierwsze zdanie rozsądne. — Kiedy mnie spyta Najjaśniejsza, co robi mój przyjaciel markiz — odpowiem, że uczy się nauki rozsądku. Tej nauki uczymy niepojętnych w Tiuremnym Prikazie, zapoznawszy wprzód z pletnią lub z morskiemi kotami, które wypalają naraz cały tył od ra-

mion do odchodowej kiszki! Lecz ty, markizie, będziesz pojętny, nieprawdaż?

Ukłon dżentelmena po słowach majstra katowego. Zniknął.

W oczach Wity mrok — zda się, że idzie wśród nieskończonych podziemnych korytarzy — gdzie nawet nieboszczycy kłamią i grają sataniczną komedję. Wszystko sypie się w przepaść. Na końcu ciche błękitne światełko — które nikogo zbawić już nie potrafi!...

Wita znalazłszy się za ścianami monastyru, szybko pomknęła w las ku górom.

Męczy ją do szaleństwa podejrzenie, iż może ludzkość jest zjawiskiem tak przypadkowem — jak jakiś porost na skale nadmorskiej — a wielki niezgłębiony Kosmos nie ma w sobie nic Bożego...

Życie wibruje piękne i potworne, słodkie i ohydne, jak samo piekło.

Wspomina Arżanowa i xięcia Trubeckiego — czyż nie demony? Kambiłow, Ignatij — czyż nie święci? Szczerbina i xiążę Józef — czyż nie wspaniałe typy człowieczeństwa? Ale wszystkie te zjawy czyż więcej są trwałe, czyż więcej znaczą wobec zimnych gwiazd — niż te różowe anemony, które tak rzewnie płomienieją na wzgórzach pod prastaremi drzewami!

W lesie kapliczka nad kaskadami. Modli się biały mnich starzec.

Ze wzruszenia zabiło jej serce.

— Ignatij?!

Po długiej modlitewnej chwili, obrócił się — i swemi wyblakłemi habrowemi oczyma spojrzał — na twarzy bronzowej paliły się te oczy — jak święte ołtarze.

— Dzieweczko, kogo szukasz? —

Zajęta myślą o Infernalnych wagach życia, na których wszystko pogrąża się w śmierć i złudę, odrzekła:

— Szukam nienaruszalnej mocy. Jestestwo moje podobne pustyni księżycowej, gdzie mróz roztrzaskuje kolumny

świątyń. I myślę, że lepszą jest śmierć od takiego zwątpienia! —

Stary mnich uśmiecha się — kazał jej rwać kwiaty i tak szli. Mówił jej o tym Oblubieńcu — który przyjdzie do jej duszy — i zażąda napoju. A ona szczęśliwa — napoi Go umiłowaniem. Mówił jej o burzach straszliwych, po których przychodzi On — i zostawia to, czego potrzeba — kwiat mądrości — lotus — jeśli Salomonowi, — ogień miłości — jeśli to święty Franciszek, — miecz straszliwego wezwania — — jeśli to obrońca Ducha i Ojczyzny.

Starzec ją napawał mową podobną miodom. Rozwarł furtkę w ogrodzeniu do ogródka — gdzie nikt ich nie widzi. Miał tam dwie cele pełne słońca i zapachu jaśminów — kilka ksiąg — z których jedna była tłumaczeniem z sanskrytu na rosyjski Bhagawad Ghity — — inna francuską Historją Świata przez Bossuet...

Podał jej kruż mleka — miodu i bułkę praśną. I odszedł. Była już spokojna — lecz zamiast czytać o świętych legendy i wejść w czar indyjskiej sofistyki — w ogródku siedząc, patrzy na pracujące pszczoły. Kilka ulów na kwietnej lewadzie. Wokół szumi las.

Wita czyni ostateczny obrachunek swej duszy i życia. To jedno wie już — że poza wszystkiemi pojęciami Bóg, Nieśmiertelność, Chrystus — kryje się bezbrzeżna Tajemnica, Dusza zaś jest wśród tego oceanu zagadnień — Twórcą. Przykazania wszystkich religij dotykają zaledwie powierzchni dusz. Jeśli zechce w życiu działać — to wybierze działanie wspaniałe a najcichsze: Walkirji-Pszczoły. Będzie zbierać do ula Ludzkości miód. Będzie walczyć za prawo swych skrzydeł i swej świętości. Modli się do emanacji wielkiej prawdy — do Lucifera, który jest światłem mężnych i wiedzących...

Wita uczuła jestestwo swe bezosobistem. Dotyka się dna wszechrzeczy. Z tej góry Dnieprowej w zachodzącem słońcu widzi Amfiteatr Wtajemniczeń.

Na różnych kondygnacjach dzieje się misterjum życia.

I ona wchodzi w rolę Ajschylosowej kapłanki. Za nią chóry wieków. Przed nią wielka zaczynająca się Tragedja Narodu.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Odtąd zamieszkała Wita u świętego starca i chodziła między dyplomatów i wojskowych, roznosząc miód milczącego błogosławienia dobrym uczuciom. Ale nie winą jej, że ten Ogród dusz był pokryty chwastem i pokrzywami.

MASKARADA XIĘCIA TAURYCKIEGO

W ogrodach pałacu nad Dnieprem tysiące feerycznych lamp. Aleje bukszpanowe, zacienione jak wysokie ściany — a z nich nagłe widoki na Dniepr ciemny, majestatyczny, ryty meteorami fajerwerków, spadających w jego milczące, zadumane łono.

Przechadzają się kawalerowie, wystrojeni jak w karnawale, damy o sukniach wziętych z barwy i lekkości motylim skrzydłom, z kształtu zaś krynolin — samicy termitów, rodzącej co dnia trzydzieści tysięcy jaj.

Stąd widzieć mógł markiz w rubinowych ogniach wizje heroiczne na tym i przeciwległym brzegu — więc kolumnady, skradzione w pomyśle Propilejom; tajemnicze świątynie Wenery, mające obok koźlonogiego Pana z marmuru żywe tęgie postacie niby dzikusów z Polinezji, którą opisał Cook i Bougainville; wyobraźnia dorastającego młodzieńca i perwersje starcze w owym ogromnym posągu Djany syryjskiej o stu wymionach, z każdego z nich płynęło inne wino, inny napój — mieszając się w cysternie, gdzie kąpały się murzynki.

W zaroślach drzew to świątyńka japońska z bożkiem szczęścia Fukurokugu o idjotycznie wydętej czaszce; to na lewadzie w zadumie stojący posąg skrzydlatej Nike...

Tam mosty rzucone nad przepaściami, wygięte po chińsku w górę, jak grzbiet kota, kiedy rzuca iskry; z mostów padają w przepaść wód wirujące zapalone korony smolne, wyglądające jak źrenice smoków.

Tam wśród kunsztu ogrodów egzotycznych z Tysiąca i jednej nocy tańczą nagie Czerkieski, odziane tylko wijącym się muślinem i złotemi cekinami, z kindżałem w dłoni — niewolnicze córy bohaterów i rozbójników, co bywa nieraz

jednem — z nad cieśnin szatańskiego Darjału, z lodowców i winnic Atagiozu, góry znaczącej: Brylantowe oczy!

Tam terem bohaterów bylinnych, gdzie dokoła bożyszcz słowiańskich odbywają się sobótki na cześć Jaryła oraz Żywji, odwalają się niesłychane bestjalstwa, lub też korowody wspaniale ubrane idą za guślarzami, śpiewając stare dumy.

Tam chata na kurzych nogach i przy dębie na żelaznym łańcuchu tygrys — tam opowiadają czarownice baśnie i jeżdżą na Łysą górę. Niewszyscy jednak lubią fantazje — to też stateczni i poważniejsi mężowie w zacienionych alejach — przy stolikach osypanych złotem, jarzącem się w blasku kandelabrów, na krzesłach kurulnych rzymskich siedzą gubernatorowie, marszałkowie szlachty, admirałowie i wojskowi wszelkich rang wyżej pułkownika, o ile ktoś nie jest xięciem, awanturnikiem lub Antinousem. Ten ostatni mógł być bez rangi, zbudziwszy się któregoś dnia z wstęgą na piersi i dziesięciu tysiącami dusz niewolników... Aż zejdzie w nicość tak nagle, jak zabłysnął w chwale...

Dlatego Dzierżawin pięknie rzekł w swej odzie „Wielmoża:“

Na pysznych kartocznych priestołach sidiat miszurnyje cari —

Na tronach wspaniałych karcianych siedzą królowie z blichtru...

Hazardowi gracze tracą fortuny w lansquenet i faraona, w la bassette lub w le biribi...

Gry, przez prawo zabronione w obrębach państwa — tu cieszą się przywilejami.

Służba roznosi w czaszach weneckich lody i szampan mrożony, aby zaraz utraktować ponczem, gorejącym płomiennie w srebrnych wazach, wielkich jak do kąpieli.

Wir kontrastów: życie i śmierć — najwyższe prawo i najgłębsze bezprawie, mrok i brylantowe rakiety.

Markizowi zda się, że jest przeniesiony nad Adrjatyk w karnawale weneckim — tęsknota za miłością pali go, jak ogień — —

Muzyka wojskowa na wolnem powietrzu — gdy zakończy jakiś na paruset trąbach i obojach wygrany marsz, wnet wśród ciszy rozlega się słowiczym łkaniom podobny koncert sześćdziesięciu skrzypków Demidowa, z których każdy kształcił się zagranicą i ma skrzypce najdroższe — często samego Stradivariusa...

Wtem rozlega się żałobny religijny ton katolickich nieszporów: posępne akordy organu napełniają przestwór tak wielką powagą, że na chwilę wierzy się — że to jest świątynia!... Tem wstrętniej występuje lichota, tem brutalniej rozlegają się okrzyki graczów i pijaków: — pliez, quarante, dwa tuzy! Zagnij sonika, wot wyigrał setelew! Nalać tu węgrzyna!... A mnie wódki! —

Wielkie poruszenie przy jednym stoliku, opowiada gruby ciężki gubernator mohilowski Passek o spełnionem proroctwie.

Mówi do magnatów polskich, starając się wpaść w ton ich mowy.

— Ot, prziegrał ja dziesięć tysięcy srebra czistaganu — pół czasa temu. Ja podwypiwszy zasnął. A tu widzę we śnie starzec z siwą brodą — jeden majestat. On rzekł mi:

— Passek!!... Attendez!... Korzystaj, staw na trojku trzy tysiące — ona ci wygra sonika, zagnij parole — ona znowu wygra sonika, zagnij setelewa i jeszcze ona wygra sonika. Tak ja wygrał dwadzieścia jeden tysięcy rubli złota czistaganu.

I to ja miał sen wczoraj, że ja będę senatorem, chociaż mnie wyleją z gubernatorstwa!... —

Requiem grane tak, że dusza wyrywa się z ciała. Markiz Kornaro wchodzi do sali balowej. Tam straszliwą fantazję utworzył kniaź Taurycki. Sala zmieniona w Dom Śmierci. Podłoga w czarne i białe kostki — lustra odbijają nieskończoną ilość żałobnych refleksów. Tłumne korowody dżumy, starości, wenerycznego luesu, samobójstwa, krwawej biegunki i śmierci w boju.

Mnóstwo postaci w jedwabnych dessous, w kostjumach maskowych i w orderach — igrają piszczelami, w czaszkach piją palący się poncz.

Oświetlenie upiorne — płonący spirytus ze solą — czyni twarze przegniłe w trupim rozkładzie.

Tron olbrzymi wzniesiony — zasiada Imperatorowa, suknia jej z brokatu modnego stacza się z kilkunastu schodów aż na podłogę.

Na krześle niemal tronowem, w stylu Ludwika XIV — zasiada obok niej wszechwładny xiążę Taurycki. Postawą góruje — ma lwią grzywę i wygoloną twarz, w której coś z rzymskich cezarów i coś z melodramatycznego aktora. Kostjum maskaradowy Plutona, boga Hadesu: czarny aksamitny mrok z gwiazdami, szata obrzeżona wężem z klejnotów — z trójzębu wylatują iskry fajerwerku... Korona szczerozłota jako bransoleta na ramieniu, zaś atamańska czapa wygięta „uchariom“ na tyle głowy.

Kniaź Patiomkin zapisał się r. 1772 do siczowych Kozaków. Zwą go i on chętnie zwie się sam: Hryćko Neczes — dzień cały chodzi brudny i nieumyty, w negliżu, używa tylko palców do rozgarnięcia swej czupryny. Wszystko wiedzący próżniak, kapryśny władca z Bagdadu, filar od lat dwudziestu kilku państwa, szczególniej gdy w 1775 spędzi razem z Imperatorową jedno lato w idylli wiejskiej. Potem z powodu niedołężnego wojowania z Turkami oddalony od dworu — i w niełasce — wstąpił do monastyru jako mnich. Udał rozpacz i tęsknotę za Cesarzową — to wróciło go na dawne stanowisko.

Niespodzianie obok zadumanego markiza stanęła frejlina. —

— To dobrze, panie markizie, że studjujesz wszystko milcząc.

Patiomkin jest — nie zawstydź się, mój młody przyjacielu — jest czemś więcej niż mężem, bo dostarczycielem haremu Imperatorowej. Nie gorsz się, gdy będziesz w łaźni, ujrzysz młodych pięknych efebów. C'est une pepinière des grands seigneurs... A tu każdy z motłochu idzie, jak może w górę... Chacun se pousse et est pousse ici comme il peut... Lecz twoja dusza wytworna potrzebuje pociechy: otóż xiążę Patiomkin jest Hamletem rosyjskim

Szczęśliwym czuje się tylko wtedy, gdy mu się nie powodzi — gdy zaś spadają na niego pensje, brylanty, gdy pałac swój wypełnia najrzadszemi kolekcjami — wpada w czarną melancholję — i urządza takie pogrzebowe widowiska, jak te oto...

Wita prosi frejlinę, aby ją przeprowadziła przed Imperatorową dla samotnej rozmowy.

Rozjaśniło się oblicze starej „dziewicy".

— Trzeba dać koronę polską xięciu Neczesowi, a Wielkiemu Kofcie rząd sumieniami na całem przestworzu Rosji i Polski.

Imperatorowa jest w stanie znudzenia, trzeba uderzyć w jej strach przed Mrokiem Śmierci. Imperator Hadrjan w Rzymie miał Antinousa, ty stań się nim i czemś więcej. Wszystko uczynię, aby Imperatorowa mogła sama z tobą mówić. Tedy sobie służ, służąc Bożyszczu! — z temi zagadkowemi słowy oddaliła się, znikając w tłumie.

Wita uczuła raz pierwszy w życiu szyderstwo wraz z triumfem! Ten człowiek potężny i ta rajfurka mnie mają mieć w swem ręku — a oto ona wolą swą nakazała im pomagać w widzeniu z Imperatorową. Należy teraz jak najwięcej poznawać, jak najpotężniej wchłaniać życie tutejsze i wyalembikować z niego odtrutkę dla narodu.

Markiz wmieszał się w tłum przy tronie. Byli tam generałowie i gubernatorzy, frejliny, damy polskie, wojewodowie, kasztelanowie, arcybiskupi, metropolita Samuel w białej riasie z błękitną mantylą i brylantowym krzyżem. Ustawione otomany, stoliki wschodnie, napoje szczególne, owoce wyszukane. Nienależący do maskarady bawią się w szachy i w loto, lub każą chiromantom z rąk wróżyć, lub kabalarkom z kart. Owe zaś szepcą, omawiając skandale, dochodne zarobki, snując intrygi.

Podkomorzy bracławski wprowadzić chciał żonę na bal, ale ona ukryła przed nim swe domino. Tu więc u tronu postanowił odbić stratę domowej powagi.

Właśnie rozpoczęła się kwestja administracyjna — główny minister Czernyszow odbierał od Imperatorowej pochwały.

Należało poprzeć Imperatorową, narażając się na gniew xięcia Tauryckiego i panów rosyjskich, którzy Czernyszowa nie lubili, jako adherenta i wielbiciela Prus. Wysoka sprawiedliwość była maksymą pana podkomorzego... Wychwalać jął tedy — jak dzielnie rządzone są gubernje Połocka i Mohilowska: oto na niedawny zjazd z Józefem II. zrobiono drogi wysypane kamieniami — tak, jak Boga kocham, tak! Drogi wszędzie tam szerokie — w dwa rzędy brzóz płaczących nad rowami, mosty silne, że i pod czetwierikiem koni nie załamią się; na rzekach przeprawy wygodne — żebym stąd żyw nie wyszedł! — Panów naszych samowolę nad chłopami zahamowano, a to była już obraza Boska — —

— Podobno, że była, bo u nas trwa! — rzekł i tak złowrogo spojrzał pan Radiszczew, że podkomorzy wolał przejść z powrotem na kwestję dróg. Pan Radiszczew wydał książkę o położeniu włościan w Rosji i nie wiedział jeszcze co go spotka — rola ministra, czy kajdany w Jenisejsku.

— Poczty mają wyborne pokoje do noclegu, a pocztyljoni są ubrani takusieńko, jak w Prusach — no, to już dość powiedzieć: c'est tout dire! — —

Katarzyna cieszy się i chwali wzrokiem głównego ministra Czernyszowa.

Zaoponować chciałby liberalny patrjota rosyjski Nowikow — poszeptuje z Dzierżawinem, a ten jako zręczny dworzanin odradza mu wyrywać się tu ze swemi ideami.

— Monarchini jest liberalna — lubi zdania swobodne?...

— Swoboda dla niej, dla was ruki po szwam. —

Ale wielki indywidualista xiążę Hryćko Neczes nie znosi prusofilstwa i samego Czernyszowa:

— Znam te drogi przechwalone, jechałem niemi: z braku stoków porządnych, ściśnięte alejami — stają się pudłami dla zbierania błotska, bo kiedy na polu już osuszy wiatr i słońce, tu kalakamy się w bagnie. A co do samowoli panów polskich nad chłopami: nie wiesz to, podkomorzeńciu, że ja mam indygenat polski — i za kalanie naszego zbio-

rowego gniazda — panie podkomorzy — ucho ci szablą okroję! —

Zachichotali jedni, zmartwieli drudzy, widząc zblednięcie mściwego Czernyszowa. Imperatorowa uśmiechem zakrywa swą niedecyzję. Ale nie lękać się nikogo Hryćkowi!

Magnaci polscy usłyszawszy, iż wszechwładny xiążę przyznał się tak śmiało do polskiego klejnotu, jęli dziękować mu tak, jakby conajmniej wrócił z pod Wiednia.

— Ród Patiomkinów polski — szepcą do siebie — ale po wzięciu Smoleńska zostali w Rosji.

— Lubisz Polskę z całej duszy — Grzesiu? — spytał, chlipiąc ze wzruszenia, podpity Branicki.

— Lubię pasjami — — i kołduny i bigos polski...

— A polski zaprząg na koniach — mazura — panie tego? — mruknął Szczęsny.

— A ten zapach, mości xiążę, w starych modrzewiowych alkierzach, gdzie wiszą portrety przodków naszych z pod Cecory i Grunwaldu? — — pyta podstarzała czarodziejka, wysoka bruneta xiężna Lubomirska.

— Zapach w alkierzach? o — — to zależy! — lecz twoje piżmo — votre musc, xiężno — przyprawia mnie istotnie o zawrót głowy! —

Xiężna chciała zapytać, czy to jest kompliment, czy impertynencja, gdy stanął przed Tauryckim szereg rabinów, raskolników, popów i katolickich teologów.

— A, powitać. Chciałem zawsze być archierejem lub ministrem. Mości generałowie, proszę w rząd. Rozpoczynamy uczoną dysputę.

Powiedzieć mi, moi teologowie, coś o dziele Blondela „De l'attaque et de la défense des places"? — w czem jest różnica od Vauban'a i Kohorna?...

Zmartwieli teolodzy, chrząknął jeden z generałów i chciał coś odpowiedzieć — xiążę zawołał:

— Mości Suworowie, zapytam cię przy twej kolei o różnicy między Arjuszem i Dozytejczykami. Co, nie wiecie? Jestem zdumiony ignorancją ludzi, którzy tak dobrze znają

naturę Boską, przenikającą wszystko więc i takie dziełka, jak „Le parfait ingénieur Français“?! O, nieucy bez natchnień! Muszę więc wam wyłożyć, jak trzeba zbudować doskonały awangard: wiedzcie, szanowni ojcowie, że idą naprzód piesze pikiety z szańcowemi instrumentami. Gdy wchodzą do obozu, zaraz zajmują posterunki do pilnowania. Artylerja za niemi, z boku dwie piechotne kolumny. Przed każdą eskadron kawalerji dla udeptania trawy. Obóz idzie dwoma sznurami, za nim wagenburg. Na wieczorną zorzę strzela wiestnicza armata. Chór muzyki przy każdym pułku, piesielniki, litaury i dwóch trębaczy. Moi sołdaci są zahartowani, noszą wszystko na sobie — nietylko karabin i miecz, ale nawet szańcowe instrumenty i materjał do namiotów. Nie znamy teleg! Jesteśmy rzymscy legjoniści i może nawet więcej. Ale dotąd ubrani nieodpowiednio — po prusku — moi żołnierze mieli harbajtle, godzinami żołnierz w kazarmach musiał kredą i gumą nacierać sobie włosy, wciągać niepojęte dlań części ubrania. A teraz moi żołnierze ubrani są tak lekko, jak ja w rannym negliżu — czyli jest pół miljona Hryćków Neczesów! Kurtki krótkie, kaski lekkie z plumażem, czechczery ze skórą w dole układają się wprost na obuwiu — zapinać je łatwo na sześć guzików miedzianych. Do łba służy dziesięć własnych palców... Latem będą nosić kitle i szerokie spodnie. Rosyjską armię lekko odziać — jest to samo, co przepłynąć Rubikon! —

Szmer zachwytu rozległ się w szeregach teologów. Imperatorowa się śmiała, co było najwyższem zwycięstwem.

— A teraz, mości generałowie, odpowiedzcie mi, czy jam powinien bać się djabła czy nie?

— Jako Feldmarszał — pluć jemu w rożu, jako chrześcijanin podgiąć przed nim chwost! — zawyrokował Suworow i zaśpiewał koguta.

— Brawo generale! Ot i teologowie zapędzeni...

A teraz kupiecki stan niech ma też swój głos! —

Wprowadzono kupca podróżnego, który dziko ogląda się i żegna.

— Rad, że was oglądam. Kto — skąd i poco?

— Aprielejszyj kniaź — jestem Spirydon Parfionowicz z Tuły — cześć mam przedstawić się. Nakazał nam kurjer wasz — zbieraj się szybko — prawi —

— A czemu zwiesz mię Aprielejszym?

— Bo słyszał ja w Awguście, jak zwali was Awgustiejszym.

— Ot jak... a co umiecie pozatem, Parfionowicz?

— Wszystkich świętych na pamięć.

— Znaczy się kalendarz! Podać mi tu największy!

— Ja niegramotny — ze słuchu cerkiewnego znam.

— No, kiedyż jest dzień wielebnego Kiriaka? — egzaminuje xiążę, sprawdzając w kalendarzu.

— 29 septembra. Tedy jest i Teofana i męczennicy Dady.

— Celnie. A męczennicy Arefy?

— I wraz św. Atanazego — 24 oktobra.

— A twojego Spiridona?

— I takoż Aleksandra męczennika 12 decembra.

— Na sławę znasz kalendarz i świętych, Spirydonie Parfionowiczu. Telegą-ś przyjechał?

— Tak właśnie, Aprielejszyj Awgustiejszyj!...

— No, to spiesz zpowrotem, gołąbku, interesy twoje czekają. Tylko żebyś mi ani przenocował tu w Kijowie, Spiridon Parfionowicz, jamszczika zdrowo wal po karku! Kłaniaj się swej żonie ode mnie, a synów daj do szkoły, żeby takimi durniami, jak ojciec nie byli. —

Kupiec, nieugoszczony ani obdarzony nagrodą, w pokłonach niskich oddala się.

— Ot, i przemysłową część zwalili z barków — — A teraz wojenni, cywilni i bogosłowy odpowiedzcie, na co ja posłał po trzewiki modne do Paryża? Kto zgadnie, temu tysiąc dusz? —

Milczenie grobowe.

Zaśmiał się d'Arżanow, grający w szachy z angielskim posłem.

— Jeśli odgadnę, zażądam à discretion...

— Zgoda à discretion, ale choć wy Mistrz Magji Czarnej — stracić każę, jeśli nie zgadniecie!...

— Dusza wielkiego człowieka jest hieroglifem. Potrójne znaczenie miały hieroglify: dla demosu, dla kapłanów i dla najwyższego Wszechwtajemniczonego — Arcykapłana Faraona.

Więc i naród rozumie to tylko, że Wielki Człowiek posyła po ogórki do Niżnego Nowogrodu, że kurjery wiozą rybę z Astrachania, z Uralu kawior, z Mołdawji kapustę, z Kaługi ciasto, z Paryża trzewiki... Kapłani zaś widzą, że koronki wasze idą przez kontrabandę...

— Szczob ty łopnuł! — mruknął z kozacza kniaź... — Nu, a co wiemy tylko ja, Wszechwtajemniczony, i Wielki Kofta?

— Że trzewiki z Paryża przywiozą wam list od kochanki ministra francuskiego i ta wyda ważne papiery w sprawach polskich — w sprawie sukcesji tronu polskiego dla Wielkiego Człowieka! —

Porwał się blady z roziskrzonem okiem xiążę Taurycki, straszny jak lew zaczepiony w swej jaskini.

— Kto się ośmiela wydawać me sprawy? — ryknął, nie spostrzegając w pasji, że potwierdza zarzuty.

— Verbum nobile — stabile! Tysiąc dusz wam oddaję. Czy mam jeszcze dodać, że kochanka ministra jest w loży masońskiej siostrą Milczącą? — zmieniła się twarz Patiomkina.

Zaczął się śmiać — i wołał klaszcząc: — Brawo, brawo! Pierwszy rosyjski Cagliostro — — wygrał... Bawmy się, póki żyjemy!

Jouissons du présent —
L'avenir est aux fous!

zaśpiewał. Cała sala zaczęła ryczeć pieśń bulwarową przy biciu straszliwem dzwonów, kołataniu grzechotek „Czumy" w świście kos — któremi w powietrzu machały zmory i djabły, wzniesione na olbrzymich szczudłach lub wieżach z kołami.

Wielki xiążę Paweł i wielka xiężna zatańczyli menueta, wnet zaczęły się kontredanse i polonezy. Damy w ruskich ubiorach, lub w mundurach gubernjalnych, maski, domina, wenecjanie, kapucyni... Zaczęły występować na estradzie baletnice i tancerze — słynny Pik dla tańców charakterystycznych, w balecie zaś Rosetti.

Płyną w powietrzu gondole, sypiąc kwiatami — tam śpiewają kastraci pod przewodem Marchesi'ego; na scenie teatru postacie Armidy i Reno ze słynnych podówczas oper — akompanjowały śpiewem, tworzył się groteskowy, iście szalony i niepozbawiony wielkości nastrój — szczególniej gdy organy zaczęły grać marsza żałobnego i podjechał karawan. Wsiadł Pluton z prześliczną swą córką Skawrońską jako Amorem do karawanu, który zapłonął feerycznemi ogniami, Imperatorowa zaś jako Demeter wsiadła do rydwanu. Ciągnęło ją sześciu negrów z ogonami pawiemi na głowach.

Miejsca u jej nóg zajęły cztery ulubione: — staats dama Branicka, frejlina Protasowa, siostra feldmarszałka Rumiancowa — hrabina Brüss, wiernie popierająca Patiomkina. Czwarta zaś miła dowcipna frejlina Elmt.

Jechały przez dalsze komnaty, antyczno sielankowe, wyłożone dywanami.

Tłum szalejący, jak za czasu rzymskich Cezarów napełnił ogrody, gdzie były altany oplecione różami i mrok nocy obok gorejących fontann.

Imperatorowa wstąpiła do wiejskiej chaty, skąd wyszła jako Persefona. Niestety, strój młodości uwydatnił jej nieforemną starość. Mimo to rozległy się frenetyczne okrzyki.

Wnet z krateru buchających ogni wyszedł Pluton.

Teraz nie obowiązywała już toaleta, wiele dam zdjęło maski. Przed Plutonem, aby go odciągnąć od Persefony, jęło tańczyć dziewięć Charyt i dziewięć Muz.

Górowała pięknością hrabina Skawrońska — wzór głowy dla Amora; xiężna Dołgorukowa i jej matka, xiężna Bariatyńska; hrabina Czernyszowa... Prześliczne panny Naryszkiny, frejlina Razumowskaja.

Wśród Muz była Sołtykowa, Szuwałowa, Zagriażskaja, Osterman, xiężna Daszkowa, Diwowa, Puszkina i stara matka feldmarszałka Rumiancowa.

O niej mówiono, że jest vielle comme les rues, stara jak ulice — ale żywa, bystra mimo swych lat, wesoło, dowcipnie umiała opowiadać o dworze Ludwika XIV, na którym i o założeniu Petersburga, przy którem była już dorosłą panienką.

Imperatorowa czuła się zmęczona; była w tym wieku, kiedy namiętności bezpośrednie już przygasły: pochowała wszak już i Zauskaja pięknego tak nadzwyczajnie, a głupiego jeszcze nadzwyczajniej; ożeniła już Jermołowa i wyposażyła sześcioma tysiącami dusz w gubernji Mohilowskiej.

Minęli bracia Orłowy, król Stanisław, Serb Zoricz — a teraz Mamonow nuży ją i nudzi. Już obmyśliła mu dalszą przyszłość, ale boi się pustki przy sobie. Materjalizm jej żąda wyczuwania kogoś stale i blisko siebie, inaczej czuje się pogrążona w niebyt. Dlatego tłumnie cisną się wszelkiego rodzaju ambasadorzy i awanturnicy, pewni dobrego przyjęcia.

Więc bawi ją generał-adjutant hr. Anhalt i hrabia de Ségur poseł Francji, i szkaradny, ale wesoły i bystry Kobencel, i Anglik Fitz Herbert — dziwak miły i uczuciowy, zręczny dyplomata, dobry przyjaciel, niebezpieczny krytyk.

Nadewszystko łaskami cieszy się feldmarszałek austrjacki słodki jak patoka, bystry jak libella xiążę de Ligne. Zasiedli na jedwabnych kozetkach. Zaczęła się mowa o Kijowie.

— Tylko mówcie panowie trzy rzeczy: prawdę, prawdę i prawdę! — zachęciła Imperatorowa.

— To najwspanialsze miasto, jakie widziałem — zawołał Kobencel.

— Bardzo nieciekawe! — rzekł Fitz Herbert. — Ruiny, które już są niczem, albo chatki, które jeszcze nie wyrosły nad nędzę. Jeden pałac xięcia Tauryckiego na Peczersku taki, że zda się nam europejczykom, iż jesteśmy w Kairze... —

Nastała chwila niebezpiecznego milczenia, bo Katarzyna II, dopraszając się ustawicznie, nienawidziła wszelkiej śmiałej krytyki.

Naprawił hr. de Ségur: — Kijów — to wspomnienie wielkiej przeszłości i nadzieja na wielkie miasto — w najbliższej przyszłości! —

Imperatorowa uśmiechnęła się i — ziewnęła.

Daremno xiążę de Ligne, pierwszy causeur salonowy podchwytuje tematy o Francuzie Bonnevalu, który stał się Turkiem, o sknerstwie Marji Teresy, lub niezawodne nigdy — komplimenty pod adresem samej Imperatorowej.

Ta dziś jest nie w humorze i chce jej się płakać.

De Ligne pyta, jakiem bóstwem ona sama się mieni?

— Mylisz się, xiążę — nie chcę być bóstwem, nie jestem zazdrosna, jak Junona — nie jestem tak próżna, aby równać się z Minerwą. O Wenerze zbyt wiele krąży plotek, a Cererą być nie mogę mimo najlepszej chęci — bo urodzaj w tym roku był niewielki!...

Najwyższe podziwy dla tej odpowiedzi. Ale Imperatorowa szuka kogoś oczyma. Wzrok ma krótki, pochylając się, kładzie na ramieniu Plutona swą rękę pulchną, czyniąc jakby miłe têtе à têtе.

— Kto jest ten w papuzim tużurku?

— Korsak, przezwał się Korsakow.

Hula teraz... Zapomnieliście go tak doszczętnie, Katieńka? Dostał od was sześć tysięcy dusz i dwieście tysięcy na podróż zagranicę i brylantów na czterysta tysięcy. Mieszkał na wsi, teraz hula... tu przyłączył się, by łowić — jeszcze nadzieję!

Śmieje się Imperatorowa, lubi szeroką naturę u swych faworytów.

— A ten emablujący wszystkie frejliny?

— To nasz zięć, mąż Skawrońskiej — Piotr Iwanowicz Sapieha... Przegrał majątek cały w Mohilowie.

— Wszakże zrobiłam go karmerherem i dałam majątki nowe?

— Znów niema nic, ale nie troska się!... Jemu i morze

po kolana, jak butelka pusta przyczepiona na sznurku do wielkiego okrętu, płynie i tańczy na falach.

— Tamten huzar tańczy znakomicie!...

— Przyzwać tego porucznika! — zawołał kniaź. — To młody Engelhardt. Stary — Katieńka — był w Peterhofie podczas tej nocy, kiedy to Orłow ratował Piotra III. od ataku apopleksji! —

Nozdrza wydęły się możnej damie, jak panterze węszącej krew. Ale nie była okrutna, więc prędko uśmiech wrócił na jej oblicze i uśmiechem powitała wspaniałego grenadjera, który prezentując się jej, stał wyciągnięty jak stalowa struna.

— Tak, pomnę — ojca waszego znałam kapitana... Trzeba, mój xiążę, abyś pomyślał o tej rodzinie. Nie chcę być niewdzięczną — niewdzięczność w monarsze jest albo wyznaniem bezsilności, albo wyrzeczeniem się sprawiedliwości.

— Z tą rodziną jestem spokrewniony, siostra ma za Engelhardtem, ale co najważniejsza —

I tu szeptać począł.

Imperatorowa skinęła ręką porucznikowi, który odszedł pełen najsłodszych nadziei, widząc się już to generałem, już to jednym z głównodowodzących.

— Ta druga to właśnie Engelhardt?

— Pierwsza Skawrońska...

— Ależ naturalnie, wiem — lat temu dwadzieścia i dwa — pierwsza wiosna nasza na daczy wśród słowików i lasu, nad jeziorem, pomnisz? —

Kochankowie starzy uczuli dreszcz wspomnień.

Mógł teraz Patiomkin zażądać, jak Salome głowy świętego Jana, lecz na szczęście — był dobroduszny i nawet szlachetny — nie zażądał!

Drgnęła i szarpnęła gniewnie chusteczkę.

— Co tobie, Katieńka?... Ten staruch bazyljanin znieważył was w Ławrze, a nic mu zrobić nie możesz, co byłoby godne waszego majestatu... Ale to już nie powtórzy się — do Ławry nie pójdziemy.

— Tak, to zmęczyło mnie — ale właściwie — już nie dbam. Moja natura energiczna szuka zapomnienia w jakimś wielkim czynie. —

Wzięła pod ramię Plutona i zaczęła iść dokąd — jedna to wiedziała, bo za chwilę stała już przy markizie Kornaro.

— U nas dziś swoboda, podaj markizie rękę. Twój rubinowy krzyż dobrze odbijać będzie przy mej pogańskiej szacie. Mówimy z xięciem o sprawach państwa — jeśli was to nie nuży?

— Racz, Najjaśniejsza Pani — mówiąc, zapomnieć o mej obecności.

— Przeciwnie, chciałabym was nie znudzić.

— Więc — rzekła zwracając się do kniazia, a chcąc mieć w markizie świadka swych wielkich idei — już teraz nie będziesz mi się więcej sprzeciwiał — musimy ukończyć sprawę włościańską!...

— Doskonale, lecz jak rozpocząć tego szczupaka? Od ogona bije Pugaczow, od pyska — zębami nas chwycą pomieszczyki.

— Zrobiłam sama nakaz o chłopach. —

— Z Monteskiusza i Bekkarji, — wtrącił złośliwie kniaź.

— Ach, jaki niedobry! nikt mnie kobiecie pomóc naprawdę nie chce — gdybym była mężczyzną, nie byłoby krzywdy w mojem państwie. —

Piękne jej oczy zaszły łzami.

— Ministrowie wykreślili mi połowę nakazu, zbyt liberalny! Wykupuję chłopów od złych obywateli — wszystko daremno! Wydano z bardzo wspaniałemi ilustracjami książkę w Paryżu.

Niejaki Chappes opat — swą podróż opisuje po Rosji, gdzie widział częste licytacje: na jednej sprzedano rodzinę żołnierza, jego żonę z dzieckiem, matkę i ojca starego. Wszystkich wywieźli w różne strony — i odtąd nigdy nie widział żołnierz swego ojca, ani swej żony. Tylko pies powlókł się za obłąkanym z żałości dziadem staruchem. — Jak zaradzić złemu?

— Eh, matuszka — nie my świat zbudowali, nie nam go przeobrazić! Ktoś musi płakać, aby śmiał się ktoś, jak rzekł Hamlet. Nie czas o tem myśleć, gdy musimy mieć pięćset tysięcy wojska na wojnę z Turcją i swobodne ręce w Polsce.

— Z tą krainą musimy skończyć!

— Znów powtórzę — wszystko zależy jak? — z Prusami, czy Rosja sama?

— Zaczęliśmy na współkę. — —

— A to był błąd.

— Idea rozbioru narodziła się tam w Berlinie.

— Fryderyk Wielki — zapewne.

Ale też i swojska petersburska intryga: hrabiowie Orłow i Czernyszow chcieli odemścić się na Stanisławie za list jego do was, Katieńka! W liście tym on skarżył się na nich.

— Nie pomnę.

— Nic dziwnego, bo list nie doszedł. Przyjaciel Stanisława hr. Osten Saken doręczył zamiast wam — im.

— Jakie lekceważenie dla mnie!

— Nie, tylko wyrachowanie, że bliżej do Stiepana niż do pana... Tedy zemsta narodziła ideę rozbioru — porozumieli się z xięciem pruskim Henrykiem.

Brat jego, król Fryderyk, chciał złączyć Berlin z Koenigsbergiem, rozdzielonym przez xięstwo Warmji. Lecz Rosji zdobywać więcej ziemi, zbliżać się zbytnio do niebezpiecznej Europy — na co?

Mądry Panin także nie chciał, jak to doskonale wiecie.

Ale Prusy wiedziały, że wtedy tylko umocnią się bezpiecznie, kiedy Rosja przystąpi do podziału.

Francuski gabinet zdradził Polaków, uwiadamiając Fryderyka, że Rosja i Austrja chcą zorganizować sprawy polskie. Rosja wciąż obiecywała Polsce nierozdzielność!

Wtedy król pruski wywołał w Polsce demonstracje przeciw Rosji — a my i Polacy daliśmy się wziąć na pruską wędkę!

Jedyny człowiek u nas, który w tym interesie rąk ma-

czać nie chciał — Panin po rozbiorze oddał otrzymane polskie majątki swym sekretarzom.

— Wybacz, markizie — rzekła uprzejmie Imperatorowa, — że nudzimy cię sprawami, o których nie masz najmniejszego pojęcia — mais je travaille sur la peau humaine! Jesteś tak daleki od tych smętnych zajęć — — zapewne gdzieś nad zatoką wśród gór Cypru masz kochankę, która zrywała dla cię jeszcze niedawno ametystowe winogrady?

Wszakże masz kochankę?

— Nie, Najjaśniejsza Pani.

— Ale miałeś?

— Nie, doprawdy — —

— To interesujące. Niech tylko skończę z xięciem o polityce, zaraz pomówimy o czemś bardziej zajmującem.

Uwagę ich narazie zajęło widowisko żywych obrazów!

Pod kierunkiem rzeźbiarza Pigal utworzono wspaniałą grupę, naśladującą jego słynny barelief: Aleksander Wielki oddaje kochankę swą, Kampaspę, malarzowi Apellesowi. —

Rozległy się okrzyki na cześć Sztuki i Artyzmu.

Imperatorowa stanęła na wzniesieniu małej pagody, xiążę Taurycki, starając się być jaknajbliżej ciał — podbiegł do malowniczego pochodu.

Markiz Kornaro chce zostać nisko przed pagodą, wtem uczuł na swych włosach rękę.

— Tu wyżej — niema dziś etykiety.

Pagoda nazywa się: Sacro Santo Far Niente.

W najgorszym razie, kto przekroczy etykietę — będzie musiał przeczytać kilka wierszy z Telemachidy mego nadwornego błazna Tretjakowskiego. Nazwałam go tak, gdyż błazen a poeta bywa tem samem, nieprawdaż? Musiało tak być i w Grecji?

— Jedynie na dworze tyrana Djonizego i wśród motłochu Aten zepsutych.

Poeta w Helladzie to człowiek wsparty na własnej duszy, wierzący w swą moc i w swe prawo — iść z narodem lub przeciw narodowi, gdy wyższe przeznaczenie nakazywało iść mu wzwyż.

— Odgaduję w tobie poetę, markizie. Bliżej stań, tu w cieniu, tu nas nikt nie widzi. Jeśli jesteś poetą, radam niezmiernie. Chcę ułożyć epitafium dla mego biednego umarłego pieska. Lecz daremno brałam lekcje rymotwórstwa od de Ligne'a i Ségura, nic ale to nic ułożyć nie potrafię! Mówią, że nie mam imaginacji. Jak wyrobić ten talent?

— Wspaniałe — patrz, markizie: idą rzeźby, a raczej żywe posągi na rzeźbach Falkoneta wzorowane. Kochany xiążę Taurycki, co za genjalność, co za wyobraźnia!

Patrz — w tych arkadach czerwonych te potężne straszliwe bary — ten Milon Krotoski, mój miły Mamonow...

Pigmalion wykuwający Galateę — w świetle zielonem nadziei — to porucznik Engelhardt i Naryszkina; biała Ifigenja przed ołtarzem — to dziewica Pierekusichina, bardzo uczciwa, a wierna mi, jak — eunuch.

Kroczący Chrystus w więzach — to mnich, kniaź Dołgorukij.

— Nie zakrywaj oczu, na mnie patrz — mówiła gwałtownie i nie wiedząc co mówi. — Jedyna rzecz, która mi została jeszcze — to oczy i piękne piersi. Mam lat pięćdziesiąt dziewięć, trzy razy tyle co ty? No, zapłacisz markizie czytaniem Tretjakowskiego brak etykiety... Jakiegoż niepojętnego syna wyspa Cytery — a może Lesbos? Wyspa miłości kobiet?

Markiz uczuł się blisko przyciągniętym, usta uczuły żar, wielkie pulchne ciało okrążyło go niemal — i nie wiedział, czy ma się zabić, czy uciekać?

Nagle — huk armat, straszliwe dymy wylatujących rakiet — na gigantycznym koniu wspinał się na skale, w zbroję okuty Piotr Wielki.

Arżanow! Poznał go markiz po łunie czerwonych włosów i nieporównanej stalowości ruchów.

Tłum skamieniał, milcząc.

Z wzniesionej buławy Arżanowa zaczęły się sypać rakiety, wijąc tysiącem ogni — utworzyły w powietrzu cyfrę Katarzyny II.

Rozległ się hymn potężny na paręset głosów: Ciebie, Boże, chwalimy — baterja z dziesięciu armat strzela w takt.

Na: Święty! Święty! Święty... ziemia zaczęła dudnić od szybkich grzmotów.

Katarzyna zmrużyła krótkowzroczne oczy i pociągnęła markiza nad urwisko Dniepru, gdzie była balustrada i mniej raził przepych iluminacji.

— Usiłują mnie zabawić, poczciwy Taurycki i Mamonow — a chce mnie zastraszyć swą wyzywającą pewnością d'Arżanow... Jakaż nędza tych wszystkich ambicyj — i tej wulgarnej zmysłowości — i tego bezprawia, udającego najwyższe prawo...

Markizie — znasz wyższe drogi — niż takie życie? Czy wiarą żyjesz, czy masz i wiedzę — jaką pono istotnie mają Różokrzyżowcy — i Templarjusze... Nie pragnę regulaminu tych zakonów — daj mi wiedzę swej duszy!

— Wiedza ta wpłynie do twojej, o Monarchini — gdy uczynisz sprawiedliwość narodom nieszczęśliwym.

— Markizie, poruszyłam już Spartę wojnami memi z Turcją! Zdobędę dla ciebie królestwo Hellady — bądź mi, jak mówi Arystofanes — Dajmonem, jak mówi Zoroaster — Epipsychidjonem... Daj mi swą wielką czystą miłość!...

Imperatorowa była szczera w swym porywie. U natur gwałtownych przychodzą nieraz momenty najdziwniejszego kontrastu. W chwilach takich Iwan Groźny szedł do monastyru i zrzekał się korony, kajał się, jak ostatni nędzarz. Encyklopedyści, rozświecając umysł Katarzyny, Wolter — wyzuwając ją z więzów sumienia — nie zdołali do końca wygnać porywu serca za czemś jedynem, najwyższem, najcudniejszem.

I teraz jej zmysłowość, dochodząca do granic wszeteczeństwa i jej uczuciowość, — zdolna tygodnie całe nie spać nocami przy umierającym kochanku — wystrzeliły dziwnym, dla niej samej nieoczekiwanym, raz jeden w ciągu jej życia zakwitającym kwiatem: mistycznej miłości!

— Nie lękaj się, nie spotka cię już los tamtych — zwierząt. Zarzucają mi, żem je zmieniała. Czyż nie lepiej bawić się jakkolwiek menażerją, niż nudzić zamknięta

w klatce — z jednym pawjanem? Lecz mam dość tych zwierząt i pół ludzi... nawet już nie chcę... ludzi... pragnę Serafina.

— Widziałeś d'Arżanowa? wsparty na olbrzymim koniu szturmuje piekło! Ty szturmujesz gwiazdy, o których mówi gdzieś Dante...

Mogę oddać wszystką siebie — za cenę wszystkiego.

— Ja także! — wyrwało się nieopatrznie markizowi.

— Czegóż więc żądasz, jako wiano naszych duchowych zaślubin?

— Wolności mej ojczyzny.

— Nic łatwiejszego... Cypr ostrzelać każę mym okrętom — stary Cziczagow płonie, aby się odznaczyć. Spartę ci oddam — zapomocą jednego z pomniejszych paragrafów w traktacie z Turcją.

— Milczysz, to wszystko nic! Żądaj — żądaj niewysłowienie śmiało — a ja zażądam też wszystkiego. Mam Turków wypędzić z Europy? Dawno już podmawiają mnie filozofowie.

Bądź mą Joanną d'Arc, mą pucelle. —

Drgnąłeś? Odgaduję — jesteś Gynandrem, tajemniczą istotą, gdzie duch męski łączy się z całą wspaniałością Afrodyty! Masz w sobie coś niewieściego i hart Archanioła — jesteś jakby Apellinem Muzagetą.

I będziesz mię miłował — jak nikt dotąd? Mnie, Słońce Gasnące — nurzające się w mrokach śmierci — otoczysz szaleństwem wiosny!! i poezji — — markizie Kornaro — czyjej wolności żądasz?

Z pół miljonem mej armji — wyślę wodzów, jakich znała tylko starożytność, wszak nawet Hannibala i Pindara przewyższają Rumiancow, Taurycki i Suworow!

Za wszystko — wszystko.

Wolność? jakiejże to krainy, jakiego narodu — że taki zamróz ściągnął twe usta?

— Republiki. —

— Amerykańskiej?

Zaczęła mówić Wita z natężeniem woli — nie zdradza-

jąc jednem drgnięciem — w jakiej burzy leci jej myśl, jakie zmęczenie fizyczne i duchowe pokonywa, żyjąc tak gorączkowo już od tygodnia.

— Między Wschodem a Zachodem jest kraj niebroniony przez góry, przez morza, ani szeregi zamków i fortec. Sąsiedzi przechodzili swobodnie najpierw jako kupcy, potem wiodąc zbrojne zastępy.

Wreszcie widząc te pola żyzne, szumiące morzem kłosów złocistych, na chleb powszedni i na komunję kościelną przeznaczonych, widząc, że bracia starsi w tym kraju zapomnieli, iż życie stało się już od czasów Kaina walką bezlitosną — skorzystali z tej niezbrojności i pod wielu foremnemi pretekstami [żmija tak nie zdołałaby kłamać swym dwużądłym językiem, jak dyplomata] — zabrali wielki obszar tej krainy.

Król, związany tajemnem wspomnieniem z pewną monarchinią — wstrzymuje energiczne zbrojenie się kraju, wierząc, iż z północy przyjdzie pomoc. Jego naród, który kiedyś miał stolicę państwa północnego w swem ręku i łatwo zrzekł się podboju, ma nadzieję, że z taką samą spotka się wielkodusznością!

I może stałoby się tak, gdyby nie szakal na tronie — Fryderyk II.

On stał się wyrazem europejskiej polityki, a raczej tej absolutnej perfidji, która w niższych warstwach karana jest pręgierzem, u wyższych, ważniejszych osób — zaszczycana mianem: Rozum Stanu!

W imieniu Słowian wymordowanych nad Łabą, których resztkami jest dom xiążąt serbskich Zerbst — w imię zresztą ogólno ludzkich i niemieckich uczuć, w imię św. Ottona Bamberskiego, w imię wyłaniającego się we Francji braterstwa ludów — w imię nowej idei Słowiańszczyzny sfederowanej — niezależnych narodowości rosyjskiej, czeskiej, polskiej, serbskiej, bułgarskiej, chorwackiej i rusińskiej — wzywam cię i zaklinam — stań się Genjuszem Świata! Cóż z tych namiętności i władzy — jeśli nie zapalisz w sobie idei rozwoju ludów?

Zaklinam Cię: oto w Turcji pięćset lat jęczą Słowianie... Oto Czesi zgnieceni nawałą niemiecką... Oto Polska Republika wali się pod naporem sąsiadów.

Rosja sama w jakimże pogrążona fanatyzmie, utrzymywanym przez wsteczniczy kler — w niewoli chłopów — którą oczami i sercem ujrzał Radziszczew — a za to mu grozi wysłanie na Sybir!

Dana ci w rękę — o Monarchini — nadludzka potęga. Wyjrzyj za mur pochlebnych kłamstw, któremi cię otaczają dworzanie, Wolter i polscy magnaci. Wejrzyj w istotę ludzkiego jestestwa — zabłyśnij jak jutrznia wieczorna światłem błogosławiącem ziemi — — stań się jestestwem wyższem niż kobieta na tronie — stań się Kapłanką Słowiańszczyzny — ty, xiężniczko Serbska — ty, ostatnia z Wenedów!...

Imperatorowa odchyliła się gwałtownie. W mroku — blask djamentów czy fosforescencja oczu rozświetliły jej twarz: wpatrzenie wzroku w Komnatę Wewnętrzną, gdzie na progach świetlanych drżą natchnienia. Podniosła wreszcie wzrok na markiza.

Archanielską stała się jego piękność — w szacie czarnej aksamitnej — w oświetleniu łuny modro szafirowej! Wydawał się mieszkańcem innej planety, o której grają na instrumentach niewidzialnych wieszczki w godzinę wieczornej zadumy.

— Zwyciężyłeś mię, Duchu Nieznany!

Ale ten — zemdlał, runąwszy na podłogę głową wstecz tak silnie, jakby skoszony śmiercią.

Z żarem namiętnej czułości Katarzyna podniosła głowę tę o bujnych złotych włosach jakby świętego Jana u Dürera — i położyła ją na dłoniach swych.

Łuku warg nie dotyka z niespodziewanem dla niej samej uczuciem zbożnego misterjum. Wpatrzona w oczy, mające się rozewrzeć — widzi jeno punkciki gwiazd mżące na krzyżu, gdzie są naszyte rubiny.

Wtem kroki: okuty w zbroję, jako Piotr Wielki, stanął d'Arżanow.

Wzdrygnęła się Imperatorowa.

— Nie wzywałam was!

— Tylko niewzywany przychodzę.

— Jak nieszczęście!... Zawsze mi wnosisz strach i wyrzuty. Czego żądasz?

— Rozkazu dla Kachowskiego, aby zajął wojskami Polskę aż za Warszawę.

— Do czego ty dążysz? — spytała Imperatorowa z wyniosłą dumą.

— Na mnie czas jeszcze nie przyszedł.

Proszę w imieniu cywilizacji — w imieniu Raison d'Etat!...

— Który jest tobą, chcesz we mnie to wpierać — !

— Lecz działa przez was, Monarchini, i waszych najbliższych! Kniaź Patiomkin pragnie korony polskiej pod waszym protektoratem. Masonerja nasza chce uzyskać tam swój Wydział dla spraw religji i sumienia.

— Precz, precz — nie masz prawa rządzić sumieniem innego narodu.

Mój archanioł zabłysnął i jest przy mnie.

Markizie Kornaro, ocknij się nakoniec! Nie opuszczaj mej duszy. Wszystko — czego żądam od ciebie — jest — abyś dał rację mej tęsknocie za duszą, za nieśmiertelnością! Arżanow zmusił mnie duszę przekląć i żądać stanu zwierzęcego. Nie opuścisz mię, prawda? — błagała — unosząc głowę przebudzonego już kawalera Maltańskiego.

— Monarchini! — rzekł ten cicho — będziemy przyjaciółmi na wieki, lub na wieki wrogami.

— To pierwsze, — zawołała Imperatorowa.

— Tak zaiste, — zawołał Arżanow — markiz Kornaro jest mym najwierniejszym sobowtórem.

— Co on mówi, — zawołała Imperatorowa. — Każ złemu Kusicielowi, aby odszedł precz i nie wracał — nigdy — w granice Rosji!

— Kawalerze Kornaro — zawołał zimnym, przeszywającym głosem d'Arżanow — upewnij monarchinię, że ma we mnie najprzywiązańszego syna! —

Krzyknęła Imperatorowa i zakryła twarz.

— I że tron Piotra Wielkiego po Katarzynie Wielkiej może zająć tylko — Wielki Kofta! —

Wita opanowała się już cała, stała z ręką na mieczu, oczami pijąc natchnienie z ciemnej nocy.

— Nie żądajcie ode mnie teraz odpowiedzi — ja powiem wam — powiem — tam na Górach w Kaniowie!... Teraz idź stąd, kawalerze d'Arżanow... wielkie luciferyczne twe skrzydła powinny rozwierać Bramę Światła, a nie wytępiać jeszcze tę odrobinę humanizmu i cywilizacji...

— Rezonujesz, zamiast mię słuchać? — zakrzyknął Arżanow, widząc że markiz zachowuje się zbyt samoistnie.

W niej zaś nastąpiła straszliwa przemiana. Brwi ściągnęły się jak orlicy spadającej z chmur na wyzywającego ją węża. Włosy najeżyły się, z oczu mignęły błyskawice, a kule źrenic wydały się napełnione gwałtownym ogniem.

— Nie mówisz do niewolnika!

— Won! — zawołała nakazująco Imperatorowa.

D'Arżanow skrzyżował ręce na piersi. Zmagał się wzrok jego z oczyma Wity. Imperatorowa dla niego jakby nie istniała.

Ta, czując walkę straszliwą, z lękiem mimowolnym spogląda. Zimny okrutny wzrok magnetyzera uderzył w duszę Wity.

I już — już ma upaść u nóg kapłana Sziwy z pianą na ustach, gdy niespodzianą natchnięta mocą, podniosła miecz w górę:

— Jeśli możesz mi zaprzysiąc z głębin twego jestestwa — że tylko Piekło rządzi istnieniem — uwierzę Ci — i przeszyję me buntownicze serce. Zwyciężaj, rycerzu mroków — bo walczyć będę o całe życie wysokie od ziemi do gwiazd! —

Meteor rozdarł niebo tak gwałtownie, że zbroja d'Arżanowa zdawa się objęta pożarem zielonym, lawą nieziemnego wulkanu.

Wzrok zmrużył, cofnął się — i runąłby w Dniepr, gdyby nie wstrzymała go silna dłoń Wity.

Milcząc pochylił głowę Arżanow, odwrócił się — i szybki, jak zwierz w dżungli, zniknął w ciemności.

Zostały same.

— Widzisz — oto pierwszy triumf naszego sojuszu — zwalczyłam lęk przed Wielkim Koftą.

Kim-że chcesz mnie mieć?

Będę strażniczką dobrego sprawiedliwego życia na ziemi. Zwierzęta mnie lubią i ludzie prości. Nie żądaj ode mnie wyżyn. Wszystko to blichtr, stoją zbyt nisko. Niechaj mnie lubi lud wiejski wszystkich narodów — czy to wystarczy?

— I zwrócenie ziem polskich —

Zamyśliła się — chcąc swym praktycznym umysłem znaleść rozwiązanie. Jeszcze chwila, a spotkałyby się ich ręce — wskazówka dziejów pochyliłaby się ku tej godzinie południa, gdy wydzwoniłby na długie stulecia Mir — światu.

Milcząc stały przy sobie.

Znikła różnica stanowisk.

Mała Figchen z domu xiążąt serbskich widziała nakoniec prawdę, odartą z kłamliwych teoryj. I nie mówiąc nic, podała rękę markizowi.

Ten ukląkł — i miał wyznać, że jest polską dziewczyną zrozpaczoną o byt Ojczyzny — gdy rozległ się wesoły głos xięcia Neczesa, idącego z towarzyszami:

— Ej uchá, uchá!... W srebrnej niosą ją wannie, której samo srebro waży osiem pudów. A kosztuje ta jedna potrawka tysiąc trzysta rubli.

Matuszka, matuszka — czeka ogromny tłum w coraz świetniejszych kostjumach maskaradowych! Całą orkiestrę postawiłem piramidą!... Kilkuset muzykantów, na górze Negr olbrzym z trąbą. A do kolacji trzech kucharzy-kontrolerów zabrało się, aby zbadać jaka jest: ja Taurycki, on Branicki — i ten Nassau — Sprytnicki. Hurra, matuszka!

— Hurra! — rozległy się tysiące głosów...

— Na rydwan matuszka! — teraz zagrają tobie: Na mnogija lieta!...

Podjechało sześciu murzynów — laufry, pazie i frejliny.

Wkroczyła na rydwan uśmiechnięta — istna Cerera, zatopiona w wizjach szczęścia dla ludzkości.

Magnaci polscy rzucali czapki w górę.

— Najjaśniejsza Monarchini! — ryczał, jak tur Branicki — ile powodzenia będzie mieć nasza kuchnia — tyle szczęścia dasz naszej Republice!

Potężne zerwały się dźwięki kilkuset trąb, organów kościelnych, bezliku śpiewaków i całej orkiestry Demidowa. Ale, o zgrozo! Nie radość, nie huczne wesele i szczęście światu — zahuczały potężne ponure złowrogie akordy, grające Dies Irae! Koncept xięcia, omyłka? Lub może czyjś djaboliczny nakaz?

Kniaź Patiomkin chwycił się za głowę. Na twarzy Imperatorowej tragiczny lęk.

Obejrzała się za markizem Kornaro — wzrok jej daremno usiłował przebić ciemności. Żałuje, iż nie zaprosiła do rydwanu młodego Hellena — ale wstyd — wezmą to za amory — tylu już pokazywała narodowi!... Miała ochotę zeskoczyć z rydwanu — biec w mrok — i szukać jedynego. — Spostrzegła Wielkiego Koftę — stał z założonemi na piersiach rękoma, w swej zbroi lśniąc na tle nocy. I odtrącona siłą jego Imperatowa zwróciła się do sali — uczuwszy nagle korne dotknięcie Mamonowa, który ją porwał na ręce z rydwanu i ogromny, atletyczny niósł ją na tron przed biesiadnym stołem.

Marszałek dworu zaprezentował Monarchini nowo przybyłego xięcia Józefa Poniatowskiego.

Z chłodnym wzgardliwym uśmiechem spojrzała w młodziana. Nienawiść, gniew i wzgarda dla nazwiska Poniatowskich zaświeciły w jej źrenicach. Ale wnet zrozumiała omyłkę.

Był w twarzy xięcia Józefa jakiś tragizm i jakaś mistyczna nieustępliwość — jak w oczach dziwnego królewicza Hellenów, który żądał sprawiedliwości nietylko dla republiki Amerykańskiej, maleńkiej górskiej Sparty i wyspy Afrodyty na morzu, ale dla tej nienawistnej Polski!

Xiążę Józef siadł zdala między wojskowymi.

Z panów polskich pozostał najbliżej Imperatorowej brat jego — xiążę Stanisław — kawaler nadobny, jak z porcelany. Omawiał sprawy, dotyczące pensji króla i zapytany, wesoło skręcił w anegdoty z Jeleniego Parku.

Grzmotnęły litaury, bębny, puzony, flety i skrzypce — śpiewacy zanucili Imperatorowej „Na mnogija lieta".

Uczuła się znów znużona, smutna i jęła ją odstępować wiara.

W STAWISZCZACH BEZ DNA

List X. Józefa Poniatowskiego do X. Karola De Ligne

Ratuj mię, Karolu! Że jestem umierający, nie twierdzę, ale smutnym aż do obłędu... Na Dnieprze płynąc w łodzi, opowiedziałem Ci swą miłość. W Kijowie nie widziałeś Wity, ale u Czarnoziemskich mogłeś zmiarkować — czy omyliłem się, mówiąc że Wita jest cudna i mądra, jak archanioł! Piszę ten list z owych Stawiszcz, dokąd jechać wzdragałem się. Król bawi tu incognito. Tajemnica poliszynela... Najjaśniejszy Pan nie chce złożyć wizyty właścicielowi dóbr: niewdzięcznik hetman Branicki — wybrał od króla klucz Białocerkiewski — sto czternaście wsi i kilka miast, nie licząc dwustu tysięcy dukatów — akurat suma, o którą król żebrać ma u Imperatorowej!...

Lecz jak się tu wziąłem — dlaczego ja, nienawidzący listów, piszę i to w nocy o 2-ej, choć niema w tym domu szlacheckim wyjątkowo pcheł — muszę opowiedzieć foremniej. Może mi ulży, jak puszczona krew u golibrody. Daremno próbuję żartować.

Zrywa mię pasja, ból i rozpacz — chciałbym tłuc o ścianę głową — Witę przeklinać, choć ona niewinna! Raczej tylko me własne serce, bo mię uczyniło wulkanem męczarni milczącej. Tobie jednemu ta wieść — a ten list spal!

Historja, jeśli kiedyś co godnego uczynię, niechaj nie ma ani śladu istotnej drogi do mego serca! Niechaj to będzie cmentarz wokół spalonej świątyni...

— Karolu, ja płaczę! W domu wielkim wszystko uśpione. Tłumię westchnienia — ale łzy płyną jak potok, ciemnym jarem mego zwątpienia! Ona mi obca, jak nigdy nikt nie był obcy nikomu. — Nie wierzysz? Zda ci się, że to kochanek w szale chwilowego niepowodzenia skarży się? Wymiarkuj sam.

Wyjeżdżając z Kijowa, uprosiłem wojewodzinę Jabłonowską na matkę Wicie, która jest tam przebrana za młodego markiza.

Matrona mieszka zdala od zgiełku i ma swój dwór. Kazałem dwom Kozakom mieć dozór nad bezpieczeństwem markiza Kornaro, tak jednak, aby tego nie domyślała się.

Sam postanowiłem czekać w Kaniowie. Wtem śni mi się, że odwiedzam w klasztorze młodego xięcia Włastowicza. Dziwnej poetyczności młodzian, ale zdaje się, że nienormalny. Zatopiony w wizjach, przyjął mnie, jak król poddanego. Mówił mi rzeczy szalone i przepiękne. Między innemi — że szukam po świecie tych zjaw, które widuję we śnie. I że teraz należałoby „związać sen z działaniem realnem, każąc mu się narodzić z wnętrzności Bożych“ — „ex visceribus Providentiae“ i że byłoby bardzo mądre być gotowym zupełnie jeszcze przed wezwaniem Rzeczywistości. Jak to pojmować? Potem widziałem we śnie kobietę archanielską, o której istnieniu już wiem i nie z fantazji domniemywam — ta kobieta, przebrana za Rycerza Maltańskiego, gnała na błyskawicy ogniowej. Ale ją otoczył sieciami wróg.

Miałem już te majaczenia zlekceważyć, gdy szczegóły mię zastanowiły: widziałem dokładnie Witę w przebraniu rycerza zakonnika, tudzież jej ojca hetmana i co więcej — widziałem, jako jaskinię zasadzki, karczmę w Stawiszczach koło wieżycy ogromnej... Tak mnie ten sen nastraszył, że wyjechałem gwałtownie w kierunku Stawiszcz.

Nie dojechałem tam jeszcze, gdy wypadli moi Kozacy Hryć i Łew, mający pilnować markiza w Kijowie. Oznajmili, że po dwóch dniach wysiadł ze statku na ląd. Trop w trop jechali za markizem w oddaleniu tysiąca kroków, gotowi na obronę. W lesie ogromnym prastarych lip wypadł z jaru ukryty oddział i zamaskowany pan. Teraz rozmawia on z markizem w karczmie. Nikogo nie wpuszczają.

Ma się rozumieć, natychmiast kazałem gnać za sobą.

Karczma — jak wszystkie w Polsce, ogromna i niechlujna. Rotmistrz gwardji narodowej zagrodził mi wejście. Tusząc, że jacyś zbójcy porwali Witę — zdumiałem się przedstawicielstwu legalnej władzy!

Po ostrym nakazie z mej strony, upewniwszy go kim jestem, zostałem wpuszczony do izby. Kozakom kazałem chyłkiem odłączyć się i być na pogotowiu.

Do izby, gdzie trwał ów tajemniczy ktoś, nie wolno było wejść. Ośmiu żołnierzy w kurytarzu z pałaszami gołemi, z krucicami do wypalenia — nie mówiąc o karabinach!...

Należało jąć się fortelu.

W izbie gwarno i rojno — jako że moc narodu podążą do Kaniowa. Byli to imćpanowie dobra szlachta, acz nie wszyscy posesjonaci zamożni:

Imć Paszkowski z pod Grodna, wesoły i pełen konceptu, imć Przecławski z tych okolic — młody, niesłychanie dziarski wolontarjusz wojenny; imć Warchałowski z Wołynia z małej szlachty, ale srodze butny; imć Janowski z Białej Cerkwi, haniebnie uczony mąż; Meleniewski — istna sosna z ramionami, jak powała nad piecem — i Radzimiński, o którym się dowiesz.

Uznawszy w nich ludzi z dobrego towarzystwa, wypytałem ich szeptem przy kielichu. Paszkowski, który zna całą Rzeczpospolitą, zapewnił, że to hetman Rzewuski wszedł z markizem, zupełnie w Polsce nieznanym. Od pół godziny rozmawiają — nie dziw, bo taki wielki i zacny mąż, jak hetman — troszczący się o sprawę narodu...

Przerwałem — może niezręcznem wyznaniem, że markiz jest kobietą... Tedy na wesołe mrugnięcia wybuchłem pasją, że to jest córa hetmana! I postawiłem się naraz w najgłupszej sytuacji — bo cóż tedy ja, obcy, mieszam się między córkę a ojca? Tembardziej gdy ta rozjeżdża w stroju męskim — sama. I cóż złego, że ojciec monitum wypowie!

Nie byłem nigdy sensatem, dlaczegóż teraz wzięła mię szczerość względem braci szlacheckiej?

Tedy próbowałem odrobić — zwracając uwagę, że hetman w masce, ukrywający swój oddział — nie zasługuje na zaufanie.

Potakiwali mi, ale bez żadnej chęci wplątania się w tę sprawę.

Widząc to, posłałem na kartce kilka słów dla wręczenia hetmanowi — rotmistrz odmówił, iż nikt nie ma prawa wchodzić pod żadnym pozorem.

— Chociażby się paliło?

— U mnie się nie pali — odrzekł zawzięty Węgier.

Coś mi się wydał znajomy — czy nie słynny Gyula?... Łotr nad łotry, ale śmiały i tęgi rębacz.

Z takim nie będą przelewki!

Wróciłem spokojny niby, ale gryząc w myśli swe pięści. Radzimiński przysiadł się do mnie, zdał mi się młokosem. Uprosiłem Przecławskiego, który wydawał mi się mężem najstateczniejszym i rycerskim nawskroś, aby raczył obejść karczmę i zajrzeć jakoś do izby, sprawdzając co tam się dzieje?

Wyszedł, lecz wejście i okna były tak strażowane, że nie można było nic poradzić.

Ba, gdybym nie wygadał się — możeby zaiskrzyli szablami z pomocą!... Lecz zeszedł dobry duch w postaci małego posługacza, który, stawiając wino i zapytany o wejście do tamtej izby, szepnął — że jest przejście piwnicą... Wsunąłem mu dukata, zrobiłem cały plan — wtajemniczając Przecławskiego i Radzimińskiego:

Wejdę podziemiami do tamtej izby. Kozacy moi pod lasem — widzę zdala Hrycia, trzy razy uderzył w drzewo siekierą, niby je rąbiąc, znaczy, że nam grozi jakieś niebezpieczeństwo, trzeba przyspieszać!

Jeśli Wita uspokoi mię, że wszystko dobrze — wrócę tu i poczekam. Jeśli zobaczę jaki przymus, to dziej się wola Boża, z dwoma Kozakami wpadnę, a pan Przecławski powstrzyma szlachtę od wystąpienia przeciw mnie... Tandem okazało się, że mam niezwykłych przyjaciół: Radzimiński, wysoki, smukły raczej na ułana, niż na atletę wygląda-

jący — podjął się wszystkich tam w kurytarzu zakneblować! Myśląc, że warcholi, sfukałem już w animozji, aby nie mieszał się.

Ale jemu na czoło wystąpiły żyły, oczyma łysnął jak żbik, wszedł do korytarza — rotmistrz go za ramię! Tedy on jak nie porwie rotmistrza, a nie zacznie przeć — ośmiu żołnierzy chwyciło go za bary, nagle się stała rzecz niepojęta! Wszystkich ich zgniótł w ciasnym korytarzu, a najwięcej onego rotmistrza, który widząc, że mu żebra będą połamane, szepnął żołnierzom, aby stali bez ruchu.

Tak sam jeden Radzimiński ujarzmił straż!

Odbyło się to wszystko tak cicho, że ani hetman, ani szlachta nie usłyszeli.

Drzwi od izby zawarte, grube, dębowe. Przez klapę w podłodze do izby gościnnej zbiegłem do piwnicy — pachołek dał mi zapalony stoczek.

Pośród butli, wędzonych szynek i antałków, szedłem w półmroku.

Wreszcie schodki. Nasłuchuję. Ani wyrazu jednego! Niepokój mój doszedł zenitu. Podejmować zacząłem klapę. Na moje szczęście hetman był odwrócony. Ujrzałem Witę śmiertelnie bladą ze szklanym wzrokiem patrzącą na mnie, lecz jakby nic nie widzącą.

Umiesz li to pojąć? — ja nie.

Hetman, w dziwnem zamyśleniu wpatrując się w nią, poruszał rękoma.

Było to proste i nic osobliwego, ale zupełnie bezcelowe!

Nie wiem czemu zrobiło mi się straszno. Zląkłbyś się nawet ty, mężny Karolu, tego z francuska ubranego hetmana polnego — o wzroku wężowym, który stał teraz bez maski — a zamaskowany w swych działaniach, jakby demon!

Rozwaga nakazywała mi cofnąć się: skoro nic złego nie dzieje się, zapewne milczą po długiej rozmowie. Wtem wspomniałem we śnie widzianego młodziana, który mnie tu wysłał — jego wielkie, nalane mrokiem oczy, jego mowa,

iż jego dusza jest potężna i ciężka, βαρεῖα — (tak rzekł po grecku) napełniona i wzdęta od życia, ale on działać nie może. A przeto ja muszę wyzwolić tę istotę, z którą on czuje się tajemniczo spokrewniony. Że i ja tu nie będę realnym, lecz raczej alegorją, średniowiecznym i teologicznym stworem, w rodzaju św. Jerzego!... Tom przypominał, gdy hetman w lustrze dojrzał mię i chwycił szpadę.

Wzamian wymierzyłem krucicę.

Wyskoczyłem z lochu.

Pytam Wity, czy pozwoli mi prosić ojca o jej rękę — milczy! Wreszcie rzekła grobowym głosem, że wydana będzie za kogo jej każe władza!... Gdybyś znał tę orlicę i jej wolność duchową — to zrozumiałbyś dlaczego chwyciłem Witę za rękę i ścisnąłem tak nieuważnie, że mogłem zmiażdżyć. Ale była jak z marmuru giętkiego...

Hetman wyczekał sposobności, aby mię przebić. Ten wąż nie umie władać bronią — nim ją wzniósł, już mu złamałem na kolanie.

Wszystko w głębokiem milczeniu! Teraz już i ja nie chciałem przyzywać pomocy: walka była między mną a duszą Wity.

Zwróciłem się do niej, błagałem — czemu nie odpowiada? Rzekłem hetmanowi, że będąc pewny jej uczucia, nie narzucałem się jednak, póki nie chciała wyjść za mąż. Ale gdy ma się to stać, ja będę jej mężem — lub tak kopnę w brzuch Lucypera, że świat zapadnie! Na ślub mój niech przyśle swych rodzicielskich świadków do Kaniowa!... Za trzy dni!

Patetycznie odrzekł, że postępowanie me zgadza się z tyrańskiem rządzeniem mego stryja (byłem mu wdzięczny, że ktoś wreszcie ma stryja mego za władcę), że jednak jako ostatni w Polsce Rzymianin wykaże bezwzględność woli! Mówiąc to, wyciągnął swą laskę w kierunku Wity i — wystrzelił! Ma się rozumieć odbiłem, mniemając, że hetman swą córę chce jeno uderzyć...

A tu była zaczajona śmierć!...

Wystrzał był hasłem do ataku. W jednej chwili zbiegła

się dalsza straż hetmana, lecz już Warchałowski, Abramowicz i Przecławski wymierzyli karabiny wzięte od straży w sieni — a Radzimiński trzymał ośmiu drabów, jak boa, gdy oplecie byka i przyciśnie go do drzewa. Nadomiar dwaj moi Kozacy z lasu wypadli, gotowi walczyć...

Wprowadziłem Witę do karety, nakazując z krucicą w ręce hetmanowi, aby szedł przed nami w masce, jak był uprzednio. Bo mi wstyd było za takich hetmanów w dzisiejszej Polsce...

Brać-szlachta była już na koniach — jechaliśmy huczno i radośnie. Po przejechaniu pół mili puściłem hetmana wolnego, pocałowawszy go przy ludziach w rękę — zawszeć to ojciec Wity, a prędko (tak ufałem, ja biedny!) i mój teść.

Odjechał, wyrwawszy mi rękę — i ugościwszy mnie piorunującem spojrzeniem.

Dziwny zaiste ów syn zacnego hetmana Wacława Rzewuskiego, chcący być wodzem Złotej Wolności w Polsce, a katujący tak najbliższych... Przy karczmie krzyknąłem do mych towarzyszów, że jedziemy do Kaniowa. Ale w gęstym lesie skręciliśmy w bok, do majątku Przecławskiego, imci szlachta zaś do Kaniowa.

Żona Przecławskiego zajęła się Witą. Niestety, ta nietylko nie wraca do zdrowia, ale nawet jakby jest wpół przytomności. Z początku poznała mię — i zdało się, że kocha jak dawniej. Chodziliśmy po ogrodzie, nawet w gronie wielkiem poszliśmy ku jezioru niby w Ostendzie, włożywszy kostjumy, pływaliśmy po wspaniałem jeziorzysku. Zda się, że mit! Tylu pięknych ludzi, słońce praży, w zielonawej lecz przezroczystej wodzie tak wspaniale odbijają się kształty! Wspomniałem Irpeń... wtedy płynąłem obok Wity — i mam ci rzec? Myślałem, że oszaleję ze szczęścia, widząc jej włosy rozpuszczone, widząc jej ciało — nie w wizji już, ale zespolone ze mną przez ten żywioł wodny... Ale teraz ona nie chciała kąpać się, patrzyła zdala, siedząc w lesie pod krzyżem. I widać ta modlitwa zmęczyła ją niesłychanie — tak, że legła zaraz.

Odtąd po całych dniach leży w hamaku, patrząc na długie igły sosny amerykańskiej i szerokie szmaragdowe liście kasztanów. Cudne jej oczy ametystowe stały się głębsze — niemal czarne.

Jest smutna przerażająco. Mówi mało.

Na piasku, kiedy jej nikt nie widzi, wciąż kreśli słowa. Podszedłem raz, gdy mnie nie spodziewała się i wyczytałem — Karolu, zaklnij gromy, aby mnie zabiły! Nazwisko — Arżanowa.

Więc ona kocha jego? Człowiek wspaniały, możny, ale przewrotny i niebezpieczny! Może jednak kobiecie podobać się — jak mniszce Demon.

Odjechałbym natychmiast, gdyby nie ciężki stan jej zdrowia. Zażądałem pomocy medyka króla jegomości. Kazał jej używać rozrywek. Wyjechaliśmy tedy konno.

Znasz Stawiszcze? — Wśród wzgórz wyniosłych leśnych pyszne jezioro, przeryte rzeczką. Na wzgórzu wielki, murowany, holenderski wiatrak, tak spatynowany w barwie, że wygląda niby śpiżowy hełm. Urocza miejscowość — lasy z ogromnych jodeł (dziw dla Ukrainy!), ciemno jak w gotyckim kościele.

W Stawiszczach, wiadomo, król ma swą miłość. Towarzystwa pełno, bawią się wszyscy. Dwory i pałac zajęte przez śliczne panny i panie, przez najlepsze towarzystwo w Polsce, bo król mądrze wydał bal, na którym zmieszał ze sobą wszystkie stany. To też między Lanckorońskimi, Tarnowskimi i Jazłowieckimi są i szlachta, jak Jankowscy, Przecławscy, Horochowie, Zalescy, Świejkowscy — i mieszczanie, a nawet włość.

Więc jest na co patrzeć!

Jest tu przemiła utalentowana Maja (nazwisk dam nie pomnę wogóle), jest Ofka zadumana i marząca — bo jej źle w domu; jest kilkanaście pięknych, lecz nad wszystkiemi góruje pięknością żona zarządzającego lasami. Zacny ten człowiek, acz wiekiem starszy, żonę ma istną boginię etruską. Jest i rozkochana w swym mężu cnotliwa nieubłaganie Przecławska. Do tej nikt nie śmie podnieść oczu,

zresztą Przecławski żołnierz doskonały i ma srogie pistolce!...

Bawią się wszyscy. Wierzaj mi, Karolu — jestem jak głupi oblubieniec między dwudziestu czterema mądremi paniami. Unikam kobiet, szukam rozmowy z mężczyznami.

Tu przoduje wymową i rakietami ponurego i zgrzytliwego dowcipu wielki właściciel fabryki pasów słuckich, Ormianin Amianowicz. Zaś patrjotyzmem i rozległą wiedzą Janowski, pono go na profesora do Krakowa foruje Śniadecki, gdy nieco oczyszczą tę Alma Mater z wstecznictwa dzikich klerykałów!...

Mógłbym — jak widzisz — mieć tu ciszę dla nerwów szalejących i miłość dla mej żądzy, gdyby nie wyłączna miłość do Wity.

Urzekła mię! Ale jeśli kocha Arżanowa, niech go ma! Niech jadą gdzieś nad Wołgę i niech mu wędzi niedźwiedzie łapy!... Niech w Petersburgu brylują.

A, zabiłbym! Dniami całemi tułam się po jarach, Wita rozmawia, śmieje się ze wszystkimi, nie ze mną. O misji swej zapomniała! Król ją pogładził pod brodę — przyjęła to, byłem wściekły na stryja.

— Karolu, jest mi źle!

Stałem się wierzącym w duchy! Dziś nocą — przed wyjazdem do Kaniowa, zasiedliśmy na sposób masonerji amerykańskiej przy jednym stole o zmierzchu. Mówią te „spirits" najchętniej przez Witę rzeczy natchnione, wzruszające wszystkich aż do łez. Ormianin gra na klawikordzie. Zjawiają się „duchy" — a poprostu jakieś siły — może nawet w nas ukryte! Wróżą tak dzikie i niepodobne sprawy, jak to naprzykład, że Polska upadnie! ...Że pojawi się człowiek z gminu — wojownik, któremu wszyscy królowie będą z gotowością służyli! Chociaż wierzę w Witę, jak w rabina, ale ten Arżanow, te wróżby — to są „czort znaje szczo"! Uprosiłem Witę, a raczej zabroniłem jej wywoływać te „spirits", których istnieniu sprzeciwia się ustrój świata. Wszystko jest związane z materją: nulla cognitio sine materia.

Wita wyszła ze mną po seansie do ogrodu. Omal nie zapłakałem, gdy mi zaczęła zwierzać się, jak bardzo kocha tego, którego symbolicznie nazywa królewiczem Własteм. Musi być jeszcze nieprzytomna... A ja... o Boże, czy możesz mię Karolu wyobrazić? Nie śmiem błagać o kilka słów, bo i te są tak zimne!

Rozstała się ze mną w ten sposób. Siedzieliśmy na ławce w ogrodzie, zdala od gwaru...

Narysowałem jej na ziemi tęczę z siedmiu kół, a nad temi drzewo. Mówiłem do Wity: wyrastajmy z tęczy, z cudnego szczęścia siedmiobarwnego! Jaki mi dasz kolor, Wito, jaki kwiat i kamień drogi? Bo naprzykład łączą się rubin i róża — to miłość namiętna. Słoneczniki i topaz — miłość ambitna. Akwamaryn i niezabudki — miłość idylliczna, pasterska. Szmaragd, zieleń, paproć — miłość rodzinna. Szafir i gencjany modre — miłość duchowa. Wreszcie fiolet astrów, ametyst — miłość zagrobna.

Zda się, wyczerpałem wszystkie możliwości miłosne — jedną z nich musi mi dać! Wyobraź — zerwała malwę czarną, jak noc bezgwiezdna i dała mi. A kamień? — Dała mi z ręki swej szafir wielkiej ceny.

Kiedym ją błagał o inny kwiat, o inny kamień — odparła, że jestem jej bardzo bliski i bardzo daleki, jak niebo. Kwiat zaś czarnej malwy wyraża choć w części jej potworną mękę i mrok.

Nie mogła więcej mówić, tak była wyczerpana, blada, bez sił, anemiczna aż w głębię jestestwa!

Co to wszystko znaczy?

Włożyłem jej na rękę pierścień mój — dość osobliwej roboty — staro-rzymski.

I pożegnałem — spokojnie, ale nie wiem co mi się dzieje, bo czuję, że ona umrze! Pomnisz jak była mocna? — Istna Walkirja... Wszystkiego tydzień — gdy ją taką widziałem w Kijowie!...

Noc tę nie spałem. Dokąd wyjechać? Dnieprem na porohy, na Niż, rozbudzić bractwo Kozaków, czy jechać do Wiednia?

Tymczasem mam przed sobą spotkanie Imperatorowej w Kaniowie, a potem — będzie co ma być: umrę z rozpaczy i męczarni!...

I jeszcze z tej jurnej mocy, która czai się przed światłem dnia, aby nocą wrzeć jak wulkan. Śnię czasem — Maję w maurytańskim tańcu bosemi nogami na dywanie, to cudną etruską panią Beyzymową, to serdeczną, jak źródło, pogańską podkomorzynę Bracławską — to inne dziesiątki — setki kobiet pięknych. W snach widuję je nagie, rozpasane, bachanckie! To wszystko mogła mi dać i wziąć ode mnie Wita!

Konno wyjeżdżam za parę godzin do Kaniowa. Namawia mnie do towarzystwa ze sobą ta, która mnie fizycznie pociąga niemal jak Wita... Lecz tęsknię wciąż tylko za nią i jestem jej wierny jak idjota...

Widzę się sam i poznałem na tym wielkim świecie opuszczenie.

Odebrałbym sobie życie z najwyższą rozkoszą, gdyby nie te „duchy", wróżące zło dla kraju. Nie można uciekać z posterunku — straconych czat!

Bądź zdrów, de Ligne'u! Jesteś już w Wiedniu — kiedy ten list odczytujesz...

Jeśli nie zwichnę karku na stromych jarach, jeśli nagłym ruchem w łeb sobie nie palnę — w noc pełną satanicznej grozy, gdy wszystko wydaje się potworne, złe, bezcelowe, zakończone groteską śmierci, jeśli nie zostanę atamanem na Niżu lub kochankiem Wielkiej Damy — zobaczysz mię za miesiąc mustrującego już swój pułk na Grabenie. A wtedy już nie pytaj: przeszłość umarła!...

Ten list wysyłam przez umyślnego Kozaka, abyś nie zdziwił się wszystkiemu co ze mną stać się może: jestem okrętem w burzy bez kotwicy, jestem mauzoleum z dzwonnicą podczas trzęsienia ziemi, gdy dzwony zerwane lecą i wyją w powietrzu, a trupy i robactwo mogił wypełzły na klomby kwiatowe. *Twój J.*

IV

ZJAZD MONARCHÓW

TEATRUM LUCIFERA

Z wyżyn spogląda Żagwicz, duch niosący zarzewie ewolucji świata. I spojrzał, jako na sceny tragiczne — w serca i umysły. Amfiteatrem mu — ta przestrzeń Dniepru i Kaniowa. Na różnych kondygnacjach występują postacie. Wspaniała nocna modrość Dniepru wśród wysokich leśnych wzgórz. Tu z lewej strony błyska witrażami kościół bazyljański, rój modlących się, szlachta, lud ukraiński. Widać miasteczko, wdali obóz polski. Z prawej zaś, na tle Dniepru, ołtarz płonący, przy którym stoi król i magnaci obu narodowości. Świątynia przyjaźni — namiot purpurowy ze sztandarami rosyjskiemi i polskiemi. Dolna kondygnacja zakryta czarną zasłoną z trupiemi znakami Masonerji. Wrota Sfingi Kobiecej z Koroną. Najwyżej zaś — strażnica Wity, posąg Madonny z lampkami.

Księżyc wschodzi miedziany między kurhanami.

Narazie widać tylko kondygnację górną.

Xiążę (idzie sam w mroku przykurhannym). Księżyc przez drzewa świeci, jak w grobowcu lampa.

Na góry świateł wchodzę i widzę przytomnie i dusza mówi do mnie ogromnie — ogromnie.

Księżyc przebija mi swem jasnowidzeniem pierś.

Kiedy spojrzałem het, w legjony rzymskie — ujrzałem się w borach Germanji, niosącym złote orły ze znakami Senatu.

Czas nie przemija, tylko się zataja. A teraz... będę wojsk Imperatorem — jeśli nie zwyciężę — zginie Polska.

Lecz naco żyjemy my wszyscy? Wartoż iść dłużej w melancholijnym kręgu naszego przeznaczenia, które podnosi człowieka do Wielkiego Budownika i strąca — aż do pyłu, w którym lęgną się czerwie...

Poznaję Dniepr. Tu odbywa się zjazd w Kaniowie króla, Imperatorowej i xięcia Patiomkina, który święci Circenses....

Błądzę — na granicy tego i tamtego świata. Jestem jak człowiek po śmierci, gdy nie może naraz oprzytomnieć. *(postrzegając Witę w strażnicy).*

Wojownica z sznurami złotych bursztynów na włosach. Ktoś ty — czyś jest snem? Nad jakiem żyjesz jeziorem, znanem tylko w bajce o czarnoksiężnikach?!...

Wita. Zgadłeś — ja byłam córą złego czarnoksiężnika. Lecz jestem — Wiosenną Polską — Życiem Nowem. Imię me — Witosława.

Xiążę. Wito — Vita Nuova! Jakiem zaklęciem można ci rzec, iż ciebie moja dusza żąda, że bez ciebie nie wejdzie nigdy do krainy Zwycięstwa. Objaw — czyś tylko jest widmem?

Wita. Wiedz — iż jestem i zawsze w Polsce będę. Wiedz nadto, iż beze mnie dokonasz tylko części swoich przeznaczeń — na Termopilach Polskich będziesz pół Leonidem, a wpół — Alcybjadesem. Teraz mnie szukaj — po całej tej Polsce, zmienionej w moczar krwawy i bolesny. Może jestem w sąsiednim domu, gdzie okna za kratą i gnębią rodzice swe dzieci. Może w chacie wieśniaczej przędę kądziel? A może tułam się w rozgwarze miasta, wśród bezczelnej zgnilizny tłumu — kwiat tysiącolistnego lotosu!.. Szukaj mnie — lub raczej własnej prawdy. Bądź Rycerzem Światła.

Xiążę. Most iskier przebiega me jestestwo — tęczowemi kwiaty zasiewasz moje czarne otchłanie... Wito, nie odchodź! Jeśli masz rany — one staną się teraz różami. Stoję wśród ogrodu różanego twoich ran.

Mam łez pełno — od radosnej mej mocy. I widzę jakby świat odnowa.

W otchłani, napełnionej mrokiem przyszłości, wiodą schody wdół.

Wiesz dokąd?

Wita. Na Golgotę.

Xiążę. Nie chcę iść tam raz drugi — wszakże jeśli jest

Inferno w Polsce, jak u Danta — muszą być kręgi, wiodące do Złotego Przybytku, gdzie Sprawiedliwość jest władczynią — nie zaś kapłanką w pustyni. Bądź mi pozdrowiona, Domina Aurea! (*Wyciągają ku sobie ręce. Nad nimi zakwitają drzewa wiosenne i aureole zamglonego księżyca.*

Wita w pancerzu na piersi — przy szabli i z pistoletami. Na ścianie otwartej strażnicy wiszą obrazy święte i broń).

Wita. Jestem w jednej ze strażnic pana Mohorta. Rządzi tu Denys Szczerbina — cichy i mądry patrjota. Ukrywałam się przed mym opiekunem — w ciszy i skupieniu pracowałam nad sobą, aby przynieść Polsce twórczego ducha.

Teraz jestem wolna — idę przed króla i chcę mu nieść skrzydlaty pęd ze stepu wszechświata. Szukam Wodza w Polsce. Chcę być jego Kapłanką Deborą i łączyć go z Tym, którego wyczuwam w otchłani Podsłonecznej.

Jestem! Woła on do mnie z tych gwiazd...

Jestem! Odpowiadam mu z tych kurhanów.

Xiążę. Mój złoty aniele, nie mogę mówić o niczem — tylko że umieram od twego pocisku i zmartwychwstaję taki, jakim nie byłem nigdy. Zda mi się, że ty jesteś wieszczką Morganą, a ja błędnym rycerzem — Krzyżowcem zabłąkanym...

Wita. Idź waćpan — jestem sama, mego honoru nie ma kto bronić.

Xiążę. Twego honoru, królewno? Honoru twego, mój księżycowy śnie? Kraina cała mej duszy legła u twych stóp — a ty się lękasz!...

Wita. Wszystko to, czy nie za wielkie — za nagłe — i aż za straszne w swem wniebowzięciu — w locie nad ziemią...

Tak się lata tylko we śnie, a zbudzenie? Świat jest przewrotny, lękam się, żebyś xiążę nie był takim.

Xiążę. Jestem bezwątpienia zbłąkany w mroku. Ale ty bądź moją pochodnią.

Wito, czy ty naprawdę istniejesz? Zapewnij mię o tem, bo inaczej umrę. Serce me zmienia się w drogocenną czarę ze szmaragdu, na której ty wyryłaś swe imię pochodnią

Persefony. Nie chcę sławy! Chcę życia... Wita... Vita nuova mej duszy!

(Utonęli w pocałunku. Nagle Wita krzyknęła.)

To na kondygnacji najniższej z za Sfingi mrocznej wychylili się Wielki Kofta i Seweryn Rzewuski, były hetman).

Wielki Kofta. Niedaremno badałem tę rzecz u Mesmera, u wszystkich magów starodawnych, jak Apolloniusz, średniowiecznych, jak Gilles de Raitz i nowych — Saint Germain, Hrabia de Fenix i Swedenborg... Mogę oddzielić mego sobowtóra i znajdę ją — gdziekolwiek jest. Ciało jej odrzucę — duszę wezmę sobie. Im większą hańbą, im większą ohydą napoją się jej dni — tem podatniejszą mi będzie jako medjum.

Hetman. Oddam ci tę nienawistną córę mą, ale co mi przyrzekniesz wzamian? Może i tyś jest utajonym pretendentem do korony polskiej?!

Wielki Kofta. Miałbym na to prawo, będąc synem króla Stanisława i kogoś wyższego, niż on. Wyrzucono bękarta w suteryny — między lokajów — do łaźni ormiańskiej. Nędza, kułaki, hańba, bezgraniczna wschodnia rozpusta, a potem przepych, gdy mnie usynowił tatarski xiążę. Cisza wiedzy — w Paryżu studjowałem wyższą matematykę u pana Lalanda.... Piorun magji, gdym poznał Saint Germaina i został wolnomularzem!

Zwiedziłem Indje — jestem kapłanem Sziwy — boga złych myślicieli. I tę religję wam przynoszę.

Po Chrystusie — Antychryst. Nie znęci mnie ołowiana korona w narodzie polskim, którym gardzę.

Hetman. Obrony praw Rzeczypospolitej żądam — będę strzegł jako źrenicy — jej złotej wolności, stawszy się królem. Daj pomoc mi, nie zwoląc dojść ani Szczęsnemu Potockiemu, ani xięciu Patiomkinowi.

Wielki Kofta. Masz już cień korony na swej głowie.

Hetman. Poskrom wolę dzikiej, krnąbrnej dziewki, której zamarzyło się, że będzie Joanną d'Arc dla Polski, stanie przy królu i wypędzi moich sojuszników.... Damy jej tedy

za męża kasztelana Ślegotkę.... Jest głuchoniemy i nadto słynie z lubieżności. Ten jej nie wypuści ni dniem ni nocą na jedną chwilę....

Wielki Kofta. Zostaw ją do mego rozrządzenia... Bóg wężów rozraduje się tą męką, z której wierni jego wyniosą góry najczystszego złota *(wchodzą w mrok).*

Na kondygnacji najniższej zwolna rozchyla się brama Sfingi. Kolumnada wspaniałej, z bajecznym przepychem urządzonej świątyni Masonów. Kultura miesza się z Azją. W odbiciu geometrycznem kul kryształowych, luster i lamp — widać woddali bal — tańczące figury, maski, stoliki ze złotem i karciarzy. Drzewa pomarańczowe, mirty, rododendrony i cyprysy przeglądają się w tęczach kryształowego obelisku. Na ścianach gobeliny, na ziemi indyjskie dywany. W urnach z malachitu i lapislazuli dymią wonności. Organy wysoko na galerji grają melodje kościelne. Ołtarz — na którym jest Katarzyna w postaci Cerery z rogiem obfitości. Celebruje mszę kniaź Patiomkin — w szlafroku czarnym, w czapie kozackiej — włosy długie, twarz piękna, choć komedjancka. Ma tylko jedno oko. Z pod szlafroka żałobnego widać mundur, wyszyty całkowicie brylantami. Na łańcuchu złotym portret Cesarzowej. Pantofle tatarskie zakrzywione, każdy kończy się kolosalnym szmaragdem. Trony dwa puste wdali. Imperatorowa nachylona nad trumną faworyta Łanskoja. Ubrana w modry aksamit, w pasie z rubinów. Mała żelazna korona. Ogon jej spływa, trzymany przez sześciu murzynków. Z emblematami masonerji stoją Wielki Kofta, generałowie rosyjscy, mirze, kaukascy begowie i magnaci polscy....

Wielki Kofta. Wolni mularze, którzy niegdyś wznosili zamki gotyckie i katedry — witają cię, o Najmędrsza Siostro i Naczelniczko loży Północnego Wschodu.

Witajmy Semiramidę bracia, kamieniarze mądrzy. Prowadźmy ludzkość do światła, nieobciążonego łańcuchami przesądów... Wolność nasza zna tylko jedną wolę Autokratora — Budowniczego Państwa.

Kn. Patiomkin. Nadeszła epoka, kiedy złączą się Ko-

ścioły — i Anioł Apokalipsy zawoła narodom: oto jeden ołtarz i jedna owczarnia! O, cobym dał teraz za ciszę klasztoru, aby przemyśleć Sanchoniaton i pisma Bazyla Wielkiego! Ale muszę spełniać trzy gigantyczne dzieła naraz: wypędzić Turków z Europy, rządzić monarchją rosyjską od Kamczatki do góry Synaj — i utworzyć religję nową: Homo Messias. A nadto życie samo przekształcam w formę teatru, a historję w igrzysko. Wielką jesteś o, Imperatorowo! Nie znał równej Rzym, ani Aleksandrja, ani Bagdad...

Wielki Kofta. Ona jest wielką jak firmament, ty — jak słońce na jej łonie.

Masoni. Wielką Izyda, wielkim ty — Oziris..

Imperatorowa (z pasją). Kto mi otruł Łanskoja? Taki był cichy, uśmiechnięty. Knäblein *(płacze).* Mówią, że go otruł ktoś bliski mnie — lecz komu on mógł zawadzać?

Kn. Patiomkin. Najjaśniejsza z bogiń — Łanskoj umarł wyczerpany szczęściem... Ukój swą żałość, bo nieśmiertelni nie uznają śmierci. Dosyć: zgonu niema — tylko wieczne życie, bezkresne Elizejskie pola... Na tronie — Cerero — obdarzaj Rosję błogosławieństwem urodzaju. *(Prowadzi ją do tronu).*

Katarzyna. Mein Herz ist verdorren — jak roślina na Saharze bez dżdżu... Widma mię otaczają... Jermołowa mi przeznaczyłeś, ale i on umrze. *(Szlocha).*

Kn. Patiomkin. Młody — zdrowy... Właśnie nadchodzi. Bądź dla niego możliwie dobra — nie trzeba, aby trumny dzieliły nas od żyjących.

Jermołow (w ukłonach dla Imperatorowej, nie patrząc na kn. Patiomkina). Najjaśniejsza Pani, raczyłaś mi obiecać, że będę siadywał przy tobie!

Katarzyna (patrząc bojaźliwie na kn. Patiomkina). Ja przyrzekłam istotnie —

Kn. Patiomkin (ostro do Jermołowa). Czy nie widzicie mnie, Monsieur Jermołow?

Jermołow (wkłada monokl). Mam krótki wzrok... A, widzę, że ktoś mi zajął moje miejsce.

Kn. Patiomkin (w furji) Twoje? *(Klęka u nóg Imperatorowej).* Ja lub on! Jeśli on tu zostanie — przysięgam ci zemstę aż do końca mych dni! — Jeśli, Imperatorowo — oddalisz go — zajmę się interesami Państwa i sprawami twego serca — a będę szczęśliwszy w wyborze niż dotąd. Wybieraj! Natychmiast!...

Katarzyna. Już ustępuję, wszyscy patrzą, w kancelarji podpiszę —

Kn. Patiomkin. Nie, tu zaraz.... *(szybko notuje).* Deportacja...

Katarzyna. Ah, słabo mi... *(podpisuje).* Deportacja... —

Jermołow. Grom z jasnego nieba — tyle szczęścia przede mną! O, czemuż mię podmówili... wszyscy gięli się — dyplomaci kazali wykonać ten zamach stanu — Najjaśniejsza Pani.. ulituj się.. *(klęka).*

Kn. Patiomkin. Wyprowadzić tego hultaja —

(Imperatorowa zakrywa oczy — Jermołowa wywodzą).

Katarzyna. Komu mię oddasz teraz? Doprawdy — ja zaczynam się ciebie lękać —

(Porucznik kawalergardów Engelhardt podchodzi i szepce):

Engelhardt. J. O. wujaszku — racz mię przedstawić!

Kn. Patiomkin. Młokos! — Idź się wprawiaj na wypijaniu resztek szampana, dogryzając combry!

(Mamonow piękny, wytworny podchodzi).

Mamonow. J. O. Xiążę, — rozmówiłem się z ambasadorem angielskim — kawaler Harris chce utworzyć sojusz Rosji z Anglją. Rząd jego dał mu prawo rozporządzania sumami dowolnemi...

Kn. Patiomkin. Hm.... chciałbym wiedzieć naprzykład?

Mamonow. Pięćdziesiąt tysięcy funtów szterlingów.

Kn. Patiomkin. Ha ha ha... aby zdobyć Patiomkina dają pięćdziesiąt tysięcy funtów.. Powiedz, że pięćset tysięcy pudów — i tego może nie raczę przyjąć od tych zasplinionych wyspiarzy!...

Mamonow. Zgodzą się na wszystko: Ameryka ich bije! J. O. Xiąże — czy mogę liczyć na waszą łaskawość w przedstawieniu mnie Najjaśniejszej Pani?

Kn. Patiomkin. Znasz-li obyczaje apartamentu na Milionnej?

Mamonow. J. O. Xiąże — pójdę w twoje tropy...

Kn. Patiomkin (udając gniew). E, ty mierzawiec.. nu, nu... tu as des talents et d'esprit... A co to ja znajdę po instalacji faworyta na mojem biurku?

Mamonow. Wasilczikow nie miał rozumu. Zawadowskij grubjanin — ledwo po sto tysięcy rubli złożyli u waszych stóp. Zoricz dwakroć tyle i Łanskoj.

Kn. Patiomkin. Łanskoj dwieście tysięcy tylko dlatego, że był suchotnik — i nie można było wróżyć mu na długo... Lecz dał mi nadto posąg Madonny w drzewie — skulptura francuska z XIII wieku.

Mamonow. Trzysta tysięcy zatem — i zbiór kilkuset greckich terrakot..

Kn. Patiomkin. Tego mi właśnie brakowało.

Imperatorowa. O czem mówicie — mon cher kniaź?

Kn. Patiomkin. Pragnąłbym zbudzić do życia dawne greckie respubliki — na czele postawiłbym niewiasty. Bowiem gdzie kobiety na tronie, tam rządy są najbardziej męskie.

Imperatorowa (uśmiecha się). Ça me plait beaucoup. Więc Państwo źle nie wychodzi na słabości mego serca? Jakby to nazwać w języku bogów?

Kn. Patiomkin. To się nazywa teologicznie Amor insatiabilis. Tu — Mamonow!

Pokaż Najjaśniejszej rysunki *(ciszej).* Remarquer bien, Madame.

Katarzyna (patrząc na Mamonowa). Les contours sont beaux, mais le coloris est manqué....

Kn. Patiomkin. Ha, ha, jugement qui lui convient à merveille — puisqu'il a tous les traits réguliers, mais le teint jaunâtre. Mamonow, dam ci zagadkę: w jaki sposób mógłbyś zajechać bez konia z Petersburga do Konstantynopola?

Mamonow (znacząco). Najkrótszą drogą: uchwyciłbym się

słońca — jednakże leciałbym tylko póty — aż by Wielki Jowisz mi rzekł: od słońca się oddal!

Kn. Patiomkin. Eh bien — nous le déclarons Favorit. *(Do Mamonowa).* Kiedy ta kobieta zachwycająca wchodzi wieczorem do ciemnego mieszkania — ona je rozświeca.

Katarzyna II. (uśmiecha się czule do Kniazia). Merci, merci... *(Do Mamonowa)* — Duszeńka — idź, poigraj z damami w kartoczki... ja tam niedługo zajrzę! Ach, te interesy Państwa — de cette belle Russie! *(Mamonow odchodzi).*

(Wchodzą wprowadzeni przez oberceremonijmajstra x. Józef i przyjaciel jego, Karol de Ligne, x. Nestor Sapieha i Ignacy Potocki. Z wyjątkiem x. Józefa, który składa ukłon zimny, inni kłaniają się powielokroć i bardzo nisko).

Imperatorowa (do kn. Patiomkina). Kto to? Znam ich, czy nie znam!..

Kn. Patiomkin (do oberceremonijmajstra). Monsieur Kasztaliński, nie trudź się — ja sam przedstawię: xiążę Józef Poniatowski, dzielny podpułkownik na służbie Rzymskiego Cesarza, synowiec naszego miłego króla Stanisława, x. de Ligne, syn najmilszego naszego feldmarszałka austrjackiego! Xiążę Nestor Sapieha, najweselszy z Nestorów. Ten — to niejaki Ignacy Potocki, zasiada w Komisji Edukacyjnej *(półgłosem).* C'est un scélérat — zbrodniarz.

(Ignacy Potocki blednie).

Xiążę Józef (cicho). Wyzwij na rękę Patiomkina — ja ci sekunduję.

Ignacy Potocki (z goryczą). Król by mi nie przebaczył, a może i naród.

Wielki Kofta. Oto bracia polscy przeznaczeni na adeptów królewskiej sztuki.

Katarzyna II. Mówią, że w tem zwierciadle każdy postrzega swe przeznaczenie. Ty, synowcze polskiego króla — nachyl się: ujrzysz tu sobowtóra!

(Xiążę w zwierciadle, z którego tylko ramy zostały — widzi Faunicę, która mu podaje winograd na swej piersi).

Xiążę. Lodowy djabeł!

Katarzyna. Nie, tylko Faunica.

Xiążę. Nie jestem adeptem, lecz nie będę też faunem. Znam siebie — odpychają mnie zarówno jasnowidzące zaciemnienia Swedenborga, jak i krwawe bezduszności Kontraktu Socjalnego Russa...

Nie mogę też uwierzyć w ciebie, Wielki Kofto, który mienisz się wtajemniczonym w dziewięćdziesiąt stopni Rytu egipskiego, a uciekasz przed wierzycielami.. Nie mogę też pojąć, dlaczego Fryderyk ze swą etyką rekina i Monarchini Północna ze swym temperamentem Semiramidy — — — są wśród tych, którzy przez miłość i łagodność mają wznosić stopnie Świątyni? Lękam się — że z tej Dantejskiej Komedji wybuchną płomienie nieszczęść dla świata.

Katarzyna. Impertynent. Podobien jest z postawy do stryja — ale w oczach ma coś nowego. Ja czytam w nich bunt.. Rozumiesz-li co znaczy moja wola? Zależni jesteście od mej łaski — od mej ogromnej potęgi! Na moje skinienie czekają Prusy i Austrja, aby razem z moim wojskiem otoczyć was żelaznym kręgiem kilku tysięcy armat i siedemset tysięcy bajonetów!... Twego stryja zrobiłam królem, mais — vous, mon królewicz — mogę uczynić żebrakiem!...

Xiążę. Nie stanie się to — póki ta szabla jest przy mym boku.

Imperatorowa. Wygląda na miłego chłopczyka! Sprytniejszy niż mi się przedstawić usiłował. Jaki żal, że my nie w oranżerji! Cóż sądzisz waćpan o tych napisach: Virtuti-Sapientiae et Silentio Sacrum? Mnie już w nostalgję wpędzają ponure religijne Psalmodje...

Kn. Patiomkin. Przez kontrast, Matuszka — zyskujemy smak życia! Na katafalku lubię jeść ostrygi i ananasy, a słuchając organowego Dies Irae gram najlepiej w baccarat....

Imperatorowa. Ulegam twemu gustowi, gdyż w Państwie mojem nikt nie jest na hauteur twoich zasług. Ale dlaczego uwzięliście się mnie straszyć Chrystusem?

(Zdumienie).

Arcyb. Siestrzeńcewicz. To chyba najwyższe nieporozumienie, Najjaśniejsza Pani — któżby śmiał tu wprowadzać...

Imperatorowa. Wszakże widzę nad altarem J. N. R. J. to signifikuje Jezus Nazarejczyk, Rex — —

Arcybiskup. Przenigdy! Jezus nie był królem, lecz iluzją tłumu niewolników i histeryczek. Te litery znaczą Igne Natura Renovatur Integra!...

Imperatorowa. Pomnę — eklerował mi Fryderyk Wielki, gdy mi przesłał Anty-Makjawela z uwagami swojemi....

Xiążę. Jakiż ogień mógłby odrodzić naturę takiego skorpjona, jakim był zmarły świeżo „Różokrzyżowiec", Fryderyk II.!

Arcybiskup. Nie wolno nigdy podejrzywać brata, a tembardziej Mistrza.

Katarzyna. Wszak twój stryj jest też kawalerem Różanego Krzyża — et malgré ça — kąpie się w cysternie z wódką różaną — bei der Menge der Dirnen... Jakże mi przypominasz miłego Stasia przed lat cztery i dwudziestu w Petersburgu... *(do kn. Patiomkina).* Jeżeliby nie to, że wy zniszczyliście wspomnienie de mon premier amour — —

Kn. Patiomkin. Niezapomniane upojenie — dwa lata spędzone z tobą na daczy nad jeziorem — — Nasza córa, hrabina Br.....cyt, o mało nie wygadałem się głośno.

Imperatorowa. Nikt mi cię nie zastąpi!...

Kn. Patiomkin. Nikt?

(z wybuchem udanej zazdrości)

Ani Orłow Czesmański — admirał, który nie widział morza, zaś wygrali za niego bitwy kontradmirałowie Elfinston i Grey?!

Ani Serb Zoricz, fałszerz sturublówek w otrzymanej posesji na Litwie? Ani piękny, a tak głupi Łanskoj? Ani Korsakow, który czyhał na czterysta tysięcy rubli — zwykłe honorarjum faworyta — aby je przegrywać w karty? Ani żenopodobny Jermołow, ani sekretarz wasz Chrapowickij, ani Mamonow, którego teraz ze sobą powieziecie? Ani Zubow, który jest już upatrzony?!...

I wielu innych — o Katieńka! Mimo tego piekielnego

ognia zazdrości — ja wasz obraz jako Świętej — hołubię i pieszczę!

Imperatorowa. Wzruszasz mię, mon héros. Vous seul m'aimez prefondément. Ledwo wydarłam cię z klasztoru, gdy przez langeur amoureuse przybrałeś rizę mnicha! Dlatego przebaczam tak chętnie twoje kaprysy — dziki wschodni satrapo! Dlatego mogę cię przyjmować, gdy jesteś w szlafroku — albo nawet toleruję zamysły twe o polskim tronie — i bratanie z Polakami.

(głośno)

Lecz mówmy o najważniejszem.

Cóż Noworosijskij Kraj?

Głosy. Cudo! Jak różdżką magiczną Najświetlejszy Kniaź zbudował miasta ogromne — wystroił okręty — a Turcja, oniemiała, całować wam będzie stopy, o Monarchini!

(Dyplomata angielski Fitz Herbert do Ségura).

Herbert. Spróchniała to potęga, choć tak młoda! Widziałem teatralne miasta, wojska na pokaz i lud wygłodniały. Na drogach stawiają niby statystów w balecie — wyróżowanych z wstęgami tańczących chłopów..

Ségur. Czemże objaśnić to niezwykłe powodzenie Rosji i jej bezprzykładny wzrost? W obecnej Europie wszyscy mają oczy zwrócone na słowa, zamiar i czyny Imperatorowej.

Herbert. Rosja jest niezmożoną potęgą przez swój obszar. Każdy zginie, kto ją będzie napastować — podobnie Karolowi XII. w stepach... Rosja ma poddanych, którzy przez ciemnotę swą i nędzę — nie cenią życia. Uzbroić ich — co za kolos Dżyngishana! Lecz odbywa się to kosztem istotnego rozwoju..

Ségur. Cyt — Imperatorowa patrzy, ona nie znosi, gdy ktoś z nas rozmawia na uboczu. —

(Głośno). Więc tak — doniosę Europie, żem pod niewysłowionym urokiem tej wspaniałej flotylli: osiemdziesiąt okrętów z trzema tysiącami marynarzy i czterdziestoma tysiącami eskorty wojska. Na przedzie siedem ogromnych malowanych galer. Blask tego starożytnego Kijowa —

Herbert (głośno). Najohydniejszego miasta, jakie widziałem: kilka murowanych domów, cytadela, ponura Ławra i bezmiar żebractwa!...

Ségur (strwożony). To miasto przeszłości znakomitej, a co do przyszłości — —

Imperatorowa. Słusznie pan Herbert krytykuje! Ależ Ukraina i Kijów do niedawna były pod rządem polskim — a to wiemy, co znaczy: ucisk i nędza, płacz i zgrzytanie zębów.

Minister Panin. Śmiem najpokorniej zameldować, Miłościwa Pani — że trzeba wzmocnić straże na pograniczu naszem i Polski. Za mało tam jest wież obrończych.

Imperatorowa. Naco? toć z wyjątkiem strażnicy tego starego durnia Mohorta nad Rosią — cała granica polska jest niestrzeżona! Nie oni dla nas — ale nasze wojska dla nich są groźne.

Minister. Lud z Rosji — kriepostnoj chołop — ucieka masami do Polszy, tam niema pańszczyzn, jeno małe czynsze z ziemi, tak małe, że naprzykład pan Potocki bierze z dziesięciny złotówkę, albo jeden dzień roboty w tygodniu: za chatę, grunt i inwentarz.

Imperatorowa. Kraj się mój wyludnia?

Kn. Patiomkin. Jest na to sposób — damy wolność rosyjskiemu chłopu i obdarzymy ziemią — ja pierwszy zaraz wdzieję siermięgę.

Imperatorowa. Chłopu — wolność, ziemię! Gdyby to był chłop niemiecki — mais les moujiks!

Dyplomaci. Xiąże ogarnia przyszłość za lat tysiące — jednakże teraz chłop wolny w Rosji — to Pugaczow, to Stenka Razin... to skozaczenie Europy!

Rzewuski (b. Hetman w szacie astrologa). Co słyszę! Jedyna Rosja trzyma w Europie lud w karbach, a ty, kniaziu, — chcesz uczynić z niej port jakobinów? Niedoczekanie! Na toż my, polscy magnaci kresowi, zwracamy oczy swe z nadzieją ku Rassiei? Veto! Veto!

Imperatorowa. Waszmość mówisz po królewsku z nami.

Rzewuski. My z rodu panujących — króle Jadźwingów

niegdyś, herbu Kameleon. Dziś jeno jam xiąże na Ołyce, Siedliskach, Kowlu i Podhorcach!... Przekonania me, zahartowane w ogniu republikańskim, zabraniają mi dążyć do samowładztwa.

Szczęsny. To odstąp koronę mnie!

Rzewuski. Cierpiałem za ojczyznę dość i rzec mogę — za wiele. Gdym był wywiezion z biskupem Sołtykiem (w którego wmawiają teraz obłęd) chwała Bogu, miłości, wiary i wolności we mnie nie zmniejszyła ta niewola w Kałudze — ostra i długa. Przybyłem do ojczyzny — naco? aby najpotworniejszy tyran Stanisław odjął mi hetmaństwo przez niecne reformy. Utworzyli komisję wojskową, żądają egzaminów! A ja w piersi mej noszę berło i koronę!...

Repnin. Pięć lat wynudziłeś się w Kałudze, nagrodził cię za to hetmaństwem wdzięczny, wzruszony naród! Ha... ha... nigdy nie będąc w obozie, zostać hetmanem! W Smorgoniu będą musieli ułożyć nowy kalendarz dla takich męczenników.

Rzewuski. Nie wiesz, mój generale, z kim mówisz! Wasza Olga była poddanką z moich dóbr. Zatem wszyscy wasi monarchowie — są moralnie mymi lennikami.

Kn. Patiomkin (śmiejąc się). Więc i nasza Imperatorowa?

Rzewuski (zimno). Mogłoby to stać się łatwo, gdybym zakupił jej dziedziczne niemieckie xięstwo, duże, jak jeden folwark w moich dobrach.

Imperatorowa (do kniazia). Ależ to wróg — trybun wolności — zuchwały w mówieniu, une espèce de Savonarola!

Repnin. Wierna kreatura wszystkich dworów cudzoziemskich. Bądź spokojna, Najjaśniejsza Pani — ugruntuje on swą pychą tron wasz w Polsce.

Imperatorowa. Wracając do kwestji włościańskiej w Rosji — cóżby rzekł mój przyjaciel Wolter, który kazał silnie krępować naturę Scytów?... Zresztą pomyślę... Nieprawdaż, mój Taurycki! Z ministrami i przyjaciółmi rozwiążemy nawet problemat świętej Trójcy, gdyby to było jeszcze warte uwagi.

Stary xiąże de Ligne. Najjaśniejsza Monarchini —

nigdy nie widziałem sprawniejszego ministerjalnego gabinetu o mniejszych rozmiarach...

Imperatorowa. (krzywiąc się). Jak to mam rozumieć — zali mnie nie stać na wielki dwór i wielu ministrów?

Ligne. Gabinet wasz mieści się między jedną skronią a drugą, między osadą nosa a korzeniami najcudniejszych włosów, godnych Afrodyty!

Imperatorowa (rozjaśniona). Zwyciężyłeś i tym razem, panie feldmarszałku austrjacki. *(podaje mu rękę do pocałowania).*

Kn. Patiomkin (półgłosem). Ze mną się spotkasz, austrjacka pomado!

Karol (do x. Józefa). Wstyd mi za mego ojca.

X. Józef. Tu ja się duszę... Czemu mnie stryj wysłał! Karolu, uciekajmy.

Karol. Zbliża się do nas frejlina dworu, która tu odgrywa rolę Kizlar Agi. Za późno!

Frejlina. Jestem dziewica Pierekusichina... hi... hi...

Xiąże. Więc czem pani służyć?...

Frejlina. Niby czem... i niby komu? To się okaże... proszę za mną. — A oto zagadka: co świeci wyżej niż gwiazdy? Odpowiem za panem Wolterem: Aurora Borealna.

Xiąże. Nie rozumiem.

Frejlina. Do zorzy polarnej porównał pan Wolter naszą Monarchinię.

X. Józef. Wiesz, Karolu — Jakby mnie ktoś w pysk zamalował wśród blasków tej astronomji.

Karol. Mnie przypomina się anegdota: w Konstantynopolu zaczepiła pewnego oficera Francuza stara murzynka i zaczęła zdejmować miarę jego — ciała... aby zanieść pewnej damie do haremu, która patrzyła przez zazdrostkę okna.

Xiąże (nagle trącony przez Kalinę). Tu jesteś? *(oddala się z Kaliną na ubocze).*

Kalina. Cóż dwa dni konno znaczy dla kochającej? Przybyłam tu — aby ci pomóc, xiąże — w odzyskaniu Wity.

Xiąże. Nie mogę jej znaleźć.

Kalina. Oto list od niej.

Xiąże (czyta). Każe mi czekać na siebie w Kaniowie — mówi, że jeśli tu będę — podlegnie ona tem większym niebezpieczeństwom. Zaklina mię na miłość dla ojczyzny — — a więc dobrze! dziękuję ci — zacna Kalino!

Kalina. Łódź gotowa na Dnieprze — flaga z modrą gwiazdą.

(Xiąże zwraca się do Karola de Ligne).

Xsiąże Józef. Wyrwijmy się z tego lupanaru!... Chcę usłyszeć szum i huk fal. Mamy łódź na Dnieprze. Dalej — mknijmy do Kaniowa!

Karol. Sto wiorst — brak nam ciepłych futer — Dnieprem płynie kra — można zginąć...

Xiąże. To zginmy! Lecz nadewszystko trzeba żyć mężnie... Zdobyłem wielką, bezgraniczną miłość... Opowiem ci wśród nocy i gwiazd! Mknijmy z kopyta, Karolu.

Frejlina. Panowie xiążęta! takiego despektu nie miała jeszcze nigdy Najjaśniejsza Pani!

(Znikają w rozgwarze balu i krzyżowych szpad — wśród ceremonjału masonerji.)

Imperatorowa. Czuję się bardzo znużona.

Kn. Patiomkin. Matuszka — tam za grobem znajdziemy wypocznienie!

Imperatorowa (rozdrażniona). Dość tych konceptów. Gdzie xiążę Poniatowski? Nie dałam mu jeszcze wstęg ani orderów. —

Frejlina. Imperatrica, zetnij mą głowę nieszczęsną: on ucieka od twoich łask — Dnieprem — nie pożegnawszy się, nie ucałowawszy stóp Hosudariewych! Aj dola moja — mrok nieprzejrzany...

Imperatorowa. Ha — gadzina! ha — polskie orlątko — gdy wyrwę mu pióra — czy nie będzie nędzniejszy od błotnego kulika?

Strzelać za nim! Wysłać łódź z armatami! Krwi! Nie — nie... dusi mnie — *(rwie na sobie suknie).*

Gdzie Mamonow?

Frejlina. Rzec się lękam: Mamonow okazał tak mało

dyskrecji, że w waszym carskim gabinecie z pewną xiężną znalazłam ich w uścisku! —

Imperatorowa. Pójdę zobaczyć naocznie!

Kn. Patiomkin. Już pewno po widowisku.

Imperatorowa (do kn. Patiomkina). Ty się uśmiechasz? Ze mnie drwisz? Pięćdziesiąt miljonów rubli majątku dałam ci, a jeszcze kradniesz!

Kn. Patiomkin. Matuszka!

Imperatorowa. Ja nie twoja matuszka, ja Imperatorowa! Czyś nie użył trzech miljonów dla siebie — coś miał dane na meljorację Krymu? Potem sześć, a potem osiem i jeszcze osiem?!

Kn. Patiomkin. Zawiniłem —

Imperatorowa. Czyś nie zatrzymał u siebie kolonistów i przemysłowców z zagranicy, którzy mieli iść na południe! Zginęli nędznie, zwracali do mnie daremnie swe podania. A pieniądze na te kolonje — roztrwonione!

Kn. Patiomkin. Zawiniłem... i kajam się.

Imperatorowa. Wziąłeś pensję dla hana Sahib Gireja przeznaczoną! Czyś nie zrobił marnego teatru tu z całej tej krainy, gdzie stoją fasady, a niema domów! Założyłeś angielskie ogrody i spędzasz bydło z okolicy — aby mnie oczarować dobrobytem! W sklepach puste skrzynie... Jeśli nie zastanę armji 150 tysięcznej w Krymie, jeśli mi nie zwyciężysz Turków, jeśli nie wejdę do Bizancjum, jeśli mi nie otworzysz drogi wolnej przez polską Ukrainę aż na Bałkan — to się strzeż — nie Sybir, ale szubienica!

Kn. Patiomkin. Wszystko spełnię i jeszcze daleko więcej... Zali nie rozszerzyłem Monarchji aż do stóp Kaukazu? Zali nie grozim teraz Turcji na Morzu Czarnem? Czy nie drżą przed nami wszyscy ambasadorowie — no, drżyjcie!...

Imperatorowa. Dość tych błazeństw! Grozi nam Szwecja od północy i Finlandja.

Kn. Patiomkin. Poślę kilka tysięcy baszkirów, aby Finlandję zmienili w pustynię. A ten Gustaw — ten niefortunny wojak śmie nazywać cię starą kobietą!

Imperatorowa. Pójdę z flotą do Sztokholmu. Albo na-

piszę na niego komedję i zaprosimy cały Petersburg i każę się śmiać...

Kn. Patiomkin. (Do bliskich) Dajmy jej się wyburzyć — potem będzie najłagodniejsza. Ja dowiodę wam, że umiem poprowadzić kobietę.

Imperatorowa. Milczeć tam... *(tupie nogą)* Gdzie Mamonow? Gdzie moje kawalergardy?...

Mamonow. (Rzuca się jej do nóg, rozsypuiąc karty). Najjaśniejsza Pani — wybacz!

Imperatorowa. Ty grał w karty? Łżesz... A xiężnej dać rózgi na ten raz. Ty czemu mnie odstępujesz, nikczemny! Masz przy mnie wartować — rabie! Nie rozumiesz, że mnie duszą widma — ty zwierzę!... Krwawa ręka nieboszczyka męża buntuje mych oficerów i chłopstwo, spisek Mironowicza, Pugaczowa rzeź!... Byle awanturnica, jakaś xiężna Tarakanowa — może mnie zniweczyć! A wśród Konfederatów barskich, czy żaden nie uciekł ze Sybiru i nie podkradnie się tu z mieczem?

Kn. Patiomkin. Imperatrica — czekają nas dyplomaci.

Imperatorowa. Idź, nie mogę na ciebie patrzeć!

Kn. Patiomkin. (wesoło śpiewa)

Sarafanli moj — dorogoj sarafan —
Wiezdie ty, sarafan, prigożajeszsia —
A nienado — sarafan — i pod ławkoj leżisz!...

(Milczenie. Mamonow patrzy trwożnie na kniazia, widząc znak zachęcający — bierze ją za rękę)

Imperatorowa. Lecz gdzie się schronimy — tak nagle?... Ja sobą nie władnę.... lekarze mówią, że to satyriasis czy nimfomanja — poco nazwa choroby na to, co mi daje tyle spokoju!... Aliosza!... Wszakże nam na tronie nic, nic nie pozostało już innego! My widzimy, że niebo puste. A w dole mrok cierpień i głupiej wiary... w Częstochowską!... Spieszmy — nie traćmy jednej jedynej chwili — jak mówił Ludwik XIV: po nas niechaj runie potop!

(rozmawia z Mamonowym)

Kn. Patiomkin. Jak bawić się — to wszystkim. Pano-

wie magnaterja-a? Nie przejechać-by się nam po wesołych miejscach Kijowa z Cygankami?...

Magnaci. Zawsze do usług J. O. Xięcia.

Kn. Patiomkin. Hej karły, idźcie do kahału, sprowadzić mi tu kupę Żydów — niech potaszczą moje karety, na każdy pejs dziesięć czerwońców.

Karzeł. Ilu Żydków obstalować — jest sześć karoc?

Kn. Patiomkin. Na pamiątkę Apokalipsy 666 — po 101 do karocy, a kopa niech biegnie na przedzie z pochodniami i śpiewa majufes. A teraz dla Matuszki!

(Przyzywa skinieniem karawan i ośmiu grabarzy z pochodniami i motykami).

Imperatorowa. (histerycznie) M'égorger? Kawalergardy! Zur Hilfe! Żywą w ziemię zakopią!... Do mnie, polskie pany — wy nie zabijacie namaszczonych pomazańców... De votre Royaume je ferai une Terre Promise... Ziemię Obiecaną!...

(Polacy dobywają szabel, robi się popłoch — kilka wystrzałów)

Kn. Patiomkin (łagodnie, cicho). Matuszka, jak ci nie wstyd! Nas upakarzać — Najjaśniejsza Pani — wejdź, tam jest salonik — zaręczam, iż znajdziesz — co zmysły twoje uspokoi.

(Rozwiera drzwi karawanu. Błyska transparent z napisem: „Przez Polskę droga do Bosforu, przez Bosfor do rządzenia Światem". Transparent ów trzymają woskowe figury Piotra Wielkiego i Fryderyka II)

Kn. Patiomkin (gromko). Najjaśniejsza Pani, zbudź się w swej olbrzymiej energji i w ambicji, którym równych świat nie znał!... Oto ja wierny twój — dzięki reformom wojennym utworzyłem potężną armję, która nie nosi pruskich peruk, a ma rosyjskiego ducha jakiego nie było nigdy. Hasłem jego: Wpieriod! My atakujemy, Europa drży i cofa się wstecz. Armja 150 tysięcy czeka w Krymie. Drugie tyle zebranych wojsk powita cię w drodze. Musimy rosnąć — bo prawem natury: kto nie rośnie — musi się umniejszać. Szereg znakomitych generałów: Suworow, Kutuzow, Kamienskij —

Imperatorowa. I feldmarszałek Rumiancow, którego starasz się w łyżce wody utopić!... Ale dość mi — teraz nie chce się myśleć.

Kn. Patiomkin (ostro z siłą gwałtowną). Aa.. nie chce się? — takiego słowa na tronie nie znają... Szlisselburg daleko-li od Zimowego Pałacu? Tam siedzieli już carowie, a caryce więdły po klasztorach. Twój syn Paweł nienawidzi nas, knuje z Austrjakami spiski. Zawołam pułk mych kirasjerów i znajdzie się tu nakoniec ktoś energiczny, kto uchwyci ster gigantycznej machiny, która potrzebuje — Cezara.

Imperatorowa (drżąc). Słucham już — nie gniewaj się, przebacz, ty mój Cezarze..

Kn. Patiomkin. Dalej, panowie dyplomaci! — z Najjaśniejszą Panią będziemy obradować nad najkrótszą drogą do Konstantynopola.. *(podchodzą dyplomaci).*

Imperatorowa. To zachwycające — więc pan Cobenzel ze strony Austrji, pan Lucchesini od króla Pruskiego i pan Ségur od Francji? Istny Parnas Europy!

Lucchesini. Brak nam tylko, Najjaśniejsza Pani — Bóstwa! Czekamy na cię!

Imperatorowa (do Kniazia). Enchantée! Jestem pełna już myśli szczytnych. Z tej kolasy wypadną gromy na świat, aby wypełnił się testament Fryderyka Wielkiego *(wchodzi do karawanu).*

Kn. Patiomkin. Ha, ha, ha! Czemże ja się zabawiam — Hamlet rosyjski! — o nuda, nuda — choćby zwalić niebo na głowę! A teraz niech myszy się bawią, kiedy kotka już w pułapce.

Karły (wbiegają). Po 101 Żydów już rży u każdej karocy.

(Zajeżdża karoca ciągniona przez Żydów).

Panin. Ot, Samodur — i na tem stoi Rosja!

Magnaci. To drugi nasz Radziwiłł Panie Kochanku! Wiwat! Kochajmy się!..

Kn. Patiomkin. Kto niema piórka pawiego, niech je sobie przypnie. Wszyscy — z ruska po krakowsku. Zaśpie-

wajcie, frejliny, a wesoło — hrabino de Bruce, xiężno — jeśli twe gardziołko od wyznań już wypoczęło i ty, cnotliwa Pierekusichina — i ty, prześliczna Skawrońska, wzór dla głowy Amora! Xiężno Bariatyńska i panny Naryszkine. Niechaj prowadzi nas stara Mme Rumiancowa — najmędrsza, choć jest vieille comme les rues!

Xiężna Rumiancowa. Przedstawimy żywy obraz z bareliefu Pigala: ty — Aleksander Macedoński — który oddaje nałożnicę swą, Kampaspę, malarzowi Apellesowi. Apellesem będzie pan Szczęsny Potocki. Karawan z Matuszką naprzód! Xiężna Rumiancowa prowadzi na sabat. Zaśpiewajmy arję!...

(Xiężna Rumiancowa — stara, wesoła, żywa, zagiąwszy sukni wskakuje do otwartego fantastycznego pojazdu. Śpiewa, inni na bałałajkach i teorbanach grają. Kniaź wraz z całym gronem tańczą wokół karawanu trepaka).

ARJA

Pridy, pridy, sama budu!
napnu fartuk, zrobliu budu —
napnu fartuk — zrobliu dwery —
szczob wchodyły kawaliery!

(W szalonym rozgardjaszu wyjeżdżają).

Mrok

(Rozjaśnia się ogród na górze Kaniowskiej. Król, damy i magnaci. Siedzą przy stolikach pod lipami, grając w karty. Chińskie lampjony i pochodnie w ręku służby. Kupy złota na stole. Wchodzi xiążę).

Xiążę. Z krainy wielkiej mego snu cóż zostało? Szalety, pasterki i król dzwonkowy polski, wyglądający jak z kart do gry Willinka.

Gorszy król taki jest w chwilach niebezpieczeństwa, niżeli Iwan Groźny, co miałby odwagę tygrysa. *(Głośno).* Najjaśniejszy Panie — twojego listu wypełnić nie potrafię. Uciekłem z Kijowa. Tam trzeba komedjantem być lub jeszcze niżej.

Król. Należy się bawić, mój Achillesie, póki się jest młodym. Potem przyjdzie dogorywać smętnie, jak ja.

Xiążę. Mówiłeś, stryju, nieraz, że ojczyzna in detrimentu...

Król (wesoło). Tak mi się zdawało... Zresztą mam ciągły brak pieniędzy, a ja — to ojczyzna. *(Xiążę uderza szablą o skałę).*

Xiążę. Ojczyznę — jak Mojżeszowe źródło wód żywych, trzeba wykrzesać ze skały. Ale już nie laską wędrowniczą, lecz pochodnią wiedzy i mieczem.

Król (porwany). Mój zuchu — gdybym miał takich jak ty choć dziesięć tysięcy!... Lecz mów, co cię tak zmieniło?

Xiążę. Ach, odwiecznym się widziałem lub raczej tam za Letą — młodym wiecznie. Ona przyjdzie do mnie na zawsze!

Król. Kto, Pepi?

Xiążę. Życie Nowe — Wita — inaczej: Dusza.

Trembecki. Wstydź się, mój xiążę, nie mamy duszy. Ciało jest zegarem, który był przez ojca i matkę nakręcony — i odtąd idzie aż do czasu. Trzeba, aby jego gang był raźny i kukułka nadziei, aby ładnie się śmiała.

Xiążę. Kończmy tę komedję — rozpocznijmy żyć na serjo.

Król. Niczego bardziej i ja nie chcę, lecz od słów do czynu jest dalej, niż od Miłosierdzia Bożego do nas.

Xiążę. Nie wiem, co jest snem, co życiem, a co zagrobowem istnieniem. Księżyc przeniknął do jakiejś mej otchłani — ze sto tysięcy mil głębiej pode mną, niż ja człowiek. Wiecie moi panowie, dlaczego my musimy zginąć?

Król. Przestań nas trwożyć. Lecz mów zresztą, bo mnie zamęcza niewiara w życie —

Xiążę. Bo jesteśmy głupcy.

Pani Cavone. Ha ha — to jest przednie. Czy to „my“ xiążęce?

Xiążę. Zgoda, największą część tego łupu ja biorę na siebie. Jestem jak Sokrates, który po rozmowie z wyrocznią orzekł, iż ten szanowny filozof, zwany przez Ateńczyków Sokratesem — jest wierutny głupiec i nieuk — ignorant w rzeczach najważniejszych!

Król. Biedny Pepi — pewno rana jego miłości wiedeńskiej źle zasklepiona... mówi rzeczy, które mnie samego dziwią i trwożą.

Biskup Naruszewicz. Zdaje się, iż rozbiór Polski jest raną, która mu rozwarła widzenie rzeczy infernalnych! A i nam nielekko... gdyby nie wiara w Opatrzność...

Kossakowski. Ta jest korkiem, który nam nie da się pogrążać zbytnio w sens czy w bezsens życia.

Głosy. Pliez, quarante!

X. Sapieha. Quinze! dama pik i niżnik żołędny.

Minister Bezborodko. Hrabio Piotrze Iwanowiczu Sapieho!... Ty przegrał cały majątek na uczcie u Imperatorowej... Czem ty grasz?

Sapieha. Mnie pytasz, panie ministrze? mnie, com żonaty z drugą córka xięcia Patiomkina — hrabiną Skawrońską!

A tożby się roześmiała Imperatorowa na twe zapytanie!! Ha, ha.

Minister. Nie chciałem was urazić — majątek mój na wasze rozporządzenie.

Branicki. Pan Passek, gubernator nowo mianowanej gubernji Witebskiej przegrał dziesięć tysięcy — i tu zasnął ze zmartwienia. Trzeba go obudzić. Panie gubernatorze, idź, nałóż nowy podatek na poprawienie dróg — pretekstu teraz nie zabraknie.

Passek (budząc się). Attendez! Przyśnił się mi starzec z brodą, który rzekł: Passek, korzystaj — staw na trójkę trzy tysiące, ona ci wygra sonika. Zagnij parole — wygrasz encore sonika, zagnij setelewa — i jeszcze ona wygra encore sonika... Tak ja zaczynam grać — encore.

Król. Widzę, masz dobrego ducha nad sobą, panie gubernatorze! Co jabym dał za to!

Xiężniczka Czartoryska (wsparta na xięciu Wirtemberskim). Xiążę Józef przywiózł mi pozdrowienie od mej przyjaciółki, Wity Rzewuskiej. Podobno żyje w pustelni i jest cudna w roli zakonnicy-wojownika. Ale do xięcia nie mogę się dogadać — w nim coś jest z tchnienia wieczności, on patrzy już dalej niż teatrum życia.

X. Ludwik. Nie na to jesteśmy narzeczeni, aby się tak wynudzać, chère Marie! Mój lew Wirtemberski, twój posag i urząd wodza polskiej armji dadzą nam wiele rozkoszy.

X. Marja. A ja — mój rycerzu?

X. Ludwik. Ty ze mną podzielisz — łoże... Hej, lampjonów chińskich, niechaj tu wśród arki triumfalnej zasiędą wirtuozi z temi waszemi śmiesznemi instrumentami —

X. Marja. Mówisz o lirach?

X. H. Non — mais comment — la drumla — la gousla — aha!.. la balalajka!!

X. Marja. Bałałajka — to instrument rosyjski.

X. Wirtemberski. Mais enfin — c'est égal. Prędzej czy później przyjdziecie do Rosji...

Król. Pasterze wytworni niech wezmą się do nożyc i obcinają szaty Izydom. Berżerki zapędzą kozły i barany do miękkich, wysłanych kaszemirami — szaletów. Wszakże dziś jest zrównanie Dnia i Nocy — Króla Polskiego i Semiramidy Północy!

Tłum. Brawo! Charmant — wypowiedziane klasycznie.

Król. Moi szanowni poddani — gdybym królem był Feaków, nie tej nieszczęsnej a miłej sercu memu narodowości, jak nieśmiertelne sprawowałbym rządy! Budowałbym pałace otoczone wodami, przy księżycu przemykaliby się pod Mostem Westchnień kochankowie i łabędzie... Kraj zamieniłbym w ogród. Wszystkie drogi zasadziłbym różami i lewkonjami. Dęby srogie owinąłbym miękkim bluszczem. W sztucznych ruinach zasiadałyby grupy — jak z obrazów Watteau i Boucher...

Prałat Kossakowski. A na huśtaweczkach damy — zefir unosiłby ich koroneczki — nóżki utoczone z kości słoniowej! — Mój Trembesiu, cudnie opisałeś zapłodnienie Tetydy przez Peleja.

Król. Nie bawi mnie to już teraz zupełnie, niestety! Chmury polityczne, wciąż zły budżet kraju... Daremno piszę listy po angielsku do Anglji, po łacinie do Rzymu, a po francusku wszędzie. Dorzućmy ognia i kadzideł na ten ołtarz przyjaźni. *(Rzuca gałęzie i wonności).*

Wieszczu Trembecki, uderz w złotostrunną lutnię! Biskupie Kossakowski, zaprzestań grać w karty z gubernatorami. Moście pasterki, noc już, pora rozpalić Znicz.

Głosy. Wyżnik żołędny przeciw tuza!

Król. Módlmy się do Wielkiego Budownika — aby ręką Katarzyny zapalił tysiąc gwiazd ciszy i radości na niebie polskiem. Wiosna niesie nam najlepsze nadzieje! Sfinks północy — starszy brat Słowiańszczyzny, po tylu wiekach bolesnej rozterki poda nam dłoń. I teraz możemy jasno patrzeć w przyszłość. Mów, panie Kambiłow — tobie wierzymy, iż jesteś szczerym apostołem Słowiańskiej Jedności.

Kambiłow (powstaje — zbliża się z gronem konfederatów i z lirnikami. Wysoki — w modrym bojarskim żupanie, z krzyżem złotym na łańcuchu). Wybacz mi, monarcho — tak miłego mojemu sercu — polskiego narodu. Wybaczcie mi — bo nie podzielę ani waszych nadziei, ani dróg waszego życia. Byłem samotny, zabłąkany w oszustwach dyplomacji europejskiej. — Rzuciłem śliską karjerę, nie jestem już ambasadorem. Wczujcie się w mózg pająka — a zrozumiecie dyplomację. Cofać się przed silnym, nawiązywać mozolnie sieci na każdego, przygotowywać jad szczęk, rzucić się znienacka, oplątawszy obietnicami — i rabusiowsko wyrwać serce — oto kwintesencja tej mądrości! W kolosalnej burzy egoizmu i zbrodniczości, która ogarnia Europę — zmieciony będzie każdy naród, który niema potężnych łap. Narody zaczynają być niczem, państwa wszystkiem.

Jak raki olbrzymie morskie obchodzą was wkoło sąsiedzi, zpodełba patrząc — i nagle zmiażdżą kręgi poczciwemu polskiemu karpiowi.

Damy. Aa... słabo mi... fi donc... Klimuncie, daj mi krople... Armandzie, daj mi chustkę na me larmy... oh, takie porównanie ze światem zwierząt... czyż i Polska należy do natury? w imię Prawdy — w imię Gońca wieczornej radości. —

Król. Upraszam damy o chwilę ciszy, niewielką, jak listek niezabudki.

Ignacy Potocki. Timeo Danaos et dona ferentes! Więcej nie powiem do pana Kambiłowa, naszego „Przyjaciela".

Kambiłow. Prawda żelazna, nieśmiertelna, skrzydlata wyzwoli was. Niech mówią konfederaci dawni — bo mnie, Rosjanina, spotka podejrzenie, iż jestem Danajczykiem.

Konfederaci. My z królem nie możemy rozmawiać. Kiedy ukrywaliśmy się na Spiżu — zali nie król sam żądał od Austrji, aby wojskami Spiż zajęła i nas przez to ostatecznie zgniotła? Podjęliśmy obronę kraju — i wystawiono nas na sztych, jako szaleńców i zacofanych.

Król. Srogie zarzuty!

Konfederaci. Ty jeden, Najjaśniejszy Panie, zrobiłeś dobry interes na pierwszym rozbiorze, boś go podpisał — gdy przyrzekł pan Repnin wypłatę twej pensji siedem miljonów złotych...

Xiąże Józef. Zamilknijcie waszmoście... Nie uzdrowi nikt chorego organizmu, każąc mu połykać rozpalony ołów. —

Ignacy Potocki. I ja tak sądzę, Najjaśniejszy Panie — stań się rzetelnym wyrazicielem ducha Polski lechickiej — zanim ją zgnilizną przepoili Sasi i jezuityzm.

Król. Czegóż ode mnie wszyscy żądacie? Epoka Bolesławów Chrobrych minęła. Aby stać się Kazimierzem Wielkim — nie mam narodu zdrowego. Zagrożony jestem przez miljon wojska nieprzyjaciół. Aby apostołować bosonóż — musiałbym porzucić kulturę. Beze mnie Polska nie miałaby ani obrazów Bacciarellego, ani Łazienek, ani szkoły podchorążych. Powoli, powoli, dźwigniemy się — da Bóg — ad astra! *(Wchodzi Rzewuski).*

A — kogóż to witamy! Zacny nasz Katon polski. Cóż hetmanie — a przepraszam! Waćpan jesteś jaskółką wiosny? Zbliża się słońce Katarzyny? *(do siebie).* Zacznie czkać ponurą wymową, jakby wypił dekoktu z czarnego bzu.

B. hetman Rzewuski. Doświadcz, królu, na sobie — czem jest uciemiężenie! Dręczyć moją osobę tak długo na nic się nie przydało, jak tylko na to, aby niewinność moja jaśnie przed światem okazała się.

Ktokolwiek będzie pracował dla ojczyzny, będę z nim.

Życie moje całe przed oczami ojca mego ucząc się cnoty, inaczej myśleć nie umiem. Złamano na Sejmie niedawno mą władzę hetmańską. To, co mi dał naród. wziął król. Rząd wolny w Polsce zmieniono w despotyczny rząd królewski — satrapalny — Assurbanipalowski, Nabuchodonozorowy, *(zwracając się do magnatów)* Na cóż więc zdadzą się podatki, panowie bracia karmazyni — na pognębienie praw magnackich? Na służenie Tyberjuszowi?

Szczęsny. Tron masz darowany, królu — to pomnij.

Xiążę Józef. Stryju, przypomnij tym ichmościom, iż mają kolana zginać przed Majestatem, który rządzi Polską.

Repnin. Aby nie mijać się z prawdą — powiedzmy — nierządzi.

Stackelberg. Dotąd pozwalamy narodowi polskiemu istnieć — ale —

Xiążę. Niemcem jesteś, panie. Wspomnij Grunwald, gdy Polska, Litwa i Ruś podały sobie ręce.

Stackelberg. Rosji służę.

Xiążę Józef. Wolę więc ze sługami nie mówić.

Repnin. To zbyt ostro. I ja przychylam się do zdania — że musi Polska zniknąć, zalana morzem rosyjskiem. Idzie teraz nasza kultura.

Xiążę Józef. Wasza? Naród mój odkrył prawo obrotu ziemi dokoła słońca, kiedyście wy Tatarom wszy bili na kożuchach! A Tatar, kiedy chciał pochlebić waszym xiążętom — mówił: ja obejmuję waszą matkę.

Repnin. Ha, ha, brawo, to mi się spodoba!

(Częstuje go tabaką, a gdy xiążę nie przyjmuje — kiwa głową ze zdumieniem)

Król. Xiążę Wasil na nas łaskawy, ale jednak nie bądź impetycznym, Pepi. Po pierwsze — jesteśmy tu wszyscy swobodni — ja incognito — jako hrabia Poniatowski, a powtóre, dłużej wytrwam, walcząc dyplomatycznem piórem, niż orężem.

Biskup Naruszewicz. Bezwątpienia, incrementa swe obecne czyli wzrost, zawdzięcza Rzplita jedynie Najjaśniejszej Imperatorowej.

Gen. Stackelberg. My zawsze z infułą zrozumieć się potrafim.

(częstują się wzajem tabaką)

Król. Stosownego coś powiedz, Trembecki, co byłoby wysłowieniem naszych uczuć, pragnących zawsze pojednania.

Trembecki. (Szambelan z lutnią złotostrunną)

O Dnieprze, Tobie trwałym niech będzie zaszczytem —
żeś ich zbliżenie swojem ułatwił korytem.
Jeśli po nieszkodliwej wód Twoich głębinie
losów Ojczyzny mojej ulepszenie płynie —
wzgląd będę miał dla Ciebie — i do życia kresu —
większy, niż Indjanie mają dla Gangesu!

Ign. Potocki. To byłoby mądre — ale czy się da wykonać? Nie czas jest strzyc baranki, gdy burza nadciąga.

Król. To jest patrjotyczne: „ojczyzny mojej ulepszenie"

Repnin. Nie, nie to — lecz należy mieć na względzie: „Po nieszkodliwej wód twoich głębinie" —

Trembecki (z ukłonem do króla i panów rosyjskich).

Katarzyna przez czyny nieśmiertelne swoje —
gdy zniosła Zaporoża i Krymu rozboje,
odtąd dopiero każdy swojej pewien właści —
pod zbrojnem żyje prawem, wolny od napaści.

Król. Doskonała polityczność w tem pieniu.

Ign. Potocki. Biedny Krym, połowa mieszkańców w pień wycięta — lub musiała uciekać do łagodniejszej Turcji.

Trembecki (do Naruszewicza).

Ty pozostałą piękność opisuj Kijowa!
to miasto — długo Państwa Rosyjskiego głowa.
Już tam niemasz bram złotych, które niegdyś nasze
hartowne z innej miary — szczerbiły pałasze!

Gen. Stackelberg. W domu pobitego nie mówi się o pałaszach.

Król. Lecz to są uczucia narodu —

Gen. Stackelberg. Uczucia narodu mają być zwrócone do Imperatorowej, jedynej wybawicielki!

Król. Niewątpliwie! O ile Rosja zerwie aljans z Prusami? Jak myślisz, panie generale?

Gen. Stackelberg (wyniośle). Myślę, że tak nie będzie *(przygwizduje).*

(Król zmieszany strzepuje żabot).

Król. Śpiewajmy, panie Trembecki, według tego, jak nam przygwizdują.

Trembecki.

Katarzyna, rządząca łaskawie,
nieśmiertelnej — świątynię zbudowała sławie.
Która, jak owa niegdyś... pióro się dumieje,
chce ją równać — równego nic nie znają dzieje! —

Gen. Stackelberg (złośliwie). Panie hrabio Poniatowski — co utraciłeś przez Marsa, nagrodzą ci Muzy. Wasz naród słynie z poetów, którzy się rodzą na półmiskach.

X. Józef. Znak mojej ręki może się urodzić na pańskim policzku — widziałem cię w tłumie dworaków Imperatorowej na szarym końcu — a tu mówi on tak głośno, że ośmiela się zagłuszać króla.

Gen. Stackelberg. Bunt? Zniewaga ambasadora — incydent wojny! Wysyłam skargę natychmiast! Ja wam pokażę — ja wasz tron wywrócę — Polszę z lica ziemi wytracę. Jegry do mnie! Do mnie generałowie, otoczyć armatami.

(Wchodzi kn. Patiomkin w odzieniu szkarłatnem, w płaszczu ze złotych koronek. Ma wieniec laurowy ze szmaragdów. Za nim adjutant niesie kapelusz ciężko osypany brylantami).

Kn. Patiomkin. Co ja tu słyszę! Krzyki wulgarne przy Majestacie Króla. Mołczat! Ruki po szwam. *(Wyprostowanego, jak żołnierz, Stackelberga zaczyna trząść za ordery).* Ty kto, mierzkaja twar! Kibitka dla ciebie nie gotowa? Ty rozumiesz, co znaczy znieważać sprzymierzeńca twej Monarchini! Wo front! *(zwracając się do Polaków).* Pardon, messieurs — je me suis oublié, mais je connais ma nation — et je l'ai traité comme il le mérite.

Król (wzruszony). Przyjacielu!

Kn. Patiomkin. Nie, zaledwo — wasz poddany: wszakże przyjął mnie sejm do grona obywateli Rzplitej Polskiej. Ród mój z Polaków. — Ba, kiedyś za krwawe wysługi przeciw

Moskwie nadał nam dobra pod Smoleńskiem król Batory... Teraz wszystko się łączy w pięknem, pogodnem przymierzu! Najjaśniejsza Imperatorowa pełna jest wielkiej myśli o wypędzeniu Turków z Europy. Polska nam dopomoże, a my Polsce. Najjaśniejszy Panie, niech twą rękę ucałuję!

Król. Jestem tak wzruszony — jakby, jakby po największej wygranej bitwie —

Kn. Patiomkin (do Stackelberga, który wciąż stoi wyciągnięty). Paszoł won, skatina!

(Stackelberg, salutując, wychodzi).

Król. Trzeba uczcić gości!

Trembecki (przy lutni deklamuje).

Dorodni, oświeceni i pełni zaszczytów —
Łączą grzeczność wersalską z walecznością Scytów. —

Król. Czemże ci służyć, mój xiążę? Bogaty jesteś — pałace twe pełne najkosztowniejszych zbiorów. Masz otwarty skarb Imperji na swe rozporządzenie.

Kn. Patiomkin. Nazwiecie to może dziecińśtwem — pragnę mieć jedynie tytuł dobrego człowieka w Polsce.

Król. Mówisz jak Cyncynnat... Ale los poddanych należy do króla. Prosiłem Stackelberga, aby nie ograniczał moich praw do nakładania podatków, a ty, Xiążę Najświatlejszy — nie krępuj mej woli w rozdawaniu zasłużonym meritoriów.

(Kładzie mu na szyję łańcuch z orderem Białego Orła).

Kn. Patiomkin. Teraz jest chwila wielkiej szczerości między Słowianami. Sire, czy zgadzasz się, że tylko najgłębszy związek z Rosją może Polskę ocalić i zachować? Pozwól mi szampana, królu.

Król. Niewątpliwie — lecz — *(trąca się kielichem).*

Kn. Patiomkin. Wiem... z wyjątkiem Wołkońskiego wszyscy rezydenci rosyjscy w Polsce odznaczali się brutalnością i niezrozumieniem waszego narodu. Mam wielki, genjalny projekt — który ugruntuje szczęście Polski, spokój Rosji na zachodzie, Twój dobrobyt Najjaśniejszy Panie — moje skromne żądania niezależności — a magnatom Polski da więcej, niż mogli kiedykolwiek uzyskać.

Król. Z gorączką cię słucham. —

Branicki. Jaśnie Oświecony Xiążę, jesteś jak Władca dobroczynny z Wschodniej Banialuki!

Szczęsny. Arwan katu — zasłuchanym.

Kn. Patiomkin. Zwiąże się Polska z Rosją celem wojny z Turcją. Tron dziedziczny — *(pije szampana).*

Król. O radości!

Kn. Patiomkin. — i przypadnie —

Król. Starszemu z mych synowców? choć Józef ukrywa w sobie też zalety. —

Kn. Patiomkin. Będziesz tyle uprzejmy dla Imperatorowej, że tron, królu, oddasz W. Xięciu Konstantemu... My Słowian nie rzucimy Prusom ani Austrji — wszystkich złączym pod berłem Świętego Włodzimierza.

Król. A!... cóż z naszą dynastją?

Kn. Patiomkin. Wszystko obmyślane w najdrobniejszych detalach. Ty, Najjaśniejszy Panie, otrzymasz jako odszkodowanie Kurlandję i Żmudź dla siebie i sukcesorów — —

Król. Przewrót — jak od orkanu! —

Branicki. A my? Dlaczego nie od nas zacząłeś, mój teściu!

Kn. Patiomkin. Tobie, mój zięciu — xięstwo Smiły z mych posesyj *(pije szampana).*

Branicki. Wybiegnijmy, panie Szczęsny — radość swą zapić. — Hulaj dusza!

Kn. Patiomkin. Tobie, panie Potocki — xięstwo Humańskie... i jakieś dobra...

Potocki. Majętności mamy tyle, że sami rozdamy rosyjskim krewniakom. Mitrę xiążęcą jedynie przyjmie herb nasz Pilawa! — *(odchodzą).*

Król (z ironją). A o sobie zapominasz, kniaziu, czy nie tron Padyszacha?

Kn. Patiomkin. Ha, ha, ha... to się dziś nie uda... Chcę zdobyć dla siebie tymczasem hospodarstwo wołoskie na Turkach.

Ignacy Potocki. Mówią, że Rosja do wojny niegotowa — że trzebaby lat paru na zbudowanie okrętów. Mury Ocza-

kowa potężne... Czy za ambicją Rosji idą równe siły oświaty i dobrobytu? Lud w nędzy...

Kn. Patiomkin (z pychą). Nie nam liczyć się z cyframi — zostawmy to Prusakom i Hertzbergowi *(pije szampana).* My wielikan rosyjski — rzucim czapką — tron się zwali. Poruszym ręką — osuną się góry... Co nam Turcy — driań... Co nam stonoga Pruska? Ot — między dwa palce wziąć i będzie mokro. A ten archipelag małych xiążąt niemieckich — i naczelnik ich Habsburg — to figury z wosku. Król Anglji stracił szesnaście Stanów. Morze angielskie pono wysycha — przejdziemy je wkrótce piechotą. Król francuski wyśmiewany przez własny motłoch! Gdzie nam kres?.. Ocean Lodowaty, Indje... Śmierci nie zwyciężym, ale nie lękamy się jej — napliewat'! Na wszystko napliewat'! *(pije szampan butelką).*

Król. Cóż zamyślacie z Polską?

Kn. Patiomkin (namaszczenie). Zali Hiob zapytywał, gdzie kres dobrodziejstw Najwyższego, lub kiedy zatrzyma się Ręka Ukarania? Mów, królu, za nim: Non mihi, non mihi, Domine, sed nomini Catherinae! Ona wyswobodziła człowieka z pęt zabobonu — ona wszystkich nas wypełniła energją — że ja, taki Hryćko Neczes — (bo zaiste nigdy nie używam do włosów niczego, prócz swych palców), a czem nie jestem? Prezydentem Rady Wojennej, xięciem Tauryckim Awgustiejszym, gubernatorem Taurydy od Krymu do Astrahania!.. Ufundowałem Rosji potęgę — zbudowałem dwieście pięćdziesiąt miast. Drży przede mną następca tronu Paweł. Mam wszystkie ordery świata z wyjątkiem św. Runa i św. Ducha, oraz Podwiązki — udzielanej jedynie angielskim parom. Ale zato na moją cześć wybito trzy medale! Co nie udało się ani Wasko de Gamie, ani świętemu Franciszkowi, ani waszemu Janowi III — ja uczynię: Turków wypędzam z Europy. Won, won! *(kopie nogą).* A w złotym Cargradzie kto będzie rządził? Hryćko z dynastji Neczes — mąż legalny, choć tajny Imperatorowej Katarzyny. My żywioł — nas nie pytać kuda? zaczem? przed nami tylko cofać się lub zmieniać się w słup. Widział ty, panie Poniatowski —

burzę stepową: tak i my! — Zmęczył się ja — a? może i załgał się — aa? *(śpiewa naraz i ziewa).*

Mesjaszem świata być —
I mieć w Cargradzie tron
A tu Zgon! Sapristi.

(do Repnina z pogardą) Sołdafon! won! won! won!

(Repnin w pasji zakłada ręce na pierś i odwraca się tyłem). Szampana! Napliewat'!

Król. Wonności tu i bursztynów — na ołtarz przyjaźni rzucę gałązki wonnych tuj. O Minerwo — udziel nam mądrości — jak wyjść z Labiryntu? Tracę nadzieję, mam smutne przeczucia! *(Wbiegają pułkownik Zajączek, Branicki i Potocki).*

Branicki. Ja pierwszy donoszę: z mokrych odmętów Gigant wypływa — miljon gwiazd w jej koronie — półksiężyc u jej stóp —

Pułk. Zajączek. Wszechwładna! rzeknę to krócej.

Szczęsny. Nie w tem rzecz, mój Ksawery Branesiu — co powiedziane, lecz kto mówi. Ja mówię królowi, że jedzie Imperatorowa.

Branicki. Piękna żona waszmości znaleziona na kontr-aktach mogłaby dodać: nie w tem rzecz, kto wygadał, lecz kto nie wygada.

Szczęsny. Znaleziona na kontr-aktach? Czy umiesz trzymać pistolet w ręce, mości bywszy hetmanie?

Branicki. Nierównie lepiej niż ty umiesz nabijać armaty, panie generale artylerji.

Szczęsny. Tak? — no to przypominam ci, że jest ukaz Imperatorowej, zakazujący burd między wojskowymi.

Repnin. Dobrze, iż waszmoście cofacie, bo kazałbym was feldjegrom aresztować.

Branicki (blednąc). Wasze Priewoschoditelstwo!

Szczęsny. Mnie? Xięcia Humańskiego! Ja dziesięć tysięcy Kozaków wystawię i pańskich feldjegrów rozbiję. Ja mam artylerję Rzplitej... Mam związki wolnomularzy — i miłość całego polskiego narodu —

Branicki. — który zachłysnął się z podziwu — gdy mu

Potocki darował dwadzieścia cztery dziecinne armatki z końmi i zaprzęgami. Wartości jednej wsi. Niedużo to na właściciela trzech miljonów dziesięcin czarnoziemiu!

Kn. Patiomkin. A jeśli ja narodowi polskiemu podaruję prawdziwe, duże armaty na magnatów?

Szczęsny. To ja poślę do mego przyjaciela — króla Pruskiego — po większe.

Repnin (machając ręką). Pustej głowy pałką nie przebijesz, głupcowi to i morze po kolano. Czyś już wytrzeźwiał, kniaziu?

Kn. Patiomkin (śmiejąc się). Nigdy nie byłem w lepszej komitywie z logiką. Ale czasem w malignie przychodzą mi wielkie natchnienia.

Repnin. Co znaczyła komedja całowania rąk Stanisławowi?

Kn. Patiomkin. Czytałeś Salomona Księgę Marności? Jestem zawsze nieszczęśliwy, gdy mnie spotka dobro. Zbyt wiele mam zaszczytów, zbyt wysoko jestem, aby mnie czasem nie wzięła ochota poniżyć się i samoudręczyć. Lubo jest pokłonić się przed Mającym Umrzeć!

Repnin. Objaśnij te hieroglify.

Kn. Patiomkin. Wysyłając do Paryża niby po modne stroje — odebrałem od ministra francuskiego ważne papiery, decydujące los Polski. Francja nie będzie jej bronić w żadnym razie i nie rzuci się na Prusy. Austrji nie pozostanie nic innego jak przyłączyć się. Lecz o tem wszystkiem sza!

Repnin. Zdrada względem traktatu. Przyrzekliśmy wieczyście zachować granicę Rzplitej! Chyba — — —

Kn. Patiomkin. Chyba całą biorąc dla siebie? To myślałeś —

Repnin. Tak. Testament moralny Piotra Wielkiego.

Kn. Patiomkin. Daję ci na to uroczyste słowo, że Polski Niemcom nie oddam! Będę drażnił ich własną bronią chciwości tylko przez ten czas, gdy my zajęci Turkami. Zwyciężywszy — jak błyskawica apokaliptyczna, złączymy nagle Zachód i Wschód!

Repnin (chyląc się). Kniaziu — genjusz twój umie zawsze mnie porwać.

Kn. Patiomkin. Mości generale artylerji i ty, panie hetmanie, w chwili tak uroczystej, podajcie sobie ręce na zgodę.

Branicki. A kule?

Kn. Patiomkin. Złote kule humoru staropolskiego będziemy sobie dziś posyłać, grając w faraona z samą Najjaśniejszą Imperatorową w małym dobranym komplecie.

Szczęsny. Rozczulacie mnie do łez! Ksawery, czy ty nie będziesz mnie odsuwał od Najjaśniejszej Pani?

Branicki. Będę cię przysuwał, ile się tylko da!

Szczęsny. Dam się rozsiekać za ciebie.

Branicki. Nakryję cię w potrzebie mem ciałem. *(Padają sobie w objęcia).*

Repnin. Niech żyją polscy Rzymianie!

(Rozbrzmiewa huczna muzyka — cała góra objęta iluminacją — łuna).

Król. (Odwraca się od ołtarza — w uniesieniu radości ze łzami). Spełnia się życzenie mojej duszy! Wymodliłem to u Minerwy i Apollina!

W nędznej mieścinie sześć tygodni wśród niewygód i zimna wyczekiwałem na ten radosny moment, jak biblijny Symeon —

Polska i Rosja! My — i Katarzyna Wielka! Możemy teraz szydzić z berlińskich zatrutych pajęczyn! — — Polsko, dobijamy portu. — Dzięki ci, dolo ma — tej nawy ster — już wypadał z mej ręki!

(Na Dnieprze w mroku i w krwawej łunie jawi się galera w kształcie olbrzymiego sfinksa i uderzając o brzeg — wstrząsa górą).

Ha, mrok straszliwy, mróz polarny! Gigantyczny sfinks napływa na tę ziemię polską — z żaglami aż w pustkę niebiosów!

Tysiące na nim marynarzy — armja wojowników — i ta, którą miałem kiedyś w objęciach — gdy zdobywała

tron po śliskich od krwi stopniach. Najmędrsza!.. Po tysiąckroć dobroczynna!

Kamerdyner. Najjaśniejszy Panie — powiał mroźny wiatr, lody idą na Dnieprze — może wdziejesz futro?

Król. Z twojego sfinksa pada strach i mrok! *(do xięcia).* Bacz, zali król nie kocha swej ojczyzny? Uzyskam pożyczkę — dwieście tysięcy dukatów i wystawimy wojsko. Na początek dwadzieścia tysięcy żołnierza. A potem dojdziemy — pięćdziesiąt i do stu tysięcy. — Dziwi cię, że tak dużo chcę pożyczyć?

Xiążę. Stryju — wszakże miljon złotych wydał pan Stempkowski na przyjęcie wasze w Łabuniu — inni obywatele całe fortuny w to włożyli. Fajerwerk, który tu leci z lasem brylantowych rac — to cała armja, idąca z dymem w powietrze!

Król. Tak, może trochę nieopatrzności... Lecz uzyskawszy trwałą gwarancję — przyjaźń kolosu — no — i pieniądze, odrodzę naród imprezą przeciw Turcji, podobnie jak Jan III *(z niepokojem).* Ale dlaczego galery nie przybijają do polskiego lądu? Wstrząsnęła się góra — zaś one stanęły zdala *(do kn. Patiomkina).* Czy nie zaszło jakie nieszczęście?

Kn. Patiomkin. U nas nieszczęść nie bywa. Imperatorowa na ląd, który jeszcze oficjalnie nie jest jej własnością, nie wysiądzie!

Król, Więc nie uzyskam nawet widzenia?

Kn. Patiomkin. Owszem, hrabio Poniatowski — audjencję. Lecz Imperatorowej bardzo się spieszy.

Król. Ale xiążę — ty nie pojmujesz — ja muszę zawrzeć trwały sojusz! — I cóż ja będę robił, jeśli utracę Królestwo w napaści Prus i Austrji? Zygmunt III umiał pięknie rzeźbić w złocie, wasz Piotr Wielki był cieślą — *(z uśmiechem żałosnym)* — lecz ja, czem być mogę, jeśli nie królem.

Repnin. Najjaśniejszy Panie — zapominasz, że jesteś bardzo zręcznym — tancerzem.

Król. Do brutalności waszej przywykłem, ale wszystko ma swe granice!

(do siebie).

Czy podobna, żeby ona mnie już nie chciała znać?

(do xięcia).

O Józefie! — to już naprawdę koniec wszystkiego! — Sfinks północy to Mróz śmierci! — lodami napłynął — a ja stoję, jak Jeremjasz nad otchłanią niedoli!...

Tłum. Wiwat Semiramida Północy!

Kn. Patiomkin. To imponujące! Widzę, że król też umie urządzać widowiska.

(Wybuchają fajerwerki, tworząc Wezuwiusz krwawy. Miljony rakiet djamentowych —)

Rzewuski. Ode mnie racz rzec Imperatorowej: wulkan Wezuwiusz przedstawia rozpalone serca nasze miłością ku niej —

Kn. Patiomkin. Popiół?

Rzewuski. Żal, iżeśmy niejednokrotnie zasmucali naszą protektorkę.

Kn. Patiomkin. A ten dym czarny?

Rzewuski. To usiłowania rewolucjonistów — zaćmić niebo swą jadowitą nauką.

Kn. Patiomkin. Zatem — rewolucję weźmie na siebie król polski i da mi słowo grzeczne, iż jej nie będzie?

Król. Wiele ten czyni, kto musi.

Kn. Patiomkin. Najjaśniejszy Panie! Wprost przeszedłeś siebie... Tam na niebie zawisnął brylantowy węzeł z cyfrą i koroną Imperatorowej!

Król (sucho). Wiem o tem, bom sam kazał go przygotować — sprzedawszy brylanty. Grzeczność i dobra polityka nakazywała wam, mości panowie, uczynić podobnie dla uczczenia naszej korony!

Kn. Patiomkin. Wzruszony jestem, porwany za serce! — Na cześć króla Polski każę dać sto jeden strzałów — jak na wielką panichidę —

Król. Zali mam już umrzeć?

Kn. Patiomkin. Moriture — Te saluto!

Król. I nikt mi nie da pomocy?

Kn. Patiomkin. Point de quartier!

Król (z nagłą, spokojną godnością). Widzę więc — żeście mnie już skazali. Nie jestem godzien być ofiarą na Golgocie, abyś mi, kniaziu, nakładał purpurę z drwinami. Zresztą, Golgota moja — okazać się może jeszcze straszną fortecą.

Kn. Patiomkin. Zawstydziłeś mnie, Najjaśniejszy Panie. Tak, jest nad nami wszystkimi w Polsce i w Rosji złe Fatum. Jeśli wrócę z tej wyprawy — stanę się prawdziwym mostem, wiążącym przepaść między Polską a Rosją. Ale ja czuję, że tam, w pustyniach bezpłodnych będę umierał. Życie we mnie gaśnie, chociaż bez choroby. Dotąd broniłem Polski przed rozdziałem!

Król. Bo chciałeś ją zachować dla siebie całą!

Kn. Patiomkin. Tak — ale już nie chcę — już mi się niczego nie chce — i to jest wyrok na was. Teraz mówię serjo aż do głębin: Moriture! moriturus te saluto... *(odchodzi).*

Król. Czy nareszcie niema nikogo w tym kraju przy mnie? *(Xiążę schyla głowę).* Ty jeden, mój Pepi..

(Szczęsny, Branicki i Rzewuski, rozmawiając z Repninem, biorą się pod ręce).

Rzewuski. Racz donieść, Wasilu Mikołajewiczu, Najjaśniejszej Imperatorowej — że już nie ma we mnie wroga. Przeciw tyranji króla łączą się wszystkie serca republikanów.

Szczęsny. My zaręczamy w tym kraju za spokój.

Branicki. Tylko trzeba nam waszych wojsk przeciw irredencie patrjotów —

Szczęsny. I kogoś w wielkiej familji na króla — arwan katu...

Król (do xięcia Józefa z najwyższą rozpaczą). Teraz widzisz raka, który toczy mą duszę... Nie jestem głupcem, ani podłym: z Rosją chcę przymierza szczerego i wielkiego, opartego na zwiększeniu naszego wojska — na nieufności względem Prus. Ale nasi panowie obniżają urok mej władzy, stając się lokajami wobec Petersburga. Lokajów nie szanuje nikt. Król Lir idzie w zamieć zimową, wypędzony przez własne swe córki.

Idę — król niemający za sobą narodu — w zamieć śniegową rosyjskiej nawałnicy. O, gdybym znalazł dawną Katarzynę — niezepsutą pochlebstwami ni sybarytyzmem! Lub gdybym mógł być genjuszem czynu — — — niestety — — — niestety — — — wszystko niestety! — — — Idę prosić Imperatorową o pomoc przeciw intrydze Prus... Idę spełnić misję króla żebraka, ofiarując jako dowód zaufania — ciebie, mój xiążę. Pójdziesz walczyć przeciw Turcji — w wojsku austrjackiem.

Xiąże. Najjaśniejszy Panie, możesz z tronu upaść zabity — nie powinieneś na tronie uśmiechać się policzkowany. Wzruszony jestem aż do łez twą niedolą. Wracajmy do Warszawy. Nie poniżmy swej godności.

Król. Azali masz waćpan sto tysięcy husarji dawnej i hetmana Żółkiewskiego, który w potrzebie stanie z wojskiem w Moskwie? Zgotujesz li Prusakom nowy Grunwald — nie! — a więc — daj mi ratować naród, jak ja pojmuję: bolesną samoofiarą — krzyżem. — Tak szedł Priam do obozu Greków — a papież Leon na dwór Atylli. *(głośno)* Niechaj podjedzie łódź z wioślarzami.

(Wchodzi Wita ze sztandarem).

Wita. Wsławił się w Ameryce Puławski i Kościuszko. W Niemczech jest dzielny Dąbrowski. Tu — generał Konarzewski, Mokronowski i xiążę Józef!

Zbierz, Najjaśniejszy Panie, wojsko. Odnów prawa Rzplitej. Zawierz w entuzjazm narodu. Mamy siły olbrzymie — lecz nie umieliśmy ani w setnej części wydobyć kolosalnych źródeł mocy podziemnej.

Król. Stajesz waćpanna jakby Joanna d'Arc. —

Wita (błagalnie). Królu mojego narodu — jesteś różokrzyżowcem — znasz hasło: Ogień odnawia całą naturę! I znasz to jeszcze Chrystusowe: Przyszedłem ogień rzucać na ziemię!

Król. Daj mi ten sztandar. Będę go umiał nieść godnie. Ojczyzno — ujrzysz mię w swych szeregach!

(Wchodzi Wielki Kofta. Rozgląda się bystro).

Wielki Kofta. Najjaśniejsza Imperatorowa najuprzejmiej

prosi Waszą Królewską Mość do siebie na okręt. Czeka z obiadem.

Król. Wypiłem już czarę goryczy — ha — cóż mi radzicie? *(Wdali rozlega się piosnka konfederacka).* Szaleńcy, zgubić się uwzięli ojczyznę! Odejdź, waćpani — to bardzo szczytne, ale to mrzonka. Naród jest bezsilny.

Wielki Kofta. Również, oprócz Najjaśniejszego Pana, zaproszeni są: Jaśnie Hetman Rzewuski i Jaśnie Hetman Branicki i Jaśnie Generał Potocki i Jaśnie Oświecony Xiążę Józef. Zaś hrabianka Wita jest w niełasce.

Głosy Magnackie. Polska tandem zbawiona! Przedstawmy żądania niezmienności praw starych... i źrenicy wolności — liberum veto!

Hetman Rzewuski. Waćpanna uciekłaś z mego domu — i z klasztoru. Tułasz się między żołdakami. Wybacz, Wielki Kofto — ja sam do więzienia ją zawiodę. Nie umkniesz więcej z pod mej władzy.

Wita. Nie radzę sięgać wgłąb Stygsowej wody.

Hetman Rzewuski. Ty ojcu grozisz — hetmanowi? Wyrodna córo... krwią żygająca żmijo!

Wita. Nikt niema prawa gnębić nikogo na ziemi.

Branicki (z wojskiem). Ułani moi, wymierzcie karabiny przeciw bandzie tych konfederatów, co idą z buntowniczą pieśnią. Nie umilkli? Cel —

Xiąże Józef (mierząc doń z pistoletów). Kto wymówi tu komendę przeciw polskim obywatelom, legnie trupem!

Repnin. Panowie, złożyć broń. Rządziłem waszym krajem lat dwadzieścia — po żołniersku — i wyznam srogo.

Lecz teraz zakończą się wnet spory i rozterki.

Dniepr już nas nie dzieli.

Xiążę Józef. Najjaśniejszy Panie, pozwól mi iść do obozu.

Król. Zabraniam, wracaj do Austrji, walcz z Turcją *(cicho).* Może później, kto wie — nabierzesz doświadczenia i staniesz jako wódz! *(głośno)* Czuję, że mię porywa Muza wymowy. Idę z tym sztandarem. Przemówię w sposób, który Najjaśniejszą Panią przekona, ubłaga, porwie i sprzymierzy..

Widzę twój wzrok! Wito, — błogosławię wam, moje dzieci!

Hetman Rzewuski (do poufnego). Porwać mi te dziewkę i do lochu. Ostrożnie, aby jej nie obroniono.

Poufny. Słucham Waszej Miłości. (*Król schodzi do galery).*

(*Kondygnacja górna).*

(*Xiążę idzie — za nim Wita).*

Wita. Czemu nie rzucisz mi ani słowa dobrego?

Xiążę (z najwyższą boleścią). Między nami wszystko zerwane. Niema już Wity dziewiczej, jest hipokryzja i występek.

Wita. Ja nie rozumiem —

Xiążę. Byłaś jako markiz Kornaro we względach u Katarzyny... wyjeżdżałaś z Arżanowym. Zatajasz się i błyskasz natchnieniami na tle Inferna.

Wstępuję do szeregów austrjackich, zginę może od miłosiernej tureckiej kuli. Przysięgam życia swego nie szczędzić.

Wita (w uniesieniu). Zwątpiłeś w głębinę mego polskiego ducha? Więc odtąd idźmy rozdzieleni!

(Wyciąga ręce wdal).

Idę do żelaznej pracy. Wypełniać zacznę swą misję. Tak mi, bezdenna męko mej duszy — dopomóż. Kochanka umarła, naradza się — Życie Narodu!

(Wybuch krwawy oświeca naraz na okręcie, wzniesionym w kształt sfinksa — na podniebnej wysokości: Katarzynę II i króla. Huczne okrzyki. Baterje rosyjskie walą w takt hymnu: Tiebia, Boże, chwalim. Szybka kanonada przy „Świat, Świat, Świat". Armatni dym i fajerwerki chmurą czarną zakrywają góry — Dniepr — xięcia... Tylko Witę jeszcze widać. Za nią przemyka szpieg hetmana. Mrok).

KRZYŻ WŚRÓD ZIELONEGO LASU

W mroku — niby rac brylantowych tysiącem tryskający wulkan — zaświeciły góry Kaniowa. Toczy się zapalona smoła — imitując piekielną czerwoną lawę. Zgiełk, muzyka, okrzyki. Tłum wszelkiej narodowości — wszelkiego zajęcia.

Więc szlachta można, Kozactwo, ułani króla i marynarze Imperatorowej, kawalergardy, Cyganie, kupcy z głębi Rosji, Żydzi, flisacy dnieprowi i Czumacy z pod Akermanu, nieprzebrana ilość dam, wieśniaków, kokot, rajfurek, mnisi wszelkich wyznań i zakonów. Upojeni, krzykliwi, gotowi iść za pierwszym podmuchem dzikiego szału awanturnicy jarmarczni. Huk fajerwerków, armatnie wystrzały, śpiewy chóralne i dźwięki kapel, apokaliptyczne rumaki z ognia i dymu, pędzone wichrem na niebie mrocznem, zdadzą się wizjami przyszłości.

Wita, której losy już tylko w błyskawicowych malujemy mgnieniach, wróciwszy do Kaniowa wraz z całą flotyllą Imperatorowej, chciała tu — zdala od podsłuchujących dworzan — pomówić ostatecznie o sprawach Polski i Rosji, ducha i ewolucji. Więc idzie w miejsce, gdzie ma Imperatorową spotkać, nad Dnieprem, w lesie przy krzyżu.

Monarchini, znużona kłamstwem i blichtrem otoczenia — zapragnęła obcowania dusz. Ale Wita lęka się dziś — idzie niepewna — czuje śmiertelny pot na skroniach. Jej Gethsemani trwa już tyle czasu!...

Zaczął się bór głuchy, szumiący.

Na wzgórze wchodzi. Widać stąd, na krwawym od bengalskich ogni Dnieprze, flotyllę malowniczych statków. Tam odbywają się przyjęcia i wielki magiczny bal. Aranżerami maskarad umieją być Patiomkin i król polski.

Stanęła pod krzyżem ogromnym, nasłuchuje. Strach uczuła,

jak nigdy... tłumaczy go sobie, że zbyt straszne były jej przeżycia ostatnie — że lęka się spojrzeć w swą duszę...

Mgły nocne zakrywają Dniepr.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Arżanow nie pił nigdy. Ale pił raz do roku — i wtedy napijał się do zielonego węża...

Mimo swej dzikiej natury unikał miłostek.

Ale gdy żądza go nachodziła — gryzłby, jak pies, drzwi — które go dzieliły od upragnionej.

Arżanow siedzi teraz w salonie okrętowym. Na mozajkowanej posadzce kazał rozłożyć ognisko. Przeżarł już ogień cudną, z Florencji sprowadzoną, posadzkę — Apollina wśród Muz na Pentelikonie...

W kątach salonu siedzą begowie tatarscy — w świecących na piersi naszyciach — z nogami skrzyżowanemi — szabla między nogi zatknięta.

Piją buzę i dumają... szeptem mówią do siebie, bo rozumieją, że ich Bagadora nachodzi Szejtan.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Szybko przewija się wśród krzewów i zarośli nadbrzeżnych łódź. Kilku Tatarów — poznać ich można po twarzach z oczami skośnemi — idzie, niosąc sznury i topory okrętowe. Czy to majstrzy, owi ludzie zwinni i sprężyści? Jaką pracę spełniać mają teraz, nocą — w lesie?..

Tłumy hulają swobodnie — oni jedni się czają.

Jak węże niedosłyszalnie okrążyli postać kobiety, stojącej pod krzyżem!

— — — — — — — — — — — — — — — —

Wiele wziął na swe sumienie pan Arżanow... Może za to głową nałożyć... Jeśli nie uda mu się za jednym zamachem wpoić wstrętu i strachu w Monarchinię przed markizem Kornaro — musi uciec w dziki step.

Ale rachuje na atmosferę, przesyconą lubieżnością i szaleńczemi wizjami.

Owszem — im bardziej coś niesłychanego zjawi się w teatrze xięcia Patiomkina — tem pewniejsze powodzenie. Wita musi być straszliwie ukarana...

Będzie można podeprzeć argumentami politycznemi: więc, że ma protektorów, że zbyt zuchwale targa w dzwony dusz... Że Ignatij ukazał jej nocą w Ławrze skarby polskie, o których on tylko, mnich odwieczny, wie — straszliwe nasypy dukatów, lewów tureckich — zajmujące kilka lochów... Że nakoniec — Polska to proch rozsypany... dymu dużo, czadu... Ale oto zbiera ktoś ten proch rozsypany i kładzie żelazny pocisk w działo luciferyzmu — ha!! Czy wystrzał z olbrzymiej kolubryny nie wstrząśnie gmachami państwa?...

Imperatorowej umysł uległ natchnieniom markiza — bo znużona wschodniemi orgjami, chce być drugą Olgą i krzyż zmurszały rozpłomienić w gorejący krzew Braterstwa Narodów.

Nie można tego dopuścić.

Czem orły będą się żywiły — jeśli pokój nastanie? Lwy czy się upasą w oborach?

— Tałaj beg! wódki tu nie robią już mocnej! Piję trzeci roztruchan i nie czuję nic... —

Wita mu już przemierzła — każda klacz wierzga kopytami, ona zaś przyjęła kasztelana Ślegotkę... Jak to się stać mogło? czar magnetyczny Arżanowa prysł — zemścić się! Któżby mógł jeszcze? Rzewuski?... Szkoda, że go przyjąć nie chciał i rozmówić się... Kto wie? ale jak mogła ulec wmówieniom tego kruka — jeśli orła nie ulękła się i w pole wywiodła.

— Rachman Ogła — zapal mi ten rum w czaszy... błękitny płomień, jak z serca... Dolej tam esencji z bielunu i belladonny... Kto?! jest już... Wprowadzić!.. Ha, mróz bije mi do czaszki!..

Wita stanęła w salonie, za nią trzech Tatarów.

— Won — xiążęta — i mirze won! Ja sam z nią.

Wyszli. Arżanow mierzył ją oczyma. Wydała mu się zgnębiona do ostatecznych granic, obojętna na wszystko

Ha, takiej jeszcze nie widział... Uczuł lekką pogardę...

— Chrześcijańska męczennica, — mruknął, — zmokła kurzyca... Wita! — ryknął — ty już — gotowa?! no, czy ciebie już ten Ślegotko — a?! Plwam tobie w duszę.

— Nakarmię cię, napoję i poszła!

— Wejdźcie tu wszyscy — koniuchy też, co ją wiązali... Bóg wasz dziś jest łaskawy... Dajcie tu barana!

Wyjął swój złotem wykładany jatagan, zakręcił łeb zwierzęciu i już miał pociągnąć.

— Nie — wolej żywcem obedrzeć. I piec go... aby czuł!... Ha. ha... baranek wielkanocny... Nu, baraszka, nie blej... nie blej tak żałośnie — skóreczkę zdarli baraszce... Ej, Wita, ty panienka delikatna, a ty palcami umiesz jeść szaszłyk? Krwi świeżej lubisz się napić? Ty myślisz, że ja pijany? Korszun stepowy nie jest pijany, kiedy się upaja rozrywaniem trzew u łani...

Ty pomnisz siostrę swą Kamillę? mała byłaś — lat trzy... Wywieźli cię pandury węgierscy... Sprzedali jadącej magnatce...

Nie pamiętasz Kamilli? ładna, rozrosła... przepyszna... I tak szybko stała się matką... Gdyby wysiec mnie kazał Włastowicz, do konia przywiązać — i wygnał — może byłbym drugim Mazepą... ale trochę dzikszym i waszym przyjacielem. Ale on mi tylko boleścią swą chciał wstrząsnąć sumienie! Padam do nóg, jasne dobrodzieje — — o nie! Baraszka upieczony do wpół, a drugą stroną jeszcze żyw. Takiego lubię.

Popróbuj, Wita. Mdlejesz? Wódki jej wlać w zęby! —

Chwycił roztruchan pełen syczącego, zielonego płynu — ślepia miał zupełnie białe, nieprzytomne.

— Już oczy rozwarła? siadajże tu! Nie chcesz... Witeńka, ty chciej zawsze, czego ja chcę, bo źle kogo ja przycisnę... Wita —! a? ty nie wiesz kto ja?

— Dać mi moje berło rodzinne!..

Podali mu żelazną pałkę z dziwnem zakończeniem: była to żelazna główka barania z dwoma ostremi rogami.

— Widzisz to narzędzie — wtyka się w oczy — i naraz

oba są wykłute... Tak się tworzy Homera, całe tłumy Homerów. Tatarzy w Kijowie oślepiali tak dziesiątki tysięcy jeńców pod rząd postawionych.

Lekkie dotknięcie — szarpnięcie — i już dwie gałki, jak dwie cebule obrane na szpicach...

Wita — ja cię miłowałem. Ja może teraz jeszcze bardziej miłuję. Ale ja już — nie choczu! — Ryknął tak — że zatrzęsły się ściany.

— Nu, jak ja dowiedział się, że twój ślub ze Ślegotką odbył się... myślałem, żem szalony już... A kiedy xiążę Józef tak oporządził szambelana — ja mu przyrzekłem drużbę... Na, pij!...

Nie chcesz pić? co myślisz o Chrystusie, kiedy wyrzekał się Boga — —

Nie wyrzekł się?.. Ot, głowa nieteologiczna: lama sabachtani... A jeśli on był Bóg — tak on się wyrzekł... kogo? siebie samego — czyli Boga. Bóg się Boga wypiera — ta negacja tworzy mrok piekła — jak u nas mówią tum kromiesz meju.

Konstantyn Wielki, co to zabił braci i stryjów — — nad nim krzyż In hoc vinces... Lim pobiediszi!..

Mam wielką ideę... Zwyciężę swego Boga... Słuchaj, Mirza Hussein, ty znasz krzyż wśród zielonego lasu? macie drabinę — a — —? prawda — wy marynarze wdrapiecie się na najwyższy maszt — Wiecie — jak to wygląda Issa na krzyżu —? tylko ją trzeba bez gwoździ — jednym sznurem przepasać u łona — a ręce — na drutach — aby nie wspierała się czem innem, jak łonem. Pojęli — nu, dobre mołojce — won — krwawe syny!

Witę porwało sześciu strojnych, jak malowanie, a strasznych, jak djabły — bogów —

U drzwi wstrzymał ich Arżanow.

— Ja wyjechać chcę na step — może na miesiąc — pohulać. Tak mnie trzeba dwustu ułanów... A tu mi przysłać cztery piękne dziewki. — Zawołać mi kniazia Dołgorukiego... to jest wielki artysta!

— — — — — — — — — — — — — — —

Imperatorowa, jak królowa Nilu, w lekkich przejrzystych oponach leży na lamparcich czarnych i tygrysich płomiennych skórach. Zdala oddalony od łaski kryje się Mamonow.

Monarchini wzdycha i zamyślona patrzy wdal. Kogo tam widzi — kogo pragnie? czy przyjdzie on? Nawa czarna z wonią upojną, likiery, jak klejnoty, iskrzące wśród wschodniego namiotu, którego sufit wyłożony maleńkiemi lustrami, niby ścianki w plastrze miodu.

Wspaniale wygląda kniaź w swej demonicznej, czarnej armaturze.

— Divina — mówi cicho wkradającym się, jak lazurowa żmija w namiot serca, głosem — mówiłaś z gniewem, że zwiódł cię markiz Kornaro...

— Mówiłam z zadowoleniem.

— Zawsze łagodzisz swe gorejące poczucie niesprawiedliwości!.. Markiz Kornaro jest to — pucelle — marząca o tem, aby zdruzgotać Rosję.

Kniaź czuje, że nadchodzi chwila sposobna.

— W cześć Heljosa krzyżowano w górach Małej Azji — niewolnicę — najpiękniejszą, która nie miała rywalek.

Theia! — Legendo o Brylancie Niewiast — racz spojrzeć — lunetę weź — tak ukarał Wielki Kofta zuchwałą włóczęgę! —

Mgły od powiewu wiatru rozdarły się. Istotnie wspaniały i od odblasku fioletów — przerytych błyskawicami rac brylantowych, nurkujących w morze niebiosów — nad różnobarwnym tęczowym mostem, jakim stał się Dniepr — czerni Krzyż. Odwieczny, znający już pioruny i burze.

Krzyż niepamiętny, z dębów jakich już tu niema — zbudowany może przez towarzyszów św. Andrzeja — przez tych surowych ascetów jak z Tebaidy...

Na tym krzyżu skrępowana powrozami postać niewieścia. Żywa Kamea!

— Czy nie przypomina Persefony na wazie Mirona? Owinęły ją węże — nie, to sznury — — wspaniały ma wyraz oczu — kobiety w oddaniu lub w torturze porodu mają oczy tak magnetyczne — —

Klasnął w ręce — rozpoczęła się feerja. Naprzód z za zasłony wyszedł łoś, żywy lecz wymalowany na płomienny szafran. Król borów szedł, rzucając trwożne wejrzenie. Ciągnie rydwan. Na nim Diana z Kypros — w szatach fioletowych. Niosą nad nią czarni niewolnicy drzewa cyprysów i pomarańcz.

Imperatorowa skinęła na jednego z paziów, stojących obok, za niziutkiemi kanapami wschodniemi. Coś mu szepnęła.

Ten wybiegł — goni tylko z pokładu na pokład, przez taneczne korowody i wirydarze z zieleni i kwiatów. Wreszcie zatrzymał się przy galarze królewskim. Znalazł tego, kogo miał odszukać.

Zaiskrzył Ogród Różany — w tropikalnej zieleni mnóstwo chińskich lampjonów. Zwieszały się róże, jak krew z tragicznych pałaców Montekich i Kapuletów. Na cedrach ciemnych królewny świata roślinnego, jak boży dar szczęścia wśród surowej zadumy! Róże szkarłatne i karmazynowe, złociste chińskie i białe francuskie — nadewszystko — tajemnica ogrodników z Holandji — róże błękitne, modre — jak lazur...

Hrabia Poniatowski mizdrzy swe komplimenty, ambasadorowie sypią dowcipy. Kniaź Patiomkin cały w brylantach. Hrabia Poniatowski po prawej ręce Imperatorowej — odwrócony od brzegu — patrzy upojony na teatr. W kłębach dymu wschodniego — wysoko na estradzie — raczej nad kaskadą z krwawych róż — bajadery.

Były w zasłonach. — Wraz z tańcem rozległ się jednocześnie ekscytujący szmer jak pszczoły w lotosie — to szampan nalewany w kryształy. Muzyczki porwały za lutnie i rozległa się pieśń w języku zbyt doskonałej francuszczyzny — aby można wierzyć, iż te śpiewaczki są to córy Persji, Indyj i Judollin, mówiące poezje Hafiza.

Życie długie

— Myślicie, iż krótkim jest żywot? Mylicie się.
Myślicie, że uciechy zbyt spiesznie
przebiegają? — wierzcie mi — mylicie się.

Gdy moja ręka przez rozpuszczone włosy
— przez całe nieskończenie długie, miękkie włosy
mej ukochanej przewędrowała wdal do kresu —
Cóż mam — po tej najcudniejszej drodze
jeszcze na świecie czynić? Życie już
było mi dość długiem — i chętnie je odrzucam!

Grzmot oklasków nagrodził pieśniarki. Gubiono się w domysłach, kto mogą być te piękne w maskach, ale zato w tak przezroczystych tkaninach, że wszystkie miejsca na ciele wyrzeźbiały się.

Hrabia Poniatowski zapomniał o dyplomacji — wydobył minjaturową lornetkę i starał się jeszcze cośkolwiek wyłowić z ciemności, które naraz zrabowały oczom spragnionym te skarby Sezamu.

— Niech stanie się światłość — zawołała Monarchini — kobiecy Allah rozparty wśród kłębów aromatycznych rzeźwiącej werbeny.

Zaimprowizował x. Patiomkin:

— „Niech stanie się światłość! — tak zawoła Allah w głębinach mroku wśród Inferna właści. — Oto jawi się cudne na wstrząśnionych falach światło — to oczy Katarzyny — wśród przepaści".

Wybiegły bajadery w tańcu zawrotnym.

Hrabia kiwał ręką jak do snu czarodziejskiego, kniaź Patiomkin zaprzysięgał, że całej armji użyje, aby zdobyć trzy Gracje do swego haremu (miały to być Potocka Greczynka, Skawrońska — o trzeciej nikt nie wiedział — była niby Astarte najwyższa — wspaniała — o szaleńczych ciemnych oczach w masce). Wystąpiło teraz siedmiu tancerzy półnagich.

Wino

— Precz z myślami, przyjacielu! hej, do oberży — hej!
tam gdzie w puharach wino purpurowe skrzy.
Spojrzyj, jak niebo przegląda się w tej cieczy —
zostawcie na uboczu wszystko głębokie, przemyślne.
Wstań, chodź — tam, gdzie poznamy wreszcie świat:
najgłębsza mądrość życia ukryta wszak jest w winie.

Podnieście czary pełne do waszych żądnych warg —
wnikniecie tak, przysięgam — do źródła wszystkich głębin!
Precz, precz — z wszystkiemi tnącemi mię myślami —
z głębin wypływa sok winnej macicy! — Hej, podczaszy,
[wina! —

Wzniosło się tysiąc nalanych puharów — w ręku wszystkich zalśniły kruże. Statki okrążyły imperatorski okręt — tłumy szczęśliwe. Imperatorowa odwróciła się, patrzy w stronę lasu — tam krzyż — tam złoci coś, niby monstrancja. Haszyszowe dymy mącą świadomość. Hrabia Poniatowski znajduje, że ta kochanka Heljosa na krzyżu jest wspaniałym pomysłem.

Wdzięczna Paribanu zanuciła:

Los

— Wszystko jest już wyznaczone
przez ogromną dobroć Boga —
Ach, więc cóż uczynić mam?

Jestem dawno przeznaczony
dla oberży, wina, dziewcząt —
ach, więc cóż uczynić mam?

Tak jak ptaki mają gniazda,
jak zwierzęta dzikie — las —
w przeznaczeniu cię miłuję.

Więc — jedyne me wyznanie —
wino, uczty i dziewczyna!

Wszystko jest już wyznaczone
przez ogromną dobroć Boga.
Ach, więc cóż uczynić mam?

Cieszą się prałaci, kanonicy, biskupi. Arcybiskup Siestrzeńcewicz nachylał się co chwila, by z kosza czerpać kwiaty i osypywał ich deszczem wonnym wszystkie siedem śpiewaczek pokolei. Damy wzięły w swą opiekę śpiewaków.

Zmysły

Głupią mądrości ograniczoną cnotą
szedłem za długo za tobą trop w trop!

Zmęczyłem się mocno, chociaż jestem młody.
Wtedyś ty przyszła, szepnąwszy: „Mnie poznaj!
przy mnie radosna nawet nicość ziemi —
Z mych ust różanych zerwij słodycz grzechu,
na morzu piersi wzdętych z nadmiaru miłości".
Przychodzę więc szczęśliwy, że byłaś mi łaskawa
i czynię tak, jak mną rozporządzasz —
i jestem uzdrowion!

Biskup Kossakowski podał wieniec laurowy arcybiskupowi, mniemając, iż ten uczony lingwista tłumaczył Hafiza. Siestrzeńcewicz niejasno i mglisto odpierał. Ale wyjaśnił wnet pan Arżanow, że w klasztorze spotkał dziwnego ascetę, który udzielił mu w tajemnicy swych tłumaczeń, naturalnie takich tajemniczych skarbów ukrywać przed ludzkością nie należy. Wtem jak bicze podnieceń zaczęły siec ironiczne słowa:

Przeciw mnichom

— Sutanny xięże, biskupie dalmatyki
należy spalić w Babilońskim piecu —
Duchowi ziemi tej — uczyńmy hekatombę.
Gdyż nieskończone są gorycze — utrapienia, zgryzy —
Któremi oni chcieli nam dni niepowracalne
naszego życia — przekwasić! Te przeklęte mnichy!...

Wydarło się uwielbienie z ust wszystkich. Władyka wschodni z brodą Abrahama zacierał ręce, podnosił kolana wgórę i bił się po nich z nieupamiętanej uciechy.

Zaśpiewała mała Koklein:

Uśmiech

Nie uśmiechaj się tak, moja miła —
aby aniołowie nie runęli wdół
z wysokiego nieba... Gdyż mogliby mniemać,
że niebiosa — ich ojczyzna promienna —
jest w twoich cudnych uśmiechach tam, nisko na ziemi!...

Imperatorowa nie mogła już ukryć swej nostalgji. Jakby wyczuwając smutek starców, którzy chcieli bawić się w Amora i Kallipygos, tancerze zanucili:

Młoda starość

Nie gromcie mię — żem za stary
dla wszystkich tych radości, które wokół słyszę.
Mylicie się, druhowie! gdym był młodzianem
bawiłem się w powagę — wtedy byłem stary!
Osiwiał teraz mój włos, lecz przecie jestem
tak młodzieńczo radosny — jak żaden bezwąsy!
Weselną jest radość mych jesiennych dni!
Młodzieńcy — do swojego grona weźcie mię młodszego!

Rozjaśniła się twarz Imperatorowej, przyjmuje tę pieśń za dobry omen.

Śpiewa chór mężczyzn przy tańcu pięknych dam.

Ciało kobiety

Twoje biodra — Sulamit —
Są to dwa jedwabne obłoki,
na których marzę ja przez całą noc.

Twoje wargi, Sulamit,
są czerwonem źródłem nieba,
z których piję ja przez całą noc.

Twoich piersi dwa pagórki —
to strażnice rajskiego ogrodu,
po których błądzę ja przez całą noc.

Twoje oczy, Sulamit,
to matematycznych głębin tajemnice —
których algebrę badam ja przez całą noc.

Twoje włosy, Sulamit —
jest to mrok bezkresny wielkiej miłości —
dlatego w niej umierać chcę przez całą noc —

Westchnęła ciężko Imperatorowa — w akompanjamencie zręczny wirtuoz rzucił elegję:

Uczucie

Ziarenkiem jestem lichem na drodze
kobiety tej, którą kocham... Ja, który niegdyś
lwu byłem podobny w dumie i wysokiem męstwie —
teraz jestem słowikiem małym w listowiu drzew,
który błagając — posyła nieśmiało swe pieśni.

Łzy wytrysły z oczy sentymentalnej Monarchini. To był znak, że chce nastrojów tragicznych.

Wystąpiła mroczna, ogromna Surinambaju.

Miłość

Gdyby me serce namiętne rozbiło się
Na tysiąc części — wtedy ujrzałbyś, miły,
że każdy z tych tysięcy okruchów i złomków
miłowałby tak — jak tysiąc nierozbitych serc.

Imperatorowa odpięła bransoletę z czarnych brylantów, zdjęła swą bezcenną kolję z błękitnych aleksandrytów, zrzuciła perły urjańskie — i kazała to zanieść śpiewaczce. Ale ta nie spojrzała na dar wspaniały — w kwefie na twarzy lśniły czarne, nieukojne, dzikie źrenice. Z pod zasłony wychylały się włosy krucze — jedyne prawdziwe barwą wśród innych kobiet, które malowały się na sposób orjentalny. Włosy ich były koloru cynobru gorącego, albo jak fiołki lub jak ciekący wodospad krwi.

Schyliwszy głowę — harfiarka mroczna okryła się nagle żałobną tkaniną.

Kler

Odeszło słońce, odeszła radość już.
Zwyciężył kościół, pokryła nas noc.
Łagodny wiew od wschodu zniknął już —
w zarażonem powietrzu me serce jest zdławione.
Słowik zamarzły przyczaił się w gałązkach,
róże uwiędły — na drzewach syczą żmije...
Miłość wygnana. Nienawiść rządzi lwem,
w cmentarz przeobrażona jest nasza biedna ziemia.
Już czarne kruki latają nad krainą —
zwyciężył kościół... I nas okryła noc.

Taki wyzew zbyt silny, aby nie rozjątrzył władyków — żachnęli się — ale przywykli do niemej uległości, słuchają nachmurzeni. Natomiast prałaci katoliccy uśmiechnęli się końcami ust.

Dostrzegł to kniaź Patiomkin.

— Naprawdę — rzekł do króla — rzymska kurja zaczyna już smakować w esencjonalnych potrawach tej ziemi!

Król uśmiechał się półprzymkniętemi oczyma, nie słuchając niczego prócz pieśni.

Miłość

Ja wiem: w komnacie tej spoczywa ona
na piersi innego... A ja leżę tu
na progu tym, jak niema burza.

Ja wiem: byłoby najrozumniej
i tak, jak żąda tego dobra obyczajność,
bym się oddalił stąd, ponieważ mną wzgardzili.

Ja wiem: choć świat ten wielki jest, obszerny —
dla mnie jedyne miejsce jest — o, tu!
dla mnie jedyna droga jest — stąd — w grób.

Imperatorowa odruchem nostalgji rzuciła kosztowną czarę w Dniepr — patrzy w ciemność, która wyrazem jest najlepszym zbolałego serca.

O tak — trzeba się zbliżać pobożnie i ze skruchą
Do świętych — ale do serca, które rozpękło z miłości —
Zbliżajcie się w najgłębszej czci, w głuchem milczeniu —
Gdyż ono świętszem bywa, niż wszyscy święci nieba! —

Zasłona spadła — znikła mroczna Surinambaju i nikt nie mógł już jej odszukać.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Wita czuje straszliwy ból naciekłych krwią ramion, zrywane ścięgna i szaleństwo gorączki!...

Za co ją umęczyli, nie wie.

Komu sprawia uciechę ta karykatura Golgoty?

Oczyma boleści spogląda w Dniepr i na furję maskarady. Widzą ją zapewne. Ale to obojętne. Wystarcza, że nie widzi tego Bóg.

Mierzy oczyma przepaść pod sobą — sto metrów z góry tej w głębinę — jeśli krzyż się zwali — nastąpi wyzwolenie!...

Wita w straszliwem naprężeniu tortury — teraz zrozumiała wszystko: los każe jej stać się symbolem...

Czyż to wszystko stanie się — zamiast braterstwa? To, co godne jest być snem obłąkanego szatana?!

Wita — niegdyś posłusznica Boga — szukająca prawdy dla rozjaśnienia lazurami mroków cieni — czem jest teraz? Podeptali jej ciało, jak ścierkę do zmiatania kurzu — ale nie duszę. Kto są te jestestwa z łagodnemi pozorami — demony? o Luciferze, gardzący tak życiem, jeden to wiesz...

Biedny xiążę szaleje teraz z męki!.. Gdyby widział — jak latają zastrachane puhacze nad jej głową — a jeden wbił pazury w jej włosy — — — czy nie rzekłby tej mrocznej ciszy nad głębiami: zwyciężaj! pochłoń ją! bo już nad miarę ludzką cierpi!...

Męczyła się w ogniach Joanna d'Arc — ale wszak wyzwoliła Francję.

Wita — na progu swej misji — jest już pręgierzem dla maskarady bawiących się... Z nadmiaru cierpienia traci świadomość.

Ból ją znów obudził... To puhacz wyszarpał jej skórę na czole — ślepemi źrenicami patrzy ohydny ptak w blaski płonące nad lasem — i kowulsyjnie wpił się w głowę i we włosy.

Ukoronował sobą ptak ciemności głowę świętej luciferystki. — O, wyzwól mię mroku, który jesteś Luciferem!! wydarło się jej z piersi — jak niegdyś Eli-lama sabachtani.

Umrzeć — jedyne co pozostaje. Haniebne zwierzątko wstrętu do życia przyczaiło się w łonie jej serca.

Najgorsze, co się stać mogło: zniweczyli wielką sposobność. Nietylko obcy — wyraźni nieprzyjaciele! Lecz ci, za których oddałaby swe życie i całe szczęście.

Polacy — szpetne, marne larwy pod maskami dobrodusznemi...

Ktoś jest rejent Ślegotko: czy Żydem talmudystą, opętującym siecią goima? nie — z ludu polskiego dorobkiewicz — cham, ździerus, pijawka — mający tam w stolicach salony.

Któż jest hetman Seweryn? z najszlachetniejszych Polaków — — wyrodek.

Któż Arżanow? jej pobratym — jej bliski — niemal jej brat!..

Któż jest ta kupa szui, stanowiącej śmietankę polską — żali to nie ci, którzy śmią twierdzić, że Polska jest ich własnością?..

Mają na rozporządzenie dziesiątki, tysiące głupich a karnych oficjalistów... Rozporządzają życiem i mieniem ciemnego chłopstwa. Czyż nie postąpili tyrańsko z Gertrudą Komorowską? zadusili i utopili w przerębli? A potem sądy nie mogły dowieść... Ha, setki szlachciców ukrywały zbrodnię matki pana Szczęsnego Potockiego...

Kogo tu bronić — w imię jakie walczyć? Niebo puste, ziemia bagnem, życie — fajerwerk, miłość — daremną tęsknotą...

Joanna d'Arc... obrończyni wolności... na kim ma się oprzeć?

Słowiki zaczęły śpiewać, łzy zaczęły płynąć.

— Nie wątp jeszcze do końca... czyż po śmierci nie zbierze twój duch braci słonecznych tu w Polsce, nietylko wśród pierwotnych Hawajczyków? czyż i tu nie ma zacnego Szczerbiny, xiędza Trockiego, mężnych Przecłanko, Meleniewskiego, Brutusa? czyż nie weseli cię ogromną swą wiedzą Słusznic, nie porwie serdeczna Podkomorzyna, nie przekona prawy Jan Chojecki? czyż tu niema xięcia Józefa, który będzie Wodzem? czyż niema w obozie Rosjan Kambiłowa, Tatjany Bułhakówny — i ojca Ihnatja... Żyj, Wito, czyż pozwolisz, aby triumfował Arżanow i hetman Seweryn? cóż będzie z Polską — runie — nie jak kolumna, ale jak zgniły słup karczemny!

Ból — jak ogromny ptak obłąkany!.. Nie, ona nie przeżyje swej hańby — ani tego, że własna dusza ją w letargu jak Judasz — zdradziła!...

Rozwarła oczy — wizje straszne płyną po niebie. Patrzy w nie oczyma szeroko rozwartemi, jakby nie było już

oczu ludzkich jeno upiora oczodoły. Czyta z hieroglifów chmur, jak niegdyś druidzi lub Jan święty.

Konie apokaliptyczne lecą w dymach fajerwerku —

Koń biały, na nim łucznik w koronie — to Polska — — ach, jak rozprasza się, jak zapada się w ciemność — —

Oto koń rydzy — — to Prusy — jeździec jego odjął pokój z ziemi — miecz ma wielki — — Wyrasta w chmurę olbrzymią — —

Koń wrony — jeździec jego trzyma wagi w ręce — to Francja — — pszenicę waży, oliwę i wino... Buchają krwawe łuny —

A oto koń cisawy, na nim siedzi Śmierć — to Arżanow! Piekło za nim — dana mu jest moc nad ziemią — —

A tedy z pod pieczęci piątej wydobywają się dusze pobitych — i wołają głosem wielkim o sprawiedliwość.

„I dano im po szacie białej — i powiedziano im, aby jeszcze odpoczęli mały czas, ażby się wypełnili spółsłudzy ich i bracia ich, którzy mają być pobici, jako oni".

Ale co znaczą te wizje mordowanych ludów, godne Meksykańskiego Bożyszcza? Wszystko bezsensem — — naco tłumaczyć mądrością opatrzności to, co jest wirem potwornym Malsztremu życia!.. Ale trzeba mu przeciwstawić wolę białych Twórców.

O Luciferze! czy i ty nie jesteś tylko ostatnią złudą dumy człowieczej? Widzi Go na krawędzi lasu!

Nieśmiertelnej piękności ze skrzydłami rozpostartemi na obłokach, niby na Himalajskich lodowych wirchach...

Zawołał na nią, ocknęło się jej serce zlodowaciałe.

Rzekł jej — tylko dla niej słowo zrozumiałe — twarz jej rozskrzydla się radością. Wśród okropnej maskarady życia wysłuchuje śnieżnej wirchów rozmowy... Wytryska wulkan mirjadą rac — feerją węzła brylantowego Imperatorowej na mrokach nieba. Ale ona idzie do świątyni wraz z Luciferem!

— — — — — — — — — — — — — —

Imperatorowa wstaje, idąc do komnaty na wieżę,

gdzie chciała przyjąć xięcia. Idzie, aby ukryć łzy. Może i ona ma przeczucie, że za kulisami feerji — wszystko już skończone?

Noc majowa, jak pieśń triumfującego wezwania.

Na wieży teremu Caryca — patrzy ku lasowi i w nienawiści męczącego się serca przeklina tę, która śmiała być wybraną przez jej wybrańca... i zabrać jej ostatnią prawdziwą poezję...

Tam w dole śpiewają pieśni Hafiza.

Raj

Hafizie — nie śmiej nigdy do bramy raju zapukać!
przenigdy cię nie wpuszczą tam...
Błądziłeś zbytnio już — grzeszyłeś nazbyt wiele!

Nie jesteś godzien w wysokie przestworza
metafizycznej rozkoszy wkroczyć. Wiecznie
na siedem pieczęci — zamurowane są przed tobą bramy.

Tak? nic złego w tem. Ja wezmę moją lutnię —
i ona zabrzmi przed zamkniętą bramą —
i nią wywołam ja wszystkie hurysy stamtąd.

One, śmiejące się, radosne pójdą za moją pieśnią —
ja będę wiódł je wciąż niżej — niżej — aż na ziemię,
gdzie wino nęci — majowa pieśń słowików...

I żadna nie zostanie tam — one przyjdą wszystkie
błogosławiące, upojne — i zamienią chętnie
swój raj w niebiosach na kochaną ziemię.

Puste, bezludne są mieszkania w niebie,
kto wejdzie tam — napełnia go tylko od kresu po kres
bezmierna nuda... Lecz zato u nas życie wniebowziętych.

Rozległo się kazanie o wartości życia — mówił ex-opat Słusznic. Niby sylen ogromny stał na beczce. Na ołtarzu bogini Odajpepe, pono egipskiej — postawiono dwie śpiewaczki, które zdołano pochwycić. Trzecia schroniła się — nikt nie wie dokąd.

Rozebrano z zasłon te kochanki księżyca... te powierniczki Erosa...

Lecz jakiż był krzyk oburzenia, gniewu i śmiechu — poznano — iż są to dwaj eunuchowie z kapeli xiężnej Lubomirskiej. Mieli cudny mezzo sopran i kobiecy alt. Peruki sztucznych włosów pokrywały ich gołe głowy. Na pociechę jednak rój tancerek i tancerzów okazał się godnym położonych nadziei —

Dzikie tańce kacznera, lachota, fandango, furlana — poniosły setki par w groty ciemne, w komnaty zmierzchłe.

Pachną w kadzielnicach ognie, a miękkie łoża zdały się falą Anadiomeny... Gwarem orgjazmu wybuchły wszystkie statki, racami śmiechu, hukiem wybuchających butelek szampańskiego wina napełnił się ten Ogród Różany.

Kilkaset drzew nad okręty tworzą namiot zieleni. Korable, barkasy, galary i płoty — stały rzędem za Morskim Potworem, którym jest największy, najwspanialszy statek Imperatorowej.

Wszędzie rozuzdanie kipi.

Wniesiono kielichy, mieszczące po trzy butelki w jednym. Branicki wnosi zdrowie dam, które jeszcze nie utonęły w buduarach i kielich w dwa łyki był suchy. Kniaź Patiomkin wypił także miarę duszkiem.

Dwudziestu panów daremno pokusiło się sprostać kniaziowi — jeno poczciwy starzec osiemdziesięcioletni Gnidowski wychylił taki beczkomiar — wprawdzie powoli łykając.

— — — — — — — — — — — — — — —

Wśród migotów tęczowych, latających w powietrzu smoków chińskich i apokaliptycznych ptaków z baśni tysiąca i jednej nocy — z chwostami mirjadą szafirów iskrzącemi — gdy słuch mógł słyszeć cośkolwiek wśród chóru śpiewaków cerkiewnych, złożonego z kilkuset ludzi, wśród muzyki grającej symfonje bizantyjsko-operowe, dzikie i niesforne jak wycie wilków, to znów mające dziwny czar kołokołów na Zmartwychwstanie — na Wsienoszczu — — wśród świegotu tysięcy słowików w klatkach, którym wypalono oczy — — rozległ się żałobny dzwon. Tak xiążę Patiomkin daje znak, że zaczyna się uczta na serjo.

Rosja chce pokazać, iż to na czem w Polsce kończono bale — ona dopiero od tego zamierza zacząć. Zwyczajem petersburskim zabawa wybucha na serjo teraz dopiero — po północy.

Kazano pogasić światła.

W mroku miał odbywać się wenecki karnawał. Nie wolno było nikomu wymówić słowa. Tak rozporządził Najświatlejszy kniaź.

W mroku rozlega się muzyka — wytrysnęły poraz ostatni purpurowe race z armat, tworząc ogłuszający huk, jakby kończącej się morskiej bitwy. I odtąd już milczenie.

Światła — ani z drzazgi.

Szał prowadzi do pojedynków na rapiry i szable w ciemności. Niektórzy biegali ze sztyletami nago. Wszyscy czynili co wola — najodważniejsi zmieniali się w dzikie bestje — Milczenie — bezgłośne szarpanie się dzikich zwierząt.

CÓRA DNIEPRU

W mroku na Dnieprze płynie łódź. Zamyślony, ponury xiążę w niej. W mrokach pogaszonych świateł flotylla zda się spać — lecz dziwne, podrygujące, fantastyczne, upojone tłumy. Istne piekielne korowody. Nagle uczuł gwałtowne przechylenie łodzi. Chwycił wiosło, by odtrącić to coś — kłodę czy trupa, gdy znajomy głos rozległ się.

— Wezwała cię do siebie — Tygra?

— Kalina!! — utoniesz — —

— Dla ciebie śpiewałam pieśni Hafiza... Słyszałeś? Księżyc zaraz wyjdzie i będziesz mię widział nagą. Podpłyń tam, gdzie to ognisko dogasa na brzegu. O tak — czekaj teraz! —

Z mrocznego Dniepru wybiegła — z ogniska wyrwała żagiew.

— Płyń wolno, nie wiosłując, ja będę obok ciebie płynęła.

— Kalino — muszę odjechać. —

Na brzegu z żagwią wygląda cudownie. Aż oniemiał, widząc raz pierwszy w życiu posąg takiej krasawicy o kilka cali od siebie.

Odpłynęła, trzymając żagiew płonącą w ręce. Zatacza kręgi na wodzie dokoła łodzi. To zanurza się tak, że tylko żagiew samym żarem wystaje nad wodę — to przewraca się, turla — istna rusałka.

Żagiew z sykiem rzuca iskry, błękitna żywica cieknie — w wodzie toną, nie gasnąc — szafirowe łzy. Namiętne wspomnienia biją haszyszem od świeżych cudnych warg kobiety, której wzrost imponujący i czarne walkiryczne oczy mają coś demonicznego.

— Nie kochasz mię — a więc pokochaj topielicę! Nie

dotkniesz mych ust? Jakieś mi góry śnią się — jakieś prze paście — jakieś boje prowadzę — jakieś narody zwyciężam We mnie miałbyś ukraińską ziemię rodną — synów uro dziłabym na schwał, a jeśli nie zechcesz — potopiłabym na porohach!... Ziemią twą być — abyś po mnie deptał i mnie zaorał!... Dzika ja — a i ty krasny! Myślisz, że ja nie widziałam trupa, coś go tak rozhałatał... Witę miłuje nadaremno... Nie pytaj mię, co z nią się dzieje — wszystkie sny lazurowe rzuć w przepaść.

Widziałam posągi na koniach bohaterów — zda się tylko jedno mogliby rzec:

— Narody, na szturm przeciw piekłu! ale jeśliś nawet ty bohaterem takim — to ja żarem bucham — więc święta jestem, bo żywa!...

— Zapomnij, Kalino... czemże ja tobie lepszy od in nych? Weź kochanka serdecznego...

— Kniaź Patiomkin głowę stracił — obiecuje kniahini zrobić — Noworosijskij kraj dla mnie zabuduje pałacami — okręty mi da — —

— Weź miłość prawdziwą — —

— Jak ta, o której mówiłeś mi wówczas — o miłości w stygmatach — tworzącej Dantejskie Życie Nowe?...

Ja wiem, że to dla Wity, ale czyż nie rozumiesz, żem ja wilczyca — a ona tylko łania! Ze mną zbudujesz Rzym, z nią — zostaniesz świętym. Nienawidzę jej, jak kochałam... gardzę, jak wznosiłam wysoko...

Na co komu kołatanie w bramę Niemożebności? W jed nym puchu lecącej zarodzi przydrożnika więcej mądrości, niż w całym krzyżu i kościołach....

Twoją wolę rzuć jako miecz dla świata, a w mem łonie będzie twój raj — i twoja nieśmiertelność, twoje potomstwo.

Weź mię, albo mię utop. Amen, Amen, Amen! — zakrzyknęła z oczyma zielonemi, jak u tygrysicy.

Niagara w nim wybuchła. Wita opuściła go — dla czegóż on ma być lepszy? Kazała mu czekać — — a po tem dała się pohańbić!... Słońce wschodzi co dzień, krew

pulsuje w każdej sekundzie... Nie, krew nie może czekać. Ręce jego wtuliły się między jej włosy.

Kalina wzdrygnęła się, bo mimowoli ręce jego były już blisko jej łona.

— Dygnitarze chodzą za mną, jak nieprzytomni. Lecz ja brzydzę się magnata i kancelisty. Magnat musi podeptać, aby siebie wywyższył — skryba chciałby postawić figurkę w szafie domowych relikwij — i pracować dla niej na nowe szmaty i kapelusze. A ja chcę wodza lub kata. —

Ochłonął xiążę — wspomniał, jakie stracił niebo. Pocóż ma brać ten odłam gliny?

— No, to jeszcze masz wybór. Szukaj teraz kata.

— Ale ten już nie będzie wśród was! Ten już będzie na was!

— Widzisz, my obcy. W tobie zaraz bucha żądza do polskiej krwi. Rezunicka ty... cudna ty... namiętne moje panterze ślepia...

Nie władał już tem, co mówi.

Kalina z niesłychanym cynizmem założyła buchający ogniem ożóg ponad kolana — i tak — niby kandelabr płynie dysząc i patrząc w oczy xięcia. Żywica rozpalona, błękitna chlusta, grożąc, że wypali oczy bachantce.

Jak odaliska, coraz namiętniej podpływa do łodzi — na czarnej głębinie ciało jej miedzią gorzeje. Zda się jedną z tych kobiet Polinezji, które w wodospadach turlają się do morza.

Straszna i przepiękna — kwintesencja djonizyjskich mocy — ta czarownica ma coś więcej w duszy niż chęć uwiedzenia. Żywioł Dniepru — to jej miłość, jej religja, jej boskość, jej przeznaczenie, jej krew.

Jeszcze moment — a już zniknie mu z oczu wewnętrzny nakaz.

— Precz — krzyknął brutalnie, gdy Kalina porwała za brzeg łodzi.

— Nie strasz mię, nie strasz... tam są Rosjanie — — gdy zechcę — w łonie mieć będę to, co pójdzie przeciw

wam! Albo wybieraj — brzydzisz się Kozaczką — weź janczarkę — zabij! —

Krew napłynęła do twarzy xięcia, chwila jeszcze, może żeby zabił Kalinę... tak by się pomścił na losie, że zdeptał jego niebo!

— — — — — — — — — — — — — — —

Ej, Dnieprze, Dnieprze — srogi władco tych stepów bezbrzeżnych! Ile krwi przelało się w ciebie, a więcej niż krwi — łez, które bardziej gorzko wylewać, niż krwią broczyć ze swych ran.

Ej, Dnieprze... poniósłbyś chętnie i chyżo ciało martwe z kulą w głowie tej krasawicy! Poniósłbyś, stary pogański boże — aż ku przepaściom na porohach — zawiesiłbyś na djablim sarkofagu ciało jędrne, przepyszne czarownicy — ochlustując martwicę chciwemi całunkami...

Muszkiet wzniósł xiążę — unika spojrzenia oczu karych, miłością obłąkanych — — — — i jak nie pocznie szlochać! Przepaść go nęci!... rzuci się tam jak centaur, czterema kopytami zawieszony w powietrzu — gdy ucieka przed furją obłędu!

Ej, Dnieprze — poniesiesz ty dwa ciała splecione ze sobą, uściskiem — i rozpaczą!... Na porohach ujrzą Kozacy, z krzykiem junackim płynący na czajkach i duszehubkach — ujrzą ciało w modrym mundurze, podartym o rafy — i ciało rusałki miedne, nagie, opalone słońcem — —

Ej Dnieprze, Dnieprze — na co rozlałeś tak bezmierną upojność po dniach i nocach życia — truciznę żądz czarnych, jak morze — choć pod osłoną fal modrych, jak Boża księga?!

Ej, Dnieprze — złowrogi czarowniku — córy twe są zbyt strasznej, nadludzkiej miary szczęścia upragnione...

— Kalina — rzekł xiążę — rozsłonię ci Gehennę ducha mego — nie pójdę ja z tobą — ale też nie wrócę do Wity!...

Inna mi droga jest — samotnie muszę ją znaleźć. Jeśli nie — siebie zatracę w orgjach — i wtedy przyjdź.

A teraz, krasawiczko moja — święta Djablico stepu...

Zgaś pochodnię miłosną w tej wodzie czarnej, jak moja zgryzota. Żegnam cię —

Potężne zgięły się wiosła — strzałą pomknęła łódź w ciemność.

Z potężnej, muzykalnej, jak organum kościelne piersi wybuchła pieśń o atamanie Nalewajku...

Zdawało się, że to dusza bogini Dnieprzycy śpiewa.

Zdawało się, że huragan rozkoszy i potwornych zbrodni bucha w niebo mroczne, na które wschodzi zdumiony, zakrwawiony — jak róża miłosna — księżyc.

Teraz już naprawdę umilkły szmery karnawału — okręty śpią nieme z przyczajonym bezwładem...

Księżyca pierwsze błyski padły na las zielony, bujny — na tę ścianę niewysłowienie tajemniczego życia. Ale w kilka okamgnień znów zakryły go nieprzejrzane chmury.

Xiążę dopłynął do okrętu Imperatorowej. Poznał go po wieży ogromnej.

W NAJWYŻSZYM TERENIE

Xiążę czuł, że mu w skroniach biją młoty. Wszystko, jak letargiczny, upiorny sen. Utrata Wity — błazeńskie zachowanie dyplomacji królewskiej — piorunowa chmura nad Polską — szał zmysłów beznadziejnie walących się już w przepaść — zamiast ku sercu kochanki. — A teraz po drabince sznurowej wchodzi, czając się, niby jakiś Mamonow — —

Na pokładzie nikogo.

Jednakże w mroku chwyciła go ręka kobieca — i wiodła ku wieżycy. Tam wysoko modry język ognia wśród atramentowego mroku.

Przeszli mostek chiński — zaczął iść krętemi schodami — wszędzie ciemność!...

Było mu wszystko jedno już, co go spotka. Kiedy miał Witę przy sobie, szedłby jak witeź z gałęzią oliwną, a z ręką na mieczu. Teraz wie tylko jedno, że ma spełnić obowiązek — przedstawić wielką myśl Ojczyzny — i szukać jej ratunku.

Dziwi się, że nikogo nie spotyka — raz mignęły złote blachy na czapach gwardzistów — lub mu się zdało — bo stali w ciemnościach niemi, jak mumie lub trupy.

Rozwarły się wrota, wrzeciądze — prowadząca go znała dotknięcia zaworów. W jednym miejscu świeci lampka — xiążę dotknął: ostre — zimne, cofnął rękę. Ale w półświetle dojrzał gigantyczny miecz...

— Mechanicznie tnie — szepnęła zakryta postać — kto idzie tu bez pozwolenia lub schodzący w niełasce — będzie rozcięty mieczem Goljata. A tam włócznie — za pociśnięciem sprężyny — —

Xiążę roześmiał się — wygląda mu to na bajkę o Sino-

brodym — ale rzeczywistość kazała mu tylko wspomnieć dawne skrytki bizantyjskich pałaców!

Rozwarły się niespodzianie drzwi w samym suficie. Ujrzał się w rozległej napowietrznej galerji. Baldachim z modrej jedwabnej chińskiej tkaniny wyobraża obłoki — bogów — wieżyce, smoki złote — góry z bajeczną perspektywą... Złote kolumny rzeźbione podtrzymują mrok nieba rzeczywistego między filarami. Z różnobarwnych klejnotów lampa w formie amfory — mży tajemniczą gamą arabesek.

Nie dojrzał xiążę nikogo. Naraz rozejrzał leżącą postać kobiety na złotem wezgłowiu.

Ubrana jak do tronu: w szacie czarnej aksamitnej krojem staromoskiewskim, która na przedzie rozchyla się coraz szerzej ku stopom drogocenną wstawką brokatu fioletowego. Jakieś ognie rubinowe spinały jej stan. Maleńka żelazna korona na włosach bujnych. Skinęła nań — teraz już nie monarchini, lecz tylko kobieta o głowie jeszcze pięknej, cezarycznej — ale z takim wyrazem niepewności, że xiążę zdumiał się. Chyli się w kornym ukłonie, lecz bez służalstwa. Wyprostowany patrzy — na tę boginię, której wola może w przepaść pogrążyć jego ojczyznę.

— Jestem lady Macbeth północy, lękasz się mnie? —

W innym czasie stropiłoby go odezwanie tak wyzywające.

— Nie jestem królem Duncanem.

— Mnie nazywają istotą boską.

— Tem słuszniej, jeśli jesteś i ludzką. —

Wstała i w podnieceniu nerwowem zaczęła chodzić po dywanie. Nagle podeszła do skarbca — otwarła. Rozbłysła stara, średniowieczna, złota korona z kilku niezręcznie rzezanemi kamieniami. Obok wielki miecz wyszczerbiony.

— Poznajesz? —

Xięcia przebiegł dreszcz — ujrzał widmo Bolesława Chrobrego —

— Rozumiesz mię? lat kilka temu mogłabym zawołać: kochanku! Teraz muszę rzec: królewiczu polski. Sztandar

z orłem białym może być za pościel — jak purpura władców Konstantynopola! —

Ściemniły się oczy xięcia, świat zdał mu się z czarnego bronzu. Nabrzmiałe żyły pulsują — przez nozdrza, dziko rozwarte, wlata oddech ze świstem do jej płuc.

Wzięła go za rękę — usiadła na kanapie tak, że xiążę, nie chcąc siedzieć obok — stał pochylony.

— Słowiańszczyzna? prawiła mi o tem już ta Opętana — w przebraniu zdradzieckiem markiz Kornaro — ten niby grecki rycerz — zakonnik... Słowiańszczyzna? alboż wy pierwsi pragniecie jej — wy, niedopieczony chleb w łacińskim piecu Republiki Brutusa.... Słowiańszczyzna? dlaczego nie Monarchja nasza — większa niż Rzymska, wspanialsza niż podbój Macedońskiego? z mocną ideą imperjalizmu — tęższego niż Karola Wielkiego lub Filipa?...

Zresztą, gdybym nawet chciała lwu Rosji obcinać pazury — nie pozwolą na to ani Taurycki, ani Wielki Kofta — — krzywi byliby nawet wasi magnaci — —

— Pax tibi, Marce, głosi napis lwa weneckiego...

— Tak, ale ja nie jestem „Evangelista meus"... czyli Bożym posłem... Mówmy o innem. Miałeś najpiękniejszą z kobiet i nie wziąłeś jej. Więc nie pragniesz Wenery. We mnie znalazłby ktoś mężny — wspaniałej mądrości — Junonę.

Wahasz się? — —

Izabela Czartoryska odmówiła mi raz swojej charciczki. Rodzina jej i ona ujrzeli wnet swe dobra w sekwestrze. Xiążę Adam oddany był do Petersburga na zakładnika. To brzydkie, małostkowe, ale świat cementują nietylko zbrodnie, lecz i małostki. Muszą to wiedzieć ci, którzy rządzą całością ziemnego życia.

Milczysz?

Marzyłam, że jak Berenika, królowa Egiptu — spotkam jeszcze Ptolomeusza.

Wagi nasze złote, ale nierówne.

Ty życie, ja mam potęgę.

Pomnij nakoniec, że nie jest mojem powołaniem być żebrzącą — mniszką! —

Wymówiła to już z niewładnącem sobą rozdrażnieniem.

Xiążę nie mógł wymówić słowa.

Niezwykły urok Semiramidy odurzał go — ale wraz czuje, że nie poto przyszedł — nie takim wyjdzie.

Mimowoli cofnął się — jakby słowo o mniszce żebrzącej zbudziło w nim całą intuicję — zwrócił wzrok ku leśnym wzgórzom.

I dostrzegł, co zdało się mu wizją chorego mózgu: oto z krzyża zdejmują ciało kobiety — niby Józef Arymatejczyk idzie w sukmanie granatowej olbrzym chłop — obok niesie żagiew chłopka.

Kto jest ta kobieta, której włosy złote falą spłynęły!? — —

Ludzie zniknęli w lesie jak fantastyczne widma.

— To obłęd — myślał — jakżeby wśród wesołości powszechnej mogły odbyć się potworne martyria?

Naraz xięcia uderzyło coś silniejszego niż piorun, sroższego niż żar Achoronu — rzeki ognia w Hadesie...

— Zanadto jesteś kamienny — zanadto chcesz być biegunem waszego króla... Bożku Nilowy, zostawiasz w pustyni mój Egipt spalony... Namyśl się — nie, nie — idź — nie żądam łaski — jestem śmieszna, stara, bezbronna — tylko Polska musi być na wieki wykreślona z dziejów!! —

Nie mówił nic, bo każde jego słowo musiałoby stawać się kindżałem.

Wtem za kotarą ujrzał cień.

— Domyślam się — to ty, Wielki Kofto?! Przyszedłem po ciszę błogosławioną pokoju — ale jeśli za cenę demonicznych bestjalstw mam wziąć koronę, jak mój stryj — to patrzcie!

Porwał ze skarbca Szczerbiec i rozbił nim Koronę Piastową.

Jękła głucho wiekowa stal — rozprysły się klejnoty.

Wyszedł.

W ciemnościach i fałszywem półświetle mignął miecz,

zdający się mu teraz symbolem straszliwej — Rzeczywistości.

Minął straże, których kaski lśnią w pomroce.

Zeszedł do swej łodzi —

Odpłynął.

Na brzeg ciemny wyskoczył — i chce szukać Wity.

Ale naraz go zakrwawia straszliwa duma — toć Wita porzuciła go — musi już być sam.... Ona go nie potrzebuje. Więc — tak żyć musi sam, aż zwali się pod Bramą zdobywanej Polski!...

TATARZY I PAN MOHORT

Xiążę szedł nieprzytomny. Inaczej zauważyłby dym ognisk już przydeptanych w lesie — dziwny dźwięk, jaki czynią trzęsle setek koni.

Xiążę wie, że na polskiej stronie Dniepru niema obcych wojsk. To więc swoi. Posuwają się w ciemnościach czarne postacie, nikt mu nie odpowiada.

I naraz ujrzał na lewadzie wielkie ognisko — — i cztery kandelabry. Nagie postacie kobiet... — —

Czy to wizje djabła?!

W czarnej czerkiesce ze złotemi patronami na piersi, w czapie z wysokiego karakułu Arżanow. Na konia siada leniwie i ciężko. Podsadzają go wierni begowie.

Xiążę chce cofać się — postrzegli go Tatarzy.

— Nie może tu nikt odejść, kogo nie wypuści Arżanbej. —

Powiedli go na lewadę.

— Panie Arżanow — jakiem prawem tu z wojskiem na polskim brzegu?

— A? Xiążę!... ja tobie w duchu oświadczył swą drużbę, jak ty go jataganem hałatnął... męża Wity. Słuchaj, miły... pojedziem razem w step... Naplwaj na twoją Polszę... znam ją... naplwaj!... chcesz mię posłuchać — tak my kuzyni: była xiężniczka tatarska — no i król polski.... Mówią, że był i wielki xiążę, mąż Katarzyny — który króla kazał za kołnierz prowadzić Kozakom, gdy go na schadzce złowił — —

Tak ty widzisz, że my — — ha ha!... ot koligacje!...

— Waćpan mi zdasz sprawę na szable wprzódy, nim Rzeczypospolitej — —

Xiążę wydobył szablę.

Zwrócił się Arżanow do begów i coś wskazał. Nagle

świsnął arkan i xiążę uczuł się okręcony kilkunastu wężami. Targnął się daremnie.

Arżanow ciężko zwalił się na ogromnego bachmata, który zaczął się rzucać pod ostrogami, ale wściekłe uderzenie nahajem przez łeb odrazu go uciszyło.

Na konia posadzili xięcia.

Rozległ się świst — czabanik przedzierać się zaczął przez gęstwinę.

— — — — — — — — — — — — — — —

Xiążę jechał w zupełnej obojętności.

Nie dbał o życie.

Wszystko było stracone — szczęście, nadzieje, iluzje...

— — — — — — — — — — — — — — —

O milę stamtąd powracał pan Mohort ze swymi towarzyszami. Duma ciężka osiadła mu troską na czole. Ten król, o którym marzył, że mu przed śmiercią kolana uściśnie — jakaż to lala!

Xiążę mu się spodobał — ale mało go widział — wciąż zamyślony — — znikający — —

A ten dwór? pożal się Boże! Ilu z nich ma rycerskiego ducha!... Nadaremne czaty... nie chodzą już Tatarzy, a na wielkie wojska Rosjan cóż znaczy biedna, opuszczona, zapomniana w stepach placówka? I zresztą — sami to starcy.

— Poruczniku Lipowski — tyś młokosem wśród nas — ile sobie liczysz?

— Pół wieku z okładem.

— Toś młokos... Ja mam już ponad dziewięćdziesiąt, a jeszcze nikt z was lepiej ode mnie czapli w locie pod niebem kulą nie utrąci!... Pomnę Augusta Mocnego... Broniłem z Karolem XII zacnego Piasta — Leszczyńskiego... była jeszcze husarja — a ja w niej miałem szwadron — —

— Panie namiestniku — chmura tam jakaś na horyzoncie — nie rozumiem — ale tak błyskawicznie pędzą tylko Tatarzy — —

— Zachciało ci się... Czekaj! do kroć husarskich kon-

cerzy — ktokolwiek oni są — nie są Polakami! a tu Rzplita i uciekają! Ba, kogoś mają, jeńca... Panowie bracia! na śmierć i życie! Oni muszą trzymać się łuku rzeki — bo mają z boku góry — a my u wylotu gór wpadniemy na nich. Cięciwą przetniemy! po raz ostatni może — w imieniu Marji Królowej naszej Korony — —! po naszemu! —

Ruszyły ogromne, mocarne, przeważnie rasy polskiej bachmaty, brzuchami dotykając ziemi. Nieprześcignione, z piersiami mocnemi, z nogami o ścięgnach ze stali — fruwają — ognistemi oczyma jakby pożerają dal...

Obliczył trafnie pan Mohort: kończą się góry, zaczyna szeroki step — za chwilę wypadną Tatarzy... Już widać ich — już zwarli się, aby wysłuchać czyichś rozkazów — już wydali krzyk ostry — spostrzegli polskich rycerzy.

Zagrała odwieczna Nogajska nienawiść. Nie cofną się przed garstką trzydziestu kilku, śmiesznie, po staroświecku w pancerze uzbrojonych, rycerzy.

Arżan-bej skomenderował atak — tamci lecą. Huknęły strzały — mało kogo dosięgły. Zahuczał krzyk ogromny: Ałła! W mgnieniu oka utonęła garść zuchwalców w czerniawie wśród błyskających jataganów i wygiętych szabel.

Zapadli się polscy rycerze, jak ciężkie działo w głębokim stawie. W strasznej siekaninie nie widać już mundurów narodowych.

Pierwszy wypadł pan Mohort — z nim uzbrojony już xiążę, za nimi, jak wąż, łyskający iskrami szabel, gnają inni. Tatarski oddział rozdarty wpół — zwracają się Polacy — raz jeszcze przejechali z łatwością zdumioną, spłoszoną gromadę —

Wnet ruszać zaczęła czerniawa w step, koniom powierzając swe życie.

Begowie trzymają za uzdę bachmata, na którym pędzi Arżanow. On sam teraz okręcony arkanem, bo rzucał się naoślep, szukając śmierci. Zniknęli w zieleni traw, sprawdzając zdanie hetmana Żółkiewskiego: prędzejbyś ptaka na powietrzu złowił, niźli Tatarzyna.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Uśmiecha się tęskno pan Mohort, stojąc na wzgórzu dnieprowem w powodzi wschodzącego słońca. Siwy jak gołąb starzec — o twarzy bronzowej — podobnej do stepowego granitu, kiedy nań upadnie śnieg. W tej bryle twarzy, jakby w bohaterskim posągu Dyjameda, świecą modre oczy. Przy nim niższy xiążę. Patrzą na pobojowisko, gdzie kilkadziesiąt legło Tatarów.

Sześciu rycerzów polskich — starych orłów stepowych leży też w wiecznym śnie.

Kopią pozostali towarzysze dwie mogiły wielkie tym i tamtym.

— Więc nie dasz się xiążę uprosić — abyś do mej strażnicy zajechał nad Roś... Chciałbym udzielić mego wojennego testamentu... Przyda się może... przyda się wkrótce nieochybnie...

Xiążę potrząsnął smutno głową.

Zali mógłby teraz oddychać szczęśliwie powietrzem stepów, którym oddychało jego bezgraniczne a minione szczęście?

— Ojczyzna każe! — zawołał ostatnim argumentem, najwyższym dla nieubłaganego, rycerskiego honoru pan Mohort.

— Tak... rozpacz ma i ojczyzna to jedno... Muszę tu wrócić — gdy będę znów sobą... gdy będę miał czem żyć... Wierz mi — panie Mohorcie — nie było za waszych czasów tak strasznie pękniętych serc.

Daj mi uścisnąć prawicę — i ucałować swą twarz.

Spotkamy się jeszcze — da Bóg — —!

Zostań, ptaku husarski, na tych mogilnikach strażować. Ja przyjdę wkrótce na pomoc — Nie dasz już rady husarskiemi skrzydłami przeciw baterjom z tysięcy armat.

Jak groźna otchłań za różowemi mgłami, rozwarła się mi świadomość, że poza frazesami dyplomatów — poza mrzonkami idealistów, kryje się inne życie. Taki duch jak ty, panie Mohorcie — i taki Arżanow żyć nie mogą obok siebie.

Nastąpi bój... Wrócę, przygotowany... Ruszam dla

wprawy na wojnę Austrji przeciw Turkom. Wrócę, gdy wzejdzie już ozimina nowego zasiewu.

Nie oglądam się, com stracił — myślę, że póki żyje ona (xiążę nie wyrzekł, o kim myśli) — wszystko jest do odzyskania.

Ale teraz muszę być sam.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

W parę godzin później xiążę wrócił do Kaniowa. Natychmiast kolasa xiążęca wyruszyła w stronę Zachodu.

— — — — — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — — — — —

KONIEC

SPIS RZECZY:

I. WIECZORNA OFIARA

	Str.
W pustelni	3
Kapłaństwo w Nemi	19
Mniszka i Xiążę	33
Upiory nocne	49
Kapłanka węży	68

II. W ZACNYM DWORZE

Pan Marcin Słusznic de Starołoza	79
Dominium Iwanhora	89
Pani Katarzyna	97
Zjazd ukraiński	109
Zamek nad przepaścią	131
Cyncynnat	152
Nad sprawami Ojczyzny	170
Królestwo Bachusa i wolnej idei	182
Pan Mohort i stadnina	196
Wielki Kofta	208
Poranek i zawikłania	217
Muzyka dzwonów	226
Divus Wolter!	244

III. DWÓR KATARZYNY WIELKIEJ

Satanista	249
Nowe kombinacje	262
Legenda Północy	266
Zerwane zasłony	273

Str.
Ławra Peczerska 280
Ignis ardens 294
Maskarada Xięcia Tauryckiego . . . 301
W Stawiszczach bez dna 328

IV. ZJAZD MONARCHÓW

Teatrum Lucifera 341
Krzyż wśród zielonego lasu 382
Córa Dniepru 401
W najwyższym terenie 406
Tatarzy i pan Mohort 411

Biblioteka WSP Kielce
0159924